TOM CLANCY

CZERWONY SZTORM

CLANCY TOM

Czerwony sztorm #1

TOM CLANCY

tom 1

Przełożył Michał Wroczyński

Warszawa, 1992

Tytuł oryginału: RED STORM RISING Copyright © 1986 by Jack Ryan Enterprises Ltd. and Larry Bond _„• Projekt okładki: Jerzy T. Czaplicki Konsultant: Rafał Marczewski Redaktor merytoryczny: Anna Calikowska Redaktor techniczny, układ typograficzny: Iwona Wysocka Copyright for the Polish edition © by GiG Sp. z o. o., 1992 Copyright for the cover art © by Jerzy T. Czaplicki, 1992

ISBN 83-85085-55-6

Wydawnictwo GiG Sp. z o. o., Warszawa 1992 Wydanie I, ark. wyd. 28, ark. druk. 31,25 Skład: Zakład Poligraficzny FOTOTYPE Milanówek Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne Zam. 7466/92 **Podziękowania Nie sposób wymienić wszystkich, którzy w mniejszym lub większym stopniu przyczynili się do powstania tej książki. Gdybyśmy nawet próbowali to z, Larrym uczynić, pominęlibyśmy z pewnością nazwiska wielu osób, których wkład w naszą pracę był bardziej niż znaczący. Zachowujemy jednak we wdzięcznej pamięci każdego, kto, poświęcając bezinteresownie swój czas, odpowiadał nam na niezliczone pytania i udzielał wyczerpujących wyjaśnień. Wszyscy ci ludzie znaleźli swe miejsce na kartach tej powieści. Na szczególne nasze podziękowania zasłużyli jednak kapitan, oficerowie i załoga jednostki FFG-26*, który przez jeden wspaniały tydzień pokazywali nam – szczurom lądowym – co znaczy być marynarzem. * Fregata uzbrojona w pociski kierowane dalekiego zasięgu typu Harpoon; należy do grupy okrętów klasy Olwer Hazard Perry.**

Od niepamiętnych czasów marynarka wywierała przemożny wpływ na to, co dzieje się na lądzie.

Dotyczyło to zarówno starożytnych Greków jak i Rzymian, którzy stworzyli flotę, by pokonać Kartaginę. Hiszpania próbowała – bez skutku zresztą -przy pomocy Wielkiej Armady zniszczyć Anglię, a wydarzenia, jakie miały miejsce na Atlantyku i Pacyfiku podczas obu wojen światowych, pokazują dosadnie, iż sprawy morskie do dziś nie straciły swego znaczenia.

Morze dawało człowiekowi tani transport i łatwy stosunkowo dostęp do odległych krain. W razie potrzeby zapewniało też bezpieczeństwo i kryjówkę; lądy leżące za horyzontem dawały schronienie przed nieprzyjacielem. Morze zapewniało człowiekowi mobilność, otwierało przed nim nowe, ogromne możliwości i stanowiło nieodłączny element historii Zachodu. Ci, którzy nie potrafili stworzyć morskiej potęgi – zwłaszcza Aleksander, Napoleon czy Hitler – przestawali być ważni, a ich władza nie trwała długo.

Edward L. Beach: Keepers of the Sea

Od autora Pomysł tej książki zrodził się już dawno. Larry'ego Bonda poznałem za pośrednictwem pisma „Proceedings" wydawanego przez Instytut Morski Stanów Zjednoczonych, kiedy to kupiłem wymyśloną przez niego grę wojenną „Harpoon". Okazała się ona niebywale przydatna przy konstruowaniu powieści Polowanie na Czerwony Październik.

Owa gra zaintrygowała mnie na tyle, że latem 1982 roku udałem się na zjazd miłośników i twórców gier wojennych.

Tam osobiście poznałem Larry'ego i wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi.

W 1983 roku, kiedy Czerwony Październik znajdował się jeszcze w stadium przygotowań, zaczęliśmy omawiać jedną z następnych koncepcji Larry'ego: „Konwój-84" – grę makrowojenną czy też symulację „kampanii", w której przy użyciu systemu „Harpoon" można by było wygrać nową bitwę o Północny Atlantyk. Problem tak nas zafrapował, że zaczęliśmy snuć plany napisania książki opartej na tym pomyśle. Obaj byliśmy zgodni co do tego, że nikt poza Departamentem Obrony nie rozważał szczegółowo kwestii takiej kampanii, przeprowadzonej przy użyciu współczesnej broni. Im dłużej dyskutowaliśmy nad pomysłem, tym stawał się on klarowniejszy. Szybko stworzyliśmy szkielet powieści i szukaliśmy sposobu, by sprowadzić scenariusz do wymiarów realnych, nie tracąc przy tym z oka żadnych istotniejszych elementów (mimo nie kończących się dyskusji i paru naprawdę burzliwych kłótni nie zdołaliśmy tego problemu rozwiązać do końca).

Choć nazwisko Larry'ego nie widnieje na karcie tytułowej, książka jest naszym wspólnym dziełem. Nigdy nie dzieliliśmy się pracą, toteż ostateczny kształt powieści jest w takim samym stopniu zasługą moją jak i Larry'ego.

Jedyny kontrakt, jaki zawarliśmy, to silny uścisk dłoni… i radość, którą dała nam praca nad książką! Czytelnikowi zostawiamy osąd, czy i w jakim stopniu udało się nam zamiar zrealizować.

ZAPALNIK Z OPÓŹNIONYM

ZAPŁONEM

Niżnewartowsk, RSFRR Poruszali się szybko, cicho i sprawnie, a w górze rozciągało się kryształowe, pełne gwiazd niebo zachodniej Syberii.

Byli muzułmanami i choć biegle mówili po rosyjsku, ich śpiewny, azerski akcent śmieszył większość kadry inżynierskiej. Trzej mężczyźni skończyli właśnie żmudne otwieranie setek zaworów na stacjach rozrządowych kolei i w punktach załadunku samochodów. Pracą kierował Ibrahim Tolkaze, ale teraz trzymał się z tyłu. Na przedzie-szedł Rasul, potężnie zbudowany były sierżant Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Tego mroźnego wieczoru zabił już sześć osób – trzy z niesionego pod płaszczem rewolweru, pozostałe gołymi rękami. Nikt tego

nie słyszał; w rafineriach naftowych przeważnie panuje duży hałas. Ciała ukryli w jakichś mrocznych zakamarkach, a sami wsiedli do prywatnego samochodu Tolkaze i ruszyli wykonać pozostałą część zadania.

Główna rozdzielnia mieściła się w nowoczesnym, trzypiętrowym budynku postawionym w środku zakładów.

W promieniu co najmniej pięciu kilometrów ciągnęły się wieże do krakowania, zbiorniki z surowcem, komory katalityczne, a przede wszystkim tysiące kilometrów potężnych rurociągów, które sprawiały, że Niżnewartowsk był jednym z największych na świecie zakładów rafinerii ropy naftowej. Poprzez dym, który bił z płonących pochodni wyrzucających zbędne frakcje, przeświecało niebo, lecz powietrze wypełniał odór destylatów: nafty lotniczej, gazoliny, olei napędowych, benzyny, czterotlenku azotu używanego do produkcji pocisków międzykontynentalnych, różnego rodzaju smarów oraz złożonych substancji oznaczonych skomplikowanymi symbolami chemicznymi.

Inżynier Tolkaze zatrzymał prywatne żiguli na parkingu na wyznaczonym dla siebie miejscu przed ceglanym, pozbawionym okien budynkiem, wysiadł z auta i samotnie ruszył w stronę drzwi. Jego dwaj towarzysze zostali w samochodzie skuleni na tylnym siedzeniu.

Kiedy Ibrahim minął wewnętrzne, oszklone drzwi, pozdrowił wartownika: ten odwzajemnił uśmiech i wyciągnął dłoń po przepustkę. Kwestia bezpieczeństwa była tu sprawą bardzo istotną, lecz po czterdziestu latach funkcjonowania zakładów nikt nie traktował jej inaczej jak kolejnej, czczej i uciążliwej formalności biurokratycznej, których tak wiele istnieje w Związku Radzieckim. Strażnik znany był z tego, że lubił sobie wypić – alkohol stanowił jedyną rozrywkę i pociechę w tym surowym, mroźnym kraju – miał teraz mętne spojrzenie i zbyt szeroki uśmiech. Tolkaze niezdarnie wypuścił z ręki przepustkę i wartownik pochylił się, by ją podnieść. Nigdy więcej się już nie wyprostował. Ostatnią rzeczą, jaką w życiu poczuł, była kula z pistoletu Tolkaze wymierzona w podstawę czaszki. Mężczyzna umarł, nie wiedząc nawet, jak i dlaczego ginie. Ibrahim natychmiast wyciągnął zza biurka strażnika broń, którą tamten zostawił beztrosko. Potem z trudem dźwignął zwłoki i umieścił je za biurkiem tak, że ciało do połowy spoczywało na blacie – kolejny pracownik, który zasnął na służbie. Wyjrzał na zewnątrz. Machnięciem ręki przywołał swoich kompanów.

Rasul i Mohammed biegiem ruszyli w stronę budynku.

–Już czas, bracia – powiedział Tolkaze, wręczając wyższemu towarzyszowi pistolet maszynowy AK-47 i amunicję.

Rasul zważył w ręku broń. Sprawdził, czy jest zarepetowana i odbezpieczona. Następnie przełożył przez ramię taśmę z nabojami, osadził na lufie bagnet i po raz pierwszy tej nocy odezwał się:

–Czeka nas raj.

Tolkaze doprowadził się do porządku; przygładził włosy, podciągnął krawat, przypiął przepustkę do klapy białego, laboratoryjnego fartucha i poprowadził towarzyszy w górę sześcioma kondygnacjami schodów.

Normalna procedura wymagała, by każda wchodząca do głównej rozdzielni osoba była rozpoznawana przez któregoś z pracowników pełniącego aktualnie dyżur. Ale Mikołaja Barsowa zaskoczył widok Tolkaze, gdy wyjrzał przez wąskie okienko w drzwiach.

–Isza? Przecież nie masz dziś służby – powiedział.

–Po południu była awaria zaworu, a wychodząc, zapomniałem sprawdzić, czy go naprawiono. Chodzi o ten dodatkowy zawór w zbiorniku numer osiem z oczyszczoną naftą. Jeśli do jutra pozostanie nieczynny, będziemy musieli zmieniać drogę przepustu; sam najlepiej wiesz, co to znaczy.

–To prawda, Isza – przyznał Barsow. Ten mężczyzna w średnim wieku zawsze sądził, że Tolkaze lubi to półrosyjskie zdrobnienie swego imienia. Mylił się straszliwie. – Poczekaj, niech odrygluję ten cholerny zamek.

Ciężkie, stalowe drzwi rozchyliły się na zewnątrz, toteż Barsow nie mógł wcześniej dostrzec zaczajonych za nimi Rasula i Mohammeda; później nie miał już okazji. Trzy pociski z kałasznikowa utkwiły mu w piersi.

W głównej rozdzielni, przypominającej do złudzenia rozdzielnię na stacji kolejowej czy w elektrowni, znajdowało się dwudziestu pracowników. Wysokie ściany pomieszczenia pokryte były planami rurociągów i setkami barwnych lampek kontrolnych, wskazujących poszczególne zawory spustowe. Stanowiło to wyłącznie schemat rafinerii. Elementy systemu sterowane były przez oddzielne deski rozdzielcze, za którymi siedzieli dyżurni pracownicy. Nie mogli nie usłyszeć trzech wystrzałów.

Ale żaden z nich nie miał broni.

Rasul z pełną elegancji cierpliwością sunął przez salę, strzelając z kałasznikowa do każdej napotkanej osoby.

Inżynierowie początkowo próbowali uciekać; szybko jednak zrozumieli, że Rasul zapędza ich po prostu jak bydło w jeden róg sali i tam po kolei zabija. Dwóch odważnie rzuciło się do telefonów, by wezwać żołnierzy KGB z grupy szybkiego reagowania. Jednego śmiałka Rasul zastrzelił już przy aparacie; drugi skrył się za rzędem konsoli rozdzielczych i uniknął kuli. Zaczął przemykać się w stronę drzwi,

ale tam czekał Tolkaze. Ibrahim spostrzegł, iż uciekającym był Borys, faworyt Partii, przewodniczący miejscowego kaliektiwa, człowiek, który okazywał mu „przyjaźń", robiąc jednocześnie z niego miejscowego beniaminka inżynierów – rdzennych Rosjan. Ibrahim doskonale pamiętał, że ta bezbożna świnia traktowała go jak dzikiego przybysza, klepiąc

protekcjonalnie po ramieniu ku uciesze swych rosyjskich władców. Tolkaze uniósł pistolet.

–Iszaaaa! – krzyknął przerażony mężczyzna.

Tolkaze strzelił mu prosto w usta z nadzieją, że Borys nie umarł na tyle szybko, by nie usłyszeć pogardliwego epitetu:

–Niewierny.

Inżynier był rad, że ten człowiek przypadł mu w udziale.

Pozostałymi mógł zająć się małomówny Rasul.

Ludzie krzyczeli, ciskali w panice filiżankami, krzesłami, instrukcjami obsługi urządzeń. Ale nie było dla nich wybawienia, nie było ucieczki przed smagłym, wysokim zabójcą. Niektórzy unosili ręce w daremnym geście błagania.

Jeszcze inni modlili się głośno – ale nie do Allacha, który mógłby ich ocalić. W miarę jak Rasul równym krokiem zbliżał się do krwawego kąta sali, krzyki cichły. Po ostatnim wystrzale uśmiechnął się na widok zwłok; był pewien, iż ta niewierna świnia będzie mu służyć w raju. Zmienił magazynek i ruszył z powrotem przez rozdzielnię. Kłuł bagnetem każde leżące ciało; cztery ofiary, które dawały jeszcze znaki życia, dobił dodatkowymi strzałami. Twarz miał zawziętą, pełną zadowolenia. Ostatecznie o dwadzieścia pięć niewiernych świń mniej. Dwudziestu pięciu najeźdźców, którzy nie staną już między jego ludem a Bogiem. Zaprawdę, wykonał dzieło Allacha!

Kiedy Rasul zajął już stanowisko u szczytu schodów, do akcji wkroczył Mohammed. Przełączył wszystkie układy komputerowego sterowania na układ kontroli ręcznej, omijając w ten sposób zautomatyzowane systemy bezpieczeństwa.

Ibrahim, który był człowiekiem działającym metodycznie, od miesięcy miał już opracowany w szczegółach plan akcji.

Mimo to sporządził sobie, na wszelki wypadek, listę czynności. Wyjął ją teraz i rozłożył na głównym pulpicie

sterowniczym. Rozejrzawszy się, ustalił lokalizację konsoli kontrolnych. Miał chwilę czasu dla siebie.

Wyciągnął więc z tylnej kieszeni spodni swój najcenniejszy skarb – fragment egzemplarza „Koranu", który stanowił jeszcze własność jego dziadka. Otworzył książkę na chybił trafił. Sura „Łupy". Dziadek Ibrahima zginął w rebelii wznieconej przeciw Moskwie; ojca zmuszono, by służył państwu niewiernych; samego Tolkaze rosyjscy nauczyciele również usiłowali włączyć w ten bezbożny system. Inni wyszkolili go na inżyniera nafciarza i w ten sposób podjął pracę w największej rafinerii w Azerbejdżanie. Tak zatem pozostał mu tylko Bóg przodków i nauki

wuja, „nielegalnego" imama, który trwał w wierności Allachowi i uratował ten strzęp „Koranu" towarzyszący obecnie wojownikowi Allacha. Tolkaze przeczytał surę:

A jeśli spiskują przeciwko tobie ci, którzy nie uwierzyli, aby cię mocno pochwycić albo zabić cię lub wypędzić,jeśli zatem oni spiskują, to i Bóg przygotowuje podstęp. A Bógjest najlepszy w swoim podstępie.* Uśmiechnął się, przekonany najgłębiej, iż jest to Znak, że tak naprawdę plan wypełniały ręce dużo potężniejsze od jego rąk. Spokojny, pewny siebie, przystąpił do realizacji tego, co było mu pisane.

Najpierw gazolina. Zamknął szesnaście kontrolnych zaworów – najbliższy oddalony był o trzy kilometry – i otworzył dziesięć innych, które skierowały osiemdziesiąt milionów litrów paliwa do punktów, gdzie tankowano olbrzymie samochody-cysterny. Benzyna nie zapaliła się od razu. Trójka mężczyzn nie zainstalowała bowiem urządzeń detonujących, które spowodowałyby natychmiastową katastrofę. Ale Tolkaze uważał, że skoro wykonuje polecenie Allacha, to sam Bóg o wszystko zadba.

Zadbał. Przejeżdżająca przez teren załadunkowy niewielka ciężarówka skręciła zbyt gwałtownie, wpadła w poślizg na rozlanym paliwie i wyrżnęła bokiem w metalową barierę.

Wystarczyła jedna iskra… na rozrządowe stacje wylewało się coraz więcej gazoliny. * „Koran". Warszawa, 1986. Przełożył Józef Bielawski. Sura VIII,

Jeśli chodzi o rozdzielnice głównego rurociągu, Tolkaze przygotował specjalny plan. Dziękując w duchu Allachowi, iż Rasul tak rozważnie używał pistoletu maszynowego, że nie uszkodził żadnych istotnych systemów, szybko uruchomił odpowiedni program komputera. Główny rurociąg prowadzący z pobliskich pól naftowych miał dwa metry średnicy i dochodziły do niego liczne dopływy, dostarczające surowiec z otworów wiertniczych. Siłę inercji płynącej tymi rurami ropy wspomagały sterowane przez komputer pompy.

Nie wyłączając ich, Ibrahim błyskawicznie pootwierał jedne zawory, a zamknął inne. Wyciekająca lekka ropa naftowa zalała pola produkcyjne. Potrzebna tam była tylko jedna iskra, by pod zimowym niebem rozpętać piekło. Na końcu otworzył zawór umieszczony w miejscu, gdzie krzyżowały się nad rzeką Ob rurociągi z ropą i gazem.

–Zielone koszule! – krzyknął Rasul, słysząc na klatce schodowej łomot butów żołnierzy KGB z grupy szybkiego reagowania. Seria z kałasznikowa położyła trupem dwóch i reszta oddziału zatrzymała się za zakrętem schodów.

Młody sierżant ze zdumieniem spoglądał na to, w jaki koszmar wdepnęli.

Rozdzielnię wypełnił nieoczekiwanie jazgot automatycznych alarmów. Główny pulpit kontrolny zapłonął pulsującymi, czerwonymi światłami, które wskazywały cztery miejsca rozprzestrzeniającego się pożaru. Tolkaze podszedł do głównego komputera i wyrwał z niego bęben z taśmą zawierającą cyfrowy kod sterowania aparaturą. Duplikat kodu znajdował się w kasie pancernej na parterze, a jedyny w promieniu dziesięciu kilometrów człowiek, który znał

szyfr zamka, leżał tutaj – martwy. Mohammed w tym czasie pracowicie powyrywał wszystkie kable telefoniczne. W pewnej chwili budynek zadrżał w posadach; to eksplodował gigantyczny, odległy o dwa kilometry zbiornik z gazoliną.

Ogłuszający huk ręcznego granatu był znakiem, iż żołnierze KGB znów przystąpili do akcji. Rasul odpowiedział ogniem i rozdzierającym bębenki syrenom pożarowym zawtórowały krzyki umierających. Tolkaze ruszył spiesznie w kąt sali. Podłoga była śliska od krwi. Otworzył puszkę

z bezpiecznikami i wyrwał główny korek. Następnie strzałem z pistoletu zniszczył całą instalację. Gdyby ktoś chciał ją naprawić, będzie to musiał zrobić po ciemku.

Zadanie wykonane. Ibrahim obejrzał się i spostrzegł, że jego potężnie zbudowany kompan został trafiony śmiertelnie w pierś odłamkiem granatu. Rasul chwiał się, próbując ustać na nogach; do końca strzegł swych towarzyszy.

–Oddaję się w ręce Pana wszystkich światów! – krzyknął wyzywająco Tolkaze pod adresem żołnierzy, którzy nie znali słowa po arabsku. – Królu wszystkich ludzi, Boże wszystkich ludzi, od zła podszeptywanego przez szatana…

Zza załomu ściany wyskoczył na podest schodów sierżant KGB i pierwszą serią wytrącił z bezwładnych rąk Rasula pistolet maszynowy. Kiedy ponownie znikał za rogiem, w powietrzu szybowały już łukiem dwa granaty.

Nie było gdzie i nie było po co uciekać. Mohammed i Ibrahim stanęli nieruchomo w drzwiach, a granaty podskakiwały i toczyły się po kafelkach podłogi w ich stronę. Wydawało się, iż cały świat staje w ogniu. Świat rzeczywiście miał zapłonąć z tego powodu.

–Allah akbar!

Sunnyvale, Kalifornia – Boże wielki! – sapnął sierżant.

Pożar, który zaczął się w sekcji benzyn i olei napędowych, był na tyle duży, że zaalarmował strategicznego satelitę dalekiego wykrywania krążącego po orbicie geostacjonarnej trzydzieści osiem i pół tysiąca kilometrów nad Oceanem Indyjskim. Informacja została natychmiast przesłana do tajnej placówki sił powietrznych Stanów Zjednoczonych.

W ośrodku kontroli satelitarnej dyżur pełnił akurat pułkownik lotnictwa. Odwrócił się natychmiast do starszego technika.

–Mapę, proszę – powiedział.

–Tak jest, sir.

Sierżant wystukał na klawiaturze komputera sygnały zmieniające czułość zainstalowanych w

satelicie kamer. 2 – Czerwony sztorm

Satelita natychmiast zlokalizował źródło energii cieplnej.

Obok optycznego obrazu na ekranie pokazała się komputerowa mapa z dokładną lokalizacją.

–Pożar rafinerii naftowej, sir. Jezu słodki, zupełnie jakby ktoś szczał ogniem! Pułkowniku, za dwadzieścia minut będzie tam przelatywał w odległości stu dwudziestu kilometrów Wielki Ptak.

–Cóż – mruknął pułkownik, kiwając głową.

Uważnie obserwował ekran. Gdy nabrał już pewności, że źródło ciepła nie przemieszcza się, sięgnął prawą ręką po słuchawkę Złotej Linii – połączenia z siedzibą Północnoamerykańskiego Dowództwa Obrony Powietrznej w Cheyenne Mountain w Kolorado.

–Punkt kontroli Argus. Pilna wiadomość dla głównego dowódcy.

–Proszę zaczekać – odparł czyjś głos.

–Głównodowodzący – odezwał się kto inny.

–Mówi pułkownik Burnette, sir, z punktu kontroli Argus. Widzimy potężne promieniowanie termiczne; współrzędne: sześćdziesiąt stopni, pięćdziesiąt minut szerokości północnej i siedemdziesiąt sześć stopni, czterdzieści minut długości wschodniej. To rafineria naftowa. Źródło ciepła nie przemieszcza się, powtarzam: nie przemieszcza się. Za dwadzieścia minut przelatywać tam będzie KH-11. Moja wstępna ocena, generale, jest taka, iż mamy do czynienia z potężnym pożarem pola naftowego.

–A nie kierują przypadkiem na pańskiego satelitę promienia laserowego? – zapytał dowódca. Istniała możliwość, że to Rosjanie próbują jakichś sztuczek.

–Wykluczone. Źródło światła zawiera się w podczerwieni, a jego widzialne spektrum nie jest, powtarzam: nie jest monochromatyczne. Za parę minut będziemy wiedzieli więcej, sir. Jak dotąd, wszystko wskazuje na to, iż jest to rozległy ogień na powierzchni ziemi.

Pół godziny później byli tego pewni. Nad horyzontem pojawił się satelita zwiadowczy KH-11 i osiem kamer telewizyjnych zarejestrowało panujący na dole chaos. Urządzenie przetransmitowało sygnał do geostacjonarnego sateCZERWONY SZTORM • 19 lity komunikacyjnego i Burnette oglądał wszystko „na bieżąco". Na żywo i w kolorze. Ogień pochłonął już ponad połowę kompleksu rafinerii oraz przylegających do niej terenów produkcyjnych; rozmiaru katastrofy dopełniał pożar ropy wypływającej z otwartych zaworów przerzuconego nad Obem rurociągu. Mogli oglądać, jak gnane wiatrem wiejącym z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę płomienie rozprzestrzeniały się coraz bardziej. Choć prawie wszystko przesłaniał gęsty dym, czujniki podczerwieni wyławiały wiele źródeł ciepła, które mogły być wyłącznie rozległymi rozlewiskami produktów naftowych płonących żywym

ogniem. Odbywający z Burnette'em dyżur sierżant pochodził ze wschodniego Teksasu i jako chłopak pracował na polach naftowych. Z pamięci komputera wywołał zdjęcia zakładu zrobione jeszcze w ciągu dnia i porównał je z obrazem transmitowanym teraz przez satelitę.

–Do licha, pułkowniku! – odezwał się, potrząsając z niedowierzaniem głową. – Rafineria… no cóż, jest stracona, sir. Wiatr roznosi ogień i nie ma sposobu powstrzymać pożogi. To koniec; będzie się tak palić trzy, może cztery dni, a niektóre partie nawet i z tydzień. Jeśli nie znajdą jakiegoś sposobu, by ugasić pożar, zagładzie ulegnie również całe pole naftowe, sir. Kiedy znów tam pojawi się nasz satelita, rafineria wciąż będzie płonąć, rozsypią się wszystkie wieże, sfajczą się po prostu… Boże drogi, myślę, że nawet nasz Teksańczyk, Red Adair, nie chciałby się tym zajmować.

–Niewiele zostanie z rafinerii? No tak… – Burnette przeglądał na taśmie zapis zarejestrowany podczas przelotu Wielkiego Ptaka. – To był ich najnowszy i największy zakład; to klęska dla ich przemysłu paliwowego. Zanim wszystko odbudują, będą musieli zdrowo przestawić swoją produkcję gazu i paliw. Coś panu powiem. Kiedy Iwanowi zdarza się katastrofa przemysłowa, nawet się nie skrzywi.

Ale ten pożar to bardzo duży kłopot dla naszych rosyjskich przyjaciół, sierżancie.

Wszystkie analizy potwierdziła następnego dnia CIA; a dzień później tajne służby angielskie i francuskie.

Grubo się myliły.

CZŁOWIEK, KTÓREGO GŁOS

PRZEWAŻYŁ

DATA-CZAS 01/31-06: 15 kopia 01 z 01 dot. RADZIECKIEGO POŻARU BC-Radziecki pożar, Bjt, 1809. FL.

Katastrofalny pożar pól naftowych w Niżnewartowsku.

FL.

EDS: środa, godziny popołudniowe. FL.

William Blake. FC.

American Press (AP) Wojskowość/Wywiad WASZYNGTON (AP) – Wywiad i źródła wojskowe w Waszyngtonie donoszą, iż w środkowych rejonach Związku Radzieckiego wybuchł gigantyczny pożar pól naftowych; największy od czasu katastrofy w Texas City w roku 1947 i w Mexico City w 1984 roku.

Ogień odkryły amerykańskie „Narodowe Środki Techniki", którym to terminem ogólnie określa się satelity rozpoznawcze podległe Centralnej Agencji Wywiadowczej.

CIA uchyliła się od wszelkich komentarzy. Źródła Pentagonu potwierdzają to doniesienie, dodając, iż rozmiary pożaru spowodowały chwilowy zamęt w Północnoamerykańskim Dowództwie Obrony Powietrznej, gdyż istniała realna szansa, że ogień mógł powstać wskutek próby wystrzelenia rakiety w kierunku Stanów Zjednoczonych lub też próby oślepienia amerykańskich satelitów dalekiego wykrywania za pomocą lasera lub innego urządzenia naziemnego.

Pentagon podkreśla, iż nie ogłoszono alarmu i nie postawiono w stan podwyższonej gotowości bojowej amerykańskich sił nuklearnych. „Zamieszanie trwało zaledwie pół godziny" – głosiło oświadczenie.

Radziecka agencja prasowa T AS S nie potwierdziła doCZERWONY SZTORM • 21 niesień, ale Sowieci bardzo rzadko informują o takich sprawach.

Podobnie jak w przypadkach wspomnianych wyżej dwóch ogromnych katastrof przemysłowych, obecny gigantyczny pożar może doprowadzić do większej tragedii. Źródła obrony nie chciały spekulować na temat liczby przypuszczalnych ofiar wśród ludności cywilnej. Zakłady petrochemiczne przylegają bezpośrednio do Niżnewartowska.

Zgodnie z informacją Amerykańskiego Instytutu Naftowego pola w Niżnewartowsku skupiają w przybliżeniu 31,3 procent całego potencjału radzieckiej ropy; zbudowana tam niedawno nowa rafineria dostarczała około 17,3 procent ogólnej produkcji materiałów naftopochodnych Związku Radzieckiego. „Na szczęście" – oświadczył Donald Evans, rzecznik prasowy Instytutu – „złoża ropy nie są łatwo palne i należy się spodziewać, iż ogień zgaśnie za parę dni sam".

Rafineria jednak poniesie zapewne ogromne szkody, co narazi państwo na wielkie wydatki. „Kiedy Rosjanie już coś robią, robią to przeważnie na dużą skalę" – oświadczył Evans. – „Posiadają więc wystarczające rezerwy, by zrekompensować straty, zwłaszcza gdy wykorzystają wyniki badań prowadzonych w moskiewskich instytutach".

Evans nie potrafi określić przyczyny pożaru. Twierdzi, że: „Mogło to mieć jakiś związek z klimatem. My również mieliśmy wiele problemów na terenach roponośnych Alaski i długo nie potrafiliśmy się z nimi uporać. Poza tym rafineria nie jest Disneylandem, w którym można bawić się w pirotechnikę i wymaga inteligentnych, rozważnych, doskonale wyszkolonych pracowników".

Ostatnia katastrofa jest kolejnym z serii niepowodzeń, jakie dotknęły radziecki przemysł naftowy. Zaledwie zeszłej jesieni plenum Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej stwierdziło, że posunięcia produkcyjne zakładów we wschodniej Syberii „nie dały spodziewanych wyników".

To łagodne określenie Zachód odebrał jednak jako ostrą krytykę polityki byłego ministra

przemysłu naftowego, Zatyżina, którego miejsce zajął Michaił Siergietow,

dotychczasowy szef komitetu partii w Leningradzie. Ów technokrata, z wykształcenia inżynier, aktywny działacz partyjny, uważany jest za wschodzącą gwiazdę na radzieckim firmamencie politycznym. Prace Siergietowa nad reorganizacją radzieckiego przemysłu naftowego potrwają zapewne kilka lat.

AP-BA-01-31 05001EST. FL.

****KONIEC DONIESIENIA****

Moskwa, RSFRR Michaił Edwardowicz Siergietow nie miał nawet czasu przeczytać przysłanego drogą telegraficzną komunikatu.

Wyrwano go ze służbowej daczy położonej w brzozowych lasach niedaleko Moskwy i niezwłocznie wysłano samolotem do Niżnewartowska. Tam pozostał zaledwie dziesięć godzin i wrócił ze sprawozdaniem. Trzy miesiące pracy – pomyślał, wsiadając do pustej, obszernej kabiny iła-86 – i musiało się coś takiego zdarzyć!

Dwóch jego głównych zastępców – młodych, zdolnych inżynierów – zostało na miejscu tragedii, próbując opanować chaos i ratować co się da, podczas gdy Siergietow jeszcze tego samego dnia miał przedstawić raport na posiedzeniu Politbiura. W walce z ogniem zginęło dotychczas trzysta osób oraz – rzecz zdumiewająca – tylko niespełna dwustu mieszkańców Niżnewartowska. Był to niekorzystny zbieg okoliczności, ale nie powinien mieć większego znaczenia, jeśli tylko uda się zastąpić fachowców, którzy stracili życie, innymi, ściągniętymi z wielkich rafinerii z terenu całego kraju.

Wielka rafineria została niemal kompletnie zniszczona, odbudowa zajmie co najmniej dwa lub trzy lata i będzie niebywale kosztowna. Same stalowe rury plus wszelkie specjalistyczne urządzenia, niezbędne w tego typu zakładach, pochłoną zawrotną sumę piętnastu miliardów rubli. A ile sprzętu trzeba będzie kupić za granicą, ile drogocennej, twardej waluty i złota odpłynie z kraju?

A to były jeszcze dobre wiadomości.

Złe: ogień zniszczył całkowicie wieże i szyby wiertnicze.

Czas odbudowy: co najmniej trzydzieści sześć miesięcy!

Trzydzieści sześć miesięcy – pomyślał ponuro Siergietow – jeśli w celu odtworzenia tych przeklętych szybów zorganizujemy wiertnice i ludzi do ich obsługi i jeśli jednocześnie odtworzymy system przyśpieszonej eksploatacji złóż. Związek Radziecki odczuwać będzie katastrofalny niedobór produktów naftowych przez co najmniej osiemnaście miesięcy, a najprawdopodobniej przez trzydzieści.

Jak zniesie to nasza gospodarka?

Wyciągnął z walizeczki blok liniowanego papieru, zaczął liczyć. Lot trwał trzy godziny, ale pochłonięty pracą Siergietow przegapił nawet moment lądowania i dopiero pilot oznajmił mu, że są na miejscu.

Mrużąc oczy, inżynier rozejrzał się po spowitym śniegiem Wnukowie 2, podmoskiewskim lotnisku wyłącznie dla bardzo ważnych osobistości. Zszedł po trapie i skierował się do stojącego nie opodal ziła-limuzyny. Samochód natychmiast ruszył nie zatrzymywany przez żaden z punktów kontroli. Zziębnięci milicjanci na widok nadjeżdżającego samochodu przybierali postawę zasadniczą, po czym znów zaczynali przytupywać i rozcierać ręce. Świeciło jasne słońce, po czystym niebie snuły się rzadkie obłoki. Siergietow spoglądał w okno nieobecnym wzrokiem, a myślami błądził wokół obliczeń, które sprawdził był dotąd z pół tuzina razy. Kierowca, pracownik KGB, oznajmił mu, że Politbiuro już na niego czeka.

Siergietow od sześciu miesięcy był „kandydatem", czyli członkiem bez prawa głosu; on i ośmiu jego młodszych kolegów stanowili grono doradców trzynastu mężczyzn, z których każdy podejmował znaczące dla Związku Radzieckiego decyzje. Piastował tekę ministra do spraw energii i jej dystrybucji. Stanowisko objął we wrześniu, więc dopiero niedawno zaczął realizować własny program reorganizacji siedmiu skłóconych nieustannie, regionalnych i ogólnozwiązkowych ministerstw zajmujących się energetyką. Chciał ominąć biurokrację Rady Ministrów i dążył do stworzenia jednego,– spójnego departamentu podległego bezpośrednio

Politbiuru oraz Sekretariatowi Partii. Przymknął oczy, dziękując w duchu Bogu – chyba jakiś istnieje, pomyślał – że jego pierwsze zalecenia, dostarczone zaledwie miesiąc wcześniej, dotyczyły spraw bezpieczeństwa w przemyśle naftowym i zatrudniania tam wyłącznie ludzi sprawdzonych politycznie. Kładł szczególny nacisk na zastępowanie „zagranicznej" przeważnie siły roboczej elementem rdzennie rosyjskim. Nie obawiał się więc zbytnio o swą dalszą karierę, która jak dotąd zapowiadała się niezwykle pomyślnie. Wzruszył ramionami. Czekające go zadanie wpłynie jednak na jego przyszłość. Jego i całego kraju.

Limuzyna sunęła przez Leningradzki Prospekt, potem przez Prospekt Gorkiego, aż dotarła do głównej alei, na którą milicja nikogo już nie wpuszczała; był to rejon zarezerwowany wyłącznie dla własti. Minęli hotel Inturistu przy Placu Czerwonym i dotarli wreszcie do bramy Kremla.

Kierowca zatrzymał auto, by mogli sprawdzić je żołnierze KGB i Gwardia Tamańska. Pięć minut później limuzyna podjechała przed wejście do budynku Rady Ministrów, jedynej nowoczesnej budowli na terenie starodawnej fortecy.

Tutaj już wartownicy znali Siergietowa z widzenia, salutowali mu służbiście i przytrzymywali otwarte drzwi tak, że nowo przybyły nie zdążył nawet zetknąć się z siarczystym mrozem, jaki panował na dworze.

Od miesiąca posiedzenia Politbiura odbywały się w sali na trzecim piętrze; tradycyjne miejsce

tych zebrań – stary budynek Arsenału – przechodziło właśnie konieczną, choć mocno spóźnioną renowację. Starsi członkowie Politbiura utyskiwali wprawdzie, wzdychając do poprzednich, pamiętających jeszcze carską świetność komfortowych wnętrz, ale Siergietow wolał nowoczesność. Uważał, iż już najwyższy czas, by członkowie Partii otaczali się wytworami socjalizmu, nie reliktami epoki Romanowów.

Kiedy wszedł do sali, zalegała w niej martwa cisza.

W Arsenale – pomyślał pięćdziesięcioczteroletni technokrata – zawsze panowała atmosfera pogrzebowa; i rzeczywiście, w tym gronie pogrzebów odbywało się aż nazbyt wiele. Z Partii ubywali stopniowo jej najstarsi członkowie,

którzy zdołali jakoś przeżyć czas stalinowskiego terroru.

Odchodzili, a ich miejsca zajmowali nowi, „młodzi", w wieku pięćdziesięciu, najwyżej sześćdziesięciu lat. Nieunikniona zmiana warty. Dla Siergietowa jednak i jego generacji – z wyjątkiem, oczywiście, nowego sekretarza generalnego – następowała ona zbyt wolno. Zbyt wolno! Czasami Siergietowowi wydawało się, iż w chwili, gdy ostatni z tych starców odejdzie, on sam będzie już jednym z nich. Teraz jednak, rozglądając się po sali, poczuł się bardzo młody.

–Dzień dobry, towarzysze – powiedział, podając płaszcz komuś z obsługi; człowiek ten, niosąc ostrożnie okrycie, natychmiast wycofał się z sali i zamknął za sobą drzwi. Zebrani zajęli miejsca. Fotel Siergietowa znajdował się po prawej stronie stołu, w połowie jego długości.

Sekretarz generalny Partii ogłosił otwarcie zebrania. Głos miał opanowany i rzeczowy.

–Towarzyszu Siergietow, możecie zaczynać sprawozdanie. Na początku chcielibyśmy jednak, abyście poinformowali nas, co się tam właściwie stało.

–Towarzysze, wczoraj, około dwudziestej trzeciej czasu moskiewskiego, do centralnej rozdzielni zakładów rafineryjnych w Niżnewartowsku wdarło się trzech uzbrojonych mężczyzn i dokonało bardzo wymyślnego aktu dywersji.

–Kim byli? – zapytał ostro minister obrony.

–Zidentyfikowaliśmy tylko dwóch. Jeden z bandytów to elektryk zatrudniony w rafinerii. Drugi… – Siergietow wyjął z kieszeni przepustkę i rzucił ją na stół -…starszy inżynier I. M. Tolkaze. To on zapewne, wykorzystując swą fachową wiedzę, spowodował potężny pożar, który, gnany wiatrem, błyskawicznie ogarnął cały kompleks kombinatu.

Oddział Wojsk Obrony Wewnętrznej KGB zareagował natychmiast. Jeden ze zdrajców, ten nie zidentyfikowany, zabił lub zranił pięciu żołnierzy. Użył pistoletu maszynowego, który należał do strażnika pilnującego budynku; strażnik ten również zginął. Na podstawie zeznań sierżanta KGB – porucznik został zastrzelony na samym początku starcia – muszę przyznać,

że wojsko zareagowało błyskawicznie. Po paru minutach zdrajcy już nie żyli. Ale nie

udało się zapobiec kompletnemu zniszczeniu rafinerii i terenów wydobywczych.

–Skoro straż tak szybko zareagowała, czemu dopuściła do takich szkód? – zapytał minister obrony, wpatrując się z nienawiścią w fotografię na przepustce. – A przede wszystkim, co ta czarna, muzułmańska dupa tam robiła?

–Towarzyszu, praca na syberyjskich polach naftowych jest mordercza i mamy poważne kłopoty z naborem ludzi.

Mój poprzednik polecił wysyłać na Syberię doświadczonych nafciarzy z rejonu Baku. Było to czyste szaleństwo. Przypomnijcie sobie, towarzysze, moje pierwsze zalecenie z zeszłego roku, by skończyć z tą polityką.

–Tak, znamy wasz raport, Michaile Edwardowiczu – odezwał się przewodniczący. – Kontynuujcie, proszę.

–Posterunek straży rejestruje wszelkie rozmowy radiowe i telefoniczne. Oddział szybkiego reagowania już po dwóch minutach był w drodze. Niestety, posterunek mieści się obok dawnej rozdzielni. Obecną zbudowano dwa lata temu trzy kilometry dalej, kiedy sprowadziliśmy z Zachodu nową aparaturę do kontroli komputerowej. W nowej placówce miała też być wzniesiona wartownia; zgromadzono nawet materiały budowlane. Potem wyszło na jaw, że dyrektor zakładów i miejscowy sekretarz Partii wykorzystali je do budowy swych dacz nad rzeką, parę kilometrów od miasta. Obu poleciłem natychmiast aresztować na podstawie artykułu o zdradzie Państwa – tłumaczył rozsądnie Siergietow.

Ostatnie słowa nie wzbudziły w słuchaczach żadnej reakcji. Milcząca zgoda Politbiura skazała obu na śmierć; formalnościami zajmą się odpowiednie resorty.

–Wydałem ponadto polecenie, by wzmocnić ochronę wszystkich innych pól naftowych w naszym kraju – ciągnął Siergietow. – Na mój rozkaz aresztowano też mieszkające w okolicach Baku rodziny dywersantów. Są one obecnie dokładnie badane przez służby bezpieczeństwa. To samo dotyczy wszystkich, którzy znali zdrajców lub z nimi pracowali.

Przed przybyciem straży sabotażyści zdołali przejąć nadzór

nad systemami kontroli pól naftowych i spowodować gigantyczny pożar. Potem jeszcze zniszczyli aparaturę kontrolną do tego stopnia, że gdyby nawet z wojskiem pojawiła się ekipa najzdolniejszych inżynierów, niczego by nie uratowała. KGB ewakuowało ludzi z budynku, który niebawem strawiły płomienie. Nic innego nie dało się zrobić.

Siergietow ciągle miał przed oczyma straszliwie poparzoną twarz sierżanta. Kiedy podoficer zdawał relację, po spalonej, pełnej bąbli skórze ciekły mu strumieniem łzy.

–A strażacy? – zapytał sekretarz generalny.

–Ponad połowa zginęła w ogniu – odparł Siergietow.

–Oprócz tego jeszcze stu obywateli miasta, którzy włączyli się do walki o ratowanie kombinatu. Naprawdę, każdy dał z siebie wszystko, towarzyszu. Kiedy już ten łajdak, Tolkaze, przystąpił do realizacji swego diabelskiego planu, z równym skutkiem można było próbować powstrzymywać trzęsienie ziemi. Generalnie, pożar już obecnie opanowano, gdyż większość zgromadzonego w rafinerii paliwa spłonęła w ciągu pierwszych pięciu godzin, a także dlatego, że zniszczeniu uległy wszystkie szyby na polach naftowych.

–Ale jak w ogóle mogło dojść do takiej katastrofy? – zapytał przełożony.

Siergietowa zdumiewał spokój zebranych. Czyżby zdążyli już spotkać się wcześniej i omówić wstępnie całą sprawę?

–Wszelkie niebezpieczeństwa opisałem w raporcie z dwudziestego grudnia. Z rozdzielni można było sterować każdą pompą i każdym zaworem na terenie liczącym sobie dobrze ponad sto kilometrów kwadratowych. To samo zresztą dotyczy innych naszych wielkich pól naftowych.

Rozdzielnia to mózg rafinerii. Stamtąd każdy, kto zna procedury kontrolne, może uruchomić lub unieruchomić systemy i w każdej chwili, gdy przyjdzie mu ochota, spowodować katastrofę. Tolkaze znał się na tym bardzo dobrze. Był Azerem. Dzięki swym zdolnościom i nieposzlakowanej lojalności wysłany został jako honorowy student na Uniwersytet Moskiewski; ponadto od wielu lat należał do Partii. Ale, jak się okazało, był również fanatykiem religijnym, zdolnym do tak niesłychanego czynu. Wszyscy

dyżurni i przebywający wtedy w rozdzielni stanowili krąg jego bliskich przyjaciół – to znaczy, tak sądzili. Mimo piętnastu lat w Partii, mimo wysokich zarobków, dobrej opinii, którą cieszył się wśród towarzyszy jako pracownik, mimo własnego samochodu, umarł z imieniem Allacha na ustach – kończył sucho Siergietow. – Ludziom z tamtych stron nigdy nie możemy wierzyć, towarzysze.

Minister obrony znów skinął głową.

–No dobrze, a jak to wpłynie na naszą produkcję naftową?

Połowa zebranych przy stole nachyliła się z uwagą w stronę Siergietowa.

–Towarzysze, co najmniej na okres jednego roku, a przypuszczalnie na trzy lata, wydobycie ropy spadnie o trzydzieści cztery procent – Siergietow podniósł wzrok znad notatek i ujrzał, jak kamienne dotąd twarze marszczą się niczym po siarczystym policzku. – Musimy ponownie wiercić każdy szyb i odbudować zniszczone rurociągi.

Szkody wyrządzone w samej rafinerii, jakkolwiek bardzo poważne, nie powinny budzić aż takiego niepokoju, gdyż stosunkowo szybko je naprawimy; ponadto remont zakładów zmniejszy nasze moce produkcyjne o niecałą jedną siódmą. Największą katastrofą dla gospodarki będzie więc ogromny spadek wydobycia ropy naftowej.

Uwzględniając skład chemiczny ropy z Niżnewartowska, niedobór tego surowca spowoduje głęboki kryzys naszej gospodarki. Syberyjska ropa jest „lekka i słodka", co znaczy, że zawiera bardzo dużą ilość najcenniejszych frakcji; takich, z których produkujemy, na przykład gazolinę, oczyszczoną naftę i oleje napędowe. Straty netto, jakie poniesiemy w wyniku wyłączenia tego rejonu, wyniosą czterdzieści cztery procent produkcji gazoliny, czterdzieści osiem procent nafty oczyszczonej i pięćdziesiąt procent olei napędowych. Są to tylko obliczenia szacunkowe, których dokonałem w samolocie, ale ich błąd może wahać się najwyżej w granicach dwóch procent. Za parę dni moi ludzie dostarczą precyzyjnych danych.

–Połowa? – zapytał cicho sekretarz generalny.

–Dokładnie tyle, towarzyszu – odparł Siergietow.

–A ile czasu trzeba, by podjąć eksploatację złóż?

–Towarzyszu sekretarzu generalny, jeśli dostarczymy odpowiedniej ilości wiertnic, które pracować będą dwadzieścia cztery godziny na dobę, to wedle moich wstępnych obliczeń przywracanie poziomu produkcji zajmie dwanaście miesięcy. Oczyszczenie terenu po katastrofie zabierze co najmniej trzy miesiące; trzy dalsze należy poświęcić na montaż aparatury i wież. Ponieważ znamy lokalizację szybów i ich głębokość, pominąć możemy normalny w takich okolicznościach czynnik niepewności. A więc w ciągu roku – to jest w sześć miesięcy po tym, jak przystąpimy do ponownych wierceń – zaczniemy stopniową eksploatację szybów. Ich pełna rekonstrukcja skończy się w ciągu dwóch dalszych lat. Równolegle z tymi pracami musimy też rozmieszczać aparaturę do przyśpieszonej eksploatacji złóż…

–Do czego? – zapytał minister obrony* – Przyśpieszonej eksploatacji złóż, towarzyszu ministrze.

Gdyby w Niżnewartowsku szyby były stosunkowo młode, samo ciśnienie podtrzymywałoby ogień jeszcze całymi tygodniami. Ale, jak wiecie, towarzysze, ze złóż wydobyto już sporą część zasobów. By przyspieszyć eksploatację wpompowywaliśmy do szybów wodę, która sprawiała, że uzyskiwaliśmy dużo więcej ropy. Obecnie będzie miało to fatalny wpływ na regenerację tych otworów, gdyż uszkodzone są warstwy roponośne. Z tym problemem próbują uporać się geolodzy.

Kiedy więc zabrakło energii i zniknęły siły wypychające naftę, ogień na polach gwałtownie wygasa z powodu braku paliwa.

Gdy odlatywałem do Moskwy, ognia prawie nie było.

–Tak więc i trzech lat może być mało? – zapytał minister spraw wewnętrznych.

–Zgadza się, towarzyszu ministrze. Nie istnieją tu żadne naukowe podstawy. Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, nie miała dotąd miejsca ani na Zachodzie, ani na Wschodzie.

W ciągu dwóch, trzech miesięcy możemy wywiercić parę kontrolnych otworów, co da nam pewne wskazówki. Ekipa, którą tam zostawiłem, zaczęła już działać w tym kierunku tak szybko, jak to umożliwia posiadany sprzęt.

–Bardzo dobrze – skinął głową sekretarz generalny.

–Mam następne pytanie: jak długo kraj może funkcjonować w takiej sytuacji?

Siergietow wrócił do notatek.

–Towarzysze, powiedzmy szczerze, jest to katastrofa gospodarcza na skalę dotąd nie notowaną. Choć ostra zima pochłonęła zapasy naszych ciężkich olei w stopniu większym niż zakładaliśmy, niektóre gałęzie energetyki muszą pozostać relatywnie nietknięte. Na przykład produkcja prądu w zeszłym roku wchłonęła trzydzieści osiem procent ogólnej produkcji naftowej; też dużo więcej niż planowaliśmy.

Wzięło się to z niskiego w ubiegłych latach wydobycia węgla i gazu, które miały ograniczyć ilość zużywanej ropy.

Przemysł węglowy aktualnie modernizujemy, ale wymaga to pięciu lat, by zaczął w pełni funkcjonować. Poszukiwania gazu idą obecnie wolniej z przyczyn klimatycznych. Z czysto technicznych względów ciężko jest operować niezbędnym do tego sprzętem w bardzo niskich temperaturach…

–Więc niech te dranie od wierceń nie lenią się i wezmą do roboty – doradził sekretarz moskiewskiego oddziału Partii.

–Tu nie o robotników chodzi, towarzyszu – westchnął Siergietow. – Chodzi o maszyny. Niska temperatura bardziej działa na metal niż na człowieka. Podczas silnych mrozów narzędzia i części maszyn stają się kruche i łatwo pękają. Warunki atmosferyczne utrudniają transport do obozów. Marksizm-leninizm niestety nie ma wpływu na pogodę.

–Czy trudno byłoby pokryć czymś teren wierceń? – spytał minister obrony.

–Trudno? Towarzyszu ministrze, to niemożliwe. W jaki sposób zasłonić kilkaset wież wiertniczych o wysokości od dwudziestu do czterdziestu metrów każda? Z równym powodzeniem można przykryć kosmodrom w Plesecku.

Siergietow po raz pierwszy zauważył, że minister obrony wymienił spojrzenia z sekretarzem generalnym.

–Musimy zatem ograniczyć przydziały ropy dla przemysłu elektrycznego – oświadczył ten ostatni.

–Towarzysze, pozwólcie, że przedstawię wam kilka pobieżnych spostrzeżeń na temat zużywania przez nasz kraj produktów naftowych. Proszę uwzględnić, że dane będę czerpał z pamięci, gdyż roczny raport mojego departamentu jeszcze nie jest w pełni gotowy.

W ubiegłym roku uzyskaliśmy pięćset osiemdziesiąt dziewięć milionów ton ropy naftowej, to znaczy o trzydzieści dwa miliony mniej niż zakładaliśmy, a i obecny poziom wydobycia możliwy jest wyłącznie dzięki owym środkom nadzwyczajnym, o jakich wspomniałem. Około połowę naszej produkcji stanowi mazut będący wynikiem połowicznej destylacji lub ciężki olej opałowy. Stosuje się je na przykład w elektrowniach lub w fabrykach do ogrzewania kotłów parowych. Większość ropy nie może być po prostu wykorzystana w inny sposób, gdyż dysponujemy tylko trzema – przepraszam, obecnie już dwiema – rafineriami z wystarczająco skomplikowaną aparaturą oraz komorami do krakowania katalitycznego, zdolnymi do przetwarzania owych olei ciężkich w produkty destylacji lekkiej.

Wytwarzane przez nas paliwa służą gospodarce w sposób różnoraki. Jak już wspomniałem, trzydzieści osiem procent idzie na elektryczność i inne formy energii. Szczęśliwie jest to głównie mazut. Paliwa lżejsze – olej napędowy, gazolina i oczyszczona nafta – wykorzystywane są przez rolnictwo, przemysł spożywczy, transport dóbr i towarów, zużycie społeczne, przewozy pasażerskie oraz wojsko. To pochłonęło ponad połowę zeszłorocznej produkcji. Innymi słowy, towarzysze, po utracie Niżnewartowska tylko wymienieni przeze mnie użytkownicy potrzebują więcej niż jesteśmy w stanie wydobyć i przetworzyć. Dla takich gałęzi jak metalurgia, przemysł maszynowy ciężki, chemiczny czy budownictwo nie zostanie już nic. Nie wspominam naturalnie o eksporcie do bratnich krajów socjalistycznych Europy Wschodniej ani o eksporcie światowym.

Natomiast odnośnie poruszonej przez was kwestii, towarzyszu sekretarzu generalny, możemy zapewne pozwolić sobie na skromne cięcia w przemyśle elektrycznym, choć już obecnie odczuwamy poważne niedobory energii, czego

skutkiem były czasowe ograniczenia zużycia prądu, a nawet całkowite przerwy w jego dostawach. Dalsze redukcje w tej dziedzinie wywrą katastrofalny wpływ na inne sektory gospodarki państwowej, takie jak produkcja przemysłowa czy transport kolejowy. Pamiętacie, towarzysze, jak trzy lata temu celem oszczędności paliw zmieniliśmy doświadczalnie woltaż wytwarzanej energii elektrycznej? Spowodowało to masowe awarie silników w całym Donieckim Okręgu Przemysłowym.

–A węgiel i gaz?

–Towarzyszu sekretarzu generalny, już teraz wydobycie węgla jest o szesnaście procent niższe od planowanego i spada coraz bardziej. Spowodowało to zresztą przechodzenie opalanych węglem fabryk i elektrowni na ropę.

Co więcej, ponowne przestawienie się z ropy na węgiel jest bardzo kosztowne i czasochłonne. Dużo tańszym i prostszym rozwiązaniem jest przejście na gaz i do tego zmierzamy. Produkcja gazu wprawdzie też jest poniżej normy, ale ten dział gospodarki rokuje nadzieje. Pod koniec bieżącego roku spodziewamy się przekroczyć plan. Tutaj z kolei musimy brać pod uwagę fakt, iż wiele naszego gazu idzie do Europy Zachodniej. Wyciągamy w ten sposób twardą walutę, by kupować zagraniczną ropę oraz, naturalnie, zboże.

Na ostatnią wzmiankę odpowiedzialny za rolnictwo członek Politbiura zamrugał oczyma. Ileż już osób przepadło z kretesem za to, że nie poradziło sobie z radzieckim rolnictwem – pomyślał Siergietow. Nie dotyczyło to obecnego sekretarza generalnego, który też doznał w tej dziedzinie porażki, a mimo to zdołał obrócić ją na swoją korzyść. Ale dobrzy marksiści nie wierzą w cuda i za wyniesienie na to tytularne stanowisko trzeba było zapłacić wysoką cenę, co Siergietow dopiero teraz zaczynał rozumieć.

–Jakie więc widzicie rozwiązanie, Michaile Edwardowiczu? – zapytał z niebywałą troską w głosie minister obrony.

–Towarzysze, musimy dźwignąć ten ciężar, wprowadzając jednocześnie wszelkie możliwe usprawnienia na

każdym szczeblu naszej gospodarki – Siergietow nie próbował nawet wspomnieć o wzrastającym imporcie ropy.

Obecny kryzys doprowadzić musiał do trzykrotnego wzrostu importu, podczas gdy rezerwy twardych walut z trudem pozwalały na podwojenie zakupów tego surowca za granicą.

–Musimy podnieść produkcję i jakość wiertnic wytwarzanych w wołgogradzkiej „Barykadzie". Ponadto, by rozwinąć na szeroką skalę poszukiwania i eksploatację złóż na znanych już polach, czeka nas zakup innej, zachodniej aparatury, niezbędnej do tych prac. Duże szansę upatruję również w budowie nowych elektrowni atomowych. Powinniśmy też wprowadzić reglamentację paliw dla transportu drogowego i samochodów osobowych. Te dziedziny bowiem, jak wszyscy wiemy, pochłaniają aż jedną trzecią całych naszych zasobów. Możemy również chwilowo zmniejszyć dostawy paliw dla wojska oraz przestawić część sektora zbrojeniowego na inną, niezbędną produkcję przemysłową. Czekają nas trzy ciężkie lata. Ale tylko trzy.

Siergietow na podkreślenie tych słów uderzył dłonią w plik notatek.

–Towarzyszu, wasze doświadczenie w kwestii polityki zagranicznej i spraw związanych z obronnością kraju jest raczej niewielkie, prawda? – spytał minister obrony.

–Nigdy nie udawałem, że jest inaczej, towarzyszu ministrze – odparł ostrożnie Siergietow.

–Zatem wyjaśnię wam, czemu proponowane przez was rozwiązania są nie do przyjęcia. Gdybyśmy zastosowali się do waszych rad, Zachód natychmiast dowiedziałby się o kryzysie,

jaki przechodzimy. Zakup dużej ilości aparatury niezbędnej do produkcji ropy oraz zakrojone na ogromną skalę prace remontowe w Niżnewartowsku zdradziłyby nas natychmiast, pokazując Zachodowi naszą słabość. Na pewno by to wykorzystali. A wy tu nam jednocześnie – walnął pięścią w ciężki, dębowy stół – proponujecie reglamentację paliwa dla jedynych sił, które mogą nas przed Zachodem obronić.

–Towarzyszu ministrze obrony, jestem inżynierem, nie wojskowym. Pytaliście o rozwiązania techniczne, więc je 3 – Czerwony sztorm

przedstawiłem – Siergietow starał się mówić cicho i spokojnie. – Sytuacja jest bardzo poważna, ale nie będzie miała wpływu, na przykład, na nasze formacje rakiet strategicznych. Czyż nie obronią nas przed imperialistami w czasie, gdy będziemy wychodzili z kryzysu?

Cóż innego stworzyli? – zadawał sobie pytanie Siergietow. Olbrzymie sumy wpadały w ten przepastny, pozbawiony dna worek. Czyż to za mało by dziesięciokrotnie pokonać Zachód? Dwudziestokrotnie? A tu ciągle mało i mało!

–Poza tym, czy nie przyszło wam nigdy do głowy, że Zachód mógłby nam niczego nie sprzedać? – zapytał partyjny teoretyk.

–A kiedy kapitaliści odmówili nam sprzedaży?

–A kiedy kapitaliści mieli taką okazję? – wtrącił sekretarz generalny. – Po raz pierwszy Zachód może nas zdławić zaledwie w ciągu roku. Co się stanie, jeśli odmówią nam również sprzedaży zboża?

Tego Siergietow nie wziął pod uwagę. W ciągu ostatnich jedenastu lat siedem było nieurodzajnych i Związek Radziecki musiał kupować olbrzymie ilości pszenicy. W bieżącym roku dostawcami mogły być tylko Ameryka i Kanada. Zła pogoda na półkuli południowej spowodowała nieurodzaj również w Argentynie i, na trochę mniejszą skalę, w Australii; Stany Zjednoczone natomiast i Kanada miały, jak zwykle, wspaniałe zbiory. Trwające aktualnie w Waszyngtonie i Ottawie negocjacje szły jak najlepszym torem.

Amerykanie nie czynili żadnych przeszkód, z tym tylko, że przy tak wysokim kursie dolara ziarno było stosunkowo drogie. Lecz załadunek zboża na okręty mógł trwać miesiące.

Siergietow pomyślał, że w krytycznej sytuacji łatwo byłoby pod byle pretekstem opóźnić lub całkowicie wstrzymać załadunek ziarna w Nowym Orleanie i Baltimore.

Rozejrzał się po sali. Dwudziestu dwóch mężczyzn, z których tylko trzynastu miało prawo podejmowania wiążących decyzji – a jeden i tak skazany już był na odejście – w milczeniu rozważało problem ponad dwustu pięćdziesięciu milionów radzieckich robotników i chłopów,

którzy siedzieć będą po ciemku i o głodzie, podczas gdy wojska Armii Czerwonej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz KGB unieruchomione zostaną przez brak paliwa.

Członkowie Politbiura należeli do najbardziej wpływowych ludzi na świecie i dysponowali władzą większą niż elity rządzące na Zachodzie. Nie podlegali nikomu; ani Komitetowi Centralnemu Partii Komunistycznej, ani Radzie Najwyższej, a już na pewno nie obywatelom swego kraju. Ludzie ci od lat nie chodzili moskiewskimi ulicami; przemykali tylko nimi zamknięci w wytwornych, robionych na zamówienie wozach, przemierzając stałe trasy między Kremlem a swymi luksusowymi mieszkaniami w Moskwie lub obowiązkowymi daczami leżącymi poza miastem. Jeśli w ogóle robili zakupy, to dokonywali ich w specjalnie strzeżonych, zarezerwowanych dla elity sklepach. Leczyli się w rządowych klinikach i uważali się za panów swego losu.

I oto po raz pierwszy zaczęło im świtać w głowach, że oni też, jak inni ludzie, podlegają zmiennym kolejom losu, wobec którego bezsilna jest nawet wszechpotężna władza. Żyli w kraju, którego mieszkańcy nędznie się odżywiali i nędznie mieszkali, a jedynym artykułem, którego mieli w nadmiarze, były wymalowane wszędzie symbole i slogany o radzieckim Braterstwie i Postępie. Siergietow dobrze wiedział, że niektórzy ze zgromadzonych przy stole mężczyzn w te hasła wierzyli. Czasami, gdy wspominał młodzieńcze ideały, on sam w nie wierzył. Ale radziecki Postęp nie nakarmi narodu. Jak długo przetrwa Braterstwo, jeśli jest udziałem ludzi głodnych, zmarzniętych i żyjących bez światła? Czy wciąż będą dumni z rakiet rozmieszczonych w syberyjskich lasach? Z tysięcy czołgów i karabinów produkowanych każdego roku? Czy dalej będą czerpać natchnienie z unoszącej się na niebie, nad ich głowami stacji kosmicznej „Salut"? A może po prostu zaczną się zastanawiać, czym się żywi elita? Przed niespełna rokiem, kiedy Siergietow był jeszcze sekretarzem regionalnym w Leningradzie, nie znosił relacji własnych współpracowników o żartach i narzekaniach, jakie słyszało się w kolejkach

po dwa bochenki chleba, tubkę pasty do zębów czy parę butów. Ale nawet wtedy, oderwany już od utrapień codziennego życia w Związku Radzieckim, często się zastanawiał, czy pewnego dnia spoczywający na barkach prostego robotnika ciężar nie stanie się zbyt wielki. Jak mógł się tego wówczas dowiedzieć? Jak ma się tego dowiedzieć teraz? Czy wiedzą o tym ci starcy?

Naród – używali tego rzeczownika rodzaju męskiego, oznaczającego mniej niż nic, zgwałconego we wszystkich swoich znaczeniach – to pozbawione twarzy masy mężczyzn i kobiet, harujących od świtu do nocy w pocie czoła w Moskwie, w każdym innym zakątku wielkiego kraju, w fabrykach i kołchozach; ich myśli ukryte są pod nieruchomymi maskami bez uśmiechu. Członkowie Politbiura twierdzili, że robotnicy i chłopi nie zazdroszczą im luksusu, skoro towarzyszy temu aż taka odpowiedzialność. Ostatecznie warunki życia poprawiły się. Taka była umowa. Ale obecnie mogła zostać w każdej chwili zerwana. Co wtedy?

Mikołaj II tego nie wiedział. Ale ci mężczyźni tak.

Ciszę przerwał minister obrony:

–Musimy zdobyć odpowiednią ilość ropy. To wszystko.

Alternatywą będzie załamanie się gospodarki, głód oraz osłabienie militarne kraju. A to jest nie do przyjęcia.

–Ale nie stać nas na zakup ropy – odparł kandydat na członka.

–Więc musimy ją zdobyć.

Fort Meade, Maryland Bob Toland popatrzył na keks i zmarszczył brwi. Nie należy jadać deserów – napomniał się w duchu analityk wywiadu. Ale kantyna Narodowej Agencji Bezpieczeństwa serwowała ciasto tylko raz w tygodniu, keks należał do jego ulubionych słodyczy, a ponadto plasterek zawierał tylko około dwustu kalorii. No cóż, pięć dodatkowych minut ćwiczeń na rowerze – pocieszył się w duchu Toland.

–Bob, co myślisz o tym artykule w gazecie? – spytał jeden z pracowników.

–O tej historii z polem naftowym? – Toland jeszcze raz popatrzył na przypiętą do klapy przepustkę znajomego.

Z pewnością nie znał się na wywiadzie satelitarnym. – Wygląda na to, że mają tam niezły pożar.

–A jakieś oficjalne wieści?

–Powiedzmy tylko, że gazety otrzymały informacje od wyższych instancji.

–Tajna… prasa? – obaj mężczyźni się roześmiali.

–Coś w tym rodzaju. Sam dowiedziałem się wszystkiego z gazet – odparł prawie szczerze Toland. Ogień już wygasł i ludzie z jego wydziału zastanawiali się, jak Iwan poradził sobie z nim tak szybko. – Nie powinno im to zbytnio zaszkodzić. Ostatecznie na wakacje nie wyjeżdżają tam samochodami miliony ludzi, prawda?

–Prawda. Jak ciasto?

–Niezłe – Toland uśmiechnął się i zastanowił, czy naprawdę będzie musiał poświęcić trochę więcej czasu na rower.

Moskwa, RSFRR Politbiuro zebrało się ponownie następnego dnia o wpół do dziesiątej rano. Za podwójnymi oknami rozciągało się szare niebo przysłonięte kurtyną śnieżycy, która zdążyła pokryć ziemię kolejną, półmetrową warstwą. Po południu zapewne wylegną na wzgórza w Parku Gorkiego amatorzy sanek – pomyślał Siergietow. – Z dwóch zamarzniętych stawów odgarnięty zostanie śnieg i pojawią się łyżwiarze tańczący do wtóru muzyki Czajkowskiego i Prokofiewa.

Upojeni zimnem moskwianie będą się śmiali, pili wódkę, nieświadomi wszystkiego, co zostanie

powiedziane na tej sali; nieświadomi podjętych decyzji, które, być może, będą ich kosztować życie.

Poprzedniego dnia obrady Politbiura zakończyły się o szesnastej. W auli pozostało tylko pięciu ludzi tworzących Radę Obrony. Do tego ciała decyzyjnego nie należało nawet wielu pełnoprawnych członków Politbiura.

Z odległego końca sali spoglądał na nich z portretu

naturalnej wielkości Włodzimierz Iljicz Ulianow Lenin, rewolucyjny święty radzieckiego komunizmu. Sklepione czoło jakby stawiało opór wichurze, zaś kłujące oczy spoglądały w świetlaną przyszłość, którą zapowiadał surowy wyraz twarzy, a marksistowsko-leninowska „nauka" określała jako historyczną konieczność. Świetlana przyszłość.

Jaka przyszłość? – zapytywał samego siebie Siergietow. – Co stało się z naszą Rewolucją? Co stało się z naszą Partią?

Czy towarzyszowi Iljiczowi o to właśnie chodziło?

Siergietow spojrzał na sekretarza generalnego. Tego „młodego" człowieka Zachód ciągle uważał za kogoś, kto posiada władzę absolutną i nawet teraz jest wszystko w stanie zmienić. Jego wyniesienie na tak wysokie stanowisko w Partii zaskoczyło wiele osób; również Siergietowa.

Zachód wciąż spogląda na niego z nadzieją, taką samą jak my niegdyś – pomyślał kandydat na członka. Kiedy Siergietow został przeniesiony do Moskwy, rozwiał się kolejny sen. Człowiek, który przez lata robił dobrą minę do złej gry, zarządzając radzieckim rolnictwem, roztaczał teraz swe pozorne wdzięki na arenie dużo szerszej. Był bardzo pracowity – to musiał przyznać każdy z zebranych przy stole – lecz zadanie, którego się podjął, stanowiło czystą utopię. By dostać się na samą górę, obecny sekretarz musiał złożyć zbyt wiele obietnic, zawrzeć zbyt wiele układów ze starą gwardią. Nawet „młodzi", pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatkowie, których osobiście włączył do Politbiura, mieli własne powiązania ze starym reżimem i tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Zachód nigdy chyba nie pojął istoty rzeczy. Od czasu Chruszczowa nikt nie dzierżył całej władzy. Rządy jednostki zbyt mocno tkwiły w pamięci starszej generacji Partii, a młodsi wystarczająco wiele słyszeli o wielkich czystkach stalinowskich, by wziąć sobie tę lekcję do serca. Armia również zachowała w swej instytucjonalnej pamięci to, co dla jej hierarchii uczynił Chruszczow. W Politbiurze, jak w dżungli, liczyło się jedynie prawo przeżycia. Jedyną gwarancję bezpieczeństwa stanowiły rządy kolektywu. Z tego też względu na czysto tytularne stanowisko sekretarza

generalnego wybierano ludzi nie pod kątem ich zasług i energii, lecz ze względu na posiadane doświadczenie w Partii – organizacji, która wcale nie ceniła wybijających się ponad przeciętność. Podobnie jak Breżniew, Andropow i Czernienko, obecny szef Partii nie

dysponował wystarczającym autorytetem, by narzucić zebranym w tej sali swoją wolę. Aby zająć ten fotel, a potem się na nim utrzymać, musiał iść na kompromisy. Rzeczywista władza nie posiadała określonego kształtu i zasadzała się na relacjach między ludźmi aparatu oraz na ich lojalności, wszystko to zmieniało się w zależności od sytuacji, a i tak zawsze liczyła się tylko korzyść. Rzeczywista potęga leżała w Partii jako takiej.

Rządziła wszystkim, lecz nie była wyrazem woli jednego człowieka. Była sumą interesów pozostałych dwunastu osób.

Obrona miała swoje interesy, KGB swoje, przemysł ciężki, a nawet rolnictwo – swoje. Każdy z tych resortów dysponował strefą wpływów, a szef każdego z nich, by zachować stanowisko, był zmuszony zawierać sojusze z innymi. Teoretycznie sekretarz generalny mógłby próbować to wszystko zmienić, mógłby stopniowo wprowadzać oddanych sobie ludzi na wakujące po zmarłych stanowiska.

Ale czy wkrótce by się nie przekonał, jak zresztą wszyscy jego poprzednicy, iż lojalność przy tym stole szybko umiera śmiercią naturalną? Na razie cały czas dźwigał jeszcze ciężar zawartych kompromisów. Wraz ze swymi ludźmi, niezupełnie jeszcze usadowionymi na świeżo objętych stołkach, sekretarz generalny był jedynie przedstawicielem grupy, która mogła wysadzić go z fotela równie łatwo, jak uczyniła to z Chruszczowem. Co powiedziałby Zachód na to, że „energiczny" przywódca służy jedynie jako prosty wykonawca decyzji innych? Nawet teraz,nie zabierał głosu pierwszy.

–Towarzysze – zaczął minister obrony narodowej. – Związek Radziecki musi mieć ropę. Co najmniej dwieście milionów ton więcej niż jest w stanie wyprodukować. Ropa ta istnieje, zaledwie kilkaset kilometrów od naszej granicy, w rejonie Zatoki Perskiej. Jest tam jej więcej niż będziemy kiedykolwiek potrzebowali. Mamy naturalnie środki, by

zająć te tereny. W ciągu dwóch tygodni możemy zmobilizować wystarczające siły powietrznodesantowe, by uderzyć i przejąć te pola naftowe.

Niestety, nastąpiłaby gwałtowna reakcja Zachodu. Te same pola zaopatrują również Europę Zachodnią, Japonię oraz, w nieco mniejszym stopniu, Amerykę. Kraje NATO nie dysponują wystarczającymi siłami, by bronić tego regionu za pomocą środków konwencjonalnych. Amerykanie posiadają wprawdzie siły szybkiego reagowania i bunkry o wzmocnionej konstrukcji, ale trzymają niewielką liczbę żołnierzy. Nawet ze swoją bazą na Diego Garcii nie sprostaliby naszym spadochroniarzom i jednostkom zmotoryzowanym. W razie wojny, która by z pewnością nastąpiła, w ciągu paru dni zniszczylibyśmy ich elitarne jednostki. Wtedy, nie mając innego wyjścia, użyliby broni atomowej. Tego nie wolno nam lekceważyć. Wiemy z całą pewnością, że w takim przypadku amerykańskie plany wojenne zakładają natychmiastowe użycie broni jądrowej. Sporo jej trzymają na Diego Garcii.

Tak zatem, przed atakiem na Zatokę Perską musimy uczynić jedno: wykluczyć NATO jako siłę polityczną i militarną.

Siergietow wyprostował się w skórzanym fotelu. O co chodzi, co on wygaduje? Na twarzy kandydata nie drgnął jednak ani jeden mięsień.

–Jeśli na początku usuniemy ze sceny NATO, Ameryka znajdzie się w niezwykle interesującej sytuacji – kontynuował minister obrony. – Stany Zjednoczone mogą zaspokajać swoje potrzeby energetyczne ze źródeł na półkuli zachodniej, więc nie muszą wcale bronić krajów arabskich.

Zwłaszcza, że nie cieszą się one popularnością w środowisku amerykańskich syjonistów.

Czy on naprawdę w to wierzy? – zastanawiał się Siergietow. – Czy oni naprawdę sądzą, że Stany Zjednoczone będą stały z założonymi rękami? Co się wydarzyło wczoraj na tym późniejszym zebraniu?

Jeszcze jedna osoba podzielała jego wątpliwości.

–Musimy zatem tylko podbić Europę Zachodnią, tak, towarzyszu? – zapytał jeden z kandydatów. – Czy bez

przerwy nie ostrzegacie nas przed jej bronią konwencjonalną? Czy nie mówicie corocznie o zagrożeniu, jakie stanowi dla nas zmasowana armia NATO? I nagle oświadczacie niedbale, że musimy ją pobić. Wybaczcie, towarzyszu ministrze obrony, ale czy Francja i Anglia nie posiadają własnego arsenału nuklearnego? Dlaczego Amerykanie nie mieliby dotrzymać układu o użyciu broni nuklearnej w obronie Paktu Atlantyckiego?

Siergietowa zaskoczyła odwaga młodszego członka. A jeszcze bardziej zdumiony był tym, że na pytanie odpowiedział minister spraw zagranicznych. Kolejny element łamigłówki.

A co o tym wszystkim myśli KGB? Czemu nie ma tu ich reprezentanta? Szef KGB odbywa wprawdzie rekonwalescencję po operacji, ale powinien przybyć ktoś inny – chyba, że już poprzedniego dnia podjęto jakieś wiążące decyzje.

–Siłą rzeczy nasze cele muszą być ograniczone i takie niewątpliwie są. Zmuszają nas do kilku politycznych posunięć. Po pierwsze: należy uśpić czujność Ameryki na tyle, by nie zdążyła użyć przeciw nam całych swych sił. Po drugie: powinniśmy rozbić sojusz polityczny NATO – minister spraw zagranicznych pozwolił sobie na rzadki u niego uśmiech. – Jak wiecie, KGB pracowało nad tym od paru lat i dysponujemy ostateczną wersją tego planu.

Przedstawię go wam w skrócie, towarzysze.

Kiedy skończył, Siergietow pokiwał tylko głową nad zuchwałością przedsięwzięcia. Ale też w innym świetle ujrzał panujący w tej sali układ sił. A więc za wszystkim stało KGB. Powinien się był tego domyślić. Ale czy pójdzie na to reszta Politbiura?

–Tak właśnie ma to wyglądać – ciągnął minister. – Poszczególne elementy pasują do siebie.

Spełniając wszystkie te wstępne warunki, siejąc zamieszanie, rozgłaszając, że nie zamierzamy wcale zagrozić bezpośrednio dwóm mocarstwom atomowym Paktu Atlantyckiego, odsuwamy istniejące wciąż przecież ryzyko wojny jądrowej, które i tak jest mniejsze od tego, czym grozi nam załamanie się naszej gospodarki.

Siergietow wyciągnął się w fotelu. Tak więc wojna; wojna stanowiła mniejsze ryzyko niż zimny, głodny pokój.

Decyzja zapadła. Zapadła? Może jeszcze jakieś tajemne powiązania poszczególnych członków Politbiura okażą się na tyle mocne, że wpłyną na zmianę decyzji? Czy on sam odważy się sprzeciwić temu szaleństwu? Zapewne na początek należy zadać jakieś rozsądne pytanie.

–Czy mamy wystarczające siły, by pokonać NATO?

Gładkość odpowiedzi zatrwożyła go.

–Naturalnie – odparł minister wojny. – Jak myślicie, po co mamy armię? Już skonsultowaliśmy plan z wyższymi dowódcami.

Kiedy w zeszłym miesiącu towarzysz minister obrony prosił o więcej stali na nowe czołgi, czy tłumaczył, że NATO jest za słabe? – pomyślał ze złością Siergietow. – Cóż to za intryga? Czy cała sprawa została omówiona z doradcami wojskowymi, czy też jest to czysta fanfaronada towarzysza ministra? Może zastraszył czymś sekretarza generalnego? Co na to minister spraw zagranicznych? Czy wyraził jakiś sprzeciw? Czy tak właśnie zapadają decyzje o losach narodów? Co by o tym pomyślał Włodzimierz Iljicz?

–Towarzysze, to czyste szaleństwo! – odezwał się Piotr Bromkowskij. Najstarszy członek Politbiura, wątły osiemdziesięciolatek, w swoich wystąpieniach często nawiązywał do dawnych, romantycznych czasów, kiedy to członkowie Partii Komunistycznej głęboko wierzyli, że stanowią napędową siłę historii. Zakończyły to czystki Jeżowa. – Tak, stanęliśmy w obliczu załamania się naszej gospodarki. Tak, jest to śmiertelne zagrożenie Państwa; ale czy nie sprowadzamy sobie na głowę jeszcze gorszego nieszczęścia? Zakładając, że wojna wybuchnie, kiedy, towarzyszu ministrze obrony, proponujecie zacząć operacje wojskowe przeciw NATO?

–Zostałem zapewniony, iż nasza armia znajdzie się w stanie pełnej gotowości bojowej za cztery miesiące.

–Cztery miesiące. Domyślam się, że na cztery miesiące paliwa nam starczy. Starczy, by zacząć wojnę! – Pietia był stary, ale nie był głupcem.

–Towarzyszu Siergietow – sekretarz generalny wykonał ruch ręką, podkreślając wagę swego stanowiska.

Po której stronie stanąć? Młody członek-kandydat dokonał błyskawicznego wyboru.

–Zapasy paliw lekkich: gazoliny, olei napędowych et cetera mamy obecnie duże – przyznał Siergietow. – Zawsze podczas najzimniejszych miesięcy, kiedy zużycie tych surowców spada, gromadzimy zapasy. Te, dodane do rezerw, którymi dysponuje nasza obrona strategiczna, wystarczą na czterdzieści pięć…

–Sześćdziesiąt! – przerwał mu z naciskiem minister obrony.

–Czterdzieści pięć dni to bardziej prawdopodobne, towarzyszu – podkreślił Siergietow. – Podległy mi departament przeprowadził drobiazgową analizę poziomu zużycia paliwa przez jednostki wojskowe. Był to zresztą jeden z punktów programu mającego na celu powiększenie naszych strategicznych rezerw. Tak na marginesie, w minionych latach problem ten był zupełnie lekceważony! Otóż wprowadzając cięcia w innych dziedzinach konsumpcji i przy pewnych ograniczeniach w przemyśle, możemy rozszerzyć ten margines do sześćdziesięciu, może nawet i do siedemdziesięciu dni. Plus rezerwy dla intensywnych ćwiczeń armii. Na krótką metę koszty nie byłyby wysokie, ale już w połowie lata sytuacja diametralnie się zmieni…

Siergietow urwał, poruszony łatwością, z jaką podjął decyzję. Sprzedałem duszę… A może zachowałem się jak patriota? Czy stałem się taki sam jak ci przy tym stole? A może po prostu powiedziałem prawdę? Ale co to jest prawda?

Jednego był pewien: przetrwał. Na razie.

–Jak mówiłem wczoraj, odbudowa przemysłu naftowego nie przyjdzie nam łatwo. Moi fachowcy szacują, że przy obecnych, zmniejszonych mocach produkcyjnych możemy uzyskać najwyżej dziewięcioprocentowy wzrost produkcji ważnych militarnie paliw. Ostrzegam jednocześnie, iż zdaniem analityków wszelkie istniejące aktualnie wyliczenia zużycia ropy w warunkach bojowych są bardzo optymistyczne.

Ostatecznie, słabo bo słabo, ale zaprotestował.

–Dajcie nam tylko paliwo, Michaile Edwardowiczu –

odparł z chłodnym uśmiechem minister obrony – a zostanie ono użyte właściwie. Moi z kolei analitycy obliczyli, iż założone cele możemy osiągnąć w dwa tygodnie, a nawet szybciej: Ale że zgodzę się z wami co do oceny sił NATO, więc podwójmy tę liczbę – i tak wciąż mamy paliwa więcej, niż potrzeba.

–A jeśli NATO odkryje nasze zamiary? – zapytał stary Pietia.

–Nie odkryje. Maskirowka, nasz podstęp, jest już w trakcie realizacji. NATO nie stanowi zbyt spoistego sojuszu. Nie może stanowić. Ministrowie poszczególnych państw kłócą się o kwoty przeznaczone na obronę ich krajów. Społeczeństwa są miękkie i zantagonizowane.

Niejednolitość uzbrojenia powoduje straszliwy chaos w dostawach i zaopatrzeniu. A najpotężniejszy sojusznik znajduje się za oceanem w odległości pięciu tysięcy kilometrów.

Związek Radziecki od granicy niemieckiej dzieli tylko noc jazdy pociągiem. Pietia, stary przyjacielu, odpowiem na twoje pytanie. Jeśli wszystko weźmie w łeb, a nasze zamiary zostaną ujawnione, cofniemy się, twierdząc, że były to wyłącznie manewry i wrócimy do stosunków pokojowych.

Będzie to i tak lepsze od nierobienia niczego. Po prostu, kiedy będziemy gotowi, uderzymy. Ale zawsze zostawimy sobie drogę odwrotu.

Wszyscy przy stole wiedzieli, że jest to chytre kłamstwo, lecz nikt nie miał odwagi powiedzieć tego na głos. Jakąż zmobilizowaną w pełni armię można cofnąć natychmiast?

Bromkowskij ględził jeszcze przez chwilę i cytował Lenina piętnującego ostro politykę, która mogła narazić na szwank Dom Światowego Socjalizmu. Nie wywołało to jednak żadnego oddźwięku. Zagrożenie Państwa – tak naprawdę Partii i Politbiura – było oczywiste. Jedyne wyjście stanowiła wojna.

Dziesięć minut później odbyło się głosowanie. Siergietow i ośmiu innych kandydatów nie brali w nim udziału.

Stosunek jedenaście do dwóch zadecydował o wojnie.

Tryby zaczęły się kręcić.

DATA-CZAS 02/03 17:15 KOPIA

01 Z 01 DOT.

DONIESIENIE STRONY RADZIECKIEJ

BC-Doniesienie strony radzieckiej, Bjt, 2310. FL.

TASS potwierdza wiadomość o pożarze pola naftowego. FL.

EDS: sobota, godziny popołudniowe

Patrick Flynn. FC.

Moskiewski korespondent AP MOSKWA (AP) – RADZIECKA AGENCJA PRASOWA TASS POTWIERDZIŁA DZISIAJ, IŻ NA ZACHODNICH TERENACH SYBERII MIAŁ MIEJSCE „POWAŻNY POŻAR".

W OFICJALNYM ORGANIE PRASOWYM

PARTII

KOMUNISTYCZNEJ, „PRAWDZIE",

UKAZAŁA SIĘ

NA OSTATNIEJ STRONIE NOTATKA

O POŻARZE,

W KTÓREJ STWIERDZONO, ŻE:

„BOHATERSCY

STRAŻNICY", DZIĘKI SWYM

UMIEJĘTNOŚCIOM

I POCZUCIU OBOWIĄZKU,

URATOWALI NIEZLICZONĄ LICZBĘ

OSÓB I ZAPOBIEGLI WIĘKSZYM

ZNISZCZENIOM W POBLISKIEJ

RAFINERII.

ZGODNIE Z DONIESIENIEM, POŻAR WYWOŁAŁA „USTERKA TECHNICZNA" W AUTOMATYCZNYM SYSTEMIE KONTROLI RAFINERII. OGIEŃ,

KTÓRY BARDZO SZYBKO SIĘ

ROZPRZESTRZENIŁ, ZOSTAŁ

OPANOWANY, „NIE BEZ OFIAR

WŚRÓD DZIELNYCH STRAŻAKÓW I PRACOWNIKÓW ZAKŁADU, KTÓRZY HEROICZNIE DOŁĄCZYLI DO SWYCH TOWARZYSZY".

WBREW TEMU, CO DONIOSŁA PRASA ZACHODNIA, OGIEŃ STŁUMIONO SZYBCIEJ, NIŻ SIĘ SPODZIEWANO. ZACHODNI SPECJALIŚCI SNUJĄ ROZWAŻANIA NA TEMAT NIEBYWALE WYSOKIEJ

KTÓRE POZWOLIŁY ROSJANOM TAK

SZYBKO

OPANOWAĆ OGIEŃ.

AB-BA-2-3 16:01 EST. FL.

****KONIEC DONIESIENIA****

STOSUNEK SIŁ

Moskwa, RSFRR – Nie pytali mnie – wyjaśnił szef Sztabu Generalnego, marszałek Szawirin. – Nie pytali mnie o zdanie. Gdy zadzwonili we czwartek w nocy, decyzje polityczne dawno już zapadły. Zresztą kiedy minister obrony pytał mnie o zdanie?

–I co powiedziałeś? – zapytał marszałek Rożkow, głównodowodzący sił lądowych. W odpowiedzi otrzymał ponury, pełen ironii uśmiech. – Że siły zbrojne Związku Radzieckiego zdolne będą do tego zadania po czterech miesiącach intensywnych przygotowań.

–Cztery miesiące… – Rożkow popatrzył za okno.

Odwrócił się. – Nie będziemy gotowi.

–Działania wojenne zaczną się piętnastego czerwca – odrzekł Szawirin. – Jura, musimy być gotowi. Czy miałem jakiś wybór? Co miałem odpowiedzieć? „Wybaczcie towarzyszu generalny sekretarzu, ale Armia Radziecka nie jest w stanie wykonać tego zadania"? Zaraz by mnie zdjęli i dali na to miejsce kogoś bardziej uległego; wiesz kogo. Odpowiadał by ci bardziej marszałek Bucharin…

–Ten głupiec! – warknął Rożkow. To właśnie błyskotliwy plan generała-porucznika Bucharina zaprowadził armię radziecką do Afganistanu. Zawodowo był zerem, lecz polityczne koneksje nie tylko go uratowały, ale wyniosły na szczyty hierarchii wojskowej… Cwaniak Bucharin. Zanim jeszcze został dowódcą Kijowskiego Okręgu Wojskowego, co zgodnie z tradycją było bramą na drodze wiodącej do rangi marszałkowskiej, nie mając żadnego doświadczenia w prowadzeniu wojny w górach, opracował genialny plan na papierze, a potem skarżył się, że nie jest on dokładnie realizowany.

–Chciałbyś mieć go u siebie, by tłumaczył ci twoje własne plany? – zapytał Szawirin.

Rożkow potrząsnął głową. Obaj byli przyjaciółmi i towarzyszami broni jeszcze z czasów, kiedy w jednym pułku dowodzili czołgami podczas wyzwalania Wiednia w 1945 roku.

–Jak ma się to nazywać? – spytał Rożkow. – „Czerwony Sztorm" – odparł krótko marszałek.

To plan ataku sił zmechanizowanych na Niemcy Zachodnie i kraje Beneluksu nosił kryptonim „Czerwony Sztorm".

Nieustannie modernizowany\ze względu na ciągłe, drobne zmiany w strukturze sił obu stron, zakładał błyskawiczny wzrost napięcia między Wschodem i Zachodem, po czym dwu-, trzytygodniową kampanię wojenną. Zgodnie z zasadami radzieckiej doktryny wojennej warunkiem powodzenia miało być zaskoczenie militarne przeciwnika użyciem wyłącznie środków konwencjonalnych.

–Ostatecznie nic nie mówili o broni atomowej – mruknął Rożkow. Istniały również inne scenariusze, noszące inne kryptonimy. Wiele z nich zakładało użycie taktycznych, a nawet strategicznych pocisków nuklearnych. Ale takiej możliwości żaden z noszących mundur ludzi nie chciał nawet rozpatrywać. Mimo przechwałek politycznych władców zawodowi żołnierze wiedzieli zbyt dobrze, co znaczy użycie broni jądrowej. – A maskirowka?

–W dwóch częściach. Pierwsza, czysto polityczna, odnosi się do Stanów Zjednoczonych. Druga wcielona zostanie w życie tuż przed wybuchem wojny i pochodzi z kręgów KGB. Wiesz, z Grupy Północnej KGB. Przeglądaliśmy ten plan dwa lata temu.

Rożkow chrząknął. Grupa Północna powstała ad hoc w połowie lat siedemdziesiątych z inicjatywy ówczesnego szefa KGB, Jurija Andropowa, a w jej skład wchodzili szefowie poszczególnych wydziałów tej instytucji. Komitet ów miał wypracować sposoby rozbicia jedności NATO i koordynować wszelkie operacje polityczne i psychologiczne, zmierzające do osłabienia Zachodu. Najbardziej chytrym pomysłem Grupy Północnej był drobiazgowy plan osłabienia

militarno-politycznej struktury Paktu Atlantyckiego w obliczu prawdziwej wojny. Czy plan ten zda egzamin? Obaj dowódcy wymienili ironiczne spojrzenia. Jak większość zawodowych wojskowych nie wierzyli szpiegom i ich planom.

–Cztery -miesiące – powtórzył Rożkow. – Mamy dużo do zrobienia. A jeśli czary KGB zawiodą?

–To niezły plan. Przez tydzień będziemy wodzić ich za nos, choć, prawdę mówiąc, lepiej byłoby przez dwa tygodnie. Wszystko naturalnie zależy od tego, jak szybko NATO osiągnie pełną gotowość bojową. Ale jeśli opóźnimy proces ich mobilizacji o siedem dni, zwycięstwo mamy pewne…

–A jeśli nie? – spytał gwałtownie Rożkow. Doskonale wiedział, że nawet ta siedmiodniowa zwłoka nie daje żadnej gwarancji.

–Pewnie, gwarancji nie ma, ale stosunek sił przemawia na naszą korzyść. Wiesz o tym, Jura.

Możliwość odwołania w ostatniej chwili zmobilizowanych sił nie była nigdy dyskutowana z szefem Sztabu Generalnego.

–Przede wszystkim musimy wprowadzić dyscyplinę w naszej armii – odparł głównodowodzący sił lądowych. – Należy poinformować niezwłocznie o tym kadrę wyższych oficerów, po czym rozpocząć bardzo intensywne ćwiczenia taktyczno-operacyjne. Czy z paliwem jest naprawdę tak krucho?

Szawirin wręczył podwładnemu notatki.

–Mogłoby być gorzej. Na intensywne ćwiczenia jednostek wojskowych jest go dosyć. Masz

przed sobą niełatwe zadanie, Jura, lecz cztery miesiące powinny wystarczyć.

Czasu było o wiele za mało, ale po co o tym mówić?

–W cztery miesiące muszę narzucić wojsku pełną dyscyplinę bojową? Czy mam wolną rękę?

–W pewnych granicach.

–Po pierwsze, każdy żołnierz musi ślepo wypełniać rozkazy swego podoficera. Po drugie, należy wymienić kadrę.

Rożkow rozwijał kwestię, ale przełożony i bez tego doskonale rozumiał, o co chodzi.

–W obu przypadkach masz wolną rękę, Jura. Ale dla dobra nas obu postępuj bardzo rozważnie.

Rożkow skinął głową. Wiedział, jak ma to robić.

–Nie takie rzeczy, Andrieju, robiliśmy czterdzieści lat temu – Rożkow usiadł. – Obecnie mamy taki sam surowy materiał, ale lepszą broń. Główną niewiadomą stanowią ludzie. Kiedy prowadziliśmy nasze czołgi na Wiedeń, dysponowaliśmy twardymi} zaprawionymi w boju weteranami…

–Tacy sami byli ci skurwiele z SS, ale pokonaliśmy ich – Szawirin uśmiechnął się na te wspomnienia. – Miej na uwadze, iż obecnie na Zachodzie działają podobne siły. Jak będą walczyć zaskoczone i podzielone? Plan jest dobry. Od nas zależy, czy się powiedzie.

–W poniedziałek spotkam się z oficerami sztabowymi.

Sam im wszystko powiem.

Norfolk, Wirginia – Mam nadzieję, że będzie pan dbał – odezwał się burmistrz.

Kapitan Daniel X. McCafferty obrzucił zamyślonym wzrokiem okręt. Nominację na dowódcę USS „Chicago" otrzymał sześć tygodni wcześniej, lecz zakończenie wszelkich prac opóźnił pożar w stoczni, a ceremonię wodowania zepsuła nieobecność burmistrza Chicago spowodowana trwającym akurat w mieście strajkiem robotników. Załoga po pięciu ciężkich tygodniach ćwiczeń na Atlantyku ładowała zaopatrzenie, które miało wystarczyć na czas pierwszego rejsu. McCafferty, ciągle przejęty nominacją, mógł patrzeć na swój okręt bez przerwy. Oprowadzał obecnie burmistrza po górnym pokładzie, choć niewiele tam było do oglądania.

–Przepraszam, nie zrozumiałem.

–Niech pan dba o ten okręt – powtórzył burmistrz Chicago.

–My nazywamy je łodziami, sir, ale zapewniam, że oddaje ją pan w dobre ręce. Przejdziemy do mesy oficerskiej? 4 – Czerwony sztorm

–Kolejne drabiny – skrzywił się burmistrz, ale McCafferty wiedział, że towarzyszący mu mężczyzna był w przeszłości szefem strażaków. Służył jeszcze parę miesięcy temu, pomyślał kapitan. – Dokąd wypływacie?

–Na morze, sir.

Kapitan ruszył po drabinie w dół. Burmistrz za nim.

–Domyślam się. – Jak na człowieka blisko sześćdziesięcioletniego schodził bardzo sprawnie. – Co dokładnie robicie na takich okrętach? – wypytywał, gdy obaj znaleźli się na dole.

–Oficjalnie nazywa się to badaniami oceanograficznymi, sir – McCafferty odwrócił się, odpowiadając z uśmiechem na niezbyt grzeczne pytanie. Dla „Chicago" wszystko miało się już wkrótce rozpocząć. Dowództwo chciało sprawdzić, na ile skuteczny jest zainstalowany na „Chicago" nowy typ systemów wyciszania. Test w rejonie Wysp Bahama wypadł znakomicie i teraz planowano przeprowadzić podobną próbę na Morzu Barentsa.

–Będziecie liczyć wieloryby dla Greenpeace? – roześmiał się burmistrz.

–No cóż, tam gdzie się wybieramy, żyją wieloryby.

–Co to za gumowe płytki na pokładzie? Nie słyszałem nigdy o gumowych pokładach.

–Noszą nazwę płytek bezechowych, sir. Guma pochłania fale dźwiękowe, sprawiając, iż nasze manewry są cichsze i utrudniają nieprzyjacielowi hydrolokację. Kawy?

–Może by w dniu takim jak dzisiaj…

Kapitan zachichotał.

–Niestety, to wbrew przepisom.

Burmistrz uniósł w górę kubek i stuknął nim o naczynie McCafferty'ego.

–Powodzenia.

–Powodzenia.

Moskwa, RSFRR Spotkanie odbyć się miało przy ulicy Krasnokazarmenajskiej w imponującym, pamiętającym jeszcze carskie czasy

budynku Głównego Klubu Oficerskiego Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Zwyczajowo już, rokrocznie o tej porze spotykali się w Moskwie wyżsi dowódcy sztabowi, a narady

urozmaicane były wystawnymi obiadami. Przy głównym wejściu przybyłych witał osobiście Rożkow, a kiedy się już wszyscy zgromadzili, marszałek zaprowadził ich na dół, do łaźni parowej. Obecni byli dowódcy wszystkich teatrów wojennych. Każdemu towarzyszył zastępca oraz zwierzchnicy sił powietrznych i morskich; imponująca kolekcja gwiazdek, baretek i galonów. Dziesięć minut później nadzy, przepasani wyłącznie ręcznikami, z wiązkami brzozowych rózeg, przekształcili się w grupę zwykłych mężczyzn w średnim wieku nieco lepiej tylko prezentujących się niż przeciętni mieszkańcy Związku Radzieckiego.

Wszyscy się tu znali. Choć rywalizowali ze sobą, stanowili w końcu grupę ludzi tej samej profesji, toteż z charakterystyczną dla rosyjskich łaźni poufałością prowadzili rozmowy.

Niektórzy byli już dziadkami i z ożywieniem rozprawiali o przyszłości potomków stanowiących przedłużenie ich rodów. Niezależnie od osobistych animozji należało przypuszczać, że wyżsi dowódcy zatroszczą się o kariery dzieci swoich towarzyszy; wymieniano więc gorliwie szybkie informacje, czyj syn znajduje się pod czyją komendą i jakiego poparcia potrzebuje. Niebawem rozmowy przekształciły się w tradycyjne, rosyjskie spory, które przerwał dopiero zdecydowanie Rożkow, kierując ostry, cienki strumień zimnej wody na rozpalone cegły w środku łaźni. Syk pary powinien zakłócić pracę aparatów podsłuchowych zainstalowanych w pomieszczeniu, jeśli jeszcze same nie skorodowały w wilgotnym, gorącym powietrzu. Jak dotąd Rożkow nie zdradził oficerom dokładnego celu spotkania. Sądził, że dużo lepiej będzie zaskoczyć ich wiadomością i w ten sposób poznać prawdziwe reakcje podwładnych.

–Towarzysze, muszę coś oznajmić.

Rozmowy ucichły, a mężczyźni popatrzyli pytająco w stronę marszałka.

No, dalej.

–Towarzysze, piętnastego czerwca bieżącego roku, to

znaczy od dziś za cztery miesiące, rozpoczniemy ofensywę przeciw NATO.

Przez chwilę słychać było tylko syk pary; potem rozległ się śmiech trzech mężczyzn, którzy najwidoczniej w drodze z Kremla wypili sobie w sanktuariach służbowych aut po parę kieliszków. Stojący najbliżej zobaczyli, iż twarz głównodowodzącego siłami lądowymi ani drgnęła.

–Mówicie poważnie, towarzyszu marszałku? – spytał główny dowódca Zachodniego Teatru Wojny. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, dodał: – Czy bylibyście tak uprzejmi wyjaśnić nam powody tej operacji?

–Naturalnie. Słyszeliście wszyscy o katastrofie na polach naftowych w Niżnewartowskuv Ale nie znacie jeszcze wszystkich strategicznych i politycznych skutków tego faktu. – Przez sześć minut tłumaczył im decyzję Politbiura.

–Za cztery miesiące przystąpimy do największej operacji wojskowej w historii Związku Radzieckiego: politycznego i militarnego zniszczenia Paktu Północnoatlantyckiego.

Wierzę, iż odniesiemy sukces.

Umilkł i popatrzył w milczeniu natoficerów. Para wywarła spodziewany efekt na zebranych -tu dowódcach. Jej gorące kłęby zatykały dech w piersiach i działały trzeźwiąco na tych, którzy byli pijani. Wszyscy obficie się pocili. Rożkow pomyślał, że w nadchodzących miesiącach nie jeden raz się jeszcze spocą.

–Słyszałem różne plotki, ale nie przypuszczałem, że jest aż tak źle – odezwał się Paweł Aleksiejew, zastępca dowódcy południowo-zachodniego teatru.

–Dysponujemy zasobami paliwa na dwanaście miesięcy normalnego funkcjonowania armii lub na sześćdziesiąt dni działań wojennych i poprzedzających je intensywnych ćwiczeń.

O tym, że w wyniku tej polityki w połowie sierpnia zawali się gospodarka narodowa, nie wspomniał.

Aleksiejew pochylił się energicznie i niczym lew ogonem zaczął ze świstem smagać się rózgami po plecach. Miał pięćdziesiąt lat i choć był jednym z dwóch najmłodszych wiekiem oficerów w tym towarzystwie, wszyscy dowódcy

cenili go za rozum. Ów przystojny mężczyzna o barach drwala próbował przebić wzrokiem obłoki gęstej pary.

–Połowa czerwca?

–Tak – powiedział Rożkow. – Tyle mamy czasu, by zapiąć wszystko na ostatni guzik.

Dowódca sił lądowych rozejrzał się po sali. Sufit pomieszczenia częściowo już tonął w parze.

–I mamy to wszystko teraz dokładnie omówić?

–Zgadza się, Pawle Leonidowiczu – odparł Rożkow.

Nie zaskoczyło go to, że pierwszy odezwał się właśnie Aleksiejew. Od dziesięciu lat głównodowodzący osobiście protegował tego oficera. Był synem generała broni pancernych z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, jednego z wielu uczciwych ludzi przeniesionych pod koniec lat pięćdziesiątych na przymusową emeryturę podczas bezkrwawych czystek Nikity Chruszczowa.

–Towarzysze – powiedział Aleksiejew, schodząc wolno po drewnianych ławach na marmurową posadzkę. – Przyjmuję do wiadomości wszystko, co powiedział nam marszałek Rożkow. Ale… cztery miesiące! Cztery miesiące, to dość czasu, żebyśmy zostali odkryci. Przez cztery

miesiące możemy utracić całą przewagę wynikającą z zaskoczenia.

Co się wtedy stanie? Nie, przygotowaliśmy inny plan na taką okoliczność: „Żukow-4"! Natychmiastowa mobilizacja!

Za sześć godzin każdy z nas jest w stanie objąć swój punkt dowodzenia. Jeśli mamy działać przez zaskoczenie, zastosujmy plan, którego nikt nie zdąży wykryć – zaatakujmy w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

I znów jedynym dźwiękiem wypełniającym pomieszczenie był syk pary; to strumień zimnej wody trafiał w ciemnobrązowe cegły. Po długiej chwili dopiero saunę wypełnił gwar zmieszanych głosów. „Żukow-4" stanowił zimowy wariant planu, który zakładał uprzedzenie hipotetycznego ataku NATO na siły Układu Warszawskiego. W takim przypadku radziecka doktryna militarna była standardowa: najlepszą obroną jest atak, a więc uderzenie na wojska Paktu Atlantyckiego.stacjonującymi we Wschodnich Niemczech doborowymi dywizjami pancernymi.

–Ależ nie jesteśmy gotowi! – sprzeciwił się dowódca zachodniego teatru. Jego „punkt" dowodzenia mieścił się w Berlinie i był najsilniejszą tego typu samotną placówką na świecie, on więc odpowiadał za bezpośredni atak na Niemcy Zachodnie.

Aleksiejew uniósł ręce.

–Oni także nie… W rzeczywistości są jeszcze mniej przygotowani niż my – powiedział rozsądnie. – Weźcie pod uwagę dane naszego wywiadu. Czternaście procent ich kadry oficerskiej przebywa na wakacjach. Mają normalnie swoje cykle treningowe, ale po takich manewrach cały sprzęt idzie do konserwacji, a wyżsi dowódcy przebywają w swoich stolicach na konsultacjach; podobnie jak my w tej chwili. Żołnierze rozmieszczeni są w kwaterach zimowych zgodnie z rozkładem zajęć. Ta pora roku bowiem przeznaczona jest na remonty, porządki i biurokrację. Nie ma żadnych ćwiczeń – komu chciałoby się biegać w śniegu, prawda? Ludzie są poprzeziębiani, piją więcej niż zwykle.

To właśnie nasz czas działania! Jak uczy historia, radziecki żołnierz najlepiej walczy zimą; NATO zaś reprezentuje o tej porze roku najniższy stopień sprawności bojowej.

–My też, pętaku! – odwarknął głównodowodzący Zachodniego Teatru Wojny.

–Możemy to zmienić w czterdzieści osiem godzin – odparował Aleksiejew.

–To niemożliwe – poparł zwierzchnika zastępca dowódcy zachodniego teatru.

–Osiągnięcie pełnej gotowości wymagać będzie kilku miesięcy – przyznał Aleksiejew. Nie wiedział, jak postawić na swoim, jak przekonać starszych rangą. Zdawał sobie sprawę, że mu się to prawdopodobnie nie uda, ale musiał próbować. – To prawie niemożliwe, by przeprowadzić taką akcję w sposób tajny.

–Pawle Leonidowiczu, marszałek Rożkow powiedział, że obiecano nam polityczną i dyplomatyczną maskirowkę – odezwał się generał.

–Nie wątpię, iż towarzysze z KGB i nasze zręczne kierownictwo partyjne są w stanie dokonywać cudów. –

Ostatecznie „pluskwy'* mogły jeszcze funkcjonować.– Ale czy nie za wiele wymagamy, sądząc, że imperialiści, którzy tak się nas boją i tak nas nienawidzą, a dysponują przy tym agentami i satelitami wywiadowczymi, nie zauważą naszych przygotowań? Od lat wiadomo, iż Pakt Atlantycki zawsze wzmaga czujność podczas wiosennych manewrów. Kiedy zauważą, że ćwiczenia Armii Czerwonej są dużo intensywniejsze niż zazwyczaj, a same manewry przedłużamy, staną się jeszcze bardziej czujni. A przecież, by osiągnąć pełną gotowość bojową, musimy działać nietypowo. Wschodnie Niemcy naszpikowane są zachodnimi agentami. NATO natychmiast będzie miało informacje i przystąpi do przeciwuderzenia. Przywitają nas na granicy uzbrojeni po zęby.

Natomiast, jeśli zaatakujemy tym, czym obecnie dysponujemy – teraz! – mamy przewagę. Nasi ludzie nie jeżdżą sobie w tych cholernych Alpach na jakichś głupich nartach! „Żukow-4" zakłada przejście od stanu pokoju do stanu wojny w czterdzieści osiem godzin. Pakt Północnoatlantycki nie zdoła tak szybko zareagować. Czterdzieści osiem godzin zajmie im zgromadzenie i prezentacja ministerstwom informacji zebranych przez wywiad. W tym czasie nasze pociski będą już spadać^ńa Przełęcz Fulda, a ich śladem ruszą nasze czołgi!

–Za duże ryzyko – dowódca zachodniego teatru tak szybko zerwał się na nogi, że prawie zgubił opasujący go ręcznik. W ostatniej Chwili złapał go lewą ręką, a prawą pięść wyciągnął w stronę młodszego mężczyzny i potrząsnął nią. – Co z kontrolą ruchu? A nowe typy broni; kiedy ludzie nauczą się nią posługiwać? Co z gotowością bojową moich pilotów lotnictwa frontalnego? Tak… jest jeden wielki problem nie do pokonania! Nasi piloci wymagają co najmniej miesiąca intensywnego szkolenia. To samo czołgiści, to samo artylerzyści, to samo strzelcy.

Gdybyś znał się na rzeczy, ty żałosny dziwkarzu, obecnie wszystko byłoby w jak najlepszym porządku – pomyślał Aleksiejew, lecz nie śmiał tego powiedzieć. Dowódca Zachodniego Teatru Wojny miał sześćdziesiąt jeden lat, ale lubił popisywać się jurnością; chełpił się nią i stawiał wyżej

od swych zawodowych obowiązków. Aleksiejew słyszał o tym niejedną pikantną historyjkę. Lecz ten człowiek był politycznie sprawdzony. Na tym właśnie polega radziecki system – pomyślał młodszy generał. – Potrzebujemy dobrych żołnierzy, a czym możemy bronić Rodiny? Polityczną pewnością! Z goryczą wspominał to, co przytrafiło się jego ojcu w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym. Lecz Aleksiejew nie pozwalał sobie wątpić w kompetencje Partii do sprawowania zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. W końcu Partia to Państwo, a on jest zaprzysięgłym sługą tego Państwa. Truizmów takich nauczył się, siedząc na kolanach ojca. Pozostała jeszcze jedna karta do rozegrania.

–Towarzyszu generale, posiadacie zdolnych oficerów prowadzących wasze dywizje, pułki i bataliony. Oni naprawdę znają swoje obowiązki. Zaufajcie im.

Aleksiejew pomyślał, że nie powinno to przeszkodzić łopotaniu sztandarów Armii Czerwonej.

Rożkow wstał i wszyscy umilkli, wytężając uwagę.

–W tym, co powiedzieliście, Pawle Leonidowiczu, tkwi wiele racji; czy nie igramy z bezpieczeństwem Ojczyzny? – potrząsnął głową, cytując ten sam od wielu lat slogan. – Otóż nie! Liczymy na zaskoczenie, tak, na pierwszy, potężny cios, który otworzy drogę ataku naszym siłom zmechanizowanym. I wygramy ten atut. Zachód nie zechce uwierzyć w zagrożenie, a Politbiuro będzie go skwapliwie uspokajać, przygotowując jednocześnie atak, który zapewni nam zaskoczenie strategiczne. Zachód naturalnie, po trzech, czterech dniach zorientuje się, że coś się kroi, ale nie będzie przygotowany psychicznie do wojny.

Oficerowie wyszli za Rożkowem z łaźni i udali się pod zimne prysznice, by zmyć pot. Dziesięć minut później odświeżeni, w mundurach, zebrali się w sali bankietowej na pierwszym piętrze. Prowadzili rozmowy ściszonymi głosami, więc kelnerzy, w większości informatorzy KGB, nie byli w stanie niczego podsłuchać. Generałowie zdawali sobie świetnie sprawę, iż więzienie KGB w Lefortowie leżało niecały kilometr od budynku, w którym się znajdowali.

–Jakie plany? – zapytał swego zastępcę dowódca południowo-zachodniego teatru.

–Ile razy bawiliśmy się w tę grę wojenną? – odparł Aleksiejew. – Wszystkie mapy i wzory badaliśmy przez lata. Znamy miejsca koncentracji ich żołnierzy i czołgów.

Znamy szosy, autostrady i skrzyżowania dróg, których użyjemy my, i te, których użyje NATO. Znamy harmonogramy naszej i ich mobilizacji. Nie wiemy jedynie, który z tych tak drobiazgowo opracowanych planów się powiedzie. Powinniśmy uderzyć natychmiast. Wtedy wszelkie niewiadome będą w równym stopniu działać na niekorzyść obu stron.

–A jeśli nasz atak powiedzie się na tyle, że NATO sięgnie po broń nuklearną? – zapytał przełożony.

Aleksiejew przyznał, że jest to sprawa życia i śmierci, której rozstrzygnięcia nie da się przewidzieć.

–Tak czy siak, mogą to zrobić, towarzyszu. Wszystkie nasze plany opierają się na zaskoczeniu, prawda? Zaskoczenie plus nasz sukces zmuszą Zachód do rozważenia możliwości użycia broni jądrowej…

–I tu tkwi błąd w waszym rozumowaniu, mój młody przyjacielu – odparł dowódca. – Użycie broni atomowej jest decyzją polityczną. Decyzja o nieużyciu jej również należy do tej samej kategorii, ale przygotowanie tego wymaga czasu.

–Ale jeśli będziemy zwlekać przez cztery miesiące, jak możemy być pewni strategicznego zaskoczenia? – zapytał Aleksiejew.

–Zapewnia je nasze polityczne kierownictwo.

–Gdy zaczynałem studia na Akademii Frunzego, Partia podała konkretny termin, kiedy „zapanuje powszechnie komunizm". Uroczyście to ślubowała. Data ta minęła sześć lat temu.

–Pasza, ze mną możesz rozmawiać swobodnie. Rozumiem cię. Ale jeśli nie nauczysz się trzymać języka na wodzy…

–Wybaczcie mi, towarzyszu generale. Musimy założyć, że nie dadzą się zaskoczyć. „Z walki, mimo najlepszych

przygotowań, nie da się nigdy wykluczyć pierwiastka ryzyka". – Aleksiejew zacytował dokładnie zdanie z podręcznika z Akademii Frunzego. – „Należy zatem uwzględniać najmniej korzystne aspekty całej operacji i pod ich kątem układać plany. Z tego względu pośród wszystkich, którzy mają zaszczyt służyć Państwu, kluczową rolę odgrywa zwykły oficer sztabowy." – Masz dobrą pamięć. Jak kułak – napełniając zastępcy szklankę gruzińskim winem, roześmiał się dowódca. – Ale zgadzam się z tobą, Pasza.

–Jeśli nie osiągniemy zaskoczenia, oznaczać to będzie długą, morderczą kampanię, jak ta w latach tysiąc dziewięćset czternaście – tysiąc dziewięćset osiemnaście, tyle. że przy użyciu wysokiej technologii.

–I wygramy tę kampanię – głównodowodzący zajął miejsce obok Aleksiejewa.

–Wygramy – zgodził się Aleksiejew.

Wszyscy radzieccy generałowie byli zgodni, że niepowodzenie błyskawicznego ataku doprowadzi do krwawej, przewlekłej wojny, która w równym stopniu wyczerpie obie strony. Z tym, że Rosjanie dysponowali większymi rezerwami ludzi i materiałów, niezbędnymi w takiej batalii, oraz wolą polityczną, by jej użyć. – Pod warunkiem i tylko pod tym warunkiem, że będziemy w stanie przejąć inicjatywę, a nasi przyjaciele z floty odetną transporty uzupełnień z Ameryki. NATO posiada zapasy wojenne pozwalające prowadzić wojnę zaledwie przez pięć tygodni.

Nasza, wspaniała flota musi opanować Atlantyk.

–Masłow – Rożkow skinął na głównego dowódcę radzieckiej marynarki wojennej. – Chcielibyśmy usłyszeć waszą opinię na temat stosunku sił na Północnym Atlantyku.

–W kontekście naszego zadania? – zapytał ostrożnie Masłow.

–Jeśli na lądzie nie uda nam się zdobyć przewagi wynikającej z zaskoczenia, Andrieju

Piotrowiczu, nasi ukochani towarzysze z marynarki będą musieli odciąć Europę od Ameryki – oznajmił Rożkow. Przymrużył oczy i czekał na odpowiedź.

–Dajcie mi dywizję powietrznodesantową, a wypełnię tę misję – odparł trzeźwo Masłow. Trzymał w dłoni szklankę wody mineralnej; tego mroźnego, lutowego wieczoru starannie unikał alkoholu. – Pytanie brzmi: jaką postawę powinniśmy przyjąć na morzu; zaczepną czy obronną. Floty NATO – zwłaszcza jednostki marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych – stanowią bezpośrednie zagrożenie dla naszej Rodiny. Dysponują samolotami oraz lotniskowcami, które mogą zaatakować nasz kraj od strony Półwyspu Kolskiego. Wiemy zresztą, że takie właśnie mają plany.

–Co z tego? – odezwał się dowódca południowo-zachodniego teatru. – Obronimy się naturalnie przed takim atakiem, choć poniesiemy przy tym znaczne straty bez względu na to, jak ofiarnie byśmy walczyli. Ale istotny jest wynik.

–Gdyby jednak amerykański atak na Półwysep Kolski powiódł się, zamknęliby nam dostęp do Północnego Atlantyku. I mylicie się, lekceważąc skutki takiego ataku. Wejście Amerykanów na Morze Barentsa zagrozi bezpośrednio naszym siłom nuklearnym i może mieć dużo poważniejsze konsekwencje niż sobie wyobrażacie – admirał Masłow pochylił się do przodu. – Z drugiej strony, jeśli przekonacie Naczelne Dowództwo, że powinniśmy dostać środki na realizację operacji „Polarna Gloria", przejmiemy całkowitą inicjatywę w walce na Północnym Atlantyku – uniósł dłoń i zacisnął ją w pięść. – Tak postępując, możemy po pierwsze – odgiął jeden z palców – powstrzymać atak amerykańskiej marynarki na Rodinę; po drugie – wyciągnięty kolejny palec – skierować naszą flotę podwodną w basenie Północnego Atlantyku do walki o szlaki handlowe i włączyć ją do działań ofensywnych; po trzecie – następny palec – maksymalnie wykorzystać nasze lotnictwo morskie.

Dzięki tej operacji nasza flota stanie się bronią ofensywną, a nie defensywną.

–I aby te cele osiągnąć, potrzebujecie tylko jednej dywizji piechoty powietrznej? Z łaski swojej, przedstawcie nam w zarysie plan, towarzyszu admirale – odezwał się Aleksiejew.

Masłow uczynił to w pięć minut. Na zakończenie dodał:

–Przy odrobinie szczęścia ten jeden cios okaże się dla NATO miażdżący, co bardzo ułatwi nam wojenną eksploatację tych regionów.

–Lepiej chyba wciągnąć tam ich lotniskowce i zniszczyć – do rozmowy wtrącił się dowódca Zachodniego Teatru Wojny.

–Na Atlantyku Amerykanie mają pięć lub sześć lotniskowców. Każdy z nich posiada pięćdziesiąt osiem samolotów, które posłużą do osiągnięcia przewagi w powietrzu lub, w razie potrzeby, do uderzenia nuklearnego; oprócz nich uwzględnić należy samoloty wchodzące w skład osłony lotniczej. Twierdzę zatem, towarzyszu, iż w naszym interesie leży trzymać te okręty jak najdalej od Rodiny.

–Jestem pod wrażeniem, Andrieju Piotrowiczu – odezwał się zamyślonym głosem Rożkow. W oczach Aleksiejewa również czaił się podziw. Plan „Polarna Gloria" był śmiały i prosty. – Jutro po południu oczekuję pełnego raportu. Twierdzicie, iż jeśli tylko wyasygnujemy środki, sukces jest prawie murowany?

–Pracowaliśmy nad tym planem pięć lat, szczególną wagę przykładając do jego prostoty. Jeśli tylko zachowana zostanie tajemnica, potrzebujemy dwóch rzeczy, by osiągnąć sukces.

–Macie zatem moje poparcie – skinął głową Rożkow.

MASKIROWKA I

Moskwa, RSFRR Minister spraw zagranicznych wszedł na podium po lewej stronie i żwawym jak na sześćdziesięciolatka krokiem zbliżył się do pulpitu. Miał przed sobą tłum dziennikarzy stojących karnie w poszczególnych grupach ustawionych przez gwardzistów: przedstawiciele prasy z notatnikami w rękach, fotoreporterzy i ekipy telewizyjne z przenośnymi jupiterami. Minister spraw zagranicznych nie znosił tych cholernych imprez, nienawidził tłoczących się przed nim ludzi: prasa zachodnia ze swym brakiem dyscypliny zawsze była wścibska, zawsze dociekliwa, zawsze domagająca się wyjaśnień, których swoim rodakom wcale nie musiał udzielać. Ciekawe – pomyślał, unosząc wzrok znad notatek – że z tymi płatnymi zagranicznymi szpiegami muszę często rozmawiać bardziej szczerze niż z towarzyszami z Komitetu Centralnego Partii. Szpiedzy, oto czym naprawdę są…

Zręczny, przebiegły człowiek, dysponujący fachowo spreparowanymi informacjami, mógł naturalnie ich przechytrzyć – i dokładnie to miał za chwilę uczynić radziecki minister spraw zagranicznych. Ogólnie jednak byli niebezpieczni, gdyż nigdy nie poprzestawali na tym, co usłyszeli.

Rosjanin zawsze o tym pamiętał i dlatego nie lekceważył zachodnich reporterów. Konferencje z nimi zawsze mogły okazać się niebezpieczne. Nawet wprowadzeni w błąd szukali dalszych informacji i przez to mogli stać się groźni.

Gdyby tylko reszta Politbiura potrafiła to zrozumieć.

–Panie i panowie – zaczął po angielsku. – Odczytam za chwilę krótkie oświadczenie i przepraszam, że tym razem nie będę odpowiadał na żadne pytania. Pełny komunikat

prasowy zostanie wręczony państwu przy wyjściu – to znaczy, sądzę, że jest już gotów…

Wskazał mężczyznę w głębi sali, który energicznie pokiwał głową. Minister spraw zagranicznych jeszcze raz przejrzał papiery i zaczął mówić ze znaną wszystkim dykcją:

–Prezydent Stanów Zjednoczonych domagał się często w kwestii kontroli broni strategicznych „czynów, a nie słów".

Jak państwo wiecie, ku rozczarowaniu całego świata, prowadzone obecnie w Wiedniu negocjacje od połowy roku nie wykazują istotnych postępów, przy czym winą za taki stan rzeczy, każda ze stron obciąża drugą.

Na całym świecie miłujący pokój ludzie doskonale wiedzą, że Związek Radziecki nigdy do wojny nie dążył i że jedynie szaleniec mógłby rozważać realizację swoich celów przy pomocy broni jądrowej za cenę powszechnego zniszczenia, opadu radioaktywnego i „nuklearnej zimy".

–Skubany – mruknął szef biura prasowego American Press, Patrick Flynn. Rosjanie rzadko używali określenia „nuklearna zima", a już nigdy nie posługiwali się nim w tak oficjalnym wystąpieniu jak to. W mózgu zapaliło mu się ostrzegawcze światełko.

–Najwyższy czas, by w istotny sposób zredukować ilość broni strategicznych. Wysunęliśmy w tej materii szereg poważnych i uczciwych propozycji, ale Stany Zjednoczone na przekór tym apelom rozwijały i rozwijają produkcję broni ofensywnych: pocisków MX – tak cynicznie nazywanych Peacekeeper, unowocześnionych, balistycznych rakiet Trident D-5 wystrzeliwanych z morza, dwóch odmian cruise'ów\ których charakterystyki trzymane są w takiej tajemnicy, że jakakolwiek ich weryfikacja celem kontroli jest niemożliwa. No i naturalnie prowadzą tak zwaną Inicjatywę Obrony Strategicznej, obejmującą ofensywne bronie strategiczne w przestrzeni kosmicznej. Takie to są amerykańskie czyny. – Uniósł wzrok znad notatek i dodał ironicznie: – A jednak to Ameryka w pobożnych apelach żąda od Związku Radzieckiego czynów, a nie słów.

Jutro przekonamy się, raz na zawsze, czy słowa Ameryki

są wiarygodne, czy nie. Jutro przekonamy się, jak* wielka jest różnica między słowami Ameryki o pokoju a czynami radzieckimi w sprawie pokoju.

Jutro Związek Radziecki dostarczy na stół w Wiedniu propozycję redukcji o pięćdziesiąt procent istniejących arsenałów broni nuklearnych, strategicznych i taktycznych.

Redukcja ta winna być dokonana w ciągu trzech lat od daty podpisania układu i uwierzytelni ją trójstronny zespół kontrolny, którego skład ustalony zostanie przez wszystkich sygnatariuszy.

Proszę zauważyć, że powiedziałem: „wszystkich sygnatariuszy". Związek Radziecki zaprasza bowiem do stołu obrad Zjednoczone Królestwo, Republikę Francji i – podniósł wzrok – Chińską Republikę Ludową.

Jaskrawa eksplozja fleszy zmusiła go do odwrócenia na chwilę głowy.

–Panie i panowie, proszę… – z uśmiechem podniósł ręce i zasłonił nimi twarz. – Proszę mieć trochę szacunku dla moich starych oczu. Mogę zapomnieć przemówienia; chyba nie chcecie państwo, bym dalej mówił po rosyjsku!

Rozległ się śmiech, a w chwilę potem rzęsiste oklaski.

Skurczybyk, potrafi być uroczy – pomyślał Flynn, gorączkowo notując. Szykował się bombowy materiał.

Zastanawiał się, co nastąpi dalej. Dziwiła go zwłaszcza precyzyjna kompozycja tej proklamacji. Flynn obsługiwał już niejedną konferencję rozbrojeniową i wiedział, iż ogólne sformułowania propozycji potrafią wypaczyć istotne szczegóły rzeczywistego przedmiotu rokowań. Rosjanie nie mogą być tak otwarci i precyzyjni – po prostu nie mogą.

–Wracając do tematu ciągnął minister spraw zagranicznych, wciąż jeszcze mrugając oczyma. – Zarzucano nam, że nigdy nie wykonaliśmy gestu dobrej woli. Jest to zarzut absurdalny, lecz ciągle jeszcze pokutuje on w świadomości Zachodu. Ale już koniec. Nikt, nigdy, nie będzie miał powodu wątpić w szczerość intencji narodu radzieckiego tak miłującego pokój.

Jako świadectwo dobrej woli mój rząd rzuca Stanom Zjednoczonym i innym zainteresowanym krajom wyzwanie:

Związek Radziecki wycofa ze służby całą klasę atomowych okrętów podwodnych z pociskami nuklearnymi. Ten typ okrętów podwodnych znany jest na Zachodzie pod nazwą Yankee-, my oczywiście nazywamy go inaczej – dodał z tak niewinnym wyrazem twarzy, że wywołał kolejną falę uprzejmych uśmiechów. – Obecnie w służbie znajduje się dwadzieścia jednostek tej klasy. Każda z nich dysponuje dwunastoma pociskami balistycznymi. Wszystkie te okręty podlegają dowództwu Radzieckiej Floty Północnej zgrupowanej na Półwyspie Kolskim. Od dzisiaj co miesiąc będziemy wycofywali jedną jednostkę. Jak państwo wiecie, kompletna dezaktywacja tak skomplikowanego urządzenia, jakim jest rakietowy okręt podwodny, wymaga pracy w stoczni: usunięty być musi przedział z pociskami. Takiego okrętu nie da się rozbroić z dnia na dzień. Aby więc udowodnić nasze dobre intencje, proponujemy Stanom Zjednoczonym jedną z dwóch rzeczy.

Pierwsza: chcemy, by wybrany zespół złożony z sześciu amerykańskich oficerów przeprowadził inspekcję tych dwudziestu naszych jednostek w celu sprawdzenia, że wyrzutnie pocisków do czasu usunięcia wszystkich komór rakietowych z okrętów zaczopowane zostaną betonowym balastem.

W zamian za to poprosimy o zezwolenie na analogiczną inspekcję amerykańskich stoczni przeprowadzoną przez analogiczną liczbę radzieckich oficerów.

Druga, alternatywna: gdyby Stany Zjednoczone nie były skłonne do takiej obustronnej weryfikacji, zezwolimy innej grupie złożonej z sześciu oficerów na przeprowadzenie inspekcji. Z tym, że powinni to być oficerowie z kraju – lub krajów – wyznaczonych w ciągu najbliższego miesiąca przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Mój rząd zaakceptowałby w zasadzie przedstawicieli krajów niezaangażowanych – takich jak Szwecja czy Indie.

Panie i panowie, nadszedł czas, by położyć kres wyścigowi zbrojeń. Nie będę tu powtarzał wszystkich kwiecistych frazesów, których nasłuchały się dosyć ostatnie dwa pokolenia. Wiemy,

jakie zagrożenie dla wszystkich narodów stanowią te upiorne bronie. Niech nikt więcej

nie mówi, że rząd Związku Radzieckiego nie uczynił nic, by odsunąć niebezpieczeństwo wojny. Dziękuję.

Salę wypełniła cisza mącona tylko szmerem pracujących kamer. Przedstawiciele zachodniej prasy poprzydzielani do poszczególnych biur w Moskwie stanowili śmietankę zawodową dziennikarskiego świata. Wszyscy, tak samo bystrzy, tak samo ambitni i cyniczni względem tego, co odkrywali w stolicy radzieckiego państwa, umilkli ze zdumienia.

–Skubany – mruknął po dziesięciu sekundach Flynn.

–Każdy doceni twoją lapidarność, staruszku – zgodził się korespondent Reutera, William Calloway. – Czy to nie wasz Wilson opowiadał przypadkiem o konwencji mówienia bez ogródek?

–Tak, mój dziadek obsługiwał tamtą konferencję pokojową. Pamiętasz, jak to było? – Flynn wykrzywił się i spojrzał na opuszczającego salę ministra spraw zagranicznych, który wciąż uśmiechał się w stronę kamer. – Czy chcesz przejrzeć ten komunikat prasowy? Wracasz ze mną?

–I to, i to.

Na ulicach Moskwy panował siarczysty mróz, przy krawężnikach piętrzyły się pryzmy odgarniętego śniegu, niebo wyglądało jak zamarznięty kryształ, a w samochodzie nie działało ogrzewanie. Prowadził Flynn, zaś jego przyjaciel czytał na głos komunikat. Szkic propozycji traktatu zajmował bitych dziewiętnaście stron opatrzonych licznymi przypisami. Korespondent Reutera, rodowity londyńczyk, który karierę zaczynał od publikowania tekstów na kolumnie informującej o wypadkach i przestępstwach, został z czasem awansowany na korespondenta zagranicznego. Flynna poznał przed laty w słynnym hotelu „Caravelle" w Sajgonie i od tamtego czasu, przez ponad dwadzieścia już lat, pili ze sobą i dzielili maszynę do pisania. Mroźna, rosyjska zima niosła tyle samo nostalgii, co przygniatający upał Sajgonu.

–Bardzo uczciwe postawienie sprawy – powiedział Calloway. Słowa przybierały postać pary. – Proponują rozbrojenie z jednoczesną likwidacją wielu istniejących broni. Zezwalają przy tym obu stronom na przywrócenie wyrzutni starego typu. Każda ze stron ma posiadać do 5 –

pięciu tysięcy głowic. Ma to obowiązywać przez pięć lat po trzyletnim okresie redukcji. Istnieje również odrębna propozycja negocjacji w sprawie zlikwidowania stałych wyrzutni i zastąpienia ich ruchomymi przy jednoczesnym ograniczeniu dopuszczalnej liczby prób w ciągu roku… – odwrócił kartkę i szybko przejrzał resztę tekstu. – Nie ma nic o „gwiezdnych wojnach"… Czy nie wspomniał o nich w swoim przemówieniu? Patrick, synu, to naprawdę jest, jak powiedziałbyś, bomba. Ten tekst równie dobrze mógłby zostać napisany w Waszyngtonie. Miesiące miną, nim dogadają wszelkie szczegóły techniczne, ale to jest cholernie poważna i

cholernie wspaniałomyślna propozycja.

–Nic o „gwiezdnych wojnach"? – Flynn nachmurzył się i skręcił w prawo. Czyżby Rosjanie zostawili sobie furtkę? Czy Waszyngton zakwestionuje… – Mamy tu dobry materiał, Willie. Masz temat. Nie bierze cię „Pokój"?

Calloway tylko się roześmiał.

Fort Meade, Maryland Amerykańskie agencje wywiadowcze, jak wszystkie inne na świecie, bacznie śledziły wszelkie doniesienia prasowe.

Toland studiował więc komunikaty American Press i Reutera, zanim dotarły one na biurka szefów. Porównywał je przedtem z radziecką wersją wydarzeń zawartą w raportach przesyłanych za pomocą urządzeń mikrofalowych do regionalnych wydań „Prawdy" i „Izwiestii". W Związku Radzieckim informacje były tak redagowane, by członkowie Partii nie mieli wątpliwości, jakie jest stanowisko kierownictwa.

–Już raz to było – odezwał się szef jego sekcji. – Ostatnio wszystko utknęło na problemie ruchomych wyrzutni rakietowych. Obie strony bardzo chciały je mieć, ale bały się, że i druga strona będzie je posiadała.

–Ale ogólny ton raportu…

–One zawsze są pełne euforii w doniesieniach na temat ich propozycji rozbrojeniowych! Do diabła, Bob, dobrze o tym wiesz.

–To prawda, sir, ale po raz pierwszy Rosjanie jednostronnie wycofują broń jądrową.

–Przestarzałe yankee.

–I co z tego? Oni nie rezygnują z niczego, przestarzałe czy nie. Ciągle przecież przechowują w magazynach zabytkowe armaty z czasów drugiej wojny światowej na wypadek, gdyby ich potrzebowali. To coś innego, a polityczne implikacje…

–Nie mówimy o polityce, ale o strategii nuklearnej – odwarknął szef sekcji.

Jakby stanowiło to różnicę – pomyślał Toland.

Kijów, Ukraina – No i co, Pasza?

–Towarzyszu generale, czeka nas naprawdę huk roboty – odparł Aleksiejew, stojąc na baczność w kijowskiej Kwaterze Głównej Południowo-Zachodniego Teatru Wojny. – Nasi żołnierze potrzebują zakrojonych na szeroką skalę ćwiczeń. W sobotę i w niedzielę przestudiowałem ponad dziewięćdziesiąt raportów o stanie gotowości bojowej naszych dywizji czołgów i jednostek zmotoryzowanych.

Aleksiejew umilkł. Taktyka i gotowość bojowa były zmorą radzieckiego wojska. Armia bazowała na poborze powszechnym, służba trwała dwa lata i zaledwie połowie żołnierzy udało się dotąd zdobyć podstawową wiedzę wojskową. Nawet kadrę podoficerską, kręgosłup każdego wojska jeszcze od czasów rzymskich legionów, stanowili rekruci poddani specjalnemu szkoleniu. Ale odchodzili, gdy kończył się okres ich służby. Z tego też względu radziecka armia opierała się głównie na wyższych i średnich zawodowych oficerach, którzy często zmuszeni byli robić to, co na Zachodzie robił zwykły sierżant. Kadra zawodowych oficerów armii radzieckiej stanowiła jedyny pewny element wojska. W teorii.

–Cały problem tkwi w tym – ciągnął Aleksiejew – że nie znamy rzeczywistego stanu gotowości bojowej. Nasi pułkownicy używają we wszystkich raportach tego samego

języka. Każdy z nich rozwodzi się o normach: o takiej samej ilości godzin przeznaczonych na ćwiczenia, na szkolenie ideologiczne. Przytaczają taką samą liczbę oddanych strzałów na strzelnicach – tutaj akurat różnice wahają się w granicach trzech procent – oraz podają wymaganą ilość odbytych na poligonach ćwiczeń; wszystkich, oczywiście, takich samych…

–Zgodnych z regulaminem – zauważył generał-pułkownik.

–Oczywiście. Dokładnie; cholera, zbyt dokładnie! Bez poprawek na złą pogodę. Bez poprawek na zwłoki w dostawie paliwa. Bez poprawek na nic! Na przykład, 703.

Pułk Piechoty Zmotoryzowanej cały zeszły październik pomagał przy żniwach na południe od Charkowa, a jednocześnie wykonał miesięczny plan ćwiczeń przypisanych tej jednostce. Już samo fałszowanie prawdy jest rzeczą naganną, ale to jest fałszowanie głupie!

–Nie może być tak źle, jak myślicie, Pawle Leonidowiczu.

–Czy ośmielilibyśmy się zakładać, że jest inaczej, towarzyszu?

Generał spuścił wzrok.

–Nie. Cóż, Pasza. Przygotowałeś plan. Możesz mi go wyłuszczyć?

–Wy^ towarzyszu generale, musicie opracować scenariusz ataku na kraje muzułmańskie. Ja natomiast wyjadę w teren i wezmę do galopu naszych polowych dowódców.

Jeśli mamy osiągnąć cel do czasu operacji na Zachodzie, musimy dać przykład, rozprawiając się z najgorszym elementem. Mam na myśli czterech dowódców. Zasługują na kryminał. Proszę, oto dane personalne winowajców i postawione im zarzuty – wręczył pojedynczą kartkę papieru.

–Widzę tu nazwiska dwóch dobrych ludzi, Pasza – zaoponował generał.

–Stoją na straży Państwa. Zajmują stanowiska, które uzyskali dzięki zaufaniu. Ale zawiedli to zaufanie, fałszując raporty, tym samym narażając Państwo – odparł Aleksiejew.

Ciekawe, ile osób w tym kraju mogłoby to samo powiedzieć o nim i jego dowódcy – zastanowił się.

Odrzucił tę myśl. Miał i tak zbyt wiele innych problemów.

–Czy zdajecie sobie sprawę z konsekwencji oskarżeń, które mi wręczyliście?

–Naturalnie. Karą za zdradę jest śmierć. Czy kiedykolwiek fałszowałem raporty o gotowości bojowej? Albo wy?

–Aleksiejew odwrócił na chwilę wzrok. – To trudna sprawa i decyzja nie przyszła mi łatwo. Lecz jeśli nie doprowadzimy naszych jednostek do porządku, iluż młodych ludzi umrze za błędy swoich.oficerów? Bardziej nam potrzebna gotowość bojowa niż czterej krętacze. Jeśli nawet istnieje jakiś inny, łagodniejszy środek, by osiągnąć cel, ja go nie znam. Armia bez dyscypliny jest po prostu niewiele wartym motłochem. Dostaliśmy wytyczne od Naczelnego Dowództwa, by ukarać niesfornych i przywrócić autorytet kadry podoficerskiej. Skoro żołnierze ponoszą odpowiedzialność za swe wykroczenia, to samo musi dotyczyć ich dowódców. Na nich bowiem spoczywa większa odpowiedzialność. Oni otrzymują wysokie gaże. Kilka surowych wyroków rozpocznie długą drogę do naprawy armii. ^- Inspekcje?

–Najlepsze rozwiązanie – zgodził się Aleksiejew.

W ten sposób odpowiedzialność nie spadnie na wyższych oficerów. – Mogę do tych pułków wysłać pojutrze zespoły z Inspektoratu Generalnego. Nasze wytyczne dla dywizji i pułków nadeszły dziś rano. Wieść o czterech zdrajcach zwiększy motywacje dowódców podległych nam jednostek do rygorystycznego wprowadzania w życie tych wytycznych.

Niemniej dopiero za jakieś dwa tygodnie będziemy mieli pełne rozeznanie, na czym powinniśmy skupić uwagę.

Kiedy już się tego dowiemy, ważny będzie tylko czas.

–A co zrobi dowódca zachodniego teatru?

–To samo – potrząsnął głową Aleksiejew. – Pytał już o nasze oddziały?

–Nie, ale zapyta. To część maskirowki. Możesz być pewien, że w związku z tym wiele naszych jednostek kategorii B zostanie odkomenderowanych do Niemiec;

możliwe nawet, że dołączą do nich niektóre doborowe oddziały naszych czołgów kategorii A. Bez względu na to, jaką by ten dureń dowodził ilością jednostek, zawsze będzie żądał więcej.

–Po prostu dysponujemy wystarczającą liczbą żołnierzy, by w odpowiednim czasie przejąć pola naftowe – zauważył Pasza. – Który plan mamy ewentualnie wykonać?

–Ten stary. Musimy naturalnie go uaktualnić.

Stary plan przewidywał uwikłanie się Związku Radzieckiego w wojnę w Afganistanie, ale obecnie Armia Czerwona miała całkiem inne perspektywy i dlatego zamierzała wysłać swe zmotoryzowane oddziały na tereny zajęte przez uzbrojonych muzułmanów.

Aleksiejew zacisnął pięści.

–Wspaniale. Mamy stworzyć plan, nie wiedząc nawet, jakich rejonów dotyczy oraz jakimi siłami będziemy dysponować.

–Pamiętasz, co sam mi mówiłeś o sztabowym oficerze, Pasza? – zachichotał głównodowodzący południowo-zachodniego teatru.

Młodszy mężczyzna, który wpadł we własne sidła, pokiwał tylko smętnie głową:

–Faktycznie, towarzyszu generale. Wyśpimy się po wojnie.

MARYNARZE I LUDZIE WYWIADU

Zatoka Chesapeake, Maryland Wpatrywał się w horyzont aż do łez. Słońce zaledwie do połowy wychyliło się nad zielonobrązową linię wschodniego wybrzeża Marylandu, przypominając, że poprzedniego dnia pracował długo i bardzo późno poszedł spać. Wstał o wpół do piątej i wypłynął na ryby. Pulsujący ból głowy przypominał zaś o wypitych przed telewizorem sześciu puszkach piwa.

Lecz tego dnia pierwszy raz w tym roku wybrał się na ryby. Wędzisko miło ciążyło w ręku, kiedy ściągał żyłkę, która marszczyła lekko wodę. Czyżby wargacz? Nic jednak nie tknęło przynęty. Nie było powodu do pośpiechu.

–Kawy, Bob?

–Dzięki, tato.

Robert Toland umocował kij w trzymaczu i odchylił się w obrotowym fotelu ustawionym pośrodku jachtu. Jego teść, Edward Keegan, odkręcił kubek z dużego termosu.

Bob wiedział, że kawa będzie wyśmienita. Ned Keegan bowiem, eks-oficer marynarki, wysoko cenił sobie kawę, zwłaszcza doprawioną brandy lub irlandzką whisky – coś, po czym szeroko otwiera się oczy, a w brzuchu czuje się ogień.

–Zimno czy nie, ale niech mnie diabli, jeśli nie jest miło popływać! – Keegan oparł nogę na pudełku z przynętami i siorbnął kawę. Obaj mężczyźni byli zgodni co do jednego: to nie tylko kwestia ryb; ucieczka na wodę stanowiła jedyne skuteczne lekarstwo na cywilizację.

–Ale byłoby również miło, gdyby ten wargacz wrócił.

–Co za rozkosz: żadnych telefonów.

–A twój biper?

–Zostawiłem go w innych spodniach – zachichotał Keegan. – Wywiad wojskowy będzie musiał dziś obejść się beze mnie.

–Skąd wiesz, że im się to uda?

–Skoro marynarka jakoś sobie poradziła…

Keegan ukończył akademię, wstąpił do marynarki, a po trzydziestce przeszedł na emeryturę. W mundurze był pracownikiem wywiadu; obecnie robił zasadniczo to samo, tyle że oprócz emerytury dostawał jeszcze cywilną pensję.

Marthę Keegan Toland spotkał w czasach, kiedy służył jako podporucznik na stacjonującym w Pearl Harbour niszczycielu. Dziewczyna była studentką pierwszego roku na Uniwersytecie Hawajskim, głównie zajmowała się psychologią, a w wolnych chwilach uprawiała windsurfing.

Minęło piętnaście lat od chwili, kiedy zostali szczęśliwym małżeństwem.

–Tak – Keegan podniósł wędkę. – A jak leci w Forcie?

Bob Toland został analitykiem w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Kiedy po sześciu latach zbladła nowość munduru, opuścił czynną służbę w marynarce i przeszedł do rezerwy. Nie rozstał się jednak całkowicie z tym, co robił wcześniej. Był specjalistą od łączności, z wykształcenia elektronikiem i aktualnie zajmował się kontrolą radzieckich sygnałów odbieranych przez satelity Agencji. Dzięki temu doskonale opanował język rosyjski.

–W zeszłym tygodniu odebrałem coś naprawdę interesującego, ale nie potrafię przekonać szefa, że to ważne.

–A kto jest szefem twojej sekcji?

–Kapitan marynarki, Albert Redman – Toland obserwował przepływającą nie opodal łódź rybacką; jej kapitan wyjmował właśnie pojemniki na kraby. – Taki dupek.

Keegan roześmiał się.

–Uważaj, Bob, gdy mówisz takie rzeczy, bo za tydzień zaczynasz czynną służbę. Pracowałem z Bertem, och, już dobrych piętnaście lat temu. Musiałem mu parę razy przyłożyć. Bywa czasami uparty.

–Uparty! – parsknął Toland. – Ten sukinkot ma tak

pieprzony, ciasny umysł, że nawet grubość jego notesu nie przekracza dwóch centymetrów.

Najpierw była ta historia z kontrolą nowych broni, a w zeszłą środę, kiedy przyszedłem do niego z czymś naprawdę niezwykłym, wciągnął to tylko do kartoteki. Do licha, nie jestem pewien, czy w ogóle pofatygował się, by rzucić okiem na nowe dane; umysłowo zatrzymał się chyba z pięć lat temu.

–Nie przypuszczam, byś mógł mi powiedzieć, co odkryłeś.

–Nie powinienem… – Bob zawahał się. Do diabła, dlaczego nie ma o tym powiedzieć dziadkowi własnych dzieci?… – Jeden z naszych ptaszków do analizy pól elektromagnetycznych przelatywał w zeszłym tygodniu nad siedzibą radzieckiego okręgu wojskowego i przechwycił rozmowę prowadzoną przez telefon mikrofalowy. Był to adresowany do Moskwy raport o czterech pułkownikach Karpackiego Okręgu Wojskowego, którzy zostali rozstrzelani za fałszowanie raportów o stanie gotowości bojowej. Owa relacja z przebiegu rozprawy przed sądem wojskowym i wiadomość o egzekucji przeznaczona była do publikacji prawdopodobnie w „Czerwonej Gwieździe".

Sprawa pożaru na polach naftowych zupełnie wywietrzała Tolandowi z głowy.

–Ciekawe – Keegan uniósł brwi. – I co na to Bert?

–Bert powiedział: „To o czasach, kiedy robili u siebie te sakramenckie porządki". Nic więcej.

–A ty jak uważasz?

–Tato, nie jestem z Intencji, z wydziału tych idiotycznych przepowiedni! Ale wiem, że nawet Rosjanie nie mordują ludzi dla zabawy. Kiedy Iwan publicznie kogoś zabija, robi to z jakichś powodów. Nie byli to wysoko postawieni oficerowie biorący łapówki za lipne odroczenia.

Nie zastrzelono ich za defraudacje benzyny czy budowanie daczy z kradzionych materiałów. Sprawdziłem kartoteki; dwóch z nich jest w naszych wykazach. Obaj to doświadczeni oficerowie liniowi z praktyką bojową wyniesioną z Afganistanu i z długoletnim stażem partyjnym. Jeden z nich ukończył Akademię Frunzego i popełnił nawet kilka

artykułów do „Myśli Wojskowej". Całą czwórkę sąd wojskowy skazał za fałszowanie rzeczywistego stanu gotowości bojowej ich pułków i w trzy dni później zostali rozstrzelani. Historia ta pojawi się na łamach „Krasnoj Zwiezdy", w dwóch albo trzech kolejnych artykułach autorstwa „Obserwatora" – a to już robi sprawę polityczną przez duże P. „Obserwator" to pseudonim wysokich oficerów piszących do „Czerwonej Gwiazdy", dziennika armii radzieckiej.

Cokolwiek by opublikowano pod tym pseudonimem, czy to na pierwszej stronie, czy na ostatniej, było to traktowane bardzo poważnie przez środowiska wojskowe oraz przez tych, których praca polegała na inwigilacji; „Obserwator" bowiem wyrażał opinie zarówno najwyższych władz wojskowych, jak i samego Politbiura.

–Wieloodcinkowa relacja? – zapytał Keegan.

–Tak, to właśnie jeden z bardziej interesujących aspektów sprawy. Taka cykliczność sugeruje przecież, że naprawdę im zależy na roztrąbieniu tej historii. Tato, nic tu nie mieści się w szablonie; dzieje się coś dziwnego. Zgoda, zabijają oficerów, zabijają nawet ludzi z elity. Ale nie pułkowników, którzy pisywali do magazynu sztabu generalnego i nie z powodu sfałszowania paru linijek raportu o stanie gotowości bojowej jednostki.

Odetchnął głęboko, rad, że zwalił wreszcie ciężar z piersi.

Statek rybacki przesunął się na południe i od jego strony płynęły w ich kierunku równe kręgi wody, burząc lustrzaną taflę zatoki. Toland żałował, że nie wziął kamery.

–Brzmi to sensownie – mruknął Keegan.

–Co proszę?

–Mówię, że toma sens. Chyba rzeczywiście wykracza poza szablon.

–Ba, wczoraj pracowałem do późnej nocy, idąc tropem własnych podejrzeń. W ciągu ostatnich pięciu lat Armia Czerwona podała do publicznej wiadomości nazwiska czternastu rozstrzelanych oficerów; żaden z nich nie był wyższy rangą od pułkownika; pośród nich znalazł się tylko jeden wysoko postawiony, z pochodzenia Gruzin. Brał

łapówki za odroczenia służby wojskowej. Drugiego faceta stracono za szpiegostwo, trzech za zaniedbywanie obowiązków i pijaństwo; dziewięciu za zwykłą korupcję i sprzedaż naliewo wszystkiego, co się dało, od benzyny poczynając, na komputerach kończąc. I oto teraz nieoczekiwanie zabijają czterech dowódców pułków, wszystkich z tego samego okręgu wojskowego.

–Powinieneś jednak z tym pójść do Redmana – poradził Keegan.

–Strata czasu.

–A te dawniejsze przypadki… chyba sobie przypominam, że trzech typków…

–Och, to było w ramach walki z alkoholizmem. Zbyt wielu tam piło na służbie, wzięli więc trzech pierwszych, pour encourager les autres – Bob potrząsnął głową. – Jezu, Wolter polubiłby tych chłopców.

Znasz kogoś z wywiadu cywilnego?

–Nie, moja działka to telekomunikacja wojskowa.

–Chyba w zeszły poniedziałek jadłem lunch z pewnym facetem z Langley; były ^wojskowy, razem służyliśmy. Tak czy siak, nieważne; śmiał się z nowych braków na rynku, jakie u nich wystąpiły.

–Kolejne? – Bob był wyraźnie rozbawiony. Ograniczenia to w/Rosji nic nowego. Raz brakuje pasty do zębów, raz papieru toaletowego lub wycieraczek samochodowych; wiele mówiło się o tym w kantynie w Agencji.

–Tak, tym razem to akumulatory do samochodów.

–Naprawdę?

–Ha, od miesiąca już nie można tam kupić akumulatora do ciężarówki czy auta osobowego. Wiele samochodów po prostu stoi, ludzie kradną, gdzie popadnie. Czy uwierzysz, że na noc właściciele pojazdów wyciągają z nich akumulatory i zabierają je ze sobą do domów?

–Ależ Togliatti… – powiedział Toland i urwał. Miał na myśli potężną fabrykę samochodów w europejskiej części Związku Radzieckiego, do budowy której pod hasłem „Bohater" zmobilizowano tysiące robotników. Był to jeden z najnowocześniejszych na świecie zakładów produkujących

samochody, głównie w oparciu o włoską technologię. – Przecież mają tam potężną fabrykę akumulatorów. Czyżby wyleciała w powietrze?

–Ach, skądże. Pracuje na trzy zmiany. I co o tym powiesz?

Norfolk, Wirginia Toland przejrzał się w ogromnym lustrze mieszczącym się w budynku kwater oficerskich w Norfolk. Przybył tutaj poprzedniego wieczora. Mundur ciągle jeszcze jako tako pasował; był może trochę zbyt ciasny w pasie, ale to już wynikało z charakteru pracy Tolanda. Kolekcja jego baretek nie prezentowała się zbyt imponująco, lecz z dumą nosił emblemat nawodnych sił morskich – „wodne skrzydełka".

Na rękawach złociło mu się dwie i pół pętli komandora-porucznika; nigdy nie był zbyt wziętym radiooperatorem.

Przetarł jeszcze raz szmatką buty i wyszedł na zewnątrz, gotów do rozpoczęcia swej dorocznej, dwutygodniowej służby we flocie w ten jasny, pogodny, poniedziałkowy ranek.

Pięć minut później jechał już Mitcher Avenue w kierunku Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa Floty Atlantyckiej. Jej siedziba mieściła się w płaskim, nie\rzucającym się w oczy budynku, pełniącym niegdyś funkcję szpitala. Kiedy Toland, ranny ptaszek, dotarł na ulicę Ingersoll, zastał parking do połowy pusty, ale bał się zajmować pierwsze lepsze, nie oznakowane miejsce, by nie narazić się na gniew któregoś z wyższych oficerów.

–Bob? Bob Toland? – usłyszał czyjś głosy – Ed Morris?

Toland natychmiast spostrzegł, że zaczepił go komandor marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, Edward Morris, a lśniąca, złota gwiazda na mundurze mówiła, że dowodzi jakimś okrętem. Zanim potrząsnął ręką przyjaciela, Toland zasalutował.

–Grywasz jeszcze w brydża, Bob?

W swoim czasie Toland, Morris i dwóch innych oficerów

stworzyli w klubie w Pearl Harbour stałą czwórkę brydżową.

–Trochę. Martha nie przepada za kartami, ale mamy zespół i spotykamy się co tydzień.

–I cały czas trzymasz formę? – spytał Morris, kiedy zaczęli iść. – Żartujesz chyba. Czy wiesz, gdzie obecnie pracuję?

–Słyszałem, że wylądowałeś w Fort Meade.

–Tak, gracze w brydża z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa podłączają się do tych cholernych komputerów; to zabójcy!

–Jak rodzina? – Morris zmienił temat.

–Wspaniale. A twoja?

–Dzieci zbyt szybko rosną; człowiek czuje się stary.

–To prawda – zachichotał Toland. Dotknął palcem gwiazdy na mundurze przyjaciela. – Powiedz coś o swoim najnowszym dziecku.

–Spójrz na mój samochód.

Toland odwrócił się. Ford Morrisa miał numer FF-109% Dla nie wtajemniczonych była to zwykła tablica rejestracyjna, ale marynarzowi mówiła, iż jej właściciel jest dowódcą fregaty przeznaczonej do zwalczania okrętów podwodnych; miała numer tysiąc dziewięćdziesiąt cztery i nazywała się USS „Pharris".

–Zawsze byłeś miły i skromny – kiwnął głową Toland i uśmiechnął się. – Jak długo nim dowodzisz?

–Dwa lata. Jest duży, piękny, a przede wszystkim mój! Powinieneś był tu zostać, Bob. Dzień, kiedy objąłem komendę… do cholery, było to takie samo święto jak /narodziny Jimmy'ego.

–Ed, różnica polega na tym, że od początku wiedziałem, że ty dostaniesz w końcu okręt, a ja nigdy.

W personalnej teczce Tolanda znalazła się wzmianka, że niszczyciel, na którego pomoście akurat pełnił służbę, ugrzązł na mieliźnie. Było to wynikiem przypadku. Błąd spowodowany został niejasnością na mapie i niekorzystnymi pływami i sam w sobie nie mógł zniszczyć kariery w marynarce.

–Odbębniasz swoje dwa tygodnie?

–Zgadza się.

–Celia wyjechała do rodziców, więc jestem słomianym wdowcem. Gdzie zamierzasz zjeść obiad?

–U McDonalda – roześmiał się Toland.

–Idź do diabła. Jest tutaj również Danny McCafferty.

Dostał mu się „Chicago"; stoi na przystani 22. Jeśli skombinujemy czwórkę, możemy trochę pograć; jak za starych, dobrych czasów – Morris puknął przyjaciela palcem w pierś. – Ja idę prosto. Czekaj na mnie w hallu klubu o siedemnastej trzydzieści. Danny zaprosił mnie na obiad na wpół do siódmej. Będziemy mieli godzinę na poprawienie humorów. Potem pojedziemy do niego. Obiad zjemy w mesie oficerskiej, no i… karty, jak za dawnych lat.

–Tak jest, komandorze,

–Tak czy owak, służyłem wówczas na „Willym Rogersie" – opowiadał McCafferty. – Pięćdziesięciodniowy rejs patrolowy. Akurat miałem wachtę, kapujecie? Sonar zaczął wskazywać jakiś idiotyczny sygnał na pozycji zero-pięć-dwa.

Znajdowaliśmy się na głębokości peryskopowej, nastawiłem więc okular na zero-pięć-dwa i ujrzałem żaglową łódź „Gulfstream-36" poruszającą się z szybkością czterechpięciu węzłów na samosterowaniu. Do cholery, był to tak nudny dzień, że ustawiłem peryskop na maksymalne zbliżenie i zgadniecie? Kapitan i jego towarzysz – baba, ale taka, która by nigdy nie zatonęła! – leżeli jedno na drugim na dachu kabiny. Łódź znajdowała się w odległości jakichś tysiąca metrów; jak na wyciągnięcie ręki. Dołączyliśmy więc do peryskopu kamerę i puściliśmy taśmę. Naturalnie wykonaliśmy pewien manewr, by znaleźć się w jak najkorzystniejszej pozycji obserwacyjnej. Minęło piętnaście minut. Potem przez cały tydzień załoga puszczała ten film na okrągło. To bardzo wzmacnia morale, kiedy wiadomo, o co się walczy.

Trójka oficerów wy buchnęła śmiechem.

–Bob, zawsze ci mówiłem – mruknął Morris – że podwodni kierowcy to towarzystwo spod ciemnej gwiazdy.

Nie powiem już, że zboczeńcy.

–Jak długo dowodzisz „Chicago", Danny? – spytał Toland, pijąc drugą poobiednią kawę. Mieli dla siebie całą mesę. Jedyni oficerowie, którzy zostali na pokładzie, albo spali, albo pełnili wachtę.

–Pełne trzy bardzo pracowite miesiące, nie licząc pobytu w doku – odparł McCafferty,

kończąc mleko. Był dowódcą nowego modelu szturmowego okrętu podwodnego. Toland zauważył, że Dan nie dołączył do nich, kiedy szli „poprawiać humory" w podziemiach kasyna oficerskiego, gdzie wypili po trzy potężne drinki. Nie było to w stylu dawnego McCafferty'ego. Prawdopodobnie nie chciał opuszczać pokładu, żeby wymarzona kariera nie zakończyła się pod jego nieobecność.

–Nie widzisz jego bladej, niezdrowej cery, charakterystycznej dla mieszkańców nor i załóg okrętów podwodnych? – zażartował Morris. – Nie wspomnę już o lekkim świeceniu spowodowanym wyciekami ze stosu atomowego.

McCafferty wyszczerzył zęby. Czekali na pojawienie się czwartego do brydża: młodszego inżyniera, który niebawem miał skończyć wachtę przy reaktorze. Wprawdzie generator „Chicago" był wyłączony i energię elektryczną okręt czerpał z doku, ale przepisy wymagały, by – bez względu na to, czy imbryk kipiał, czy nie – trzymano przy nim wartę.

–Przyznam się wam, chłopcy, że cztery tygodnie temu naprawdę trochę zbladłem – McCafferty starał się zachować powagę.

–Jak to? – zapytał Toland.

–No cóż, wiecie, do jakich gównianych interesów służą takie okręty?

–Jeśli masz na myśli wywiad przy nieprzyjacielskim brzegu, Dan, to musisz wiedzieć, że cały ten materiał trafia na moje biurko. Do licha, znam zapewne ludzi, którzy wysyłają zapotrzebowania na te informacje. Paskudne, co? – roześmiał się Bob.

Nie chciał zbyt nachalnie rozglądać się po pomieszczeniu.

Nigdy nie był na pokładzie podwodnego okrętu atomowego. Panował tam chłód, gdyż urządzenia klimatyzacyjne napędzał reaktor. Dominował zapach smaru.

Toland zauważył też, że wszystko lśniło; trochę dlatego, że okręt był nowy, ale głównie z tego względu, iż kapitan McCafferty zaordynował ekstraszorowanie z okazji przybycia przyjaciół. W końcu pojazd ten wart był miliard dolarów i służył do prowadzenia zwiadu elektronicznego…

–No cóż, byliśmy na Morzu Barentsa, wiecie, na północny wschód od Zatoki Kolskiej, tropiąc radziecką jednostkę podwodną klasy Oscar. Posuwaliśmy się za nią w odległości, czy ja wiem, jakichś dziesięciu mil, kiedy nagle znaleźliśmy się w samym środku pieprzonych manewrów, gdzie Rosjanie używali ostrej amunicji. Wokół latały pociski. Poświęcili trzy stare okręty i z pół tuzina barek, które służyły za cele.

–Był tylko oskar? – zapytał Morris.

–Okazało się, że jeszcze dwa inne: papa i mikę. Cały problem polegał na tym, że te^dzieciny zachowywały się bardzo cicho, a ponieważ nie mogliśmy trafić w niezłe gówno. Sonar zaczął

wyć: „przechodzi! przechodzi!" i wszystkie nasze wyrzutnie automatycznie zalały się wodą. W żaden sposób nie mogliśmy być pewni, że nie zostaniemy trafieni. Więc włączyliśmy wykrywacz i wyłowiliśmy sygnały ich radarów peryskopowych. Kiedy pojawiły się nad nami jakieś cienie… chłopcy, do cholery, kolejne trzy minuty były bardzo paskudne, uwierzcie mi – McCafferty potrząsnął głową. – Tak czy owak, w dwie godziny później wszystkie trzy radzieckie okręty nabrały prędkości i odpłynęły do swego gniazdka.

No i czemu miała służyć ta radosna parada z ostrą bronią?

–Odniosłeś wrażenie, że Rosjanie robią coś niezwykłego? – zapytał Toland, nagle zainteresowany.

–To nie słyszałeś?

–Czego?

–Wycofali z północy okręty patrolowe o napędzie klasycznym. Chodzi o to, że są bardzo ciche, ale przez ostatnie dwa miesiące prawie ich tam nie było; usłyszałem jeden, tylko jeden. A podczas mego poprzedniego pobytu na północy spotkałem ich sporo. Istnieją zdjęcia satelitarne,

na których widać wiele tych okrętów stojących obok siebie.

Bardzo osłabła ich zasadnicza działalność patrolowa i poddawane są jakimś pracom remontowym. Sądzi się, że zmieniły cykl ćwiczeń, gdyż zazwyczaj o tej porze roku nie prowadziły manewrów z bronią ostrą – McCafferty roześmiał się. – Oczywiście, może być i tak, że w końcu obrzydło im oskrobywanie i malowanie tych starych balii, więc postanowili je zużyć; ostatecznie to najlepsze, co można z nimi zrobić.

–Trele-morele – parsknął Morris.

–Więc podaj mi powód, dla którego wycofują od razu taką masę okrętów podwodnych o klasycznym napędzie – odezwał się Toland. Żałował w tej chwili, że wypił drugą i trzecią kolejkę w porze, gdy serwowano w knajpie drinki za darmo. Świtała mu bowiem w głowie jakaś myśl, ale alkohol skutecznie mącił umysł.

–Do licha – odrzekł McCafferty – nie ma żadnego powodu.

–Więc co oni robią z tymi okrętami?

–Nie widziałem tych zdjęć satelitarnych, Bob. Słyszałem tylko o nich. W suchych dokach nie zaobserwowano specjalnej aktywności, zatem sprawa ta nie ma chyba większego znaczenia.

I naraz Tolanda olśniło.

–Czy trudno wymienić baterie w okręcie podwodnym?

–To paskudna i ciężka praca, ale nie wymaga specjalnej aparatury i urządzeń. Nam taka wymiana zajmuje około trzech, czterech tygodni. Akumulatory Iwana mają większą pojemność od naszych, ale szybciej się rozładowują, więc muszą być stosunkowo łatwo wymienialne; specjalne, utwardzane luki w kadłubie i te rzeczy. Poza tym prawdopodobnie robią to ręcznie. A dlaczego pytasz, Bob?

Toland opowiedział o czterech rozstrzelanych pułkownikach.

–Potem usłyszałem historię o tym, że w Rosji nie ma akumulatorów ani do samochodów osobowych, ani do ciężarówek. Że do osobowych, mogę zrozumieć, ale ciężarówki… przecież tam wszystkie są państwowe i w razie 6 – czerwony sztorm

czego podlegają mobilizacji. Mają takie same akumulatory, prawda?

–Tak, stosują baterie ołowiano-kwasowe. Czyżby fabryka się spaliła? – odezwał się komandor Morris. – Wiem, że Iwan woli Jedną Bardzo Dużą niż kilka małych.

–Ona pracuje na trzy zmiany.

McCafferty odsunął się od stołu.

–Więc gdzie się podziały te akumulatory? – spytał retorycznie Morris.

–Okręty podwodne – oświadczył McCafferty. – Czołgi, transportery opancerzone, samochody dowództwa, wózki akumulatorowe do samolotów i masa innego sprzętu pomalowanego na zielono. Bob, do cholery, z tego, co mówisz, wynika, że Iwan nagle postanowił podnieść gotowość bojową wojska wzdłuż granic. Pytanie: czy wiesz, co to znaczy? ^-^ – Możesz/być tego absolutnie pewien, Danny. Wiadomość o czterech pułkownikach trafiła na moje biurko.

Widziałem ten raport na własne oczy. Informacja pochodziła z jednego z naszych satelitów Vywiadowczych. Rosjanie nie zdają sobie sprawy, jak czujne są te nasze wędrujące po niebie ptaszki i ciągle stosują komunikację mikrofalową.

Ich rozmowy i przekazy teleksowe mamy cały czas na podsłuchu; tylko o tym, chłopcy, sza. – Obaj skinęli głowami. – Aferę z akumulatorami odkryłem przez przypadek, ale potwierdził ją pewien mój znajomy w Pentagonie.

Teraz opowiedziałeś mi historię o ćwiczeniach z ostrą bronią, Dan. Wypełniłeś po prostu lukę. Tak więc, gdy potwierdzi się przypuszczenie, że wycofują te okręty, aby wymienić akumulatory, zarysuje się całkiem wyraźny obraz sytuacji. Jak ważne są nowe baterie dla jednostek podwodnych o napędzie klasycznym?

–Bardzo ważne – odparł dowódca okrętu podwodnego. – Wiele zależy od przeglądów i konserwacji, ale nowe baterie podwajają moc takich jednostek, co jest niebywale istotnym czynnikiem taktycznym.

–Jezu, wiesz, co to znaczy? – wtrącił Morris. – Iwan będzie gotów w każdej chwili wyjść w morze, a wszystko

wskazuje na to, że rzeczywiście chce być gotów. Gazety twierdzą, że zachowuje się jak aniołek z tą całą kontrolą zbrojeń. Coś tu nie pasuje, panowie.

–Muszę powiadomić o tym kogoś w wyższym dowództwie. Gdybym położył to na biurku mego szefa w Fort Meade, raport nie ujrzałby nigdy światła dziennego – powiedział Toland, mając na myśli Redmana.

–Mogę to załatwić – odparł po chwili milczenia McCafferty. – Jutro rano jestem umówiony w dowództwie okrętów podwodnych na Atlantyku. Sądzę, że powinieneś pójść ze mną, Bob.

Czwarty do brydża przybył dziesięć minut później. Gra go rozczarowała. Myślał, że dowódca jest lepszym brydżystą.

Toland przez dwadzieścia minut referował swoje odkrycia wiceadmirałowi Richardowi Pipesowi,dowódcy naczelnemu sił podwodnych Floty Atlantyckiej Stanów Zjednoczonych.

Pipes był wśród podwodniaków pierwszym Murzynem, który doszedł do trzech gwiazdek. Od początku z oddaniem pełnił swoje obowiązki i szybko wspinał się po drabinie tradycyjnie zarezerwowanej dla białych. Miał opinię surowego, wymagającego szefa. Admirał słuchał w milczeniu i pił kawę z trój gwiazdkowego kubka. Początkowo zirytował go raport złożony przez McCafferty'ego i z grymasem słuchał wywodów rezerwisty. Po trzech minutach jednak sprawy wzięły inny obrót. Linie wokół ust admirała zaostrzyły się.

–Synu, przychodząc z tym do mnie, pogwałciłeś kilka przepisów bezpieczeństwa.

–Wiem o tym, sir – powiedział Toland.

–Trzeba do tego mieć jaja i miło mi widzieć młodego oficera wyróżniającego się spośród tych, których obchodzi wyłącznie własna dupa. – Pipes wstał. – Synu, historia, którą tu opowiedziałeś, nie podoba mi się, bardzo mi się nie podoba. Wynika z niej, że Iwan odgrywa rolę świętego Mikołaja, mydląc oczy dyplomatycznym gnojem, podkręca jednocześnie własne siły podwodne. Może to zbieg okoliczności, a może nie. Pójdziemy do dowództwa floty i porozmawiamy z szefem tamtejszego wywiadu.

Toland skrzywił się. Po co ma się w to pakować?

–Sir, odbywam doroczne szkolenie i…

–Chyba wyciągnął pan to szpiegowskie łajno w samą porę, komandorze. Jest pan święcie przekonany o tym, co pan mówi?

Toland zesztywniał.

–Tak jest, sir.

–Dam zatem panu okazję to udowodnić. Co, strach nadstawiać karku, prezentując jedynie opinie krewnych i przyjaciół? – dodał ostro admirał.

Toland słyszał, że Pipes to twardziel. Bez słowa wstał z krzesła.

–Chodźmy, admirale.

Pipes podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił trzycyfrowy numer, łącząc się bezpośrednio z dowództwem.

–Bili? Tu Dick. Mam w biurze chłopaka, którego, jak sądzę, powinieneś wysłuchać. Pamiętasz, o czym mówiliśmy w ubiegły czwartek? Chyba mamy potwierdzenie… -krótka pauza. – Tak, dokładnie to, co mówię… Tak jest, sir, już jedziemy – Pipes odłożył słuchawkę. – McCafferty, dziękuję panu, że sprowadził pan do mnie swego przyjaciela.

Pański raport przejrzymy po południu. Proszę się tu stawić o piętnastej trzydzieści. A pan, Toland, proszę za mną.

Godzinę później komandor-porucznik Robert M. Toland, rezerwista marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, dowiedział się, że na mocy polecenia sekretarza obrony przeniesiony zostaje do służby czynnej. Na razie był to tylko rozkaz dowódcy naczelnego Floty Atlantyckiej, ale wszelkie formalności miały zostać dopełnione w ciągu tygodnia.

Na lunch, który odbył się tego dnia w reprezentacyjnej sali budynku numer jeden, głównodowodzący Floty Atlantyckiej wezwał wszystkich podległych mu dowódców – trój gwiazdkowych admirałów odpowiedzialnych za siły powietrzne, flotę, okręty podwodne i jednostki zaopatrzenia.

Kiedy pojawili się stewardzi, by zmienić nakrycia, prowadzona przyciszonymi głosami rozmowa ustała. Pięćdziesięcioletni, doświadczeni mężczyźni, którzy realizowali politykę

rządu, byli już przygotowani na najgorsze, choć cały czas liczyli, że to nie nastąpi. Ciągle jeszcze mieli nadzieję, ale kiedy kończyli drugą filiżankę kawy, postanowili rozpocząć intensywne ćwiczenia floty i przeprowadzić przy okazji szereg niespodziewanych inspekcji. Następnego dnia dowódca Floty Atlantyckiej spotkał się z szefem operacji morskich, a jego zastępca, szef wywiadu, wsiadł w zwykły samolot pasażerski i udał się natychmiast do Pearl Harbour, by spotkać się ze swym odpowiednikiem dla Pacyfiku.

Toland trafił do Intencji, sekcji doradczej sztabu wywiadu dowództwa Floty Atlantyckiej.

OBSERWATORZY

Norfolk, Wirginia Wydział Intencji mieścił się w niewielkim biurze na pierwszym piętrze.

Normalnie pracowały tam cztery osoby. Nie było więc łatwo upchnąć Tolanda, zwłaszcza że należało pochować wszystkie sklasyfikowane materiały na czas, gdy cywilni pracownicy wnosili nowe biurko.

Kiedy minęło już całe zamieszanie, Bob stwierdził, że ma akurat tyle miejsca, by usiąść lub wstać z obrotowego krzesła. Drzwi do pomieszczenia wyposażono w szyfrowy zamek z pięcioma wahadłowymi zapadkami ukrytymi w stalowej kasetce. Ulokowane w północno-zachodnim skrzydle kwatery głównej dowództwa floty biuro miało okratowane okna wychodzące na autostradę. Zasłaniały je ponadto grube, brązowe kotary. Ściany, niegdyś beżowe, spłowiały do koloru twarzy człowieka chorego na żółtą febrę.

Urzędował tam pułkownik piechoty morskiej, Chuck Lowe, który instalowanie się nowego pracownika obserwował w pełnym urazy milczeniu; powód Bob zrozumiał dopiero wtedy, gdy mężczyzna, wstał z krzesła.

–Nie będę już mógł jej swobodnie wyciągnąć – zrzędził Lowe, przeciskając się na drugą stronę biurka.

Uścisnęli sobie dłonie.

–Co się panu stało w nogę, pułkowniku?

–Szkoła Wojny Górskiej w Kalifornii, dzień po Bożym Narodzeniu, jazda na nartach w czasie wolnym. Lekarze twierdzą, że w okolicach kostki goleń nigdy nie pęka – uśmiechnął się ironicznie. – Radzą, bym się nie drapał.

Gips zdejmą za trzy lub cztery tygodnie. I znów będę mógł biegać. Przez trzy lata nie mogłem wyrwać dupy z wywiadu,

a kiedy wreszcie wróciłem do swego pieprzonego pułku, musiało mi się to przytrafić. Witaj na pokładzie, Toland. Co pan myśli o kawie?

Dzbanek stał na najdalszej szafce. Pozostali trzej oficerowie, jak wyjaśnił Lowe, byli właśnie na odprawie.

–Widziałem twoje sprawozdanie dla dowództwa. Interesujący materiał. Jak myślisz, co kombinuje Iwan?

–Wygląda na to, że wzmacnia gotowość bojową wzdłuż granicy, pułkowniku…

–Tutaj możesz mi mówić Chuck. – Świetnie, jestem Bob.

–Pracujesz w wywiadzie, w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, tak? Słyszałem, że jesteś jednym ze specjalistów od satelitów.

–Naszych i obcych, głównie naszych – skinął głową Toland. – Od czasu do czasu oglądam zdjęcia, ale przeważnie zajmuję się sygnałami. Tak właśnie przechwyciliśmy wiadomość o czterech pułkownikach. Potem przyszła kolej na wielką, nietypową dla tej pory roku ilość ćwiczeń operacyjnych. Pojawiło się dużo czołgów, a Iwan nie przejmował się zanadto, jeśli jakiś batalion wlazł na obsiane pole.

–I podejrzewasz, że trochę to dziwne bez względu na to, jak głupie mogłoby się wydawać, tak? Napisałeś całkiem obszerny raport. Razem z nim wywiad wojskowy dostarczył nam coś interesującego. Popatrz tylko.

Z manilowej koperty Lowe wyjął dwa zdjęcia formatu osiem na dziesięć i wręczył je Tolandowi. Przedstawiały ten sam fragment terenu, ale sfotografowany pod nieco innym kątem i w różnych porach roku. W górnym, lewym rogu widniała para prymitywnych chałup, w jakich mieszkają rosyjscy chłopi. Toland podniósł wzrok.

–Kołchoz?

–Tak. Numer 1196, mały, około dwustu kilometrów na północny zachód od Moskwy. Czym te dwa zdjęcia się różnią?

Toland znów popatrzył na fotografie. Na jednej ciągnęły się prostą linią ogrodzone działki o powierzchni mniej

więcej czterech kilometrów kwadratowych każda. Na drugiej zobaczył cztery nowe zagony objęte płotem i jeden dwukrotnie większy.

–Przysłał mi to pułkownik, z którym kiedyś pracowałem. Pomyślałem sobie, że to zabawne; wiesz, wyrosłem na farmie produkującej kukurydzę w Iowa.

–Więc Iwan powiększa ilość prywatnej ziemi?

–Na to wygląda.

–Ale wcale tego nie rozgłaszał. Nigdzie o tym nie czytałem.

Toland nie studiował wewnętrznego, rządowego biuletynu „National Intelligence Digest", ale na pewno dotarłyby do niego w kantynie Agencji jakieś plotki na ten nieszkodliwy w gruncie rzeczy temat. Ludzie wywiadu, jak wszyscy inni, lubili sobie pogadać.

Lowe lekko potrząsnął głową.

–I to jest właśnie trochę dziwne. Taką rzecz powinni byli roztrąbić. Gazety określiłyby to mianem kolejnego przejawu „liberalizacji".

–Może tylko w tym jednym kołchozie?

–To samo dzieje się w pięciu innych miejscach.

Zasadniczo naszych satelitów zwiadowczych używamy do innych celów. Te zdjęcia zrobiły chyba wtedy, kiedy nie było innych informacji. Ważne cele zapewne zakryte były chmurami.

Toland przytaknął. Satelity zwiadowcze stosowano do szacowania radzieckich zbiorów rolnych, lecz te zdjęcia pochodziły z późniejszej pory roku. Rosjanie dobrze znali prawdę o tych urządzeniach, bo przez ponad dziesięć lat prasa pisała o tym otwarcie, wyjaśniając powód zatrudnienia w wywiadzie zespołu specjalistów z amerykańskiego Departamentu Rolnictwa.

–Nie wcelowali w porę roku. Mam na myśli to, że nic im ta ziemia nie dała, skoro teraz została podarowana rolnikom.

Zdjęcia dostałem w zeszłym tygodniu, ale myślę, że są nieco starsze. Zrobiono je w czasie zasiewów. Zima trwa u nich bardzo długo, ale pamiętaj, że położenie geograficzne

kompensuje to niezwykle długimi dniami w lecie. Podejrzewam, że jest to jakaś akcja zakrojona na skalę ogólnokrajową. Zbadaj to, Bob – oczy pułkownika zwęziły się na chwilę.

–Bardzo mądre posunięcie z ich strony. W dużym stopniu rozwiązuje problem wyżywienia, zwłaszcza w gospodarstwach warzywniczych; rozumiesz: pomidory, cebula i tak dalej.

–Może. Musisz również uwzględnić fakt, że ich rolnictwo opiera się głównie na pracy fizycznej, nie na maszynach. Jaki jest aspekt demograficzny tego posunięcia?

Toland zamrugał oczyma. W marynarce Stanów Zjednoczonych pokutowało przekonanie, że piechota morska, której głównym zadaniem jest atakowanie gniazd karabinów maszynowych, składa się z natury z tępaków.

–Większość kołchoźników to ludzie stosunkowo starzy. Średnia wieku waha się w okolicach pięćdziesięciu lat.

Prywatne działki więc uprawia starsze pokolenie, podczas gdy prace zmechanizowane, jak prowadzenie kombajnów i ciężarówek…

–Co jest też dużo lepiej płatne… -…wykonują młodsi robotnicy. Twierdzisz, że w ten sposób powiększają produkcję żywności bez udziału mężczyzn… w wieku poborowym?

–Bo tak trzeba na to patrzeć – odparł Lowe. – Politycznie to dynamit. Nie można odbierać ludziom tego, co już posiadają. Na początku lat sześćdziesiątych pojawiły się pogłoski – nawet chyba zmyślone – że Chruszczow zamierza ograniczyć, czy w ogóle zlikwidować, prywatne działki należące do tych biedaków. Zrobiło się piekło!

Chodziłem wówczas do szkoły językowej w Monterey i pamiętam rosyjskie gazety. Całymi tygodniami to dementowały. Owe prywatne zagony są najbardziej produktywnym sektorem

radzieckiego rolnictwa. Stanowią niecałe dwa procent ich ziemi rolnej, a dostarczają około połowy owoców i ziemniaków oraz ponad jedną trzecią jaj, warzyw i mięsa. Do licha, to jedyna część ich przeklętego systemu

rolnego, która funkcjonuje. Rosyjskie grube ryby wiedziały, że gdyby dać ludziom ziemię, można byłoby rozwiązać problem niedoborów żywności, ale ze względów politycznych nie mogły się na to zdecydować. Oznaczałoby to, że państwo sponsoruje całą nową generację kułaków. I tak to trwało. Obecnie wszystko wskazuje na to, że wreszcie postanowili odrobić zaległości bez nadawania sprawie rozgłosu. Jednocześnie ta historia z podniesieniem stanu gotowości bojowej. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, mimo że jestem tylko tępym oficerem liniowym forsującym plażę.

W kącie na wieszaku wisiała bluza jego munduru. Toland pił kawę i spoglądał na cztery rzędy baretek. Dostrzegł tam trzy, powtarzające się gwiazdki orderu za Wietnam. I Krzyż Marynarski. Ubrany w oliwkowozielony sweter marines Lowe nie był postawnym mężczyzną, a jego środkowozachodni akcent sprawiał wrażenie, iż człowiek ten podchodzi do życia bardzo luźno, jest nim prawie znudzony.

Lecz brązowe oczy mówiły coś przeciwnego. Pułkownik Lowe zastanawiał się już nad informacjami Tolanda i nie był nimi bynajmniej zachwycony.

–Chuck, jeśli oni naprawdę szykują jakąś akcję, akcję na wielką skalę, nie powinni robić takiej afery wokół paru oficerów. Wyjdą na jaw jeszcze inne rzeczy.. Zaczną coś kombinować z masami.

–Tak, to kolejna rzecz, którą musimy się zająć.

Wysłałem już wczoraj odpowiedni wniosek do wywiadu wojskowego. Kiedy ukaże się najbliższy numer „Czerwonej Gwiazdy", nasz attache w Moskwie przyśle nam natychmiast kopię drogą satelitarną. Jeśli zamierzają coś takiego robić, z pewnością znajdzie to wyraz w „Krasnej Zwiezdie". Bob, otworzyłeś puszkę z bardzo interesującymi robakami, ale nie będziesz ich badać sam.

Toland skończył kawę. Rosjanie wycofali całą klasę atomowych okrętów podwodnych uzbrojonych w rakiety.

Prowadzili rokowania rozbrojeniowe w Wiedniu. Kupowali pszenicę od Ameryki i Kanady, płacąc za nią zadziwiająco dobrze, pozwolili nawet amerykańskim okrętom sprzedać

po drodze dwadzieścia procent ładunku. Jak to wszystko ma się do siebie? Logicznie nie posiadało żadnego związku; z jednym tylko wyjątkiem. Ale to było niemożliwe. Niemożliwe?

Szpola, Ukraina Grzmiąca salwa 125-milimetrowego działa czołgowego wystarcza, by zedrzeć z głowy czuprynę – pomyślał Aleksiejew, lecz po pięciu godzinach manewrów w zasłoniętych ochraniaczami uszach słyszał już tylko tępy, dudniący łoskot. Jeszcze rano teren porastała

trawa i młode drzewa; teraz była to oskalpowana ziemia, pełna błota i głębokich kolein po gąsienicach czołgów T-80 oraz transporterów opancerzonych BMP. Pułk trzykrotnie już powtarzał ten sam manewr, symulując atak czołgów i piechoty wspieranej wozami bojowymi na dysponującego taką samą siłą nieprzyjaciela. Dziewięćdziesiąt ruchomych dział i bateria wyrzutni rakietowych dawały wsparcie artyleryjskie.

Trzy razy!

Aleksiejew zdjąwszy hełm i ochraniacze z uszu, spojrzał na dowódcę pułku.

–Pułk gwardii, tak, towarzyszu pułkowniku? Elitarna jednostka Armii Czerwonej? Te mamincycki nie potrafiłyby ochronić tureckiego burdelu, a w środku byliby jeszcze gorsi! Co wyście robili przez ostatnie cztery lata, dowodząc tym cyrkiem na kółkach, towarzyszu pułkowniku? Wasi żołnierze polegliby już trzy razy! Obserwatorzy artyleryjscy podają niewłaściwe cele, czołgi i wozy z piechotą nie potrafią skoordynować manewrów, a celowniczowie w czołgach nie mogą trafić w obiekty trzymetrowej wysokości! Gdyby tego górskiego grzbietu broniły siły Paktu Atlantyckiego, wy, pułkowniku, i wszyscy wasi ludzie dawno już bylibyście martwi! – Aleksiejew studiował twarz podwładnego. W oczach pułkownika pojawiał się na przemian to paniczny strach, to iskry nieprzytomnej furii.

Bardzo dobrze. – To nie ludzie stanowią dla Państwa problem, ale sprzęt. Sprzęt jest drogocenny, drogocenne

jest paliwo, drogocenna jest amunicja, a najważniejsze, drogocenny jest mój czas! Towarzyszu pułkowniku, teraz muszę was opuścić. Najpierw się wyrzygam, a potem pojadę do siebie. Ale wrócę. Kiedy już tu będę z powrotem, przeprowadzimy ćwiczenia jeszcze raz. Wasi ludzie, towarzyszu pułkowniku, wykonają zadanie prawidłowo; w przeciwnym razie, towarzyszu, resztę waszego nędznego życia spędzicie na liczeniu drzew!

Aleksiejew odszedł ciężkim krokiem, nie odpowiadając nawet na honory, jakie oddał mu pułkownik. Podszedł do otwartych przez adiutanta, pułkownika wojsk pancernych, drzwi samochodu i wsiadł do środka. Pułkownik za nim.

–Jakoś poszło, co? – odezwał się Aleksiejew.

–Jeszcze nie najlepiej, ale wyraźny postęp – przyznał pułkownik. – Zostało im sześć tygodni, potem ruszą na zachód.

Nie powinien był tego mówić. Aleksiejew, który dwa ostatnie tygodnie spędził na wdrażaniu dyscypliny w tej dywizji, poprzedniego dnia dowiedział się właśnie, że zostanie ona skierowana do Niemiec, nie do Iraku i Iranu, jak zakładał nie dokończony wciąż plan autorstwa samego Aleksiejewa. Odebrano mu już cztery dywizje – wszystkie stanowiące doborowe jednostki czołgów gwardyjskich – co powodowało, że dowództwo południowo-zachodniego teatru co chwilę musiało modernizować plan operacji w Zatoce Perskiej. Błędne koło. Pracował więc z jednostkami gorzej przygotowanymi, a tym samym z konieczności poświęcał im więcej uwagi

kosztem czasu przeznaczonego na dopracowanie scenariusza, który powinien być już gotów dwa tygodnie wcześniej.

–Czeka ich bardzo pracowite sześć tygodni. A co sądzicie o dowódcy? – zapytał pułkownik.

Aleksiejew wzruszył ramionami.

–Zbyt długo już tam tkwi. Ma czterdzieści lat i jest za stary, by sprawować dowództwo w takiej jednostce. Zbyt wiele uwagi poświęca tej cholernej musztrze, a za mało gania ich po poligonie. Ale to uczciwy człowiek, zbyt uczciwy, by miał liczyć drzewa.

Aleksiejew roześmiał się ponuro. Było to rosyjskie powiedzenie, pochodzące jeszcze z czasów carskich. O zsyłanych na Syberię ludziach mówiło się, że nie mają tam nic innego do roboty, jak tylko liczyć drzewa. Kolejna rzecz, którą zmienił Lenin. W obecnych czasach w gułagach roboty było aż nadto.

–Ostatnie dwa razy wypadły nieźle – powiedział Aleksiejew. – Ten pułk i cała dywizja będą gotowe.

USS „Pharris" – Mostek kapitański, tu sonar: kontakt na współrzędnej zero-dziewięć-cztery! – zaskrzeczał głośnik umieszczony na ściance działowej. Komandor Morris odwrócił się w fotelu w stronę oficera pokładowego. Ten skierował lornetkę ku punktowi podanemu przez hydrolokację. Nic nie dostrzegł.

–Pozycja czysta.

Morris wstał z fotela.

–Ogłosić Procedurę l-AS.

–Tak jest. Stanowiska bojowe – potwierdził oficer pokładowy.

Pełniący wachtę bosmanmat ruszył do mikrofonu i trzykrotnie dał sygnał gwizdkiem.

–Przedziały załogi, pomieszczenia ogólne. Wszyscy na stanowiska bojowe. Atak jednostki podwodnej.

Rozdzwoniły się dzwonki alarmowe i leniwa, spokojna, przedpołudniowa wachta skończyła się w jednej chwili.

Morris przeniósł się na rufę i zszedł po drabince do centrum informacji bojowej. Komendę nad mostkiem przejął pierwszy oficer, pozwalając tym samym kapitanowi osobiście zająć się bronią i wskaźnikami w newralgicznym ośrodku taktyki. Okręt zaroił się od biegnących na wyznaczone stanowiska ludzi. Opuszczano grodzie i zamykano zawory, zapewniające okrętowi wodoszczelność wszystkich przedziałów. Przygotowywano sprzęt ratowniczy. W niecałe pięć

minut okręt był gotów do walki. W porządku – pomyślał Morris, kiedy z głośnika usłyszał: „Załoga na

stanowiskach! Gotowość bojowa pełna!" Od chwili opuszczenia Norfolk, to znaczy od czterech dni, podobne alarmy ogłaszane były przeciętnie trzy razy na dobę. Był to rozkaz dowództwa nawodnych sił morskich na Atlantyku. Nikt tego nie potwierdził, ale Morris był święcie przekonany, iż informacje jego przyjaciela stały się przysłowiowym kijem włożonym w mrowisko. Zdwojono ilość ćwiczeń i ogłoszono stan podwyższonej gotowości bojowej. Największe zdumienie jednak budził fakt, iż wszystko to kolidowało z precyzyjnym harmonogramem napraw i remontów – z czymś, co dotąd było nienaruszalne.

–Wszystkie stanowiska obsadzone. Gotowość bojowa – dobiegło z głośnika. – Na całym okręcie obowiązuje Procedura Zebra.

–Doskonale – odezwał się oficer taktyczny.

–Proszę o raport – polecił Morris.

–Sir, radary nawigacyjne i powietrzne w pogotowiu, pracuje sonar bierny – zameldował oficer taktyczny. – Kontakt z okrętem podwodnym płynącym na chrapach. To było jasne od początku. Przeglądamy taśmy z analizą ruchów celu. Jego pozycja zmienia się bardzo szybko. Za chwilę będziemy mieli dokładne dane, ale wiemy, że znajduje się na kursie zbliżonym do naszego, w odległości nie większej niż dziesięć mil.

–Czy już wysłano wiadomość do Norfolk?

–Czekamy na rozkazy.

–Bardzo dobrze. Zobaczymy, czy uda się go nam docisnąć.

Po piętnastu minutach helikopter „Pharrisa" rzucił do morza, dokładnie nad okrętem, pławy sonarowe i potężny, aktywny hydrolokator fregaty zaczął smagać obiekt swymi falami. Mieli robić to tak długo, aż radziecka jednostka podwodna przyznałaby się do porażki i wróciła do pozycji chrap – albo wymknęłaby się fregacie, co kompletnie by Morrisa skompromitowało. Cel tych bezkrwawych ćwiczeń był oczywisty: poderwać zaufanie kapitana do swego okrętu, swojej załogi i do samego siebie.

USS „Chicago" Znajdowali się tysiąc mil od brzegu, kierując się na północny wschód z szybkością dwudziestu pięciu węzłów.

Załoga była w najwyższym stopniu rozczarowana. Obiecane, trzytygodniowe wywczasy w Norfolk skrócono do ośmiu dni – bardzo gorzka pigułka po ostatnim, długim rejsie.

Przerwano im wszystkie wycieczki i wakacje, nawet niewielkie naprawy, które mieli wykonać technicy lądowi, spadły na barki załogi. W dwie godziny po zanurzeniu McCafferty otworzył

zapieczętowaną kopertę i ogłosił załodze rozkazy: dwa tygodnie ostrych ćwiczeń w tropieniu i niszczeniu torpedami przeciwnika. Potem rejs na Morze Barentsa w kolejnej misji wywiadowczej. To ważne zadanie – dodał od siebie kapitan.

Słyszeli to już przedtem.

WSTĘPNE OBSERWACJE

Norfolk, Wirginia Bob miał nadzieję, że mundur leży na nim bez zarzutu.

Była środa, szósta trzydzieści rano, ale on już od czwartej przygotowywał się do kolejnej odprawy w dowództwie floty. Przeklinał w duchu głównego szefa, który zapewne na popołudnie umówił się na partię golfa i dlatego naradę zwołał o tak wczesnej porze. Toland od kilku tygodni poobiednie godziny spędzał podobnie – na przeglądaniu napływających nieustannym strumieniem danych wywiadu i kopii radzieckich publikacji, które zalegały każdą szafkę w Intencjach.

Główna sala odpraw w porównaniu z resztą niegustownych wnętrz budynku wydawała się wręcz innym światem.

Nie powinno to jednak budzić zdziwienia; admirałowie lubili komfort. Wyszedł na chwilę do toalety, by spryskać twarz zimną wodą. Kiedy wrócił, pokój był już pełny.

Nowo przybyli wymieniali wprawdzie uprzejme powitania, ale o tak wczesnej porze nikogo nie stać było na uśmiechy czy żart. Miejsca przy stole zajmowali wedle rangi. Ci, którzy palili, mieli przed sobą popielniczki. Przed każdym leżał notatnik. Stewardzi wnieśli na srebrnych tacach dzbanki z kawą, śmietankę i cukier, po czym wyszli, zamykając za sobą drzwi. Filiżanki przygotowano już wcześniej i każdy z oficerów mógł dopełnić porannego ceremoniału i nalać sobie kawy. Naczelny dowódca sił morskich na Atlantyku skinął na Tolanda.

–Dzień dobry panom. Mniej więcej miesiąc temu w Związku Radzieckim postawiono przed sądem wojskowym i skazano na śmierć czterech pułkowników, dowódców pułków zmechanizowanych. Oskarżono ich o fałCZERWONY SZTORM • 97 szowanie raportów z ćwiczeń i doniesień o rzeczywistym stanie gotowości bojowej podległych im jednostek – zaczął Toland, wyjaśniając następnie znaczenie tego faktu. – Przed dwoma dniami „Krasnaja Zwiezda", gazeta codzienna armii radzieckiej, doniosła o egzekucji pewnej liczby szeregowych żołnierzy. Wszystkim im, z wyjątkiem dwóch, do końca służby zostało niecałe sześć miesięcy; wszyscy oskarżeni zostali o lekceważenie poleceń podoficerów. Dlaczego to takie istotne?

Armia rosyjska od dawna była znana z twardej dyscypliny, ale, jak w wielu innych dziedzinach życia w Związku Radzieckim, nie wszystko jest tam takie, jakie być powinno.

Podoficer w wojsku radzieckim, w odróżnieniu od większości armii na świecie, nie jest żołnierzem zawodowym.

Jak każdy inny żołnierz pochodzi z poboru. Na początku służby w zależności od inteligencji, stopnia politycznej pewności i walorów przywódczych poddawany zostaje specjalnemu szkoleniu. Odbywa ciężki, sześciomiesięczny kurs, po którym natychmiast zostaje podoficerem i wraca do macierzystej jednostki operacyjnej. W praktyce jego doświadczenie jest niewiele większe od doświadczenia podwładnych i przewaga nad prostym żołnierzem wynika raczej z cech osobistych niż z innych, bardziej wymiernych powodów, jak ma to miejsce w armiach zachodnich.

Z tego też względu w radzieckiej armii lądowej wiele zależy nie tyle od stopnia wojskowego, ile od czasu służby.

Pobór do wojska odbywa się w Rosji dwa razy w roku – w grudniu i w czerwcu. Przy trwającej przeważnie dwa lata służbie wyróżniamy cztery „klasy" wojska: najniższą jest klasa żołnierzy służących pierwsze sześć miesięcy, najwyższą – stare wojsko, któremu pozostało jeszcze pół roku koszar.

Tak zatem w radzieckiej kompanii piechoty pierwsze skrzypce odgrywa grupa najstarszych stażem żołnierzy.

Domagają się przywilejów i otrzymują najlepsze wyżywienie, najlepsze mundury i najlepsze prace. Z drugiej strony oni też przeważnie lekceważą sobie polecenia bezpośrednich przełożonych. W praktyce wszystkie rozkazy pochodzą od oficerów, nie od dowodzących plutonem czy drużyną 7 – Czerwony sztorm

podoficerów i to, co my określamy mianem wojskowej dyscypliny na poziomie podoficerskim, tam praktycznie nie występuje. Możecie więc sobie, panowie, wyobrazić, w jakim stresie działają tam niżsi oficerowie, zmuszeni do godzenia się z rzeczami, z którymi najwyraźniej nie chcą i nie potrafią się pogodzić.

–Twierdzi pan, komandorze, że ich wojsko funkcjonuje na zasadzie zorganizowanej anarchii – zauważył dowódca atlantyckiej floty uderzeniowej. – Z pewnością nie dotyczy to ich sił morskich.

–To prawda, sir. Jak wiemy, służba w marynarce trwa nie dwa, a trzy lata i stosunki tam istniejące zasadniczo różnią się pod wieloma względami od sytuacji panującej w pozostałej części radzieckich sił zbrojnych. Wygląda jednak na to, że w armii rosyjskiej zachodzą, głębokie przemiany, a dyscyplina jest bardzo szybko i rygorystycznie przywracana.

–Ilu dokładnie żołnierzy zostało rozstrzelanych? – zapytał generał dowodzący Drugą Dywizją Piechoty Morskiej.

–Jedenastu, sir. Ma to pan w swoim komunikacie.

Większość z nich należała do czwartej „klasy", co znaczy, że zostało im do końca służby najwyżej sześć miesięcy.

–Czy artykuł, o którym pan mówi, podaje jakieś ostateczne wnioski? – zapytał dowódca atlantyckich sił morskich.

–Nie, admirale. W publikacjach radzieckich, zarówno wojskowych jak i cywilnych, obowiązuje niepisane prawo, iż wolno krytykować, ale nie wolno uogólniać. Znaczy to, że należy identyfikować i karać konkretne wykroczenia, lecz ze względów politycznych nie można krytykować żadnej instytucji. Rozumiecie, panowie, krytyka skierowana przeciw całości staje

się ipso facto krytyką radzieckiego społeczeństwa jako takiego, a więc i partii komunistycznej, która kontroluje każdy aspekt życia radzieckiego. Jest to może mało przekonujące, ale z filozoficznego punktu widzenia ważne dla nich i wyraziste. W praktyce, gdy piętnuje się konkretnego złoczyńcę, piętnuje się cały system,

ale politycznie jest to do przyjęcia. Artykuł ten stanowi sygnał dla każdego oficera, podoficera i prostego żołnierza w wojsku radzieckim: czasy się zmieniają. Pytanie, które nurtuje Intencje brzmi: dlaczego?

Okazuje się bowiem, iż nie tylko tu zmieniają się czasy – Toland włączył rzutnik i włożył do środka slajd. – Jak widzicie, panowie, z grafiku wynika, że w porównaniu z zeszłym rokiem, liczba ich ćwiczeń z pociskami ziemia-ziemia wzrosła o blisko siedemdziesiąt procent. Wprawdzie aktywność okrętów podwodnych o napędzie klasycznym zmalała, ale wywiad donosi, iż ogromna większość poddawana jest w stoczniach niespodziewanym remontom.

Mamy powody przypuszczać, iż z tego wynika ogólnonarodowy deficyt baterii ołowiowo-kwasowych. Najprawdopodobniej wszystkie radzieckie jednostki podwodne przechodzą wymianę akumulatorów, których cała produkcja przestawiona została na cele militarne.

Notujemy również wzmożoną aktywność radzieckiej floty nawodnej, lotnictwa morskiego i jednostek lotniczych dalekiego zasięgu; tutaj też obserwujemy wzrost liczby ćwiczeń z użyciem broni. Wreszcie daje się zauważyć odbiegający od utartych schematów nieco większy ruch okrętów-kombatantów nawodnej floty radzieckiej. Mimo że ich liczba zasadniczo nie wzrosła, tryb ćwiczeń odbiega bardzo od tego, do którego przywykliśmy. Zamiast pływać po prostu z miejsca na miejsce i rzucać kotwicę, jednostki te wydają się odbywać jakieś poważniejsze manewry.

Rosjanie robili tak już wcześniej, ale zawsze to rozgłaszali.

Słowem, flota radziecka masowo wycofuje się ze swoich pozycji, intensyfikując jednocześnie tempo ćwiczeń. Towarzyszy temu wzrost gotowości bojowej sił lądowych i powietrznych wzdłuż granicy. Proponując istotną redukcję strategicznych broni nuklearnych, Rosjanie gwałtownie wzmacniają swe siły konwencjonalne. Intencje uważają, iż kombinacja ta może okazać się niebezpieczna.

–Wszystko to jest nieco mgliste – mruknął admirał, ssąc fajkę. – Jak możemy przekonać kogokolwiek, że ma to jakieś znaczenie?

–Dobre pytanie, sir. Każdy z tych czynników traktowany oddzielnie ma swoją łatwą do zrozumienia logikę.

Niepokoi nas tylko, że wszystkie zbiegły się idealnie w czasie. Sposób wykorzystywania siły ludzkiej w armii radzieckiej jest od pokoleń taki sam. Problem norm ćwiczebnych i integracji kadry oficerskiej też nie jest problemem nowym. Moją uwagę zwróciła sprawa akumulatorów. Obserwujemy coś, co stanowi zapewne początek ogromnego kryzysu ich gospodarki. Rosjanie

wszystko planują centralnie, a ich ekonomia jest ściśle związana z kwestiami politycznymi. Główna fabryka baterii pracuje na trzy zmiany, nie na dwie, jak to jest ogólnie przyjęte.

Powinna pojawić się nadprodukcja, tymczasem dostawy dla ludności cywilnej maleją. W każdym razie ma pan, admirale, rację. Indywidualnie, każdy z tych przypadków nic nie znaczy. Traktowane łącznie, muszą budzić niepokój.

–I pan się niepokoi – stwierdził dowódca Floty Atlantyckiej.

–Tak, sir.

–Ja również, synu. Ale co robi pan poza tym?

–Zwróciliśmy się do dowództwa lotnictwa strategicznego w Europie z prośbą o przysłanie nam wszelkich informacji o nietypowym, ich zdaniem, zachowaniu się stacjonujących w Niemczech jednostek radzieckich. Ponadto Norwegowie wzmogli obserwacje na Morzu Barentsa.

Zaczęliśmy również w większym zakresie analizować zdjęcia satelitarne radzieckich portów i baz morskich. Przekazujemy nasze dane wywiadowi wojskowemu, a oni prowadzą własne obserwacje. Coraz więcej szczegółów wychodzi na światło dzienne.

–A co z CIA?

–Tym zajął się wywiad wojskowy poprzez kwaterę główną w Arlington Hall.

–Kiedy zaczynają wiosenne manewry? – zapytał dowódca Floty Atlantyckiej.

–Sir, doroczne manewry Układu Warszawskiego, tym razem pod kryptonimem „Postęp", mają rozpocząć się za trzy tygodnie. Istnieje wiele przesłanek, iż Rosjanie, w imię

odprężenia, zaproszą na to widowisko przedstawicieli Paktu Atlantyckiego i zachodniej prasy…

–Powiem wam, co jest w tym strasznego – mruknął dowódca atlantyckiej floty nawodnej. – Nagle zaczęli robić to, o co myśmy ich zawsze prosili.

–Spróbuj to sprzedać prasie – doradził dowódca morskich sił powietrznych na Atlantyku.

–Zalecenia? – głównodowodzący Flotą Atlantycką zwrócił się do oficera operacyjnego.

–Rozpoczęliśmy bardzo intensywny cykl szkoleniowy.

Myślę, że to nie zaszkodzi. Komandorze Toland, powiedział pan, że pańską uwagę zwróciła sprawa akumulatorów. Czy szuka pan innych jeszcze oznak załamania się ich gospodarki?

–Naturalnie, sir, szukamy. Oto zestawienie wywiadu wojskowego; ponadto Arlington Hall

zwrócił się do CIA z prośbą o przeprowadzenie dalszych analiz. Chciałbym się chwilę nad tym zatrzymać, panowie: jak mówiłem wcześniej, gospodarka radziecka sterowana jest centralnie i wszelkie plany przemysłowe są bardzo sztywne. Najmniejsze uchybienie rozchodzi się jak kręgi na wodzie i wpływa na całość systemu. W obecnej chwili słowo „załamanie" jest może słowem zbyt mocnym… – Żywi pan po prostu silne podejrzenia? – przerwał dowódca Floty Atlantyckiej. – Doskonale, Toland, za to właśnie panu płacimy. Świetne zestawienie.

Bob pojął aluzję i opuścił salę. Admirałowie zostali, by przeanalizować jeszcze raz całą sprawę.

Bob poczuł natychmiast ulgę. Nie cierpiał sytuacji, kiedy wysocy rangą przełożeni badali go niczym preparat tkanki pod mikroskopem. Ruszył w stronę swego biura, obserwując krążące po parkingu w poszukiwaniu wolnego miejsca samochody spóźnialskich. Kilku cywilów kosiło rozległe trawniki, inni rozpylali sztuczny nawóz. Krzewy puściły już liście i Toland miał nadzieję, że zdążą dobrze się rozrosnąć, zanim znów zostaną przycięte. Norfolk musiało być cudownym miejscem, kiedy wiosną przepojone solą powietrze wypełni zapach azalii. Komandor zastanawiał się chwilę, jak tu pięknie musi być latem.

–I jak poszło? – zapytał Chuck.

Toland zdjął marynarkę munduru i teatralnie zgiął nogi w kolanach.

–Wyśmienicie. Nikt nie urwał mi głowy.

–Nie chciałem cię wcześniej straszyć, ale jest tam parę osób, które robiły takie rzeczy. Mówi się, na przykład, że dowódca Floty Atlantyckiej uwielbia na śniadanie pieczonego komandora w sałatce z krojonego porucznika.

–Wielkie rzeczy! Jest admirałem, tak? Bywałem już przedtem na takich odprawach, Chuck.

Toland przypomniał sobie, że wszyscy marines mają marynarzy za tumanów. Nie było sensu jeszcze bardziej utwierdzać Chucka w tym sądzie.

–I jaki wynik ostateczny?

–Operacyjny szef wspomniał coś o przyśpieszonym cyklu ćwiczeń. Zaraz potem wyprosili mnie za drzwi.

–No cóż. Powinniśmy dziś dostać zestaw zdjęć satelitarnych. Ponadto z Langley i Arlington napłynęło kilka doniesień. To jeszcze nic pewnego, ale wygrzebali chyba parę interesujących rzeczy. Jeśli się okaże, że miałeś rację, Bob… wiesz, jak to jest.

–Jasne. Okaże się, że odkrył to ktoś, kto jest bliżej dowództwa. Do licha, Chuck, wcale mnie to nie obchodzi.

Chciałbym się mylić! Gdyby wszystko rozlazło się po kościach, pojechałbym do domu bawić się w swoim ogródku.

–No cóż, mam dla ciebie i dobrą wiadomość. Nasza telewizja kablowa podłączona została do nowego odbiornika satelitarnego. Prosiłem chłopców z łączności, by podłączyli nas do ruskiej telewizji na czas ich wieczornych wiadomości.

Niczego konkretnego się nie dowiemy, ale da to nam jakiś przegląd panujących tam nastrojów. Tuż przed twoim przyjściem próbowałem łącza; Iwan zaczyna nadawać przegląd filmów Siergieja Eisensteina. Dzisiaj wieczorem puszczą Pancernika Potiomkina^ a na koniec, trzydziestego maja, Aleksandra Newskiego.

–Tak? Mam Newskiego na wideo.

–EMI w Londynie przetransponowała im oryginalną

kopię na system cyfrowy, a ścieżkę dźwiękową na dolby.

Nagramy sobie te nowe wersje. Jaki masz w domu magnetowid, VHS czy betę?

–VHS – roześmiał się Toland. – Jak widzę i ta praca ma swoje jasne strony. No cóż, wracajmy do roboty.

Lowe wręczył mu gruby na prawie dwadzieścia centymetrów plik dokumentów. Toland usadowił się za biurkiem i pogrążył w pracy.

Kijów, Ukraina – Sprawy idą coraz lepiej, towarzyszu – oświadczył Aleksiejew. – Dyscyplina w kadrze oficerskiej wzrosła niewymownie, a dzisiejsze, poranne ćwiczenia 261. Pułku Gwardii wypadły znakomicie.

–A 173. Pułk? – zapytał dowódca południowo-zachodniego teatru.

–Wymaga jeszcze pracy, ale będzie gotów na czas – odparł z pewnością w głosie Aleksiejew. – Oficerowie postępują jak oficerowie. Teraz jeszcze żołnierze muszą zachowywać się jak żołnierze. Ale o tym, czy potrafią, przekonamy się w trakcie trwania „Postępu". Należy jednak zmienić tradycyjną choreografię i stworzyć bardziej prawdopodobne scenariusze akcji bojowych. Podczas „Postępu" dowiemy się, których dowódców trzeba wymienić; młodsi lepiej adaptują się do warunków prawdziwej wojny – usiadł przy biurku naprzeciwko szefa. Czuł się tak, jakby nie spał cały miesiąc.

–Wyglądasz na zmęczonego, Pasza – zauważył przełożony.

–Nie, towarzyszu generale, nie miałem czasu się zmęczyć – Aleksiejew zachichotał. – Ale jeśli jeszcze raz polecę gdzieś helikopterem, to chyba wyrosną mi moje własne skrzydła.

–Pasza, pojedziesz więc teraz do domu i zostaniesz tam przez dwadzieścia cztery godziny.

–Ale… – Żadnych ale. Gdybyś był koniem – dodał generał –

dawno byś już padł. Dwadzieścia cztery godziny wypoczynku. To rozkaz twego dowódcy. Najlepiej byś ten czas przespał, lecz to już twoja sprawa. Pomyśl, Pawle Leonidowiczu: zaczynając działania bojowe, żołnierz musi być wypoczęty; wymagają tego przepisy oraz głosi nauka wyniesiona z ostatniej wojny z Niemcami. Potrzebuję świeżych umysłów. Jeśli więc teraz się zajeździsz, nie będziesz nic wart, gdy okażesz się naprawdę potrzebny.

Widzę cię tu jutro o szesnastej. Przejrzymy dokładnie plan dotyczący Zatoki Perskiej. Masz wyglądać świeżo i trzymać się prosto.

Aleksiejew wstał. Przełożony był gburowatym, starym niedźwiedziem podobnym do jego ojca; żołnierzem z krwi i kości.

–Proszę więc odnotować w mojej kartotece, że gorliwie wypełniam polecenia dowódcy, towarzyszu generale.

Obaj się roześmiali. Obu im było to potrzebne.

Aleksiejew opuścił gabinet i zszedł do służbowego samochodu. Kiedy dotarli już do odległego o kilka kilometrów mieszkania w bloku, kierowca musiał generała budzić.

USS „Chicago" – Procedura bezpośredniego zbliżenia – rzucił McCafferty.

Kapitan śledził nawodną jednostkę od dwóch godzin, od czasu, kiedy sonarzyści wykryli jej obecność w odległości czterdziestu czterech mil. Obserwowali obiekt wyłącznie hydrolokatorem i z polecenia kapitana nie powiadomiono obsługi wyrzutni rakietowych, jaki okręt mają przed sobą.

Każdą jednostkę nawodną traktowali jako wrogi okręt wojenny.

–Odległość trzy i pół tysiąca metrów – zameldował pierwszy oficer. – Pozycja jeden-cztery-dwa, szybkość osiemnaście węzłów, kurs dwa-sześć-jeden.

–Peryskop w górę – rozkazał McCafferty. Urządzenie wysunęło się ze swej studzienki w podwyższeniu po prawej

stronie. Obsługujący je mat podszedł do instrumentu, rozłożył uchwyty i nakierował wizjer. Nastawił krzyżyk celownika na dziób wrogiej jednostki.

–Wprowadzić współrzędne!

Podoficer położył palce na klawiaturze i wprowadził dane do sterującego ogniem komputera MK-117.

–Kąt kursowy, prawa burta dwadzieścia.

Technik z kontroli ognia wrzucił dane do komputera, którego mikroprocesory natychmiast obliczyły odległości i kąty.

–Rozwiązanie. Wyrzutnia trzy i cztery gotowe!

–W porządku – McCafferty odsunął twarz od peryskopu i spojrzał na pierwszego oficera. – Chcesz zobaczyć, cośmy ustrzelili?

–Niech to cholera! – wybuchnął śmiechem pierwszy oficer i schował peryskop. – Przesuń się, Otto Kretchmer!

McCafferty podniósł mikrofon połączony z głośnikami zainstalowanymi na całym okręcie.

–Mówi kapitan. Zakończyliśmy ćwiczenia w tropieniu przeciwnika. Wszystkich zainteresowanych informuję, że „ustrzeliliśmy" „Universe Ireland", wyporność trzysta czterdzieści ton, supertransportowiec… To wszystko.

Odłożył mikrofon na widełki.

–Jakieś uwagi, Pierwszy? – zapytał.

–To było proste, kapitanie – odparł pierwszy oficer.

–Jego szybkość i kurs były stałe. Mogliśmy go mieć w cztery lub pięć minut, lecz szukaliśmy celu nie poruszającego się kursem stałym. Ale moim zdaniem, gdy ma się do czynienia z podwodnym celem, lepiej działać w ten sposób. Niemniej wypadło dobrze.

McCafferty kiwnięciem głowy przyznał mu rację. Płynący z dużą szybkością cel, na przykład niszczyciel, skierowałby się prosto na nich. Powolne jednostki w warunkach wojennych nieustannie zmieniałyby kurs.

–Dostaliśmy go – powiedział kapitan, przeglądając wyniki kontroli ognia. – Dobra robota.

Następnym razem – pomyślał McCafferty – polecę

hydrolokacji, by o obcym obiekcie powiadomiła dopiero wtedy, gdy będzie już bardzo blisko. Przekonamy się wówczas, jak załoga potrafi działać w błyskawicznie rozwijającej się sytuacji. Do tego czasu zarządzę serię żmudnych, symulowanych przez komputer ćwiczeń bojowych.

Norfolk, Wirginia – To akumulatory. Jest potwierdzenie – Lowe podał Tolandowi zdjęcia satelitarne. Przedstawiały liczne ciężarówki z zakrytymi brezentem pakami; trzy jednak były odkryte i lecący wysoko satelita zrobił zdjęcie. Dawało się zobaczyć, przypominające kształtem wielkie wanny, baterie dźwigane po nabrzeżu przez marynarzy.

–Kiedy zrobiono te fotografie? – zapytał Toland.

–Osiemnaście godzin temu.

–Przydałyby mi się dziś rano – mruknął ze złością Toland. – Wygląda to jak zgrupowane w jednym miejscu trzy tanga. A tam to dziesięciotonowe ciężarówki. Naliczyłem ich dziewięć. Sprawdziłem, jedna pusta bateria waży dwieście osiemnaście kilogramów…

–Och, a ile takich wejdzie na okręt?

–Masę – wyszczerzył zęby Toland. – Nie wiemy tego dokładnie. Spotkałem cztery różne wyliczenia, każde z trzydziestoprocentowym marginesem błędu. To zresztą zależy pewnie od klasy okrętu. Im więcej takich klas, tym trudniej się zorientować. – Podniósł wzrok. – Potrzebujemy więcej zdjęć.

–Pomyślałem już o tym. Od dzisiaj jesteśmy na liście adresatów fotografii obiektów morskich. A co sądzisz o zdjęciach ich jednostek nawodnych?

Toland wzruszył ramionami. Zdjęcia przedstawiały tuzin okrętów-kombatantów, od krążowników po korwety. Ich pokłady pokrywały kable i paki; wszędzie kręcili się ludzie.

–Niewiele z tego można wywnioskować. Nie widać dźwigów, więc nic masywnego nie ładują; ale dźwigi mogą być ruchome. Na tym polega problem z okrętami. Wszystko,

co chciałoby się zobaczyć, jest ukryte pod pokładem.

Z tych zdjęć można wywnioskować jedynie to, że jednostki są ze sobą sczepione, a wszystko inne to domysły. Nawet jeśli idzie o podwodne, możemy tylko przypuszczać, że wymieniają w nich baterie.

–Daj spokój, Bob – parsknął Lowe.

–Zastanów się, Chuck – odrzekł Toland. – Oni dobrze wiedzą, po co mamy satelity, prawda? Znają ich orbity i wiedzą, kiedy nad jakim miejscem przelatują. Czy trudno wyprowadzić nas w pole? Pomyśl, gdybyś to ty miał oszukać takiego satelitę i wiedział, kiedy nadleci? Niestety, jesteśmy zbyt zależni od tych urządzeń. Oczywiście, są niebywale użyteczne, ale do pewnych granic. Najlepiej, gdybyśmy w takich bazach mieli swoich ludzi.

Polarnyj, RSFRR – To trochę dziwne obserwować człowieka, który wlewa do okrętu cement – zauważył Flynn w drodze powrotnej do Murmańska. Nikt mu nawet nie wspomniał o balaście.

–Ale to wspaniała rzecz! – odrzekł eskortujący ich młody kapitan radzieckiej marynarki. – Teraz tylko wy musicie uczynić to samo z waszymi okrętami!

Flynn i Calloway natychmiast spostrzegli, iż niewielka grupa dziennikarzy, którym pozwolono

wejść na przystań 1 obserwować neutralizację pierwszych dwóch atomowych okrętów podwodnych klasy Yankee z pociskami balistycznymi, była pod bardzo ścisłą kontrolą. Wożono ich po dwóch lub trzech^ a każdej grupie towarzyszył oficer marynarki i kierowca. Nikogo to nie dziwiło. Wręcz przeciwnie, obaj dziennikarze byli zdumieni, że w ogóle pozwolono im wejść do bazy o tak kluczowym znaczeniu.

–Szkoda, że wasz prezydent nie przysłał tu grupy amerykańskich oficerów-obserwatorów – ciągnął eskortujący ich oficer.

–Cóż, tutaj muszę się z panem zgodzić, kapitanie skinął głową Flynn.

Gdyby towarzyszyli im amerykańscy marynarze, relacja nabrałaby kolorów. A tak, tylko szwedzki i indyjski oficer – żaden nie pływał nigdy na okrętach podwodnych – obserwowali z bliska „ceremonię cementowania", jak to określili dziennikarze. Lakonicznie oznajmili tylko, że do wyrzutni pocisków obu okrętów wlano beton. Flynn badał więc sam dokładny czas napełniania każdej, by po powrocie móc wykonać trochę obliczeń. Jaka jest jej pojemność? Ile trzeba cementu, by ją zalać? Jak długo trwa zalewanie?

–Ale mimo to, kapitanie, musi pan przyznać, że Ameryka bardzo pozytywnie odpowiedziała na propozycję waszego kraju – kończył Flynn.

William Calloway milczał całą drogę powrotną i wyglądał przez okno. Był reporterem podczas wojny falklandzkiej i wiele czasu spędził na okrętach Królewskiej Marynarki Wojennej – zarówno na morzu, jak i w stoczniach – obserwując przygotowania floty brytyjskiej do wyprawy na południe. Obecnie mijali nabrzeża z przycumowanymi jednostkami wojennymi. Coś tu było nie tak, ale Anglik nie potrafił sprecyzować co. Flynn nie wiedział, że jego kolega często podejmował się nieoficjalnych misji dla wywiadu brytyjskiego. Nie były to wielkie zadania – pełnił w końcu funkcję korespondenta, nie szpiega – ale jak większość dziennikarzy posiadał bystry, analityczny umysł i z łatwością wyławiał szczegóły, którymi żaden wydawca nie pozwoliłby mu zaśmiecać artykułów. Calloway nie wiedział nawet, kto w Moskwie kieruje pracą brytyjskiego wywiadu; wszelkie spostrzeżenia mógł przekazywać jednemu ze swoich przyjaciół w ambasadzie Jej Królewskiej Mości. Informacje te z pewnością trafiały pod właściwy adres.

–A co sądzi o radzieckich stoczniach nasz angielski kolega? – z szerokim uśmiechem zapytał kapitan. • – Dużo nowocześniejsze niż nasze – odparł Calloway.

–Rozumiem, że nie macie u siebie związku zawodowego stoczniowców, kapitanie?

Oficer roześmiał się.

–W naszym kraju nie potrzebujemy żadnych związków zawodowych. Tutaj i tak wszystko należy do robotników.

Taka była urzędowa linia Partii. Naturalnie.

–Czy jest pan oficerem z okrętów podwodnych? – zapytał Anglik.

–Nie! – odparł kapitan i wybuchnął serdecznym śmiechem.

Rosjanie, jeśli chcą, potrafią się śmiać – pomyślał Flynn.

–Urodziłem się na stepach – ciągnął kapitan. – Lubię błękitne niebo i rozległe horyzonty. Czuję głęboki szacunek dla moich kolegów z jednostek podwodnych, ale nie chciałbym z nimi służyć.

–To tak samo jak ja, kapitanie – zgodził się Calloway.

–My, starsi Brytyjczycy, kochamy parki i ogrody. Na jakich okrętach pan pływa?

–Obecnie pełnię służbę na lądzie, ale moją macierzystą jednostką jest lodołamacz „Leonid Breżniew". Prowadziliśmy szereg badań oraz przecieraliśmy szlak wzdłuż wybrzeży Arktyki na Pacyfik.

–To musi być odpowiedzialna praca – powiedział Calloway. – I niebezpieczna.

Podtrzymuj rozmowę, staruszku.

–Tak, wymaga uwagi, ale my, Rosjanie, przyzwyczajeni jesteśmy do zimna i lodu. To zaszczyt wspomagać rozwój gospodarczy własnego kraju.

–Nie mógłbym być marynarzem – ciągnął Calloway.

W oczach Flynna dostrzegł błysk zdumienia: nie mógłbyś, akurat… – Za dużo pracy, nawet w porcie. Tak jak tutaj. Czy u was zawsze taki ruch?

–Och, to wcale nie jest duży ruch – odpalił bez namysłu kapitan.

Przedstawiciel Reutera skinął głową. Na pokładach widać było wiele sprzętu, lecz niewielu ludzi się po nich kręciło.

Większość dźwigów nie pracowała. Ciężarówki stały na parkingach. Lecz na samych okrętach wojennych i różnych jednostkach pomocniczych panował straszny bałagan, jakby… Dziennikarz spojrzał na zegarek. Piętnasta trzydzieści.

Zbliżał się koniec pracy.

–Tak, to wielki dzień dla odprężenia między Wschodem i Zachodem – powiedział, by ukryć swoje myśli. – Pat

i ja przygotujemy wspaniały materiał dla naszych czytelników.

Kapitan ponownie się uśmiechnął.

–To dobrze. Już najwyższy czas na prawdziwy pokój.

Po czterech godzinach spędzonych w niewygodnych, przypominających bardziej narzędzia tortur Torquemady, fotelach samolotu linii Aerofłot, korespondenci wrócili do Moskwy. Wsiedli do auta Flynna – samochód Callowaya był hors de combat z powodu awarii. Anglik żałował, iż zamiast zabrać ze sobą swego morrisa, dał się namówić na korzystanie z radzieckich środków transportu. Za diabła nie mógł dostać części.

–Udany dzień Patrick, co?

–Jasne. Szkoda tylko, że nie pozwolono robić zdjęć.

Sovfoto obiecało im własne fotografie z „ceremonii Cementowania".

–Co myślisz o stoczni?

–Bardzo duża. Spędziłem kiedyś dzień w Norfolk.

Obie są do siebie podobne.

Calloway pokiwał w zamyśleniu głową. Stocznie może i podobne, ale czemu ta w Polarnym wydawała się jakaś dziwna? Czy to tylko jego reporterska wyobraźnia? Ta ciągła podejrzliwość: co on/ona/ono ukrywa? Ale Rosjanie nigdy dotąd nie pozwolili mu odwiedzić bazy morskiej, a był już w Moskwie po raz trzeci. Był też i w Murmańsku.

Raz, kiedy rozmawiał z burmistrzem tego miasta, zapytał, jaki wpływ ma baza morska na życie mieszkańców. Na ulicach roiło się bowiem od mundurów. Burmistrz chciał uniknąć niezręcznego pytania i w końcu odrzekł: „W Murmańsku nie ma floty wojennej". Typowa rosyjska odpowiedź na niewygodne pytanie.

Obecnie po raz pierwszy w historii pozwolono tuzinowi zachodnich dziennikarzy wejść na teren portu okrętów wojennych. Rosjanie niczego nie ukrywają; quod erat demonstrandum. A jeśli ukrywają? Jak napiszę reportaż – postanowił Calloway – napiję się brandy z moim przyjacielem z ambasady. Ponadto i tak wieczorem szykowało się tam jakieś przyjęcie.

Tuż po dwudziestej pierwszej pojawił się w ambasadzie stojącej na Bulwarze Morisa Toreza, dokładnie naprzeciwko piętrzących się po drugiej stronie rzeki murów Kremla.

Skończyło się na czterech szklaneczkach brandy. O czwartej nad ranem korespondent pochylił się nad mapą bazy morskiej i dokładnie wskazał, co i gdzie widział. Godzinę później, wiadomość została zaszyfrowana i przesłana drogą kablową do Londynu.

DALSZE OBSERWACJE

Grassau, Niemiecka Republika Demokratyczna Pracownicy dziennika telewizyjnego święcili swój wielki dzień. Od lat Rosjanie nie pozwalali im sfilmować żadnej swojej jednostki bojowej w akcji i materiał, jaki udało się zdobyć dzięki zwykłej pomyłce, stał się główną atrakcją wieczornego wydania wiadomości NBC.

Na skrzyżowaniu z autostradą 101, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Berlina, stał batalion czołgów.

Gdzieś na trasie skręcił nie tam, gdzie należało, i teraz dowódca jednostki wydzierał się na swoich podwładnych.

Po paru minutach wystąpił kapitan – zaczął coś pokazywać na mapie. Najwyraźniej rozwiązał problem. Od grupy wojskowej oderwał się jakiś major; filmowała go kamera, kiedy, najwyraźniej zgnębiony, wsiadał do służbowego samochodu i odjeżdżał główną drogą na północ. Pięć minut później batalion również ruszył. Reporterzy niespiesznie ładowali sprzęt do mikrobusu, a ich szef zbliżył się wolno do obserwującego całe zajście majora armii francuskiej.

Francuz należał do grupy połączonych wojsk łączności.

Formację tę utworzono po drugiej wojnie światowej.

Obecnie służyła tylko do wzajemnego szpiegowania. Oficer był przygarbionym mężczyzną o twarzy pokerzysty; nosił naszywki spadochroniarza, palił gauloise'y i naturalnie pracował w wywiadzie.

–A co pan o tym powie^ majorze? – zapytał dziennikarz NBC.

–Cztery kilometry stąd powinni skręcić w lewo – wzruszył ramionami Galijczyk.

–Niezbyt to dobrze świadczy o ich orientacji w terenie,

prawda? – roześmiał się reporter, ale Francuz był zamyślony.

–Czy zauważył pan, że towarzyszył im niemiecki oficer?

Reporter widział odmienny mundur, lecz nie zwrócił na to uwagi.

–Aha, to był Niemiec? Czemu więc nie prosili go o pomoc?

–Właśnie, czemu – odparł major.

Nie wspomniał, że już czwarty raz spotkał się z tym, że radziecki oficer unikał pomocy swego wschodnioniemieckiego przewodnika… a wszystkie cztery przypadki zdarzyły się w ciągu ostatnich dwóch dni. Że Rosjanie mylą drogę, było wiadomo od dawna. Oprócz innego języka, mieli jeszcze odmienny alfabet. Często błądzili i z tego względu towarzyszył im zawsze enerdowski oficer. Trwało tak aż do teraz…

–I co pan jeszcze zauważył, monsieur? – Francuz rzucił niedopałek na szosę.

–Pułkownik był wściekły na majora. Potem kapitan, tak mi się wydaje – znalazł błąd i sposób, by go naprawić.

–Ile czasu to zajęło?

–Niecałe pięć minut od chwili, kiedy kolumna się zatrzymała.

–Bardzo dobrze – uśmiechnął się Francuz. Major wrócił do Berlina, a batalion miał nowego oficera operacyjnego; uśmiech na twarzy Francuza przygasł.

–Głupio się tak zgubić, nie?

Francuz wrócił do samochodu, by ruszyć śladem Rosjan.

–Czy pan się kiedyś zgubił w obcym kraju, monsieur?

–Pewnie, komu się to nie przytrafiło?

–Ale szybko naprawili swój błąd, prawda? – major skinął na szofera.

Tym razem sami sobie poradzili – pomyślał. Interessant…

Dziennikarz telewizyjny wzruszył ramionami i podszedł do auta. Podążył za ostatnim czołgiem w kolumnie poruszającej się z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę.

Konwój jechał w kierunku północno-zachodnim i przy autostradzie 187 w jakiś cudowny sposób połączył się 8 – Czerwony sztorm

z inną jednostką radziecką. Zmniejszywszy szybkość do dwudziestu kilometrów na godzinę, oba oddziały ruszyły w stronę poligonu.

Norfolk, Wirginia To robiło wrażenie. W transmitowanym przez moskiewską telewizję dzienniku pokazano cały pułk czołgów sunących przez rozległą równinę. Kierowały się w stronę skrytego za fontannami kurzu wzgórza zalewanego nieustannie zaporowym ogniem artylerii bijącej w symulowane pozycje wroga. Górą przemykały myśliwce bombardujące, a helikoptery odprawiały swój taniec śmierci. Komentator twierdził, że armia radziecka gotowa jest stawić czoło każdemu zagrożeniu z zagranicy. I naprawdę na to wyglądało.

Kolejne pięć minut zajęła relacja z rozmów rozbrojeniowych w Wiedniu. Były oczywiście tradycyjne narzekania na upór Stanów Zjednoczonych, które nie chciały uznać pewnych punktów wielkodusznej propozycji radzieckiej. Spiker dodał, że mimo bezkompromisowej postawy Amerykanów osiągnięto pewien postęp i do końca lata możliwe jest wstępne porozumienie. Tolanda zaskoczył sposób, w jaki Rosjanie opisywali negocjacje.

Niewiele dotąd przykładał wagi do telewizyjnej retoryki i niebywale zdumiało go rozgraniczenie na dobrych i złych chłopców.

–Całkiem normalny materiał – odezwał się Lowe. – Zobaczysz, skończą się kłócić i dobiją targu. Na razie mówią, że nasz prezydent to wspaniały człowiek, choć wróg klasowy. Potem zaczną śpiewać w euforii. To naprawdę łagodny materiał. Pomyśl tylko, jakiego zazwyczaj języka używają, mówiąc o nas.

–A manewry wyglądają normalnie?

–Całkiem. Jak to zabawnie jest pomyśleć sobie, że stajesz naprzeciw setki czołgów. Zauważyłeś, że każdy dysponuje trzynastocentymetrowej średnicy działem? Pomyśl o wsparciu artyleryjskim. Pomyśl o lotnictwie. Rosjanie

naprawdę wierzą w taką kombinację różnych jednostek.

Kiedy przyjdą do ciebie, przyjdą z całym inwentarzem.

–I jak ich odeprzeć?

–Oddać inicjatywę. Pozwolić, by przygotowali się do wszystkiego po swojemu i obserwować.

–To samo na morzu?

–Tak.

Kijów, Ukraina Aleksiejew nalał sobie herbaty i dopiero wtedy podszedł do biurka dowódcy. Uśmiechał się od ucha do ucha.

–Towarzyszu generale, „Postęp" przebiega bardzo dobrze.

–Wiem, Pawle Leonidowiczu.

–Nigdy bym w to nie uwierzył. Wyśmienita jest ta nowa kadra oficerska. Po usunięciu starego balastu nowi ludzie aż palą się do działania, a ponadto są rzeczywiście zdolni.

–Więc egzekucja tych czterech pułkowników poskutkowała – zauważył sardonicznie dowódca Południowo-Zachodniego Teatru Wojny.

Przez pierwsze dwa dni śledził przebieg manewrów ze swej kwatery głównej i całym sercem pragnął znaleźć się na polu walki. Ale nie na tym polegała rola dowódcy tej rangi.

Obserwował wszystko oczyma Aleksiejewa.

–Było to trudne posunięcie, ale słuszne. Wyniki mówią same za siebie – wspomnienie czynu zgasiło cały jego zapał. Ciągle miał to w pamięci. Zrozumiał już, że problem trudnych decyzji

nie leży w ich podejmowaniu, ale w umiejętności życia ze świadomością ich konsekwencji, bez względu na to, jak słuszne byłyby te decyzje. Odepchnął od siebie tę myśl. – Jeszcze dwa tygodnie ćwiczeń i Armia Czerwona będzie gotowa. Wtedy możemy pokonać NATO.

–Nie będziemy walczyli z NATO, Pasza.

–W takim razie niech Allach ma Arabów w opiece – odparł Aleksiejew.

–Niech Allach nas ma w opiece. Dowódca zachodniego teatru zabrał nam kolejną dywizję czołgów – wskazał ręką

depeszę. – Tę, w której byłeś dzisiaj na inspekcji. Ciekawe, jak mu tam idzie?

–Jak donoszą mi szpiedzy, całkiem dobrze.

–Wstąpiłeś do KGB, Pasza?

–W sztabie dowódcy zachodniego teatru mam kolegę jeszcze ze szkoły. Tam również wypowiedzieli wojnę niekompetencji. Widziałem skutki. Nowy człowiek na stanowisku ma więcej bodźców do energicznego działania niż ktoś, kto popadł w rutynę.

–Nie dotyczy to naturalnie samej góry.

–Dowódca zachodniego teatru jest człowiekiem, o którym nie powiem dobrego słowa, ale z tego, co słyszałem, wynika, że szkoli swoje siły w podobny sposób jak my.

–Skoro jesteś tak wielkoduszny, sprawy ułożą się dobrze.

–Układają się, towarzyszu. Kolejna nasza dywizja zabrana do Niemiec. Cóż, potrzebują ich więcej. Uwierz, wymieciemy Arabów jak kurz z wyłożonej śliskimi kafelkami podłogi. Tak naprawdę to żaden problem. Nie ma ich wielu, są tacy sami jak ci, których trzy lata temu widziałem w Libii i nie mają gór, żeby się schować. To nie Afganistan.

Poza tym naszym zadaniem jest podbój, nie pacyfikacja.

A na to nas stać zawsze. Liczę, że zajmie to dwa tygodnie.

Przewiduję jeden problem: zniszczenie pól naftowych. Mogą zastosować taktykę spalonej ziemi, temu trudno będzie zapobiec nawet naszym spadochroniarzom. Ale powtarzam jeszcze raz, nasz cel jest zupełnie osiągalny. Ludzie będą gotowi.

OSTATNI RZUT OKA

Norfolk, Wirginia – Trzeba coś zrobić z twoim natychmiastowym przeniesieniem, Chuck. – Czekał ich czwarty przekaz satelitarny telewizji radzieckiej i Toland wręczył Lowe'emu kubek prażonej kukurydzy. – Nie ma co mówić, szkoda byłoby, gdybyś wrócił do Korpusu.

–Ugryź się w język! O szesnastej zero zero we wtorek pułkownik Charles DeWinter Lowe wraca do swoich spraw w piechocie morskiej. Grzebanie w papierach zostawiam wam, gryzipiórki.

Toland roześmiał się.

–Nie będziesz tęsknić za naszym wieczornym kinem?

–Może trochę.

W odległości niecałego kilometra odbiornik satelitarny śledził radzieckiego satelitę komunikacyjnego i dwa inne podobne mu obiekty. Od dwóch tygodni kradli sygnały telewizji sowieckiej, oglądając przy okazji wieczorne kino.

Obaj podziwiali twórczość Siergieja Eisensteina.

Aleksander Newski był arcydziełem.

Toland otworzył puszkę coca-coli.

–Ciekaw jestem, co Iwan powiedziałby o westernach Johna Forda? Czuję, że towarzysz Eisenstein mógłby jeden lub dwa tematy wykorzystać.

–Równie dobrze pasowałby mu Duke, albo jeszcze lepiej Errol Flynn. Wracasz wieczorem do domu?

–Zaraz po filmie. Boże słodki, czterodniowy weekend.

Nie mogę się doczekać.

Napisy szły w innym porządku niż w tej wersji, którą Toland miał w domu na kasecie. Oryginalna ścieżka dialogowa pozostała bez zmian, trochę ją tylko oczyszczono,

ale muzyka była inna – w wykonaniu orkiestry Państwowej Filharmonii Moskiewskiej z towarzyszeniem chórów. Wspaniała interpretacja partytury Prokofiewa.

Film zaczynał się widokiem rosyjskich… stepów? Toland nie był tego pewien. Może przedstawiono południowe regiony kraju? W każdym razie była to wielka, porośnięta trawą równina, na której walały się ludzkie kości i broń; resztki jakiejś dawnej bitwy z Mongołami. Nad Rosją wciąż wisiało Żółte Niebezpieczeństwo. Związek Radziecki wchłonął wprawdzie wielu Mongołów, ale teraz Chińczycy dysponowali bronią jądrową i najliczniejszą armią świata.

–Znakomita kopia – zauważył Lowe.

–O całe niebo lepsza od tej, którą mam w domu -przyznał Toland.

Nagrywali film jednocześnie na dwa magnetowidy VHS, ale taśmy musieli przynieść swoje. Inspektor generalny przy dowództwie lotnictwa strategicznego na Atlantyku miał paskudną opinię.

Rzecz rozgrywa się nad brzegami Bałtyku – przypomniał sobie Toland. Pojawieniu się głównego bohatera towarzyszyła pieśń, a on sam prowadził kilku ludzi obładowanych sieciami rybackimi. Bardzo dobry, socjalistyczny początek – przyznali obaj oficerowie: bohater wykonuje pracę fizyczną. Krótkie wprowadzenie narratora, mówiące o Mongołach, potem chwila zadumy nad tym, kto stanowi większe zagrożenie dla jedności Rosji – Niemiec czy Mongoł.

–Jezu słodki, oni ciągle jeszcze myślą tymi kategoriami? – zachichotał Toland.

–Wiele rzeczy się zmienia… – Lowe otworzył z sykiem puszkę coli.

–Popatrz na bohatera. Kiedy wskoczył za siecią do wody, biegł z ramionami uniesionymi wysoko jak panna.

–Spróbuj sam przebiec się w wodzie głębokiej do kolan – burknął marines.

Na ekranie zaczął się wątek Zagrożenia Niemieckiego.

–Gromada wyzutych z dóbr rycerzy, jak krzyżowcy. Do diabła, to przypomina nakręcone w latach trzydziestych filmy o Indianach. Posiekani ludzie, dzieci wrzucane do ognia.

–Myślisz, że naprawdę tak było?

–A słyszałeś o takim miejscu jak Auschwitz, Bob? – zapytał Lowe. – Działo się to w naszym cywilizowanym, dwudziestym wieku.

–Tym rycerzom nie towarzyszył biskup.

–Poczytaj o wyzwoleniu Jerozolimy przez krzyżowców.

Albo zabijali, albo jeszcze przed zabiciem gwałcili, a wszystko ku Większej Chwale Bożej. Biskupi i kardynałowie tylko udzielali błogosławieństwa. Zacna gromadka. Tak, tak zapewne było naprawdę. Jeden Bóg wie, ile takich rzeczy zdarzyło się po obu stronach frontu wschodniego w latach 1941-1945. To była straszliwa kampania. Chcesz jeszcze kukurydzy?

W końcu naród, przeważnie chłopi, zerwał się do boju.

Wstawajtie, liudi russkije, na sławnyj bój, na smiertnyj bój…

–Do diabła – Toland pochylił się na krześle. – Oni rzeczywiście mogą tą pieśnią znokautować.Ścieżka dźwiękowa, mimo pewnych usterek spowodowanych transmisją satelitarną, była prawie idealna.

Powstań rosyjski ludu, do walki, na bój śmiertelny.

Powstań wolny, odważny ludu, bronić swej ziemi ojczystej!

Toland naliczył w pieśni ponad dwadzieścia rodzajów specyficznego użycia słowa „Rosja" lub „rosyjski".

–To dziwne – zauważył. – Próbują od tego uciec.

Związek Radziecki ma być raczej jedną, szczęśliwą rodziną, nie Nowym Rosyjskim Imperium.

–Myślę, że można to określić mianem kaprysu historii – odparł Lowe. – Stalin zamówił ten film, by uczulić swych poddanych na niebezpieczeństwo faszyzmu. Stary Józio był Gruzinem, a stał się największym nacjonalistą rosyjskim.

Ciekawe, ale on też należał do bardzo dziwnych podróżników.

Film stanowił charakterystyczną produkcję lat trzydziestych. Bohaterowie jakby żywcem wyjęci z filmów Johna Forda lub Raoula Walsha: samotny, heroiczny książę Aleksander Newski, dwóch odważnych lecz bufonowatych przyjaciół i de rigeur, wątek miłosny. Niemcy butni; przez większość filmu twarze zakrywały im nieprawdopodobne hełmy, zaprojektowane przez samego Eisensteina. Germańscy najeźdźcy podzielili już między siebie Rosję. Jeden z nich mianował się „księciem Pskowa", w którym dokonał straszliwej masakry mężczyzn, kobiet i dzieci; te ostatnie wrzucali do ognisk, by pokazać, kto jest naprawdę panem.

Potem na zamarzniętym jeziorze odbyła się wielka bitwa.

–Tylko szaleniec, wioząc na sobie pół tony żelastwa, wjechałby na zamarzniętą taflę -^- mruknął Toland.

Lowe wyjaśnił, że tak się właśnie wszystko odbyło.

–Wygląda to trochę, jak w naszym: Umarli, ale w butach – dodał pułkownik. – Bitwa jednak jest faktem historycznym.

Walka na lodzie była sceną bardzo epicką. Niemieckie rycerstwo atakowało z pominięciem jakichkolwiek zasad taktyki, rosyjscy chłopi natomiast, dowodzeni mądrze przez Aleksandra i jego dwóch towarzyszy, zastosowali manewr oskrzydlający jak Hannibal pod Kannami. Doszło naturalnie do bezpośredniego pojedynku między Aleksandrem a germańskim wodzem. Wynik tej walki mógł być tylko jeden.

Niemiec przegrał, szyki najeźdźców pękły, a kiedy uciekinierzy próbowali dostać się do brzegów jeziora, trzasnął lód i prawie wszyscy się potopili.

–To bardzo prawdziwe – zachichotał Lowe. – Pomyśl, ile armii pochłonęła sama przyroda

Rosji!

Dalej rozwiązany został wątek miłosny. Obaj przyjaciele zdobyli po pięknej dziewczynie i wyzwolono Psków.

Ciekawa rzecz, książę – który wjeżdżając do miasta wiezie ze sobą w siodle kilkoro dzieci, ani razu nie wykazuje zainteresowania kobietami – kończy wszystko kazaniem.

Aleksander stoi samotnie i mówi, jaki los spotkał tych, którzy najeżdżali Rosję.

–Newski przypomina Stalina, prawda?

–To fakt – zgodził się Lowe. – Silny, samotny mężczyzna, łaskawy jak ojciec; łaskawy i miłosierny! Ale możesz dać sobie spokój, to najbardziej propagandowy film, jaki stworzyło kino. Najlepszą pointą tej historii jest fakt, że kiedy Rosja i Niemcy w rok po nakręceniu tego obrazu podpisały pakt o nieagresji, Eisenstein dostał polecenie, by kierować produkcją Walkirii według Wagnera.

Miało to wrażliwym Niemcom zrekompensować Aleksandra Newskiego.

–Uff, znasz te sprawy dużo lepiej niż ja, Chuck.

Pułkownik Lowe wyciągnął spod biurka kartonowe pudło i zaczął pakować w nie osobiste rzeczy.

–No cóż, skoro masz z kimś walczyć, musisz jak najlepiej poznać swego przeciwnika.

–Sądzisz, że do tego dojdzie?

Po twarzy Lowe'ego przemknęła chmura.

–Dosyć napatrzyłem się w Wietnamie, ale w końcu teraz za to nam płacą, prawda?

Toland wstał i przeciągnął się. Czekała go czterogodzinna jazda.

–Pułkowniku, gryzipiórek jest rad, że mógł z panem pracować.

–Nie było wcale tak źle. Posłuchaj, kiedy zainstaluję się już na dobre z rodziną w Le Jeune, musisz tam od czasu do czasu wpadać. Będziemy łowić wspaniałe ryby.

–Obiecuję, że przyjadę – uścisnęli sobie dłonie. – Powodzenia w pułku, Chuck.

–Powodzenia tutaj, Bob.

Toland, który był już spakowany, od razu udał się do samochodu.

Szybko przejechał Terminal Boulevard i dotarł do autostrady międzystanowej 64. Najbardziej zatłoczony był dojazd do Hampton Roads; potem Toland pomknął trasą szybkiego ruchu. Przez całą drogę przeżywał w myślach film Eisensteina. Najbardziej dręczyła go przerażająca scena w Pskowie, gdzie niemiecki rycerz z krzyżem na płaszczu odrywa od piersi matki dziecko i ciska je w ogień. Czy mógłby ktoś oglądać taką scenę chłodnym okiem? Nie należy się dziwić,

że śpiewana przez masy pieśń Powstań rosyjski ludu stała się na całe lata ulubioną pieśnią. Niektóre sceny wzywały wręcz do okrutnego odwetu; to powód, dla którego wybrano płomienną muzykę Prokofiewa. W pewnej chwili Toland spostrzegł, że nieświadomie nuci tę pieśń. Jesteś oficerem wywiadu… – roześmiał się pod nosem – a myślisz jak ludzie, których śledzisz… bronić swej ziemi ojczystej… Za naszu ziemlju czestnuju!

–Słucham pana? – spytała urzędniczka przy bramce opłat drogowych.

Toland potrząsnął głową. Czyżby śpiewał na głos?

Z głupim wyrazem twarzy wręczył siedemdziesiąt pięć centów. Cóż sobie pomyślała ta dama, słysząc, jak oficer amerykańskiej marynarki wojennej śpiewa po rosyjsku?

Moskwa, RSFRR Parę minut po północy ciężarówka przejechała most Kamienny, minęła skwer Borowitskaja i skręciła w prawo, w stronę Kremla. Przy pierwszym posterunku gwardzistów kierowca zatrzymał pojazd. Papiery miał w porządku i strażnicy machnięciem ręki dali znak, by jechał dalej.

Przed pałacem kremlowskim znajdował się kolejny posterunek. Od służbowej bramy wiodącej do budynku Rady Ministrów dzieliło ich już tylko pięćset metrów.

–Co o tej porze wieziecie, towarzysze? – zapytał kapitan Armii Czerwonej., – Środki czyszczące. Chodźcie, to wam pokażę – kierowca wysiadł z szoferki i przeszedł na tył samochodu.

–Macie przyjemną pracę. W nocy panuje tu spokój.

–To prawda – zgodził się kapitan. Za dwadzieścia minut zresztą kończył służbę.

–Proszę, zobaczcie sami – kierowca odchylił plandekę.

Wewnątrz stało dwanaście puszek mocnego rozpuszczalnika i skrzynia z jakimiś artykułami żelaznymi.

–Dostawa z Niemiec?– zapytał zaskoczony kapitan.

Służbę na Kremlu pełnił dopiero od dwóch tygodni.

–Da. Najlepsze artykuły i sprzęt do czyszczenia poCZERWONY SZTORM • 123 chodzą od

„Krautsa" i ich właśnie używa właśt. To jest płyn do prania dywanów, ten do mycia ścian w toaletach, a tamten do szyb. Skrzynia… zaraz ją otworzę… – pokrywa łatwo odeszła, gdyż gwoździe zostały poluzowane już wcześniej. – Jak widzicie, towarzyszu kapitanie, to części wymienne do niektórych urządzeń. Nawet niemieckie potrafią się zepsuć.

–Otwórzcie jedną puszkę – polecił kapitan.

–Jasne, ale zapach nie przypadnie wam do gustu.

Którą mam otworzyć? – kierowca sięgnął po mesel.

–Tę – oficer wskazał opakowanie ze środkiem do czyszczenia łazienek.

Kierowca roześmiał się.

–Ta akurat najgorzej śmierdzi. Odsuńcie się, towarzyszu. Nie chciałbym, by to paskudztwo prysnęło wam na mundur.

Kapitan był wystarczająco krótko na służbie, by nie odstąpić na bok. Dobrze – pomyślał kierowca. Włożył mesel pod wieczko, przekręcił lekko i pchnął w dół. Dekiel odskoczył, nieco lotnego rozpuszczalnika chlapnęło na uniform kapitana.

–O, cholera! Śmierdziało rzeczywiście fatalnie.

–Ostrzegałem was, towarzyszu kapitanie.

–Co to za gówno?

–Używa się tego do zmywania zacieków z kafelków w kiblu. Z munduru zejdzie łatwo, ale musicie go szybko wyprać. Rozumiecie, kwas; fatalnie działa na wełnę.

Kapitan w pierwszej chwili chciał wybuchnąć gniewem, ale człowiek przecież go ostrzegał. Następnym razem będę już mądrzejszy – pomyślał.

–W porządku, wstawcie do samochodu.

–Dziękuję. I przepraszam za mundur. Nie zapomnijcie go dobrze wyczyścić.

Kapitan skinął ręką żołnierzowi i oddalił się. Żołnierz otworzył bramę. Kierowca i jego pomocnik weszli do środka, po czym wrócili z dwukołowym, ręcznym wózkiem.

–Ostrzegałem go – mruknął kierowca do żołnierza.

–To prawda, towarzyszu – strażnik był wyraźnie rozbawiony. On również kończył służbę, a ponadto nieczęsto zdarzało mu się widzieć oficera w takiej sytuacji.

Kierowca obserwował, jak pomocnik przekłada puszki na wózek, a potem ruszył za nim w głąb budynku, do windy towarowej. Po chwili obaj wrócili po kolejną część ładunku.

Wjechali na drugie piętro, wyłączyli windę i weszli do pomieszczenia magazynowego, dokładnie pod wielką salą konferencyjną na trzecim piętrze.

–Dobry numer z tym kapitanem – odezwał się pomocnik. – A teraz do dzieła.

–Tak jest, towarzyszu pułkowniku – odparł służbiście kierowca.

Cztery opakowania z płynem do czyszczenia dywanów miały zamienione wieczka, które teraz porucznik zdjął i odłożył na bok, a z blaszanek wyciągnął skórzane torby z ładunkami. Pułkownik odtworzył w pamięci schemat budynku. Słupy nośne ścian mieściły się w zewnętrznych rogach pomieszczenia. Do każdego z nich przyczepił materiał wybuchowy, przymocowując go po wewnętrznej stronie podpór. Wszystko zasłonił pustymi puszkami.

Następnie porucznik zdjął z sufitu dwa sztuczne kasetony, odsłaniając stalowe szyny podtrzymujące płyty podłogowe trzeciego piętra. Pozostałe ładunki przymocowali do tych szyn, a kasetony włożyli z powrotem. Ładunki miały już zamontowane detonatory. Pułkownik wyjął więc z kieszeni elektroniczne urządzenie do odpalania, ustawił swój zegarek, odczekał trzy minuty, następnie nacisnął guzik regulatora czasowego. Bomby miały wybuchnąć dokładnie za osiem godzin.

Potem pułkownik zaczekał, aż porucznik doprowadzi magazyn do porządku, po czym wzięli wózek i wrócili do windy. Dwie minuty później opuszczali budynek. Pojawił się kapitan.

–Towarzyszu – odezwał się do kierowcy. – Powinniście bardziej oszczędzać starszego człowieka i trochę mu pomagać. Okazać odrobinę szacunku.

–Jesteście mili, towarzyszu kapitanie – pułkownik z cwaniackim uśmiechem wyciągnął z kieszeni pół litra wódki. – Napijecie się?

Współczucie kapitana zniknęło natychmiast. Pracownik pijący na służbie – i to na Kremlu!

–Przejeżdżać!

–Dobrego dnia, towarzyszu – kierowca wsiadł do samochodu i odjechał. Znów musieli zatrzymywać się przy posterunkach, ale papiery mieli w porządku.

Po opuszczeniu Kremla ciężarówka skręciła na północ, na Prospekt Marksa i dojechała nim do kwatery głównej KGB, do budynku pod numerem dwa na Placu Dzierżyńskiego.

Crofton, Maryland – Gdzie dzieciaki? – Śpią – Martha Toland przytuliła się do męża. Miała na sobie coś przezroczystego i niebywale atrakcyjnego. – Cały dzień spędziły ze mną na wodzie, więc od razu poszły spać – uśmiechnęła się figlarnie.

Przypomniał sobie pierwszy taki jej uśmiech; na plaży Zachodzącego Słońca w Oahu. W skąpym kostiumie pływała na desce surfingowej. Do teraz uwielbiała wodę. I ciągle dobrze wyglądała w bikini…

–Czuję jakiś podstęp.

–Bo jesteś takim obrzydliwym, pełnym podejrzeń typkiem z wywiadu – Martha poszła do kuchni, by wrócić z butelką wina „Lancers Rosę" i dwiema szklankami z lodem. – Weź gorącą kąpiel i trochę się odpręż. Kiedy skończysz, pomyślimy, co dalej.

Zapowiadało się wspaniale. A to, co nastąpiło potem, było jeszcze lepsze.

PAMIĘTAJ, PAMIĘTAJ

Crofton, Maryland Ze snu wyrwał Tolanda telefon. Komandor ciągle jeszcze był otumaniony czterogodzinną podróżą z Norfolk i wypitym winem; dlatego też dopiero któryś z kolei dzwonek przywołał go do rzeczywistości. Pierwszą świadomą czynnością było sprawdzenie godziny: druga jedenaście nad ranem.

Druga w nocy, to cholernie wczesna pora – pomyślał, przekonany, że ktoś robi mu głupie kawały lub po prostu wykręcił zły numer. Po chwili jednak podniósł słuchawkę.

–Halo – odezwał się grubym od snu głosem.

–Proszę z komandorem-porucznikiem Tolandem.

Hmmm.

–Przy telefonie.

–Tu oficer dyżurny wywiadu dowództwa Floty Atlantyckiej – odezwał się bezosobowy głos. – Ma pan natychmiast stawić się w biurze. Proszę potwierdzić odbiór polecenia, komandorze.

–Natychmiast do Norfolk. Rozumiem – Bob instynktownie przekręcił się na plecy i usiadł na łóżku. Gołe nogi spuścił na podłogę.

–Doskonale, komandorze – telefon po tamtej stronie wyłączył się.

–Co się dzieje, kochanie? – spytała Martha.

–Muszę wracać do Norfolk.

–Kiedy?

–Teraz.

Natychmiast się rozbudziła i usiadła wyprostowana na łóżku. Kołdra zsunęła się jej z piersi i wpadające przez okno światło księżyca lśniło na skórze bladym, eterycznym blaskiem.

–Przecież dopiero przyjechałeś!

–Nie wiem tego?

Bob wstał i potykając się poczłapał do łazienki. Jeśli miał do Norfolk dojechać żywy i cały musiał wziąć prysznic i wypić kawę. Kiedy dziesięć minut później, mydląc twarz, zajrzał do pokoju, stwierdził, że żona włączyła w sypialni telewizor – Cable Network News.

–Bob, powinieneś tego posłuchać. – „W transmisji na żywo, mówi do was z Kremla Rich Suddler" – odezwał się sprawozdawca w niebieskim blezerze. W tle Toland widział ponurą, kamienną ścianę starodawnej cytadeli, ufortyfikowanej jeszcze przez Iwana Groźnego. W kadrze co chwila pojawiały się sylwetki uzbrojonych żołnierzy w polowych mundurach. Toland przerwał golenie i podszedł do telewizora. Działo się coś niezwykłego. Kompania uzbrojonych po zęby żołnierzy patrolujących Kreml mogła znaczyć wiele bardzo niedobrych rzeczy. – „W budynku Rady Ministrów w Moskwie miała miejsce tragiczna w skutkach eksplozja. Około wpół do dziesiątej rano czasu moskiewskiego, kiedy w odległości ośmiuset metrów od miejsca wypadku nagrywałem reportaż, nasza ekipa usłyszała dobiegający od strony wielkiego, niedawno wzniesionego ze szkła i stali gmachu huk spowodowany nagłą detonacją…" – „Rich, tu Dionna McGee ze studia" – obraz Suddlera i Kremla przesunął się na bok ekranu; drugą połowę zajęła przystojna brunetka, prowadząca nocne studio CNN. – „Domyślam się, że rozmawiałeś już z kimś z radzieckiej ochrony. Jakie są ich reakcje?" – „No cóż, Dionna, jeśli zaczekasz minutę, aż technicy przygotują taśmę, możemy pokazać…" – przycisnął mocniej słuchawki do uszu. – „Już to mamy, Dionna…" Ekran wypełnił nieruchomy obraz. Widać było na nim uchwyconego przez kamerę w półruchu Suddlera. Lekko pochylony do przodu wskazywał coś palcem. Zapewne fragment ściany, która pogrzebała zwłoki komunistycznych dostojników – pomyślał Toland.

Obraz zaczął się ruszać.

Na ekranie Suddler drgnął i obrócił się w stronę, skąd dobiegał donośny grzmot, wypełniający hukiem rozległy plac. Kamerzysta pod wpływem zawodowego impulsu natychmiast skierował w tamtą stronę obiektyw. Obraz przez chwilę falował, ale szybko nabrał ostrości. Ukazała się olbrzymia kula kurzu i dymu dobywająca się z nowoczesnej budowli otoczonej zewsząd architekturą słowiańskiego rokoko. W sekundę później kamera zaczęła utrwalać poszczególne sceny. Najpierw przejechała po trzech piętrach budynku odartego ze szklanych płyt, potem pokazała wielki, spadający na ziemię stół konferencyjny. W tle wisiały cudem trzymające się na sześciu konstrukcyjnych szynach płyty podłogowe. Następnie obraz pokazał ulicę, na której leżały jakieś zwłoki, a dalej, obok pogruchotanych gruzem samochodów, następne.

Po paru sekundach plac zaroił się biegnącymi umundurowanymi postaciami. Zaczęły nadjeżdżać pojazdy służb miejskich i wojska. Jakaś rozmazana postać mężczyzny w mundurze

nieoczekiwanie zasłoniła obiektyw kamery.

Taśma zatrzymała się i na ekranie pojawił się Rich Suddler, a w dolnym lewym rogu napis: NA ŻYWO. – „W tej właśnie chwili towarzyszący nam kapitan milicji – milicja jest radzieckim odpowiednikiem… eee… to coś w rodzaju naszej policji państwowej – kazał zatrzymać kamerę i skonfiskował taśmę. Nie wolno nam było filmować wozów strażackich ani kilkusetosobowego oddziału uzbrojonych żołnierzy, którzy obecnie pilnują całego terenu. Taśmy niebawem zwrócono i dzięki temu mogliśmy pokazać ten film. Muszę uczciwie przyznać, że nie czuję do kapitana urazy – to były naprawdę straszne chwile." – „Czy coś ci groziło, Rich? Chodzi mi o to, czy zachowywali się…" Suddler energicznie pokręcił głową. – „Nie, Dionna. Tak naprawdę to robili wszystko, by zapewnić nam bezpieczeństwo. Oprócz tego kapitana milicji towarzyszyła nam grupa żołnierzy Armii Czerwonej, których dowódca oświadczył, że jest po to, by nas chronić, nie

krzywdzić. Nie mogliśmy podejść do samego miejsca wypadku ani, naturalnie, opuścić terenu. Kilka minut temu oddali taśmę i oświadczyli, że możemy nadać to na żywo." – Kamera znów pokazała budynek. – „Jak sama widzisz, pracuje tu około pięciuset strażaków, milicjantów i żołnierzy. Przetrząsają ruiny w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Jest też ekipa telewizji radzieckiej; robią dokładnie to samo co my." Toland uważnie obserwował ekran. Zwłoki, które widział, wydawały się przeraźliwie małe. Przypisał to odległości i perspektywie. – „Dionna, jesteśmy świadkami pierwszego w historii Związku Radzieckiego aktu terrorystycznego na wielką skalę…" – Od czasu, kiedy skurwiele sami go dokonali – parsknął Toland. – „Wiemy na pewno – to znaczy, tak nas poinformowano – że w budynku Rady Ministrów eksplodowała bomba. Są przekonani, że to bomba, a nie nieszczęśliwy wypadek. Są trzy ofiary śmiertelne, może więcej, i około czterdziestu – pięćdziesięciu rannych.

I na koniec jedna, niebywale interesująca rzecz: wybuch nastąpił w tym samym czasie, gdy miało się odbyć posiedzenie Politbiura".

–O kurwa! – Toland odstawił krem do golenia w aerozolu na nocny stolik. Jedną rękę miał umazaną mydłem. – „Czy ktoś z ich przywódców jest zabity lub ranny?" – natychmiast spytała spikerka. – „Nie wiem, Dionna. Widzisz, znajdujemy się czterysta metrów od miejsca katastrofy, a ponadto dostojnicy przybywają tu samochodami i wjeżdżają do środka bramą po drugiej stronie fortecy. Nikt z nas nigdy nie wie, czy są już w środku, czy też nie; ale przydzielony do naszej grupy kapitan milicji wiedział i zdradził się. Jego słowa brzmiały dokładnie tak:»Boże wielki, w środku jest całe Politbiuro!« – „Rich, a możesz nam w paru słowach powiedzieć, jaka jest reakcja Moskwy?" 9 – Czerwony sztorm

–„Naprawdę trudno w tej chwili to określić, Dionna.

Cały czas jesteśmy tutaj i obserwujemy rozwój wypadków.

Reakcję gwardii kremlowskiej możesz sobie wyobrazić.

Myślę, że tak samo zareagowaliby ludzie z amerykańskiej Secret Service – mieszanina zgrozy i wściekłości. Muszę jednak wyraźnie podkreślić, że gniew ich nie jest skierowany przeciw komuś konkretnemu; a już z pewnością nie przeciw Amerykanom. Powiedziałem naszemu oficerowi milicji, że byłem na Kapitolu, kiedy w siedemdziesiątym roku wybuchła tam bomba Weathermana. Odpowiedział mi z rozgoryczeniem, że komunizm w bardzo szybkim tempie dogania kapitalizm i że w Związku Radzieckim pleni się coraz większe chuligaństwo. To, że funkcjonariusz radzieckiej milicji tak otwarcie porusza temat tabu, stanowi pewien wskaźnik nastrojów społecznych. Reakcję określiłbym jednym słowem: szok.

Pokrótce więc podsumuję, co wiemy. W murach Kremla wybuchła bomba. Była to prawdopodobnie próba zamachu na radzieckie Politbiuro; muszę jednak podkreślić, że nie jest to informacja oficjalna. Milicja oświadczyła, że co najmniej trzy osoby poniosły śmierć, a około czterdziestu jest rannych. Poszkodowanych odtransportowano do pobliskiego szpitala. W miarę napływania dalszych szczegółów będziemy na bieżąco informować w naszych programach dziennych. Na żywo, z Kremla, mówił Rich Suddler, CNN." Ekran ponownie wypełnił obraz studia. – „A teraz dalsze doniesienia własne Cable Network News" – stwierdziła Dionna z telewizyjnym uśmiechem i na ekranie pojawiła się reklama „Lite Beer" Millera.

Martha wstała z łóżka i nałożyła szlafrok.

–Zaraz zrobię kawę.

–O kurwa – ponownie mruknął Toland.

Golił się dłużej niż zwykle. Dwukrotnie się przy tym zaciął, gdyż raczej patrzył sobie w oczy niż na policzki.

Potem szybko włożył mundur i zajrzał do pokoju dzieci.

Postanowił jednak ich nie budzić.

Czterdzieści minut później jechał na południe autostradą 301. Otworzył szeroko okno, przez które wpadało orzeźCZERWONY SZTORM • 131 wiające, nocne powietrze. Włączył radio i wyszukał stację, która cały czas nadawała wiadomości. Zdawał sobie sprawę, co musi dziać się w armii amerykańskiej. Na Kremlu przypuszczalnie wybuchła bomba. Toland dobrze wiedział, że często informacje reporterów są blokowane lub też ekipy telewizyjne, próbując zdobyć natychmiast sensację, nie mają po prostu czasu wszystkiego dokładnie sprawdzić. Może to pękł przewód gazowy? Chyba w Moskwie mają już gaz?

Bob wiedział, że jeśli była to rzeczywiście bomba, Rosjanie pomyślą w pierwszym odruchu, że maczał w tym palce Zachód i ogłoszą alarm. To, co sądzi Suddler, jest bez znaczenia. Zachód naturalnie w przewidywaniu jakichś akcji radzieckich natychmiast uczyni to samo. Trudno o coś bardziej oczywistego. Nie trzeba więcej prowokacji. Pole do popisu dla ludzi z wywiadu i tajnych służb. Tak mogliby to odebrać Rosjanie. Raczej w ten sposób to rozegrają – zawyrokował Toland, przypominając sobie próby zamachów na amerykańskich prezydentów.

A jeśli naprawdę tak pomyślą? – zastanowił się. Po chwili odrzucił tę możliwość. – Nie, z pewnością wiedzą, że nikt nie byłby,na tyle szalony.

A gdyby jednak?

Norfolk, Wirginia Jechał jeszcze trzy godziny. Żałował, że wypił mało kawy, a wiele wina i, by nie zasnąć, słuchał uważnie radia.

Do celu dotarł po siódmej, w porze, kiedy zaczynał się normalny dzień pracy. Zaskoczył go widok pułkownika Lowe'ego siedzącego za biurkiem.

–W Le Jeune mam stawić się dopiero we wtorek, więc postanowiłem tu wrócić i przyjrzeć się rozwojowi wydarzeń.

Jak podróż?

–Dojechałem żywy; tyle tylko mogę powiedzieć. Co się dzieje?

–Spodoba ci się – Lowe podniósł wydruk teleksu. – Podkradliśmy to Reuterowi, a CIA potwierdziła, to znaczy, również zapewne podkradła komuś informacje, że KGB

aresztowało Gerhardta Falkena, nacjonalistę z Niemiec Zachodnich, oskarżywszy go o podłożenie bomby na tym pieprzonym Kremlu! – Oficer piechoty morskiej wziął głęboki oddech. – Żadna gruba ryba nie poniosła szwanku, ale wśród ofiar znajduje się sześciu pionierów – nomen omen z Pskowa! – którzy zostali zaproszeni tam przez Politbiuro. Dzieciaki. To będzie piekielna afera.

Toland potrząsnął głową. Gorzej już być nie mogło.

–I twierdzą, że zrobił to ten Niemiec?

–Zachodni Niemiec – poprawił Lowe. – Służby wywiadowcze Paktu Atlantyckiego szaleją, by czegoś się o nim dowiedzieć. Rosjanie oficjalnie podali jego imię, nazwisko, adres – jakieś przedmieścia Bremy – oraz zawód; był właścicielem niewielkiej firmy importowo-eksportowej. Na razie brak dalszych doniesień, ale rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oświadczyło, iż ma nadzieję, że „ten przerażający akt międzynarodowego terroryzmu" nie zaważy na wynikach negocjacji rozbrojeniowych w Wiedniu i choć radziecki rząd nie wierzy, by Falken działał z własnej inicjatywy, „nie chce też wierzyć" w jego powiązania z nami.

–Urocze. Marnujesz się w swoim pułku, Chuck. Masz taką łatwość wynajdywania potrzebnych cytatów.

–Komandorze, bardzo szybko będziemy potrzebowali mego pułku. Nos mówi mi, że sprawa śmierdzi jak zgniła ryba. Jeszcze wczoraj wieczorem ostatni z filmów Eisensteina, Aleksander Newski, nowa cyfrowa kopia, nowa ścieżka dźwiękowa – a przesłanie? „Powstań rosyjski

ludu", Niemcy nadchodzą! A dzisiaj, proszę"; sześcioro zamordowanych, rosyjskich dzieci z Pskowa! A o podłożenie bomby podejrzany jest Niemiec. Brak w tym subtelności, to jedyne, co mi tu nie pasuje.

–Może – odparł z namysłem Toland. Występował wyraźnie jako adwokat diabła. – Jak myślisz, moglibyśmy sprzedać tę kombinację faktów do gazety lub komuś w Waszyngtonie? To zbyt szalone, zbyt przypadkowe; gdyby nawet było subtelne, to niezdarnie subtelne. Nie chodziło przecież o to, by przekonać nas, ale przekonać

swoich obywateli. Twierdzisz, że to działa w obie strony.

Więc czy ma to sens, Chuck?

Lowe pokiwał głową.

–Wystarczy sprawdzić. Powęszmy trochę. Po pierwsze, chcę byś zatelefonował do CNN w Atlancie i dowiedział się, jak długo Suddler starał się o pozwolenie nagrania relacji z Kremla. Ile miał czasu na realizację, kiedy zatwierdzono mu audycję, do kogo musiał się zwracać i czy reportaż cenzurował jeszcze ktoś poza jego agencją prasową.

–Piękna teoryjka – powiedział Toland. Zastanawiał się, czy naprawdę są tak bystrzy i przenikliwi, czy po prostu obaj wpadli w paranoję. Wiedział dobrze, jakiego zdania byłyby osoby postronne.

–Do Rosji trudno przemycić nawet „Penthouse'a" – chyba że w przesyłce dyplomatycznej – a my mamy uwierzyć, że Niemiec przeszmuglował bombę? A potem próbował wysadzić w powietrze Politbiuro?

–Czy myślisz, że maczaliśmy w tym palce? – zapytał wzburzony Toland.

–Jeśli CIA była na tyle szalona. Boże drogi, to więcej niż szaleństwo – Lowe zamrugał oczami. – Nikomu by to nie wpadło do głowy, nawet samym Rosjanom. Kreml jest tak dobrze strzeżony! Promienie Roentgena, psy, kilkuset gwardzistów, wojsko, KGB, jednostki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych;.zapewne jeszcze i milicja. Do diabła, Bob, sam wiesz, jak paranoicznie boją się własnych obywateli. Więc co tu mówić o Niemcach?

–Zatem nie uwierzą, że działał w pojedynkę.

–A to znaczy…

–Dobrze – Toland sięgnął po słuchawkę, by zadzwonić do CNN.

Kijów, Ukraina – Dzieci! – wychrypiał Aleksiejew. Dla maskirowki Partia morduje nasze dzieci! Nasze dzieci! Do czegośmy doszli?

Do czego ja doszedłem? Jeśli potrafiłem racjonalnie

usprawiedliwić morderstwo czterech pułkowników i kilkunastu żołnierzy, czemu by Politbiuro nie miało poświęcić dzieci…

Jednak jest różnica – powiedział do siebie Aleksiejew.

Generał również był blady jak ściana, kiedy wyłączył telewizor. – „Powstań rosyjski ludu". Nie wolno nam o tym teraz myśleć, Pasza. To ciężkie, wiem, ale nie wolno. Państwo nie jest idealne, ale temu Państwu musimy służyć.

Aleksiejew dokładnie studiował twarz dowódcy. Generał prawie dławił się słowami, lecz wiedział, jak mówić do tych nielicznych, którzy znali prawdę. Musieli dalej wykonywać swe obowiązki, jakby nic się nie wydarzyło. Przyjdzie dzień zapłaty – pomyślał Pasza – dzień zapłaty za wszystkie zbrodnie, jakich dopuszczono się w imię Postępu Socjalistycznego. Zastanawiał się przez moment, czy doczeka tej chwili, zdecydował, że raczej nie.

Moskwa, RSFRR› Do czego doszła Rewolucja – pomyślał Siergietow, spoglądając na gruzy. Mimo iż było późne popołudnie, słońce wciąż jeszcze stało wysoko. Strażacy i wojsko skończyli uprzątać teren i teraz ładowali stojące nie opodal ciężarówki.

Siergietow miał zakurzone ubranie. Będę musiał je oczyścić – pomyślał, obserwując siódme, małe zwłoki podnoszone delikatnie z ziemi. Ciągle brakowało jednego pioniera i ciągle istniała jakaś wątła nadzieja. Lekarz w wojskowym mundurze rozpinał drżącymi rękami ubranie dziecka. Po lewej stał major piechoty i głośno płakał. Niewątpliwie ktoś z rodziny.

Kamery telewizyjne pracowały. Nauczyliśmy się już tego od Amerykanów – stwierdził Siergietow. Reporterzy przepychali się na miejsce akcji, rejestrując każdy najdrobniejszy szczegół dla wieczornych wiadomości. Zaskoczył go widok ekipy telewizji amerykańskiej pracującej ramię w ramię z radziecką. No cóż, zrobimy z przerażającego morderstwa międzynarodowe widowisko.

Siergietow był zbyt wzburzony, by okazywać emocje. To mogłem być ja – uświadomił sobie. – Zawsze brałem udział w tych porannych, wtorkowych posiedzeniach. Każdy o tym wiedział. Strażnicy, urzędnicy i oczywiście towarzysze z Politbiura. Tak zatem wygląda przedostatni element maskirowki. By mieć pretekst, by poprowadzić naszych ludzi, musimy robić takie rzeczy. Czy pod gruzami pogrzebani zostali również członkowie Politbiura? – zadał sobie pytanie. Naturalnie jego młodsi członkowie.

Z pewnością się mylę – mówił w duchu Siergietow.

Z jednej strony chłodno rozważał problem, a z drugiej wspominał przyjaźń z niektórymi starszymi członkami Politbiura. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

Osobliwa sytuacja dla przywódcy Partii.

Norfolk, Wirginia – „Nazywam się Gerhardt Falken" – mówił mężczyzna. – „Do Związku Radzieckiego dostałem się przez Odessę sześć dni temu. Dziesięć lat byłem agentem Bundesnachrichtendienst, placówki wywiadowczej w Niemczech Zachodnich. Nakazano mi zgładzić członków Politbiura podczas jego porannej, wtorkowej sesji. Bomby umieściłem w magazynie położonym piętro niżej, dokładnie pod salą konferencyjną." Lowe i Toland wpatrywali się w ekran telewizora jak urzeczeni. To było zrobione perfekcyjnie. „Falken" mówił doskonale po rosyjsku, płynnie i z dykcją, która zadowoliłaby najbardziej wymagającego nauczyciela tego języka w Związku Radzieckim. Akcent miał leningradzki. – „Prowadziłem od wielu lat w Bremie przedsiębiorstwo importowo-eksportowe specjalizujące się w handlu ze Związkiem Radzieckim. Wielokrotnie odwiedziłem ten kraj i pod pozorem handlu prowadziłem działalność szpiegowską, której celem było rozpracowanie radzieckiej partii i infrastruktury wojskowej." Zbliżenie. Falken czytał monotonnym głosem z jakichś kartek, rzadko podnosząc wzrok. Nosił okulary. Miał

podbite jedno oko. Kiedy przewracał strony, lekko drżały mu ręce.

–Wygląda na to, że dali mu wycisk – zauważył Lowe.

–Ciekawe – odparł Toland. – Pokazują jednak, że traktują ludzi brutalnie.

Lowe parsknął.

–Faceta, który wysadza w powietrze małe dzieci?

Możesz takiego skurwiela spalić na stosie, a nikt nie powie marnego słowa. W tym tkwi głębsza myśl, mój przyjacielu. – „Pragnę oświadczyć" – kontynuował pewniejszym głosem Falken – „że nie miałem zamiaru krzywdzić tych dzieci. Politbiuro to cel polityczny, ale z dziećmi mój kraj nie prowadzi wojny." Zza kamery dobiegł zmieszany gwar gniewnych głosów i, jakby w odpowiedzi, kamera cofnęła się, pokazując dwóch oficerów w mundurach KGB stojących po obu stronach mówiącego oraz ze dwadzieścia innych, cywilnych osób znajdujących się w głębi sali. – „Po co przyjechałeś do naszego kraju?" – zapytała jedna z nich. – „Już to wyjaśniłem." – „Czemu twój kraj pragnął zabić przywódców radzieckiej Partii?" – „Jestem szpiegiem" – odparł Falken. – „Wypełniałem zadanie. Nie zadaję takich pytań; wykonuję tylko rozkazy." – „Jak zostałeś schwytany?" – „Aresztowano mnie na Dworcu Kijowskim. Jak wpadli na mój ślad, nie wiem." – Sprytnie – zauważył Lowe.

–Nazwał siebie szpiegiem – sprzeciwił się Toland. – A nie powinien. Powinien powiedzieć: agentem. „Agent" to cudzoziemiec na czyichś usługach, a „szpieg" to paskudny facet. Używają przecież takiej samej terminologii jak my.

Godzinę później trzymali w rękach wydruk teleksu CIA i wywiadu wojskowego. Gerhardt Eugen Falken. Wiek: czterdzieści cztery lata. Urodzony w Bonn. Ukończył szkołę publiczną z dobrymi ocenami. Jego zdjęcie zniknęło z karCZERWONY SZTORM • 137 toteki wyższej uczelni. Służbę wojskową odbył w batalionie transportowym, którego archiwum spłonęło w

pożarze koszar przed dwunastu laty; dokument zwolnienia ze służby znaleziono w jego osobistych papierach. Tytuł uniwersytecki w dziedzinie humanistyki, dobre stopnie, ale znów nie zachowała się żadna fotografia, a trzech profesorów, przed którymi zdawał egzamin magisterski, nie potrafi przypomnieć sobie jego twarzy. Niewielki interes importowo-eksportowy. Nikt nie wie, skąd wziął pieniądze na jego rozruch. Mieszkał w Bremie. Prowadził cichy, skromny i samotny tryb życia. Ale bez przesady. Zawsze kłaniał się sąsiadom, lecz nie utrzymywał z nimi stosunków towarzyskich. Dobry zwierzchnik, „bardzo w porządku" – jak go określił jego sekretarz w firmie. Wiele podróżował. Słowem, znało go sporo osób, niektóre związane z nim były interesami, lecz nikt nic bliższego o nim nie może powiedzieć.

–Wiem już, – co napiszą w gazetach: że człowiek przypisał sobie całą „agencję" – Toland oderwał wydruk, złożył go i wsadził do teczki. Za pół godziny miał być na odprawie u dowódcy Floty Atlantyckiej. – Ale co powiem szefowi?

–Powiedz, że Niemcy zamierzają napaść na Rosję. Kto wie, może tym razem uda się im wreszcie zdobyć Moskwę.

–Daj spokój, Chuck.

–No cóż, może ta awantura miała zmusić Rosjan do wyrażenia zgody na ostateczne zjednoczenie Niemiec, Bob?

Tak twierdzi Iwan – Lowe wyjrzał przez okno. – Mamy do czynienia z klasyczną operacją wywiadu. Ten typek, Falken, to twardy agent. Do licha, nikt nie potrafi powiedzieć, kim jest, skąd przybył ani, naturalnie, dla kogo pracował. Jeśli nie nastąpi jakiś istotny przełom, mogę iść o zakład, że nigdy tego nie ustalimy. Wiemy, raczej sądzimy, że Niemcy nie są aż tak szaleni, ale wszystko wskazuje na nich. Powiedz admirałowi, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

Toland dokładnie tak uczynił i przełożony, który żądał konkretnych informacji, o mało nie urwał mu głowy.

Kijów, Ukraina – Towarzysze, za dwa tygodnie zaczynamy operację przeciw lądowym siłom Paktu Atlantyckiego – zaczął Aleksiejew. Wyjaśnił powody. Zebrani dowódcy korpusów i dywizji przyjęli wiadomość z kamiennym spokojem. – Stanęliśmy w obliczu największego od czterdziestu lat zagrożenia Państwa. Przez cztery miesiące przygotowaliśmy armię. Wy i wasi podwładni.zrobiliście wszystko, ja mogę tylko oświadczyć, że czuję się dumny, iż będę z wami służył Ojczyźnie.

Zaoszczędzę sobie zwykłych partyjnych frazesów – uśmiechnął się lekko. – Jesteśmy zawodowymi żołnierzami armii radzieckiej. Znamy swoje zadania. Wiemy, czemu musimy je wypełnić. Los naszej Rodiny zależy od tego, jak wykonamy misję. Nic innego się nie liczy – zakończył.

Niech to diabli, jeśli się nie liczy…

PORZĄDEK BITWY

Szpola, Ukraina – Możecie zaczynać, towarzyszu pułkowniku – odezwał się przez radio Aleksiejew. Nie dodał: spróbuj mnie zawieść, a będziesz liczył drzewa!

Generał zajmował pozycję na wzgórzu odległym pięćset metrów na zachód-od punktu dowodzenia pułkiem. Obok niego stał adiutant i członek Politbiura, Michaił Siergietow.

Jakbym potrzebował jego towarzystwa – pomyślał niewesoło Aleksiejew.

Najpierw artyleria. Ujrzeli jaskrawe rozbłyski i dopiero po długiej chwili przetoczył się nad nimi huk gromu. Wystrzeliwane zza odległego o trzy kilometry wzniesienia pociski pruły powietrze, wydając dźwięk dartego płótna. Aleksiejew spostrzegł, że członek Politbiura skulił się. Jeszcze jeden cywil…

–Nigdy nie lubiłem tego dźwięku – odezwał się krótko Siergietow.

–A słyszeliście go już wcześniej, towarzyszu ministrze? – zapytał z niepokojem generał.

–Cztery lata służyłem w pułku piechoty zmotoryzowanej. Nigdy nie nauczyłem się dowierzać towarzyszom przy stolikach, na których wyliczają tor wsparcia artyleryjskiego.

Wiem, że to głupie. Przepraszam, towarzyszu generale.

Potem włączyły się działa czołgowe. Obserwowali przez lornetki, jak z lasu, niczym potwory z sennego koszmaru, wytaczają się ogromne czołgi i, pełznąc po rozległym poligonie, zieją ogniem z długich luf. Między pancernymi kolosami posuwały się wozy bojowe piechoty. Potem pojawiły się helikoptery i kołując nad celem to z prawej, to z lewej zaczęły posyłać pociski samosterujące ku makietom bunkrów i transporterów opancerzonych.

Niebawem szczyt wyznaczonego za cel wzgórza prawie całkowicie skrył się w kurzawie, lecz ogień artyleryjski nieustannie przesuwał się po nim w tę i we w tę. Aleksiejew obserwował to wszystko okiem fachowca. Gdyby ktoś naprawdę się tam krył, przeżywałby ciężkie chwile. Żołnierze przeciwnika nie byliby bezpieczni ani w głębokich okopach, ani w transporterach. Zabójczy armatni ogień zerwałby komunikację, uniemożliwiłby dowodzenie. Tak, zapewne.

Ale co z artylerią przeciwnika? Co z jego helikopterami przeciwczołgowymi i lotnictwem, które natychmiast pojawiłoby się przed idącymi do ataku batalionami? W bitwie istnieje tyle niewiadomych. Tyle trudnych do przewidzenia elementów. Tyleż samo powodów do podejmowania co i niepodejmowania ryzykownych decyzji. A gdyby na tym wzgórzu siedzieli Niemcy? Czy przerazili się w roku 1945, gdy armia radziecka stała u wrót Berlina; czy w ogóle można czymkolwiek przerazić Niemców?

W dwanaście minut czołgi i transportery piechoty osiągnęły wierzchołek wzgórza. Manewry były skończone.

–Bardzo sprawnie, towarzyszu generale. – Siergietow zdjął ochronne słuchawki.

Jak to dobrze wyrwać się z Moskwy nawet na parę godzin – pomyślał. Błysnęło mu w głowie, że tutaj czuje się dużo swobodniej i lepiej niż tam, gdzie wypadło mu żyć.

Czy to dlatego, że jest w towarzystwie tego człowieka?

–O ile pamiętam, limit czasu na tę operację wynosił czternaście minut. Czołgi i wozy bojowe piechoty współdziałają znakomicie. Nigdy dotąd nie widziałem opancerzonych helikopterów w akcji; imponujący widok.

–Największe postępy zrobiono w koordynacji ognia artyleryjskiego z atakiem piechoty w końcowej fazie operacji.

Ostatnio fatalnie to sknocili. Tym razem wyszło wyśmienicie; to skomplikowany manewr.

–Tak, wiem o tym – roześmiał się Siergietow. – Moja kompania wprawdzie nigdy od tego nie ucierpiała, ale mam dwóch przyjaciół, których spotkało coś takiego. Na szczęście nie skończyło się najgorzej.

–Proszę wybaczyć, towarzyszu ministrze, że to mówię,

ale miło wiedzieć, że członkowie naszego Politbiura również w mundurach służyli Państwu. To ułatwia kontakt z nami, skromnymi żołnierzami – Aleksiejew wiedział, że nie zaszkodzi mieć przyjazną duszę na dworze, a Siergietow sprawiał wrażenie przyzwoitego gościa.

–Mój starszy syn skończył służbę wojskową w zeszłym roku. Młodszy natomiast, gdy opuści uniwersytet, też przywdzieje mundur Armii Czerwonej.

Generała trudno było czymś zaskoczyć. W tej chwili jednak Aleksiejew odłożył lornetkę i spojrzał szybko na członka Partii.

–Nic nie mówicie, towarzyszu generale – uśmiechnął się Siergietow. – Wiem, jak niewiele dzieci wysokich funkcjonariuszy partyjnych odbywa zwykłą służbę. Jestem temu bardzo przeciwny. Kto chce rządzić, musi przedtem służyć. Ale mam do was kilka pytań.

–Proszę za mną, towarzyszu ministrze. Porozmawiamy na siedząco.

Obaj mężczyźni wrócili do opancerzonego wozu Aleksiejewa. Adiutant dowódcy polecił załodze wyjść, po czym sam się oddalił, zostawiając obu przełożonych we wnętrzu przerobionego transportera. Generał wyjął ze schowka termos z gorącą herbatą i nalał do metalowych kubków parujący płyn.

–Wasze zdrowie, towarzyszu ministrze.

–I wasze, towarzyszu generale – Siergietow zaczerpnął niewielki łyk, po czym odstawił kubek

na stolik z mapami.

–Czy Armia Czerwona gotowa jest do „Czerwonego Sztormu"?

–W porównaniu ze stanem ze stycznia postęp jest zdumiewający. Ludzie są gotowi. Bez przerwy odbywają ćwiczenia. Osobiście wolałbym mieć jeszcze dwa dodatkowe miesiące, ale… tak, myślę, że jesteśmy gotowi.

–Dobrze powiedziane, Pawle Leonidowiczu. Rozmawiamy szczerze?

Choć członek Politbiura powiedział to z uśmiechem, Aleksiejew natychmiast spoważniał.

–Nie jestem głupcem, towarzyszu ministrze. Kłamstwo w tej sytuacji byłoby szaleństwem.

–W naszym kraju często największym szaleństwem jest właśnie prawda. Mówmy otwarcie, jestem członkiem-kandydatem Politbiura. Tak, posiadam władzę, ale obaj znamy jej granice. Inspekcję sił zbrojnych przeprowadzają wyłącznie kandydaci, którzy potem składają raporty pełnoprawnym członkom. Możecie wyciągnąć pewne wnioski z tego faktu, że jestem tutaj, z wami, a nie w Niemczech.

Aleksiejew wiedział, że nie była to tak do końca prawda.

Za trzy dni jednostka znajdzie się w Niemczech, to właśnie było prawdziwym powodem wizyty członka Politbiura.

–Czy naprawdę jesteśmy gotowi, towarzyszu generale?

Czy wygramy?

–Jeśli osiągniemy "zaskoczenie strategiczne i powiedzie się maskirowka… cóż, sądzę, że powinniśmy wygrać – odparł ostrożnie Aleksiejew.

–Pytam, czy wygramy na pewno?

–Służyliście w wojsku, towarzyszu ministrze. Na polu bitwy nigdy nie ma pewności. Jakość armii można poznać dopiero, gdy poleje się krew. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by przygotować ludzi…

–Powiedzieliście, że przydałyby się jeszcze dwa miesiące – przypomniał Siergietow. :- Takie sprawy jak ta nigdy nie są gotowe do końca.

Zawsze można coś poprawić. Zaledwie przed miesiącem zaczęliśmy wymieniać niektórych wyższych oficerów na szczeblu batalionów i pułków na młodszych, bardziej energicznych. Okazało się to rzeczywiście mądrym posunięciem, ale wszyscy ci młodzi kapitanowie, obecnie wykonujący pracę majorów, muszą okrzepnąć, zahartować się.

–Ciągle więc żywicie pewne wątpliwości?

–Wątpliwości istnieją zawsze, towarzyszu ministrze.

Prowadzenie wojny to nie zadanie z matematyki. Mamy do czynienia z ludźmi, nie z cyframi. Cyfry są na swój sposób doskonałe. Ludzie pozostają ludźmi, bez względu na to, co byśmy z nimi próbowali robić.

–To dobrze, Pawle Leonidowiczu. To bardzo dobrze.

Mam do czynienia z uczciwym człowiekiem – Siergietow wzniósł w górę kubek z herbatą. – Przysłano mnie tu na

moją prośbę. Towarzysz z Politbiura, Piotr Bromkowskij, opowiedział mi o waszym ojcu.

–Wujek Pietia? – Aleksiejew skinął głową. – Pełnił funkcję komisarza w dywizji mego ojca podczas ofensywy na Wiedeń. Kiedy byłem mały, często bywał u nas w domu.

Jak on się miewa?

–Słabo. Jest stary i chory. Powiedział, że wojna z Zachodem to czyste szaleństwo. Być może to tylko zrzędzenie starca, ale rejestr jego zasług wojennych jest imponujący i dlatego prosiłem was o rzetelną ocenę naszych szans. Nie zamelduję o was, generale. Zbyt wielu ludzi obawia się mówić nam, Politbiuru, prawdę. Teraz jednak przyszedł czas na szczerość. Potrzebuję waszej profesjonalnej opinii. Jeśli zaufacie mi i powiecie całą prawdę, możecie być pewni, że nie wyciągnę żadnych konsekwencji – prośba ta miała jednak wszelkie cechy rozkazu.

Aleksiejew spojrzał bacznie w oczy gościa. Nie było już w nich cienia łagodności. Stały się niebieskie jak lód. Kryła się w nich zapowiedź niebezpieczeństwa zagrażającego nawet oficerowi w randze generała; ale ten człowiek miał rację.

–Towarzyszu, planujemy błyskawiczną kampanię. Zamierzamy osiągnąć Ren w ciągu dwóch tygodni. Obecnie nasze przewidywania są dużo ostrożniej sze niż te przed zaledwie pięcioma laty. NATO wzmogło swą czujność i gotowość, zwłaszcza w zakresie obrony przeciwczołgowej.

Powiedziałbym, że bardziej realnym terminem jest termin trzytygodniowy, uzależniony zresztą w dużym stopniu od zaskoczenia taktycznego i wielu innych imponderabiliów towarzyszących każdej wojnie.

–Kluczem więc jest zaskoczenie?

–Zaskoczenie jest zawsze kluczem – odparł natychmiast Aleksiejew. Dokładnie cytował radziecką doktrynę wojenną. – Zaskoczenie jest najważniejszym elementem wojny. Istnieją dwa rodzaje zaskoczenia: taktyczne i strategiczne. Taktyczne należy do sztuk operacyjnych i

jest w stanie je osiągnąć dowódca jednostki. Zaskoczenie strategiczne natomiast osiąga się metodą polityczną. Ale to już należy do was, nie do mnie. To rzecz wykraczająca poza

kompetencje armii i poza jej możliwości. Przy powodzeniu strategicznym, jeśli maskirowka spełni swoją funkcję, tak, prawie na pewno na polu bitwy, odniesiemy sukces.

–A jeśli nie?

To morderstwo ośmiorga dzieci okaże się bezcelowe – pomyślał Aleksiejew. – Jaką rolę w tym mordzie odegrał ten sympatyczny człowiek?

–Wtedy możemy przegrać. Czy moglibyście odpowiedzieć na jedno pytanie? Czy zdołamy doprowadzić do rozłamu politycznego Paktu Atlantyckiego?

Siergietow wzruszył ramionami, zakłopotany tym, że wpadł we własne sidła.

–Powiedzieliście, Pawle Leonidowiczu, że istnieje wiele nie dających się przewidzieć elementów. Jeśli więc sprawy potoczą się niepomyślnie, co wtedy?

–Wtedy wojna stanie się kwestią zgromadzonych rezerw i woli zwycięstwa. Powinniśmy z niej wyjść obronną ręką. Dysponując w pobliżu teatru działań lepiej wyszkolonym żołnierzem oraz większą liczbą czołgów i lotnictwa, będziemy w dużo lepszej sytuacji niż wojska NATO.

–A Ameryka?

–Ameryka jest daleko za Atlantykiem. Zablokujemy ocean. Ameryka może wprawdzie do Europy przysłać drogą lotniczą żołnierzy, ale nie broń i paliwo. To wymaga okrętów, a łatwiej zatopić taką jednostkę, niż pokonać dywizję. Jeśli nie osiągniemy zaskoczenia, główny ciężar wojny przeniesie się na wodę.

–A jeśli to Pakt Atlantycki nas zaskoczy?

Generał odchylił się do tyłu.

–Z definicji wynika, że zaskoczenia nie można przewidzieć, towarzyszu. Dlatego też mamy służby wywiadowcze; one właśnie mają zmniejszyć, a nawet całkowicie wyeliminować możliwość zaskoczenia. Dlatego też i nasze plany zakładają różne warianty, w zależności od tego, co się wydarzy. Na przykład, jeśli zaskoczenie się nie uda, albo Pakt Atlantycki uderzy pierwszy… – wzruszył ramionami. – Wiele przez to nie osiągną, ale spowodują sporo

zamieszania. Bardziej trwoży mnie kwestia broni nuklearnej.

I znów jest to problem polityczny.

–Tak – Siergietowa niepokoił problem starszego syna. Gdy nastąpi powszechna mobilizacja, Iwan znów usiądzie za kierownicą czołgu, a Siergietow nie potrzebował być członkiem

Politbiura, by wiedzieć, dokąd zostanie odkomenderowany. Aleksiejew miał tylko córki. Szczęśliwiec, pomyślał Siergietow. „- Mówicie więc, że ta jednostka wysłana zostanie do Niemiec?

–Pod koniec tygodnia.

–A wy?

–W fazie wstępnej stanowić mamy rezerwy dla operacji prowadzonych przez głównodowodzącego teatru zachodniego oraz bronić Ojczyzny przed ewentualnym atakiem z południowej flanki NATO. Ale taka możliwość nie wchodzi w rachubę. Grecja i Turcja, by nam zagrozić, musiałyby działać wspólnie. A nic na to nie wskazuje; chyba że informacje naszego wywiadu są absolutnie błędne.

Mój dowódca i ja przystąpimy z kolei do realizacji drugiej fazy planu i zajmiemy kraje Zatoki Perskiej. To również nie przedstawia większego problemu. Arabowie są wprawdzie uzbrojeni po zęby, ale jest ich niewielu. Co obecnie porabia wasz syn?

–Starszy? Kończy pierwszy rok studiów uniwersyteckich na wydziale filologii obcej. Specjalność: języki Środkowego Wschodu.

Siergietow był zaskoczony tym, że nie przyszło mu to do głowy wcześniej.

–Mam jeszcze parę etatów. Większość moich ludzi władających narzeczami arabskimi to muzułmanie, a wolałbym dysponować kimś bardziej zaufanym.

–Nie dowierzacie wyznawcom Allacha? . – W czasie wojny nikomu nie dowierzam. Możecie być pewni, że jeśli wasz syn dobrze zna te języki, znajdę dla niego zajęcie.

Skinęli porozumiewawczo głowami, każdy z nich zastanawiał się, czy ten drugi tak to sobie właśnie zaplanował. 10 – Czerwony sztorm

Norfolk, Wirginia – „Postęp" nie zakończył się zgodnie z harmonogramem – oznajmił Toland. – Doniesienia satelitarne i wywiadowcze mówią, że siły radzieckie w Niemczech i zachodniej Polsce utrzymywane są w dalszym ciągu w szykach operacyjnych. Istnieją dane świadczące o tym, że w wielu punktach Związku Radzieckiego transport kolejowy gotów jest w każdej chwili do przy wiezienia na Zachód wielkiej liczby żołnierzy.

Radziecka Flota Północna została dziś rano wzmocniona sześcioma okrętami podwodnymi. Ruch ten rzekomo podyktowała konieczność wymiany ich eskadry na Morzu Śródziemnym zgodnie z harmonogramem. Tak zatem przez najbliższe dwa tygodnie na Północnym Atlantyku będą mieli więcej okrętów podwodnych niż zazwyczaj.

–Proszę mi powiedzieć coś bliższego o grupie opuszczającej Morze Śródziemne – polecił naczelny dowódca sił morskich na Atlantyku.

–Victor, echo, juliet i trzy foxtroty. Ostatni tydzień spędziły przy jednostce pomocniczej w Trypolisie; Cieśninę Gibraltarską miną jutro o trzynastej czasu Greenwich.

–Nie czekają na jednostki, które mają je zluzować?

–Nie, admirale. Zazwyczaj wypływają dopiero w chwili, gdy grupa zastępcza znajduje się już na Morzu Śródziemnym; często jednak nie czekają. Daje nam to dwanaście radzieckich okrętów podwodnych odbywających rejs na północ i południe. Ponadto jeden okręt klasy November i trzy dalsze foxtroty, które odbywają aktualnie manewry wspólnie z flotą kubańską. W tej chwili zgrupowane są w jednym miejscu; to wiadomość sprzed dwóch godzin.

–W porządku, a co w Europie? – Żadnych nowych wiadomości o Falkenie nie ma.

Służby wywiadowcze NATO walą głową w mur. Nie nadeszły również żadne nowiny z Moskwy. Tajemnicą jest nawet data publicznego procesu. Niemcy twierdzą, że nie znają tego gościa. Wygląda na to, że w wieku trzydziestu jeden lat pojawił się nagle w Niemczech i rozwinął swój interes. Jego mieszkanie zostało dosłownie rozebrane, deska po desce. Nic nie znaleziono…

–Dziękuję, komandorze. A co mówi pański zawodowy węch?

–Admirale, Falken był ogniwem „uśpionej" sowieckiej siatki umieszczonym w Republice Federalnej Niemiec przed trzynastoma laty. Zatrudniano go bardzo rzadko, jeśli w ogóle. Do teraz.

–Zakłada pan zatem jakąś operację radzieckiego wywiadu? Ale cel, jaki może być jej cel? – zapytał ostro głównodowodzący.

–Sir, w najlepszym przypadku próbują wywrzeć nacisk na Niemców i być może zmusić ich tym do wystąpienia z Paktu Atlantyckiego. W najgorszym…

–Myślę, że najgorszy scenariusz już ustaliliśmy. Dobra robota, Toland. Winien jestem panu przeprosiny za wczoraj.

Nie pańska wina, że nie dysponował pan informacjami, których potrzebowałem. – Toland zamrugał oczyma.

Nieczęsto się zdarzało, by czterogwiazdkowy admirał przepraszał komandora-porucznika rezerwy i to w obecności innych, wysokich rangą oficerów. – A co porabia ich flota?

–Admirale, nie dysponujemy aktualnie zdjęciami satelitarnymi rejonu Murmańska. Zbyt gruba warstwa chmur.

Ale spodziewamy się, że jutro po południu nastąpi przejaśnienie. Norwegowie nieustannie patrolują Morze Barentsa i twierdzą, że poza okrętami podwodnymi w tej chwili Rosjanie nie

operują tam zbyt liczną flotą. Naturalnie, dzieje się tak od miesiąca.

–Sytuacja może się zmienić w ciągu trzech godzin – zauważył admirał. – Pańska ocena ich gotowości bojowej?

–Największa, z jaką spotkałem się od chwili, gdy zacząłem się tym zajmować – odrzekł Toland. – Właściwie stuprocentowa. Jak pan powiedział, sir, w każdej chwili mogą wyprowadzić w morze cały swój inwentarz.

–Jeśli wypłyną, szybko się o tym dowiemy. Mam tam trzy okręty podwodne – wtrącił admirał Pipes.

–Rozmawiałem dziś z sekretarzem obrony. Ma odbyć naradę z prezydentem i zarządać wprowadzenia pogotowia DEFCON-3. Niemcy ze swej strony proszą, byśmy utrzymywali „Zieloną Spiralę" do chwili, aż Rosjanie przyjmą

bardziej ugodową postawę. Co pana zdaniem, komandorze, zrobią Rosjanie? – zapytał główny dowódca.

–Za parę godzin będziemy mieli więcej informacji.

Sekretarz radzieckiej partii ma przemawiać na posiedzeniu nadzwyczajnym Rady Najwyższej, a być może również i na jutrzejszym pogrzebie.

–Sentymentalny, skurczybyk – warknął Pipes.

Godzinę później, podczas transmisji telewizyjnej, Toland zapomniał nawet o obecności Chucka Lowe'ego. Przewodniczący miał nieprzyjemną manierę szybkiego mówienia i to było powodem, że Toland miał niejakie kłopoty z tłumaczeniem. Przemówienie trwało czterdzieści minut, z czego trzy czwarte zajęła zwykła frazeologia polityczna. Na koniec jednak przewodniczący w obliczu przypuszczalnego zagrożenia ze strony Niemiec ogłosił mobilizację jednostek rezerwowych, czyli kategorii B.

PRZYGOTOWANIA DO POGRZEBU

Norfolk, Wirginia Toland zauważył, że Dom Związkowy jest wyjątkowo zatłoczony. Z takimi honorami grzebano zazwyczaj tylko jednego bohatera. Raz wprawdzie znalazło się tam trzech martwych kosmonautów, ale teraz bohaterów było aż jedenastu. Ośmiu pionierów z Pskowa, trzech chłopców i pięć dziewczynek w wieku od ośmiu do dziesięciu lat, oraz trzech cywilnych pracowników, ludzi, których zatrudniało Politbiuro. Zwłoki spoczywały w lśniących, brzozowych trumnach otoczonych morzem kwiatów. Toland z uwagą obserwował scenę. Wieka zostały zdjęte i widać było ofiary; twarze dwóch z nich przykryto kirem i tylko oparte o trumny fotografie w ramkach pozwalały stwierdzić, jak dzieci wyglądały za życia. Pokazano je w straszliwie powolnym zbliżeniu telewizyjnych kamer.

Sala Kolumnowa przybrana była czerwienią i czernią; zakryto nawet ozdobne kandelabry. Rodziny ofiar stały w jedenastu równych szeregach. Rodzice bez dzieci, żony bez mężów i dzieci bez ojców. Mieli na sobie workowate, tandetne ubrania, tak charakterystyczne dla Związku Radzieckiego. Twarze nie wyrażały żadnych uczuć, jedynie szok; jakby ludzie ci nie mogli pogodzić się z nieszczęściem, jakie na nich spadło. Jakby ciągle mieli nadzieję, że to tylko nocny koszmar, że za chwilę się zbudzą i ujrzą swoich bliskich śpiących obok w łóżku. Jednak wiedzieli – to nie był sen.

Przewodniczący Partii szedł posępnie wzdłuż stojących w rzędach ludzi, obejmował każdego, a czarna żałobna opaska na rękawie kontrastowała z barwnym orderem Lenina, wpiętym w klapę marynarki. Toland przyjrzał się

bacznie twarzy sekretarza generalnego. Malował się na niej prawdziwy smutek; jakby chował członków własnej rodziny.

Jedna z matek, w chwilę po tym, jak przewodniczący objął ją i pocałował, opadła na kolana i skryła twarz w dłoniach. Zanim mąż zdążył zareagować, przewodniczący sam ukląkł i objął ją ramieniem. Chwilę później pomógł kobiecie wstać po czym delikatnie pchnął w bezpieczne objęcia męża, kapitana armii radzieckiej, którego twarz przypominała kamienną maskę zakrzepłą w wyrazie nieprzytomnego gniewu.

–Boże wszechmocny – pomyślał Toland. – Sam Eisenstein nie wyreżyserowałby tego lepiej.

Moskwa, RSFRR Ty pozbawiona serca bestio – szeptał do siebie Siergietow. Stał w rzędzie wraz z innymi członkami Politbiura, nie opodal zdjętych wiek. Twarz skierował ku trumnom, lecz wzrokiem śledził cztery kamery telewizyjne transmitujące uroczystość. Ludzie z telewizji zapewnili, że ceremonię ogląda cały świat. Jak znakomicie wszystko to zostało zorganizowane. Przedostatni akt maskirowki. Przy zwłokach pomordowanych dzieci pełnili wartę żołnierze Armii Czerwonej oraz moskiewscy pionierzy. Gdzieś z tła dobiegały dźwięki skrzypiec. Ale cyrk! – mruknął do siebie Siergietow. – Patrzcie, jacy dobrzy jesteśmy dla rodzin tych, których zamordowaliśmy! – W ciągu trzydziestu pięciu lat przynależności do Partii słyszał wiele kłamstw. Sam niejednokrotnie kłamał, z czymś takim spotkał się jednak po raz pierwszy. – Od rana nie mogłem nic wziąć do ust – przypomniał sobie.

Niechętnie wrócił wzrokiem do woskowej twarzy dziecka.

Wspomniał sobie twarze własnych dzieci, dzisiaj już dorosłych. Jakże często, wracając późno do domu z zajęć partyjnych, zakradał się do sypialni chłopców, by popatrzeć na ich spokojne buzie, posłuchać czy normalnie oddychają, posłuchać ich kaszlu, kiedy byli przeziębieni, posłuchać ich pomruków przez sen. Wiele razy powtarzał sobie, że on

i Partia czuwają nad ich przyszłością. Już nigdy nie zakaszlesz, malutki – mówił jego wzrok utkwiony w najbliższe dziecko. – Już nic ci się nigdy nie przyśni. Widzisz, jaką przyszłość zgotowała ci Partia. Oczy wypełniły mu się łzami; nienawidził się za to. Inni mogli potraktować

te łzy jako dalszy ciąg przedstawienia. Chciał się rozejrzeć, by wyczytać w twarzach towarzyszy z Politbiura, co myślą o wykonanej robocie. Zastanawiał się, co sądzą oficerowie KGB, bezpośredni wykonawcy. Jeśli jeszcze żyją – błysnęło mu w głowie. Tak łatwo wysadzić samolot, którym odlecieli… Wszelkie ślady spisku bombowego już zniszczone; tego był pewien, a z trzydziestu osób, które znały kulisy sprawy, ponad połowa znajdowała się tutaj, obok, w tym samym rzędzie. Siergietow prawie żałował, że nie wszedł do budynku pięć minut wcześniej. Lepiej być martwym, niż żyć z takim piętnem. Ale gdyby tam zginął, odegrałby jeszcze ważniejszą rolę w tej brutalnej farsie.

Norfolk, Wirginia – „Towarzysze. Widzimy niewinne dzieci naszego narodu" – zaczął przewodniczący. Słowa wypowiadał wolno i wyraźnie, co ułatwiało Tolandowi tłumaczenie. Obok komandora siedział szef wywiadu dowództwa Floty Atlantyckiej. – „Zabiła je piekielna maszyna terroryzmu. Zabił je naród, który już dwukrotnie skalał naszą Ojczyznę, licząc, że podbije ją i zniszczy. Mamy przed sobą ciała oddanych, wrażliwych pomocników naszej Partii, którzy nie pragnęli niczego innego, jak tylko służyć Państwu. Widzimy męczenników, którzy, strzegąc Związku Radzieckiego, oddali życie.

Widzimy kolejnych męczenników, kolejne ofiary faszyzmu.

Towarzysze! Rodzinom tych niewinnych dzieci, rodzinom tych trzech wspaniałych ludzi mówię, że nadejdzie dzień zapłaty. Mówię, że śmierć ich bliskich nie zostanie zapomniana. Mówię, że wymierzymy sprawiedliwość sprawcom tej przerażającej zbrodni…" – Jezu – Toland przestał tłumaczyć i spojrzał na przełożonego.

–Tak. Wszystko zmierza ku wojnie. Bob, po drugiej stronie ulicy zespół lingwistów pracuje nad pełnym tekstem. Chodźmy więc do szefa – mruknął zwierzchnik wywiadu.

–Jest pan pewien? – zapytał dowódca atlantyckich sił morskich.

–Zawsze istnieje możliwość, że wymyślili coś na mniejszą skalę, sir – odparł Toland. – Ale nie sądzę.

Doprowadzili naród rosyjski do stanu wrzenia. Nigdy się dotąd z czymś takim nie spotkałem.

–Wyłóżmy karty na stół. Twierdzi pan, że celowo zamordowali tych ludzi, by wywołać kryzys – naczelny dowódca spuścił wzrok. – Trudno w to uwierzyć, nawet jeśli idzie o nich.

–Admirale, czy sądzi pan, że to rząd Zachodnich Niemiec postanowił wszcząć wojnę przeciw Związkowi Radzieckiemu? Musiałby, do cholery, postradać zmysły – Toland zapomniał, że w towarzystwie admirałów, mocniejszych wyrażeń mogą używać tylko inni admirałowie.

–Ale dlaczego?

–Nie wiemy. To już sprawa wywiadu, sir. Łatwiej stwierdzić fakt niż zgłębić jego przyczyny.

Głównodowodzący wstał i przeszedł w kąt biura. Wszystko zmierzało do wojny, a on nie wiedział dlaczego. Musiał poznać powód. Powód był sprawą najistotniejszą.

–Zaczynamy mobilizować rezerwy. Toland, przez ostatnie dwa miesiące pracował pan jak sto diabłów.

Zamierzam wystąpić dla pana o awans na pełnego komandora. Jest pan wprawdzie człowiekiem trochę z zewnątrz, ale myślę, że uda się to załatwić. Szef wywiadu Drugiej Floty ma vacat i pytał o kogoś takiego jak pan. Będzie pan w jego zespole osobą numer trzy. Komandorze, trafi pan na lotniskowiec.

–A czy mógłbym dzień lub dwa spędzić z rodziną, sir?

Admirał skinął głową.

–Wiele panu zawdzięczamy. „Nimitz" i tak obecnie jest w drodze. Dotrze pan na niego, gdy znajdzie się u wybrzeży Hiszpanii. Proszę stawić się u mnie w środę

rano ze spakowanymi walizkami – dowódca energicznie potrząsnął ręką Tolanda. – Dobra robota, komandorze.

Trzy kilometry dalej stał „Pharris" przycumowany do okrętu pomocniczego. Ed Morris obserwował z mostka, jak dźwig opuszcza na dziób okrętu torpedy rakietowe ASROC do zwalczania jednostek podwodnych. Załoga natychmiast lokowała je w przeznaczonych dla nich przedziałach. Inny dźwig z kolei przenosił w pobliże rufowego hangaru dla helikopterów zaopatrzenie, które trzecia część załogi w pocie czoła roznosiła do magazynów okrętowych.

Morris dowodził „Pharrisem" już blisko dwa lata, ale po raz pierwszy zdarzyło się, by na okręcie znalazł się komplet wyposażenia bojowego. Ekipa techników naziemnych naprawiała niewielkie usterki" w ośmiokomorowej wyrzutni torped ASROC-ów. Inny zespół specjalistów z okrętu pomocniczego zajmował się radarem. Były to dwie ostatnie rzeczy do naprawy z listy, którą sporządził Morris. Silniki sprawowały się doskonale, dużo lepiej niż można by się było spodziewać po okręcie, który liczył sobie blisko dwadzieścia lat. Za kilka godzin USS „Pharris" będzie gotów… do czego?

–Kapitanie, ciągle nie ma rozkazów? – zapytał pierwszy oficer.

–Nie ma. Wszyscy są ciekawi, co nas czeka, ale na mój nos, nawet góra – Morris zawsze określał admirałów mianem „góry" – sama jeszcze nic nie wie. Jutro rano mam odprawę w dowództwie. Myślę, że tam się czegoś dowiem. Może…

–A co sądzi pan o tej historii z Niemcami?

–Miałem kiedyś na morzu sprzęt „Krautsa" i sprawował się bardzo dobrze. Nikt chyba nie byłby tak szalony, by wysadzać w powietrze całe rosyjskie przywództwo – Morris wzruszył

ramionami, a po śniadej twarzy przebiegł mu cień. – Ale ostatecznie nigdzie nie jest powiedziane, że świat musi być normalny.

–Niech mnie diabli, jeśli nie mam racji. Myślę, kapitanie, że przydadzą się nam te torpedy.

–Chyba ma pan rację.

Crofton, Maryland – Na morze? – Martha Toland była zdumiona.

–Tam mnie potrzebują. Taki mam rozkaz, a w końcu jestem marynarzem – Toland bał się spojrzeć żonie w oczy.

Już sam jej łamiący się głos był wystarczająco paskudny.

Nigdy nie chciał, by jego praca stała się dla niej źródłem niepokoju, a tak się właśnie działo teraz.

–Bob, czy jest aż tak źle, jak myślę?

–Trudno powiedzieć, kochanie. Może tak, może nie.

Posłuchaj, Martha. Pamiętasz Eda Morrisa i Dana McCafferty'ego? Obaj dowodzą okrętami i muszą płynąć. Czy ja mam tak po prostu zostać w bezpiecznym miejscu i wylegiwać się na plaży?

–Oni są zawodowcami, ty nie – odparła sucho. – Jesteś niedzielnym wojownikiem, który co roku odrabia te dwa tygodnie, by wmówić w siebie, że wciąż jeszcze służy w marynarce. Ale tak naprawdę jesteś cywilem. Nie umiesz nawet pływać!

Martha Toland mogła uczyć pływania najwytrawniejszych wilków morskich.

–Aha? nie umiem! – parsknął Toland, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie ma sensu się kłócić.

–A żebyś wiedział! Od pięciu lat nie widziałam cię w basenie. Och, daj spokój, Bob, a jeśli coś ci się stanie?

Wyjeżdżasz sobie bawić się w te cholerne gry, a ja tu zostaję z dzieciakami. I co im powiem?

–Powiesz im, że nie uciekłem, nie schowałem się, że… – Toland odwrócił wzrok. Nie spodziewał się takiej reakcji. Martha pochodziła przecież z marynarskiej rodziny i powinna pewne rzeczy rozumieć. A tymczasem płynęły jej po policzkach łzy i drżały usta. Podszedł do żony i wziął ją w ramiona. – Posłuchaj, przenoszą mnie na lotniskowiec.

To największy okręt, jaki mamy, najbezpieczniejszy, najlepiej strzeżony. Pływa w towarzystwie innych pilnujących go okrętów. Ma sto samolotów. Musimy przewidzieć, co

kombinują różni niedobrzy chłopcy i utrzymać ich jak najdalej od nas. Martho, moja praca jest bardzo ważna.

Potrzebują mnie. Admirał osobiście poprosił. Jestem ważny;

no, ostatecznie inni tak sądzą – uśmiechnął się, by ukryć kłamstwo. Lotniskowiec był najlepiej strzeżonym okrętem we flocie, ponieważ dla Rosjan stanowił cel numer jeden.

–Wybacz mi – wyrwała się z objęć męża i podeszła do okna. – Co słychać u Danny'ego i Eda?

–Są dużo bardziej zajęci niż ja. Nasz Danny'ego jest… no dobrze, obecnie jest dużo bliżej Rosjan, niż ja osobiście kiedykolwiek byłem. Okręt Eda w każdej chwili może wyruszyć w rejs. To okręt eskortowy klasy 1052 i będzie zapewne chronił konwoje przed jednostkami podwodnymi.

Ed i Danny też mają rodziny. A ty ostatecznie jeszcze zobaczysz mnie przed wyjazdem.

Martha odwróciła się. Po raz pierwszy, odkąd niespodziewanie wrócił do domu, miała na twarzy uśmiech.

–Ale będziesz uważał.

–Będę uważał jak cholera.

Ale czy to coś da?

OBCY PRZYBYWAJĄ,

OBCY ODJEŻDŻAJĄ

Aachen, Republika Federalna Niemiec Sprawił to ruch uliczny. Koperta nadeszła do właściwej skrytki pocztowej, kluczyk również pasował. Minimum zaangażowanych osób. Major niechętnie pojawił się tam osobiście, ale nie pierwszy raz wykonywał zlecenie KGB, a ponadto jeśli zadanie miało mieć szansę realizacji, musiał przecież zdobyć najnowsze informacje. Poza tym, uśmiechnął się przelotnie, Niemcy są tak dumni ze swej służby pocztowej…

Major zgiął dużą kopertę, schował do kieszeni kurtki i opuścił budynek. Wszystko, co włożył na siebie, pochodziło z Niemiec, łącznie z przeciwsłonecznymi okularami, które przywdział przed wejściem na pocztę. Rozejrzał się bacznie we wszystkie strony, czy ktoś nie podąża jego śladem. Nikogo nie spostrzegł. Oficer KGB zapewnił go, że ich kryjówka jest całkowicie bezpieczna i nie wzbudza podejrzeń. Być może. Po drugiej stronie ulicy czekała taksówka. Śpieszył się. Samochody akurat przystanęły na światłach, więc postanowił przebiec jezdnię w tym miejscu, a nie wracać do najbliższego rogu. Major pochodził z Rosji i obcy był mu wielki ruch panujący na ulicach europejskich miast, w których także piesi stosować się muszą do obowiązujących przepisów. Znalazł się o sto metrów od stojącego na skrzyżowaniu policjanta.

Ten właśnie się odwracał.

Nie patrząc na boki, major zszedł z krawężnika w chwili, kiedy samochody ruszały.

Nie dostrzegł przyspieszającego właśnie peugeota. Wóz nie jechał szybko, najwyżej dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, ale to wystarczyło. Prawy błotnik uderzył przeCZERWONY SZTORM • 157 biegającego przez jezdnię w biodro, obrócił wokół osi, a siła odrzutu cisnęła mężczyznę na latarnię. Nim pojął, co się dzieje, major stracił przytomność. Miało to tę dobrą stronę, że nie poczuł, jak tylne koła samochodu miażdżą mu wysunięte poza krawężnik stopy. Odniósł poza tym potworne obrażenia głowy, a z rozdartej tętnicy, jak z fontanny, tryskała na chodnik krew. Major leżał bez ruchu twarzą do ziemi. Peugeot natychmiast się zatrzymał i wyskoczyła z niego kobieta. Słychać było głośny płacz dziecka, które nie widziało jeszcze nigdy tyle krwi. Przechodzący obok miejsca wypadku listonosz pobiegł do najbliższego skrzyżowania po policjanta. Ktoś inny wzywał karetkę pogotowia.

Ruch na ulicy zamarł. Z oczekującej taksówki wysiadł kierowca. Zbliżył się do leżącego. Chciał podejść do samego ciała, ale tłoczyło się tam już z pół tuzina ludzi.

–Er ist tot – zauważył ktoś, widząc nienaturalnie białą skórę ofiary.

Major był w szoku powypadkowym. Szoku doznała również kierująca peugeotem kobieta; z oczu płynęły jej łzy, zanosiła się spazmatycznym płaczem. Próbowała tłumaczyć wszystkim, że mężczyzna po prostu wskoczył pod maskę jej samochodu i że nie mogła zahamować. Mówiła po francusku, co jeszcze bardziej powiększało zamęt.

Kierowca taksówki przepchnął się przez tłum gapiów.

Mógł już dotknąć ciała. Musiał odzyskać kopertę… Ale pojawił się policjant.

–Alles zuriick! – polecił funkcjonariusz, przypominając sobie, czego nauczono go na zajęciach; przede wszystkim przejąć inicjatywę. Pamiętał również, że nie wolno ruszać ciała. Ranny miał uszkodzoną głowę, a zapewne i kark.

Dotykać go mogli tylko Experten. Jeden ze świadków zawołał, że karetka jest w drodze. Policjant skinął głową.

Miał nadzieję, że ambulans pojawi się szybko. Sporządzanie statystyk ulicznych kraks było sprawą dużo prostszą niż zajmowanie się nieprzytomnym – a może nawet martwym – mężczyzną, któremu z rozdartej tętnicy bez przerwy tryskała krew. Odetchnął z ulgą, kiedy ujrzał przepychającego się przez tłum porucznika – starszego inspektora.

–Karetka?

–Już w drodze, Herr Leutnant. Jestem Gunther Dieter z wydziału kontroli ruchu. Pełnię służbę na skrzyżowaniu.

–Kto prowadził samochód? – spytał porucznik.

Stojąca obok sztywno kobieta odezwała się po francusku urywanym głosem. Na szczęście włączył się jeden ze świadków zajścia.

–Ten tutaj, nie rozglądając się, wbiegł na jezdnię i pani nie mogła zahamować. Jestem bankierem i wyszedłem z poczty tuż za nim. Chciał nieprzepisowo przebiec jezdnię; nawet się nie rozejrzał. Proszę, oto moja karta wizytowa – bankier wręczył porucznikowi biały kartonik.

–Dziękuję panu, doktorze Miiller. Nie ma pan nic przeciwko złożeniu zeznań?

–Oczywiście, że nie. Możemy od razu udać się na posterunek.

–Doskonale – porucznik rzadko spotykał tak chętnych świadków.

Kierowca taksówki stał z brzegu tłumu. Był doświadczonym oficerem operacyjnym KGB i nie raz widział akcje nieudane; ale ta to… czysty absurd. Zawsze należało się liczyć z tym, że coś stanie na przeszkodzie, przeważnie coś pozornie mało istotnego, jakieś głupstwo. Ale żeby komandosa Specnazu wyeliminowała z akcji prowadząca samochód Francuzka w średnim wieku? Czemuż się, do cholery, nie rozejrzał? Należało kogoś innego wyznaczyć do odebrania koperty i pierdolić te zasrane przepisy. Bezpieczeństwo! – klął w duchu. Polecenie moskiewskiej centrali: minimum zaangażowanych osób. Wracając do taksówki, zastanawiał się, jak to wszystko wytłumaczy. To oni robią błędy. Centrala nigdy.

Nadjechała karetka pogotowia. Sierżant wyjął z kieszeni ofiary portfel i podał go przełożonemu. Ranny nazywał się Siegfried Baum; pięknie – pomyślał porucznik – Żyd; i pochodził z Altony w pobliżu Hamburga. Kobieta prowadząca peugeota była Francuzką i dlatego będzie trzeba towarzyszyć ofierze do szpitala. „Międzynarodowy" wypadek, dodatkowa robota papierkowa. A zamierzał przecież

w Gasthausie po drugiej stronie ulicy wypić poobiedniego pilsnera. Parszywa służba… A do tego jeszcze groźba mobilizacji…

Załoga karetki szybko uwinęła się z pracą. Szyję rannego opatrzono kołnierzem, a na noszach umieszczono deskę ortopedyczną. Połamane kończyny usztywniono szynami.

Obie stopy były fatalnie pogruchotane. Porucznik sprawdził: zajęło to sześć minut. Potem wsiadł do karetki, zostawiając na miejscu trzech funkcjonariuszy, którzy mieli zająć się resztą.

–Jak z nim jest?

–Prawdopodobnie pęknięcie czaszki. Poza tym stracił dużo krwi. Co się właściwie stało?

–Wlazł na jezdnię jak ślepiec.

–Idiota – skomentował sanitariusz. – Jakbyśmy mieli za mało roboty.

–Przeżyje?

–Zależy od uszkodzeń głowy – wzruszył ramionami.

–Niebawem zajmie się nim chirurg. Zna pan nazwisko ofiary? Muszę wypełnić formularz.

–Siegfried Baum, Kaiserstrasse 17, Altona pod Hamburgiem.

–Cóż, za cztery minuty będziemy w szpitalu – sanitariusz sprawdził rannemu puls, zapisał w karcie. – Nie wygląda na Żyda.

–Niech pan ostrożniej wypowiada takie uwagi – ostrzegł go porucznik.

–Sam mam żonę Żydówkę. Ciśnienie krwi gwałtownie spada – sanitariusz pomyślał o kroplówce, ale wolał zostawić decyzję chirurgom. – Hans, zawiadomiłeś już szpital?

–Ja, wiedzą, czego się należy spodziewać – odparł kierowca. – Kto ma dziś dyżur? Ziegler?

–Chyba tak.

Przy wtórze pulsującego dźwięku syreny kierowca wprowadził pojazd w ostry zakręt w lewo. Minutę później zatrzymał mercedesa przed izbą przyjęć. Czekał tam już lekarz i dwóch dyżurnych.

Szpitale niemieckie działają niebywale sprawnie. W ciągu dziesięciu minut nowy pacjent został zaintubowany, podłączony do kroplówki z krwią 0+ i przewieziony na oddział neurochirurgii, gdzie czekał profesor Anton Ziegler.

Porucznik musiał zostać w izbie przyjęć.

–Więc kto to był? – spytał młody lekarz.

Policjant przekazał dane personalne.

–Niemiec?

–Czy coś w tym dziwnego? – zapytał porucznik.

–No cóż, kiedy poinformowano mnie przez radio, że pan też tu jedzie, pomyślałem, że ranny został cudzoziemiec.

–Potrąciła go Francuzka.

–Ach tak. Ale to jednak chyba cudzoziemiec.

–Czemu pan tak sądzi?

–Jego zęby. Zauważyłem to podczas intubacji. Miał metalowe plomby. Fuszerka.

–Może przybył ze strefy wschodniej. – Żadnemu Niemcowi nie przyszłoby coś takiego do głowy. Już stolarz by to lepiej zrobił.

Doktor szybko wypełnił formularz przyjęcia chorego.

–O co panu chodzi?

–To bardzo liche plomby. Dziwne. Człowiek wygląda porządnie. Dobrze ubrany, Żyd. A plomby: pożal się Boże – doktor usiadł. – Oczywiście, spotykamy tu wiele dziwnych przypadków.

–Gdzie są jego rzeczy osobiste?

Porucznik był człowiekiem z natury ciekawskim. Dlatego po odbyciu służby wojskowej w Bundeswehrze wstąpił do policji. Doktor zaprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie jakiś pracownik spisywał właśnie należące do rannego przedmioty.

Ubranie było starannie poskładane, a koszula i marynarka zostały odłożone na bok, by nie pobrudziły krwią czystej odzieży. Obok leżała garść drobnych monet, komplet kluczy i duża koperta. Pracownik wypełniał blankiet, na którym spisywał rzeczy znalezione przy pacjencie.

Policjant wziął do ręki manilową kopertę. Stempel pocztowy mówił, że wysłana została ze Stuttgartu poprzedCZERWONY SZTORM • 161 niego wieczoru. Widniał na niej znaczek za dziesięć marek.

Kierowany jakimś impulsem porucznik wyjął z kieszeni scyzoryk i otworzył przesyłkę. Ani doktor, ani dyżurny nie zaprotestowali. W końcu był oficerem policji.

Wewnątrz znajdowała się jedna większa i dwie małe koperty. Najpierw otworzył większą i rzucił na nią okiem.

Zobaczył jakieś wykresy. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że trzyma w ręku fotokopię dokumentu armii niemieckiej ze stemplem: Geheim. Tajne. Poniżej był napis: Lammersdorf. Jego oczom ukazała się mapa Kwatery Głównej Wojsk Łączności NATO odległej niecałe trzy kilometry od szpitala. W niemieckiej armii porucznik policji miał stopień kapitana rezerwy i przydzielony był do komórki wywiadu. Kim był Siegfried Baum? Policjant otworzył kolejne koperty. Potem sięgnął po telefon.

Rota, Hiszpania Odrzutowiec transportowy przybył punktualnie. Gdy Toland wyszedł z samolotu lukiem towarowym, w twarz uderzył go łagodny wiatr od morza. Na przybyłych czekało dwóch marynarzy. Wskazali Tolandowi stojący w odległości stu metrów helikopter z

pracującym rotorem i komandor ruszył tam spiesznie w towarzystwie czterech mężczyzn.

Pięć minut później byli już w powietrzu; jego pierwszy pobyt na ziemi hiszpańskiej trwał dokładnie jedenaście minut. Podróż mijała w milczeniu. Toland wyjrzał przez małe okno. Lecieli nad rozlaną szeroko błękitną wodą, kierując się na południowy zachód. Potem Amerykanin zaczął rozglądać się po kabinie sea kinga, helikoptera do zwalczania okrętów podwodnych. Szef załogi pełnił jednocześnie obowiązki operatora sonaru i manipulował właśnie przy instrumencie, przeprowadzając najwyraźniej jakiś test. Ściany samolotu były nagie, w ogonie znajdował się magazyn pław sonarowych, a w schowku w podłodze głębinowy przetwornik hydrolokatora. Panowała tu ciasnota, gdyż większość miejsca zajmowało uzbrojenie i aparatura wykrywająca. Po półgodzinnym locie helikopter 11 – Czerwony sztorm

zaczął zataczać kręgi i dwie minuty później osiadł na pokładzie USS „Nimitza".

Na lądowisku doskwierał upał, hałas i śmierdziało paliwem lotniczym. Jeden z pracowników skierował ich ku drabince, po której zeszli na pomost roboczy otaczający pokład startowy. Kolejne drabiny zawiodły ich w niższe rejony śródokręcia. Tam pomieszczenia były już klimatyzowane i panowała względna cisza.

–Komandor-porucznik Toland? – spytał podoficer kancelaryjny.

–Zgadza się.

–Proszę za mną, sir.

Prowadził nowo przybyłego przez zatłoczone jak, królicze klatki pomieszczenia pod lądowiskiem, aż w końcu wskazał otwarte drzwi.

–Pan Toland? – odezwał się oficer o wymiętej, zmęczonej twarzy.

–Toland; chyba, że w tej strefie czasowej mam inne nazwisko.

–Jaką chce pan usłyszeć najpierw wiadomość: dobrą czy złą?

–Złą.

–W porządku, będzie pan musiał spać w kwaterze zbiorowej. Za mało koi, a za dużo pracowników wywiadu.

Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Nie spałem już od trzech dni; dlatego zresztą pan tu jest. Mam też i dobrą wiadomość.

Otrzymał pan kolejne pół paska. Witamy na pokładzie, komandorze. Jestem Chip Bennett – oficer wręczył Tolandowi wydruk teleksu. – Wygląda na to, że lubią pana w dowództwie. Dobrze mieć przyjaciół na górze.

Wiadomość była lakoniczna: komandor-porucznik Robert M. Toland, wydział III, rezerwista marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych mianowany zostaje komandorem, co daje mu prawo do noszenia trzech złotych galonów, ale nie upoważnia jeszcze do pobierania pensji przypisanej tej szarży. Było to jak pocałunek siostry; no, może kuzynki – poprawił się w myślach Bob.

–Lepiej w górę niż w dół. Co mam tu robić?

–Teoretycznie pomagać mi. Jesteśmy jednak tak cholernie zawaleni materiałem, że musimy podzielić nasze terytorium. Pan będzie zajmował się porannymi i wieczornymi raportami dla dowódcy grupy bojowej. Robimy to o siódmej rano i o dwudziestej. Kontradmirał Samuel B. Baker, junior, były dowódca atomowych okrętów podwodnych lubi raporty wnikliwe, jasne, z przypisami i źródłami, które sobie później studiuje. Prawie w ogóle nie sypia. Pańskie stanowisko będzie znajdować się w centrum informacji bojowej, w zespole oficera taktycznego – potarł oczy. – Cóż się porobiło z tym cholernym światem?

–A co? – zapytał Toland.

–Przed chwilą przyszła najświeższa wiadomość. Na Przylądku Kennedy'ego odwołano dziś lot wahadłowca „Atlantis". Podobno jakieś usterki w komputerze. Trzy gazety opublikowały informację, że zamiast niego mają polecieć trzy czy cztery satelity komunikacyjne; tak naprawdę, to satelity zwiadowcze.

–Cóż, chyba wreszcie zaczęli to wszystko traktować poważnie.

Aachen, Republika Federalna Niemiec „Siegfried Baum" obudził się sześć godzin później i zobaczył trzech ubranych w fartuchy lekarskie mężczyzn.

Odczuwał jeszcze bardzo mocno skutki narkozy, toteż obraz świata rozmazywał mu się przed oczyma.

–Jak się czujecie? – zapytał po rosyjsku jeden z mężczyzn.

–Co mi się stało? – odpowiedział major, również po rosyjsku.

No właśnie!

–Zostaliście potrąceni przez samochód i trafiliście do szpitala wojskowego – skłamał mężczyzna. Byli ciągle w Akwizgranie, niedaleko granicy niemiecko-belgijskiej.

–Co… wyszedłem właśnie… – majorowi plątał się język jak pijakowi. Naraz zamilkł. Starał się odzyskać pełnię wzroku.

–Dla ciebie, przyjacielu, już wszystko się skończyło – powiedział mężczyzna, tym razem po niemiecku. – Wiemy, że jesteś ruskim oficerem, a w twoich rzeczach znaleziono tajne

dokumenty rządowe. Jaki miałeś interes w Lammersdorfie?

–Nie mam nic do powiedzenia – odparł po niemiecku „Baum".

–Trochę za późno – warknął przesłuchujący i znów przeszedł na rosyjski. – Ale ułatwimy wam. Lekarz oświadczył, że możemy już spróbować nowego… eee… leku, po którym rozwiąże się wam język. Bądźcie poważni.

Temu nikt się nie oprze. Poza tym przemyślcie swoją sytuację – dodał ostrzej. – Jesteście oficerem obcej armii i przebywacie w Republice Federalnej nielegalnie, podróżujecie na fałszywych papierach, kradniecie tajne dokumenty. W najlepszym wypadku resztę życia spędzicie w więzieniu. Ale biorąc pod uwagę to, co obecnie wyprawia wasz rząd, możemy sięgnąć po środki ostateczne. Jeśli zgodzicie się na współpracę, przeżyjecie i zapewne w przyszłości uda się was wymienić za jakiegoś niemieckiego oficera. Oświadczymy nawet, że wyznaliście wszystko pod wpływem narkotyków; nie spotka was za to nic złego. Jeśli natomiast będziecie się opierać, zginiecie w wypadku ulicznym.

–Mam rodzinę – powiedział cicho major Andriej Czerniawin, starając się przypomnieć sobie cel misji. Strach i skutki narkozy kompletnie zmąciły mu umysł. Nie wiedział ponadto, że przez przewód kroplówki wsączał mu się w żyły thiopental, osłabiając wszelkie wyższe czynności mózgu. Niebawem nie będzie już w stanie przewidzieć żadnych konsekwencji swych czynów. Liczyć się zacznie wyłącznie chwila bieżąca.

–Nie skrzywdzą jej – zapewnił pułkownik Weber.

Był oficerem Bundesnachrichtendienst i w przeszłości miał do czynienia z niejednym radzieckim szpiegiem. – Myślisz, że mszczą się na rodzinie każdego agenta, którego złapiemy? Bardzo szybko zabrakłoby im kandydatów do tajnych służb.

Weber mówił teraz łagodniej. Narkotyki zaczynały działać i kiedy już umysł obcego spowije kompletna mgła, będzie mógł łagodnie go nakłaniać do wyjawienia potrzebnych informacji. Pomyślał, że to zabawne, iż sposobu tego nauczył go psychiatra. Na przekór wielu filmom prezentującym brutalność niemieckich śledczych, nigdy, nawet teoretycznie, nie zajmował się kwestią wydobywania zeznań siłą. Szkoda – pomyślał. Jeśli kiedykolwiek istniała taka potrzeba, to właśnie teraz. Prawie cała rodzina pułkownika mieszkała pod Kulmbach, zaledwie parę kilometrów od granicy.

Kijów, Ukraina – Kapitan Iwan Michajłowicz Siergietow melduje się na rozkaz, towarzyszu generale.

–Siadajcie, towarzyszu kapitanie.

Podobieństwo do ojca zadziwiające – pomyślał Aleksiejew. – Niski i krępy. Te same harde oczy, ten sam błysk inteligencji. Kolejny młody człowiek pnący się w górę.

–Wasz ojciec powiedział mi, że jesteście przodującym studentem zajmującym się językami Środkowego Wschodu.

–Tak jest, towarzyszu generale.

–Czy studiowaliście również ludzi, którzy nimi mówią?

–To nieodłączny element programu, towarzyszu – uśmiechnął się młodszy Siergietow. – Studiowałem Koran.

To jedyna książka, którą większość z nich czytała, a zatem niebywale istotny klucz do psychiki tych dzikusów.

–Widzę, że nie darzycie Arabów sympatią.

–Nie. Ale nasz kraj musi prowadzić z nimi interesy.

Sporo czasu spędziłem z Arabami. Moja grupa w ramach praktyk językowych spotykała się od czasu do czasu z dyplomatami krajów akceptowanych politycznie. Głównie byli to Libijczycy, czasami ktoś z Jemenu lub Syrii.

–Służyliście trzy lata w jednostce czołgów. Czy jesteśmy w stanie pokonać Arabów?

–Izraelowi, który nie dysponuje przecież nawet ułamkiem naszych sił, przyszło to z łatwością. Arabski żołnierz

to ciemny wieśniak, kiepsko uzbrojony i dowodzony przez niekompetentnych oficerów.

Odpowiada gładko na każde pytanie – pomyślał Aleksiejew. – Wyjaśniłby mi zapewne i problem Afganistanu.

–Towarzyszu kapitanie, zostaliście włączeni do mego osobistego sztabu w zbliżającej się kampanii przeciw krajom Zatoki Perskiej. Waszym zadaniem będzie rozwiązywanie wszelkich problemów językowych oraz pomoc w korygowaniu danych naszego wywiadu. Kształciliście się na dyplomatę. To właśnie chcę wykorzystać. Lubię zasięgnąć dodatkowej opinii na temat materiałów dostarczanych mi przez KGB i GRU. Rozumiecie, nie znaczy to, że nie dowierzam towarzyszom ze służb wywiadowczych; po prostu chcę, by ktoś analizował te dane z punktu widzenia armii. Fakt, że jesteście czołgistą, posiada dla mnie podwójną wartość.

I jeszcze jedno pytanie: jak rezerwiści reagują na mobilizację?

–Oczywiście z entuzjazmem – odparł kapitan.

–"Iwanie Michajłowiczu, zakładam, że wasz ojciec powiedział wam o mnie to i owo. Z uwagą słucham słów Partii, ale przygotowujący się do bitwy żołnierz powinien znać prawdę, nie polakierowaną; wtedy tylko będzie mógł spełniać życzenia tej Partii.

Kapitan Siergietow skinął z podziwem głową; zostało to tak subtelnie powiedziane.

–Nasi obywatele są rozgniewani, towarzyszu generale.

Incydent na Kremlu, dokonane na dzieciach morderstwo, doprowadził naród do wściekłości. Myślę, że słowo „entuzjazm" niewiele mija się z prawdą.

–A wy, Iwanie Michajłowiczu?

–Towarzyszu generale, ojciec uprzedził mnie, że zadacie to pytanie. Prosił, bym zapewnił was, że wcześniej nic o tym nie wiedział i że teraz najważniejszą rzeczą jest tak strzec naszego kraju, by podobne ofiary nigdy już w przyszłości nie były potrzebne.

Aleksiejew długo milczał. Dreszczem przejęła go myśl, że Siergietow przed trzema dniami czytał mu w myślach.

Ponadto w tej chwili wprawił go w osłupienie tym, że zwierzył ten straszliwy sekret synowi. Ale istotne w tym

wszystkim było to, że Aleksiejew nie zinterpretował fałszywie intencji człowieka z Politbiura, który rzeczywiście okazał się kimś godnym zaufania. Zapewne jego syn również. Michaił Edwardowicz najwyraźniej był tego samego zdania.

–Towarzyszu kapitanie, należy o tym zapomnieć. Mamy wiele innych, ważniejszych spraw. Będziecie pracować na dole, w pokoju numer dwadzieścia dwa. Obowiązki już czekają. Odmeldujcie się.

Bonn, Republika Federalna Niemiec – To wyłącznie mydlenie oczu – oznajmił cztery godziny później kanclerzowi Weber. Śmigłowiec, którym przyleciał, nie zdążył jeszcze opuścić lądowiska. – Cała historia z bombą jest okrutnym, rozmyślnym mydleniem oczu. « – Wiemy o tym pułkowniku – odparł z rozdrażnieniem kanclerz. Od dwóch dni żył w napięciu, starając się jakoś rozwiązać problem nagłego zaognienia się stosunków niemiecko-radzieckich.

–Herr Kanzler, człowiek, którego mamy obecnie w szpitalu, to major Andriej Iljicz Czerniawin. Do Niemiec dostał się dwa tygodnie temu z Czech na podstawie fałszywych dokumentów. Jest oficerem radzieckiego Specnazu, odpowiednika naszego elitarnego Sturmtruppen. Doznał paskudnych obrażeń w wypadku ulicznym. Głupiec; nie rozglądając się wlazł prosto pod nadjeżdżający samochód.

Znaleźliśmy przy nim komplet planów i wykresy bazy wojsk łączności Paktu Atlantyckiego w Lammersdorfie.

Posterunki straży zmieniono tam miesiąc temu, a dokumenty pochodziły zaledwie sprzed dwóch tygodni. Dysponował harmonogramem pracy wartowników oraz imiennym wykazem oficerów dyżurnych; i to ustalonym trzy dni temu!

W towarzystwie dziesięciu innych osób przekroczył czeską granicę i odebrał instrukcje. Na otrzymany sygnał mieli o północy przypuścić atak na tę bazę. Kolejny sygnał odwoływał akcję lub zmieniał plany. Oba znamy.

–Przybył do Niemiec na długo przed… – kanclerz był zaskoczony. Cała historia wydawała się tak nieprawdopodobna.

–Dokładnie tak. Wszystko pasuje, Herr Kanzler. Z jakichś powodów Iwan zamierza nas zaatakować. Wszystko inne dotąd było mydleniem oczu, miało uśpić naszą czujność.

Oto kopia przesłuchania Czerniawina. Zdradził też przy okazji plany czterech innych operacji Specnazu, wszystkie zbieżne w czasie z radzieckim frontalnym atakiem na nasze granice. Czerniawin znajduje się w szpitalu wojskowym w Koblenz pod czujną opieką. Dysponujemy również taśmą wideo z przesłuchania.

–Czy istnieje możliwość, że to wszystko jest radziecką prowokacją? Czemu nie przywieźli ze sobą tych dokumentów?

Odtworzenie systemu urządzeń w Lammersdorfie dowodzi tego, że potrzebują dokładnych informacji. Latem ubiegłego roku wzmocniliśmy ochronę ośrodków łączności i nasi rosyjscy przyjaciele, planując na nas atak, musieli zaktualizować swoje dane. To, że posiadali te najświeższe dokumenty, budzi niepokój. Jeśli chodzi o ujęcie tego człowieka… – Weber wyjaśnił okoliczności. – Mamy wszelkie powody sądzić, że był to czysty przypadek, a nie kolejna prowokacja. Kierowca, madame Anne-Marie LeCourte jest akwizytorem domu mody. Sprzedaje towar jakiegoś paryskiego projektanta; mało prawdopodobne, by była rosyjskim szpiegiem. Po co by to robili? Chcieli skłonić nas do wejścia do NRD? Najpierw oskarżają nas o atak bombowy na Kreml, a następnie prowokują? To nielogiczne.

Mamy do czynienia z człowiekiem, który, paraliżując tutaj system łączności NATO, miał przygotować grunt do radzieckiej inwazji na Niemcy.

–Ale robić coś takiego… nawet jeśli planują atak…

–Rosjanie mają bzika na punkcie grup „do zadań specjalnych"; lekcja wyniesiona z Afganistanu. To znakomicie wyszkoleni i bardzo niebezpieczni ludzie. Proszę zauważyć, jak sprytnie to przygotowali. Na przykład żydowska tożsamość. Skubani, grają na naszym poczuciu winy w stosunku do tej rasy, prawda? Jakby został zatrzymany przez policjanta, zaraz by podniósł krzyk, jak

to Niemcy traktują Żydów. Co miałby robić taki młody policjant? Prawdopodobnie by go przeprosił i puścił wolno – Weber uśmiechnął się ponuro. To bardzo chytre.

Zaiste, godne podziwu. – Wypadki jednak potoczyły się w sposób nieoczekiwany, a my musimy to maksymalnie wykorzystać. Herr Kanzler, dane te należy natychmiast dostarczyć do najwyższego dowództwa NATO. Na razie obserwujemy ich kryjówkę. Możemy wprawdzie

zająć się tym sami, GSG-9 jest gotowe, ale zapewne będzie to wspólna operacja NATO.

–Muszę najpierw poinformować gabinet. Potem odbędę rozmowę telefoniczną z prezydentem Stanów Zjednoczonych i kolejno z szefami rządów innych krajów Paktu Atlantyckiego.

–Proszę mi wybaczyć, panie kanclerzu, ale nie ma na to czasu. Jeśli pan pozwoli, za godzinę przekażę taśmę oficerowi łącznikowemu CIA, jak również Brytyjczykom i Francuzom. Rosjanie planują atak na nas. Lepiej postawić najpierw na nogi służby wywiadowcze. Ich informacje stworzą grunt dla pańskiej rozmowy z prezydentem USA i pozostałymi politykami. Musimy niezwłocznie przystąpić do akcji, Herr Kanzler. To sprawa życia lub śmierci.

Kanclerz spuścił wzrok.

–Zgoda, pułkowniku. Co pan proponuje zrobić z Czerniawinem?

–Umarł w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym. Wiadomość o tym poda wieczorem telewizja i prasa. W rzeczywistości przejdzie w ręce naszych sojuszników, którzy go dobrze przemaglują. Jestem pewien, że CIA i inne agencje będą chciały go mieć jeszcze przed północą.

Kanclerz Republiki Federalnej Niemiec wyjrzał przez okno swego bońskiego gabinetu. Dobrze pamiętał służbę wojskową, którą odbył czterdzieści lat wcześniej; przerażony nastolatek w opadającym na oczy hełmie.

–I znów to samo.

Jak wiele osób zginie tym razem?

–Ja.

Dobry Boże, jak to będzie wyglądało?

Leningrad, RSFRR Kapitan wyjrzał przez boczne, wychodzące na stronę portu okno mostka kapitańskiego. Holowniki dopchnęły ostatnią barkę do statku i odpłynęły. Ramię uniosło ją kilka metrów i osadziło na rolkach. Pierwszy oficer „Juliusa Fućika" obserwował załadunek z centrali dźwigów, znajdującej się na rufie. Z obsługą porozumiewał się przez radiotelefon. Kiedy dźwig uniósł ciężar do poziomu ostatniego pokładu towarowego, otworzyły się wrota prowadzące do przestronnych pomieszczeń cargo. Załoga szybko przeciągnęła stalowe liny i zaczepiła je o rolki.

Wyciągarki natychmiast odholowały barkę w stronę trzeciego, najniższego pokładu towarowego barkowca klasy Seabee. Wrota zamknęły się, a w środku rozbłysły światła.

Załoga zaczęła zabezpieczać ładunek. Bardzo sprawnie – pomyślał oficer. Z całym towarem uwinęli się w jedenaście godzin; prawie rekord. Teraz pozostało już tylko przygotować statek

do wypłynięcia.

–Ostatnia barka zajmie trzydzieści minut – zameldował pierwszemu oficerowi bosman. Oficer natychmiast przekazał tę wiadomość na mostek.

Kapitan Kierow połączył się z maszynownią.

–Dzwon za trzydzieści minut.

–Tak jest, trzydzieści minut – główny mechanik odłożył słuchawkę.

Teraz kapitan odwrócił się do pasażera, generała spadochroniarzy ubranego w błękitną bluzę oficera marynarki.

–Jak wasi ludzie? – zapytał.

–Niektórzy już cierpią na chorobę morską – roześmiał się generał Andriejew. Z wyjątkiem samego generała żołnierze na statek przybyli w zamkniętych barkach wraz z tonami sprzętu wojskowego. – Dziękuję, żeście pozwolili im poruszać się po dolnych pokładach.

–Prowadzę statek, nie więzienie. Byleby niczego nie dotykali.

–Osobiście wydałem im takie rozkazy – zapewnił Andriejew.

–Doskonale. Za parę dni będą mieli mnóstwo roboty.

–Wiecie, że pierwszy raz w życiu podróżuję statkiem?

–Naprawdę? Proszę się niczego nie obawiać, towarzyszu generale. Taka podróż jest bezpieczniejsza i bardziej komfortowa niż samolot… i wyskakiwanie z niego – roześmiał się kapitan. – To duży statek i dobrze trzyma się na fali, nawet z tak niewielkim obciążeniem.

–Z niewielkim obciążeniem? – zdumiał się generał. – Macie na pokładzie ponad połowę sprzętu mojej dywizji.

–Możemy zabrać dużo ponad trzydzieści pięć tysięcy metrycznych ton ładunku. Wasz sprzęt zajmuje wprawdzie wiele miejsca, ale nie jest ciężki.

Dla generała, który dotąd ciężary przeliczał zawsze pod kątem transportu lotniczego, była to ciekawostka.

Na dole, pod czujną kontrolą kadry, tłoczyło się ponad tysiąc żołnierzy 234. Pułku Powietrzno-Desantowego. Z wyjątkiem krótkich godzin nocnych do momentu, gdy „Fućik" nie minie kanału La Manche, spadochroniarze przebywać mieli pod pokładem. Pogodzili się z tym nad podziw łatwo. Ładownie, mimo że zapełnione barkami i sprzętem, były dużo obszerniejsze niż pomieszczenia wojskowych samolotów transportowych, do których byli przyzwyczajeni. Załoga

statku poprzeciągała deski, łącząc barki w ten sposób, że żołnierze mieli więcej miejsca do spania oraz nie plątali się w pobliżu urządzeń, do których marynarze musieli mieć stały dostęp. Niebawem oficerowie pułku wezwani mieli zostać na odprawę, by zapoznać się z systemami okrętowymi, zwłaszcza z układami przeciwpożarowymi. Panował surowy zakaz palenia tytoniu, ale zawodowi marynarze często podejmowali ryzyko. Zdumiewała ich wyjątkowa uległość buńczucznych zazwyczaj spadochroniarzy. Nawet doborowi żołnierze czuli się nieswojo w nowych warunkach.

Załoga obserwowała to z dużą dozą satysfakcji.

Trzy holowniki zaczęły powoli wyprowadzać jednostkę z basenu portowego. Kiedy już oddaliły się od nabrzeży, pojawiły się dwa dalsze i statek ruszył szybciej w stronę wyjścia z leningradzkiego portu. Generał obserwował kapitana, który, biegając z jednej strony mostka na drugą, wydawał sternikowi komendy. Kapitan Kierow miał blisko

sześćdziesiąt lat, z czego ponad dwie trzecie spędził na morzu.

–Ster zero! – zarządził.:- Mała naprzód.

Generał zauważył, iż sternik oba polecenia wykonał w ciągu sekundy. Nieźle – pomyślał, przypominając sobie cierpkie uwagi, jakie słyszał od czasu do czasu na temat marynarzy z floty handlowej.

Zbliżył się do niego kapitan.

–Och, najgorsze za nami.

–Dzięki wam – zauważył Andriejew.

–Częściowo! Sternicy tych cholernych holowników są chyba bez przerwy pijani. Często zdarzają się im jakieś kolizje.

Kapitan zbliżył się do mapy. Dobra nasza: do Bałtyku już tylko prosty, głęboki korytarz. Mógł się nieco odprężyć.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu.

–Herbata! – zawołał.

Natychmiast zjawił się steward z tacą, na której stały kubki.

–Nie macie na pokładzie trunków? – zapytał zdziwiony Andriejew.

–Jeśli wasi żołnierze niczego nie przemycili, to nie, towarzyszu generale. Na moim statku nie toleruję żadnego alkoholu.

–To prawda – dołączył do nich pierwszy oficer. – Wszystko w porządku. Obowiązuje procedura morska.

Obserwatorzy na posterunkach. Inspekcja pokładów w toku.

–Inspekcja pokładów?

–Zazwyczaj przy zmianie każdej wachty sprawdzamy zamknięcie wszystkich luków, towarzyszu generale – wyjaśnił pierwszy oficer. – Ale mając waszych żołnierzy na pokładzie, robimy to co godzinę.

–Nie ufacie moim ludziom? – spytał z lekką urazą generał.

–A zaufalibyście nam w waszym samolocie? – odparł pytaniem kapitan.

–Macie rację, oczywiście. Przepraszam – Andriejew w każdej sytuacji potrafił rozpoznać zawodowca. – Macie

może paru wolnych ludzi, którzy by przekazali moim młodszym oficerom i podoficerom to, co powinni wiedzieć żołnierze?

Pierwszy oficer wyjął z kieszeni jakieś papiery.

–Naukę zaczniemy za trzy godziny. W dwa tygodnie będziecie prawdziwymi marynarzami.

–Obawiamy się uszkodzeń systemów kontrolnych – dodał kapitan.

–Akurat to was niepokoi?

–Oczywiście. To niebezpieczny rejs, towarzyszu generale. Chciałbym wiedzieć, co wasi ludzie mogą zrobić dla ochrony statku.

Generał wcześniej o tym nie pomyślał. Operacja bowiem wynikła tak nagle, że nie miał okazji wprowadzić żołnierzy w ich obowiązki na morzu. Względy bezpieczeństwa. No cóż, niczego nie daje się przewidzieć do końca.

–Jak tylko będziecie gotowi, przyślę wam dowódcę obrony przeciwlotniczej – umilkł na chwilę. – Jakich uszkodzeń może doznać ten statek i nie zatonąć?

–To nie jest okręt wojenny, towarzyszu generale – uśmiechnął się tajemniczo Kierow. – Niemniej, jak pewnie zauważyliście, prawie cały ładunek stanowią barki. Podwajają one grubość stalowych ścian, co może dać nawet lepszą ochronę niż podział grodziowy na okrętach wojennych. Mam nadzieję jednak, że nie będziemy musieli tego sprawdzać. Tak naprawdę boję się ognia. Większość jednostek podczas bitwy ginie w wyniku pożaru. Jeśli odpowiednio przeszkolimy ludzi, powinniśmy przetrzymać uderzenie jednej rakiety, a zapewne nawet i trzech.

–Moi spadochroniarze w każdej chwili są do waszej dyspozycji – skinął w zamyśleniu głową generał.

–Jak tylko miniemy kanał La Manche… – kapitan wstał i znów spojrzał na mapę. – Przykro mi, że nie mogę zapewnić wam wygodnej podróży. Może w drodze powrotnej.

Generał uniósł filiżankę z herbatą.

–Wypijmy za to, towarzysze. Powodzenia!

–Tak. Powodzenia!

Kapitan Kierow również uniósł filiżankę, wyobrażając sobie, że to szklanka wódki, którą pije za pomyślne przedsięwzięcie. Był gotów. Od czasów młodości, kiedy pływał na trałowcach, nie służył Państwu bezpośrednio i teraz był zdecydowany wypełnić swoją misję do końca.

Koblenz, Republika Federalna Niemiec – Dobry wieczór, majorze – w strzeżonym skrzydle szpitala wojskowego siedział szef bońskiej placówki CIA wraz ze swymi odpowiednikami z Anglii i Francji. Towarzyszyła im dwójka tłumaczy. – Porozmawiajmy o Lammersdorfie.

W przeciwieństwie do Niemców Brytyjczycy dysponowali kartoteką majora Czerniawina, dotyczącą jego działalności w Afganistanie. Mieli nawet, wprawdzie kiepską i niezbyt wyraźną, fotografię człowieka, którego Mudżahedini określali mianem „diabła z Kandaharu". Generał Jean-Pierre de Ville z francuskiego DGSE, jako że najlepiej władał rosyjskim, prowadził przesłuchanie. Czerniawin był strzępem człowieka. Wszelkie próby oporu zniszczyła w nim taśma z nagranymi zeznaniami złożonymi pod wpływem narkotyków. Ów martwy już dla swoich rodaków człowiek, powtórzył więc jeszcze raz to, co wywiad wiedział, ale chciał usłyszeć ponownie. Trzy godziny później pilne depesze trafiły do trzech zachodnich stolic i przedstawiciele służb bezpieczeństwa trzech krajów przygotowali raporty dla rządów pozostałych państw Paktu Atlantyckiego.

GAZ

Wandlitz, Niemiecka Republika Demokratyczna

SCENARIUSZ 6

Prognoza wzorca pogodowego wiosna-lato (wilgotność i temperatura umiarkowane; prawdopodobieństwo deszczu: 35% na dobę); wiatry zachodnie i południowo-zachodnie o szybkości od 10 do 30 km\h; środków trwałych używać przeciw centrom komunikacyjnym, punktom obrony cywilnej, lotniskom oraz magazynom broni nuklearnej i zaopatrzeniu (normalny margines błędu, zob.

Dodatek F do Aneksu 1) – przeczytał pod koniec abstraktu szef komunistycznej partii Niemieckiej Republiki Demokratycznej; czuł w żołądku palenie kwasu.

Podobnie jak w Scenariuszach 1, 3, 4 i 5 ostrzeżenie Z piętnastominutowym wyprzedzeniem umożjiwi jednostkom bojowym i siłom pomocniczym skuteczne zabezpieczenie się za pomocą MOPP-4; pozostaje problem cywilnych mieszkańców, gdyż ponad sto wymienionych wyżej celów, znajduje się w pobliżu wielkich skupisk ludności. Rozkład trwałych środków, takich jak GD (zapewne najskuteczniejszy, radziecki; przegląd radzieckiej literatury tematu, zpb. Dodatek C w Aneksie 2), zostanie spowolniony względnie łagodną temperaturą i zmniejszonym promieniowaniem słonecznym i fotochemicznym. Pozwoli to substancjom aerozolowym płynąć z, wiatrem. Przy stężeniu minimum 2 miligramów na metr sześcienny i uwzględniając gradienty pionowe temperatury oraz, grubość pokrywy chmur, przewiduje się, że opar toksyczny może pojawić się na obszarze NRD i RFN z rozrzutem 0,3% w stosunku do rozmieszczanych celów. Szansę na pojawienie się Zanieczyszczeń spowodowanych bronią chemiczną: plus minus 50%.

Ponieważ Rosjanie planują stężenie środka daleko przekraczające

średnią dawkę śmiertelną (LCT-50), widzimy, że całej populacji niemieckiej grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Zakładając, że odpowiedź^ sił sprzymierzonych na to uderzenie chemiczne będzie miała głównie charakter psychologiczny, użycie radzieckiego środka samo w sobie już, spowoduje skażenie całych Niemiec; spodziewa się, iż na całym obszarze na wschód od Renu po 12 godzinach od chwili rozpoczęcia ataku zginą wszyscy nie wyposażeni w środki obrony cywilnej. Podobny skutek może to wywrzeć na niektóre rejony Czechosłowacji, a nawet zachodniej Polski. Zależeć to będzie od kierunku i szybkości wiatrów. Ponadto należy się spodziewać, iŻ, skażenie takie przedłuży się o 1,5 raza w stosunku do trwałości użytych środków.

Jest to ostatni (i statystycznie najbardziej prawdopodobny) scenariusz, opracowany na podstawie pozostałych.

DZIAŁ VIII: WSTĘPNE

PODSUMOWANIE

Jak odbiorca zdaje sobie sprawę, mimo ostrzeżenia taktycznego postawione w stan alarmu jednostki z, całą pewnością poniosą pewne straty (obniżenie sprawności bojowej w granicach 30-50%; skutki te w równym stopniu odczują obie strony). W połączonych celach wojskowych i cywilno-przemysłowych spodziewane straty wśród ludności cywilnej będą większe niż, przewidywane w przypadku użycia taktycznych broni nuklearnych (200 głowic x ‹100 kt; zpb.

Dodatek A do Aneksu 1). Tak zatem, mimo iż atak chemiczny nie Zniszczy zastanych obiektów przemysłowych, należy przewidywać długo- i krótkoterminowe, ujemne efekty ekonomiczne. Nawet użycie środków nietrwałych w bezpośredniej bliskości pola walki będzie miało straszliwy skutek dla cywilów z powodu bardzo gęstego zaludnienia prowincji niemieckich. Oznaczać to będzie całkowitą niemożność podjęcia przez rządy akcji pełnej ochrony mieszkańców. jeśli chodzi o natychmiastowy efekt, szacowane przez Scenariusz, 2 straty ludności cywilnej – 10000000 – stanowić będą większą katastrofę niż, cyklon w

Bangladeszu z 1970 roku, co w połączeniu z innymi, towarzyszącymi skutkami, przekracza ramy tego studium (załączone materiały celowo pomijają kwestie reperkusji bioekologicznych i przemian chemicznych, zbyt trudnych do przewidzenia; należy zdawać sobie sprawę, że dużo łatwiej jest

badać te problemy, niż, im przeciwdziałać. Może na przykład okazać się konieczny import ogromnych ilości ton larw różnych owadów, nim na terenach wschodnich Europy ponownie wzejdą pierwsze, najprostsze zasiewy)- W warunkach powojennego chaosu pogrzebanie milionów zwłok osób cywilnych może okazać się niewykonalne nawet dla zorganizowanej armii. Ponadto niezbędna do odbudowy produkcji przemysłowej ludność cywilna (nawet przy najbardziej optymistycz,nych wyliczeniach) będzie dosłownie zdziesiątkowana.

Analiza skutków wojny chemicznej na terenach Europejskiego Teatru Wojny, z uwzględnieniem czynników klimatycznych i pogodowych Narodowe laboratoria Lawrence-Livermore

LLNL 88-2504 + CR 8305/89/178

SIGMA 2

Do użytku wewnętrznego

TAJNE

Johannes Bitner nie rzucił raportu do kosza z papierami, ale czuł się tak, jakby umywał ręce. Kolejna cecha wspólna Wschodu i Zachodu – pomyślał zimno. – Ich rządowe raporty sporządzają komputery, a czytają kalkulatory. Jak u nas. Jak u nas.

–Herr Generaloberst – szef Komunistycznej Partii NRD spojrzał na dowódcę sił zbrojnych, który wcześnie rano pojawił się po cywilnemu w towarzystwie innego oficera w prywatnym, wybitym pluszem gabinecie w Wandlitz, położonej pod Berlinem enklawie elity partyjnej. Przynieśli dokument, który dostarczył im wysoko postawiony w Ministerstwie Obrony Niemiec Zachodnich agent NRD. – Czy dokument ten jest zgodny ze stanem faktycznym?

–Towarzyszu sekretarzu, nie mamy oczywiście dostępu do ich komputerów, ale wszelkie wzory, obliczenia trwałości radzieckiej broni chemicznej oraz wykonane przez nich prognozy wzorców pogodowych, to znaczy wszelkie dane, które stanowią podstawę tego studium, zostały dokładnie przeanalizowane przez mój wywiad i zweryfikowane jeszcze 12 – Czerwony sztorm

przez wybranych naukowców z uniwersytetu w Lipsku.

Wszystko zgadza się co do joty.

–W rzeczywistości – odezwał się pułkownik Mellethin, dyrektor Biura Analiz Obcych Operacji, szczupły, skromny mężczyzna z zaczerwienionymi z niewyspania oczyma –

Amerykanie nie doceniają ilości zgromadzonych środków, gdyż ciągle nie wierzą w skuteczność rosyjskiej produkcji i zaopatrzenia.

Dwaj pozostali mężczyźni zauważyli, że słowo „radzieckiej" zastąpił słowem „rosyjskiej".

–Masz coś jeszcze do powiedzenia, Mellethin? – zapytał ostro Bitner.

–Towarzyszu sekretarzu, jaki jest, z punktu widzenia Rosjan, cel tej wojny?

–Neutralizacja NATO i wyciągnięcie z tego maksymalnych korzyści ekonomicznych. Mówcie, co macie do powiedzenia, towarzyszu pułkowniku – rozkazał Bitner.

–Towarzyszu, zwycięstwo Układu Warszawskiego powinno doprowadzić do zjednoczenia Niemiec. Ale mnie chodzi o to, że zjednoczone Niemcy, nawet socjalistyczne Niemcy, stanowić będą dla Związku Radzieckiego zagrożenie strategiczne; ostatecznie jesteśmy bardziej socjalistyczni niż oni, nicht wabr^ – Mellethin wziął głęboki oddech. Czy ryzykował życiem? Nie miało to dla niego większego znaczenia. Jego rodzina nosiła niegdyś nazwisko von Mellethin, a komunizm wcale nie wpajał zawodowym żołnierzom niezachwianej wierności Państwu. – Towarzyszu sekretarzu partii, radzieckie zwycięstwo uczyni z Niemiec, wszystko jedno: socjalistycznych czy kapitalistycznych, kraj jałowy niczym powierzchnia Księżyca. Zginie co najmniej dziesięć do trzydziestu procent naszych obywateli, a ziemia będzie skażona, nawet bez chemicznego odwetu Zachodu. Towarzyszu, dowiedzieliśmy się dzisiaj, że Amerykanie zaczynają dostarczać drogą lotniczą do bazy w Ramstein bomby chemiczne Bigeye. Jeśli nasi „alianci" zrobią użytek z broni chemicznej, Pakt Atlantycki odpowie im tak samo, a wtedy jest całkiem możliwe, że nasz kraj i cała niemiecka kultura zostaną starte na proch. Wydaje mi się,

towarzyszu, iż to właśnie może stanowić dodatkowy, polityczny plan Rosjan.

W twarzy Bitnera nie drgnął ani jeden mięsień i goście nie wiedzieli, że po krzyżu wodza narodu przebiegł zimny dreszcz.

Przed tygodniem uczestniczył w niepokojącym spotkaniu w Warszawie, ale dopiero teraz stały się oczywiste niektóre mętne zapewnienia, jakie dawał mu tam radziecki przywódca.

–I nie ma sposobu, by ochronić naszą ludność cywilną? – zapytał.

–Towarzyszu – westchnął generał. – Tych trwałych środków chemicznych nie trzeba wcale wdychać. Działają przez skórę. Jeśli ktoś dotknie skażonej powierzchni, zatruje się. Gdybyśmy nawet polecili ludziom zaryglować się w domach, to przecież domy i mieszkania w blokach nie są szczelne. Ponadto ludzie muszą coś jeść. Robotnicy pewnych kluczowych gałęzi przemysłu muszą pracować. A służba medyczna, policja, bezpieczeństwo wewnętrzne? Wielu bardzo wartościowych obywateli byłoby w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ów niewidzialny i praktycznie niewy kry walny gaz będzie płynął przez nasz kraj, zostawiając toksyczną warstwę na trawnikach, drzewach, płotach, ścianach domów, samochodach – wszędzie. Wiele z

tego zmyje deszcz. Ale już badania sprzed paru lat wykazały, że trucizny te, ukryte gdzieś głębiej, mogą przetrwać tygodnie, nawet miesiące.

Potrzebowalibyśmy tysięcy ekip odkażających, żeby umożliwić naszym obywatelom wyjście do sklepu. Pułkownik Mellethin ma rację: gdy Rosjanie użyją gazu, a Amerykanie odpowiedzą tym samym, będziemy mieli wiele szczęścia, jeśli za pół roku połowa naszych obywateli pozostanie przy życiu. Łatwiej uchronić się przed skutkami broni jądrowej niż przed gazami; skażenie jądrowe szybko mija.

Du lieber Gott.

Moskwa, RSFRR – Co powiedzieli? – minister obrony prawie ryknął.

–Towarzysze z bratniej, socjalistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej poinformowali nas, iż użycie

broni chemicznej na ich terytorium stanowić będzie śmiertelne zagrożenie dla narodu – odparł sucho minister spraw zagranicznych. – Co więcej, przesłali nam szereg raportów swego wywiadu, które jasno wskazują, iż użycie przez nas takiej broni zdeterminuje tylko NATO i zapewne otworzy drogę innym rodzajom środków masowej zagłady.

–Ależ Niemcy stanowią istotną część planu! – sprzeciwił się minister obrony.

–Towarzysze – zauważył Siergietow – wszyscy świetnie zdajemy sobie sprawę, że środki chemiczne miałyby zgubne skutki głównie dla ludności cywilnej; czyż nie skompromitowałoby to naszej maskirowkfi Czyż nie głosimy, że mamy konflikt z rządem Zachodnich Niemiec? Jak by to wyglądało, gdybyśmy zaraz pierwszego dnia wojny na chłodno wymordowali tysiące cywilów?

Ile niewinnych istot zarżniemy? – pomyślał.

–Jest jeszcze następny problem – odezwał się Bromkowskij. Był stary i schorowany, lecz jego doświadczenia wyniesione z ostatniej wojny z Niemcami oraz poglądy na sprawę obrony budziły powszechny szacunek. – Jeśli zastosujemy tę broń przeciw wojskom NATO, bo nie zdołamy przecież ograniczyć działania gazu wyłącznie do jednostek niemieckich, to czym odpowiedzą? Stany Zjednoczone i Francja już teraz oświadczyły, że gaz traktują jako środek masowej zagłady.

–Amerykański arsenał broni chemicznej to żart – odrzekł minister obrony.

–Z materiałów, jakie przestudiowałem w waszym ministerstwie, wynika coś wręcz przeciwnego – odpalił Bromkowskij. – Zapewne też śmiejecie się z ich pocisków jądrowych! Jeśli wymordujemy tysiące niemieckich cywilów, ich rząd zasypie nasz kraj bombami atomowymi. Czy sądzicie, że kiedy gaz zabije parę tysięcy amerykańskich żołnierzy, amerykański prezydent powstrzyma się przed użyciem broni masowej zagłady? Towarzysze,

przecież dyskutowaliśmy już tę kwestię. Wojna przeciw NATO ma być operacją polityczną, prawda? Obecnie mamy pewność, że do wojny po stronie Niemiec nie włączy się co najmniej jedno państwo. A to już wielkie zwycięstwo polityczne.

Użycie środków chemicznych zniweczy tę przewagę, stawiając nas w bardzo trudnej sytuacji.

Myślę, że Politbiuro nie może tak hojnie szafować chemią.

Towarzyszu ministrze obrony, czy twierdzicie, że wygramy wyłącznie przy użyciu broni masowej zagłady? – starzec pochylił się i mówił z szorstką opryskliwością. – Czyżby zmieniła się sytuacja? Przypomnijcie sobie, jak mówiliście, że jeśli nie uzyskamy strategicznego zaskoczenia, wycofamy armię. Straciliśmy element zaskoczenia?

Minister obrony zesztywniał.

–Armia radziecka jest gotowa i zdolna wypełnić nałożone na nią zadania. Już za późno, by się cofać. To też kwestia polityczna, Pietia.

–Pakt Atlantycki się mobilizuje – wtrącił Siergietow.

–Za późno i bardzo niezdecydowanie – odparł szef KGB. – Wydarliśmy z sojuszu NATO jeden kraj. Pracujemy nad następnymi, siejąc w Europie i w Ameryce dezinformację o zamachu bombowym. Duch walki w krajach należących do Paktu Atlantyckiego jest słaby i nikt nie zechce walczyć w obronie niemieckich morderców. Polityczni przywódcy Zachodu szybko więc znajdą sposób, by wykręcić się od udziału w konflikcie.

–Ale nie wtedy, gdy spacyfikujemy gazem cywilów – pokręcił głową minister spraw zagranicznych. – Stary Pietia i młody SiergietoV mają rację: polityczny koszt użycia tej broni jest po prostu zbyt wysoki.

Waszyngton, D.C.

–Ale dlaczego? Dlaczego to robią? – pytał prezydent.

–Nie wiemy, sir – pytanie prezydenta najwyraźniej zepsuło dobry nastrój dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. – ^ Wiemy, że cała ta afera z zamachem bombowym na Kremlu została sfabrykowana…

–Widział pan artykuł w dzisiejszym „Post"? Prasa twierdzi, że ten Falken przypisał sobie całą „agencję" czy też jej niemiecki odpowiednik.

–Panie prezydencie, prawda jest taka, że Herr Falken

był radzieckim szpiegiem; ogniwem „uśpionej" siatki KGB.

Niemcy niewiele wygrzebali na jego temat. Wygląda to tak, jakby trzynaście lat temu spadł

nagle z nieba i przez kolejne dwanaście prowadził to przedsiębiorstwo importowo-eksportowe. Sir, Rosjanie najprawdopodobniej planują atak na NATO. Na przykład, ani nie zwalniają z wojska rezerwistów, ani też nie ogłaszają nowego poboru, który notabene powinien się był zacząć już kilkanaście dni temu. Ponadto wynikła sprawa tego majora Specnazu, którego schwytali Niemcy. Do Republiki Federalnej przeniknął jeszcze przed zamachem bombowym i miał zniszczyć bazę wojsk łączności Paktu Północnoatlantyckiego. W jakim celu, tego, panie prezydencie, nie wiemy. Możemy dokładnie określić, co Rosjanie robią, ale nie potrafimy dojść przyczyny tych działań.

–Wczoraj wieczorem w przemówieniu do narodu oświadczyłem, że załatwimy to wszystko metodami dyplomatycznymi…

–Możemy. Powinniśmy bezpośrednio skontaktować się z Sowietami – odezwał się doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa państwa. – Niemniej, dopóki nie odpowiedzą pozytywnie na nasz apel, powinniśmy też pokazać, że wchodzimy do interesu. Panie prezydencie, wnoszę o ogłoszenie mobilizacji.

Północny Atlantyk Przechyły boczne „Juliusa Fućifa" sięgały dziesięciu stopni, co niezwykle uprzykrzało żołnierzom życie. Kapitan Kierow zauważył jednak, że jak na lądowe szczury znosili to bardzo dobrze. Marynarze wisieli po obu burtach statku i farbą z pistoletów malarskimi zamalowywali oryginalne oznakowanie, by zastąpić je emblematem Lykes Lines. Żołnierze w tym czasie cięli palnikami nadbudówki, upodabniając sylwetkę statku do „Doktora Lykesa", największego amerykańskiego barkowca klasy Seabee, który zadziwiająco przypominał kształtem „Fucika". Radziecka jednostka zbudowana została przed laty, na podstawie zakupionych

w Ameryce planów, w fińskiej stoczni Valmet. Aktualnie pokryto już czarną farbą całą rufę, gdzie mieściły się podnośniki i wyciągarki, a na bocznych ścianach nadbudówek wymalowano czarny romb – znak amerykańskiego armatora. Oddzielny zespół, używając części z prefabrykatów, trudził się nad zmianą kształtu dwóch kominów.

Najbardziej skomplikowaną pracą było malowanie kadłuba.

Oznakowanie statku bowiem składało się z liter Wysokości sześciu metrów. Wymagało to użycia specjalnych, brezentowych szablonów, a same napisy musiały być wykonane równo i dokładnie.

–Jak długo jeszcze, towarzyszu kapitanie?

–Co najmniej cztery godziny. Praca idzie dobrze – Kierow nie potrafił jednak ukryć niepokoju. Wprawdzie w tym miejscu Atlantyku nie przechodziły żadne regularne drogi morskie, zawsze jednak…

–A jeśli wykryje nas jakiś amerykański samolot lub okręt? – zapytał generał Andriejew.

–Przekonamy się wtedy, jak skuteczne były ćwiczenia waszych żołnierzy w ratowaniu statku; a misja skończy się niepowodzeniem. – Kapitan przeciągnął dłonią po balustradzie wykonanej z wypolerowanego, tekowego drewna.

Dowodził tym statkiem od sześciu lat i zwiedził prawie każdy port na północnym i południowym Atlantyku. – Niebawem nadrobimy stracony czas. Na długiej fali statek popłynie szybciej.

Moskwa, RSFRR – Kiedy chcesz wracać? – zapytał Flynn Callowaya.

–Niebawem, Patrick. Może razem wyjedziemy?

Dzieci obojga mężczyzn studiowały na wyższych uczelniach; obaj też już poprzedniego dnia wysłali żony na Zachód.

–Nie wiem. Płacą mi za najświeższe wiadomości. Nigdy dotąd nie uciekałem. Świadczyły o tym jego blizny. Popatrzył wilkiem na pustą scenę w odległym rogu pomieszczenia.

–Z więzienia w Lefortowie nie prześlesz żadnej wiadomości, przyjacielu – zauważył Calloway. – Jedna nagroda Pulitzera ci nie wystarcza?

Flynn roześmiał się.

–A któż poza mną o tym pamięta? Skąd wiesz, że nie wyślę?

–Bez istotnego powodu też nie opuściłbym posterunku.

Ale skoro ja go mam, Patrick, to i ty powinieneś tak zrobić.

Dopiero zeszłego wieczoru dowiedział się, jak niewielka jest szansa, pokojowego rozwiązania kryzysu – niecałe pięćdziesiąt procent. Po raz setny chyba korespondent Reutera winszował sobie decyzji współpracy ze Służbą Badań Specjalnych.

–Zaczynamy – mruknął Flynn, rozkładając notatnik.

W drzwiach pojawił się minister spraw zagranicznych i podszedł do mównicy. Wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

Ubranie miał zmięte, kołnierzyk koszuli nie grzeszył czystością; zupełnie jakby całą noc pracował ciężko nad rozwiązaniem niemieckiego kryzysu metodami dyplomatycznymi. Nałożył okulary i obrzucił salę spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

–Panie i panowie, wielkie nadzieje związane z trwającymi rok negocjacjami między Wschodem a Zachodem rozwiały się jak dym. Tygodnie tylko dzieliły Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i pozostałe kraje biorące udział w rokowaniach wiedeńskich od ostatecznego porozumienia w sprawie kontroli strategicznych broni jądrowych. Ameryka i

Związek Radziecki zawarły korzystną umowę na dostawy zboża., które jeszcze teraz dociera do Odessy nad Morzem Czarnym. Nasze narody zaczęły sobie ufać, czego najlepszym dowodem* jest liczba przybywających do nas z Zachodu turystów. Niestety, wszystkie te wysiłki by na świecie zapanował wreszcie trwały i powszechny pokój poszły na marne za sprawą pewnych, opanowanych żądzą rewizjonizmu sił, które z drugiej wojny światowej nie wyciągnęły żadnej nauki.

Panie i panowie, Związek Radziecki dysponuje niezbitymi dowodami, iż rząd Republiki Federalnej Niemiec zorCZERWONY SZTORM • 185 ganizował zamach bombowy na Kremlu, traktując go jako część planu zjednoczenia Niemiec siłą. Posiadamy oryginalne, niemieckie dokumenty świadczące, iż tamtejszy rząd planował doprowadzić do upadku naszych władz i wykorzystać okres wewnętrznego chaosu w Związku Radzieckim, by przekształcić Niemcy w główne mocarstwo w Europie.

Mieszkańcy tego kontynentu dobrze wiedzą, co znaczyłoby to dla światowego pokoju.

W obecnym stuleciu Niemcy najechali mój kraj dwukrotnie. Odpierając te inwazje zginęło ponad czterdzieści milionów radzieckich obywateli. Nie zapominajmy również o zagładzie milionów mieszkańców pozostałych krajów Europy, którzy zginęli w wyniku niemieckiego nacjonalizmu. Działaliśmy wspólnie z Polakami, Belgami, Holendrami, Francuzami, Anglikami i Amerykanami, by zapewnić Europie trwały pokój po wojnie. Wydawało się, iż wszystko jest na jak najlepszej drodze. Taki był właśnie sens traktatu dzielącego Niemcy i Europę na strefy wpływów; proszę pamiętać, iż istnienie tych stref ratyfikowane zostało w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku w Helsinkach. Równowaga sił miała zapobiec wybuchowi kolejnej wojny.

Dobrze wiemy, że Zachód, zbrojąc Niemców pod pretekstem wyimaginowanego zagrożenia ze strony Wschodu – pomijam tu fakt, iż Układ Warszawski powołaliśmy do życia dopiero po sformowaniu się NATO – uczynił pierwszy krok na drodze prowadzącej do zjednoczenia Niemiec jako elementu przeciwwagi dla potęgi radzieckiej.

Obecne wypadki pokazują, jak krótkowzroczna i niebezpieczna była to polityka. Pytam, czy istnieje w Europie ktokolwiek, kto pragnie połączenia Niemiec? Nawet kraje NATO zaprzestały już przed rokiem agitacji na ten temat.

Tylko sami Niemcy, pamiętając minioną potęgę, widzą ten problem inaczej niż my, którzy padliśmy ich ofiarą.

Republika Federalna Niemiec ewidentnie pobiła zachodnich sprzymierzeńców ich własną bronią i obecnie planuje użyć sojuszu NATO jako tarczy. Pod tą osłoną chce prowadzić działania zaczepne, destabilizując równowagę

sił, która zapewniła życie w pokoju dwóm generacjom Europejczyków. Jakkolwiek to Zachód właśnie doprowadził do obecnej sytuacji, rząd Związku Radzieckiego nie obarcza – powtarzam,

nie obarcza – winą Ameryki i jej sojuszników. Mój kraj również pobrał gorzką lekcję, iż najwierniejszy nawet sojusznik potrafi podnieść rękę na przyjaciela; tak jak pies w każdej chwili może rzucić się na swego pana.

Związek Radziecki za żadną cenę nie chce niweczyć wszystkiego, co z takim trudem osiągnął w ciągu ostatniego roku w stosunkach z Zachodem. – Minister spraw zagranicznych umilkł na chwilę. – Ale też nie możemy pogodzić się z tym, że z rozmysłem dokonano ataku na Związek Radziecki. I to dokonano go na jego ziemi.

Jeszcze dzisiaj rząd Związku Radzieckiego wystosuje notę do rządu w Bonn. Ceną za naszą wyrozumiałość, ceną zachowania pokoju będzie natychmiastowa demobilizacja armii niemieckiej do poziomu niezbędnego dla utrzymania wewnętrznej stabilizacji. Dalej żądamy, by rząd boński przyznał się do tego, że dopuścił się aktu terroryzmu, a następnie podał się do dymisji i ogłosił nowe wybory, aby społeczeństwo niemieckie samo mogło zdecydować, jak należy mu dobrze służyć. Wreszcie żądamy pełnej rekompensaty finansowej dla rządu radzieckiego i dla rodzin osób, które tak bestialsko zamordowali, kryjący się w miastach na zachód od Renu, niemieccy rewizjoniści. Niespełnienie tych postulatów poCiągnie za sobą najdalej idące konsekwencje.

Jak już powiedziałem, nie mamy podstaw by oskarżać którykolwiek z zachodnich krajów o współudział w tym akcie międzynarodowego terroryzmu. Kryzys obecny jest zatem sprawą wyłącznie między rządem Związku Radzieckiego a rządem w Bonn i żywimy najgłębsze przekonanie, iż rozwiążemy go środkami dyplomatycznymi. Apelujemy do rządu bońskiego, aby wnikliwie rozważył konsekwencje swego postępowania i podjął odpowiednie kroki w celu ocalenia pokoju.

Tyle miałem do powiedzenia.

Minister spraw zagranicznych zebrał notatki i opuścił

salę. Zgromadzeni dziennikarze nie próbowali nawet zadawać pytań.

Flynn wepchnął notes do kieszeni i zakręcił pióro.

Korespondent American Press był w Phnom Penh w chwili przybycia tam Czerwonych Khmerów, czego o mało nie przypłacił życiem. Pisywał reportaże z wojen, rewolucji, przewrotów; został dwukrotnie ranny. Ale bycie korespondentem wojennym to zabawa dla młodych.

–Kiedy zamierzasz wracać?

–Najpóźniej we środę. Mam zarezerwowane dwa miejsca w samolocie SAS-u do Sztokholmu – odparł Calloway.

–Nadam do Nowego Jorku kablogram. Niech zamykają nasze moskiewskie biuro. Pokręcę się

tu jeszcze do chwili twego wyjazdu, ale, Willi, masz rację: trzeba stąd pryskać. Jeśli jeszcze coś o tym napiszę, to już w bardziej bezpiecznym miejscu.

–Na ilu wojnach byłeś, Patrick?

–Po raz pierwszy w Korei; od tamtego czasu niewiele wojen mnie ominęło. W miejscowości zwanej Gon Thien prawie się wykrwawiłem. Na Synaju, w siedemdziesiątym trzecim, dostałem dwoma odłamkami z moździerza.

USS „Pharris" DEFC9N-2. OBOWIĄZUJE OPCJA BRAVO. WIADOMOŚĆ TRAKTOWAĆ JAKO POWAŻNE OSTRZEŻENIE – czytał Morris w swojej prywatnej kajucie.

–DUŻE PRAWDOPODOBIEŃSTWO WYBUCHU WOJNY MIĘDZY NATO A UKŁADEM WARSZAWSKIM. PODJĄĆ WSZELKIE ŚRODKI BEZPIECZEŃSTWA. DZIAŁANIA WOJENNE MOGĄ ROZPOCZĄĆ

Ed Morris sięgnął po słuchawkę telefonu.

–Proszę przysłać do mnie pierwszego oficera.

Zjawił się po minucie.

–Słyszałem, że dostał pan pilną depeszę, kapitanie.

–DEFCON-2, obowiązuje Opcja Bravo – wręczył

mu blankiet zwięzłego telegramu. – Od tej chwili na całym okręcie zarządzam Procedurę-Trzy. Stanowiska ogniowe oraz wyrzutnie torped i rakiet do zwalczania okrętów podwodnych ASROC mają być w ciągłej gotowości bojowej.

–Co powiemy załodze?

–Najpierw pójdę z tym do mesy oficerskiej, a potem dopiero przemówię do ludzi. Na razie nie nadeszły żadne konkretne rozkazy. Wydaje mi się, że skierują nas do Norfolk lub do Nowego Jorku, gdzie przyłączymy się do jakiegoś konwoju.

USS „Nimitz" – No dobrze, Toland, referuj – Baker rozsiadł się na krześle.

–Admirale, Pakt Atlantycki postawiony w stan podwyższonej gotowości bojowej. Prezydent zatwierdził DEFCON-2. Mobilizacja rezerwowych sił obrony morskiej.

Przerzut zacznie się o pierwszej w nocy czasu Greenwich.

Wojsko przejęło już wszystkie samoloty cywilne. Anglicy też wprowadzili Drugie Zarządzenie

Królowej. Na niemieckich lotniskach wre.

–Ile czasu zajmie przerzut?

–Od ośmiu do dwunastu dni, sir.

–Możemy nie mieć tyle czasu.

–Owszem, sir.

–Proszę mi coś powiedzieć o rosyjskim systemie zwiadu orbitalnego – poprosił Baker.

–Admirale cały czas dysponują nad oceanem satelitą Kosmos 1801. Jest połączony z elektronicznym satelitą wywiadowczym Kosmos 1813. 1801 jest urządzeniem radiolokacyjnym o napędzie atomowym. Sądzimy, że potrafi przesyłać zdjęcia do systemu radarowego.

–Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

–Narodowa Agencja Bezpieczeństwa wykryła kilka miesięcy temu jakieś sygnały wideo, lecz informacji, tej nie rozpowszechniono, gdyż nie było kolejnych potwierdzeń. –

Toland nie dodał, że działo się to wtedy, kiedy wiadomość ta wcale jeszcze marynarce nie była potrzebna. Ale teraz powinni wiedzieć. Po to ja tu jestem, zadecydował. – Podejrzewam, że Iwan dysponuje kolejnym satelitą radiolokacyjnym, gotowym w każdej chwili do wystrzelenia.

Zapewne ma ich więcej. Wysyłają dużo takich ptaszków komunikacyjnych poruszających się na niskich orbitach oraz wiele innych elektronicznych urządzeń wywiadowczych; normalnie mają ich na górze sześć lub siedem.

W obecnej chwili – dziesięć. To zapewnia im nieprawdopodobnie dokładny zwiad. Usłyszą każdy hałas elektroniczny.

–I nie można temu zaradzić?

–Na razie nie, sir – przyznał Toland. – Siły powietrzne dysponują wprawdzie rakietami anty satelitarnymi; o ile sobie przypominam mają ich sześć czy siedem. Przeciw prawdziwemu satelicie zastosowane zostały tylko raz, a od zeszłego roku obowiązuje moratorium na eksperymenty z ASAT. Można zepewne odkurzyć i reaktywować program tej broni. Ale to zajmie parę tygodni. Wtedy na pierwszy ogień poszłyby ich ptaszki radiolokacyjne – zakończył dziarsko, z optymizmem w głosie Toland.

–No dobrze, w najbliższym czasie mamy spotkać się na Azorach z „Saratogą" i eskortować dywizję amfibii morskich na Islandię. Zakładam, że Rosjanie cały czas nas obserwują! Mam nadzieję, że kiedy tam wreszcie dotrzemy, rząd Islandii pozwoli nam wylądować. Islandczycy cały czas nie mogą podjąć decyzji, jak potraktować ten kryzys. Boże, ciekaw jestem, czy

NATO zdoła się zebrać.

–Przypuszczalnie to wszystko jest jakimś potwornym szachrajstwem. Problem tkwi w tym, że wiele państw wzięło to serio; w każdym razie oficjalnie.

–Tak, to mi się podoba. Proszę prowadzić w dalszym ciągu drobiazgowe analizy zagrożenia ze strony radzieckich okrętów podwodnych i lotnictwa. Proszę też natychmiast mi meldować o najmniejszych nawet zmianach w tym, czym dysponują na morzu.

USS „Chicago" – Głębokość? – zapytał cicho McCafferty.

–Piętnaście metrów pod kilem – odparł natychmiast nawigator. – Ciągle jesteśmy poza wodami terytorialnymi Rosjan, ale jeszcze dwadzieścia mil i zacznie się robić gorąco, kapitanie.

Już po raz ósmy w ciągu pół godziny oznajmiał, co mają przed sobą.

McCafferty skinął głową. Nie chciał rozmawiać, nie chciał czynić żadnego zbędnego hałasu. W centrali bojowej „Chicago" panowało napięcie. Unosiło się w powietrzu niczym tytoniowy dym, z którym nie potrafiły sobie poradzić wentylatory. Zebrani w pomieszczeniu ludzie potrząsali nerwowo głowami, unosili lekko brwi i rozglądali się wokół ukradkiem.

Największą nerwowość wykazywał sam nawigator. Mieli tysiące doskonałych powodów, by wynieść się z tych okolic. „Chicago" może znajdował się na radzieckich wodach terytorialnych, a może nie; problem był bardzo skomplikowany. Na północnym wschodzie leżał przylądek Kanin, a na północnym zachodzie – przylądek Swiatoj.

Rosjanie cały ten teren traktowali jako swoją „historyczną enklawę", podczas gdy Stany Zjednoczone respektowały tylko dwudziestoczteromilowy pas wód terytorialnych.

Każdy na pokładzie wiedział, że w zaistniałej sytuacji Rosjanie raczej będą od razu strzelać niż dochodzić swych praw w Międzynarodowym Trybunale Morskim. Czy odkryją ich obecność?

Mieli nad sobą ponad pięćdziesiąt metrów wody – atomowe okręty podwodne, podobnie jak rekiny, są stwoCZERWONY SZTORM • 191 rżeniami głębinowymi. Zwiad taktyczny dostarczył danych o trzech radzieckich okrętach patrolowych: dwóch fregatach klasy Grisha i o korwecie klasy Poti – wszystkie trzy wyspecjalizowane były w zwalczaniu jednostek podwodnych. Mimo że znajdowały się dobrych parę mil dalej, stanowiły poważne niebezpieczeństwo.

Pomyślną okolicznością okazał się szalejący na powierzchni morza sztorm. Wiejący z szybkością dwudziestu węzłów wiatr i szum ulewy powodowały hałas, który zakłócał pracę radzieckiego sonaru. Lecz dotyczyło to również i ich hydrolokatora, a stanowił on jedyne bezpieczne okno na świat i źródło informacji.

Istniało dużo więcej niewiadomych. Jakimi urządzeniami czujnikowymi dysponowali tu Rosjanie? Czy aby woda nie jest na tyle przejrzysta, że dostrzeże ich jakiś helikopter lub samolot do zwalczania okrętów podwodnych? Czy nie czai się gdzieś w pobliżu konwencjonalna jednostka podwodna klasy Tango, poruszająca się wolno za pomocą swych cichych, napędzanych bateriami, elektrycznych silników?

W każdej chwili mogli usłyszeć metaliczny skowyt pracujących na najwyższych obrotach śrub

torpedy lub po prostu eksplozję bomby głębinowej. McCafferty rozważał wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie narażały jego okręt rozkazy wydziału operacyjnego dowództwa okrętów podwodnych na Atlantyku:

Określić dokładnie tereny operacyjne okrętów podwodnych czerwonej floty.

Język depeszy dawał pewną swobodę manewru.

–Jaka jest dokładność nawigacji inercyjnej? – spytał McCafferty najbardziej obojętnym, na jaki go było stać, tonem.

–Plus minus dwieście metrów – nawigator nie podniósł nawet głowy.

Kapitan chrząknął, zdając sobie sprawę, co myśli nawigator. Już parę godzin temu powinni byli nawiązać kontakt z satelitą NAYSTAR, ale niebezpieczeństwo wykrycia ich przez patrolowe jednostki radzieckie było zbyt wielkie. Plus minus dwieście metrów to ładny wynik, ale nie wtedy, gdy

okręt znajduje się na płytkich wodach, niedaleko wrogiego wybrzeża. Jak dokładne są mapy? Czy „Chicago" nie trafi na jakiś nie zaznaczony na mapie wrak? Ale nawet jeśli dane nawigacyjne nie zawierają błędu, to na przestrzeni kilku mil mogą spotkać tyle jednostek nieprzyjacielskich, iż owe dwieście metrów sprawi, że przy manewrowaniu w którymś momencie uderzą w dno, uszkodzą łódź i narobią hałasu.

Kapitan wzruszył ramionami. „Chicago" był najlepszym na świecie okrętem do takich zadań. Ponadto McCafferty wykonywał już tego typu misje i wiedział, że nie należy przejmować się zbyt wieloma rzeczami naraz. Wstał, przeszedł parę kroków i zajrzał do przedziału hydrolokacji.

–Co porabia nasz przyjaciel?

–Cały czas to samo, kapitanie. Żadnych zmian w natężeniu szumów emitowanych przez cel. Posuwa się cały czas z prędkością piętnastu węzłów, dwa tysiące metrów od nas.

Miła morska wycieczka – odparł szef sonaru.

Miła morska wycieczka. Sowieci równo co cztery godziny wysyłali kolejny rakietowy okręt podwodny z pociskami balistycznymi. Większość tych jednostek znajdowała się już na morzu. Była to niespotykana dotąd u Rosjan taktyka.

Wszystkie kierowały się na wschód – nie na północ, czy północny wschód jak to zazwyczaj robiły, by dostać się na Morze Barentsa lub na Morze Karskie, bądź też, jak zdarzało się to ostatnio, wprost pod czapę lodową bieguna.

Dowództwo lotnictwa strategicznego na Atlantyku otrzymało tę wiadomość z norweskiego

samolotu P-3, patrolującego okolice Checkpoint Charlie. Był to punkt odległy od wybrzeża o pięćdziesiąt mil. Tam radzieckie łodzie zazwyczaj schodziły pod wodę. „Chicago" znajdował się najbliżej, więc polecono mu sprawę zbadać.

Niebawem wykryli i ruszyli tropem delty-III, nowoczesnego, radzieckiego boomera^ jak określano tego typu atomowe okręty podwodne. Posuwali się za nim w niewielkiej odległości… aż do chwili, kiedy obiekt skręcił na południowy wschód, kierując się ku płytkim wodom, ku przylądkowi Swiatoj Nos, którędy prowadziła trasa do Morza Białego.

Były to już z całą pewnością radzieckie wody terytorialne.

Jak blisko brzegów zdecydują się podpłynąć? I co się w ogóle dzieje? McCafferty wrócił do centrali bojowej.

–Rozejrzymy się – powiedział. – Peryskop w górę.

Podoficer przekręcił pierścień hydrauliczny i ze studzienki zaczął wysuwać się peryskop.

–Dosyć!

McCafferty pochylił się nad urządzeniem, które podoficer zatrzymał tuż pod powierzchnią wody. Kapitan ujął rękami instrument. Stojąc w bardzo niewygodnej pozycji, zatoczył wziernikiem pełne koło. Na ścianie jednej z grodzi umieszczony był monitor telewizyjny podłączony do zamontowanej w peryskopie kamery. Jego ekran bacznie obserwowali Pierwszy i starszy podoficer. – Żadnego cienia – oznajmił McCafferty. Nic zresztą nie wskazywało, że na powierzchni mógł się czaić przeciwnik.

–Zgadza się – przytaknął pierwszy oficer.

–Włączyć sonar.

Obsługa sonaru przystąpiła do pracy. Kołujący samolot wydaje dźwięk i istniała możliwość, że go usłyszą. Ale panowała cisza – co nie oznaczało wcale, że teren był czysty. Mógł, na przykład, gdzieś wysoko krążyć helikopter, albo dryfować z wyłączonymi silnikami kolejny grisha, poszukując czegoś w rodzaju „Chicago".

–Sonar niczego nie wykazuje, kapitanie – oznajmił Pierwszy.

–Sześćdziesiąt centymetrów w górę – polecił McCafferty.

Podoficer ponownie chwycił rączki, unosząc peryskop ponad pół metra, teraz już nad wodę, w dolinę fali.

–Kapitanie! – rozległ się głos starszego technika.

Na samym czubku peryskopu znajdowała się miniaturowa antena podłączona do

szerokopasmowego odbiornika.

W chwili, kiedy wynurzyła się na powierzchnię, na desce rozdzielczej urządzenia do wykrywania radarów nieprzyjaciela zamigotały trzy światełka.

–Trzy, pięć, może nawet sześć radarów penetrujących na paśmie India. Charakterystyka: radary penetrujące 13 – Czerwony sztorm

zainstalowane na okrętach i na lądzie, sir. Nie jest to, powtarzam, nie jest, aparatura zamontowana w samolocie.

Pasmo Juliet milczy.

Technik zaczął odczytywać współrzędne celów.

McCafferty rozluźnił się. Radar nie był w stanie przy tak wysokiej fali wykryć wystającego z wody peryskopu. Znów zatoczył okularem pełne koło. – Żadnych jednostek nawodnych. Żadnych samolotów.

Fala około półtora metra. Wiatr północno-zachodni wiejący z prędkością, och, mniej więcej dwudziestu, dwudziestu pięciu węzłów – złożył uchwyty przyrządu i cofnął się.

–Schować peryskop.

Nie zdążył jeszcze zakończyć komendy, kiedy wyślizgana, stalowa rura zaczęła sunąć w dół. Kapitan kiwnął z uznaniem głową podoficerowi, który trzymał w dłoni stoper. Instrument był na powierzchni całych pięć i dziewięć dziesiątych sekundy. Po piętnastu latach służby na okrętach podwodnych McCafferty wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, ile człowiek potrafi zrobić przez jedną dziesiątą minuty.

Kiedy skończył szkołę oficerów floty podwodnej, czas ekspozycji peryskopu wynosił siedem sekund.

Nawigator przeglądał mapę, a jego asystent nanosił na wykres pozycje przechwyconych sygnałów.

–Kapitanie – nawigator podniósł głowę. – Namiar jest zgodny z dwoma znanymi, zainstalowanymi na lądzie nadajnikami radarowymi, a trzy urządzenia Don-2 współgrają z pozycjami sierry 2, 3 i 4 – referował naniesione współrzędne trzech radzieckich jednostek nawodnych. – Mamy też jedno źródło nieznane, pozycja zero-cztery-siedem. Harkins, co to może być?

–Lądowy nadajnik pracujący w paśmie India; jedna z tych nowych „przybrzeżnych puszek" – odparł technik, odczytując częstotliwość i długość impulsu. – Sygnał jest słaby i trochę niewyraźny, sir. Duża aktywność radiolokacyjna, a każdy nadajnik pracuje na innej

częstotliwości.

Chodziło mu o to, że poszczególne radary tak ze sobą skoordynowano, by się wzajemnie nie zakłócały.

Kiedy dyżurny elektryk przewinął taśmę wideo, McCafCZERWONY SZTORM • 195 ferty mógł ponownie obejrzeć sobie wszystko, co widział przez peryskop. Z tą tylko różnicą, że kamera telewizyjna peryskopu była czarno-biała. Kasetę puszczono na najwolniejszych obrotach, by uniknąć wszystkich rozmazań, jakie występowały podczas pierwotnej obserwacji.

–Zadziwiające, jak niewiele można zobaczyć, co, Joe? – zapytał pierwszego oficera.

Na wysokości trzystu trzydziestu metrów kłębiły się chmury, a fale i deszcz natychmiast zalały soczewki peryskopu. Nikt jeszcze nie wymyślił skutecznego sposobu, by przecierać zorientowane na obserwację szkła – pomyślał McCafferty. – Może za osiemdziesiąt parę lat…

–Woda też jakby pociemniała – odparł z nadzieją w głosie Joe. Kontakt wzrokowy z wrogim samolotem mógł przyprawić o zawał serca załogę każdego okrętu podwodnego.

–Pogoda wybitnie nie sprzyja lotom patrolowym, prawda? Nie sądzę, aby ktoś mógł nas zauważyć – kapitan specjalnie powiedział to głośno, by usłyszała go zgromadzona w centrali załoga.

–Przed nami jakieś dwie mile głębszej wody – oznajmił nawigator.

–O ile?

–O dziesięć metrów, kapitanie.

McCafferty spojrzał na Pierwszego, który w tej chwili prowadził „Chicago".

–Wykorzystajmy to.

Szczęście zawsze mogło uśmiechnąć się do któregoś z pilotów…

–Tak jest. Szefie, szasować balasty. Zanurzenie jeszcze sześć metrów. Ostrożnie,

–Sześć metrów – oficer rzucił odpowiednie komendy marynarzom i wszyscy w centrali bojowej odprężyli się.

McCafferty potrząsnął głową. Kiedy ostatni raz widziałem – pomyślał – by załoga oddychała z ulgą, zanurzając się zaledwie sześć metrów głębiej? Znów przeszedł do sonaru, nie pamiętając, że był tam zaledwie przed czterema minutami.

–Co z naszymi przyjaciółmi, szefie?

–Okręty patrolowe ciągle daleko, sir. Krążą tam i z powrotem. Śruby naszego boomera pracują równym tempem. Posuwa się ze stałą prędkością piętnastu węzłów.

Nie stara się zachowywać cicho. Mam na myśli to, że łapiemy* całą masę mechanicznych dźwięków. Sądząc po tych odgłosach, ciągle prowadzą tam jakieś remonty. Chce pan posłuchać, kapitanie?

Podał mu słuchawki.

Wyniki nasłuchu hydroakustycznego można było również obserwować na specjalnych oscyloskopach, podobnych do ekranów telewizyjnych, gdzie komputery pokładowe przetwarzały impulsy akustyczne na świetlne. Ale tradycyjnego nasłuchu nic nie było w stanie zastąpić.

McCafferty wziął słuchawki.

Najpierw wyłapał pompy stosu atomowego delty. Pracowały na średniej prędkości, przetłaczając wodę z reaktora do wytwornicy pary. Następnie skupił uwagę na dźwięku wydawanym przez dwie śruby o pięciu łopatkach każda.

Kapitan zaczął liczyć obroty… brzdęk!

–Co to było?

Szef sonaru odwrócił głowę w stronę starszego operatora.

–Pokrywa włazu?

Operator pierwszej klasy potrząsnął zdecydowanie głową.

–Raczej jakby komuś spadł klucz. Ale blisko, bardzo blisko.

Kapitan musiał się uśmiechnąć. Każdy na pokładzie starał się zachowywać beztrosko, lecz w rzeczywistości był tak samo spięty jak McCafferty. Dan marzył tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od tego cholernego bajora. Nie mógł jednak ujawnić przed załogą swych prawdziwych uczuć; dowódca zawsze musiał mieć wszystkich i wszystko pod kontrolą. Cóż to za pieprzona gra! – pomyślał. – Co my tu robimy? Co się dzieje z tym zwariowanym światem? Nie chcę iść na żadną, pieprzoną wojnę!

Oparł się o framugę drzwi i zajrzał do centrali; jego kajuta znajdowała się zaledwie parę metrów dalej. Zapragnął

naraz tam być. Położyć się na minutę lub dwie, odetchnąć, być może spryskać twarz zimną wodą… ale wtedy całkiem przypadkowo mógłby spojrzeć w lustro nad umywalką.

Nie, naturalnie, że tam nie pójdzie. Wiedział, że dowodzenie okrętami podwodnymi było

ostatnim na świecie zajęciem godnym bogów; wymagało jednak często zachowania się godnego bogów. Tak jest teraz. Prowadź swoją grę, Danny – mruknął do siebie. Wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę i wytarł nos. Kiedy śledził spokojnie pracę hydrolokatora, twarz miał kamienną, prawie znudzoną.

Zimny, niewzruszony kapitan…

Chwilę później wrócił do centrali bojowej. Doszedł do wniosku, że wystarczająco już dodał swoją osobą ducha obsłudze sonaru, a nie zdążył jej speszyć swoim nadmiernym zainteresowaniem. Kwestia wyczucia. Obrzucił pomieszczenie obojętnym wzrokiem. Kabina była zatłoczona jak irlandzki bar w dzień świętego Patryka.

Zauważył, że mimo pracujących całą parą, napędzanych energią atomową klimatyzatorów wszyscy obficie się pocili.

Zwłaszcza marynarze, którzy w skupieniu, na podstawie wskazań instrumentów elektronicznych sprowadzali okręt głębiej. Za ich plecami stał szef – jeden z najlepszych szefów na „Chicago".

Pośrodku centrali, obok dwóch peryskopów bojowych czuwał dyżurny mat gotów w każdym momencie do ich wysunięcia. Pierwszy oficer przechadzał się po niewielkim pomieszczeniu i za każdym razem co dwanaście sekund, kiedy mijał mapę, rzucał na nią okiem. Kapitan nie mógł nikomu nic zarzucić. Ludzie, choć spięci, sumiennie wykonywali swoje zadania.

–Wszystko układa się wspaniale – oznajmił tak, by każdy go usłyszał. – Warunki na powierzchni działają na naszą korzyść i nikt nas tu nie wykryje. – . Centrala, sonar.

–Centrala, słucham – McCafferty podniósł słuchawkę telefonu.

–Słychać trzaski kadłuba. Chyba wychodzą na powierzchnię. Tak, opróżnia zbiorniki, kapitanie.

–Zrozumiałem. Nie spuszczać z nich oka, szefie – McCafferty odłożył słuchawkę. Zrobił trzy krokii zatrzymał się przy mapie. – Czemu się właśnie tutaj wynurza?

Nawigator wziął od marynarza papierosa i zapalił. Zazwyczaj tego nie robił. Porucznik aż parsknął na ten widok.

Bosman przelotnie uśmiechnął się i nawigator obrzucił ich ponurym spojrzeniem. Potem popatrzył na kapitana.

–Coś nie w porządku, sir – odezwał się cicho porucznik.

–Tylko jedno – odparł dowódca. – Czemu wynurzają się w tym miejscu?

–Centrala, sonar.

Kapitan ponownie chwycił słuchawkę.

–Kapitanie, boomer ciągle opróżnia zbiorniki.

–Jeszcze coś?

–Nie, ale musieli już zużyć bardzo dużo rezerwowego powietrza.

–W porządku. Dziękuję, szefie – McCafferty odwiesił słuchawkę i chwilę zastanawiał się, czy to cokolwiek znaczy.

–Czy robił pan już takie rzeczy? – zapytał nawigator.

–Tropiłem wiele rosyjskich jednostek, ale nie tutaj.

–Nasz cel rzeczywiście będzie musiał się wynurzyć, gdyż wzdłuż Wybrzeża Terskiego jest zaledwie dwadzieścia metrów głębokości – nawigator wodził palcem po mapie.

–A my musimy przerwać dalszą obserwację – zgodził się McCafferty. – Mamy teraz czterdzieści mil.

–Zgadza się – przytaknął nawigator. – Ale poczynając od piątej mili, zatoka zaczyna zwężać się jak komin i jest tylko jedno miejsce, w którym zanurzony okręt może się przecisnąć. Jezu, nie wiem.

McCafferty przeszedł w głąb pomieszczenia i zaczął oglądać mapę.

–Całą drogę z Koli przebył na głębokości peryskopowej z szybkością piętnastu węzłów. Głębokość przez ostatnie pięć godzin nie zmieniła się zasadniczo i miało tak być jeszcze przez jakąś godzinę lub dwie… a jednak wypływa na powierzchnię. Skoro więc jedyną zmianę warunków stanowi tutaj zwężenie toru wodnego, ale ciągle jeszcze pozostaje

dwadzieścia mil… – kapitan patrzył na mapę i intensywnie myślał.

Znów zgłosiła się hydrolokacja.

–Tu kapitan. Co nowego, szefie?

–Kolejny kontakt, sir. Pozycja jeden-dziewięć-dwa. Cel: sierra-5. Okręt nawodny, dwuśrubowy, silnik spalinowy.

Brzmi jak okręt klasy Natia. Pozycja zmienna; trochę w lewo, trochę w prawo; kurs wydaje się zbieżny z kursem naszego boomera. Prędkość około dwudziestu węzłów.

–A boomer?

–Szybkość i położenie bez zmian, kapitanie. Skończyli wypompowywanie zbiorników, są na powierzchni. Słyszymy łomot i przyśpieszone obroty ich śrub… chwileczkę… włączył się aktywny sonar, odbijamy rewerberacje, współrzędne mniej więcej jeden-dziewięć-zero. Pochodzą prawdopodobnie z natiii. Ich hydrolokator pracuje na bardzo wysokiej częstotliwości, poza zasięgiem słyszalności… dwadzieścia dwa tysiące herców.

McCafferty poczuł, jak żołądek wypełnia mu lodowata kula.

–Przejmuję prowadzenie okrętu.

–Tak jest, kapitanie. Przejmuje pan prowadzenie – odparł Pierwszy.

–Szefie, szasować balasty, dwadzieścia metrów w górę, może i wyżej, bylebyśmy się nie wynurzyli. Obserwacja!

Wysunąć peryskop. – Urządzenie bezszelestnie pomknęło w górę i McCafferty, jak poprzednim razem, zlustrował okolicę, szukając cienia. – Jeszcze metr. W porządku, ciągle niczego nie widać. Co mówi wykrywacz radarów?

–Obecnie siedem aktywnych źródeł radiolokacji, kapitanie. Układ na siatce taki sam jak poprzednio plus nowe źródło, współrzędne jeden-dziewięć-jeden. Pasmo India.

Wygląda na kolejny Don-2.

McCafferty wysunął peryskop na dwanaście stopni; maksymalna wysokość. Na powierzchni morza unosił się radziecki okręt rakietowy. Wystawał z wody dziwnie wysoko.

–Joe, powiedz mi, co widzisz? – odezwał się McCafferty; potrzebna mu jeszcze czyjaś opinia.

–Zgadza się, to delta-IIL Chyba wszystko wypompowali. Kapitanie, siedzi bardzo wysoko na powierzchni; wystaje z wody metr albo i wyżej niż normalnie. Zużyli większość powietrza… a tam chyba widać maszt radiowy natii, ale trudno powiedzieć.

McCafferty czuł mrowienie w zaciśniętych na peryskopie dłoniach; rura urządzenia przenosiła drgania powodowane uderzeniami fal. Woda siekła również kadłub delty, zalewając co chwila rozmieszczone wzdłuż burt rakietowego okrętu otwory przelewowe.

–Wykrywacz radarów wskazuje, że siła ich sygnałów wzrasta do tego stopnia, że mogą nas odkryć – ostrzegł technik.

–Wysunąć oba peryskopy – mruknął McCafferty, zdając sobie sprawę, że za długo już trzyma swój w górze.

Nacisnął przerzutnik, by podwoić powiększenie. W okularze pojawiło się zbliżenie kiosku

delty.

–Stanowisko dowodzenia na szczycie kiosku pełne ludzi. Wszyscy mają lornetki… ale nie patrzą w naszym kierunku. Peryskop w dół. Szefie, szasuj balasty, zwiększyć zanurzenie o trzy metry. Dobra robota, marynarze. Joe, przejrzyjmy taśmę.

Po kilku sekundach na ekranie pojawiły się obrazy.

Od delty dzieliło ich dwa tysiące metrów. Za nią, w odległości jakichś ośmiuset majaczyła sferyczna kopuła radaru natii kołyszącej się mocno na bocznej fali. Obciążony szesnastoma pociskami SS-18 rosyjski okręt oglądany od tyłu przypominał nieco podjazd na rampę. Tak niezgrabną sylwetkę delta miała mieć aż do chwili odpalenia pocisków;

Amerykanie nie żywili wątpliwości, że okazałyby się aż nadto skuteczne.

–Popatrz, wypchnęli ją tak wysoko, że widać połowę śrub – wskazał palcem pierwszy oficer.

–Nawigatorze, jak daleko do płycizny?

–Za tym torem wodnym; jakieś dziesięć mil stąd głębokość wynosi mniej więcej czterdzieści metrów.

Czemu więc delta wypłynęła na powierzchnię tak daleko?

McCafferty podniósł słuchawkę.

–Sonar, co słychać z natią? – zapytał.

–Kapitanie, jak oszalała wysyła sonarem impulsy ultradźwiękowe. Nie w naszą stronę, ale chwytamy wiele odbić i rewerberacji od dna.

Natia była wykrywaczem min, ale również służyła do eskortowania okrętów podwodnych, ostrzegając je przed niebezpieczeństwem. Skoro więc jej pracujący na niezwykle wysokiej częstotliwości sonar działał… Boże wielki!

–Ster cała w lewo! – krzyknął McCafferty.

–Ster cała w lewo! – sternik uderzyłby głową w sufit, gdyby nie pasy, którymi przypiął się do fotela. Natychmiast przekręcił koło do oporu. – Ster, cała w lewo!

–Pole minowe – szepnął nawigator. Wszystkie głowy w kabinie odwróciły się w jego stronę.

–Idę o zakład – pokiwał posępnie głową McCafferty.

–Jak daleko jesteśmy od miejsca, gdzie boomer spotkał się z natią?

Nawigator dokładnie sprawdził wykres.

–Mniej więcej czterysta metrów dalej.

–Maszyny stop.

–Maszyny stop – sternik wykręcił numerator dzwonkowy.

–Maszyny stoją, sir. Mijamy po lewej pozycję jeden-osiem-zero.

–Bardzo dobrze. Tutaj powinniśmy być bezpieczni.

Delta musiała się spotkać z trałowcem dobrych parę mil od pola, prawda? Chyba nikt nie sądzi, że Iwan narażałby okręt rakietowy?

Było to pytanie retoryczne; nikt nie bawi się boomerami.

Centrum dowodzenia odetchnęło. „Chicago" zwolnił gwałtownie i ustawił się w poprzek dotychczasowego kursu.

–Ster zero – McCafferty polecił płynąć z jedną trzecią szybkości, a następnie połączył się z przedziałem sonaru.

–Co z okrętem rakietowym?

–Nic, sir. Pozycja stale jeden-dziewięć-zero. Prędkość stała: piętnaście węzłów. Ciągle odbieramy impulsy z natii\ jej prędkość również około piętnastu węzłów w pobliżu pozycji jeden-osiem-sześć.

–Nawigatorze, proszę wyznaczyć kurs, którym się stąd wydostaniemy. Musimy daleko odejść od tych okrętów patrolowych i przekazać jak najszybciej wiadomość.

–Tak jest. Wydaje się, że w tej chwili najodpowiedniejszy będzie kurs trzy-pięć-osiem – nawigator od dwóch godzin nieustannie nanosił na wykres poprawki.

–Jeśli Iwan naprawdę postawił pole minowe, jego część sięga wód eksterytorialnych – zauważył pierwszy oficer. – Miło.

–Cóż, kiepsko się składa, bo oni uważają, że te wody należą do nich, więc nikt nie powinien wpaść na miny.

–A w razie czego, to awantura międzynarodowa? – spytał Joe.

–Czemu więc w ogóle prowadzą ten nasłuch hydroakustyczny? – spytał oficer łączności. – Skoro mają przed sobą czysty tor, mogą płynąć normalnie.

–A jeśli tu nie ma żadnego toru? – odparł pytaniem Pierwszy. – Może zainstalowali miny denne na kablach, powiedzmy, długości szesnastu metrów i teraz obawiają się, że jedna czy dwie z nich mogą mieć nieco dłuższą cumę.

Wolą więc uważać, tak samo jak my. Wiesz, co to znaczy?

–Nie mogliby prowadzić boomera, gdyby płynął w zanurzeniu… – zrozumiał porucznik.

–Naturalnie. Nikt nie twierdzi, że Iwan jest tępy.

Wypracowali sobie idealny system. Okręty rakietowe umieścili tam, gdzie nie możemy ich dosięgnąć – ciągnął McCafferty. – Stąd, gdzie jesteśmy, do Morza Białego nie dosięgnie nawet SUBROC,^ rakieta wystrzelona z okrętu podwodnego. Ostateczny wniosek jest taki, że jeśli będą chcieli te jednostki gdzieś wysłać, nie muszą się tłoczyć na jednym torze. Mogą płynąć sobie po powierzchni, a w dzień się chować.

–A to, panowie, znaczy, że zamiast przydzielać każdemu boomerowi oddzielny torpedowiec do obrony przed takimi jak my, wsadzili rakietowce do jednego, bezpiecznego koszyka, a torpedowce wysłali gdzieś indziej. Do diabła, wynośmy się stąd.

Północny Atlantyk – Do okrętu. Z lewej burty macie samolot marynarki Stanów Zjednoczonych. Kim jesteście?

Kapitan Kierow oddał mikrofon majorowi Armii Czerwonej.

–Do samolotu, tu statek „Doktor Lykes". Witajcie – Kierow słabo władał angielskim i południowy akcent majora równie ładnie brzmiał mu w uszach jak narzecze kurdyjskie.

Z trudem dostrzegali szary samolot patrolowy, który krążył w odległości pięciu mil. Jego załoga z pewnością lustrowała statek przez lornetki.

–Dokładniej, „Doktor Lykes" – odparł lakonicznie głos.

–Płyniemy z Nowego Orleanu do Oslo. Wieziemy cargo. O co chodzi?

–Jak na kurs do Norwegii, zboczyliście za bardzo na północ… Wyjaśnijcie to, proszę.

–Nie czytaliście tych sakramenckich gazet? To bardzo niebezpieczne okolice, a łajba kosztuje masę forsy. Armator polecił trzymać się blisko przyjaznych wybrzeży. Fajnie was spotkać. Poeskortujecie nas dalej?

–Zrozumiałem cię, „Doktor Lykes". W okolicy nie ma okrętów podwodnych.

–Gwarantujesz?

Wybuch śmiechu.

–Nie na sto procent, doktorku.

–Tak też myślałem, lotniku. No cóż, w takim razie popłyniemy sobie dalej na północ, a wy miejcie na nas oko.

–Nie możemy dać wam samolotu do eskorty.

–Zrozumiałem, ale jak zawołamy, to przylecicie, co?

–Naturalnie – odparł Pingwin Osiem.

–Okay, więc płyniemy dalej na północ, a potem skręcimy na wschód, na Wyspy Owcze. Dajcie znać, jeśli pojawią się jacyś niegrzeczni chłopcy. – Żadnych niegrzecznych chłopców, doktorku. Od razu ich zatopimy – odparł pilot, przedrzeźniając południowy akcent rozmówcy.

–Dobrych łowów, koleś.

Pingwin Osiem – Boże, to ludzie naprawdę tak mówią? – dziwił się na głos pilot oriona.

–Nie słyszałeś nigdy o Lykes Lines? – zachichotał drugi pilot. – Mówią, że jeśli gość nie gada z południowym akcentem, to go nie przyjmą do pracy. Nie wierzyłem w to.

Do teraz… Nie ma jak tradycja. Ale z drogi zboczył nieźle.

–Cóż, dopóki nie sformują się konwoje, polatamy sobie. Ale najpierw skończmy z nim.

Kiedy pilot przyśpieszył i zbliżał się do okrętu, jego kolega otworzył księgę rozpoznawczą.

–Zgadza się, mamy czarny kadłub z napisem Lykes Lines pośrodku burt. Biała nadbudówka z czarnym rombem, w nim duże „L" – podniósł do oczu lornetkę. – Na nadbudówce maszt radiowy. Anten od urządzeń elektronicznych brak. Znak i flaga armatora w porządku. Czarne kominy. Rufowe wyciągarki, nie powiedziane, ile ich ma być. Obok windy do podnoszenia barek. Do licha, wiezie pełny ładunek. Pomalowany trochę niechlujnie. Ale wszystko się zgadza z księgą; to dobrze.

–Okay, pokiwaj mu na pożegnanie.

Pilot przekręcił stery w lewo i skierował oriona dokładnie nad barkowiec. Kiedy przelatywał nad statkiem, pomachał skrzydłami, a dwójka stojących na mostku mężczyzn skinęła przyjaźnie. Lotnicy nie dostrzegli dwóch innych osób wodzących za samolotem ręcznymi wyrzutniami SAM-ów, pocisków ziemia-powietrze.

Statek motorowy „Julius Fućik" – Zmiana barw utrudnia rozpoznanie, towarzyszu generale – odezwał się cicho oficer obrony przeciwlotniczej. – Nie miał podwieszonych pocisków powietrze-ziemia.

–To się bardzo szybko zmieni. Kiedy tylko nasza flota wypłynie w morze, podczepią je natychmiast. Ponadto, jeśli zorientowali się, kim naprawdę jesteśmy, daleko nie uciekniemy. Wezwą inny samolot lub po prostu wrócą do bazy po rakiety.

Generał obserwował odlatującą maszynę. Przez cały czas trwania rozmowy między pilotami i statkiem miał serce w gardle. Ale teraz już mógł udać się na mostek do Kierowa. Amerykańskie mundury khaki mieli bowiem tylko oficerowie statku.

–Gratuluję waszemu oficerowi językowemu talentów lingwistycznych. Ufam, że naprawdę mówił po angielsku.

Teraz, gdy minęło bezpośrednie zagrożenie, Andriejew roześmiał się jowialnie.

–Tak mi mówiono. Marynarka zażądała kogoś ze znajomością tego języka. To oficer wywiadu, służył w Ameryce.

–Tak czy siak, udało się. Teraz możemy już zmierzać do celu bezpiecznie – ostatnie słowo Kierow wymówił z lekkim wahaniem.

–Chciałbym już być na lądzie, towarzyszu kapitanie.

Na tak dużym, pozbawionym wszelkiej ochrony obiekcie generał czuł się niepewnie. Bezpieczny będzie dopiero, gdy postawi stopę na ziemi. Ostatecznie jako żołnierz piechoty zwykł był nosić karabin, zawsze mógł znaleźć w ziemi jakąś dziurę, żeby się skryć, no i pozostawały mu dwie nogi do ucieczki. Na morzu rzecz się miała całkiem inaczej. Statek stanowił wdzięczny cel, a w dodatku był bezbronny. Zadziwiające – myślał generał – że istnieją na świecie miejsca, gdzie człowiek czuje się jeszcze gorzej niż w samolocie transportowym. Tam przynajmniej są spadochrony. Nie miał żadnych złudzeń co do swoich szans dopłynięcia wpław do najbliższego brzegu.

Sunnyvale, Kalifornia – Nadlatuje następny – powiedział starszy sierżant.

Stawało się to wręcz nudne. Pułkownik nie pamiętał, by Rosjanie mieli kiedykolwiek na orbicie więcej niż sześć satelitów rozpoznawczych z urządzeniami fotograficznymi. Obecnie było ich dziesięć i tyle samo zaopatrzonych w elektroniczną aparaturę zwiadowczą. Część

z nich wystrzelona została z kosmodromu w Bajkonurze pod Leninskiem w Kazachstanie, a część z Plesecka w północnej Rosji.

–To urządzenie typu „F", pułkowniku. Na „A" jeszcze nie pora – odezwał się sierżant, spoglądając na zegarek.

Była to odmiana starego radzieckiego SS-9 ICBM i spełniała tylko dwie funkcje – uruchamiała radiolokacyjne rozpoznawcze satelity morskie, zwane RORSAT, które śledziły okręty, oraz sterowała radzieckim systemem antysatelitarnym. Amerykanie obserwowali pojawienie się

nowego ptaszka za pośrednictwem niedawno umieszczonego na orbicie nad centralnymi rejonami Związku Radzieckiego urządzenia rozpoznawczego KH-11. Pułkownik podniósł słuchawkę i połączył się z Cheyenne Mountain.

USS „Pharris" Powinienem się wyspać – pomyślał Morris. – Powinienem wyspać się na zapas, bo potem nie będzie na to czasu.

Lecz był zbyt niespokojny, by zasnąć.

USS „Pharris", wypuszczając kłęby pary, czekał u ujścia rzeki Delaware. Trzydzieści mil na północ, przy nabrzeżach Filadelfii, w Chester i Camden stały gotowe już do rejsu okręty wchodzące w skład Rezerwowej Floty Obrony Narodowej; czekały na taką chwilę od lat. Ich ładownie wypełnione były czołgami, artylerią i skrzyniami z amunicją.

Radar wskazywał smugi licznych samolotów transportowych pełnych ludzi, startujących z bazy lotniczej w Dover.

Potężne transportowce wojskowe przerzucały żołnierzy do Niemiec, gdzie czekał już na nich skompletowany uprzednio sprzęt. Nowe dostawy jednak mogły dotrzeć tam tylko morzem, na pokładach brzydkich, przysadzistych i powolnych statków handlowych, które stanowiły łatwy cel.

Handlowce owe były wprawdzie większe niż dawniej i dużo szybsze, lecz zostało ich bardzo niewiele. Ostatnio amerykańska flota handlowa gwałtownie się skurczyła, mimo iż władze federalne ciągle fundowały kolejne jednostki. Obecnie okręt podwodny, niszcząc jeden tylko tego typu statek,

doczekałby się takiej sławy jak podczas drugiej wojny światowej po zatopieniu czterech lub pięciu.

Kolejny problem stanowili marynarze handlowców. Flota wojenna traktowała ich z lekceważeniem, a załogi okrętów bojowych trzymały się od nich z daleka – chyba, że ktoś chciał zabawić się ich kosztem; średnia wieku była dwukrotnie wyższa niż na jednostkach bojowych i wynosiła około pięćdziesięciu lat. Jak te dziadki zniosą napięcie towarzyszące operacjom wojskowym? – zastanawiał się Morris. Zarabiali wprawdzie wyśmienicie – wielu z nich brało takie same pensje jak on – ale czy pieniądze zrekompensują czające się po drodze rakiety i torpedy?

Morris odepchnął od siebie tę myśl. Ci staruszkowie właśnie i żółtodzioby pościągane z różnych szkół, stanowili jego trzódkę. On był ich pasterzem. A pod szarą powierzchnią Atlantyku czaiły się wilki.

Niezbyt liczna była ta jego trzódka. Niecały rok wcześniej przeglądał statystyki: ogólna liczba prywatnych statków handlowych pływających pod amerykańską banderą wynosiła sto siedemdziesiąt jednostek o średniej wyporności osiemnastu tysięcy ton każda. Zaledwie sto

trzy z nich przystosowane były do regularnych rejsów dalekomorskich.

Ponadto Rezerwowa Flota Obrony Narodowej dysponowała tylko stu siedemdziesięcioma dwiema jednostkami. Określić ten stan mianem haniebnego znaczyło tyle, co zbiorowy gwałt nazwać lekkim wykroczeniem.

Nie wolno im było stracić ani jednego statku!

Morris podszedł do lampy radaroskopowej i przez chroniony gumą okular spojrzał na ekran – na startujące z Dover samoloty. Każdy punkcik na radarze oznaczał kolejnych trzystu lub pięciuset żołnierzy. Co się stanie, kiedy już opuszczą pokłady transportowców?

–Następny handlarz, kapitanie – oficer pokładowy wskazał palcem plamkę na horyzoncie. – To holenderski kontenerowiec. Chyba płynie po ładunek wojskowy.

Morris chrząknął.

–Każda pomoc się przyda.

Sunnyvale, Kalifornia – To oczywiste, sir – odezwał się pułkownik. – Mamy do czynienia z radzieckim ptaszkiem antysatelitarnym; od jednego z naszych dzielą go siedemdziesiąt trzy mile morskie.

Pułkownik polecił urządzeniu skierować kamery na nowego kompana. Obraz nie był najlepszy, ale niewątpliwie przedstawiał radzieckiego niszczyciela satelitów: długi na trzydzieści metrów cylinder z jednej strony zamontowany miał silnik rakietowy, a z drugiej antenę radarową.

–Ma pan jakieś sugestie, pułkowniku?

–Sir, chciałbym samodzielnie decydować o ruchach naszych ptaszków, gdyby w promieniu pięćdziesięciu mil od nich pojawiło się cokolwiek z czerwoną gwiazdą.

Zastosuję manewry delta-V, które zakłócają systemy przechwytujące.

–Synu, będzie cię to kosztować wielką ilość paliwa – ostrzegł dowódca północnoamerykańskiej obrony powietrznej.

–Generale, mamy binarne rozwiązanie problemu – odparł pułkownik językiem matematyka. – Wybór jeden: manewry delta-V i utrata paliwa. Wybór dwa: nie stosujemy tych manewrów i tracimy satelity. Kiedy tylko nieprzyjaciel zbliży się na odległość pięćdziesięciu mil, wykryje je i w pięć minut zniszczy. Zapewne szybciej.

Takie jest moje zdanie, sir.

Pułkownik doktorat z matematyki zrobił na Uniwersytecie Illinois, ale zapędzać generałów w kozi róg nauczył się już gdzie indziej.

–W porządku. Musi zatwierdzić to Waszyngton. Poprę pańską sugestię.

USS „Nimitz" – Admirale, otrzymaliśmy właśnie niepokojący raport z Morza Barentsa – Toland przeczytał depeszę dowództwa Floty Atlantyckiej.

–Ile jeszcze okrętów podwodnych mogą nam podesłać?

–Zapewne koło trzydziestu, admirale.

–Trzydzieści? – od tygodnia Bakerowi nic się nie podobało. A ta ostatnia wiadomość wyjątkowo.

Grupa bojowa „Nimitza", w towarzystwie „Saratogi" i francuskiego lotniskowca „Foch", eskortowała jednostkę amfibii morskich, która miała uzupełnić stacjonujące na Islandii siły. Trzydniowy rejs. Gdyby zaraz po ich przybyciu wybuchła wojna, mieli już tam pozostać i włączyć się do obrony niezwykle istotnej ze względów strategicznych linii ciągnącej się od Grenlandii przez Islandię do wysp brytyjskich. 21. Lotniskowce wy Oddział Specjalny stanowił potężną siłę. Ale czy wystarczającą? Zgodnie z doktryną, grupa, by skutecznie działać i przetrwać, powinna składać się z czterech lotniskowców; na razie jednak flota nie była jeszcze całkowicie przygotowana. Toland otrzymywał doniesienia o gorączkowych zabiegach dyplomatycznych, które miały zapobiec wiszącej już na włosku wojnie. Ale jak zareagują Rosjanie na obecność na Morzu Norweskim czterech lub więcej lotniskowców? Wydawało się, że w Waszyngtonie nikogo to nie obchodzi, lecz z drugiej strony Toland wątpił, czy miałoby to jakiekolwiek znaczenie. Przed dwunastoma zaledwie godzinami Islandia wyraziła zgodę na rozmieszczenie u siebie dodatkowych sił, a stacjonujące tam wojska NATO rozpaczliwie wymagały uzupełnień.

USS „Chicago" McCafferty znajdował się trzydzieści mil na północ od wejścia do Zatoki Kolskiej. Po szesnastogodzinnej, pełnej napięcia ucieczce od przylądka Swiatoj załoga odetchnęła z ulgą i chociaż Morze Barentsa roiło się od zwalczających jednostki podwodne okrętów, natychmiast po nadaniu raportu wycofali się tutaj, zostawiając Morze Białe za sobą.

Nie chcieli sprowokować jakiegoś poważnego incydentu.

W miejscu, gdzie aktualnie przebywali, głębokość wody dochodziła do dwustu pięćdziesięciu metrów. W razie kłopotów mieli więc dużo miejsca do ewentualnych manewrów. W promieniu pięćdziesięciu mil powinny znajdować się jeszcze dwa inne, amerykańskie okręty podwodne, jeden 14 – Czerwony sztorm

angielski i dwa norweskie o napędzie klasycznym. Sonarzyści na „Chicago" nie potrafili wprawdzie zlokalizować żadnej z tych jednostek, ale łapali ciągle impulsy ultradźwiękowe czterech radzieckich fregat klasy Grisba, poszukujących czegoś na południowym wschodzie. Okręty podwodne aliantów miały za zadanie obserwować i słuchać. Było to wymarzone dla nich zajęcie. Musiały tylko wolno pływać i za wszelką cenę unikać kontaktu z nawodnymi jednostkami, ale te sonarzyści mogli wykryć już z dużej i bezpiecznej odległości.

McCafferty nie starał się nawet taić przed załogą tego, czego dowiedzieli się o rosyjskich boomerach. Na okrętach podwodnych zresztą trudno jest cokolwiek utrzymać w tajemnicy. Wyglądało na to, że lada chwila miała wybuchnąć wojna. Wprawdzie politycy w Waszyngtonie czy stratedzy w Norfolk mogli jeszcze żywić pewne nadzieje, ale tutaj, na samej szpicy, oficerowie i załoga „Chicago" otwarcie dyskutowali już o sposobach niszczenia radzieckich okrętów.

W wyrzutniach drzemały gotowe torpedy MK-48 i rakiety typu Harpoon. Pionowe wyrzutnie zawierały dwanaście tomahawków, trzy uzbrojone w głowice nuklearne pociski woda-ziemia oraz dziewięć konwencjonalnych rakiet do zwalczania jednostek nawodnych. Każdą, najdrobniejszą usterkę natychmiast naprawiano. McCafferty był bardzo z załogi rad. Młodzi ludzie – średnia ich wieku wynosiła dwadzieścia jeden lat – musieli się ostatecznie zaadaptować.

Stał w pomieszczeniu sonaru, trochę na prawo od centrum bojowego. Obok potężny system komputerowy przesiewał lawinę podwodnych dźwięków i analizując poszczególne pasma częstotliwości wychwytywał echa radzieckich jednostek. Sygnały były odtwarzane graficznie na jednolicie żółtym ekranie, zwanym monitorem kaskad, gdzie jaśniejsze linie wskazywały współrzędne źródeł dźwięku. Cztery linie oznaczały grishe, a odchodzące od nich punkciki były zapisem impulsów wysyłanych przez aktywne sonary okrętów.

McCafferty zastanawiał się, czego poszukują. To czysto akademicki problem. Nie namierzały wprawdzie jego jednostki, ale z działań wroga zawsze można było coś cieka wywnioskować. W centrali bojowej zespół oficerów analizował i nanosił na wykresy ruchy patrolowych okrętów radzieckich, badając dokładnie sposób ich formowania się w szyki i technikę poszukiwań. Później dane te porównane zostaną z informacjami wywiadu.

W dole ekranu pojawiła się kolejna seria punkcików.

Sonarzysta nacisnął guzik, nastrajając aparat na większą selektywność częstotliwości. Potem wyregulował obraz i nałożył słuchawki. Monitory kaskad należały do generacji ekranów dużych prędkości. Obraz szybko się zmieniał i McCafferty spostrzegł, że punkciki zaczynają tworzyć linie na pozycji jeden-dziewięć-osiem; w okolicy Kolskiego Toru Wodnego.

–Masa zmieszanych dźwięków, kapitanie – oznajmił sonarzysta. – Rozpoznaję wychodzące w morze alfy i charlie, za nimi dalsze jednostki. Szybkość jednej z alf. około trzydziestu węzłów. Za nimi następne źródła dźwięków.

Minutę później potwierdził to obraz graficzny. Linie częstotliwości i dźwięku określały klasy okrętów podwodnych, które z dużą szybkością oddalały się od portu.

Poszczególne pozycje jednostek rozbiegały się, w miarę jak okręty wachlarzem wypływały na otwarte morze. Wszystkie poruszały się w zanurzeniu. A przecież radzieckie łodzie podwodne miały zwyczaj kryć się dopiero w dużej odległości od lądu.

–Ponad dwadzieścia sztuk – powiedział cicho szef radiolokacji. – Jakaś poważna operacja.

–Na to wygląda – McCafferty wrócił do centrum bojowego.

Część załogi wprowadzała właśnie do sterującego ogniem komputera otrzymane wyniki; reszta wytyczała poszczególne kursy na stole nakresowym. Wojna jeszcze nie wybuchła, ale lada moment mogła się zacząć. McCafferty rozkazał, by aż do chwili, gdy nie padnie HASŁO, trzymać się jak najdalej od radzieckich jednostek. Osobiście wolałby inne rozwiązanie – cios najlepiej zadać natychmiast – ale Waszyngton sprawę postawił jasno: żadnych akcji, dopóki trwają rozmowy dyplomatyczne. Kapitan musiał przyznać,

że miało to sens. Może wyfraczeni jegomoście sprawują jeszcze nad tym wszystkim kontrolę. Nikła szansa, ale zawsze szansa. Na tyle realna, by nie zajmować pozycji bojowych.

Polecił oddalić się jeszcze bardziej od brzegów. Pół godziny później – kiedy ruch rosyjskich okrętów podwodnych nie ustawał – wysłał pławę SLOT. Została tak zaprogramowana, że „Chicago" miał pół godziny czasu na oddalenie się; wtedy dopiero zaczęła transmitować z wielokrotnym przyśpieszeniem, w satelitarnym zakresie wysokiej częstotliwości, audycję, która po odbiorze przetworzona zostanie do normalnej postaci. McCafferty z odległości dziesięciu mil słuchał później, jak Rosjanie drapieżnie ruszają w kierunku pławy, niewątpliwie przekonani, że namierzyli okręt podwodny. Gra stała się już aż nazbyt prawdziwa.

SLOT pracowała blisko godzinę, przesyłając nieustannie dane do komunikacyjnego satelity NATO. Przed zapadnięciem zmroku materiał przekazany został wszystkim jednostkom Paktu Atlantyckiego przebywającym na morzu.

Rosjanie nadchodzą.

OSTATNIE POSUNIĘCIA,

PIERWSZE POSUNIĘCIA

USS „Nimitz" Spiker ogłosił wprawdzie zachód słońca już dwie godziny wcześniej, ale Bob musiał skończyć pracę. Toland uwielbiał patrzeć, jak w przejrzystym, morskim powietrzu, z dala od zadymionych miast, ognista kula zapada się za ostrą linię horyzontu. I tym razem widok go nie zawiódł. Stał z rękami opartymi na balustradzie, spoglądając w spienioną wodę kotłującą się przy lśniącym kadłubie lotniskowca. Po długiej chwili podniósł wzrok na Mleczną Drogę. Urodzony i wychowany w Bostonie, Toland dopiero w marynarce odkrył istnienie tego szerokiego, jasnego, utkanego z punkcików pasa, który stał się dla niego źródłem nieustannego zachwytu. Były tam gwiazdy, przy pomocy których, używając sekstansu i tablic trygonometrycznych, uczył się nawigacji. Obecnie wprawdzie posługiwał się wyłącznie elektronicznymi omegami i loranami, ale niebo pozostawało nieodmiennie cudowne. Arktur, Wega, Altair. Mrugały do niego, każda innej barwy, każda innej wielkości, każda równie wspaniała.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich ubrany w purpurową koszulę pracownika lądowiska marynarz. Zbliżył się do oficera stojącego na pomoście roboczym lądowiska.

–Obowiązuje zaciemnienie, marynarzu. Wyrzuciłbym tego papierosa – odezwał się szorstko Toland, niezadowolony, że ktoś zakłócił mu samotność.

–Przepraszam, sir – za burtą błysnął niedopałek.

Marynarz milczał parę chwil, po czym spojrzał na Tolanda.

–Zna pan astronomię, sir? – zapytał.

–To znaczy?

–To mój pierwszy rejs. Urodziłem się i wyrosłem w Nowym Jorku. Nigdy nie widziałem takich gwiazd i nie

wiem nawet czym są, to znaczy, jak się nazywają. Oficerowie znają się na tym, prawda?

Toland roześmiał się cicho.

–Wiem, co czujesz. Tak samo było ze mną pierwszy raz. Piękne, prawda?

–Tak, sir. Co to za gwiazda? – w głosie chłopaka dawało się wyczuć zmęczenie.

Nic dziwnego – pomyślał Toland. – Cały dzień trwały ćwiczenia lotnicze. Młodzieniec wskazał najjaśniejszy punkcik na wschodniej stronie nieba i Bob chwilę się zastanawiał.

–To Jowisz. Planeta. Za pomocą bosmańskiej lornetki mógłbyś dostrzec nawet jego księżyce; w każdym razie kilka z nich.

Zaczął wskazywać niektóre gwiazdy niezbędne do nawigacji.

–W jaki sposób wykorzystuje się je do ustalania kursu, sir? – zapytał marynarz.

–Za pomocą sekstansu ustalasz ich wysokość nad horyzontem – nie jest to trudne, choć brzmi skomplikowanie, a następnie sprawdzasz w książce z pozycjami.

–Kto ją napisał, sir?

–Książkę? Ach, to zwykły podręcznik. Myślę, że napisali go w Obserwatorium Morskim, ale ludzie ustalili tory ciał niebieskich już trzy lub cztery tysiące lat temu, na długo przed tym, jak wymyślono teleskop. Jeśli znasz dokładny czas i wiesz, gdzie znajduje się konkretna gwiazda, możesz łatwo wyliczyć, z dokładnością do kilkuset metrów, punkt kuli ziemskiej, w którym się znajdujesz; jeśli naturalnie to umiesz. Tak samo jest ze Słońcem i Księżycem. To stara wiedza. Sztuka polegała na tym, by wymyślić dokładny zegar. A to stało się jakieś dwieście lat temu.

–Myślałem, że obecnie stosuje się satelity i tym podobne rzeczy.

–Oczywiście, ale gwiazdy są piękne.

–Tak – marynarz usiadł, odchylił głowę i wpatrywał się w kurtynę białych punkcików. W dole kadłub mielił wodę, która pieniła się z szumem. W jakiś sposób ów

dźwięk idealnie harmonizował z widokiem nieba. – No cóż, w końcu i ja dowiedziałem się czegoś o gwiazdach.

Kiedy się wreszcie to wszystko zacznie, sir?

Toland podniósł głowę i popatrzył na konstelację Strzelca.

W kierunku środka galaktyki. Niektórzy astronomowie twierdzili, że jest tam czarna dziura – najbardziej niszczycielska siła znana fizyce, siła, wobec której potęga człowieka wydawała się być znikoma. Ale człowieka też dużo łatwiej zniszczyć.

–Niebawem.

USS „Chicago" „Chicago" znajdował się na pełnym morzu, na zachód od wypływających ciągle radzieckich jednostek pod- i nawodnych. Jeszcze nie słychać było wybuchów, ale mogły się rozlec już za chwilę. Najbliższy rosyjski okręt płynął w odległości trzydziestu mil, w jego pobliżu snuło się tuzin innych. Wszystkie omiatały morze aktywnymi sonarami.

McCafferty'ego zaskoczył nagły rozkaz operacyjny. „Chicago" miał opuścić Morze Barentsa i przenieść się na Norweskie. Zadanie: zablokować radzieckim łodziom podwodnym dostęp na Północny Atlantyk. Zapadła polityczna decyzja: NATO nie może wciągać Związku Radzieckiego w wojnę. W aktualnej sytuacji odrzucono dotychczasową strategię polegającą na tym, by rosyjską flotę zaangażować do walki na jej własnym terytorium. Ów plan – pomyślał dowódca „Chicago" – został zarzucony, gdyż przeciwnik nie stosował się do wspólnych ustaleń. Oczywiście. Wysłał na Atlantyk dużo więcej okrętów podwodnych, niż się spodziewano – a co gorsza, jeszcześmy mu to ułatwili!

McCafferty zastanawiał się, jakie czekają go dalsze niespodzianki. Wyrzutnie torped i rakiet były w gotowości bojowej, stanowiska ogniowe obsadzone załogami, a na „Chicago" obowiązywało Condition-3. Ale rozkaz brzmiał: wycofać się. Kapitan przeklinał w duchu tego, kto wydał owo polecenie, lecz ciągle żywił nadzieję, że do wojny nie dojdzie.

Bruksela, Belgia – Niebawem się zacznie – zauważył dowódca lotnictwa europejskiego. – Do cholery, ich armia jest w pełnej gotowości. Jak nigdy. Nie będą czekać, aż Amerykanie przerzucą do nas wszystkie wojska. Muszą uderzyć wcześniej.

–Rozumiem, Charlie, ale nie możemy wykonać pierwszego ruchu.

–A co z naszymi gośćmi? – generał lotnictwa miał na myśli komandosów Specnazu z grupy majora Czerniawina.

–Siedzą jak mysz pod miotłą. – Doborowa jednostka specjalna GSG-9 nieustannie miała na oku ich kryjówkę, a oddział Brytyjczyków przygotował zasadzkę na drodze wiodącej do przypuszczalnego celu w Lammersdorfie.

W skład obu grup wchodzili oficerowie wywiadu prawie wszystkich krajów NATO. Utrzymywali bezpośrednią łączność z szefami swoich rządów. – Mogą być tylko przynętą. Może chodzi im o to, byśmy uderzyli pierwsi?

–Wiem o tym, że nie możemy tego zrobić, generale.

Wszystko, czego chcę, to zielone światło dla „Krainy Marzeń". Musimy wymierzyć błyskawiczny cios, szefie.

Dowódca lotnictwa strategicznego w Europie odchylił się do tyłu. Uwięziony przez obowiązki w podziemnym centrum dowodzenia od dziesięciu dni nie był w swej oficjalnej rezydencji. Zastanawiał się, czy którykolwiek z generałów na całym świecie choć trochę się przespał w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

–Jak szybko przystąpisz do akcji po otrzymaniu sygnału?

–Moje pieszczoszki są cały czas gotowe. Załogi znają zadanie. „Kraina Marzeń" ziści się w ciągu pół godziny. – Świetnie, Charlie. Prezydent upoważnił mnie do odpowiedzi na każdy atak. Przygotuj ludzi.

–Dobrze.

Na biurku dowódcy lotnictwa strategicznego zadzwonił telefon. Wojskowy sięgnął po słuchawkę. Po krótkiej chwili uniósł głowę.

–Goście się ruszyli – oznajmił, po czym odwrócił się do oficera operacyjnego.

–Hasło: Ogień w kominku.

Siły NATO postawione zostały w najwyższy stan gotowości bojowej.

Aachen, Republika Federalna Niemiec Oddział Specnazu opuścił kryjówkę i ruszył dwiema półciężarówkami na południe, do Lammersdorfu. Po śmierci dowódcy w wypadku ulicznym komendę przejął jego zastępca, kapitan. Otrzymał kopię utraconych dokumentów i zapoznał z nimi swoich podwładnych. W samochodach panowało pełne napięcia milczenie. Oficer wyjaśnił szczegóły zaplanowanej akcji. Po wykonaniu zadania mieli udać się do kolejnej wyznaczonej kryjówki i tam czekać pięć dni na towarzyszy z Armii Czerwonej. Dodał przy tym, że stanowią elitę tej armii, że zostali doskonale przygotowani do niebezpiecznych operacji na terenach

wroga i przedstawiają dla Państwa wielką wartość. Na koniec powiedział, że każdy z nich jest doświadczonym żołnierzem, weteranem walk w górach Afganistanu. Byli wyszkoleni. Byli gotowi.

Ludzie ci, jak przystało na karnych żołnierzy, przyjęli te słowa w milczeniu. Wybrani głównie ze względu na inteligencję, wiedzieli dobrze, że przemowa była tylko pustosłowiem. Zadanie w dużym stopniu zależało od szczęścia, które jak dotąd im nie dopisywało. Żałowali, że nie ma z nimi majora Czerniawina i opadły ich ponure myśli. Szybko jednak odepchnęli je od siebie, koncentrując się bez reszty na szczegółach operacji, której celem było zniszczenie Lammersdorfu.

Nawet kierowców, doświadczonych agentów KGB, świetnie znających pracę na obcym terenie, nurtowały te same problemy. Trzymali się blisko siebie i jechali ostrożnie, zwracając baczną uwagę na inne pojazdy na drodze.

W każdym z aut zainstalowany był odbiornik nastrojony na pasmo łączności miejscowej policji oraz radiotelefon do porozumiewania się między sobą. Komandosi godzinę wcześniej odbyli ostatnią naradę. Centrala w Moskwie powiadomiła, że NATO nie jest jeszcze w pełni gotowe.

Kierowca pierwszego samochodu – w cywilu taksówkarz – zastanawiał się, czy „w pełni gotowe" NATO oznacza paradę na Placu Czerwonym.

–Teraz w prawo. „Trójka", bliżej. „Jedynka", skręcisz w lewo na następnym skrzyżowaniu i podjedziesz prosto – pułkownik Weber mówił przez radio stosowane wśród obserwatorów artyleryjskich. Pułapka była gotowa od kilku dni i kiedy tylko „goście" opuścili kryjówkę, wiadomość o tym rozesłana została do wszystkich odpowiednich placówek w Republice Federalnej. NATO natychmiast ogłosiło pełną gotowość bojową. Mógł to być pierwszy akt rozpoczynającej się wojny… Chyba, że przenoszą się tylko z jednej kryjówki do drugiej – pomyślał Weber. Nie wiedział, jak potoczą się wypadki, ale pewien był, że wojna wybuchnie.

Dwie ciężarówki posuwały się na południowy wschód malowniczą drogą prowadzącą przez niemiecko-belgijski park krajobrazowy, który odwiedzali przeważnie tylko turyści. Drogę tę wybrali celowo. Usiłowali unikać głównych autostrad, gdzie łatwo było natknąć się na pojazdy wojskowe. Kiedy jednak mijali Mulartshutte, na widok czołgów umieszczonych na wielkich, ciągniętych przez ciężarówki lorach kierowca pierwszego samochodu zmarszczył brwi. Czołgi ustawione były w sposób nietypowy, z lufami do tyłu. Pracownik KGB natychmiast spostrzegł, że są to nowe brytyjskie challengery. Cóż, na granicy belgijskiej nie spodziewał się spotkać niemieckich leopardów.

Nie było sposobu, by powstrzymać mobilizację armii* niemieckiej, ale przekonywał się w duchu, że reszta krajów Paktu Atlantyckiego nie zdąży się na czas zebrać. Ponadto, jeśli misja się powiedzie i łączność NATO praktycznie przestanie istnieć, to może oddziały szturmowe Armii Czerwonej zdążą przyjść z odsieczą. Konwój zaczął wyraźnie zwalniać. Kierowca chciał go w pierwszej chwili wyminąć, lecz ostrożność wzięła górę.

–Wszyscy gotowi? – spytał Weber ze swego samochodu.

–Gotowi.

Piekielnie skomplikowana operacja – pomyślał pułkownik Armstrong. – Czołgiści, brytyjscy komandosi SAS, Niemcy… ale grupa Specnazu była tego warta.

Kolumna zwolniła i zatrzymała się; Weber zaparkował sto metrów dalej. Teraz wszystko znajdowało się w rękach Anglików.

Wokół dwóch ciężarówek wybuchły flary.

Szofer KGB skulił się na chwilę, kryjąc twarz przed nieoczekiwanym blaskiem. Gdy wreszcie uniósł wzrok, ujrzał zaledwie pięćdziesiąt metrów przed sobą lufę czołgu, skierowaną prosto w szybę samochodu.

–Uwaga – z megafonu popłynęły rosyjskie słowa. – Żołnierze Specnazu, uwaga. Jesteście otoczeni przez kompanię piechoty zmechanizowanej. Wychodźcie pojedynczo i bez broni. Jeśli otworzycie ogień, natychmiast zginiecie.

Odezwał się inny głos:

–Mówi major Czerniawin. Wychodźcie, towarzysze.

Nie macie szans.

Komandosi popatrzyli na siebie ze zgrozą. W przednim aucie kapitan próbował zerwać zawleczkę granatu, lecz sierżant chwycił jego dłoń.

–Nie mogą nas dostać żywcem! Takie mamy rozkazy! – krzyknął kapitan.

–Gówno tam, nie mogą! – odwrzasnął sierżant. – Po kolei, towarzysze… i ręce w górze. Bądźcie ostrożni! Żołnierze wychodzili z ciężarówki tylnymi drzwiami, jeden za drugim, powoli.

–Iwanow, kiedy ci powiem wychodź – odezwał się z fotela na kółkach Czerniawin. Major zrobił wszystko, by ocalić swój oddział. Pracował z tymi ludźmi dwa lata i nie chciał, by bezsensownie zginęli. Lojalność względem Państwa to jedno, a lojalność względem ludzi, którymi dowodził, to drugie. – Nikt cię nie skrzywdzi. Jeśli masz jakąś broń, wyrzuć ją teraz. Wiem, że masz nóż, Iwanow… bardzo dobrze… następny.

Wszystko poszło bardzo gładko. Komandosi z GSG-9 i SAS-u zabrali skutych kajdankami Rosjan. Pozostało tylko dwóch. Z powodu granatu. Kapitan pojął wreszcie beznadziejność sytuacji, ale nie zdołał już włożyć zawleczki z powrotem. Sierżant ostrzegł przed tym Czerniawina, ten odruchowo próbował zerwać się z fotela; oczywiście nie mógł. Kiedy w końcu z samochodu wynurzył się kapitan, zamierzył się granatem w oficera, który, jego zdaniem,

zdradził Ojczyznę. Ujrzał jednak człowieka z obiema nogami w gipsie.

Czerniawin spostrzegł wyraz twarzy kapitana.

–Andrieju Iljiczu, czy wolisz oddać swe życie za nic? – spytał. – Skurwiele nafaszerowali mnie narkotykami i wycisnęli jak cytrynę. Nie mogłem dopuścić, by was zabili.

–Mam odbezpieczony granat! – odezwał się głośno kapitan. – Cisnę nim w ciężarówkę.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, granat leciał łukiem w^tronę samochodu. W chwilę później pojazd eksplodował.

W środku były mapy i plany ucieczki. Po raz pierwszy od tygodnia Czerniawin szeroko się uśmiechnął.

–Wspaniale to zrobiłeś, Andriuszka!

Dzięki zeznaniom Czerniawina nie powiodło się dwóm innym grupom Specnazu. Lecz w Republice Federalnej było jeszcze dwadzieścia innych zespołów, a nie każda z baz NATO została w porę ostrzeżona. Po obu stronach Renu wybuchły w dwudziestu miejscach strzelaniny. Wojnę, w którą uwikłane miały być miliony, rozpoczęło kilka plutonów i drużyn, wszczynając w ciemnościach desperacką walkę.

SAMOLOTY Z KRAINY MARZEŃ

Niemcy, przedpole walki Widok mógłby zatrwożyć każdego. Tysiąc trzysta metrów nad głową kłębiła się zbita warstwa chmur. Parę razy wpadł w strefę deszczu, który w nocnym mroku wyczuć mógł tylko słuchem. Ciemna linia drzew była tak blisko, iż wydawało się, że mknący myśliwiec lada chwila wyrżnie w nią z impetem. W taką noc tylko szaleniec ryzykowałby lot na tej wysokości. Tym lepiej – uśmiechnął się pod maską tlenową.

Pułkownik Douglas Ellington gładził delikatnie opuszkami palców drążki sterowe myśliwca atakującego F-19A ghostrider. Drugą rękę położył na przełącznikach przepustnicy po lewej stronie kabiny. Wskaźnik refleksyjny na masce hełmofonu wskazywał szybkość tysiąca stu kilometrów na godzinę, wysokość trzydziestu metrów, kurs zero-jeden-trzy, a obok liczb widniał jednobarwny, holograficzny obraz rozciągającego się przed nim terenu. Obraz pochodził z umieszczonej na nosie myśliwca kamery podczerwonej, wspomaganej niewidzialnymi promieniami laserowymi, macającymi teren osiem razy na sekundę. By zapewnić pilotowi peryferyczne widzenie, wielki hełm miał zainstalowane gogle zmniejszające natężenie światła.

–Nad nami piekło – powiedział siedzący za nim drugi członek załogi. Major Don Eisly czuwał nad sygnałami radiowymi i radarowymi oraz inną aparaturą. – Systemy w normie, do celu sto pięćdziesiąt kilometrów. – Świetnie – odparł Duke; było to przezwisko Ellingtona, który przypominał nawet nieco sławnego muzyka jazzowego.

Ellington rozkoszował się zadaniem. Mknęli na północ

na niebezpiecznej wysokości, nad pofałdowanym terenem Wschodnich Niemiec. Ich stealth ani razu nie wzbił się wyżej niż sześćdziesiąt pięć metrów nad ziemię, oscylując lekko to niżej, to wyżej, w miarę nieustannych poprawek dokonywanych przez pilota.

Lockheed ten typ samolotu nazwał Ghostrider. F-19A. stanowił wykonaną w najgłębszej tajemnicy wersję myśliwca atakującego Stealth. Nowy model pozbawiony był ostrych kantów i załamań, co utrudniało wykrycie samolotu przez radary. Jego opływowe turbiny dwuprzepływowych silników rozmazywały cechy charakterystyczne samolotu, chroniąc go skutecznie przed radiolokacją. Z góry skrzydła przypominały kształtem wielki dzwon katedralny, z przodu wyginały się dziwacznie w dół. Jakkolwiek samolot wyposażony był w cuda techniki elektronicznej, rzadko kiedy uaktywniał te systemy. Radary i radia wytwarzają szum łatwy do wykrycia przez przeciwnika, a cała idea F-19A polegała na tym, że tego samolotu w ogóle miało nie być.

Wysoko nad ich głowami, po obu stronach granicy, setki myśliwców prowadziły zażartą grę nerwów, pędząc w stronę wrogiego terytorium i zawracając w ostatniej chwili; próbowały w ten sposób sprowokować przeciwników do walki. Każda ze stron dysponowała samolotem radiolokacyjnym. On właśnie miał dać w razie czego hasło do ataku, zaczynając tym samym wojnę, która, choć niewielu jeszcze o tym wiedziało, już się zaczęła.

Jesteśmy szybcy – pomyślał Ellington. – I robimy w końcu mocną rzecz. W Wietnamie wykonał sto lotów bojowych; jeszcze na pierwszym typie myśliwców F111 A. Obecnie Duke był w amerykańskich siłach lotniczych najlepszym specjalistą od zadań wymagających lotu na niskich wysokościach; mówiono o nim, że „wypatrzyłby każdą dziurę w ziemi, lecąc o północy w szalejące w Kansas tornado". To nie była tak do końca prawda. Stealth nie nadawał się do lotów w warunkach tornado. Tam łatwiej było kierować wieprzem niż F-19 – oto konsekwencja wymyślnej sylwetki maszyny. Ale Ellington zawsze sądził,

że lepiej być niewidzialnym niż zwinnym; niebawem udowodni, czy miał rację.

W tej chwili nad tereny o największej na świecie koncentracji wyrzutni SAM-ów, czyli pocisków ziemia-powietrze, wdzierała się eskadra stealthów.

–Do pierwszego celu dziewięćdziesiąt kilometrów – oznajmił Eisly. – Systemy pokładowe ciągle w normie.

Nic nas nie namierza. Wszystko w porządku, Duke.

–Rozumiem – Ellington, gdy minęli grzbiet niewielkiego wzgórza, popchnął do przodu drążki i samolot znów obniżył lot do wysokości dwudziestu sześciu metrów; leciał nad polem pszenicy. Duke do maksimum wykorzystywał teraz swe wieloletnie doświadczenie w niskich lotach.

Pierwszym celem miał być radziecki ił-76 mainstay z radarowym systemem ostrzegania

AWACS, krążący w okolicach Magdeburga około szesnastu kilometrów od drugiego celu: mostów na autostradzie E8 na rzece Elbie w Hohenroarthe.

Zadanie stawało się coraz trudniejsze. Im bardziej zbliżali się do mainstaya, tym więcej sygnałów radarowych trafiało w stealtha. Wcześniej czy później, mimo krzywizny skrzydeł, która sprawiała, że samolot był dla radarów trudny do wykrycia, jakiś odbity impuls będzie na tyle mocny, że dotrze do mainstaya. Technologia stealtha utrudniała namiar samolotu za pomocą radaru, lecz nie była w stanie całkowicie go uniemożliwić. Czy Rosjanie dostrzegą ich? Jeśli tak, to kiedy i jak szybko zareagują?

Trzymaj się ziemi – powtarzał sobie pilot. – Rób wszystko jak na ćwiczeniach. W „Krainie Marzeń", na ściśle tajnym poligonie w bazie lotniczej Nellis w Nevadzie, trenowali to zadanie przez dziewięć dni. Nawet za pomocą E-3A sentry trudno było z odległości sześćdziesięciu paru kilometrów wykryć ich obecność; a sentry był dużo lepszym samolotem radiolokacyjnym niż mainstay.

To również masz sprawdzić, kolego…

W powietrzu krążyło pięć mainstayów, wszystkie o sto kilometrów na wschód od granicy między dwoma państwami niemieckimi. Miła, bezpieczna przestrzeń wypełniona ponad trzystoma myśliwcami.

–Trzydzieści dwa kilometry, Duke.

–W porządku. Co tam, Don?

–Ciągle brak emanacji radarów kierujących artylerią przeciwlotniczą, żadnego paskudztwa radiolokacyjnego.

W radiu sporo świergotu, ale głównie ze strony zachodniej.

Od celu dociera bardzo nikłe echo.

Ellington sięgnął lewą ręką do manetki, uzbrajając cztery podwieszone pod skrzydłami rakiety typu AIM-9M Sidewinder. Wskaźnik gotowości broni zamrugał zimnym, przyjaznym światełkiem.

–Dwadzieścia dziewięć kilometrów. Cel krąży normalnie. Nie wykonuje dodatkowych ewolucji.

Szesnaście kilometrów na minutę – przeliczył Ellington w myślach. – Jeszcze minuta i czterdzieści sekund.

–Dwadzieścia sześć – czytał Eisly z komputera sprzężonego z systemem łączności satelitarnej NAYSTAR.

Mainstay nie będzie miał szans. Stealth nie wcześniej zacznie nabierać wysokości, aż znajdzie się dokładnie pod nim. Dwadzieścia trzy kilometry. Dwadzieścia. Szesnaście.

Trzynaście. Dziesięć kilometrów do zmiany kierunku lotu.

–Mainstay skończył kolejny nawrót… o, wykiwał nas.

Przemknął nad nami foxfire – powiedział spokojnie Eisly.

Szukał ich, zapewne kierowany przez iła-76, myśliwiec przechwytujący Mig-25. Zwrotny, dysponujący ogromną mocą foxfire był godnym przeciwnikiem, nawet dla stealtha. – Mainstay może nas dostać.

–Trzymają nas na radarze?

–Jeszcze nie – Eisly pożerał wzrokiem aparaturę. – Podchodzimy pod cel.

–W porządku. Teraz w górę.

Ellington odciągnął w tył drążki i włączył dopalacze.

Silniki F-19A mogły nadać mu prędkość 1,3 macha i teraz należało wycisnąć z maszyny wszystko. Zdaniem meteorologów, ten rodzaj chmur mógł ciągnąć się do wysokości prawie siedmiu tysięcy metrów; zaś ił-76 powinien znajdować się jeszcze tysiąc sześćset metrów wyżej. Teraz już stealth był bezbronny. Nie chroniły go zakłócenia z ziemi, a jego silniki stały się bardzo wyraźnym celem dla radioCZERWONY SZTORM • 225 lokatorów. Samolot Stealth obwieszczał swą obecność.

Szybciej w gór ę, kochanie…

–Na nich! – ryknął Ellington w interkom, kiedy pędził przez chmury, a na ekranie noktowizora nieustannie widział mainstaya, który w odległości ośmiu kilometrów próbował lotem nurkowym schronić się w obłokach. Za późno. Ellington pędził na czołowe zbliżenie z prędkością tysiąca sześciuset kilometrów na godzinę. Wyregulował celownik. Zaćwierkało w hełmofonie. Samonaprowadzacze sidewinderów chwyciły cel. Kciukiem prawej ręki odbezpieczył wyrzutnie i wskazującym palcem dwukrotnie nacisnął spust.

Sidewindery opuściły komory w półsekundowym odstępie.

Jaskrawe płomienie tryskające z ich dysz oślepiły Duke'a, ale nie spuszczał oczu z mknących do celu rakiet. Trwało to osiem sekund. Obserwował je cały czas. Oba pociski skręciły w kierunku prawego skrzydła mainstaya. Laserowy detonator zbliżeniowy zadziałał w zaprogramowanej odległości od celu, wypełniając powietrze śmiercionośnymi odłamkami. Stało się to zbyt szybko. Oba prawe silniki mainstaya eksplodowały, odleciało skrzydło i radziecki samolot zaczął spiralą gwałtownie spadać. Po sekundzie zniknął w chmurach.

–Jezu! – pomyślał Ellington, kładąc samolot na skrzydło i nurkując ku ziemi, ku bezpieczeństwu. – Inaczej niż w kinie. Trafiłem w cel, a ten zniknął w mgnieniu oka.

No cóż, w porządku, to było łatwe. Pierwszy zniszczony.

Teraz część trudniejsza…

Na pokładzie krążącej nad Strasburgiem maszyny E-13A Sentry technicy od radiolokacji zauważyli z zadowoleniem, że pięć radzieckich samolotów radiolokacyjnych przestało istnieć w ciągu dwóch minut; F-19 naprawdę je zaskoczyły.

Dowodzący operacją „Kraina Marzeń" generał brygady pochylił się nad biurkiem i sięgnął po mikrofon.

–Trębacz, Trębacz, Trębacz – powiedział i wyłączył aparat. – W porządku, chłopcy – wysapał. – Do roboty.

Z chmary krążących w pobliżu granicy myśliwców NATO oddzieliło się sto maszyn atakujących i znurkowało w kierunku ziemi. Połowę z nich stanowiły F-111F aardvark, resztę tornada GR-1. Baki miały pełne paliwa, a pod 15 – Czerwony sztorm

skrzydłami pociski. Ruszyły wachlarzem za drugą falą stealthów znajdującą się już sto kilometrów w głąb terytorium Wschodnich Niemiec. Za nimi pojawiły się myśliwce przechwytujące Eagle i Phantom, które, kierowane przez krążące nad Renem sentry, zaczęły wystrzeliwać sterowane radarem rakiety. Cel stanowiły radzieckie myśliwce, pozbawione teraz pilotujących je mainstayów. Trzeci zespół samolotów Paktu Atlantyckiego ruszył nisko nad ziemią, przeczesując teren i wyszukując naziemne stanowiska radarowe, by nie przejęły roli wyeliminowanych, radzieckich iłów-76.

Hohenroarthe, Niemiecka Republika Demokratyczna Lecąc na wysokości trzystu metrów, Ellington ujrzał cel z odległości kilku kilometrów. Był to podwójny most przerzucony nad Elbą na jej łagodnym, esowatym zakolu.

Każdy z dwóch półkilometrowej długości betonowych łuków stanowił podporę dla dwóch pasm autostrady.

Piękne mosty. Ellington był prawie pewien, że wybudowano je jeszcze w latach trzydziestych, kiedy to główna droga łącząca Berlin z Braunschweigiem stanowiła jedyną niemiecką autobanę. Być może jeszcze osobiście sam pan Adek jeździł po tych mostach – pomyślał Ellington. Tym lepiej.

Na ekranie telewizyjnym sprzężonym z urządzeniami celowniczymi widział, iż mostami tymi, kierując się na zachód, sunęły właśnie kolumny radzieckich czołgów T-80.

Był to z całą pewnością drugi rzut armii radzieckiej, która miała zaatakować zgrupowania

NATO. Na wzgórzu 76, na południe od mostu po wschodniej stronie rzeki, znajdowała się bateria SA.-6, której celem była obrona przeprawy.

W słuchawkach podłączonych do urządzeń wykrywających brzmiało ciągłe ćwierkanie radarów obrony przeciwlotniczej przeszukujących nieustannie przestrzeń ponad nim. Gdyby tylko któryś z tych impulsów wrócił… Los szczęścia – pomyślał smętnie Ellington.

–Pave Track?

–Gotów – odparł krótko Eisly. Zarówno on jak i pilot byli skrajnie napięci.

–Zapal – polecił Ellington. Siedzący z tyłu Eisly włączył naprowadzający na cel laser.

Skomplikowane urządzenie Pave Track zamontowane było w pochylonym do dołu nosie samolotu. W najniższej jego partii znajdowała się obrotowa kopułka, zawierająca dwutlenkowo węglowy laser i kamerę telewizyjną. Major za pomocą specjalnej manetki nastawił kamerę dokładnie na most, a następnie włączył pracujący na podczerwieni laser.

Niewidzialny punkcik światła padł na środek północnego przęsła. System komputerowy nie spuści już teraz z celu promienia, a magnetowid zarejestruje przebieg całej operacji na taśmie wideo.

–Cel oświetlony – oznajmił Eisly. – Ciągle jeszcze nas nie namierzono.

–Nemu, tu Cień-4. Cel oświetlony.

–Zrozumiałem.

Piętnaście sekund później pierwszy aardvark, z rykiem silników ruszył na południe, lecąc zaledwie dziesięć metrów nad wodą. Wynurzył się nieoczekiwanie z mroku, wystrzelił jedną naprowadzoną laserem rakietę GBU-15 Paven›ay, po czym ostro wykręcił na wschód, nad Hohenroarthe. Umieszczone na samym przodzie bomby komputerowej urządzenie wizyjne przechwyciło odbicie podczerwonego promienia i nakierowało na niego pocisk.

Dowódca stacjonującej na południe od mostu baterii SAM-ów próbował rozszyfrować nieoczekiwany hałas.

Radiolokacja nie wykazywała obecności stealthów. Poza tym nie spodziewał się żadnych wrogich samolotów; dwadzieścia kilometrów na północ znajdowała się baza osłony lotniczej w Mahlminkel. To pewnie stamtąd ten dźwięk – pomyślał. – Nie ogłaszali przecież alarmu…

Północny horyzont zapłonął nagle żółtym ogniem. Dowódca nie wiedział, że nad Mahlminkel przemknęły cztery tornada Luftwaffe, wysyłając w patrolujące samoloty setki pocisków. Sześć radzieckich myśliwców atakujących Suchoj

stanęło w płomieniach, eksplodując w zamazanym deszczem niebie.

Dowódca baterii nie zastanawiał się ani chwili. Krzyknął na obsługę, by natychmiast włączyła będące w stanie gotowości urządzenia i skierowała je na „ich" most.

W chwilę później jeden z radiolokatorów namierzył nadlatującego od rzeki F-111.

–O, cholera – zaklął drugi pilot aardvarka i posłał w baterię radzieckich SAM-ów antyradarową rakietę Shrike, drugą w kierunku radaru, a pavewaya w most, po czym F-111, gwałtownym skrętem odleciał w lewo.

Oficer SAM-ów pobladł. Pojął, co znaczy obraz, jaki ujrzał na wskaźniku radarowym. W odpowiedzi natychmiast polecił wystrzelić trzy pociski. Nadlatujący samolot musiał być maszyną wroga i wysłał już trzy mniejsze obiekty…

Pierwszy pocisk ziemia-powietrze eksplodował, trafiając w rozciągniętą przez rzekę linię wysokiego napięcia, na południe od mostów. Całą dolinę zalało światło potężnego wyładowania elektrycznego z walącej się do wody trakcji.

Kolejne dwa, omijając miejsce jaskrawej eksplozji, skoncentrowały się na F-111.

Prowadzona pave trackiem rakieta Paveway trafiła dokładnie w środek północnego przęsła. Była to bomba z opóźnionym zapłonem i zanim eksplodowała, wbiła się w gruby beton, parę metrów od czołgu dowódcy batalionu. Przęsło było mocne – liczyło sobie ponad pięćdziesiąt lat – ale czterysta siedemdziesiąt dwa kilogramy materiału wybuchowego rozdarło je na strzępy. W mgnieniu oka wdzięczny, betonowy łuk rozpękł się na dwoje; między przyporami pojawiła się szeroka na ponad sześć metrów szczelina i most, obciążony dodatkowo pojazdami pancernymi, runął do rzeki. Pocisk posłany przez drugiego aardvarka spadł bliżej brzegu, trafił we wschodnie przęsło; ono również się zawaliło, zabierając w odmęty Elby osiem radzieckich czołgów.

Ale tego już załoga F-111 nie widziała. W trzy sekundy po tym, jak pociski Shrike spadły na dwa rosyjskie pojazdy prowadzące namiar radiolokacyjny, SA-6 trafiła samolot

w środek kadłuba. Obie strony nie miały czasu żałować strat. Z góry rzeki bowiem wyłonił się z rykiem kolejny F-111 i obsługa SAM-ów które jeszcze przetrwały, zaczęła gorączkowo namierzać go w celownikach.

Trzydzieści sekund później północny most, trafiony jeszcze trzema rakietami, legł w gruzach. Na dnie rzeki spoczywały odłamy żelbetu.

Eisly przestroił z kolei celownik lasera na południowe przęsło. Zapchane było czołgami, którym drogę blokował transporter opancerzony BMP-1, ciśnięty tam siłą eksplozji pierwszej bomby z północnego przęsła. Leżał na lewym skraju mostu i płonął żywym ogniem. Czwarty aardvark wystrzelił parę rakiet kierowanych bezlitosnym promieniem laserowym,

skoncentrowanym obecnie na wieżyczce jednego z zablokowanych czołgów. Na niebie pojawiła się jaskrawa łuna bijąca od płonącego paliwa. Rysowały ją linie wystrzeliwanych na oślep przez przerażonych żołnierzy rakiet ziemia-po wietrze.

Dwie samosterowane rakiety Paveway trafiły w odległości trzech metrów od siebie, rozwalając most do końca. Fale Elby pochłonęły kolejną kompanię wozów bojowych piechoty.

–I jeszcze jedno – mruknął pod nosem Ellington.

Tam! Na bocznej drodze równoległej do rzeki Rosjanie zgromadzili materiały do stawiania mostów pontonowych.

Wojska inżynieryjno-techniczne były zapewne w pobliżu…

Stealth z rykiem motorów przeleciał nad kolumną ciężarówek z gotowymi elementami mostów, zrzucił kilkadziesiąt płonących jaskrawym światłem flar i zawrócił w stronę Republiki Federalnej Niemiec. Natychmiast nadleciały trzy aardvarki i każdy z nich wystrzelił w kolumnę transportową po dwa pojemniki z rockeye'ami. Rakiety rozbiły sprzęt do budowy mostu i zabiły – taką piloci żywili nadzieję – wielu żołnierzy, którzy mieli ten most zbudować. Potem myśliwce ruszyły do domu śladem F-19.

W tym samym czasie inna grupa myśliwców F-15 Eagle wdarła się w przestrzeń powietrzną Wschodnich Niemiec, by oczyścić z nieprzyjacielskich samolotów teren

dla wracających eskadr Paktu Atlantyckiego. Otworzyły ogień, wypuszczając naprowadzone radarami lub promieniami podczerwonymi rakiety w migi, które ruszyły na spotkanie powracających z zadania myśliwców bombardujących; Amerykanie dysponowali naprowadzającymi radarami, podczas gdy Rosjanie już ich nie mieli. Miało to decydujący wpływ na wynik walki. Radzieckie myśliwce, po utracie mainstayów były zdezorientowane i działały na ślepo. Co gorsza, baterie własnych SAM-ów, które miały wspierać migi i atakować cele powietrzne, otworzyły ogień do nadlatujących maszyn; samoloty NATO trzymały się blisko ziemi.

Po dwudziestu siedmiu minutach trwania akcji „Kraina Marzeń" ostatnie samoloty przeleciały granicę. Była to kosztowna operacja. Pakt Atlantycki stracił dwa niezwykle drogie stealthy oraz jedenaście myśliwców atakujących. Ale i tak akcję należało uznać za owocną. Maszyny NATO zniszczyły ponad dwieście radzieckich myśliwców przystosowanych do lotów w ciężkich warunkach atmosferycznych, a dodatkowych sto strąciły własne baterie SAM.-ów.

Doborowe dywizjony rosyjskiego lotnictwa zostały mocno przetrzebione i na pewien czas flota powietrzna Paktu Atlantyckiego zapanowała nad niebem Europy. Z trzydziestu sześciu podstawowych brygad wojskowych trzydzieści zostało kompletnie zniszczonych, a pozostałe poniosły duże straty. Pierwszego ataku lądowego Rosjan, który miał nastąpić dwie godziny później, nie wsparła więc ani przybyła ze Związku Radzieckiego piechota, ani jednostki specjalne ruchomych wyrzutni SA.M-ÓW, ani oddziały saperów, ani kluczowe oddziały

zaopatrzenia. Ostatecznie atak na lotniska przeprowadzony przez NATO dał zachodnim sprzymierzeńcom równowagę w powietrzu; w każdym razie chwilowo. Lotnictwo Paktu Atlantyckiego wypełniło swe najistotniejsze zadanie: przewaga Rosjan na lądzie, której obawiano się najbardziej, została w znacznej mierze zredukowana. Lądową batalię o Europę Zachodnią mogło toczyć dwóch równorzędnych przeciwników.

USS „Pharris" W Ameryce, na Wschodnim Wybrzeżu wciąż jeszcze trwał poprzedni dzień. USS „Pharris" opuścił deltę Delaware o dwudziestej drugiej zero zero. On i dwanaście innych okrętów eskortowych prowadziło trzydzieści jednostek.

Tyle tylko zdołano ich zorganizować.

Tuziny statków, zarówno pod amerykańską banderą jak i pod obcymi, śpieszyło do amerykańskich portów. Wiele z nich nadkładało drogi, by uniknąć radzieckich jednostek podwodnych, które z Morza Norweskiego masowo płynęły na południe. Morris wiedział, że pierwsze dni będą bardzo ciężkie.

–Kapitanie, proszony jest pan do kabiny radiowej – zaskrzeczał głośnik. Morris natychmiast udał się do zawsze zamkniętego pomieszczenia radiokomunikacji.

–To już nie ćwiczenia – powiedział oficer łączności, wręczając mu żółty formularz depeszy. W przyćmionym świetle kabiny, Morris przeczytał:

15 CZERWCA 03.57 CZASU

GREENWICH

OD: DOWÓDZTWO LOTNICTWA

STRATEGICZNEGO NA ATLANTYKU

ŚCIŚLE TAJNE

1. PRZYSTĄPIĆ DO DZIAŁAŃ

WOJENNYCH,

TAK NA WODZIE JAK I W

POWIETRZU, PRZECIW

SIŁOM UKŁADU WARSZAWSKIEGO

2. PLAN WOJENNY GOLF TAKTYKA 7

3. ODWAGI. DOWÓDCA LOTNICTWA

Opcja Wojenna Siedem. Znaczyło to wojnę przy użyciu środków konwencjonalnych, co bardzo pokrzepiło Morrisa na duchu, gdyż „Pharris" nie dysponował aktualnie bronią jądrową. W porządku – pomyślał kapitan, wiedząc, że obecnie może już bez ostrzeżenia zaatakować każdą jednostkę z bloku wschodniego, wojenną czy handlową. Wsadził depeszę do kieszeni, wrócił na mostek i podniósł mikrofon.

–Tu kapitan. Uwaga, komunikat oficjalny. Jesteśmy w stanie wojny. Ćwiczenia się skończyły, panowie. Jeśli od tej chwili usłyszycie alarm, znaczy to, że w pobliżu kręci się jakiś niegrzeczny chłopczyk, a w dodatku ma odbezpieczoną broń. To wszystko. – Odwiesił mikrofon i spojrzał na stojącego obok oficera:

–Panie Johnson, proszę uruchomić systemy Prerii/Maski. Jeśli coś będzie nie tak, chcę natychmiast o tym wiedzieć. Umieścić to w księdze rozkazów.

System Preria/Maska służył do przeciwdziałania sonarom wrogich łodzi podwodnych. Kadłub fregaty otaczały dwie metalowe taśmy połączone z maszynownią. To była Maska.

Szło nią sprężone powietrze wydmuchiwane do wody wokół okrętu w postaci milionów maleńkich bąbelków.

Część systemu zwana Prerią robiła to samo, tyle że za pomocą ruchomych łopatek. Bąbelki wytwarzały barierę, w której grzęzła większość dźwięków wydawanych przez okrętowe śruby – dzięki temu okręt był trudny do wykrycia przez aparaturę zainstalowaną na jednostkach podwodnych.

–Kiedy opuścimy tor wodny? – zapytał Morris.

–Do pławy morskiej dotrzemy za dziewięćdziesiąt minut.

–W porządku, proszę polecić bosmanowi wachtowemu, by przygotował na dwudziestą trzecią czterdzieści pięć ogon i nixie. – „Ogon" był to holowany za okrętem sonar, a nixie to przywabiacz torped. – Zamierzam się teraz chwilę zdrzemnąć. Niech mnie pan zbudzi o wpół do dwunastej. Gdyby coś się działo, też proszę mnie obudzić.

–Tak jest, sir.

Trzy samoloty P-3C Orion służące do zwalczania okrętów podwodnych przeczesały przed nimi teren. Jedynym więc problemem była nawigacja – nieoczekiwana mielizna lub zbłąkana boja. Ale musiał się przespać. Morris wiedział, że już za trzy godziny może natknąć się na zaczajony w szelfie kontynentalnym okręt podwodny. Chciał być wypoczęty.

Sunnyvale, Kalifornia Co powstrzymuje Waszyngton? – zastanawiał się pułkownik.

Wszystko, czego potrzebował, to zwykłe „tak" lub „nie".

Sprawdził tablice rozdzielcze. Miał na orbicie trzy satelity zwiadowcze typu KH zaopatrzone w aparaturę fotograficzną oraz dziewięć elektronicznych ptaszków szpiegowskich. To była jego „konstelacja" umieszczona na niskiej orbicie.

O lecące bardzo wysoko satelity komunikacyjne i nawigacyjne się nie bał. Troskę budziło w nim tych dwanaście, krążących stosunkowo blisko ziemi; bardzo ważnych i bardzo łatwych do zniszczenia. Dwa z nich miały już w pobliżu siebie radzieckie urządzenia antysatelitarne. Jeden z KH wchodził właśnie nad terytoria Związku Radzieckiego, a drugi podążał za nim z czterdziestominutowym opóźnieniem. Trzeciemu „key-hole'owi" nic jeszcze nie towarzyszyło, ale podczas ostatniego przelotu nad Leninskiem okazało się, że kolejne urządzenie typu „F" stoi na wyrzutni i jest napełnione paliwem.

–Proszę jeszcze raz sprawdzić tego radzieckiego marudera – polecił.

Technik wydał odpowiednie polecenia i znajdujący się po drugiej stronie kuli ziemskiej satelita włączył silniki sterujące wysokością. Obrócił się wokół osi, kierując kamerę na radzieckiego niszczyciela. Powinien się on znajdować o dziewięćdziesiąt kilometrów z tyłu i piętnaście poniżej amerykańskiego urządzenia, ale… nic tam nie było.

–Zabrali go. Zabrali w ciągu ostatniej pół godziny.

Podniósł słuchawkę, by oznajmić dowódcy północnoamerykańskiej obrony powietrznej, że na własną odpowiedzialność zmieni orbitę satelity…

Za późno.

Kiedy satelita wrócił do normalnej pozycji z kamerami wycelowanymi w powierzchnię Ziemi, pojawił się cylindryczny kształt, zasłonił sobą fragment kuli ziemskiej i ekran telewizyjny zgasł.

–Chris, masz wprowadzone komendy manewru?

–Tak, sir – odparł kapitan, ciągle wpatrując się w martwy ekran.

–Proszę więc go wykonać.

Kapitan wywołał sekwencję polecenia na konsoli komputera i nacisnął „Enter". W tej samej chwili, kiedy zainstalowane w satelitach silniki włączyły się, zmieniając tor ich orbit, na biurku pułkownika zadzwonił telefon.

–Punkt kontroli Argus – powiedział pułkownik.

–Tu dowódca obrony powietrznej. Co się do diabła stało?

–Detonował radziecki niszczyciel satelitów. Nie odbieramy sygnałów KH-11, sir. Nasz ptaszek został wyeliminowany. Dwóm pozostałym „key-hole'om" poleciłem wykonać z szybkością trzydziestu metrów na sekundę manewr delta-V. Proszę przekazać do Waszyngtonu, że zbyt długo zwlekali z decyzją, sir.

POLARNA GLORIA

Kijów, Ukraina Zdecydowano, że o najnowszych wypadkach w Niemczech należy poinformować radzieckich dowódców frontów i teatrów wojny. Aleksiejew i jego zwierzchnik doskonale znali przyczyny tej decyzji: skoro niektórzy z dowódców mieli zostać zdjęci ze stanowisk, nowi ludzie powinni rozumieć sytuację. Z satysfakcją wysłuchali raportów wywiadu. Nie spodziewali się wiele po atakach grup Specnazu, lecz okazało się, iż niektóre z nich zakończyły się sukcesem.

Zwłaszcza akcje przeprowadzone w niemieckich portach.

Potem przyszła kolej na doniesienia wywiadu dotyczące mostów na Elbie.

–Czemu nikt nas nie ostrzegł? – zapytał dowódca Południowo-Zachodniego Teatru Wojny.

–Towarzyszu generale – odparł oficer sił powietrznych. – Wedle naszych informacji, ów stealth jest prototypem i ten model samolotu nie został jeszcze wprowadzony do regularnej służby. Niemniej Amerykanie zbudowali kilka egzemplarzy i włączyli je do poszczególnych eskadr.

Za pomocą tych maszyn zniszczyli naszą powietrzną sieć radarową, torując tym samym drogę do potężnego, zmasowanego ataku na lotniska i linie zaopatrzenia. Ułatwili sobie w ten sposób realizację doskonale zaplanowanej akcji skierowanej przeciw naszym myśliwcom przystosowanym do lotów w trudnych warunkach atmosferycznych. To fakt, ich misja zakończyła się powodzeniem, ale nie była rozstrzygająca.

–A dowódca lotnictwa zachodniego teatru został aresztowany w nagrodę za odparcie przeciwnika, tak? – burknął opryskliwie Aleksiejew. – Ile maszyn straciliśmy?

–Nie jestem upoważniony do odpowiedzi na to pytanie, towarzyszu generale.

–Może zatem powiecie nam coś o mostach?

–Większość mostów na Elbie została zniszczona. Poza tym NATO zaatakowało stacjonujące w pobliżu jednostki wojsk inżynieryjno-technicznych przeznaczone do wymiany taktycznej.

–Pieprzony maniak. Rozmieścił jednostki budujące mosty tuż przy głównych celach! – dowódca południowo-zachodniego teatru spojrzał w sufit, jakby spodziewał się w Kijowie ataku lotniczego.

–Tamtędy prowadziła droga, towarzyszu generale – odparł cicho oficer wywiadu. Aleksiejew dał mu ręką znak, by opuścił pokój.

–Niezbyt dobry początek, Pasza.

Jeden generał już był aresztowany, następcy jeszcze nie wyznaczono.

Aleksiejew kiwnął głową i spojrzał na zegarek.

–Za pół godziny czołgi przekroczą granicę; mamy dla Niemców parę niespodzianek. Nie otrzymali jeszcze posiłków. Ponadto nie zdążyli osiągnąć tej psychicznej gotowości, którą mają już nasi ludzie. Pierwszy cios powinien ich mocno zaboleć. Jeśli oczywiście nasi przyjaciele w Berlinie wykonają wszystko prawidłowo.

Keflavik, Islandia – Idealna pogoda – odezwał się porucznik Mikę Edwards, odrywając wzrok od wyjętej właśnie z kopiarki mapy. – Za dwadzieścia, dwadzieścia cztery godziny nadejdzie potężny, zimny front znad Kanady. Przyniesie ze sobą obfite deszcze, ale dzisiaj jeszcze będzie piękny dzień, niecałe dwie dziesiąte wysokich chmur. Wiatry zachodnie i południowo-zachodnie wiejące z szybkością od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. I dużo słońca – dokończył z uśmiechem.

Słońce ostatni raz wzeszło prawie pięć tygodni wcześniej i przez następne trzydzieści pięć dni miało nie zachodzić.

Islandia leżała tak blisko bieguna północnego, że latem słońce krążyło po błękitnym niebie szerokim łukiem, nigdy właściwie nie chowając się całkowicie za horyzont.

–Pogoda dla myśliwców – zgodził się pułkownik Bili Jeffers, dowódca „Czarnych Rycerzy", 57. Eskadry Myśliwców Przechwytujących. Większość jego samolotów F-15 Eagle stało obecnie na pasach startowych w odległości niecałych stu metrów od budynku. W maszynach siedzieli piloci i czekali. Czekali tak już od dziewięćdziesięciu minut. Dwie godziny wcześniej przyszła wiadomość, że z taktycznych baz lotniczych na Półwyspie Kolskim wystartowała wielka liczba radzieckich maszyn i odleciała w niewiadomym kierunku.

Zawsze ruchliwy port lotniczy w Keflaviku tydzień temu przemienił się w istny dom wariatów. Lotnisko służyło zarówno samolotom marynarki, jak i regularnym siłom powietrznym. Było też ważną stacją międzynarodową, gdzie maszyny wielu towarzystw lotniczych uzupełniały paliwo.

Od tygodnia ruch na lotnisku niebywale się wzmógł, gdyż przez bazę przelatywać zaczęły tranzytem groźne myśliwce taktyczne dostarczane do Europy ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, wielkie transportowce ze sprzętem wojennym oraz wracające do Ameryki samoloty pasażerskie, wiozące na pokładach pobladłych ze strachu turystów i rodziny wojskowych, którzy zostali na linii frontu. To samo dotyczyło Keflaviku: ewakuowano stamtąd trzy tysiące żon i dzieci oficerów. Baza była gotowa. Jeśli Rosjanie rozpętają wojnę, która wybuchnie niczym nowy wulkan, Keflavik będzie przygotowany na nią najlepiej, jak się da.

–Za pozwoleniem, pułkowniku, chciałbym sprawdzić parę rzeczy w wieży kontrolnej. Na najbliższe dwanaście godzin dysponujemy precyzyjną prognozą pogody.

–A prąd strumieniowy? – pułkownik Jeffers podniósł wzrok znad mierzącej blisko metr kwadratowy mapy izobarów i kierunków wiatrów.

–Występował w pewnych miejscach przez cały tydzień, sir, i na razie -nic się nie zmienia.

–W porządku, idź.

Edwards włożył czapkę i wyszedł. Na polowy mundur piechoty morskiej wdział cienką, niebieską marynarkę oficera, zadowolony z tego, że siły powietrzne nie przykładały zbyt wielkiej wagi do przepisów mundurowych.

W jeepie miał resztę swego „wyposażenia bojowego": rewolwer kalibru 38, pas z kaburą i polową odzież maskującą, jaką przed trzema dniami otrzymali wszyscy pracownicy bazy. Dopięto wszystko na ostatni guzik – stwierdził Edwards, kiedy ruszał samochodem do odległej o czterysta metrów wieży. – Nawet te kurtki niemieckiej artylerii przeciwlotniczej.

Edwards zdawał sobie sprawę, że pierwszy atak nieprzyjaciela musiał pójść na Keflavik. Wszyscy o tym wiedzieli, wszyscy byli na to przygotowani i wszyscy starali się o tym nie myśleć. Ta najbardziej odosobniona placówka Paktu Atlantyckiego na zachodnim wybrzeżu Islandii stanowiła kluczowe wejście na Północny Atlantyk. Gdyby Iwan chciał rozpocząć wojnę morską, musiałby najpierw zneutralizować Islandię. Na czterech pasach startowych w Keflaviku drzemało osiemnaście myśliwców przechwytujących Eagle, dziewięć samolotów P-3C Orion do zwalczania okrętów podwodnych i najgroźniejsze trzy maszyny E-3A AWACS z radarowym systemem ostrzegania, stanowiące wzrok myśliwców. Dwa E-3A odbywały właśnie loty patrolowe. Jeden krążył w odległości trzydziestu kilometrów na północny wschód od przylądka Fontur, drugi dokładnie nad Ristain, dwieście kilkadziesiąt kilometrów na północ od Keflaviku. I to było najbardziej zdumiewające. Dysponując tylko trzema samolotami z radarowym systemem ostrzegania, piloci mieli pracy aż nadto. Dowódca islandzkiej obrony powietrznej bardzo poważnie podszedł do całej sprawy. Edwards wzruszył ramionami. Gdyby naprawdę jakieś backfire'y zamierzały pojawić się na ich niebie i tak niewiele mogliby uczynić. Edwards był oficerem w nowo sformowanym oddziale meteorologicznym i składał tylko raporty pogodowe.

Porucznik zaparkował jeepa w miejscu wyznaczonym dla oficerów, tuż obok wieży. Rewolwer postanowił zabrać ze

sobą. Parking nie był strzeżony; zawsze istniała możliwość, że ktoś mógł „pożyczyć" sobie broń. Bazę nieustannie patrolowała kompania piechoty morskiej i żandarmeria.

Wszyscy wyglądali bardzo groźnie z karabinami M-16 i zwieszającymi się z pasów wiązkami granatów. Edwards miał nadzieję, że obchodzą się z nimi ostrożnie. Następnego dnia miała przybyć jednostka amfibii morskich, aby wzmocnić siły bazy. Powinno to wprawdzie nastąpić dobry tydzień wcześniej, ale cała sprawa odwlekła się. Częściowo dlatego, że Islandczycy bardzo niechętnie widzieli na swoim terytorium większą ilość uzbrojonych, obcych wojsk, lecz przede wszystkim z powodu nieoczekiwanie szybkiego rozwoju wypadków. Edwards przebył biegiem zewnętrzne schody wieży i trafił do centrali, w której ujrzał nie pięciu jak zwykle, ale ośmiu dyżurnych.

–Cześć, Jerry – przywitał szefa, porucznika marynarki Jerry'ego Simona.

W wieży nie było ani jednego cywilnego kontrolera ruchu pasażerskiego. No cóż – pomyślał Edwards. – Skoro nie ma pasażerów, to nie mają czego kontrolować…

–Dzień dobry, Mikę – odparł szef.

Był to stały dowcip pracowników bazy w Keflaviku.

Zegar wskazywał trzecią piętnaście czasu miejscowego.

Dzień! Ale słońce stało już wysoko na północno-wschodniej stronie nieba, zalewając całe pomieszczenie jaskrawym światłem.

–Zróbmy pomiary wysokościowe! – powiedział Edwards, podchodząc do instrumentów meteorologicznych.

–Nie znoszę tego pieprzonego miejsca! – odparł dyżurny.

–Zróbmy bezwzględne pomiary wysokościowe.

–Bezwzględnie nie znoszę tego pieprzonego miejsca!

–Zróbmy więc względne.

–Nie lubię tego pieprzonego miejsca!

–Zróbmy więc pomiary pobieżne.

–Pieprzę to pobieżnie! – obaj się roześmiali. Zrobili to, co im było bardzo potrzebne.

–Miło widzieć, że wszyscy zachowujemy równowagę – odezwał się Edwards.

Niski, chudy porucznik od chwili przybycia do bazy przed dwoma miesiącami zdobył od razu dużą popularność.

Pochodził z Eastpoint w Maine, skończył Akademię Lotnictwa, ale ponieważ nosił okulary, nie mógł latać. Jego drobna postać – sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i pięćdziesiąt pięć kilogramów wagi – sprawiała, iż nie posiadał dostatecznego autorytetu jako dowódca, ale zaraźliwe poczucie humoru oraz ciągła gotowość do opowiadania dowcipów, jak też wielka biegłość w przewidywaniu komplikacji pogodowych na Północnym Atlantyku sprawiały, iż każdy w Keflaviku chciał z nim pracować. Wszyscy zgodnie twierdzili, że pewnego dnia wyląduje w telewizji jako jeden z tych cholernych przepowiadaczy pogody.

–MA.C, lot pięć-dwa-zero, zrozumiałem cię. Odlatuj, duży chłopaczku. Musimy mieć miejsce – odezwał się zmęczonym głosem kontroler lotów. W odległości kilkuset metrów na pasie

startowym jeden-osiem, zaczynał rozpędzać się transportowiec C-5A Galaxy. Edwards obserwował maszynę przez lornetkę. Nigdy nie mogło pomieścić mu się w głowie, iż taki kolos jest w stanie w ogóle oderwać się od ziemi. – Żadnych nowych wiadomości? – zapytał Simon Edwardsa.

–Nie, ostatni raport to ten od Norwegów. W Koli duży ruch. Zresztą miałem masę pracy – odparł Mikę i wrócił do wzorcowania cyfrowego barometru.

Wszystko zaczęło się przed sześcioma tygodniami. Zgrupowane w sześciu bazach w okolicach Siewieromorska dywizjony samolotów dalekiego zasięgu, należące do radzieckiego lotnictwa morskiego, rozpoczęły nieustanne ćwiczenia pozorujące loty bojowe. Po czterech tygodniach cała ich aktywność zmalała do zera. Był to bardzo złowieszczy znak: Rosjanie najpierw wyszkolili załogi do perfekcji, a następnie przystąpili do generalnych remontów, dzięki którym każda maszyna, każdy instrument doprowadzone zostały do stanu pełnej gotowości… Co teraz robią? Planują

atak na Bodo w Norwegii? A może na Islandię? Kolejne ćwiczenia? Trudno powiedzieć.

Edwards odnotował w księdze przepisaną na ten dzień kontrolę instrumentów na wieży. Mógł to wprawdzie zostawić zwerbowanym technikom, ale ci akurat mieli masę dodatkowych zajęć przy dywizjonie myśliwców, więc postanowił zrobić to sam. Ponadto dawało mu to doskonały pretekst, by odwiedzić wieżę…

–Panie Simon – odezwał się nagle starszy kontroler. – Otrzymałem właśnie pilną wiadomość z Sentry Jeden. Alarm pierwszego stopnia: nadlatuje wielu bandytów, sir. Nadlatują z północy i północnego wschodu… Sentry Dwa sprawdza… też ich ma. Jezu! Wygląda, że bandytów jest czterdziestu albo pięćdziesięciu…

Edwards zauważył, że agresorów nazywano obecnie „bandytami", nie „zombi", jak dotąd.

–Czy nadlatują jakieś nasze samoloty?

–Za dwadzieścia minut ma się pojawić MAC C-41, a osiem dalszych w pięciominutowych odstępach. Nadlatują z Dover.

–Proszę powiadomić je, by zawracały! Keflavik jest zamknięty dla wszelkich przylotów aż do odwołania – Simon odwrócił się do pracownika telekomunikacji. – Proszę powiadomić dowództwo lotnictwa strategicznego na Atlantyku, że idzie na nas atak i czekamy na rozkazy. Ja…

Powietrze wypełnił jęk syren alarmowych. Oczekujący na dole piloci zerwali oznakowane na czerwono plomby bezpieczeństwa w gotowych do startu myśliwcach przechwytujących. Edwards spostrzegł, iż jeden z lotników szybko dopija kubek kawy i zaczyna zapinać pasy bezpieczeństwa. Startery, zasilające popodłączane do każdego z samolotów wózki akumulatorowe, zakrztusiły się ciemnym dymem, kiedy zaczęły dostarczać silnikom energię.

–Wieża, tu dowódca eskadry. Ruszamy. Zwolnij pasy startowe, człowieku.

Simon chwycił mikrofon.

–Zrozumiałem, pasy startowe wolne. Plan Alfa. Ruszaj!

Osłony kabin myśliwców opadły, spod kół wyjęto 16 – Czerwony sztorm

podstawki klinowe i każdy człowiek z obsługi bazy oddał pilotom szybki salut. Warkot odrzutowych silników przemienił się w ryk; samoloty niezdarnie zaczęły kołować na start.

–Gdzie jest twoje stanowisko bojowe, Mikę? – zapytał Simon.

–W budynku meteorologii – odparł Edwards i ruszył w stronę drzwi. – Powodzenia, chłopcy.

Na pokładzie Sentry Dwa technicy radarowi obserwowali na ekranie lampy oscyloskopowej zbliżające się w ich kierunku szerokim łukiem wyskoki. Każdy z tych wyskoków opatrzony był symbolem: „BGR" oraz danymi wskazującymi kurs, wysokość i szybkość. Każdy oznaczał bombowiec radzieckiego lotnictwa morskiego Tu-16 Badger. Nad Keflavik nadlatywały z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę dwadzieścia cztery maszyny. Pojawiły się na małej wysokości, poniżej horyzontu radiolokacyjnego radarów E-3A.

W chwili, gdy w odległości trzystu dwudziestu kilometrów od bazy lotniczej zostały wykryte, błyskawicznie weszły wyżej. Kierunek ich lotu pozwolił operatorom radarów natychmiast zakwalifikować je jako wrogie. Wprawdzie w powietrzu znajdowały się cztery maszyny Eagle – dwie z nich zaopatrzone w aparaturę radarowego wykrywania AWACS – ale kończyły właśnie służbę i miały zbyt mało paliwa, by podjąć walkę z pędzącymi na dopalaczach badgerami. Niemniej ruszyły na ich spotkanie z szybkością tysiąca kilometrów, choć nie były jeszcze w stanie wykryć ich na kierujących pociskami radarach.

Wiadomość, jaka napłynęła ze znajdującego się nad przylądkiem Fontur Sentry Jeden, była jeszcze gorsza.

Wyskoki na lampie oscyloskopowej jego urządzeń informowały o ponaddźwiękowych Tu-22M backfire'ach, których stosunkowo powolny lot wskazywał, że są ciężko uzbrojone podwieszonymi do skrzydeł pociskami. Maszyny Eagle ruszyły również w ich stronę. A sto sześćdziesiąt kilometrów za nimi dwa F-15, krążące w punkcie obrony nad Reykjavikiem, oderwały się od przebywającego z nim w powietrzu tankowca i ruszyły na północny wschód z szybkością

tysiąca sześciuset kilometrów na godzinę. Reszta dywizjonu dopiero odrywała się od ziemi. Obraz radarowy z obu AWACS-ów transmitowany był kodem cyfrowym do centrum dowodzenia myśliwcami w Keflaviku, dzięki czemu personel naziemny mógł obserwować całą akcję na bieżąco.

Zbliżała się pora zmiany patrolujących myśliwców i cała naziemna obsługa pracowała w gorączkowym pośpiechu, przysposabiając maszyny do lotu.

W ciągu minionego miesiąca manewr ten przećwiczyli osiem razy. Niektóre załogi myśliwców spały w samolotach.

Inne wywoływano z położonych nie dalej niż czterysta metrów kwater. Maszyny, które właśnie wróciły z patrolu, były ponownie tankowane i natychmiast ciągnięte przez obsługę naziemną na pasy startowe. Żandarmeria i żołnierze piechoty morskiej, którzy nie dotarli jeszcze na posterunki, ruszyli biegiem. Atak mógł nastąpić w każdej chwili. W bazie zostali tylko nieliczni pracownicy cywilni, gdyż pasażerski ruch lotniczy praktycznie nie istniał. Z drugiej strony, ludzie w Keflaviku od tygodnia pozostawali na posterunkach właściwie bez przerwy i byli już mocno zmęczeni. Czynności, które w normalnych warunkach zajmowały im pięć minut, obecnie wykonywali w siedem lub osiem.

Edwards wrócił do punktu meteorologicznego, gdzie przebrał się w mundur polowy, na który włożył niemiecką kurtkę artylerii przeciwlotniczej, a na głowę wcisnął „szwabski" hełm. Jego miejsce – porucznik nie myślał o nim jako o „stanowisku bojowym" – znajdowało się tutaj. Zupełnie jakby ktoś, by zaatakować nadlatujące bombowce, potrzebował dokładnej prognozy pogody. Ale na każdą okoliczność obowiązuje plan – pomyślał Edwards. – Musi być plan. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu. Zszedł na dół do Wydziału Operacji Lotniczych.

–Od Bandjty Osiem oderwały się dwa obiekty. Komputer mówi, że to pociski klasy powietrze-ziemia AS-4 – odezwał się kontroler łączności z sentry. Starszy oficer natychmiast przesłał tę wiadomość drogą radiową do Keflaviku.

MV „Julius Fućik" Dwadzieścia mil na południowy zachód od Keflaviku pokład „Doktora Lykesa" zaroił się ludźmi. Każdy z dowódców dywizjonu radzieckich bombowców, które wypuściły pociski powietrze-ziemia, przesłał drogą radiową do „Fućika" ustalone hasło. Teraz nadszedł już czas działań statku.

–Ster lewo – rozkazał kapitan Kierow. – Dziób na nawietrzną.

Pułk wojsk powietrznodesantowych – mimo że wielu żołnierzy cierpiało od dwóch tygodni na chorobę morską – przystąpił do ostatnich przygotowań przed desantem.

Załoga „Fućika" zdejmowała deski, którymi przykryto cztery znajdujące się na rufie „barki"; w rzeczywistości były to bojowe poduszkowce typu Lebied. Sześcioosobowe załogi odsłaniały wloty powietrza prowadzące do silników, traktowanych od miesiąca z niezwykłą troską. Dowódcy pojazdów natychmiast odpalili wszystkie, to znaczy po trzy w każdym z poduszkowców.

Pierwszy oficer statku zajął stanowisko w centrali dźwi – gów na rufie. Na dany ręką znak do każdego z pojazdów wsiadła składająca się z osiemdziesięciu pięciu żołnierzy kompania piechoty wzmocniona drużyną obsługującą moździerz. Silniki zaczęły pracować na wysokich

obrotach, pojazdy uniosły się na poduszkach powietrznych i wyciągarki przeciągnęły je na rufę. Po czterech minutach oba poduszkowce spoczywały na platformie wyładowczej, która stanowiła rufę barkowca.

–W dół – polecił pierwszy oficer. Operatorzy dźwigu zaczęli opuszczać platformę. Morze było wzburzone i w rozwidloną rufę „Fućika" tłukły ponad metrowej wysokości fale. Kiedy platforma dotarła do powierzchni wody, oba pojazdy zwiększyły obroty, a lebiedy oddaliły się nieco od statku. Dźwig natychmiast uniósł platformę na najwyższy pokład barkowca. Dwa bojowe poduszkowce krążyły w pobliżu. Po pięciu minutach wszystkie cztery pojazdy ruszyły w szyku w kierunku półwyspu Keflavik. „Fućik" trzymał się północnego kursu, by skrócić kolejne

rajdy poduszkowców. Jego otwarty pokład zatłoczony był żołnierzami uzbrojonymi w przenośne wyrzutnie pocisków woda-powietrze i w karabiny maszynowe. Andriejew trwał na mostku, wiedząc, że tu właśnie jest jego miejsce. Sercem jednak towarzyszył żołnierzom, którzy szli do boju.

Keflavik, Islandia – Tu wydział operacyjny w Keflaviku. Bandyci po wystrzeleniu pocisków powietrze-ziemia natychmiast zawrócili. Każdy z samolotów odpalił po dwie rakiety.

Pięćdziesiąt, obecnie pięćdziesiąt sześć; kolejne są wystrzeliwane. Ale za bombowcami nie nadlatują dalsze maszyny, powtarzam, nie nadlatują. Nie nadlatują też samoloty ze spadochroniarzami. Chłopcy, teraz już leci sześćdziesiąt rakiet – usłyszał Edwards, kiedy przekroczył próg swego stanowiska bojowego.

–Przynajmniej nie mają głowic nuklearnych – odezwał się kapitan.

–Wystrzelili w nas sto pocisków… oni, kurwa, nie. potrzebują broni jądrowej! – odparł ktoś inny.

Edwards obserwował przez ramię jednego z oficerów wskazania lampy oscyloskopowej. Duże, powoli poruszające się wyskoki, oznaczały samoloty. Mniejsze, szybsze – to były rakiety Mach-2.

–Ma go! – krzyknął operator radaru.

Prowadzący eagle zbliżył się do budgera na odległość strzału i w dziesięć sekund po tym, jak rosyjski bombowiec wypuścił swoje rakiety, zniszczył go pociskiem Sparrow.

Drugi pocisk nie trafił w cel, ale trzeci dosięgnął obiektu.

Pierwszy myśliwiec strącił kolejny radziecki samolot. Rosjanie atakowali znad całego północnego wybrzeża – jak stwierdził Edwards – a bombowce znajdowały się w tak dużej odległości od siebie, że amerykańskie myśliwce mogły się zająć najwyżej jednym lub dwoma przeciwnikami naraz.

Wyglądało to zupełnie jakby…

–Czy nikt nie sprawdza geometrii ataku? – zapytał Edwards.

–O co chodzi? – kapitan obejrzał się. – Skąd się pan tutaj wziął? Opuścił pan, poruczniku, swój posterunek.

Edwards pominął tę uwagę.

–Jaka jest szansa, że próbują odciągnąć nasze myśliwce?

–Byłaby to bardzo droga przynęta – odparł kapitan. – Twierdzi pan, że mogliby wystrzeliwać swoje rakiety z większej odległości? Może mają mniejszy zasięg, niż nam się wydaje. Ale cały problem polega na tym, że pierwsza rakieta doleci tu za dziesięć minut. A kolejne zaczną spadać w pięcio-, siedmiosekundowych odstępach. A my, do cholery, nie możemy nic zrobić.

–To racja – skinął głową Edwards.

.Budynek mieszczący wydziały operacji lotniczych i meteorologii był jednopiętrową, prostokątną budowlą, która drżała teraz co chwila w podmuchach wiejącego z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów wiatru. Porucznik wyjął pasek gumy do żucia i włożył go do ust. Za dziesięć minut spadnie tu pierwsza ze stu rakiet – każda z nich zawierać będzie około tony materiału wybuchowego. A może nawet głowice nuklearne. Najgorszy los czekał ludzi na zewnątrz: załogi naziemne i pilotów przygotowujących maszyny do startu. Zadaniem Edwardsa było po prostu trzymać się od tego wszystkiego jak najdalej. Powodowało to w nim uczucie wstydu. Smak strachu mieszający się z miętowym smakiem gumy wstyd ów jeszcze powiększał.

Wszystkie maszyny Eagle znalazły się już w powietrzu – mknęły na północ. Ostatni z backfire'ón› wypuścił rakiety i pełną mocą silników odlatywał na północny wschód. Za rosyjskimi samolotami ruszyły w pościg z szybkością dwóch tysięcy kilometrów na godzinę myśliwce Eagle. Trzy z nich wystrzeliły pociski, niszcząc dwa rosyjskie samoloty i jeden uszkadzając. Główny kontroler z Sentry Jeden spostrzegł, że myśliwce, które przybyły z odsieczą, przywołane hasłem „Zulu" nie są w stanie dogonić backfire'ów. Klął w duchu, że nie posłał ich za starszymi i mniej cennymi badgerami.

Wiele z nich mogłyby przechwycić. W tej chwili więc polecił im zwolnić i zaczął podawać namiary ponaddźwiękowych, radzieckich rakiet.

Na pasie startowym dwa-dwa nabierał właśnie szybkości Pingwin Osiem, jeden z samolotów klasy P-3C Orion do zwalczania okrętów podwodnych. Pracę zakończył zaledwie przed pięcioma godzinami, więc jego załoga nie zdążyła jeszcze w pełni otrząsnąć się ze snu. Teraz uruchamiała na betonie turbośmigłowy samolot.

–Zaczyna opadać – odezwał się operator radaru.

Pierwsza rosyjska rakieta znajdowała się już prawie nad nimi i zaczynała wchodzić w lot nurkowy. Eagle strącił dwa z nadlatujących pocisków, ale kursy i wysokości rakiet były bardzo niekorzystne, toteż większość wystrzelonych Sparrowów nie mogła dogonić machów-2. Piloci krążących nad środkową Islandią w dużej odległości od bazy myśliwców F-15 zastanawiali się usilnie, czy znajdą jeszcze lotnisko, na które będą mogli wrócić.

Kiedy spadła pierwsza rakieta, Edwards przypadł do ziemi. A może wcale nie spadła? Pociski powietrze-ziemia zaopatrzone były w radarowe detonatory zbliżeniowe.

Bomba eksplodowała dwadzieścia metrów nad płaszczyzną gruntu. Skutek był przerażający. Wybuch nastąpił dokładnie nad międzynarodową autostradą w odległości dwustu metrów od budynku operacji lotniczych. Na zabudowania bazy spadł grad odłamków; największych uszkodzeń doznała remiza straży ogniowej. Edwards kulił się na podłodze, podczas gdy w górze świstały odłamki, które przechodziły przez drewniane ściany jak przez papier. Podmuch wyrwał drzwi z zawiasów i całe pomieszczenie wypełniło się gęstym kurzem. W chwilę później eksplodowała stacja „Esso".

Paliwo do ciężarówek wystrzeliło w niebo olbrzymią kulą ognia, a na okolicę spadł deszcz płonącej benzyny. Natychmiast zniszczone zostały instalacje elektryczne. Radary, radia i lampy pogasły, a zasilane bateriami światła awaryjne nie zapaliły się od razu. Przez straszną chwilę Edwards myślał, że rakieta uzbrojona była w głowicę nuklearną.

Podmuch eksplozji spowodował, że stracił dech, poczuł mdłości. Rozejrzał się i ujrzał nieprzytomnego człowieka trafionego spadającą z sufitu lampą jarzeniową. Nie pamiętał, czy on sam zapiął hełm, czy też nie. Był to w tej chwili

w jakiś sposób problem niebywale istotny, ale Edwards nie wiedział dlaczego.

W dużej odległości wylądowała kolejna rakieta, a po minucie rozległa się cała seria gromów. Porucznik prawie dławił się kurzem. Czuł, że za chwilę straci przytomność.

Odruchowo zerwał się z ziemi i runął ku wyjściu, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Przywitała go ściana żaru. Stacja „Esso" przekształciła się w ryczące kłębowisko ognia, który pochłonął już laboratorium fotograficzne i centrum handlowe bazy. Jeszcze więcej dymu unosiło się nad terenem koszar. Na pasach startowych, z których nigdy już nic nie miało wystartować, stało pół tuzina samolotów. Eksplodująca nad skrzyżowaniem pasów rakieta, pourywała im skrzydła niczym zabawkom. Przed oczyma Edwards miał zgruchotany, płonący wielkim ogniem E-3A sentry. Odwrócił wzrok ku wieży kontrolnej. Też była uszkodzona. Wszystkie szyby zostały wybite. Nie myśląc wcale o jeepie, porucznik pobiegł w stronę wieży.

Dwie minuty później, wstrzymując oddech, wszedł do środka. Nikt nie przeżył. Ciała były pocięte odłamkami szkła, kafelki na podłodze śliskie od krwi. Z głośników ciągle dobiegał szum radia, ale nie pracował żaden nadajnik.

Pingwin Osiem – Cóż to jest, do licha? – mruknął pilot oriona.

Przechylił gwałtownie maszynę na lewe skrzydło i dodał gazu. Znajdowali się w odległości szesnastu kilometrów od Keflaviku. Obserwowali kłęby dymu unoszące się nad ich lotniskiem. Pod nimi płynęły cztery masywne kształty.

–To… – drugi pilot głośno wciągnął powietrze. – Gdzie…

Po powierzchni morza, rozbijając gwałtownie ponad metrowej wysokości fale, posuwały się z prędkością czterdziestu węzłów cztery lebiedy. Każdy z nich miał dwadzieścia sześć metrów długości i dwanaście szerokości. Na górze majaczyły po dwa pędniki tunelowe wznoszące się pochyło

nad wysmukłym statecznikiem typu lotniczego z wymalowanym emblematem radzieckiej marynarki wojennej: czerwonym sierpem i młotem na błękitnym pasie. Pojazdy były zbyt blisko brzegu, by orion mógł wykorzystać swoją broń.

Pilot przyglądał się z niedowierzaniem. Po chwili dopiero wystrzelił w kierunku lebiedów z trzydziestomilimetrowego działka. Nie trafił. Ostrym skrętem skierował oriona na zachód.

–Tacco, przekaż sekcji zwalczania okrętów podwodnych w Keflaviku, że zaraz będą mieli towarzystwo. Cztery opancerzone poduszkowce nieznanego typu. Rosyjskie.

Wypełnione wojskiem.

–Do samolotu – odezwał się po trzydziestu sekundach koordynator taktyczny. – Keflavik wyeliminowany. Centrum zwalczania okrętów podwodnych zniszczone. Wieża kontrolna również. Próbuję wezwać inne sentry. Może uda się sprowadzić jakieś myśliwce.

–W porządku, ale bądź cały czas w kontakcie z Keflavikiem. Trzymaj namiar na nasz radar. Może odkryjemy, skąd płyną. Rakiety Harpoon też miej gotowe…

Keflavik, Islandia Edwards, przykładając do oczu lornetkę, próbował właśnie oszacować straty, kiedy dotarł do niego komunikat; nie mógł jednak na niego odpowiedzieć. Co mam robić? – pomyślał. Rozejrzał się i ujrzał jedyną użyteczną rzecz: radio „Hammer Ace". Szybko nałożył na plecy nosiłki z urządzeniem i zbiegł po schodach. Musiał ostrzec piechotę morską.

Poduszkowiec przemknął po wodach zatoki Djupivogur i minutę później dobił do brzegu, kilometr od bazy lotniczej. Żołnierze odetchnęli z ulgą, kiedy ich pojazd ruszył po płaskim, skalistym, porośniętym kolczastym jałowcem terenie w kierunku bazy lotniczej NATO.

–Co to jest, do diabła… – odezwał się kapral piechoty morskiej. Na horyzoncie pojawiła się masywna sylwetka,

niczym wynurzający się z wody i udający na piknik dinozaur.

Pojazd szybko przemieszczał się w jego stronę.

–Hej, żołnierzu, do mnie! – krzyknął Edwards. Jeep z trzema żołnierzami w środku przyhamował gwałtownie, po czym ruszył w stronę porucznika. – Natychmiast wieźcie mnie do dowódcy.

–Dowódca nie żyje, sir – odparł sierżant. – Punkt dowodzenia zniszczony, poruczniku. Kurwa, zniszczony…

–Gdzie zastępca?

–W szkole podstawowej.

–Jedźmy. Od morza, kurwa mać, zbliżają się niegrzeczni chłopcy. Macie radio?

–Próbowaliśmy się łączyć, sir, ale nie było odpowiedzi.

Sierżant skierował samochód na południe, na międzynarodową autostradę. Sądząc z ilości dymu, trafiły tutaj co najmniej trzy rakiety. Niewielkie miasteczko, jakie stanowiła baza lotnicza w Keflaviku, zamieniło się w skupisko dymiących ognisk i zgliszczy. Wszędzie widać było zwijających się jak w ukropie i biegających bezładnie ludzi w mundurach.

Czy ktoś tu jeszcze sprawuje władzę? – pomyślał Edwards.

Szkoła podstawowa również została trafiona. Jedna trzecia zabudowań płonęła.

–Sierżancie, czy pańskie radio działa?

–Działa, sir, ale nie jest nastrojone na odbiornik straży.

–To proszę je przestroić.

–Tak jest – sierżant pochylił się nad urządzeniem.

Lebiedy ustawiły się parami czterysta metrów od granic bazy. Otworzyły się przednie wrota pojazdów i z każdego wytoczyły się dwa transportery opancerzone BMD, za nimi moździerze, których obsługi natychmiast zaczęły przygotowywać się do walki. Odezwały się 73-milimetrowe działa wozów bojowych, a wyrzutnie rakiet bombardowały linie obronne amerykańskich marines. Potem do ataku przystąpiła piechota. Żołnierze posuwali się powoli i ostrożnie, kryjąc się za pancernymi ścianami pojazdów i korzystając ze wsparcia ogniowego. Oddział szturmowy został dokładnie wyselekcjonowany z jednostek, które przeszły kampanię w Afganistanie, toteż każdy z żołnierzy miał już za sobą chrzest

bojowy. Lebiedy, niczym ogromne kraby, zawróciły w stronę morza po kolejne posiłki. Obecnie już część elitarnych oddziałów powietrznodesantowych zaangażowała do walki pojedyncze kompanie amerykańskiej piechoty morskiej.

Gorączkowe słowa płynące z krótkofalówek były aż nadto jasne. Elektrownia zasilająca bazę została zniszczona, większość odbiorników radiowych umilkła. Oficerowie piechoty morskiej polegli i nie było nikogo, kto zorganizowałby obronę. Edwards zastanawiał się, czy jest jeszcze ktoś, kto ogarnia sytuację. Doszedł do wniosku, że to zapewne i tak już nie ma znaczenia.

–Sierżancie, musimy wydostać się z tego piekła!

–Ma pan na myśli ucieczkę, sir?

–Myślę o tym, żeby się stąd wydostać i powiadomić kogoś, co się tu dzieje. Ta placówka jest już stracona, sierżancie. Ktoś musi o tym poinformować dowództwo, żeby nie przysyłali tu więcej samolotów. Jak najszybciej dostać się stąd do Reykjaviku?

–Do cholery, sir, ale tam są jeszcze żołnierze piechoty morskiej.

–Chce pan zostać jeńcem Rosjan? Przegraliśmy! Mówię, że musimy złożyć raport. I tak zrobimy, sierżancie.

Kapuje pan?

–Tak jest, sir.

–Skąd weźmiemy broń?

Jeden z szeregowców pobiegł do ruin szkoły. Leżał tam twarzą do ziemi żołnierz piechoty morskiej. Spod ciała wypływała kałuża krwi. Szeregowiec wrócił, niosąc należący do tamtego karabin M-16, plecak i pas z amunicją. Wręczył to Edwardsowi.

–Mamy jeszcze jeden, sir.

–Wynośmy się stąd, do diabła.

Sierżant włączył silnik.

–Ale w jaki sposób złożymy ten raport? – zapytał.

–To już mój kłopot.

–W porządku.

Sierżant zawrócił jeepa o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył autostradą w kierunku roztrzaskanych anten satelitarnych.

MV „Julius Fućik" – Samolot z lewej burty – krzyknął obserwator.

Kierow podniósł lornetkę i cicho zaklął. Pod skrzydłami wielosilnikowego samolotu widniały

podwieszone rakiety.

Pingwin Osiem – No dobrze, popatrzmy, co tu mamy – odezwał się pilot oriona. – Nasz przyjaciel, „Doktor Lykes". Co jeszcze jest w okolicy?

–Nic. Na obszarze stu mil nie ma żadnej innej jednostki nawodnej – zakończyli właśnie badanie horyzontu za pomocą radaru przeszukującego.

–Przecież te cholerne poduszkowce nie wyjechały z okrętu podwodnego.

Pilot skorygował kurs, przelatując w odległości dwóch mil od statku, ustawił czterosilnikową maszynę patrolową tyłem do słońca. Drugi pilot obserwował „Doktora Lykesa" przez lornetkę. Kamery telewizyjne zainstalowane w samolocie i obsługiwane przez strzelców zapewniały bardziej szczegółowy obraz. Ujrzeli dwa rozgrzewające się helikoptery. Ktoś na pokładzie „Fućika" w panice wystrzelił z ręcznej wyrzutni w stronę samolotu rakietę SA-7. Ominęła maszynę dalekim łukiem i pomknęła w kierunku stojącego nisko nad horyzontem słońca.

MV „Julius Fućik" – Idiota! – warknął Kierow. Do samolotu nie dotarł nawet dym z rakietowego silnika pocisku. – Teraz otworzą do nas ogień. Zająć stanowiska na burtach. Sternik, alarm!

Pingwin Osiem – W porządku – mruknął pilot, oddalając się nieco od statku handlowego. – Tacco, mamy cel dla twoich harpoonów. Połączyłeś się z Keflavikiem?

–Nie, ale Sentry Jeden transmituje wszelkie dane do Szkocji. Twierdzą, że na Keflavik spadła solidna ilość rakiet.

Pilot zaklął cicho.

–Dobrze, zatopimy tego pirata.

–Samolot, zrozumiałem – odezwał się koordynator taktyczny. – Już dwie minuty temu mogliśmy… o, cholera!

Mam czerwone światło w lewym harpoonie. Jakiś dupek go nie uzbroił.

–No cóż, pobaw się ze skurwielem – warknął pilot.

Zmęczona załoga naziemna w pośpiechu nie podłączyła dokładnie linki sterowej rakiety.

–W porządku, mam drugą. Gotowa!

–Strzelaj!

Pocisk oderwał się od skrzydła i opadł z dziesięć metrów, zanim włączył się silnik. Na otwartym pokładzie „Fućika" tłoczyli się spadochroniarze. Wielu z nich, w nadziei, że trafią w

nadlatujący pocisk powietrze-woda trzymało w rękach wyrzutnie SAM-ów,

–Tacco, może uda ci się tu ściągnąć F-15. Niech potraktuje trochę tego przyjemniaczka swoim dwudziestomilimetrowym kalibrem.

–Właśnie to robię. Nadlatuje już dwójka, ale mają mało paliwa. Wszystko, co mogą zrobić, to jedno czy dwa podejścia.

Pierwszy pilot przyłożył lornetkę do oczu i obserwował pomalowaną na biało rakietę, pomykającą tuż nad falami.

Daj im popalić koteczku – szepnął do siebie.

MV „Julius Fućik" – Rakieta z lewej burty. Nisko nad horyzontem.

Ostatecznie obserwatorów mamy dobrych – pomyślał Kierow. Szybko obliczył odległość od horyzontu i doszedł do wniosku, że rakieta mknie z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę…

–Ster, cała w prawo! – krzyknął. Sternik przekręcił błyskawicznie koło do oporu.

–Nie uciekniesz przed rakietą, Kierow – odezwał się cicho generał.

–Wiem o tym. Popatrz, przyjacielu.

Czarny kadłub statku obrócił się gwałtownie na prawą burtę, po czym pochylił się w stronę przeciwną, jak samochód po gwałtownym skręcie na gładkiej szosie.

Sprawiło to, iż na zagrożonej, lewej burcie poziom wody niebezpiecznie się podniósł.

Kilku stojących na pokładzie oficerów marynarki handlowej wystrzeliło race sygnałowe w nadziei, że przyciągną one uwagę rakiety. Ale elektroniczna pamięć pocisku była skoncentrowana na potężnym wyskoku lampy oscyloskopowej systemów samonaprowadzania. Urządzenia spostrzegły, że statek zmienia lekko pozycję i zgodnie z tym wprowadziły odpowiednie korekty. Pół mili od celu lecący trzy metry nad wodą harpoon wzniósł się nieco i wykonał ostateczny, zaprogramowany „podskok". Zgromadzeni na pokładzie „Fućika" żołnierze strzelali nieustannie z tuzina wyrzutni pocisków woda-powietrze. Trzy rakiety przeszły nawet przez smugę spalin silników harpoona, lecz nie potrafiły skręcić wystarczająco szybko, by trafić w sam pocisk.

Harpoon przechylił się i znurkował…

Pingwin Osiem – W porządku – szepnął pilot.

Teraz już nic nie mogło powstrzymać rakiety.

Trafiła w kadłub statku dwa metry nad poziomem wody.

Trochę za mostkiem. Głowica eksplodowała natychmiast, lecz całe cielsko pocisku mknęło jeszcze do przodu i na najniższym pokładzie towarowym detonowało sto kilogramów odrzutowego paliwa. Statek spowiła chmura dymu.

Siła wybuchu zwaliła z nóg trzech spadochroniarzy, którzy odruchowo nacisnęli spusty trzymanych w rękach wyrzutni SAM-ów. Pociski pomknęły w górę.

–Tacco, twój ptaszek w celu. Głowica eksplodowała.

Wygląda, że… – pilot przyłożył do oczu lornetkę, by oszacować skutki trafienia.

MV „Julius Fucik" – Ster zero!

Kierow spodziewał się, że wstrząs może zwalić go z nóg, ale rakieta była mała, a „Julius Fucik" ciągle miał trzydzieści pięć tysięcy ton wyporności. Kapitan pobiegł w róg mostka, starając się ocenić rozmiary zniszczeń. Kiedy statek wrócił już do normalnej pozycji, postrzępiona dziura w jego boku znalazła się trzy metry nad wodą. Bił z niej gęsty dym. Cały pokład płonął, ale Kierow uznał, że od takiej eksplozji „Fucik" nie zatonie. Istniało tylko jedno niebezpieczeństwo i kapitan wydał ekipom ratowniczym odpowiednie rozkazy.

Generał Andriejew przydzielił im jednego ze swoich oficerów. Przez ostatnie dziesięć dni setka spadochroniarzy przechodziła szkolenie przeciwpożarowe. Teraz wojsko miało pokazać, czego się nauczyło.

Pingwin Osiem Kiedy z rozległego obłoku dymu wynurzył się z szybkością dwudziestu węzłów „Fucik", w jego boku ziała szeroka na pięć metrów dziura. Z otworu buchał dym, ale pilot oriona od razu spostrzegł, że uszkodzenia nie były wielkie.

Widział setki ludzi na górnym pokładzie, niektórzy zbiegali już po drabinach i zaczynali walczyć z ogniem.

–Gdzie te myśliwce? – zapytał.

Koordynator taktyczny milczał. Manipulował coś przy przełącznikach radiowych.

–Pingwin Osiem, tu Kobra Jeden. Mamy dwa samoloty. Wprawdzie brak już im rakiet, ale dysponują pełnymi komorami dwadzieścia mm. Zrobią dwa nawroty, ale potem muszą zmiatać do Szkocji.

–Zrozumiałem, Kobra. Cel przywita was kłębami dymu. Uważajcie na ręczne SAM-y. Wystrzelili już ze dwadzieścia tych skurwieli.

–Przyjąłem, Pingwin. Co nowego w Keflaviku?

–Na razie musimy poszukać sobie nowego domku.

–Rozumiem, przyjąłem. W porządku, trzymajcie się z daleka. Nadlatujemy od słońca, nad samą wodą.

Orion krążył w odległości trzech mil. Pilot dostrzegł myśliwce dopiero w chwili, kiedy otworzyły ogień. Oba eaglle leciały tuż nad wodą, w odstępie kilku metrów od siebie. Ich nosy ziały ogniem z dwudziestomilimetrowych, obrotowych działek.

MV „Julius Fućik" Nikt na statku nie zauważył nadlatujących maszyn.

W jednej chwili wokół burty zakotłowała się woda, a w sekundę później główny pokład spowiły tumany kurzu.

Pomarańczowa kula ognia oznajmiła, że eksplodował jeden z radzieckich helikopterów. Struga płonącego paliwa dotarła aż do mostka, cudem tylko omijając generała i kapitana.

–Co to? – wychrypiał Kierow.

–Amerykańskie myśliwce. Nadleciały nad samą wodą.

Muszą dysponować tylko działkami, bo w przeciwnym razie wystrzeliłyby już rakiety. Ale to jeszcze nie koniec, mój kapitanie.

Myśliwce rozdzieliły się; jeden z lewej, drugi z prawej minęły płynący z szybkością dwudziestu węzłów statek. Nie ścigał ich żaden SAM. Maszyny ponownie uformowały szyk i ruszyły na „Fućika" od strony dziobu. Teraz celem była nadbudówka. W mostek barkowca trafiło kilkaset pocisków, wybijając wszystkie okna i zabijając całą znajdującą się tam załogę. Na szczęście system integralności wodoszczelnej statku nie został naruszony.

Kierow obserwował rzeź. Sternika rozerwało sześć pocisków; wszyscy obecni na mostku zginęli. Po kilku sekundach dopiero, kiedy minął szok, kapitan poczuł przejmujący ból w brzuchu. Marynarkę miał mokrą od krwi.

–Zostaliście trafieni, kapitanie. – Tylko generałowi starczyło refleksu, by skryć się za jakimś sprzętem. Przez chwilę dziwił się własnemu szczęściu.

–Muszę doprowadzić statek do portu. Proszę iść na rufę i polecić pierwszemu oficerowi, by kontynuował akcję desantową. Wy, towarzyszu generale, zajmijcie się pożarem

na górnym pokładzie. Musimy doprowadzić mój statek do portu.

–Przyślę wam pomoc – generał wyszedł, a kapitan wrócił do steru.

Keflavik, Islandia – Stań tutaj! – krzyknął Edwards.

–O co chodzi, poruczniku? – zapytał sierżant, ale posłusznie zatrzymał jeepa obok parkingu przy budynku kwater oficerskich.

–Dalej pojedziemy moim samochodem. Jeep od razu wzbudzi podejrzenia – porucznik wyskoczył z pojazdu i wyciągnął z kieszeni spodni kluczyki. Żołnierze piechoty morskiej popatrzyli po sobie i ruszyli jego śladem.

Przed kilkoma miesiącami Edwards odkupił od opuszczającego wyspę oficera dziesięcioletnie volvo, po którym widać było, że poprzedni właściciel odbył nim niejedną podróż po bezdrożach Islandii.

–Dobra, wsiadamy – mruknął porucznik, otwierając drzwiczki.

–Przepraszam, sir, ale o co, do licha, tu chodzi?

–Pomyślcie, sierżancie. Przed nami otwarta przestrzeń.

A jeśli Iwan ma helikoptery? Jak pan myśli, co zrobią, jeśli z góry zobaczą wojskowy samochód?

–Ach tak, rozumiem – sierżant skinął głową. – Ale jaki mamy plan?

–Samochodem dojedziemy co najmniej do Hafnarfjórduru. Tam ukryjemy go w krzakach i dalej ruszymy pieszo na pustkowia. Kiedy znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce, uruchomimy radio. Mam ze sobą nadajnik satelitarny. Musimy powiadomić Waszyngton, co się tutaj wyprawia, ale najpierw należy się zorientować, czym dysponują Rosjanie. Być może nasi będą chcieli odbić ten skalisty kawałek lądu. Za wszelką cenę, sierżancie, musimy przeżyć i im to ułatwić.

Edwardsowi myśl ta przyszła do głowy dopiero teraz.

Czy Amerykanie naprawdę będą próbowali odzyskać 17 – Cze :rwony sztorm

Islandię? Czy są w stanie to zrobić? Co się dzieje na tym pieprzonym świecie? Czy w ogóle ma sens to, co robią?

Doszedł do wniosku, że niekoniecznie. Ale po kolei, nie wszystko naraz. Wiedział jedno: nie chce wpaść w ręce Rosjan, a przez radio mogą dowiedzieć się, jaki los spotkał Keflavik.

Edwards uruchomił silnik i ruszył autostradą 41. Gdzie ukryć samochód? W Hafnarfjórdurze mieści się duże centrum handlowe… i jedyny na Islandii punkt, gdzie można dostać kurczaka, jakiego podają w Kentucky. Gdzież znajdę lepsze miejsce do ukrycia samochodu? Młody porucznik uśmiechnął się mimowolnie. Żyli i dysponowali najgroźniejszą bronią, jaką wymyślił człowiek – radiem. Jeśli pojawią się kłopoty, to będzie o nich myślał. – Na razie muszą przeżyć i złożyć raport. Może wtedy ktoś im powie, co mają robić. Nie wszystko naraz – powtórzył w myślach.

Ktoś, do licha, z pewnością wie, co się dzieje…

Pingwin Osiem – Wygląda na to, że uporali się z ogniem – odezwał się kwaśno drugi pilot.

–Ale jak im się to udało? Do diabła, taki statek powinien pójść z dymem jak… ale nie poszedł.

Obserwowali żołnierzy wsiadających do poduszkowców.

Pilotowi dopiero teraz przyszło do głowy, że dwa myśliwce Eagle -+ obecnie zbliżające się już do wybrzeży brytyjskich – należało skierować przeciw tym poduszkowcom, a nie na ogromny, czarny statek. Jesteś dupa, nie oficer – strofował się w duchu. Pingwin Osiem dysponował osiemdziesięcioma pławami sonarowymi, czterema torpedami Mk-48 do zwalczania okrętów podwodnych i inną nowoczesną bronią, ale żadna z nich nie nadawała się do ataku na tak wielki cel jak barkowiec. Chyba, że odegrałbym rolę kamikadze – pomyślał pilot. Potrząsnął głową…

–Jeśli zamierzamy dostać się do Szkocji, to zostaje nam paliwa jeszcze na trzydzieści minut – ostrzegł mechanik.

–W porządku. Rzucimy jeszcze okiem na Keflavik.

Polecę na wysokości dwóch tysięcy. Musimy uważać na SAM-y.

Dwie minuty później byli już nad wybrzeżem. Lebied zbliżał się właśnie do stacji SOSUS i SIGINT niedaleko Hafnir. Na ziemi widzieli jakiś ruch i pierścienie dymów bijących z budynków. Pilot niewiele wiedział o działaniu SIGINT, ale SOSUS – morski system zwiadu hydrolokacyjnego – był newralgicznym ośrodkiem wykrywania celów, które następnie atakowały samoloty P-3C Orion.

Stacja ta obejmowała swą siecią tereny rozciągające się od Grenlandii, przez Islandię, aż do Wysp Owczych i stanowiła skuteczną zaporę broniącą szlaki handlowe przed atakiem okrętów podwodnych. Obecnie system ten miał zostać zniszczony. Wspaniale.

Niebawem w dole pojawił się Keflavik. Siedem lub osiem maszyn nie zdążyło wystartować. Teraz wszystkie płonęły. Pilot dokładnie zbadał przez lornetkę pasy startowe i z przerażeniem skonstatował, że nie są uszkodzone.

–Tacco, masz kontakt z Sentry?

–W każdej chwili możesz mówić. Na linii jest Sentry Dwa.

–Sentry Dwa, tu Pingwin, słyszysz mnie?

–Słyszę cię, Pingwin. Tu starszy kontroler. Jesteś nad Keflavikiem. Jak tam wygląda?

–Osiem maszyn na ziemi. Zniszczone i płoną. Rakiety nie uszkodziły pasów startowych; powtarzam – nie uszkodziły.

–Jesteś tego pewien, Ósemka?

–Na sto procent. Cały teren zbombardowany, ale nie pasy. Zbiorniki z paliwem wyglądają na nie uszkodzone.

Na magazyn paliwa pod Hakotstangar też chyba nic nie spadło. Zostawiliśmy naszym przyjaciołom całe lotnisko i magazyny z benzyną. Sama baza… zobaczmy. Wieża kontrolna stoi. Budynek operacji powietrznych płonie.

Masa dymu… baza wygląda na kompletnie zniszczoną, ale pasy są w porządku.

–A jak ze statkiem?

–Jedno mocne trafienie. Widziałem eksplozję rakiety.

Potem dwie z waszych piętnastek złoiły im nieco tyłek, ale to za mało. Pewnie dotrze do celu. Myślę, że popłynie do Reykjaviku lub Hafnarfjórduru, by wyładować towar.

Wiezie masę ładunku. To czterdziestotysięcznik. Jeśli czegoś nie wymyślimy, wykona zadanie za dwie lub trzy godziny.

–Nie licz na to. Ile masz paliwa?

–Musimy wracać do Stornoway. Chłopcy od zdjęć obfotografowali cały teren bazy i statek. Tylko tyle mogliśmy zrobić.

–W porządku, Pingwin. Znajdź sobie dobre miejsce do lądowania. My też za parę minut wracamy. Powodzenia.

Hafnarfjórdur, Islandia Edwards zatrzymał samochód w centrum handlowym.

Przy wjeździe do miasteczka spotkali kilka osób. Ludzie spoglądali na zachód, w stronę Keflaviku. Obudził ich dobiegający stamtąd huk i byli ciekawi, co się dzieje. My też jesteśmy ciekawi – pomyślał porucznik. Na szczęście w samym centrum nie spotkali nikogo. Zatrzasnął drzwiczki samochodu i odruchowo schował kluczyki do kieszeni.

–Co teraz, poruczniku? – zapytał sierżant Smith.

–Sierżancie, uściślijmy parę rzeczy. Jest pan żołnierzem piechoty morskiej i z pewnością ma pan wiele pomysłów.

Chciałbym je znać.

–No cóż, sir. Powiedziałbym, że należy ruszyć na wschód, oddalić się od uczęszczanych szlaków komunikacyjnych i znaleźć jakieś ustronne miejsce, by pobawić się radiem. Musimy zrobić to szybko.

Edwards rozejrzał się. Ulice były jeszcze puste. Należało to wykorzystać. Nie mogli sobie

pozwolić, by ktoś ich zobaczył. Skinął głową i sierżant polecił jednemu z żołnierzy iść przodem. Zdjęli hełmy, a karabiny zawiesili na pasach.

Mieli wrażenie, że zza zasłoniętych okien śledzą ich setki oczu. Cóż za początek wojny – pomyślał Edwards.

MV „Julius Fucik" – Dzięki Bogu, ogień opanowany – oznajmił Andriejew. – Wprawdzie sporo sprzętu zostało uszkodzone, głównie przez wodę, ale pożar ugasiliśmy!

Kiedy jednak spojrzał na Kierowa, twarz mu spoważniała.

Kapitan był trupio blady. Choć wojskowy lekarz opatrzył mu ranę, wewnętrzny krwotok nie ustawał. Mężczyzna, ściskając kurczowo róg stołu nakresowego, z trudem trzymał się na nogach.

–Kurs w prawo. Zero-zero-trzy.

Za kołem stał młodszy oficer.

–W prawo zero-zero-trzy, towarzyszu kapitanie.

–Musicie się położyć, drogi kapitanie – powiedział miękko Andriejew.

–Najpierw muszę doprowadzić statek do portu. „Fućik" płynął dokładnie na północ, a pędzone zachodnim wiatrem fale obmywały ranę spowodowaną uderzeniem rakiety. Cały poprzedni optymizm kapitana zniknął. Pocisk rozpruł niektóre szwy w dole kadłuba i do najniższych luków towarowych wdzierała się woda. Pompy, jak dotąd, nieźle sobie radziły, ale przecież na statku znajdowało się dwadzieścia tysięcy ton ładunku.

–Kapitanie, musi się wami zająć lekarz – upierał się Andriejew.

–Zajmę się sobą, jak osiągniemy cel. Musimy mieć port po zawietrznej. Proszę utrzymywać swoich żołnierzy w gotowości bojowej. Jeszcze jeden atak i będzie po nas.

Powiedzcie swoim ludziom, że spisali się na medal. Zawsze z radością przywitam ich na pokładzie.

USS „Pharris" – Kontakt na hydrolokatorze, prawdopodobnie okręt podwodny, współrzędne: trzy-pięć-trzy – oznajmił sonarzysta.

Zaczęło się – pomyślał Morris. Przez pierwszą część drogi od wybrzeży amerykańskich „Pharris" utrzymywał cały czas swoją pozycję. W kilwaterze ciągnął za sobą

taktyczną pławę sonarową. Znajdował się teraz w odległości dwudziestu mil na północ od konwoju, sto dziesięć mil na wschód od lądu i przekraczał właśnie linię szelfu kontynentalnego, wpływając na głębokie wody kanionu Lindenkohl. Ulubiona kryjówka łodzi podwodnych.

–Proszę mi pokazać, co tam jest – polecił ASW, oficer odpowiedzialny za zwalczanie okrętów podwodnych.

Morris starał się zachowywać kamienną twarz i w milczeniu obserwował pogrążoną w pracy załogę.

Sonarzysta wskazał monitor kaskad. Na czarnym tle widniały serie cyfrowych symboli tworzących liczne, zielone cienie. Sześć ustawionych w rzędzie cyferek różniło się od innych, rozrzuconych przypadkowo na ekranie. Potem pojawiła się siódma. To, że ustawiły się w pionowym rządku, znaczyło, iż dźwięk pochodził z jednego źródła. znajdującego się na północny zachód od okrętu. Jak dotąd znali tylko z grubsza kierunek. Nie potrafili określić, czy to okręt podwodny, czy też jakaś łódź rybacka o bardzo głośnym silniku albo zgoła zwykłe zaburzenie w środowisku wodnym. Źródło dźwięku zamilkło na minutę, po czym znów się odezwało. I znów zamilkło.

Morris i towarzyszący mu oficer ASW spojrzeli na wydruk batytermografu. Co dwie godziny opuszczali instrument, który opadając aż na samo dno informował o zmianach temperatury w poszczególnych warstwach wodnych. Wzór wykazywał nierówną linię. Temperatura opadała wraz z głębokością, ale nierównomiernie.

–To może być coś – powiedział cicho oficer – do zwalczania okrętów podwodnych.

–Pewnie, że może – przyznał kapitan. "Zbliżył się do ekranu hydrolokatora. To ciągle tam tkwiło. Rząd cyfr pozostawał w bezruchu już od dziewięciu minut.

Jak daleko? Woda doskonale przewodziła dźwięk, dużo lepiej niż powietrze, ale tutaj też obowiązywały pewne prawa. Trzydzieści metrów pod „Pharrisem" znajdowała się interklina, w której następowała gwałtowna zmiana temperatury wody. Jak szklany pryzmat światło, przepuszCZERWONY SZTORM • 263 czała ona pewne dźwięki, ale wiele z nich odbijała. Część energii dźwiękowej mogła przechodzić między warstwami i nie tracąc nic ze swego natężenia, docierać bardzo daleko. Źródło hałasu, które namierzyli, mogło znajdować się równie dobrze w odległości pięciu mil jak i pięćdziesięciu.

Kiedy obserwowali ekran, rządek symboli przesunął się lekko w lewo, co znaczyło, że „Pharris" przemieścił się nieco na wschód… albo źródło dźwięku przesunęło się na zachód, jakby śledzony okręt podwodny prześlizgiwał się za rufę swej ofiary, przyjmując pozycję bojową. Morris udał się do stołu nakresowego.

–Myślę, że jeśli nawet jest to okręt podwodny, to musi znajdować się bardzo daleko – odezwał się cicho jeden z podoficerów.

Zadziwiające – pomyślał Morris. – Podczas takiego polowania na głębinach, załoga zawsze mówi szeptem.

Jakby bała się, że nieprzyjaciel może podsłuchać rozmowę.

–Sir – odezwał się oficer ASW. – Pozycja pozostaje bez zmian, więc cel musi znajdować się w odległości dobrych piętnastu mil. A to znaczy z kolei, że mamy do czynienia z jakimś bardzo silnym źródłem dźwięku, zapewne zbyt odległym, by stanowiło dla nas bezpośrednie zagrożenie. Jeśli to atomowy okręt podwodny, to po krótkim sprincie możemy wziąć go w namiar krzyżowy.

Morris zajrzał do centrum informacji bojowej, po czym sięgnął po słuchawkę interkomu.

–Mostek, tu stanowisko bojowe.

–Tak jest, tu mostek. Mówi pierwszy oficer.

–Joe, daj na pięć minut szybkość dwudziestu węzłów.

Zobaczymy, czy uda się wziąć namiar krzyżowy.

Minutę później Morris poczuł, jak kotły parowe zaczęły popychać fregatę przez dwumetrowej wysokości fale i stopniowo nadawały jej coraz większą prędkość. Czekał zamyślony, żałując w duchu, że jego okręt nie dysponuje bardziej czułymi antenami 2X, jakie zainstalowano na szybkich fregatach klasy Perry. Pięć minut zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Ale walka z okrętami podwodnymi wymagała wiele cierpliwości.

Kiedy „Pharris" wreszcie zwolnił, obraz na ekranie hydrolokatora wskazywał już tylko chaotyczną lawinę dźwięków, coś, co dużo łatwiej było odczuć niż opisać.

Kapitan, oficer ASW i sonarzysta obserwowali ekran z uwagą przez dziesięć minut. Nieprawidłowy wzór dźwiękowy więcej się nie pojawił. Gdyby to były prowadzone w czasie pokoju ćwiczenia, zdecydowaliby, że to zwykła anomalia, wytworzony przez wodę dźwięk, który ginie równie szybko, jak się pojawia; zapewne jakiś niewielki wodny wir na powierzchni morza. Obecnie jednak wszystko, co spotykali, mogło mieć czerwoną gwiazdę i peryskop.

Oto mój pierwszy dylemat – pomyślał Morris. Mógł posłać tym tropem jeden ze swoich helikopterów; mógł też wezwać oriona. Z drugiej strony, mógł wysłać je na próżno, a co więcej, odciągnąć od rzeczywistego celu. Morris czasami pragnął, by kapitanowie mieli monety, gdzie na jednej stronie widniałoby: „TAK", a na drugiej: „NIE"!

Nazywałoby się to zapewne „werbalnym generatorem decyzji", zgodnie z tak ukochaną przez marynarkę elektroniczną nomenklaturą.

–Tam chyba nic nie było – odezwał się do oficera

–Chyba nie, sir – odparł mężczyzna, zły na siebie, że w ogóle zawracał kapitanowi głowę. – Jeszcze nie tym razem.

–No cóż, nie pierwszy raz i nie ostatni.

KONIEC PODRÓŻY,

POCZĄTEK PODRÓŻY

Hafnarfjórdur, Islandia Sierżant JameTs Smith pełnił w kompanii rolę kancelisty i dlatego tylko miał ze sobą komplet map Islandii. Wiadomość ta niebywale uradowała Edwardsa. Niemniej porucznik straciłby wiele ze swego samozadowolenia, gdyby wiedział, co Smith naprawdę sądzi o nim samym i ich przedsięwzięciu.

Kompanijny kancelista miał zapewne również za zadanie nosić siekierę, ale skoro Islandia była prawie całkowicie pozbawiona drzew, to niechybnie dawno już spalił nawet trzonek tej siekiery. Posuwali się w milczeniu na wschód, a nisko stojące słońce nieprzyjemnie raziło ich w oczy.

Ostatnie dwa kilometry szli terenem pokrytym lawą, która stanowiła niezbity dowód wulkanicznego pochodzenia Islandii.

Poruszali się szybko i bez odpoczynku. Za plecami mieli morze i zdawali sobie sprawę, że tak długo, jak długo je widzą, mogą zostać dostrzeżeni z wybrzeża. Wzbijany butami kurz był widoczny z daleka, toteż zamykający pochód szeregowy Garcia co pewien czas zatrzymywał się, robił parę kroków do tyłu i bacznie obserwował okolicę.

Pozostali rozglądali się na boki, patrzyli przed siebie, a przede wszystkim w niebo. Wiedzieli, że Iwan musi dysponować jednym lub dwoma helikopterami, a niewiele rzeczy mogło sprawić, by człowiek czuł się bardziej bezbronny niż wtedy, gdy widział unoszący się nad głową śmigłowiec.

Okolica była prawie całkiem jałowa. Wprawdzie tu i ówdzie widzieli kępki rachitycznej trawy torującej sobie drogę przez skały ku słońcu, ale generalnie teren sprawiał wrażenie martwego jak powierzchnia Księżyca. Ostatecznie

to właśnie na Islandii trenowali astronauci z „Apolla" – przypominał sobie Edwards. Lekki wiatr omiatający łagodnie zbocze wzbijał drobiny kurzu, co powodowało, że porucznik nieustannie kichał. Zastanawiał się, co będzie, kiedy skończy im się żywność. Tu nie było łatwo przeżyć.

Ponadto Edwards spędził na Islandii zaledwie parę miesięcy i nie miał jeszcze okazji odbyć samotnej wycieczki w głąb wyspy. Nie łap dwóch srok za ogon – mruknął do siebie. – Ludzie wszędzie potrafią się wyżywić. Muszą tu istnieć jakieś farmy. Znajdziemy je na mapie. – Śmigłowiec! – krzyknął Garcia.

Edwards już wcześniej zorientował się, że ten żołnierz ma sokoli wzrok. Jeszcze nie słyszeli nawet dźwięku silnika, ale porucznik był pewny, że maszyna musi znajdować się gdzieś nad horyzontem i nadlatuje od strony morza.

–Wszyscy na ziemię! Sierżancie, proszę podać mi lornetkę – odezwał się Edwards, siadając na kawałku lawy. Obok przycupnął Smith.

–To hip, sir. Transporter piechoty – powiedział i wręczył porucznikowi szkła.

–Wierzę panu na słowo – odparł Edwards. Obserwował z uwagą niezgrabny kształt znajdujący się w odległości jakichś pięciu kilometrów. Obiekt kierował się na południowy wschód w stronę Hafnarfjórduru. – Wygląda na to, że leci do portu. Och, przybyli na okręcie. Chcą tam zacumować, a wojsko ma przygotować teren do tej operacji.

–Zapewne tak – przyznał sierżant Smith.

Edwards obserwował helikopter do chwili, gdy ten skrył się za dachami budynków. Po niecałej minucie maszyna pojawiła się znowu, ale tym razem skierowała się na północny zachód. Porucznik zlustrował dokładnie horyzont.

–Chyba widzę tam jakiś okręt.

MV „Julius Fućik" Kierow zbliżył się powoli do stołu nakresowego. Towarzyszył mu lekarz wojskowy. Pompy z trudem dawały sobie radę z wdzierającą się do wnętrza statku wodą. Dziób był

już zanurzony o pół metra głębiej niż zwykle. Przenośne urządzenia do usuwania wody umieszczono w zęzach tak, by mogły wylewać wodę przez dziurę wybitą przez amerykańską rakietę. Kapitan uśmiechnął się słabo pod nosem.

Lekarz podążał za nim krok w krok. Generał przystawił Kierowowi do głowy pistolet, nastając, by ten pozwolił zaaplikować sobie kroplówkę z osoczem i zrobić zastrzyk z morfiny. Za to ostatnie kapitan był Andriejewowi wdzięczny – choć ciągle jeszcze czuł ból, lecz nie tak silny jak poprzednio. Irytowała go natomiast butelka z plazmą, którą medyk trzymał cały czas w górze, nie odstępując kapitana na krok. Ale Kierow zdawał sobie sprawę, że jest to konieczne. Musiał przeżyć jeszcze kilka godzin. I kto wie? – pomyślał. – Jeśli lekarz okaże się dobry, może wyjdzie z tego…

Miał na głowie ważniejsze sprawy. Nigdy nie był w tym porcie i znał go wyłącznie z mapy, a nie dysponował pilotem.

Ponadto nie mógł znaleźć holowników, zaś te, które wiózł i które służyły do przemieszczania barek, były zbyt słabe, aby wciągnąć jego jednostkę do basenu portowego.

Nad statkiem pojawił się wracający z pierwszego kursu helikopter. Cud, że w ogóle lata – pomyślał kapitan, mając w pamięci drugi śmigłowiec, zniszczony podczas nalotu.

Ten też dostał. Mechanicy natychmiast ugasili ogień, zalewając wszystko potężną kurtyną wody. Maszyna wymagała wprawdzie kilku drobnych napraw w miejscach, gdzie trafiły ją

pociski i odłamki, ale oto teraz wisiała nad statkiem, szykując się do lądowania na pokładzie.

–Jak się czujecie, kapitanie? – zapytał generał.

–A jak wyglądam? – odparł z bolesnym uśmiechem Kierow.

Generał zdawał sobie sprawę, że powinien po prostu siłą zaprowadzić rannego do izby chorych; ale kto wtedy wprowadziłby ich do portu? Kapitan Kierow umierał na jego oczach, a on był bezradny. Lekarz powiedział to wystarczająco wyraźnie. Wewnętrzny krwotok nie ustawał.

Samo osocze i bandaże nie mogły załatwić sprawy. – Czy wasi ludzie zajęli już wyznaczone obiekty?

–Wedle najnowszych doniesień w bazie lotniczej trwają jeszcze walki. Ale niebawem przejmiemy pełną kontrolę.

Pierwszy oddział nie napotkał oporu przy głównym nabrzeżu. Ten obiekt już zabezpieczyliśmy. Powinniście trochę odpocząć.

Kierow potrząsnął głową i zatoczył się jak pijany.

–Jeszcze trochę. Jeszcze tylko piętnaście kilometrów.

Musimy posuwać się jak najszybciej. Amerykanie mogą w każdej chwili przysłać kolejne samoloty. Przed południem należy być w porcie i rozładować statek. Straciłem zbyt wielu ludzi, by ich śmierć poszła na marne.

Hafnarfjórdur, Islandia – Trzeba o tym koniecznie zameldować – powiedział cicho Edwards.

Zdjął z pleców pakunek. Widział, jak operatorzy posługiwali się takim radiem, ponadto na ściance odbiornika była instrukcja obsługi. Sześć odcinków anteny łatwo weszło w uchwyt pistoletowy. Porucznik nałożył słuchawki i włączył urządzenie. Powinien nakierować antenę na trzydziesty południk, ale ponieważ nie dysponował kompasem, trudno mu było ustalić kierunek. Smith zatem rozwinął mapę i wyznaczył na niej pewne punkty obserwacyjne. Edwards skierował tam antenę i obracał nią tak długo, dopóki nie namierzył sygnału satelity.

–W porządku – pokręcił gałką częstotliwości, wybrał odpowiedni kanał i wcisnął klawisz nadawania.

–Do wszystkich na tej fali. Tu mówi Mikę Edwards, porucznik sił powietrznych Stanów Zjednoczonych nadający z Islandii. Proszę o potwierdzenie odbioru.

Odpowiedziała mu martwa cisza. Edwards ponownie przestudiował instrukcję, by upewnić się, że zrobił wszystko, jak należy. Potem jeszcze trzykrotnie powtórzył wezwanie.

–Do nadajnika na tej fali. Proszę o identyfikację – odezwał się w końcu głos.

–Michael D. Edwards, porucznik sił lotniczych Stanów Zjednoczonych, numer seryjny nadajnika: 328-61CZERWONY SZTORM • 269 -4030. Jestem oficerem meteorologii w 57. Dywizjonie Myśliwców Przechwytujących w Keflaviku. Kto mówi?

–Skoro, chłoptasiu, tego nie wiesz, nie należysz do naszej sieci. Wyłącz się. Potrzebujemy tej fali dla oficjalnej komunikacji – odparł chłodny głos.

Edwards spojrzał ze złością na głośnik i wybuchnął:

–Zamknij się, dupku cholerny! Facet, który wiedział, jak pracować na tym radiu, nie żyje i masz już tylko mnie.

Przed siedmioma godzinami radzieckie wojska powietrzne i lądowe przeprowadziły atak na Keflavik. Baza zajęta przez Rosjan, do portu w Hafnarfjórdurze wpływa właśnie ruski okręt, a wy mi każecie bawić się w jakieś idiotyczne hasła.

Kapuje pan?

–Przyjąłem. Proszę zaczekać. Musimy sprawdzić, kim jesteś – w głosie nie było ani śladu skruchy.

–Do cholery jasnej, to urządzenie pracuje na bateriach.

Będziecie sobie grzebać w szafach z kartotekami, a tu wysiądą baterie.

–Edwards, tu starszy oficer dyżurny – wtrącił się jakiś nowy głos. – Wyłącz się. Mogą być na nasłuchu.

Sprawdzimy i znów będziemy na fali za pół godziny.

Zrozumiałeś?

Porucznik spojrzał na zegarek.

–Przyjąłem, zrozumiałem. Za trzydzieści minut – Edwards wyłączył radio. – Ruszajmy stąd. Nie wiem, czy nie byliśmy podsłuchiwani.

Spakowanie nadajnika zajęło dwie minuty. Niebawem znów podjęli marsz.

–Sierżancie, prowadź na wzgórze 152. Ze szczytu będziemy mieli dobry widok na okolicę, a po drodze jest woda.

–To bardzo gorąca woda, sir. Pełna siarki. Nie chcę nawet próbować tego gówna.

–Zrobi pan, jak pan uważa.

Edwards ruszył lekkim kłusem. Kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem, zameldował przez telefon o pożarze. Uwierzyli mu wtedy bez zastrzeżeń. Czemu więc nie mieliby uwierzyć teraz?

MV „Julius Fucik" Kierow zdawał sobie sprawę, że bardzo łatwo może dokończyć dzieła zaczętego przez Amerykanów. Wpłynięcie do portu z szybkością osiemnastu węzłów było czymś więcej niż szaleństwem. Dno morskie stanowiły tu skały, nie muł i każda mielizna oznaczała ostateczne rozdarcie kadłuba. Ale wiedział też, że w każdej chwili mogą znów pojawić się amerykańskie myśliwce obciążone rakietami i bombami, które udaremnią spełnienie jego życiowej misji.

–Ster zero! – zawołał.

–Ster zero – potwierdził sternik.

Przed paroma minutami kapitan dowiedział się, że wskutek odniesionych ran zmarł jego pierwszy oficer.

Jeszcze wcześniej widział straszną śmierć pierwszego sternika i wielu starych marynarzy. Był teraz jedynym człowiekiem, który umiał na podstawie obserwacji nabrzeża ustalić pozycję statku. Mógł się opierać wyłącznie na swoim doświadczeniu.

–Zredukować prędkość o połowę – rozkazał.

Sternik przekazał polecenie przez telegraf do maszynowni.

–Ster cała w prawo.

Patrzył, jak dziób statku szerokim łukiem kieruje się w prawo. Stał na środku mostka i z uwagą naprowadzał drzewce dziobowe na nabrzeże. Nie było tam nikogo, kto umiałby posługiwać się linami cumowniczymi. Zastanawiał się, czy żołnierze sobie z tym poradzą.

Statek otarł się o dno. Wstrząs cisnął Kierowa na pokład.

Kapitan zaklął głośno z bólu i gniewu. Popełnił błąd.

W zetknięciu ze skalnym dnem „Fućik" zadrżał gwałtownie.

Nie było czasu patrzeć na mapę. Kiedy nastąpi odpływ, silne prądy wodne sprawią, że wyładunek sprzętu będzie zupełnie niemożliwy.

–Ster cała w lewo.

Minutę później statek znów swobodnie unosił się na fali.

Kapitan nie zwracał uwagi na dzwonki alarmowe informujące, że przez uszkodzony kadłub wdziera się woda.

Nieważne; od zbudowanego z potężnych głazów doku dzieliło go zaledwie tysiąc metrów.

–Ster zero. Maszyny stop.

Statek posuwał się o wiele za szybko, by zatrzymać się w odpowiedniej chwili. Stojący w porcie żołnierze zorientowali się w sytuacji i w popłochu zaczęli cofać się w obawie, że taranujący nabrzeże statek zmiażdży i ich przy okazji.

Kierow uśmiechnął się gorzko. To zbyt masywne wybrzeże jak na możliwości zwykłego statku handlowego. Osiemset metrów.

–Cała wstecz.

Sześćset metrów. Statek zadrżał, gdy maszyny przeszły na wsteczny bieg. Okręt zbliżał się do lądu pod kątem trzydziestu stopni, z szybkością ośmiu węzłów. Kierow podszedł do szprechtuby.

–Na mój rozkaz wyłączyć silniki, uruchomić zraszacze przeciwpożarowe i natychmiast opuścić maszynownię.

–Co wy wyprawiacie? – zapytał generał.

–Nie możemy normalnie zawinąć do portu – odparł Kierow. – Wasi żołnierze nie umieją posługiwać się cumami, a moja załoga nie żyje.

Miejsce, które Kierow wybrał, było dokładnie o metr płytsze niż zanurzenie statku. Kapitan wrócił do tuby.

–Teraz, towarzysze!

Pod pokładami szef inżynierów wydał stosowne rozkazy.

Główny mechanik zatrzymał silniki spalinowe i ruszył ku drabince ewakuacyjnej. Inżynier pozrywał plomby z włączników samoczynnych urządzeń gaśniczych i rozejrzał się, by stwierdzić o tym, czy załoga opuściła pomieszczenie.

Dopiero wtedy sam ruszył do wyjścia.

–Ster, cała w prawo!

Minutę później płynący z prędkością pięciu węzłów „Fućik" wyrżnął w nabrzeże. Dziób statku zmarszczył się, jakby zrobiono go z tektury. Okręt gwałtownie skręcił i uderzył bokiem w kamienie, krzesząc fontanny pomarańczowych iskier. Uderzenie rozdarło dno statku i zęzy na

prawej burcie. Dolne pokłady zostały w jednej chwili zalane wodą, a barkowiec gwałtownie osiadł na dnie* „Julius Fućik" nigdy już nie miał wypłynąć w morze. Ale misję wypełnił.

Kierow skinął ręką na generała.

–Moi ludzie uruchomią dwa holowniki, które mamy na rufie. Swoim proszę polecić, by uwolnili dwie barki i połączyli nimi rufę ze stałym lądem. Załoga pokaże, jak zabezpieczyć je przed zdryfowaniem. Potem za pomocą sprzętu saperskiego przetransportujcie wasze pojazdy na barki, a stamtąd na brzeg.

–Zajmiemy się tym. Teraz, towarzyszu kapitanie, oddaję was w ręce chirurga. I bez dyskusji, proszę.

Generał skinął ręką na dwóch podwładnych, którzy sprowadzili kapitana na dół. Istniała jeszcze pewna szansa.

Wzgórze 152, Islandia – Ustaliliście już, kim jestem? – zapytał gniewnie Edwards. Kolejną denerwującą rzeczą była ćwierćsekundowa zwłoka w rozmowie powodowana odległością od satelity.

–Tak. Problem polega na tym, że nie wiemy, czy pan to naprawdę pan – oficer trzymał w dłoni wydruk teleksu potwierdzającego, że porucznik sił lotniczych Stanów Zjednoczonych Michael D. Edwards jest rzeczywiście oficerem meteorologicznym 57. Dywizjonu Myśliwców Przechwytujących. Ale informację tę bardzo łatwo mogli zdobyć Rosjanie, zanim przystąpili do ataku.

–Posłuchaj, kurczaczku, siedzę tutaj, na wzgórzu 152, na wschód od Hafnarfjórduru, prawda? W okolicy krąży rosyjski helikopter, a do nabrzeży dobił paskudnie wyglądający statek. Za daleko, by dojrzeć flagę, ale nie sądzę, by sukinsyn przybył z Nowego Jorku. Tę wyspę najechali Rosjanie. Zbombardowali Keflavik i opanowali całą okolicę.

–Proszę powiedzieć coś bliższego o statku.

Edwards przyłożył do oczu lornetkę.

–Kadłub czarny, biała nadbudówka. Wielkie, drukowane litery na bokach. Nie mogę ich dokładnie odczytać;

Coś tam-Lines. Pierwsze słowo zaczyna się na „L".

Rodzaj barkowca. W tej chwili holowniki przeciągają barki.

–Czy widział pan radzieckich żołnierzy?

Edwards chwilę milczał.

–Nie. Słyszałem tylko raporty radiowe piechoty morCZERWONY SZTORM • 273 skiej w Keflaviku. Zaatakowano ich. Potem łączność się urwała. Widzę w porcie jakichś ludzi, ale nie wiem, kim są.

–W porządku. Sprawdzimy to. Proponuję, by znalazł pan dobrą kryjówkę i wyłączył radio. Gdybyśmy musieli się z wami skontaktować, będziemy na fali o każdej pełnej godzinie. Gdybyście mieli coś dla nas, wie pan, gdzie nas szukać. Jasne?

–Zrozumiałem – Edwards wyłączył nadajnik. – Nie mieści mi się to w głowie.

–Nikt nie wie, co się dzieje, poruczniku – zauważył Smith. – Bo niby skąd? Sami nic nie wiemy.

–To nie może być prawda – Edwards spakował radio. – Gdyby ci idioci posłuchali mojej rady, mielibyśmy tutaj myśliwce bombardujące, które w mig zniszczyłyby ten statek. Boże, on jest ogromny. Czy piechota morska też ma tyle sprzętu?

–Masę.

–Sądzi pan, że wysadzą na ląd więcej wojska?

–Myślę, że tak, sir. Nie zaatakowaliby Keflaviku tylko jednym batalionem. Islandia to jednak wielki kawał skały.

Jestem przekonany, że, aby ją utrzymać, potrzebują dużo więcej żołnierzy. Ale, oczywiście, mogę się mylić. Jestem tylko zwykłym sierżantem.

Hafnarfjórdur, Islandia Generał miał wreszcie coś do roboty. Przede wszystkim ustalił harmonogram lotów jedynego ocalałego helikoptera, którego załoga z radością obserwowała stojący w porcie statek. Potem wyznaczył kompanię piechoty, by strzegła portu. Drugą wysłał do Reykjaviku, gdzie miała wzmocnić radzieckie siły na tamtejszym lotnisku. Trzecią, ostatnią, skierował do rozładunku statku. Sam wsiadł w samolot i poleciał do Keflaviku, aby osobiście rozeznać się w sytuacji.

Natychmiast zauważył, że pożarów jeszcze nie ugaszono.

Pobliska stacja paliwowa bazy wyleciała w powietrze, ale główne magazyny, odległe pięć kilometrów, wydawały się nietknięte i pilnował ich oddział żołnierzy, dysponujących 18 – Czerwony sztorm

lekkim transporterem opancerzonym BMD. Dowódca pułku spotkał generała na jednym z nie uszkodzonych pasów startowych.

–Baza lotnicza w Keflaviku jest już nasza, towarzyszu generale – zameldował krótko.

–Jak poszło?

–Ciężko. Amerykanie pozbawieni zostali wprawdzie dowództwa: jedna z rakiet trafiła w ich punkt dowodzenia, ale nie poddali się łatwo. Straciliśmy dziewiętnastu ludzi.

Czterdziestu trzech jest rannych. Zebraliśmy już wszystkich marines i żandarmerię. Liczymy jeńców.

–Ilu uzbrojonych żołnierzy uciekło?

–Z tego, co wiemy, żaden. Ale zbyt wcześnie, by mówić coś na pewno; kilku musiało zginąć w ogniu – wskazał zniszczone tereny po wschodniej stronie bazy. – A jak statek? Słyszałem, że dostaliście rakietą.

–I przeżyliśmy atak amerykańskich myśliwców. Obecnie statek jest w porcie i trwa rozładunek. Czy lotnisko może już funkcjonować? Chciałbym…

–Towarzyszu, meldunek – operator radiowy wręczył pułkownikowi słuchawkę. Ten rozmawiał przez minutę.

Pięciu ludzi z personelu sił powietrznych próbowało oszacować rozmiary strat.

–Towarzyszu generale, systemy radarowe i radiowe bazy są zniszczone. Pasy startowe zawalone gruzem; powiedziano mi właśnie, że trzeba paru godzin na uprzątnięcie.

Rurociąg jest w dwóch miejscach przerwany. Na szczęście nie spłonął. Musimy dostarczać paliwo ciężarówkami należącymi do lotniska. Żadna nie jest uszkodzona… powiadomiono mnie również, że do Reykjaviku dotarł pierwszy transport lotniczy. Czy zabezpieczyliście tamto lotnisko?

–Tak. Ocalało. A co z amerykańskim lotnictwem? – Żadnych informacji, towarzyszu. Ich samoloty zostały wyeliminowane podczas naszego ataku rakietowego. Te, które nie uległy zniszczeniu, zostały podpalone przez załogi.

Jak już mówiłem, Amerykanie stawiali zaciekły opór.

–Doskonale. Niebawem przyślemy tu wasze dwa bataliony ze sprzętem. Trzeci będzie mi jeszcze niezbędny

w porcie. Proszę rozstawić posterunki. Zabierajcie się do porządkowania terenu. Bardzo potrzebujemy tego lotniska.

Proszę też zebrać wszystkich jeńców i przygotować ich do transportu. Zgłosimy się po nich w nocy. Mają być dobrze traktowani.

Związane z tym polecenia okazały się bardzo precyzyjne.

Jeńcy stanowili cenny nabytek.

–Wedle rozkazu, towarzyszu generale. I proszę, przyślijcie paru inżynierów, to naprawimy rurociąg.

–Dobra robota, Mikołaju Gennadiewiczu.

Generał pobiegł z powrotem do helikoptera. Tylko dziewiętnastu zabitych. Spodziewał się większych strat.

Wyeliminowanie na samym początku centrum dowodzenia okazało się bardzo pomyślnym zbiegiem okoliczności. Kiedy wrócił hipem do portu, trwał tam właśnie wyładunek sprzętu.

Po barkach zamontowanych do luków towarowych bez trudu wyjeżdżały ze statku wozy bojowe. Poszczególne jednostki rozlokowano już bądź w samym porcie, bądź na przyległych terenach. Generał zauważył, że jego sztab doskonale zorganizował pracę. Jak dotąd operacja „Polarna Gloria" przebiegała nad wyraz pomyślnie. Natychmiast po powrocie generał udał się do oficera operacyjnego, a do śmigłowca przeciągnięto ze statku przewody i uzupełniano paliwo.

–Lotnisko w Reykjaviku gotowe, towarzyszu generale.

Magazyny paliw nietknięte. Czy tam mamy przyjmować transporty lotnicze?

Generał zastanowił się. Lotnisko w Reykjaviku było wprawdzie niewielkie, ale czekanie, aż przygotują większe w Keflaviku, nie miało sensu.

–Tak. Prześlijcie hasło do centrali. Proszę, by natychmiast zaczęto wysyłać wojsko i sprzęt!

Wzgórze 152, Islandia – Czołgi – Garcia patrzył przez lornetkę. – Cała grupa, na każdym czerwona gwiazda. Kierują się drogą 41 na zachód. To powinno ich przekonać, sir.

Edwards odebrał lornetkę. Pojazdy widział, ale żadnych gwiazd.

–Jaki to typ? Nie wyglądają jak normalne czołgi.

–To BMP. Może BMD – wtrącił Smith. – Wozy bojowe piechoty. Coś w rodzaju naszych amtraków, amfibii do wyładowywania sprzętu i ludzi z jednostek desantowych.

Każdy dysponuje 73-milimetrowym działem i wiezie drużynę żołnierzy. Tak, to na pewno Ruscy, poruczniku. Naliczyłem jedenastu skurczybyków i ze dwadzieścia ciężarówek pełnych wojska.

Edwards uruchomił radio. Garcia miał rację. To powinno ich przekonać.

–W porządku, Edwards, kto jest z tobą.

Porucznik wymienił nazwiska i stopnie towarzyszących mu marines.

–Spieprzyliśmy, zanim Rosjanie zdążyli zdobyć bazę.

–Gdzie teraz jesteście?

–Na wzgórzu 152, cztery kilometry na wschód od Hafnarfjórduru. Mamy stąd świetny widok na port. Wyjeżdżają z niego do Keflaviku rosyjskie wozy bojowe. Poza tym na autostradzie 41, po północno-wschodniej stronie, widzimy jadące w stronę Reykjaviku ciężarówki, ale są za daleko, by dostrzec jakiekolwiek szczegóły. Posłuchajcie, chłopcy, jeśli przyślecie tu trochę aardvarków może uda się zlikwidować ten statek przed zakończeniem rozładunku.

–Obawiam się, że varki mają obecnie coś innego do roboty, kolego. Na wypadek, gdybyś nie wiedział, to informuję cię, że w Niemczech trwa wojna. Dziesięć godzin temu wybuchła trzecia wojna światowa. Spróbujemy wysłać do was satelitę zwiadowczego, ale to zajmie trochę czasu.

Nie wiemy też jeszcze, co z wami zrobić. Na razie musicie liczyć tylko na siebie.

–Niech to szlag – mruknął porucznik, spoglądając na swoich towarzyszy.

–W porządku Edwards. Kombinujcie. I za wszelką cenę unikajcie kontaktu z nieprzyjacielem. Z tego, co wiem, jesteście jedynymi naszymi ludźmi na Islandii. Obserwujcie i o wszystkim składajcie raporty. Oszczędzaj baterie w radiu.

Działajcie rozważnie i na zimno. Przyślemy wam pomoc, ale to chwilę potrwa. Kontakt o każdej pełnej godzinie.

Macie dokładny czas?

A my – pomyślał oficer łączności – spróbujemy znaleźć sposób, by ustalić, kim naprawdę jesteś i postaramy się stwierdzić, czy Rosjanie nie przystawili wam pistoletu do głowy.

–Zrozumiałem. Będziemy w kontakcie.

–Kolejne czołgi – odezwał się Smith. – Jezu, ten statek to faktycznie istna forteca.

Hafnarfjórdur, Islandia Generał nie mógł wprost uwierzyć w dopisujące im szczęście. Kiedy ujrzał nadlatującą rakietę Harpoon, był pewien, że to koniec całej operacji. Trzecia część jego pojazdów opuściła już ładownie okrętu i podążała do wyznaczonych punktów. Niebawem miała drogą lotniczą przybyć reszta jego dywizji, a potem następne śmigłowce.

Na razie garstkę Rosjan otaczały setki tysięcy rodowitych Islandczyków, ze strony których najeźdźcy nie spodziewali się niczego dobrego. Nawet w tej chwili z odległej strony przystani generała obserwowało kilkanaście osób. Andriejew wysłał tam oddział żołnierzy. Ilu mieszkańców wyspy zdążyło przekazać wiadomość drogą telefoniczną? Czy łączność satelitarna ciągle jeszcze funkcjonuje? A może w Stanach Zjednoczonych już wiedzą, co się wydarzyło na Islandii? Tyle kłopotliwych pytań; tyle zmartwień.

–Generale, transporty lotnicze w drodze. Pierwszy pod eskortą myśliwców wyruszył dziesięć minut temu.

Powinni tu być za cztery godziny – zameldował oficer łączności.

–Cztery godziny – stojący na mostku generał popatrzył w błękitne niebo. Kiedy Amerykanie zareagują? Kiedy nadlecą dywizjony ich myśliwców bombardujących?

Skinął dłonią na oficera łączności.

–Na nabrzeżu mamy już za dużo transporterów. Proszę podzielić ludzi na plutony i powysyłać ich na posterunki.

Nie mamy czasu na formowanie kompanii. Co z lotniskiem w Reykjaviku?

–Jest tam kompania piechoty; druga wyjechała dwadzieścia minut temu. Żadnego oporu. Kontrolerów ruchu cywilnego i personel lotniska trzymamy pod strażą. Patrole uliczne donoszą, że w mieście panuje niewielki ruch.

Ambasada przekazała, że rząd Islandii zaapelował przez radio do obywateli, by nie opuszczali domów. Wydaje się, że większość wyspiarzy zastosowała się do tego polecenia.

–Proszę natychmiast wysłać żołnierzy, by przejęli centralę telefoniczną. Stacje radiowe i telewizyjne zostawcie w spokoju; tylko centralę telefoniczną.

Skierował wzrok na drugą stronę portu, gdzie do zgromadzonych ludzi podjechał oddział spadochroniarzy.

Generał naliczył około trzydziestu osób. Ośmiu żołnierzy zeskoczyło z samochodu i z bronią gotową do strzału zbliżyło się do gapiów. Przed tłumek wysunął się jakiś człowiek i energicznie gestykulując zaczął coś tłumaczyć.

Został zastrzelony. Reszta tłumu rozpierzchła się.

Generał zaczął ordynarnie kląć.

–Znaleźć tego, kto to zrobił!

USS „Chicago" Po krótkiej wizycie w swojej kabinie McCafferty wrócił do centrum bojowego. Kawa zawsze cię trochę postawi na nogi – zadecydował. Sprawy układały się nie najlepiej. Bez względu na to, który z geniuszów sztabowych polecił amerykańskim okrętom podwodnym, by wycofały się z Morza Barentsa i nie spowodowały „incydentu", udało mu się bardzo skutecznie usunąć je z drogi nieprzyjaciela.

I to akurat w chwili, gdy wybuchła wojna – mruknął kapitan, zapominając, że początkowo pomysł wydawał mu się całkiem sensowny.

Gdyby nie to posunięcie, z całą pewnością pokazałby już zęby radzieckiej flocie. Ale ktoś na górze wystraszył się nowej taktyki radzieckich okrętów rakietowych i, o ile kapitan orientował się w sytuacji, żadna ze stron niczego

nie osiągnęła. Rosyjskie okręty podwodne opuszczające Półwysep Kolski nie popłynęły wcale, jak się spodziewano, na Morze Norweskie. Niemniej zainstalowany na „Chicago" sonar dalekiego zasięgu wykrył na północy hałas, który mogła powodować kierująca się na zachód łódź podwodna.

Czyżby Iwan wysyłał swoje okręty do Cieśniny Duńskiej? – pomyślał McCafferty. – Ze względu na linię systemu zwiadu hydrolokacyjnego, która rozciągała się między Islandią a Grenlandią, może go to bardzo drogo kosztować.

USS „Chicago" płynął na głębokości stu siedemdziesięciu metrów, nieco na północ od sześćdziesiątego dziewiątego równoleżnika, sto mil na zachód od skalistych brzegów Norwegii. W okolicy kryło się wiele norweskich jednostek o napędzie klasycznym, strzegących granic ojczyzny. McCafferty rozumiał to, ale nie był tym zachwycony.

Sprawy szły źle i McCafferty bardzo się tym trapił. Ale powinien spodziewać się takiego przebiegu wydarzeń.

Musiał polegać wyłącznie na własnym doświadczeniu i kwalifikacjach, jak też na możliwościach powierzonego mu okrętu. Wiedział również, na co stać okręty podwodne przeciwnika. Zawsze do któregoś z Rosjan mogło uśmiechnąć się szczęście. Była wojna i obowiązywały inne prawa, nie podlegające żadnym sądom czy regulaminom. Błąd nie pociągał za sobą karnej adnotacji w dokumentach. A ponadto, jak dotąd, szczęście zdawało się dopisywać stronie przeciwnej.

Rozejrzał się po twarzach załogi. Był przekonany, że jego ludzi nurtują takie same wątpliwości; ale to on był dowódcą.

Załoga to tylko wykonawca tego, co on sam wymyśli.

Kapitan stanowił centralny ośrodek decyzyjny skomplikowanej istoty, jaką był USS „Chicago". Dopiero teraz w pełni dotarł do niego ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności. Jeśli coś spaskudzi, wszyscy ci ludzie umrą; on także – ale ze świadomością, że zawiódł załogę.

Nie myśl o tym – skarcił się w duchu. – To cię tylko wykończy. Lepiej już znaleźć się w ogniu walki, gdzie całe myślenie sprowadza się do natychmiastowych decyzji.

Spojrzał na zegarek. W porządku.

–Wychodzimy na peryskopową – rozkazał. – Pora rozejrzeć się w sytuacji. Sprawdzimy wykrywaczem radarów, co słychać.

Nie było to takie proste. Okręt podwodny szedł w górę powoli, ostrożnie, tak by hydrolokacja mogła upewnić się, że na powierzchni nie kręci się żadna jednostka.

–Wysunąć wykrywacz.

Elektronik nacisnął guzik zwalniający maszt szerokozakresowego odbiornika. Tablica rozdzielcza natychmiast zapłonęła światełkami.

–Wiele szumu elektronicznego, sir. Trzy urządzenia przeszukujące w paśmie J, masa innych urządzeń. Dużo świergotu na VHF i UHF. Wszystko nagrywamy.

To wykresy – pomyślał McCafferty. – Ale istnieje niewielka szansa, by coś nas wykryło.

–Peryskop w górę.

Kapitan ustawił soczewki pod odpowiednim kątem i szybko ogarnął wzrokiem niebo w poszukiwaniu samolotu.

Następnie omiótł spojrzeniem horyzont. Kątem oka dostrzegł coś niepokojącego i natychmiast zmienił ustawienie soczewek.

W odległości niecałych dwustu metrów ujrzał smugę zielonego dymu. McCafferty skulił się odruchowo i przekręcił peryskop. Spostrzegł wynurzający się z mgły wielosilnikowy samolot. Leciał prosto na nich.

Kapitan błyskawicznie wyprostował się i przekręcił koło.

Peryskop natychmiast opadł do studzienki.

–Pełne zanurzenie! Głębokość dwieście siedemdziesiąt!

Skąd się tu, do cholery, wziął?

Po kilku sekundach silniki okrętu podwodnego pracowały już na pełnych obrotach.

–Torpeda z prawej! – krzyknął sonarzysta.

–Ster, cała w lewo! – zareagował natychmiast McCafferty.

–Tak jest, cała w lewo.

Log wskazywał szybkość dziesięciu węzłów; prędkość błyskawicznie rosła. Okręt opadł na głębokość trzydziestu metrów.

–Pozycja względna torpedy: jeden-siedem-pięć. Wysyła impulsy. Jeszcze nas nie namierzyła.

–Wystrzelić generator szumów.

Za rufą okrętu pojawił się dwunastocentymetrowej długości pojemnik. Natychmiast zaczął emitować wszelkie możliwe hałasy, mające przywabić torpedę.

–Generator szumów wystrzelony.

–Ster piętnaście stopni w prawo – McCafferty zdążył się już opanować. Niejednokrotnie brał udział w takich grach. – Nowy kurs: jeden-jeden-zero. Sonar, dokładne namiary torpedy.

–Tak jest, sir. Torpeda, współrzędne: dwa-zero-sześć, nadchodzi od lewej na prawą burtę. „Chicago" opadł dalszych siedemdziesiąt metrów. Przechylił się pod kątem dwudziestu stopni. Marynarze i technicy przypięci byli do foteli pasami. Oficerowie i ci, którzy musieli być w ciągłym ruchu, chwytali się poręczy i podpór pokładowych.

–Dowodzenie, tu sonar. Wydaje się, że torpeda krąży po torze kolistym. Przemieszcza się od prawej burty w lewo.

Współrzędne: jeden-siedem-pięć. Ciągle wysyła impulsy, ale nie sądzę, by nas namierzyła.

–Bardzo dobrze. Cały czas obserwuj. – McCafferty przeszedł po pochyłej podłodze do nakresu. – Chyba im się nie udało.

–Może… – odparł nawigator. – Ale jak, do licha…

–Musiał to być MAD, detektor anomalii magnetycznych. Czy taśma szła? Nie miałem czasu na dokładną identyfikację – kapitan popatrzył na nakres.

Znajdowali się już półtorej mili od miejsca, gdzie torpeda osiągnęła wodę.

–Hydrolokacja, szczegóły o ścigającej nas rybce.

–Pozycja: jeden-dziewięć-zero. Za rufą. Nadal krąży.

Wygląda na to, że opadła trochę niżej. Myślę, że przyciągnął ją generator szumów. Stara się go dostać.

–Dwie trzecie naprzód.

Pora zwolnić – pomyślał McCafferty. Oddalili się już od miejsca spotkania, a załoga samolotu, nim przystąpi do

dalszych poszukiwań, musi poświęcić parę minut na ocenę skuteczności ataku. W tym czasie „Chicago" znajdzie się dwie, trzy mile dalej, ochronią go warstwy wody, a ponadto będzie się poruszał cicho.

–Tak jest, dwie trzecie naprzód. Głębokość dwieście siedemdziesiąt.

–No, możemy odetchnąć – powiedział zmienionym nieco głosem McCafferty.

Dopiero teraz zauważył, że trzęsą mu się ręce. Jak po wypadku samochodowym – pomyślał. – Kiedy człowiek jest już bezpieczny, zaczyna się trząść.

–Ster piętnaście stopni w lewo. Kurs w lewo: dwa-osiem-zero.

Nie mogli płynąć prosto; samolot zawsze mógł zrzucić następną torpedę. Ale niebezpieczeństwo już chyba minęło.

Spostrzegł, że wszystko razem trwało niecałe dziesięć minut.

Kapitan zbliżył się do przedniej grodzi, przewinął taśmę wideo i puścił ją od początku. Ujrzał jak peryskop wynurza się na powierzchnię, omiata horyzont… potem smugę dymu.

W chwilę później pojawił się samolot. McCafferty zamarł.

Samolot do złudzenia przypominał model Lockheeda P-3 Orion\ – To jeden z naszych – zauważył dyżurny elektryk.

Kapitan przeszedł do hydrolokacji.

–Rybka niknie już za rufą, kapitanie. Prawdopodobnie wciąż próbuje trafić w generator szumów. Myślę, że torpeda po wystrzeleniu poszła w złym kierunku. Była za daleko.

–A dźwięk?

–Podobny do naszego marka-46. – Główny sonarzysta wzdrygnął się. – Naprawdę, przypominał nasze czterdziestki szóstki.

Przewinął taśmę i włączył głośnik. Skrzeczący dźwięk zaopatrzonej w dwie śruby torpedy jeżył włos na głowie.

McCafferty mruknął coś pod nosem i wycofał się na tył okrętu.

–Zgadza się, mógł to być norweski P-3. Ale też i rosyjski maj. Są bardzo do siebie podobne i służą temu samemu. Dobra robota, chłopcy! Wynosimy się stąd.

Kapitan gratulował sobie w duchu postawy. Odparł pierwszy w tej wojnie atak, a przeprowadził go ich własny samolot. Ale odparł. Szczęście dopisywało nie tylko tamtej stronie.

USS „Pharris" Morris, półdrzemiąc w fotelu na mostku, dumał nad tym, co się w jego życiu zmieniło. Nie musiał już, jak dotąd, poświęcać popołudni na papierkową robotę. Zobowiązany był wprawdzie przesyłać co cztery godziny drogą radiową komunikat o pozycji okrętu i

ewentualnych kontaktach, ale cała reszta biurokracji, która zżerała mu tyle czasu, należała już do przeszłości. Żałował tylko, że to właśnie wojna go od niej uwolniła. Teraz czasami myślał, że lubił tamtą pracę. „Pharris", który stanowił wysunięty punkt hydrolokacyjny, ciągle płynął w odległości dwudziestu mil na południowy wschód od konwoju. Jego zadaniem było wykrywanie, lokalizacja i niszczenie próbujących zbliżyć się do konwoju okrętów podwodnych wroga. W tym celu fregata na przemian wyrywała do przodu – „wchodziła w sprint" – i zwalniała, czym zapewniała sonarom optymalne funkcjonowanie. Gdyby konwój posuwał się prosto z szybkością dwudziestu węzłów, byłoby to niewykonalne. Ale uformowane w trzy kolumny niezdarne jednostki handlowe posuwały się zygzakiem, co bardzo ułatwiało eskorcie życie.

Dla załóg statków handlowych trzymanie równego szyku było rzeczą równie egzotyczną jak forsowny marsz lądem.

Morris wypił łyk coli. Było gorące popołudnie i preferował zimną kofeinę.

–Meldunek z „Talbota" – powiedział młodszy oficer pokładowy.

Morris podniósł się i przeszedł na prawe skrzydło mostka.

Był dumny, że potrafił czytać alfabet Morse'a równie biegle jak sygnalista.

–ISLANDIA ZAJĘTA PRZEZ WOJSKA RADZIECKIE X NIEBEZPIECZEŃSTWO ATAKU ROSYJ284 • TOM CLANCY

–Miłe wieści, sir – zauważył cierpko oficer pokładowy.

–No cóż.

USS „Nimitz" – Jak to im się udało? – zdumiał się głośno Chip.

–Do cholery, to już nieważne – odparł Toland. – Trzeba natychmiast powiadomić szefa.

Wykonał szybki telefon i ruszył do kwatery dowództwa.

Prawie zabłądził. „Nimitz" liczył sobie ponad dwa tysiące pomieszczeń. W jednym z nich mieszkał admirał, a Toland był u niego tylko raz. U drzwi natknął się na strażnika – żołnierza piechoty morskiej. W środku zastał też dowódcę lotniskowca, kapitana Svensona.

–Sir, otrzymaliśmy pilną depeszę, że Rosjanie zajęli Islandię. Mają już tam wojsko.

–A lotnictwo? – zapytał natychmiast Svenson.

–Nie wiemy. Brytyjczycy podobno starają się umieścić nad wyspą satelitę zwiadowczego, ale od sześciu godzin nie mamy żadnych wiadomości. Nasz ostatni ptaszek przeleciał tam dwie godziny temu, a następny pojawi się dopiero za dziewięć.

–W porządku, jakimi informacjami dysponujemy? – zapytał admirał.

Toland przekazał skąpe dane, które nadeszły z Norfolk.

–Na ile się orientujemy, był to plan wręcz nieprawdopodobny, ale, jak widać, powiódł się.

–Nikt nie twierdzi, że Iwan jest tępy – odparł z kwaśnym uśmiechem Svenson. – Czy nadeszły też jakieś rozkazy?

–Jeszcze nie.

–Jakimi siłami Rosjanie operują na Islandii?

–Ani słowa na ten temat, sir. Załoga P-3 zaobserwowała dwa nawroty czterech radzieckich poduszkowców.

Każdy z nich mieścił stu żołnierzy, co w sumie daje ośmiuset; co najmniej batalion – a najprawdopodobniej

pułk. Ich statek jest wystarczająco duży, by przetransportować brygadę z pełnym wyposażeniem. W jednej ze swoich książek Gorszkow napisał, że barkowce są wyjątkowo przydatne do operacji desantowych.

–To zbyt wielkie siły dla naszej jednostki amfibii morskich – odparł Svenson.

W skład oddziału amfibii wchodził zaledwie wzmocniony batalion żołnierzy.

–Z trzema wspierającymi lotniskowcami? – parsknął admirał Baker, po czym zajął bardziej ugodowe stanowisko. – Może zresztą ma pan rację. Czy ich lotnictwo stanowi dla nas zagrożenie?

–Na Islandii stacjonowała eskadra F-15 i kilka samolotów z radarowym systemem ostrzegania AWACS. Siły, które miały nas bronić… już nie istnieją. Straciliśmy możliwość nalotów, akcji odwetowych i wczesnego ostrzegania – mówił Svenson z grymasem niezadowolenia. – Powinniśmy sobie wprawdzie poradzić z ich backfire'ami, ale gdybyśmy dysponowali myśliwcami Eagle, wszystko byłoby dużo prostsze.

Baker podniósł do ust kubek z kawą.

–Nasze rozkazy, jak dotąd, nie uległy zmianie.

–A co jeszcze dzieje się na świecie? – zapytał Svenson.

–Potężne uderzenie na Norwegię, ale szczegółów brak.

To samo w Niemczech. Nasze lotnictwo zadało podobno Rosjanom dotkliwy cios, ale i tu nie

znamy szczegółów.

Trochę zbyt wcześnie na jakiekolwiek pełniejsze dane wywiadu na temat rozwoju sytuacji.

–Jeśli Iwan zdołał podbić Norwegię i całkowicie wyeliminować Islandię, jego lotnictwo będzie w tej chwili podwójnie groźne dla naszej grupy bojowej – wtrącił Svenson. – Muszę porozumieć się z moją formacją lotniczą.

Kapitan wyszedł. Admirał Baker milczał parę minut.

Toland musiał zostać; jeszcze go nie odprawiono.

–Uderzyli na Keflavik?

–Owszem, sir.

–Proszę zebrać wszelkie dostępne informacje i natychmiast się u mnie zameldować.

–Tak jest, sir.

Wracając do sekcji wywiadu, Toland przypomniał sobie, co powiedział żonie: Lotniskowiec jest najlepiej strzeżonym okrętem we flocie.

Ale kapitan wyraźnie się bał.

Wzgórze 152, Islandia Czuli się już tu jak u siebie w domu. Pozycja była łatwa do obrony. Do wzgórza 152 nikt nie mógł zbliżyć się niepostrzeżenie; najpierw musiałby przebyć rozległe pole lawy, a następnie sforsować stromy, nagi stok. W odległości niecałego kilometra Garcia odkrył niewielkie jeziorko powstałe ze stopniałego niedawno śniegu. Sierżant Smith zauważył, że ta woda najlepiej smakowałaby z burbonem.

Gdyby naturalnie mieli burbona.

Od czterech dni żywili się takimi delikatesami jak puszkowana fasola i szynka. Edwards zdążył już wymyślić kilka nowych i niezbyt pochlebnych nazw dla tych smakołyków.

–Czy ktoś potrafi upiec owcę? – zapytał Rodgers.

Kilka kilometrów na południe widać było duże stado tych zwierząt.

–A na czym upiec? – spytał Edwards.

–No tak – Rodgers rozejrzał się po okolicy. W zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa. – Jak to jest, że tu nic nie rośnie?

–Rodgers jest tu dopiero od miesiąca – wyjaśnił Smith. – Żołnierzu, nie widziałeś jeszcze, jak

tu wygląda wietrzny, zimowy dzień. Gdybyś drzewo umieścił w betonie, może by i przetrwało. Spotkałem tu już takie wichury, że potrafiły zerwać pasy namalowane na szosie.

–Samoloty – Garcia przycisnął do oczu lornetkę i skierował ją na północny wschód. – Dużo samolotów.

Edwards odebrał od niego instrument. Początkowo dostrzegł tylko ciemne punkciki, które szybko przybrały znajome kształty.

–Sześć. Ogromne, wyglądają jak C-141… to iły-76.

Chyba mają eskortę myśliwców. Sierżancie, notes i pióro.

Liczymy.

Trwało to parę godzin. Najpierw lądowały myśliwce.

Natychmiast kołowały do stacji paliw, po czym odjeżdżały na krótsze pasy. Transportowce nadlatywały co trzy minuty i Edwards nie potrafił ukryć wrażenia, jakie na nim wywarł ich widok. Iły-76 – w krajach NATO określano je mianem candidów – posiadały równie niezgrabną sylwetkę jak ich amerykańskie odpowiedniki. Piloci lądowali, zatrzymywali maszyny, po czym samoloty opuszczały główny pas startowy północ-południe. Manewry te wykonywane były tak sprawnie, jakby piloci ćwiczyli ten element od miesięcy. Edwards podejrzewał, że właśnie tak było. Wyładunek następował przy głównym terminalu lotniska. Potem maszyny podjeżdżały do stacji paliw i ponownie startowały dokładnie w chwili, gdy nad lotniskiem pojawiały się kolejne. Przelatywały tak blisko wzgórza, że Edwards mógł nawet notować numery umieszczone na ogonach. Kiedy naliczyli już pięćdziesiąt maszyn, włączył radio.

–Tu Edwards, ze wzgórza 152. Słyszysz mnie?

–Słyszę – padła natychmiast odpowiedź. – Od tej chwili nosisz kryptonim: „Ogar" a my „Brytan". A teraz składaj raport.

–Zrozumiałem, Brytan. Rosyjskie transporty lotnicze w toku. Naliczyliśmy pięćdziesiąt – pięć-zero – radzieckich samolotów transportowych. Iły-76. Przylatują do Reykjaviku, wyładowują towar i odlatują na północny wschód.

–Ogar, jesteś pewien, powtarzam, czy jesteś pewien liczby, którą podałeś?

–Absolutnie pewien, Brytan. Przelatują prosto nad naszymi głowami i każdy zapisujemy na kartce. Pięćdziesiąt samolotów – Smith podsunął mu notatnik pod nos… – teraz już pięćdziesiąt trzy, ale operacja trwa. Ponadto na skraju pasa startowego numer cztery widzę sześć jednoosobowych maszyn. Nie potrafię rozróżnić typu, ale wyglądają na myśliwce. Zrozumiałeś, Brytan?

–Zrozumiałem. Pięćdziesiąt trzy transportowce i sześć myśliwców. W porządku, Ogar. Musimy szybko tę

informację dostarczyć wyżej. Kontakt jak zwykle. Czy jesteście bezpieczni?

Dobre sobie – pomyślał Edwards.

–Słyszę cię, Brytan. Pozostajemy na nasłuchu.

Zdjął słuchawki i popatrzył na Smitha.

–Sierżancie, jesteśmy tu bezpieczni?

–Jasne, poruczniku. Bezpieczniej czułem się tylko w Bejrucie.

Hafnarfjórdur, Islandia – Wyśmienicie przeprowadzona akcja, towarzyszu generale – ambasador promieniał.

–Wasza pomoc okazała się bezcenna – skłamał przez zęby generał. – Niemniej chciałbym przypomnieć, że wiele jeszcze zostało do zrobienia.

Personel ambasady radzieckiej na Islandii liczył sobie ponad sześćdziesiąt osób. Przeważnie byli to pracownicy wywiadu. Zamiast zrobić coś naprawdę pożytecznego, na przykład przejąć centralę telefoniczną, założyli mundury i urządzili obławę na przedstawicieli miejscowego świata politycznego. Większość członków Althingu, starego parlamentu islandzkiego, została aresztowana. Generał zgadzał się, że było to konieczne, ale nie należało tego robić w tak brutalny sposób; troje Islandczyków poniosło śmierć. Z wyspiarzami lepiej łagodnie – pomyślał generał. – To nie Afganistan. Islandczycy z natury nie byli agresywni i należało przyjąć w stosunku do nich łagodny kurs. Ale ten aspekt operacji leżał w kompetencjach KGB, którego zespół wiódł w ambasadzie prym.

Generał wszedł po drabince sznurowej na pokład „Fućika". Wyniknął właśnie problem z wyładunkiem sprzętu należącego do batalionu rakietowego. Wskutek eksplozji rakiety barki z tym sprzętem zostały mocno uszkodzone, a wrota do ładowni zakleszczone i trzeba było użyć palników. Generał wzruszył ramionami. Jak dotąd „Polarna Gloria" stanowiła wręcz podręcznikowy przykład wzorowo

przeprowadzonej operacji wojskowej. Niezbyt duży kłopot.

Większość pojazdów – dwieście lekkich wozów bojowych i wiele ciężarówek – dawno już opuściła pomieszczenia statku, została załadowana wojskiem i odesłana do punktów przeznaczenia. Pozostał tylko batalion SA.-11.

–Mam dla was niedobrą wieść, towarzyszu generale – oznajmił dowódca SA.M-ów.

–Długo będę na nią czekać? – spytał z rozdrażnieniem dowódca. Miał za sobą ciężki dzień.

–Ocalały tylko trzy sprawne rakiety.

–Trzy?

–Obie barki zostały podziurawione. Wstrząs zniszczył kilka pocisków. Główne uszkodzenia spowodowała woda, którą gasiliśmy pożar.

–Przecież to rakiety do ruchomych wyrzutni – odparł generał. – Jakże mogły zamoknąć?

–To była słona woda, towarzyszu. Tej broni używa armia lądowa, nie marynarka. Pociski są mało odporne na wodę morską. Walczący z ogniem przyłożyli się do pracy i rakiety prawie pływały. Wystające przewody i głowice samonaprowadzających urządzeń radarowych umieszczone z przodu rakiet zostały kompletnie zniszczone.

Moi ludzie sprawdzili elektronicznie każdą z nich. Tylko trzy są zdatne do użytku. Cztery następne zdołamy jakoś naprawić. Ale reszta to szmelc. Muszą nam dosłać nowe.

Generał opanował ogarniający go gniew. Taka drobnostka, a nikt o niej nie pomyślał. Pokład statku, ogień gaszony słoną wodą. Musi zamówić morską wersję tej broni. Ale tak naprawdę, to to wszystko nie było istotne.

–Rozmieśćcie wyrzutnie zgodnie z planem. Zdatne do użytku rakiety przesłać do Reykjaviku. Te, które da się naprawić, dajcie Keflavikowi. Powiadomię, że potrzebujemy nowych pocisków. Coś jeszcze?

–Na razie nic. Anteny radarowe były zatopione w plastiku, a sprzęt w transporterach ocalał, gdyż maszyny zostały hermetycznie zamknięte. Mój batalion jest gotów; potrzebujemy tylko rakiet. Możemy wyruszyć za dwadzieścia minut… I wybaczcie, towarzyszu. 19 – Czerwony sztorm

–Nie wasza wina. Dobrze znacie drogę?

–Dowódcy mojej baterii zapoznali się dokładnie z mapami.

–Wyśmienicie. Do roboty, towarzyszu pułkowniku.

Generał ruszył po drabince na mostek do oficera łączności.

Po dwóch godzinach samolot z czterdziestoma pociskami S A-11 ziemia-po wietrze wystartował z murmańskiego lotniska Kilpjawr, biorąc kurs na Islandię.

TANIEC WAMPIRÓW

USS „Nimitz" Przez dwanaście ostatnich godzin Toland był człowiekiem cholernie

zapracowanym. Wiadomości z Islandii napływały powoli, informacje były niejasne i Bob ciągle nie potrafił stworzyć sobie klarownego obrazu sytuacji. Po kilku godzinach wahań i niepewności grupa bojowa dostała nowe rozkazy. Odwołano poprzednie, w myśl których okręty miały dostarczyć posiłki na Islandię. Od dziesięciu godzin grupa lotniskowców płynęła na wschód, ku akwenom, gdzie miała uzyskać ochronę powietrzną brytyjskich i francuskich samolotów. Ktoś widocznie doszedł do wniosku, iż piechota morska, skoro nie miała już po co płynąć do Islandii, powinna wzmocnić siły w Niemczech.

Początkowo Bob spodziewał się, że jednostkę amfibii morskich dostarczą do Norwegii, gdzie stacjonowała już jedna brygada tego typu, ale okazało się to trudne do wykonania. Nad północną Norwegią bowiem od dwudziestu godzin trwała zacięta bitwa powietrzna, w której obie strony ponosiły ciężkie straty. Norwegowie przystąpili do walki, dysponując zaledwie setką nowoczesnych myśliwców i teraz rozpaczliwie błagali o pomoc, która jak dotąd – nie nadeszła.

–Chcą nie tylko zniszczyć Norwegów – zauważył Toland. – Spychają ich na południe. Większość ataków poszła na bazy północne i od tego momentu nie dają im chwili wytchnienia.

–Dzięki temu będą mogli wysyłać na nas backfire'y. To oczywiste – skinął głową Chip. – Zbieraj się już na odprawę, Bob.

–No cóż – Toland sięgnął po notatki i ponownie

ruszył do kwatery dowódcy. Tym razem trafił już prawie bezbłędnie.

–Tak, komandorze – odezwał się admirał Baker. – Zacznijmy od terenów nie objętych bezpośrednimi działaniami wojennymi.

–Na Pacyfiku nic się jeszcze nie dzieje. Rosjanie najwyraźniej starają się wywierać jakieś dyplomatyczne naciski na Japonię. To samo dotyczy innych rejonów świata. Związek Radziecki usiłuje sprowadzić wszystko do tej niemieckiej intrygi.

–Mydlenie oczu – zauważył Baker.

–Oczywiście, admirale, ale taka Grecja na przykład już teraz próbuje wykręcić się od zobowiązań. Ponadto wiele krajów neutralnych i Trzeciego Świata kupiło tę historię.

Tak czy owak, Rosjanie robią wielki szum wokół Wysp Kurylskich. Oddadzą je, jeśli Japonia podejmie radziecką grę. Kontekst: Japonia nie może przekazać amerykańskim samolotom atakującym Związek Radziecki baz znajdujących się na jej terytorium. Pozostaje Korea. Na zachodnim Pacyfiku dysponujemy jedną grupą bojową lotniskowca „Midway". Obecnie znajduje się daleko w morzu i nie chce samotnie ruszyć w rejony Kamczatki. Na Morzu Południowochińskim, na zachód od Filipin, zanotowaliśmy nieco większą aktywność lotniczą. W zatoce Cam Ranh Rosjanie nie mają ani jednego okrętu. Tak więc na Pacyfiku spokój, ale nie potrwa on długo.

Na Oceanie Indyjskim ktoś, najprawdopodobniej okręt podwodny, wystrzelił rakietę na Diego Garcię. Straty niewielkie. Pięć dni wcześniej wszystko prawie stamtąd wysłaliśmy na morze, niemniej wyspa przykuła uwagę Rosjan. Ostatni raport donosi, iż nad Oceanem Indyjskim, na piętnastym stopniu szerokości północnej i dziewięćdziesiątym długości wschodniej pojawił się dywizjon radzieckich samolotów. Odleciał na południe.

Na południowej flance NATO zupełny spokój. Turcy nie chcą samodzielnie atakować Rosji, Grecja trzyma się na uboczu, twierdząc, że to „spór niemiecko-radziecki". Tak zatem Iwan nie musi martwić się południem i wygląda na

to, że układ ten bardzo mu dogadza. Słowem, w obecnej chwili Rosjanie walczą jedynie w Europie Zachodniej oraz prowadzą akcje przeciw wybranym amerykańskim urządzeniom w różnych rejonach. Trąbią przy tym na cały świat, że wcale nie zamierzają z nami walczyć. Gwarantują nawet bezpieczeństwo przebywającym w Związku Radzieckim amerykańskim turystom i biznesmenom. Zapewne wyślą ich przez Indie. Nie doceniliśmy rozmiarów tej gry. Jak dotąd wszystko pracuje na korzyść Rosjan.

Teraz Europa. No cóż, tu zaczęli od dwudziestu, trzydziestu ataków grup Specnazu na terenie całych Niemiec.

Większości tych akcji zapobiegliśmy, ale w dwóch przypadkach odniosły one spory sukces. Zablokowany został port w Hamburgu. W głównym kanale zatopili dwa statki handlowe. Grupie, która tego dokonała, udało się zbiec. To samo wydarzyło się w Bremie – zablokowali częściowo kanał i spalili trzy statki w jednym z terminali dla kontenerowców. Tę grupę ujęliśmy. Inne ataki skierowane były przeciw składom broni jądrowej, ośrodkom łączności, a jeden, bardzo silny, przeciw magazynom paliw. Te ataki nas nie zaskoczyły. Ponieśliśmy pewne straty, ale prawie wszyscy żołnierze Specnazu zostali zlikwidowani.

Armia Radziecka przystąpiła do szturmu wczoraj przed świtem. Dobrą wiadomością jest to, że nasze lotnictwo odpowiedziało miażdżącym ciosem. Ten nowy myśliwiec Stealth, o którym krążyło tyle plotek, włączony został do służby i rzeczywiście spowodował na tyłach Rosjan istne piekło. Dowództwo sił lotniczych twierdzi, że w powietrzu posiada przewagę; tak zatem Iwan taktycznie musiał ponieść ciężkie straty. Jakkolwiek by było, pierwszy atak rosyjski okazał się dużo słabszy, niż należało się spodziewać.

Posuwają się do przodu, ale do północy wdarli się zaledwie na piętnaście kilometrów w głąb Niemiec, a w dwóch punktach w ogóle zostali zatrzymani. Jak dotąd ani słowa o broni jądrowej lub chemicznej. Doniesienia mówią o ciężkich stratach obu stron, zwłaszcza w północnych Niemczech, gdzie Rosjanie wdarli się najgłębiej. Zagrożony jest Hamburg. Zaatakowali też Kanał Kiloński, ale nie

znamy szczegółów. Wiadomo tylko, że jego część znalazła się pod kontrolą sowiecką. Ogólnie sytuacja jest trochę niejasna. Również na Morzu Bałtyckim zanotowano dużą aktywność. Niemcy i Duńczycy twierdzą, że błyskawicznym atakiem swych okrętów zadali mocny cios

połączonej flocie radzieckiej i wschodnioniemieckiej. Ale doniesienia na ten temat są bardzo niejednoznaczne.

Toland zaczął z kolei opisywać sytuację w Norwegii.

–Główne zagrożenie stanowią tam okręty podwodne i lotnictwo. Flota podwodna Iwana jest bardzo aktywna.

Otrzymaliśmy doniesienia o zatopieniu przez nią dwudziestu dwóch jednostek handlowych. Największą tragedią było zatonięcie płynącego pod panamską banderą liniowca pasażerskiego „Ocean Star", który wracał z rejsu po Morzu Śródziemnym. Osiemset mil na północny wschód od Gibraltaru trafiony został rakietą nieznanego typu, prawdopodobnie wystrzeloną z juliet. Statek spłonął. Ogromna liczba ofiar. Akcję ratowniczą i poszukiwawczą prowadzą dwie hiszpańskie fregaty.

Raporty wspominają o trzech łodziach podwodnych – echu, tangu \foxtrocie – krążących w pobliżu naszych torów.

Może ich być tam więcej, ale z doniesień wywiadu wynika, że głównie grupują się na południe i na zachód od nas.

Kiedy została zneutralizowana Islandia, straciliśmy system SOSUS na linii Grenlandia-Islandia-Zjednoczone Królestwo, co otworzyło Iwanowi dostęp na Północny Atlantyk.

Dowództwo lotnictwa strategicznego na Atlantyku, by zatkać tę dziurę, posłało tam już okręty podwodne. Muszą się pośpieszyć. Mamy doniesienia o licznych radzieckich jednostkach ciągnących w kierunku Cieśniny Duńskiej.

–Ile okrętów im zniszczyliśmy? – zapytał Svenson.

–Lajes i Brunszwik donoszą o czterech zatopionych.

Dokonały tego samoloty P-3. Złe wieści: jeden orion zaginął, a drugi został zestrzelony rakietą woda-powietrze. Cały czas napływają nowe informacje i koło południa powinniśmy mieć pełniejszy obraz sytuacji. W każdym razie obecnie bardziej zagraża nam lotnictwo niż flota podwodna. Ale jutro, naturalnie, może się to zmienić.

–Na razie martwmy się o dzień dzisiejszy. Wróćmy do Islandii – przerwał mu Baker.

–Wczorajszy raport był dokładny. Jest pewne, iż drogą morską przybył tam jeden pułk; reszta dywizji dociera drogą powietrzną. Transport zaczął się około czternastej i zakładamy, że obecnie już cała jednostka jest na miejscu.

–Myśliwce? – spytał Svenson. – Żadnych doniesień na ten temat, ale możliwe, że są.

Islandia dysponuje czterema lotniskami…

–Pomyłka, Toland, trzema – przerwał mu ostro Baker.

–Bardzo przepraszam, sir, ale czterema. Policzmy!

Wielka baza w Keflaviku; pięć pasów startowych, dwa z nich liczą sobie około trzy i pół kilometra długości.

Wybudowane zostały z myślą o B-52. Iwan przejął tę bazę całkiem nietkniętą. Przeprowadzili specjalnie atak w taki sposób, by nie uszkodzić pasów. Lotnisko drugie to cywilny aeroport w Reykjaviku. Najdłuższy pas liczy sobie dwa tysiące metrów – aż za długi jak dla myśliwców. Lotnisko leży w mieście. Atak nie spowodowałby wielu ofiar wśród ludności cywilnej. Po północnej stronie wyspy jest Akureyri – jeden twardy pas. Czwarte lotnisko, admirale, to stary Keflavik; oddalone o około trzy kilometry na południowy wschód od bazy lotniczej NATO. Na mapach występuje jako niezdatne do wykorzystania, ale rozmawiałem z kimś, kto przebywał na Islandii dwa lata. Osoba ta twierdzi, że pas nadaje się do użytku, zwłaszcza dla maszyn przystosowanych do lądowania w ciężkich warunkach terenowych, takich jak nasze C-130. Personel bazy używał go do wyścigów gokartów i samochodów sportowych. W każdym razie myśliwce mogą tam lądować. Poza tym wszystkie miasta na tej wyspie dysponują gruntowymi pasami przeznaczonymi dla krajowego ruchu lotniczego. Migi-23 i kilka innych typów radzieckich myśliwców mogą z nich z powodzeniem korzystać.

–Ma pan same dobre wiadomości – krzywiąc się, zauważył dowódca grupy lotniczej „Nimitza". – A co z urządzeniami bazy w Keflaviku, na przykład składami paliwa?

–Składy paliwa w samej bazie zniszczono podczas ataku, ale główne magazyny oraz składy w Hakotstangar pozostały nietknięte. Jeśli wpadły w ręce Rosjan, to dostali paliwo, które wystarczy im na całe miesiące.

–Czy są to informacje pewne? – chciał wiedzieć Baker.

–Mamy naocznych świadków: załogę P-3 należącego do marynarki. Zaraz po ataku oszacowali straty. RAF wysłał dwie maszyny zwiadowcze. Pierwsza dostarczyła wyraźnych zdjęć Keflaviku i okolic. Druga nie wróciła.

Przyczyna nieznana.

–SAM-y – skrzywił się dowódca grupy lotniczej.

Toland skinął głową.

–Mogę się założyć. Na zdjęciach widać transportery opancerzone należące do radzieckiej dywizji powietrznodesantowej. Islandzkie radio i telewizja milczą. Anglicy donoszą o sporadycznych kontaktach z islandzkimi radioamatorami, ale z południowo-zachodnich rejonów

wyspy nie docierają żadne wiadomości. Tam zresztą żyje większość mieszkańców i wygląda na to, że region ten jest już całkowicie pod kontrolą radziecką. Cały czas pozostajemy w kontakcie z wywiadem.

–Z tego, co pan mówi, wynika, że nie możemy spodziewać się żadnych informacji ze strony Norwegów.

Ponadto straciliśmy nasze placówki na Islandii. Czy dysponujemy jeszcze czymś? – zapytał Svenson.

–Tak. Możemy spodziewać się informacji ze źródła o kryptonimie „Reporter". Jeśli jakieś większe siły radzieckiego lotnictwa opuszczą Kolę, będziemy o tym natychmiast wiedzieć. – „Reporter"? Kto to jest? – zapytał dowódca grupy lotniczej.

–Tego mi nie powiedziano.

–Okręt podwodny – uśmiechnął się lekko Baker. – Kiedy nadaje meldunki, musi go chronić sam Chrystus. No cóż, wczoraj Iwan posłał bombowce przeciw Islandii.

A dokąd polecą dzisiaj?

–Jeśli chcecie, panowie, wiedzieć, to wywiad uważa, że przylecą do nas – odparł Toland.

–Dobrze jest poznać zdanie fachowców – kwaśno zauważył oficer lotnictwa. – Powinniśmy popłynąć prosto na północ i zmiażdżyć tych Rosjan… – Był doświadczonym pilotem myśliwskim. – Jednak z backfirea-mi na karku nie możemy tego uczynić. Jakimi siłami mogą nas zaatakować?

–Przyjmuję, że do akcji przystąpi jedynie lotnictwo morskie. Ich marynarka dysponuje sześcioma pułkami uderzeniowymi: trzema backfire-ów i trzema badgerów. Ponadto pułkiem badgerów z zainstalowanymi radiostacjami zagłuszającymi i pułkiem samolotów zwiadowczych klasy Bear. Do tego należy dodać tankowce powietrzne. Pułk składa się z dwudziestu siedmiu maszyn. Daje to w sumie sto sześćdziesiąt samolotów bojowych, z których każdy może przenieść dwie lub trzy rakiety typu powietrze-ziemia. – Żeby dolecieć aż tutaj, badgery będą musiały dać z siebie wszystko. Odległość tam i z powrotem wynosi prawie siedem tysięcy kilometrów; nawet jeśli polecą nad Norwegią, Badgery to stary model samolotów – uzupełnił dowódca grupy lotniczej. – A co z ich satelitami?

Toland popatrzył na zegarek.

–Za pięćdziesiąt dwie minuty przeleci nad nami radziecki radiolokacyjny rozpoznawczy satelita morski. Namierzyli nas już dwanaście godzin temu.

–Myślę, że siły powietrzne wykorzystają broń antysatelitarną – powiedział cicho Svenson. – Skoro Iwan dysponuje ptaszkami wywiadowczymi przekazującymi informacje na bieżąco, nie

potrzebuje tych przeklętych bearów.

Może z łatwością wyliczyć naszą pozycję. Dla rosyjskich bombowców to tylko czterogodzinna wyprawa.

–Może po przelocie satelity zmienić kurs? – zasugerował oficer lotnictwa.

–Bez sensu – odparł Baker. – Od dziesięciu godzin płyniemy na wschód. Wiedzą o tym, a my możemy poruszać się z prędkością najwyżej dwudziestu węzłów. Oddalimy się plus minus osiemdziesiąt mil. Jaka to różnica?

Toland spostrzegł, że zarówno Svensonowi jak i oficerowi lotnictwa nie przypadła do gustu ta decyzja. Ale nie podjęli

dyskusji. Baker był człowiekiem, któremu trudno było cokolwiek wyperswadować i Bob zastanawiał się chwilę, czy jest to dobra cecha dowódcy.

Wzgórze 152, Islandia Jedyną pociechę Edwardsa stanowiło to, że trafnie przepowiedział nadejście chłodnego frontu. Zaczęło padać dokładnie w przewidzianym przez niego czasie, tuż po północy. Sytuacja mogłaby być gorsza tylko wtedy, gdyby zamiast pojawiających się przelotnych opadów zaczął lać ciągły, zimny deszcz. Prawie siedemset metrów nad ziemią kłębił się zbity wał chmur pędzonych wiejącym z szybkością pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę wiatrem.

–A gdzie myśliwce? – spytał Edwards. – Czy nikt nie słyszał, jak odlatywały?

Spenetrował przez lornetkę lotnisko w Reykjaviku, ale nie dostrzegł sześciu samolotów, o których złożył wieczorem raport. Zniknęły również wszystkie transportowce. Widział tylko jeden radziecki helikopter i dalej czołgi. Na ulicach miasta i na szosie panował niewielki ruch. Nic dziwnego.

W poniedziałkowy ranek wszyscy rybacy z pewnością wypłynęli już dawno w morze.

–Nie, sir. Pogoda w nocy była taka, że całe ruskie lotnictwo mogło przylecieć i odlecieć nie zauważone. – Sierżanta Smitha niepokoiła przede wszystkim pogoda. – A może stoją w tych hangarach?

Ostatniego wieczoru, około dwudziestej trzeciej, zauważyli wprawdzie na niebie świetlne smugi, jakby startujących rakiet, ale akurat padał rzęsisty deszcz i Edwards nie przekazał tego w raporcie, podejrzewając, że mogły to być tylko błyskawice.

–A co to jest? Przecież nie czołgi. Garcia, zobacz… pięćset metrów od terminalu… – porucznik wręczył żołnierzowi lornetkę.

–No tak, to jakiś rodzaj pojazdu na gąsienicach.

Wygląda jak… nie, nie działo. Widzę jakby trzy lufy… może to wyrzutnia rakietowa?

–SAM-y – podpowiedział sierżant. – Może to rakiety widzieliśmy wczoraj wieczorem?

–Tu kosmita E.T.; muszę zadzwonić do domu – Edwards zaczął montować radio.

–Ile wyrzutni i jakiego typu? – zapytał Brytan.

–Widzimy tylko jedną, a w niej trzy pociski. Trudno określić typ. Zresztą nie znam się na tym. Możliwe, że wczoraj wieczorem, o dwudziestej trzeciej, postrzelali sobie z rakiet.

–Czemuście, do licha, nam tego od razu nie powiedzieli? – zapytał Brytan.

–Bo nie wiedziałem, co to takiego – Edwards nieomal wrzasnął. – Do cholery, przekazujemy wszystko, co widzimy, a wy nawet w połowę tych informacji nie wierzycie.

–Uspokój się, Ogar. Wierzymy. Wiem, że wam tam ciężko. Wydarzyło się coś jeszcze?

–Wie, że nam tu ciężko – poinformował swoich ludzi Edwards. – Na razie nic się nie dzieje, Brytan. Jeszcze bardzo wczesna godzina, ale niebawem spodziewamy się, że więcej mieszkańców pojawi się na ulicach.

–Zrozumiałem. Dobrze, Edwards, teraz odpowiadaj szybko i bez zastanowienia. Jak na drugie imię miał twój ojciec?

–Nie miał drugiego imienia! O co…

–Nazwa jego łódki? – „Annie Jay". O co ci, do diabła, chodzi…?

–Co przytrafiło się Sandy, twojej dziewczynie?

Jakby ktoś wbił mu w brzuch nóż. Ton głosu był najbardziej przekonującą odpowiedzią.

–Odpierdol się!

–Rozumiem – odparł głos. – Wybacz, poruczniku, ale musiałem zadać te pytania. Na razie nie mamy dla ciebie żadnych poleceń. Prawdę mówiąc, nikt nie wie, co z wami zrobić. Musicie czekać i unikać kontaktu. Teraz o naszych transmisjach. Gdyby was dorwali i chcieli robić jakieś sztuczki, każdy z kontaktów zaczynaj od słów: „jest wspaniale". Kapujesz? Jest wspaniale.

–Zrozumiałem. Jeśli usłyszycie, że jest wspaniale, znaczy, że coś nie w porządku.

Keflavik, Islandia Dowodzącego grupą lotniczą majora, mimo że od ponad trzydziestu godzin był na nogach, nie opuszczał dobry humor. Keflavik stanowił wspaniałą bazę, a spadochroniarze przejęli ją w stanie prawie nienaruszonym.

Co ważniejsze, Amerykanie bardzo dbali o sprzęt remontowy i trzymali go w różnych punktach ośrodka w bezpiecznych schronach. Dlatego przetrwał atak lotniczy. Oficer stał teraz w zniszczonej wieży kontrolnej i obserwował z satysfakcją, jak pół tuzina samochodów-zamiataczek uprząta gruz z pasa startowego numer dziewięć. Za pół godziny będą mogły wkołować tam samoloty. W pobliżu pasa stało osiem pełnych cystern, a do końca dnia powinien zostać naprawiony rurociąg.

Wtedy będzie to normalnie funkcjonująca baza radzieckiego lotnictwa.

–Kiedy przybędą nasze myśliwce?

–Za trzydzieści minut, towarzyszu majorze.

–Włączyć radar.

Na jednej z barek Rosjanie umieścili kompletny sprzęt do radiolokacji, który miał należeć do przyszłej bazy lotniczej.

Obecnie więc w pobliżu głównego pasa startowego zainstalowany został ruchomy radar dalekiego zasięgu, a obok niego pojazd, w którym dyżurowali naziemni technicy.

W bazie znajdowały się też trzy ciężarówki załadowane częściami zapasowymi oraz pociskami powietrze-powietrze; ponadto poprzedniego dnia przyleciało drogą lotniczą trzysta osób personelu naziemnego. Pasów startowych strzegła pełna bateria rakiet SA-11, osiem ruchomych dział przeciwlotniczych oraz pluton uzbrojonej w ręczne wyrzutnie SA.M-ÓW piechoty. Już kilka godzin wcześniej dotarł nowy transport pocisków ziemia-powietrze, które obecnie stały już na wyrzutniach, gotowe w każdej chwili do odpalenia. Żadna maszyna należąca do Paktu Atlantyckiego, nie mogła

pozwolić sobie na to, by bezkarnie zatańczyć nad Islandią walczyka. Przekonał się o tym jaguar RAF-u zestrzelony w nocy nad Reykjavikiem.

–Dziewiąty pas startowy gotowy do operacji – dobiegł głos oficera radiowego.

–Wspaniale! Teraz zająć się pasem jeden-osiem. Po południu chcę mieć wszystkie gotowe.

Wzgórze 152, Islandia – Coś nowego – tym razem samoloty pierwszy dostrzegł Edwards.

Z niskich chmur wynurzyły się szerokie, srebrzyste skrzydła bombowca Badger. W chwilę później mignął jakiś mniejszy cień, ale natychmiast skrył się w chmurach.

–Myśliwiec?

–Niczego nie widziałem, sir – Garcia patrzył akurat w inną stronę. Usłyszeli huk; charakterystyczne zawodzenie odrzutowych silników schodzącego do lądowania samolotu.

Porucznik po mistrzowsku już potrafił obchodzić się z radiem.

–Brytan, tu Ogar, wszystko gnije. Odebrałeś?

–Rozumiem, Ogar. Masz coś nowego?

–Nad głową przelatuje nam eskadra samolotów. Kieruje się na zachód, zapewne do Keflaviku. Poczekaj.

–Słyszę je, ale nic nie widzę – Garcia podał Edwardsowi lornetkę.

–Widziałem jedną, dwusilnikową maszynę, prawdopodobnie bombowiec. Towarzyszył mu myśliwiec… tak mi się wydaje. Cały czas słyszymy huk motorów, ale na wysokości siedmiuset metrów zalega gruba warstwa chmur. Nic nie widać.

–Twierdzisz, że lecą do Keflaviku?

–Raczej na pewno. Bombowiec leci na zachód i schodzi do lądowania.

–A może moglibyście wrócić do Keflaviku i sprawdzić, co się tam dzieje?

Edwards milczał chwilę. Czyżby ten skurwiel nie znał

mapy? Taka wyprawa znaczyła trzydziestokilometrowy spacer w kompletnie odkrytym terenie.

–Nie, nie ma takiej możliwości.

–Zrozumiałem, Ogar. I przepraszam. Ale miałem rozkaz zapytać. Jak będziecie wiedzieć coś nowego, łączcie się. Dobra robota, chłopcy. Pilnujcie naszych spraw.

–Pytali, czy chcemy przespacerować się do Keflaviku.

Powiedziałem, że nie – oznajmił Edwards po zdjęciu słuchawek.

–I bardzo słusznie, sir – odparł Smith. Ostatecznie w lotnictwie nie pracowali skończeni idioci.

Keflavik, Islandia Minutę później w Keflaviku wylądował pierwszy mig-29 fulcrum. Podkołował pod wieżę, mijając po drodze bazowego jeepa. Sprawujący dowództwo major wybiegł pilotowi na spotkanie.

–Witamy w Keflaviku!

–Wspaniale. Gdzie tu toaleta? – odparł pułkownik.

Major zaprowadził go do auta – po Amerykanach zostało w bazie siedemdziesiąt jeepów oraz

ponad trzysta samochodów prywatnych – i natychmiast podjechał do wieży. Amerykańska sieć radiowa uległa wprawdzie zniszczeniu, ale kanalizacja wykonana była z bardziej trwałego materiału.

–Ile?

–Sześć – odparł pułkownik. – Przeklęty norweski F-16 zaskoczył nas nad Hammerfest i zanim w ogóle zorientowaliśmy się, że tam jest, strącił jednego z naszych.

Drugi spadł z powodu awarii silnika, a trzeci musiał lądować w Akureyri. Są już ludzie?

–Jeszcze nie. Został nam tylko jeden helikopter, ale dzisiaj mają przybyć kolejne. – Weszli do środka budyńku. – Drugie drzwi na prawo.

Pułkownik wrócił po trzech minutach.

–Uff, dzięki, towarzyszu majorze. To ta gorsza strona latania na myśliwcach. Nie prezentujemy jej kadetom.

–Proszę, kawa. Poprzedni właściciele tego miejsca okazali się dla nas bardzo łaskawi – major odkręcił amerykański termos. Pułkownik wziął filiżankę i, smakując napój jakby to była brandy, obserwował lądowanie swoich myśliwców. – Rakiety już przygotowane. Samochody z paliwem czekają. Kiedy lecicie?

–Wolałbym, aby ludzie odpoczęli co najmniej dwie godziny i coś zjedli. Poza tym należy ukryć samoloty.

Byliście już atakowani.

–Pojawiły się wyłącznie dwie maszyny zwiadowcze.

Jedną zestrzeliliśmy. Przy odrobinie szczęścia…

–Tylko durnie liczą na szczęście. Jeszcze dziś pojawią się tu Amerykanie. Jestem tego pewien.

USS „Nimitz" – Mamy kolejne źródło informacji na Islandii. Kryptonim: „Ogar" – oznajmił Toland. Znajdowali się w centrum informacji bojowej lotniskowca. – Jego zdaniem zeszłej nocy przybyło do Reykjaviku osiemdziesiąt samolotów transportowych i co najmniej sześć myśliwców. Taka flotylla mogła swobodnie przenieść całą dywizję. Brytan w Szkocji twierdzi, że otrzymali nie potwierdzone doniesienie, iż na Islandii lądują już radzieckie myśliwce.

–Musiałyby to być maszyny dalekiego zasięgu. Foxhoundy lub fulcrumy – odezwał się dowódca grupy lotniczej. – Nie wiem, czy mają je w nadmiarze. No cóż, na razie tam nie płyniemy. Ale problemy mogą wyniknąć. Jeśli będą stanowić osłonę bombowców…

–Czy z Wielkiej Brytanii nadeszły jakieś wiadomości o wsparciu lotniczym samolotów E-3? – zapytał Svensona Baker.

–Jak dotąd żadne.

–Kiedy pana zdaniem, Toland, mogą pojawić się nasi „przyjaciele"?

–Dwadzieścia minut temu przeleciał nad nami radziecki radiolokacyjny morski satelita zwiadowczy. Zanim wystartują, będą zapewne chcieli mieć najnowsze dane. Potem już

mogą ruszać, admirale. Backfire' są w stanie tu dotrzeć za dwie godziny, jeśli będą leciały z pełną prędkością i w powietrzu uzupełnią paliwo. Najwcześniej. Ale moim zdaniem, nastąpi to za cztery lub pięć godzin.

–I co pan na to?

Dowódca grupy lotniczej najwyraźniej był zdenerwowany.

–Każdy z lotniskowców dysponuje samolotami radarowymi Hummer, którym towarzyszy para myśliwców F-14 Tomcat. Dwa następne tom caty stoją cały czas w katapultach, gotowe do startu w pięć minut. Jest jeszcze kolejny hummer oraz tankowiec powietrzny. Reszta myśliwców może znaleźć się w powietrzu w ciągu kwadransa. Są napełnione paliwem i uzbrojone. Ich załogi znają zadanie. Nad formacją krąży prowler, start pozostałych możliwy w ciągu piętnastu minut.

Dysponujemy też tankowcami powietrznymi A-7. Jesteśmy gotowi. Na „Fochu" czekają crusadery. Dobre maszyny, ale o małym zasięgu. Możemy ich używać do bezpośredniej osłony.

Kirowsk, RSFRR RORSAT – radiolokacyjny rozpoznawczy satelita morski – przeleciał nad grupą bojową o godzinie trzeciej dziesięć nad ranem. Transmiter jego radaru namierzył formację i skierował na nią kamery. Pięć minut później dane znalazły się już w Moskwie. Po kwadransie na czterech lotniskach wojskowych w pobliżu Kirowska na Półwyspie Kolskim wezwano na odprawę załogi samolotów bojowych.

Piloci byli zdenerwowani i nie mniej spięci niż oczekujący ich gdzieś na morzu Amerykanie. Obie strony nurtowała ta sama myśl. Obie strony od piętnastu lat nieustannie to ćwiczyły. Miliony godzin poświęcone planowaniu, studiom, symulacjom; teraz zbliżała się godzina próby.

Pierwsze wzbiły się w niebo badgery^ bombowce z dwoma silnikami Mikulina każdy. Startowały ciężko. Były tak załadowane bronią, że wydawało się, iż obsługa wieży kontrolnej musiała siłą woli pomagać im oderwać się od

ziemi. Zrazu ruszyły na północ. Nad Murmańskiem uformowały się w pułki i skierowały na zachód. Za Przylądkiem Północnym szerokim łukiem skręciły w lewo, biorąc kurs na Północny Atlantyk.

Dwadzieścia mil od północnego wybrzeża Związku Radzieckiego pod wzburzoną, czarną powierzchnią morza dryfował USS „Narwhal". Ten najcichszy z amerykańskich okrętów podwodnych, przeznaczony do gromadzenia danych wywiadowczych, spędził więcej czasu u rosyjskich brzegów niż jakakolwiek jednostka floty radzieckiej. Wysunął nad powierzchnię morza trzy cienkie anteny wykrywacza radarów nieprzyjaciela oraz wart milion dolarów peryskop przeszukujący. Za pomocą radia niskiej mocy podsłuchał ustawiających się w bojowym szyku pilotów. Trzech umundurowanych pracowników wywiadu oraz cywilny funkcjonariusz Narodowej Agencji Bezpieczeństwa oszacowali siłę radzieckiej flotylli powietrznej i zdecydowali, że jest wystarczająco duża, by zaryzykować komunikat radiowy. Wysunięto więc dodatkowy maszt skierowany na odległego o dwadzieścia cztery tysiące mil satelitę komunikacyjnego. Przetransmitowanie wiadomości dzięki wielokrotnemu przyspieszeniu zajęło niecałe piętnaście sekund.

USS„Nimitz" Wiadomość została automatycznie przekazana do czterech oddzielnych stacji łączności i w ciągu trzydziestu sekund dotarła do siedziby dowództwa lotnictwa strategicznego na Atlantyku. Pięć minut później Toland trzymał w dłoni żółty blankiet depeszy. Natychmiast udał się do admirała Bakera.

Z KOLI FORMACJA BOJOWA W SILE

OKOŁO

PIĘCIU PUŁKÓW KIERUNEK

ZACHODNI

–Szybko się uwinęli, prawda? – Baker popatrzył na zegarek.

Dowódca grupy lotniczej przeczytał depeszę i podszedł do telefonu.

–Start za pięć minut, odwołać patrole lotnicze. Posłać

dwa dodatkowe tomcaty i hummera. Wracające maszyny natychmiast wysyłać. Jedną katapultę przeznaczyć dla tankowców powietrznych.

–Za pozwoleniem, sir – zwrócił się do Bakera, gdy skończył wydawać rozkazy. – Proponuję wysłać za godzinę dwa F-14 i hummera. O szóstej wystartują wszystkie myśliwce. Dorwiemy Ruskich w odległości dwustu mil od nas i damy im kopa w dupę. – iBardzo dobrze. Jakieś uwagi?

Svenson popatrzył zamyślonym wzrokiem na główny nakres. Linie okręgu wyznaczały maksymalny zasięg radzieckich bombowców.

–Czy do Brytyjczyków dotarło to ostrzeżenie?

–Tak jest, sir – odparł Toland. – I do Norwegów.

Przy odrobinie szczęścia mogą nieco skubnąć Rosjan. Może wyślą coś ich tropem.

–Pomysł dobry, ale" zanadto bym na to nie liczył.

Gdybym to ja prowadził atak, poleciałbym na zachód i dopiero nad Islandią skręciłbym na południe. – Znów popatrzył na nakres. – Myśli pan, że Reporter ostrzegłby również o bear-Dach?

–Z tego, co wiem, wolno im włączać radiostację tylko wtedy, gdy pojawią się co najmniej trzy pułki lotnicze.

Dziesięć lub dwadzieścia bear-D-ów to stanowczo za mało.

Zresztą mogliby w ogóle ich nie zauważyć.

–W takim razie jest tam z pewnością całe stado z wyłączoną elektroniką. Po prostu wychwytują sygnały naszych radarów.

Toland potakująco skinął głową. Okręty wchodzące w skład grupy bojowej rozrzucone były w promieniu trzydziestu mil. Zgrupowane w środku lotniskowce i statki z wojskiem otaczało dziewięć mniejszych jednostek wojennych uzbrojonych w rakiety oraz sześć okrętów wyspecjalizowanych w zwalczaniu jednostek podwodnych. Wszystkie radary zostały wyłączone, a niezbędne informacje okręty otrzymywały z dwóch samolotów zwiadowczych E-2C, zwanych popularnie hummerami. Zainstalowane w maszynach radiolokatory przeczesywały

przestrzeń w promieniu czterystu mil.

Rozgrywający się dramat stopniem komplikacji przewyższał najbardziej zawiłą grę. Występował w nim tuzin zmiennych czynników, których permutacja sięgała tysięcy.

Zasięg radaru zależał od wysokości, a – w konsekwencji – od odległości do horyzontu, którego żaden radiolokator nie był w stanie przebić. Samolot, lecąc bardzo nisko, mógł uniknąć wykrycia przez radar lub poważnie ten moment opóźnić. Przebywanie na małej wysokości niebywale zwiększało zużycie paliwa, a tym samym ograniczało długość lotu.

Rosjanie musieli wykryć grupę bojową, sami pozostając nie zauważeni. Wiedzieli wprawdzie, gdzie okręty się znajdują, ale te, podczas czterech godzin potrzebnych bombowcom na dotarcie do celu, zmieniły już pozycje.

Radzieckie rakiety, skoro miały trafić w cel, musiały otrzymać dokładne współrzędne dwóch amerykańskich i jednego francuskiego lotniskowca. W przeciwnym razie cała akcja nie miałaby sensu.

Również amerykańskie myśliwce wysłane na spotkanie bombowców potrzebowały precyzyjnych informacji o kierunku i szybkości nadlatujących maszyn. Zadanie było proste: zlokalizować i zniszczyć samoloty wroga, zanim te zdążą namierzyć lotniskowce.

Obie strony stały przed poważnym dylematem: używać radarów czy nie. Każde rozwiązanie miało dobre i złe strony, nie było rozwiązania „najlepszego". Właściwie wszystkie amerykańskie okręty dysponowały potężnymi radarami, zdolnymi wykryć napastników z odległości dwustu mil lub więcej. Ale ich sygnały można było namierzyć z odległości dużo większej, co pozwoliłoby Rosjanom okrążyć formację, precyzyjnie określić cele i zaatakować z czterech stron świata.

Była to zabawa w chowanego rozgrywana na milionach mil kwadratowych oceanu. Przegrywający umierał.

Północny Atlantyk Dziesięć radzieckich bombowców rekonesansowych Bear-D przeleciało nad południową Islandią. Przeczesywały obszar tysiąca mil w głąb morza. Potężne samoloty pełne były

sprzętu elektronicznego, a ich załogi stanowili ludzie z wieloletnim doświadczeniem w tropieniu grup amerykańskich lotniskowców. Z nosów maszyn, z ogonów i końcówek skrzydeł wysunięto anteny poszukujące sygnałów emitowanych przez radary okrętowe. Oficerowie pokładowi starannie nanosili na mapy wszelkie przechwycone impulsy, ale samoloty pozostawały cały czas poza zasięgiem wykrywania radiolokatorów nieprzyjaciela. Najbardziej obawiano się tego, by Amerykanie nie wyłączyli swych radarów całkowicie lub nie włączali ich w nierównych odstępach czasu. W takim przypadku bowiem maszyny mogłyby dostać się niezauważenie w pobliże uzbrojonego okrętu lub samolotu nieprzyjaciela. Bear mógł przebywać w powietrzu dwadzieścia godzin, lecz cenę za to stanowił kompletny brak broni na

pokładzie. Ten model był zbyt powolny, by wymknąć się myśliwcom przechwytującym i nie mógł z nimi walczyć. Słowa załóg tych samolotów: „zlokalizowaliśmy formację bojową wroga" transponowano na szydercze: „doswidanija, rodina". Niemniej piloci tych maszyn stanowili grupę dumnych zawodowców. Od nich zależał los bombowych samolotów… i los ich ojczyzny.

Osiemset mil na północ od Islandii badgery zmieniły kurs na jeden-osiem-zero i leciały teraz na południe z szybkością pięciuset węzłów. Choć uniknęły ciągle jeszcze groźnych Norwegów, musiały strzec się Brytyjczyków. Załogi nerwowo spoglądały przez okna, a czujniki elektroniczne prowadziły ciągły nasłuch. W każdej chwili spodziewano się odwetowego uderzenia myśliwców taktycznych na Islandię, a lotnicy dobrze wiedzieli, że każdy godny tego określenia pilot NATO bez wahania wyrzuci swe bomby do morza, byle tylko stoczyć powietrzną potyczkę z tak łatwym przeciwnikiem, jakim były dwudziestoletnie badgery.

Samoloty te dochodziły już kresu pracowitego żywota. Na skrzydłach pojawiały się pęknięcia, a turbiny odrzutowych silników były wytarte, co zmniejszało skuteczność i ekonomikę lotu.

Dwieście mil za nimi bombowce Backfire kończyły operację tankowania w powietrzu paliwa. TU-22M po

uzupełnieniu benzyny poleciały na południe, poruszając się nieco na zachód od badgerów. Pod skrzydłami widniały podwieszone rakiety AS-6 Kingfish. Backfire'y również przedstawiały sobą w miarę łatwy cel dla myśliwców, ale ich stosunkowo duża szybkość sprawiała, że miały sporą szansę im umknąć. Piloci backfire'ów stanowili elitę radzieckiego lotnictwa morskiego. Mieli bardzo wysokie pobory i posiadali w swojej ojczyźnie wysoki status społeczny, co podczas odpraw nieustannie przypominali im dowódcy.

Teraz przyszło ten dług spłacać.

Wszystkie trzy grupy leciały na południe z optymalną prędkością. Załogi na pokładach w napięciu kontrolowały zużycie paliwa, temperaturę silników i wiele innych parametrów, od których zależy powodzenie dalekich rejsów nad oceanem.

USS „Nimitz" Toland wyszedł na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Był piękny ranek, promienie wschodzącego słońca barwiły na różowo białe obłoki. Na horyzoncie, w odległości ośmiu mil majaczyły sylwetki „Saratogi" i „Focha"; nawet z tak daleka robiły wrażenie swoim ogromem. Bliżej pruł półtorametrowe fale „Ticonderoga".

W jego podwójnych wyrzutniach bielały rakiety. Lampy sygnalizacyjne przesyłały wiadomości. Pozostałe widoczne jednostki były tylko szarymi, milczącymi cieniami. Eskadra czekała. Na pokładzie startowym „Nimitza" drzemały samoloty. Każdy wolny skrawek powierzchni zajmowały myśliwce przechwytujące F-14 Tomcat. Dwa z nich, znajdujące się w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od Tolanda, zostały już umieszczone w katapultach; obok czuwały dwuosobowe załogi. Myśliwce były uzbrojone w rakiety dalekiego zasięgu Phoenix. Bombowcom atakującym zamiast broni podczepiono dodatkowe zbiorniki z paliwem,

którym w powietrzu miały uzupełniać baki myśliwców. Dzięki temu samoloty mogły pozostawać w powietrzu dwie godziny dłużej. Wokół maszyn roili się technicy

, / i mechanicy poubierani w różnobarwne koszule, lotniskowiec zaczął powoli wykonywać zwrot przez lewą burtę, wystawiając się na zachodni wiatr. Przygotowywał się do wystrzelenia samolotów. Toland popatrzył na zegarek. Piąta pięćdziesiąt osiem. Czas wracać do centrum informacji. Za dwie minuty lotniskowiec przyjmie pozycję bojową. Oficer wachtowy wywiadu głęboko zaczerpnął świeżego, morskiego powietrza. Zadawał sobie pytanie, czy nie jest to ostatni oddech.

Północny Atlantyk – Kontakt! – odezwał się przez interkom technik beara. – Sygnały wskazują na powietrzny, amerykański nadajnik radarowy. Typ instalowany na lotniskowcach.

–Podać współrzędne! – rozkazał niecierpliwie pilot.

–Cierpliwości, towarzyszu majorze – technik dokonał korekt na tablicy rozdzielczej. Jego radiowe interferometry odmierzały sygnały w miarę przechwytywania ich przez anteny rozmieszczone wzdłuż całego kadłuba samolotu. – Południowy wschód. Pozycja: jeden-trzy-jeden. Siła sygnału: jeden. Cel bardzo odległy. Pozycja niezmienna. Na razie proponuję stały kurs., Piloci w milczeniu wymienili spojrzenia. Gdzieś po lewej stronie znajdował się amerykański samolot radarowy E-2C Hawkeye, który mógł w każdej chwili sprowadzić tu setkę wrogich maszyn. Załoga złożona, z oficera nasłuchowego i dwóch operatorów radaru w kilka sekund po wykryciu ich obecności podałaby odpowiednie namiary uzbrojonym w rakiety myśliwcom przechwytującym. Radziecki pilot zastanawiał się więc, z jaką precyzją działa aparatura hawkeya. A jeśli już zlokalizował beara? Znał odpowiedź na to pytanie. Pierwsze ostrzeżenie mogło pojawić się dopiero wraz z impulsem sterującego ogniem radaru w pędzącym im na spotkanie amerykańskim myśliwcu F-14 Tomcat* Bear utrzymywał kurs jeden-osiem-zero, a nawigator śledził i nanosił na nakres zmiany położenia źródła sygnałów. Za dziesięć minut powinni mieć dokładny namiar. Jeśli do

tego czasu przeżyją… Nie mogli przerwać ciszy radiowej aż do chwili dokładnego ustalenia pozycji przeciwnika.

–Mam – odezwał się oficer. – Przybliżona odległość do celu: trzysta pięćdziesiąt mil, pozycja: czterdzieści siedem stopni, dziewięć minut szerokości północnej i trzydzieści cztery stopnie, pięćdziesiąt minut długości wschodniej.

–Przekażcie to dalej – polecił pilot. Kierunkowa antena wysokiej częstotliwości zamontowana w stateczniku pionowym ogona obróciła się i przesłała wiadomość do dowódcy eskadry, którego samolot znajdował się sto mil z tyłu.

Dowódca porównał tę informację z danymi satelity. Miał teraz dwa fragmenty informacji. Trzy godziny wcześniej Amerykanie znajdowali się o sześćdziesiąt mil dalej na południe od obecnej pozycji hawkeye'a. Przeciwnik dysponuje zapewne dwoma takimi samolotami, na

północno-wschodniej i północno-zachodniej flance formacji. Amerykanie zawsze tak postępowali. Zatem grupa lotniskowców powinna być… tutaj. Badgery pędziły wprost na nią. Amerykańskie radary wykryją ich obecność za… dwie godziny. W porządku – mruknął pod nosem. Wszystko szło zgodnie z planem.

USS „Nimitz" Toland w milczeniu obserwował nakres. Obraz radarowy z hawkeye'ów transmitowany był na lotniskowce za pośrednictwem radiowej linii cyfrowej. Pozwalało to dowódcy grupy śledzić na bieżąco przebieg wypadków. Te same dane otrzymywał szef grupy lotniczej na „Ticonderodze", a każdy z pozostałych okrętów włączony był w system morskich danych taktycznych. Podobnie jednostki francuskie, które od dawna już były przystosowane do ścisłej współpracy z marynarką amerykańską. Jak dotąd radary nie wykazywały obecności innych maszyn z wyjątkiem wojskowych i cywilnych samolotów transportowych przewożących^ przez ocean do Europy ludzi i sprzęt. Piloci DC-10 i C-5A, ostrzeżeni o możliwości bitwy powietrznej, trzymali

się z daleka, nadkładając tym samym drogi, mimo iż znaczyło to dodatkowe lądowanie celem uzupełnienia paliwa.

W powietrzu znajdowało się już czterdzieści osiem tomcatów przeczesujących teren w promieniu trzystu mil.

Każdej parze myśliwców towarzyszył samolot zaopatrzeniowy z paliwem. Myśliwce atakujące Corsair i Intruder miały powiększone baki i tomcaty już teraz, jeden po drugim, tankowały z nich benzynę. Po skończonej operacji corsairy natychmiast wracały na lotniskowce po nowy zapas paliwa. Dzięki tej taktyce myśliwce mogły cały czas przebywać w powietrzu. Pozostawione na pokładach maszyny były gotowe do startu. W razie nalotu zostałyby natychmiast wystrzelone z katapult i włączyłyby się do walki.

Procedura ta ciągle zdumiewała Tolanda, choć znał ją dobrze. Wszystko szło tutaj zgrabnie jak w balecie. Maszyny zajmowały w powietrzu wyznaczone pozycje i, lecąc z ekonomiczną prędkością, zataczały na niebie szerokie łuki.

Lotniskowce przyspieszyły i posuwały się na wschód z szybkością trzydziestu węzłów, nadrabiając stracony podczas operacji wystrzelenia samolotów dystans. Doganiały „Saipana", „Ponce" i „Newport", okręty desantowe wiozące na pokładach piechotę morską. Jednostki te osiągały prędkość zaledwie dwudziestu węzłów i były praktycznie bezbronne. Na wschód od grupy bojowej operowały dwa samoloty: pochodzący z lotniskowca S-3A viking oraz przybyły z bazy lądowej P-3C orion. Obie maszyny specjalizowały się w niszczeniu okrętów podwodnych i cały czas znajdowały się w bezpośrednim kontakcie z dowódcą operacji zwalczania podwodnej floty, którego kwatera mieściła się na niszczycielu „Caron". Wszędzie jednak panował pozorny spokój. Stara historia znana każdemu żołnierzowi. Należało cierpliwie czekać.

Północny Atlantyk Dowódca rajdu powietrznego szybko zebrał wszystkie dane. Znał teraz pozycje czterech amerykańskich hawkey-ów.

Współrzędne pierwszej pary wyliczono precyzyjnie dopiero,

kiedy poznano położenie drugiej – znajdowała się na południe od rozpoznanej wcześniej dwójki. Amerykanie nieświadomie zdradzili miejsce pobytu grupy bojowej, a nieustanny dryf hawkey-ów w kierunku wschodnim pozwolił dowódcy dokładnie ustalić kurs i prędkość okrętów.

Beary otaczały teraz Amerykanów szerokim półkolem; nadlatujące z północy badgery dzieliła jeszcze od celu odległość czterystu mil. Za pół godziny samoloty miały wejść w zasięg amerykańskich radarów.

–Do grupy A: wroga formacja na siatce 456/819; szybkość: dwadzieścia; kurs: jeden-zero-zero. Plan ataku A zrealizować o godzinie szóstej piętnaście czasu Greenwich.

To samo grupa B. Kontrolę taktyczną tej grupy przekazać Koordynatorowi Formacji Wschodniej.

Zaczęła się bitwa.

Załogi badgerów odetchnęły z ulgą. Sygnały amerykańskich radarów wykryto już przed kwadransem, toteż każda kolejna mila na południe zbliżała je do chmary nieprzyjacielskich myśliwców. Na pokładzie wszystkich maszyn nawigator i bombardier pracowali szybko i sprawnie. Programowali komputery sterujące podwieszonymi pod skrzydłami rakietami Kelt.

Osiemset mil na południowy zachód piloci backfire'ów otworzyli przepustnice i skorygowali kurs zgodnie z nowymi danymi, które napłynęły od dowódcy operacji. Kontrolę nad otaczającymi szerokim łukiem amerykańską formację backfire'ami przejął teraz oficer taktyczny przebywający na pokładzie pierwszego beara. Niebawem maszyny miały wejść w elektroniczny kontakt z hawkeye'ami. Jednak, by zlokalizować je i nawiązać kontakt z formacją NATO, piloci bombowców potrzebowali ściślejszych danych. Na pokładach backfire'ów panowało podniecenie. Nadchodziła decydująca chwila. Symulacja bitwy, której plan powstał już przed rokiem, przeprowadzona została na poligonach pięciokrotnie. Cztery razy wszystko przebiegło znakomicie.

Na pokładach osiemdziesięciu badgerów piloci zaczęli odliczać brakujące do szóstej piętnaście sekundy.

–Ognia!

Prowadzący badger wystrzelił rakiety osiem sekund wcześniej. W sekundowym odstępie dwa przypominające kształtem samolot kelty opuściły wsporniki, opadły kilkadziesiąt metrów, zanim zaczął pracować ich turboodrzutowy napęd.

Pędząc na autopilocie, kelty wróciły na wysokość dziesięciu tysięcy metrów i z szybkością sześciuset węzłów pomknęły na południe. Załogi bombowców obserwowały lot rakiet przez minutę czy dwie, po czym szerokim łukiem zawróciły w stronę domu. Ich zadanie było

skończone. Sześć badgerów z urządzeniami zagłuszającymi poleciało dalej na południe, trzymając się ponad trzydzieści mil za keltami. Załogi były zdenerwowane, lecz pewne siebie. Niełatwo przyjdzie amerykańskim radarom przedrzeć się przez potężne zakłócenia emitowane przez radzieckie samoloty. Myśliwce Paktu napotkają niebawem aż nadto celów, na których skupią uwagę.

Kelty leciały równym tempem i prostym kursem. Miały zainstalowaną aparaturę elektroniczną, uruchamianą automatycznie przez czujniki umieszczone w statecznikach ogonowych. Kiedy tylko wejdą w teoretyczny zasięg radarów hawkeye'ów, włączą się transpondery zainstalowane w nosach maszyn.

USS„Nimitz" – Kontakt radarowy. Nalot-1. Współrzędne: trzy-cztery-dziewięć. Odległość: czterysta sześćdziesiąt mil. Liczne cele. Sto czterdzieści obiektów. Kurs: jeden-siedem-pięć.

Szybkość: sześćset węzłów.

Do głównego komputera taktycznego wprowadzone zostały elektroniczne dane nadlatujących maszyn, a dwa pleksiglasowe ekrany odtworzyły to wizualnie.

–Już są – mruknął Baker. – Punktualnie. Jakieś uwagi? – Ja… – zaczął Toland, ale nie skończył, gdyż ekran komputera raptownie zbielał.

–Okręt-baza, tu Jastrząb Trzy. Mamy jakieś zakłócenia – odezwał się starszy kontroler. – Namierzyliśmy

sześć, może siedem źródeł zakłóceń. Pozycje: trzy-cztery-zero do zero-trzy-zero. Potężna emisja. Prawdopodobnie samoloty z radiostacjami zagłuszającymi. Straciliśmy kontakt z celami. Przypuszczalne spotkanie za dziesięć minut.

Prosimy o zezwolenie na użycie broni. Przetniemy im drogę.

Baker popatrzył na oficera operacji powietrznych.

–Zaczynamy.

Operacyjny skinął głową i podniósł mikrofon.

–Jastrząb Trzy, tu okręt-baza. Użyjcie broni, powtarzam, użyjcie broni. Rozwalcie kilka bombowców.

Svenson, marszcząc brwi, spoglądał na ekran.

–Admirale, oczyszczamy pokłady z samolotów. Proszę wydać polecenie, by okręty trzymały się blisko siebie.

Baker skinął głową.

–Do okrętów, tu okręt-baza, zwrot w lewo: dwa-siedem-zero. Wypuścić pozostałe samoloty. Wykonać natychmiast.

Jak na komendę okręty wykonały zwrot o sto osiemdziesiąt stopni przez lewe burty. Które nie uzbroiły jeszcze wyrzutni w rakiety, zrobiły to teraz. Kierujące ogniem radary skierowano na północ. Trzydziestu kapitanów czekało na hasło podjęcia akcji.

Północny Atlantyk Była wkurwiona. Pewnie – myślała. – Jestem na tyle dobra, by latać. Jestem na tyle dobra, by zostać instruktorem na eagle'ach. Doświadczony pilot oblatywacz: specjalista od broni antysatelitarnej, mogę nawet dostać zaproszenie do Huston. A czy pozwolili mi wziąć udział w lotach bojowych?

Nie! Wybuchła wojna, a ja pracuję jako cholerny pilot z obsługi mostu powietrznego!

–Szlag by to trafił!

Nazywała się Amy Nakamura i była majorem lotnictwa Stanów Zjednoczonych. Spędziła w powietrzu trzy tysiące godzin, z których dwie trzecie na F-15. Jak większość pilotów myśliwskich miała krępą, przysadzistą sylwetkę i tylko jej ojciec mógł twierdzić, że jest ładna. Nazywał ją

Bunny – Króliczek. Kiedy to się rozniosło, koledzy-piloci natychmiast przechrzcili ją na Buns – Słodkie Bułeczki.

Z trzema pilotami-mężczyznami miała dostarczyć do Niemiec trzy nowe fabrycznie myśliwce Eagle, na których latać będą inni. Mężczyźni! W samolotach zainstalowane zostały dodatkowe zbiorniki z paliwem, by maszyny mogły pokonać dystans jednym skokiem. Na pokładzie znajdowała się ponadto jedna rakieta Sidewinder oraz 20-milimetrowe działka. W czasie drugiej wojny światowej Rosjanie pozwalali kobietom latać na myśliwcach – myślała rozżalona Nakamura. – Niektóre zostały nawet asami!

–Hej, Buns! Już trzecia. Pora meldować – odezwał się lecący obok pilot.

Nakamura miała wyśmienity wzrok, ale nie mogła uwierzyć własnym oczom.

–Butch, czy widzisz to samo co ja? – zapytała.

–Badgery…?

–Pierdolone Tu-16 badger… ja-hu! Gdzie jest Flota?

–Gdzieś w okolicy. Połącz się z nimi, Buns.

–Flota, Flota, tu transport samolotów sił powietrznych Golf Cztery Dziewięć. Lecimy na wschód czterema foxtrotami-jeden-pięć. Mamy przed sobą formację radzieckich bombowców…

o kurwa, zrozumieliście?

–Kto to jest, do diabła? – zapytał pilot hawkeye*a.

–Golf Cztery Dziewięć – poinformował natychmiast technik łączności. – Zidentyfikuj się. Nowa-Forma-Whisky.

Mogła to być jakaś radiowa sztuczka Rosjan.

Major Nakamura zaklęła pod nosem i zaczęła wodzić palcem po wykazie kodów łączności. O, tutaj!

–Alfa-Sześć-Hotel.

–Golf Cztery Dziewięć, tu Jastrząb Jeden, podaj pozycję. Ostrzegamy przed formacją badgerów. Trzymajcie się od nich z daleka, zrozumiano?

–Jak jasna cholera. Widzę trzy badgery, lecą na północ.

Pozycja: czterdzieści dziewięć szerokości północnej i trzydzieści trzy długości wschodniej.

–Na północ? – zdumiał się oficer telekomunikaCZERWONY SZTORM • 317 cji. – Golf, tu Jastrząb Jeden. Potwierdź kontakt wzrokowy. Powtarzam, potwierdź kontakt wzrokowy.

–Jastrząb Jeden, tu Golf, widzę dwanaście badgerów, powtarzam dwanaście tu-jeden-sześć, bombowce, na południe ode mnie. Zbliżam się do nich. Podejmuję akcję bojową.

Koniec.

–Szefie, radar nic nie wykazuje – odezwał się operator. – Na północy nic nie ma.

–Więc o czym w ogóle gadają?

Major Amelia „Buns" Nakamura, nie patrząc na klawisze, uzbroiła rakietę i włączyła taktyczny wskaźnik refleksyjny.

Uruchomiła system rozpoznawania „swój-wróg". Ekran nie rozbłysł. To wystarczyło.

–Frank, na wschód. Butch, lecisz za mną. Sprawdzić poziom paliwa. Do ataku!

Zakończywszy najbardziej ryzykowną część zadania, piloci badgerów zanadto się rozluźnili. Cztery amerykańskie myśliwce zauważyli dopiero wtedy, gdy znajdowały się w odległości niecałej mili; ich niewinny błękit sprawiał, że były trudne do wyśledzenia na tle porannego, czystego nieba.

W pierwszym nalocie Buns ulokowała w kabinie badgera dwieście pocisków. Dwusilnikowy

bombowiec natychmiast przekoziołkował niczym martwy wieloryb. Pierwszy. Krzyknęła z radości i nadała maszynie pięciokrotne przyspieszenie. Zatoczyła pętlę i znurkowała w kierunku kolejnego celu. Zaalarmowani piloci radzieckiego samolotu również przeszli w lot nurkowy. Ale nie mieli szans.

Nakamura odpaliła sidewindera z odległości niecałej mili i obserwowała lot pocisku, który trafił w lewy silnik rosyjskiego bombowca. Maszyna natychmiast straciła skrzydło. Następny badger znajdował się w odległości trzech mil. Tylko nie nerwowo – napomniała się w duchu dziewczyna. – Masz wielką przewagę szybkości. W ferworze walki zapomniała, że rosyjskim bombowcom zainstalowano w tylnej kabinie karabiny maszynowe. Przypomniał jej o tym radziecki podoficer, który wprawdzie

spudłował, ale bardzo dziewczynę wystraszył. Z sześciokrotnym przyspieszeniem skręciła maszynę w lewo, po czym skierowała ją na kurs równoległy. Kolejna seria z działek pokładowych trafiła Rosjanina w środek kadłuba.

Nakamura wykonała gwałtowny skręt, by uniknąć kolizji ze szczątkami samolotu. Cała akcja trwała dziewięćdziesiąt sekund, ale dziewczyna była mokra od potu.

–Butch, gdzie jesteś?

–Mam jednego, Buns! Mam jednego! – obok niej pojawił się eagle.

Nakamura rozejrzała się. Niebo było czyste. Gdzie się wszyscy podziali?

–Jastrząb Jeden, tu Golf. Słyszysz mnie?

–Słyszę cię, Golf.

–W porządku. Strąciliśmy cztery sztuki, powtarzam, cztery badgery.

–Razem pięć, Buns – włączył się kolejny pilot.

–Coś tu nie gra, sir – operator radaru na Jastrzębiu Jeden spojrzał na ekran radiolokatora. – Mieliśmy ich; powiedzieli, że upolowali kilka sztuk w odległości trzystu, czterystu mil stąd.

–Okręt-baza, tu Jastrząb Jeden. Mieliśmy kontakt radiowy z pomostem powietrznym. Twierdzą, że zniszczyli pięć badgerów, kilkaset mil na północ od nas. Powtarzam, na północ.

Toland uniósł brwi.

–Niektórym musiało się nie udać – zauważył Baker. – Zabrakło im paliwa, prawda?

–Owszem, sir – odparł Operacyjny. Wyraźnie nie był zadowolony ze swojej odpowiedzi.

–Znów mamy cele – oznajmił operator radaru.

Kelty, nie zważając na całe zamieszanie, parły do przodu.

Radarowe transpondery sprawiały, iż do złudzenia przypominały trzydziestosześciometrowe bombowce Badger. Zainstalowane w nich urządzenia zagłuszające podjęły pracę i obraz rakiet na amerykańskich ekranach rozmył się. Teraz

systemy autopilotów zaczęły manewrować pociskami, wprowadzając je w ostre, stumetrowe skręty tak, jak czyniłby to pilot prawdziwego samolotu unikający wystrzelonej w niego rakiety. Przed sześciu laty, kiedy wycofano kelty ze służby, były prawdziwymi pociskami. Obecnie jednak ich głowice zastąpiono dodatkowymi bakami z paliwem i rakiety pełniły rolę celów pozorujących.

–Ja-hu!

Eskadra złożona z dwunastu tomcatów oddalona była o sto pięćdziesiąt mil. Obraz keltów na ekranach radarów wyostrzył się i drudzy oficerowie, zajmujący tylne fotele w kabinach myśliwców, szybko wyliczyli kursy obiektów.

Pociski znalazły się już w zasięgu rażenia amerykańskich rakiet. Piloci byli przekonani, że mają do czynienia z prawdziwymi bombowcami.

Tomcaty wystrzeliły w stronę znajdujących się sto czterdzieści mil od nich keltów rakiety AIM-54C Phoenix, warte milion dolarów każda. Pociski parły ku celom z prędkością pięciu machów. Prowadziły je zainstalowane w myśliwcach radary. Po niecałej minucie czterdzieści osiem rakiet zniszczyło trzydzieści dziewięć celów. Pierwsza eskadra tomcatów zawróciła, a jej miejsce zajęła następna.

USS„Nimitz" – Admirale, coś tu nie gra – powiedział cicho Toland.

–A co ma nie grać? – Baker nie widział nic podejrzanego. Wrogie bombowce znikały z ekranów wedle wszelkich reguł sztuki wojennej.

–Rosjanie atakują jak głupcy, sir.

–I co z tego?

–To, że Rosjanie głupcami nie są! Admirale, dlaczego backfire'y nie nadlatują z szybkością ponaddźwiękową? Dlaczego tylko jedna grupa? Dlaczego tylko z jednego kierunku?

–Kwestia paliwa – odparł Baker. – Badgery limitowane są pojemnością baków i muszą lecieć najkrótszą drogą.

–Kurs mają prawidłowy. Wszystko pasuje – Baker

potrząsnął głową i skoncentrował uwagę na nakreślę taktycznym.

Druga eskadra myśliwców wystrzeliła rakiety. Ponieważ wrogie obiekty nadlatywały pod pewnym kątem, amerykańskie pociski traciły nieco na celności. Czterdziestoma ośmioma rakietami trafiły trzydzieści cztery kelty. Ale na nakresach było sto pięćdziesiąt siedem obcych samolotów…

Trzecia i czwarta eskadra tomcatów ruszyły jednocześnie.

Zestrzeliły dziewięćdziesiąt obcych maszyn. Potem, używając działek pokładowych, obie weszły w bezpośredni kontakt z nieprzyjacielem.

–Do okrętu-bazy, tu dowódca SAM-ów. Przedarło się kilka wrogich maszyn. Proponujemy włączyć radary kierunkujące pociski woda-powietrze.

–Zezwalam – odparł koordynator bojowy grupy taktycznej.

Północny Atlantyk – Radar przechwytujący na pozycji: zero-trzy-siedem – odezwał się operator wykrywacza radarów zainstalowanego na bear^e.'- Wiedzą już o nas. Proponuję włączyć nasz.

W samolocie podjął pracę potężny radar Big Bulge.

USS„Nimitz" – Kolejny kontakt radarowy. Cel: Nalot-2.

–Co takiego? – parsknął Baker. W tej samej chwili odezwały się myśliwce.

–Okręt-baza, tu dowódca myśliwców osłonowych.

Mam kontakt wzrokowy z celem – dowódca eskadry próbował rozpoznać obiekty na monitorze dalekiego zasięgu. Kiedy odezwał się, w głosie miał strach. – Uwaga, uwaga, to nie badgery. Strzelaliśmy w rakiety Kelt\ Odezwało się centrum informacji bojowej:

–Nalot-2. Złożony z siedemdziesięciu trzech jednostek.

Pozycja: dwa-jeden-siedem. Odległość: sto trzydzieści mil.

Nasz Big Bulge cały czas śledzi formację.

Toland aż skulił się, widząc nowy nakres.

–Admirale, miałem rację.

Oficer taktyczny, kiedy podnosił do ust mikrofon, był blady jak ściana.

–Alarm bojowy pierwszego stopnia. Użyć broni!

Zagrożenie z kierunku dwa-jeden-siedem. Przygotować artylerię pokładową.

Wszystkie tomcaty znajdowały się w powietrzu i okręty były praktycznie bezbronne. Jedyną broń formacji stanowiło osiem crusaderów z „Focha"; typ dawno już wycofany ze służby w amerykańskim lotnictwie. Na zwięzły rozkaz z lotniskowca natychmiast wzbiły się w powietrze i ruszyły na południowy zachód na spotkanie backfire'ów. Za późno.

Bear precyzyjnie już namierzył amerykańską eskadrę.

Rosjanie nie potrafili określić jeszcze dokładnie typu okrętów, ale byli w stanie odróżnić większe jednostki od mniejszych oraz rozpoznać charakterystyczną emisję radarową rakietowego krążownika „Ticonderoga". W pobliżu tej jednostki musiały znajdować się lotniskowce. Załoga samolotu natychmiast przesłała wiadomość do radzieckiej flotylli powietrznej. W minutę później siedemdziesiąt bombowców Backfire wystrzeliło sto czterdzieści rakiet AS-6 Kingfish, po czym natychmiast zawróciło na północ. Kingfishe w niczym nie przypominały keltów. Rakietowe silniki na paliwo ciekłe mogły nadać im szybkość dziewięciuset węzłów, a kierunkujące radary prowadziły pociski na zaprogramowany wcześniej cel odległy o dziesięć mil. Na każdy ze statków i okrętów nadlatywało kilkanaście rakiet. \ – Wampir, wampir! – odezwał się oficer operacyjny w centrali informacji bojowej na pokładzie „Ticonderogi". – Nadlatuje kilkanaście pocisków. Ognia!

Oficer kierujący obroną powietrzną przełączył system defensywny Aegis na automatyczne sterowanie. W tym właśnie celu zbudowano „Ticonderogę". Jego potężne radarowo-komputerowe urządzenia zidentyfikowały natychmiast nadlatujące pociski jako nieprzyjacielskie i obliczyły siłę ognia niezbędną do ich zniszczenia. Komputer 21 – Czerwony sztorm

samodzielnie określał zagrożenie i działał wedle własnej, elektronicznej woli. Przez główny ekran taktyczny przemknęły cyfry, symbole i wektory. Do podwójnych wyrzutni rakietowych umieszczonych na rufie i dziobie popłynęły komendy. Aegis był najwyższym wytworem sztuki wojennej, najlepszym z wymyślonych systemów sterujących pociskami ziemia-powietrze. Istniał tylko jeden szkopuł: „Ticonderoga" dysponowała dziewięćdziesięcioma sześcioma rakietami SM-2, klasy ziemia-powietrze, a przeciwko sobie miała sto czterdzieści nadlatujących kingfishów. Na taką okoliczność komputer nie był zaprogramowany.

Przebywający na pokładzie „Nimitza" Toland czuł, jak lotniskowiec wykonuje raptowny zwrot, a maszyny zwiększają szybkość okrętu bojowego do trzydziestu pięciu węzłów. Wyrzutnie „Virginii" i „Californii", jednostek o napędzie atomowym stanowiących jego eskortę, namierzały nadlatujące rakiety.

Pędzące na wysokości dwóch tysięcy siedmiuset metrów Kingfishe znajdowały się w odległości stu mil, z których każdą przebywały w cztery sekundy. Wszystkie pociski miały już namierzony cel. „Nimitz" i jego rakietowa eskorta były najbliższymi wielkimi okrętami.

Kiedy kingfishe znalazły się w odległości dziewięćdziesięciu dziewięciu mil, krążownik wystrzelił pierwsze cztery pociski.

Pomknęły do celu, zostawiając za sobą siwą smugę. Opróżnione podstawy wyrzutni uniosły się do pionu i w leża weszły kolejne rakiety. Ponowne załadowanie i odpalenie trwało osiem sekund. Samosterujące rakiety dalekiego zasięgu mogły opuszczać wyrzutnie co dwie sekundy. Po trzech minutach wszystkie znalazły się już w powietrzu.

Nad krążownikiem unosiła się chmura siwego dymu. Teraz już jedyną broń okrętu stanowiła artyleria pokładowa.

SAM-y, kierowane promieniem radarów macierzystego okrętu, mknęły ku celom z szybkością przekraczającą dwa tysiące mil na godzinę. W odległości stu pięćdziesięciu metrów od celów głowice eksplodowały. System Aegis spełnił swoje zadanie. Ponad sześćdziesiąt procent obcych

rakiet zostało unieszkodliwionych. Lecz w kierunku ośmiu jednostek nawodnych szybowały jeszcze osiemdziesiąt dwie.

Do walki włączyły się kolejne okręty z wyposażeniem rakietowym. Czasem dwa lub trzy pociski niszczyły jeden wrogi obiekt. Liczba nadlatujących „wampirów" zmalała do siedemdziesięciu, potem do sześćdziesięciu, ale wciąż było ich za dużo. Każda pojawiająca się rakieta miała określony cel. Teraz na okrętach uaktywniono potężne systemy zagłuszania, a statki zaczęły wykonywać skomplikowane manewry, niczym stylizowany taniec, nie zwracając uwagi na szyk. Ewentualna kolizja stanowiła najmniejszy problem. Gdy kingfishe znajdowały się w odległości dwudziestu mil, każda jednostka zaczęła wysyłać bombki rozsiewające aluminiowe paski Mylera, które zalśniły w słońcu, tworząc dla nadlatujących rakiet tuziny nowych celów.

Niektóre kingfishe, zmylone aluminium, rozpoczęły pościg za „duchami Mylera". Dwa z nich zboczyły z kursu i skierowały się na nowy obiekt, daleko od flotylli.

Obraz radarowy na „Nimitzu" zmatowiał. Prezentujące pozycje poszczególnych jednostek impulsy na ekranach lamp oscyloskopowych przemieniły się w bezkształtne obłoki. Spowodowane to było obecnym w powietrzu metalem. Pozostały tylko linie pocisków uformowane w kształt litery V opatrzone danymi dotyczącymi kierunku i szybkości nadlatujących obiektów. Ostatnia fala SAM-ów zestrzeliła jeszcze trzy. Liczba „wampirów" spadła do czterdziestu jeden. Toland ujrzał pięć kierujących się na „Nimitza" rakiet.

Ostatnią bronią była artyleria przeciwlotnicza zainstalowana nad głównym pokładem. Stanowiły ją 20-milimetrowe sterowane radarem działa Gatlinga CIWS, przeznaczone do niszczenia rakiet w odległości mniejszej niż dwa tysiące metrów. Całkowicie zautomatyzowane armaty wysunęły do góry swe lufy, nakierowały je na tor lotu dwóch pierwszych kingfishów. Poszła salwa z baterii ulokowanej po lewej stronie burty. Rozległ się ogłuszający terkot przypominający dźwięk monstrualnej maszyny do szycia. Urządzenia radarowe namierzyły rakiety i skierowały ogień na oba cele.

Pierwszy kingfish eksplodował osiemset metrów przed lewą burtą „Nimitza". Eksplozja

tysiąca kilogramów ładunku wybuchowego wstrząsnęła okrętem i Toland w pierwszej chwili myślał, że lotniskowiec został trafiony. Wokół Boba zwijali się niczym w ukropie dyżurni z centrum informacji bojowej. Z ekranu zniknął jeden obiekt. Pozostały jeszcze cztery.

Kolejny kingfish pojawił się od strony dziobu. Trafiony pociskiem CIWS eksplodował jednak zbyt blisko okrętu.

Na pokład spadł deszcz odłamków, zabijając dwanaście osób.

Trzecią rakietę zmyliły paski aluminium. Pocisk runął do morza pół mili od lotniskowca, wzbijając wysoką na trzysta metrów fontannę wody. Okręt ponownie zadrżał.

Czwarty i piąty kingfish pojawiły się od strony rufy, lecąc w odległości niecałych stu metrów od siebie. Lufy dział natychmiast tam się skierowały, ale komputer nie mógł podjąć decyzji, w który uderzyć i ponownie zaczął przestrajać namiary. Ostatecznie w ogóle nie zareagował. Rakiety trafiły w sekundowym odstępie; jedna w pokład startowy, druga w urządzenie numer dwa, służące do przechwytywania lądujących na lotniskowcu samolotów.

Wstrząs rzucił Tolanda na odległą o pięć metrów konsolę radaru. Bob ujrzał różową ścianę ognia, a po sekundzie dotarł do niego grzmot eksplozji. Potem krzyki. Centrum informacji bojowej zamieniło się w morze ognia. W odległości siedmiu metrów od siebie Toland widział płonących jak pochodnie ludzi. Krzyczeli i miotali się, jakby popadli w szaleństwo. Myślał tylko o ucieczce. Runął w stronę wodoszczelnych drzwi. Jak pod wpływem magicznego zaklęcia otworzyły się, gdy przylgnął do nich rękami.

Znalazł się na pokładzie z prawej burty. Zainstalowane na okręcie urządzenia przeciwpożarowe pracowały już na najwyższych obrotach, zalewając wszystko strumieniami morskiej wody. Wybiegł na pomost lądowiska. Paliła go twarz. Miał osmalone włosy i żarzył się na nim mundur.

Kierujący pompami wodnymi marynarz skierował na oficera sikawkę. Strumień wody prawie zwalił komandora z nóg.

–Centrum bojowe płonie! – wysapał Toland.

–Wszędzie panuje piekło! – odkrzyknął marynarz.

Toland opadł na kolana i spojrzał za burtę. Pamiętał, że „Foch" powinien znajdować się na północ od „Nimitza".

Zobaczył tam słup dymu. Na jego oczach trzydzieści metrów nad pokładem startowym „Saratogi" eksplodował ostatni kingfish. Sam lotniskowiec wydawał się być nie uszkodzony.

Trzy mile dalej nad nadbudówką „Ticonderogi" wybuchła rakieta. Na horyzoncie inna kula ognia znaczyła pozycję jakiegoś okrętu. Boże Święty – pomyślał Toland. – To chyba „Saipan".

Wiózł dwa tysiące marines…

–Zjeżdżaj mi z drogi, dupku! – wrzasnął jakiś strażak.

Na pokładzie pojawiło się kilka osób.

–Toland, nic się panu nie stało? – krzyknął kapitan Svenson. Miał podartą koszulę. Z kilku ran na piersi ciekła mu krew.

–Wszystko w porządku, sir.

–Proszę więc pójść na mostek. Niech ustawią okręt prawą burtą do fali! Szybko! – Svenson ruszył pokładem startowym.

Toland pobiegł. Wszystko tonęło w pianie z gaśnic i było bardzo ślisko. W pewnej chwili Bob upadł, przy czym dotkliwie się potłukł. Za moment znalazł się już w sterowni.

–Kapitan polecił ustawić okręt prawą burtą do fali! – zawołał.

–Już dawno ustawiony – odkrzyknął pierwszy oficer.

Cały mostek pokryty był szkłem. – Co z kapitanem? – Żyje. Walczy z ogniem na rufie.

–A kim, do diabła, pan jest? – zapytał Pierwszy.

–Toland, z wywiadu. Byłem w centrum bojowym.

–Miał pan cholerne szczęście. Drugi pocisk trafił pięćdziesiąt metrów od pana. Kapitan ocalał. Ktoś jeszcze?

–Nie wiem. Tam pali się jak w piekle.

–Pana też osmaliło, komandorze.

Bob czuł pieczenie twarzy; jakby ogolił się kawałkiem szkła. Kiedy dotknął brwi, w palcach zostały mu zwęglone włosy.

–Trochę osmaliło. Ale nic mi nie jest. Co mam robić?

Pierwszy oficer spojrzał na „wodne skrzydełka" Tolanda.

–Umie pan kierować okrętem? W porządku, proszę przejąć ster. Ja zajmę się ogniem. Łączność wysiadła.

Radary też. Ale maszynownia jest sprawna. Kadłub nie naruszony. Pan Bice trzyma wachtę. Pan Toland trzyma ster – oznajmił pierwszy oficer i opuścił mostek.

Toland, który nigdy nie prowadził niczego poza swoim jachtem, teraz musiał sterować uszkodzonym lotniskowcem.

Podniósł do oczu lornetkę i rozejrzał się po okolicy.

Widok, który ujrzał, przejął go dreszczem.

Tylko „Saratoga" wyglądała na nietkniętą. Kiedy jednak Toland dokładniej przyjrzał się jednostce, zauważył, że maszt radarowy jest mocno przekrzywiony. „Foch" był bardzo mocno zanurzony i palił się od dziobu do rufy.

–A gdzie „Saipan"?

–Spłonął jak zimny ogień – odparł komandor Bice. – Boże drogi, miał na pokładzie dwa i pół tysiąca żołnierzy! „Tico" trafiła jedna rakieta, „Foch" dostał trzy i wygląda na to, że zatonie. Dwie fregaty i niszczyciel zatopione… kurwa, człowieku, zatopione! Kto spieprzył sprawę? Był pan w centrum bojowym, prawda? Kto spieprzył sprawę?

Osiem francuskich crusaderów weszło w kontakt bojowy z backfire-ami. Rosyjskie bombowce leciały na dopalaczach i szybkością dorównywały myśliwcom. Piloci na wieść o uszkodzeniu lotniskowca wpadli w nie licującą z godnością lotników furię. Natychmiast przystąpili do ataku. Mieli przed sobą dziesięć backfireów. Strącili sześć, a dwa uszkodzili.

USS „Caron", jedyny nie uszkodzony okręt, śledził rosyjskie bombowce na swoich radarach i słał do Anglików rozpaczliwe wezwania o pomoc. Ale Rosjanie przewidzieli to i ominęli Wyspy Brytyjskie szerokim łukiem po stronie zachodniej. Czterysta mil na zachód od Norwegii spotkali się ze swymi tankowcami powietrznymi.

Dowództwo radzieckie natychmiast przystąpiło do oceny akcji. Pierwsza większa bitwa między nowoczesnymi lotnisCZERWONY SZTORM • 327 kowcami a uzbrojonymi w rakiety bombowcami była zarówno wygrana, jak i przegrana. Obie strony wiedziały, kto co wygrał, kto co przegrał.

Po godzinie opanowano pożar na „Nimitzu". Na pokładzie nie było samolotów i materiałów łatwopalnych, a obrona przeciwpożarowa liczyła sobie mniej więcej tyle samo osób co w dużym mieście. Toland skierował okręt na wschód. „Saratoga" przyjmowała właśnie samoloty, które uzupełniały tam paliwo i odlatywały na ląd. Zostały tylko myśliwce. Trzy fregaty i niszczyciel wyciągały z morza rozbitków. Potem miały odpłynąć do Europy.

–Cała naprzód – zawołał ze swego miejsca na mostku Svenson. – Toland, jak z panem?

–W porządku.

Szpital zatłoczony był rannymi. Nie policzono jeszcze zabitych i Toland wolał o tym nie myśleć.

–Miał pan rację – odezwał się kapitan. W jego głosie słychać było gniew oraz poczucie winy. – Miał pan rację.

Za łatwo im szło; wpadliśmy w pułapkę.

–Jeszcze nadejdzie nasz dzień, kapitanie!

–Do diabła, ma pan rację! Płyniemy do Southampton.

Zobaczymy, czy Angole mogą przyjąć coś tak dużego jak nasz okręt. Moi ludzie wciąż jeszcze zajęci są na rufie. Może pan jeszcze chwilę zostać przy sterze?

–Owszem, sir. „Nimitz" i eskortujące go okręty atomowe osiągnęły maksymalną prędkość czterdziestu węzłów. Niebawem zostawiły flotyllę za sobą. Było to posunięcie ryzykowne.

Płynęli zbyt szybko, by samoloty zwalczające łodzie podwodne mogły ich w pełni chronić. Ale i okręty podwodne, jeśli zamierzały zaatakować, musiałyby poruszać się bardzo prędko i bardzo głośno.

NORDYCKI MŁOT

Wzgórze 152, Islandia – To był myśliwiec i jestem pewien, że musiało ich tam być więcej – odezwał się Edwards. Znowu padało, ale generalnie zła pogoda już się kończyła. Na południowym zachodzie chmury się rozstępowały i gdzieniegdzie widać było czyste, niebieskie niebo. Edwards, założywszy hełm, siedział, otulając się peleryną i spoglądał przed siebie.

–Ma pan zapewne rację, sir – odrzekł Smith.

Był podenerwowany. Na wzgórzu tkwili już prawie dwadzieścia cztery godziny; o wiele za długo jak na przebywanie w jednym miejscu na wrogim terytorium.

Powinni byli ruszyć wtedy, gdy padał deszcz i widoczność ograniczała się do kilkuset metrów. Niebawem się przejaśni, a do zapadnięcia zmierzchu pozostało jeszcze sporo czasu.

Siedzieli więc na wzgórzu okryci maskującymi pelerynami, które zapewniały trochę ciepła.

Padający na północy rzęsisty deszcz nie pozwalał im dostrzec Reykjaviku. Z trudem nawet widzieli leżący na zachodzie Hafnarfjórdur, co szczególnie martwiło sierżanta, który był bardzo ciekaw, co porabia Iwan. A jeśli już wykrył satelitarne radio Edwardsa i zaczął je namierzać?

Może nawet wysłał patrol.

–Poruczniku?

–Tak, sierżancie?

–Znajdujemy się między linią telefoniczną a trakcją wysokiego napięcia…

–Chciałby pan ją zniszczyć? – uśmiechnął się Edwards.

–Nie, sir, ale Iwan niebawem przyjdzie ją sobie obejrzeć, a to wzgórze nie jest najlepszym miejscem, żeby się z nim spotkać.

–Mamy obserwować i składać raporty, sierżancie – przypomniał mu Edwards.

–Tak jest, sir.

Porucznik spojrzał na zegarek. Była dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć czasu Greenwich. Być może Brytan zechce się z nimi skontaktować. Rozłożył radio, zamontował antenę w uchwycie pistoletu i nałożył słuchawki. O dziewiętnastej pięćdziesiąt dziewięć nastroił radio na falę satelity.

–Brytan, tu Ogar. Brytan, tu Ogar. Słyszysz mnie?

–Doskonale. Co się dzieje?

Edwards przełączył radio na nadawanie.

–Brytan, jesteśmy na fali.

–Coś nowego?

–Nic, tyle tylko, że strasznie tu pada. Widoczność prawie żadna. Nic nie widzimy.

Dyżurny oficer łączności popatrzył na mapę pogody.

Rzeczywiście, na Islandii lało. Nie potrafił przekonać swego szefa, że Ogarowi można wierzyć. Edwards odpowiedział na wszystkie pytania dostarczone przez chłopców z wywiadu.

Taśmy z nagranymi odpowiedziami zbadano nawet za pomocą głosowego analizatora stresu. Po ostatnim pytaniu, dotyczącym narzeczonej Edwardsa, aż zablokowała się igła aparatu. To nie mogło być udawane. Mieli też kopie kartoteki porucznika; od piątej klasy szkoły podstawowej.

Dobry z matematyki i innych nauk ścisłych, wyśmienity na podyplomowych studiach meteorologicznych. Po skończeniu szkoły w Colorado Springs pogorszył mu się nieco wzrok, co było powodem odsunięcia go od lotów. Zdaniem kolegów był nieśmiały, spokojny, ale ogólnie bardzo go lubiano.

Testy psychologiczne wykazywały, że nie miał instynktów agresywnych. Ale jak długo można być dzieckiem?

Keflavik, Islandia Startował mig-29. Pozostałe maszyny Rosjanie, ukryli w świeżo wykonanych przez Amerykanów wzmocnionych schronach na końcu pasa startowego numer jedenaście.

Myśliwiec miał odbyć rutynowy lot patrolowy. Służył

przede wszystkim temu, by radary naziemne mogły go obserwować i stosownie dostroić aparaturę. Topografia Islandii nastręczała obsłudze tych urządzeń wiele kłopotów.

Ponadto one same, podobnie jak pociski ziemia-powietrze, zostały podczas podróży morskiej „Fućikiem" mocno uszkodzone. Kilka okrążeń myśliwca nad lotniskiem powinno umożliwić technikom ustalenie, które instrumenty funkcjonują prawidłowo, a które wymagają naprawy.

Myśliwce zostały zatankowane i uzbrojone; ich załogi odpoczywały w pobliskich kwaterach. Obecnie napełniano paliwem bombowiec Badger, który miał zapewnić migom wsparcie nawigacyjne i elektroniczne. Niebawem przybędzie dziewięć kolejnych maszyn tego typu. Prace nad uprzątnięciem lotniska dobiegały końca. Wszystkie pasy startowe, z wyjątkiem jednego, były już gotowe. Szczątki amerykańskich maszyn zepchnięto z betonu buldożerami.

Inżynierowie twierdzili, że rurociąg będzie sprawny za godzinę.

–Pracowity dzień – mruknął major do dowódcy myśliwców.

–Do końca dnia jeszcze daleko. Czułbym się dużo spokojniejszy, gdybym miał tu już resztę mojej jednostki – odparł cicho pułkownik. – Amerykanie mogą uderzyć w każdej chwili.

–A w jaki sposób, waszym zdaniem, zaatakują?

–Trudno powiedzieć – wzruszył ramionami pułkownik. – Jeśli naprawdę będzie im zależało na tych terenach, użyją broni jądrowej.

–Zawsze jesteście takim optymistą, towarzyszu pułkowniku?

Atak miał nastąpić za godzinę. Dziesięć godzin wcześniej bowiem wystartowało z Louisiany osiemnaście bombowców B-52H, które w bazie lotniczej Sonderstrom na zachodnim wybrzeżu Grenlandii uzupełniły paliwo. Przed nimi, w odległości pięćdziesięciu mil, unosił się raven EF-111 z radiostacją "zagłuszającą oraz cztery phantomy F-4, Do pamięci komputera obsługującego radar wprowadzono już większość danych o stanowiących punkt odniesienia

elementach krajobrazu, ale to było najprostsze. Myśliwiec zataczał po zachodniej stronie nieba szerokie koła z północy na południe. Na zachód od bazy rozciągały się prawie płaskie, urozmaicone tylko niewielkimi, skalistymi pagórkami tereny. O wiele trudniejsze było pokrycie siecią nasłuchu radarowego wschodniej, górzystej części Islandii, gdzie znajdował się najwyższy wierzchołek wyspy. Do tego zadania wyznaczony został kolejny Fulcrum. Pilot zastanawiał się, ile czasu zajmą pomiary kartograficzne wszystkich stref zerowych, terenów,

które ze względu na głębokie doliny wymykały się kontroli radarowej i na których kryć się mogły nadlatujące nad Keflavik samoloty wroga.

Oficerowie radiolokacji nanosili właśnie na mapy topograficzne niekorzystne miejsca, kiedy zaalarmował ich krzyk przerażonego operatora. Czyste ekrany radarów pokryła nagle „trawa" zakłóceń z potężnych radiostacji zagłuszających. Mogło to znaczyć tylko jedno.

W stojących na końcu pasa jedenastego hangarach rozległ się dźwięk syren alarmowych. Piloci, którzy spali lub grali w domino, zerwali się na równe nogi i pobiegli do maszyn.

W wieży kontrolnej oficer dyżurny sięgnął po słuchawkę polowego telefonu. Najpierw połączył się z pilotami w myśliwcach, a następnie z dowódcą baterii rakiet.

–Uwaga, alarm przeciwlotniczy!

W bazie zawrzało. Obsługa naziemna uruchamiała wmontowane w samoloty samorozruszniki, podczas gdy piloci wsiadali dopiero do maszyn. Bateria SAM-ów włączała systemy sterujące ogniem; w ruchomych wyrzutniach pojawiły się gotowe do odpalenia rakiety.

Osiemnaście bombowców B-52, lecąc poniżej horyzontu radiolokacyjnego, włączyło urządzenia zakłócające działanie systemów teleelektrycznych przeciwnika. Samoloty nadlatywały w sześciu grupach, po trzy maszyny w każdej.

Pierwszy zespół przemknął nad wierzchołkiem Snaefellsa, sto kilometrów na północ od Keflaviku, reszta nadlatywała od zachodu, wysyłając w stronę celu nawałę hałasu elektronicznego wytwarzanego przez radiostacje zagłuszające wspomagane jeszcze aparaturą samolotu EF-111 Raven.

Pilot radzieckiego myśliwca wzbił już wysoko maszynę, wyłączył radar i wzrokiem badał niebo, czekając na informacje, które miały napłynąć z ziemi. Jego koledzy wjeżdżali na pasy i natychmiast startowali. Pilot miga, który właśnie wylądował, klął pod nosem, ponaglając obsługę naziemną pospiesznie napełniającą paliwem baki. Jakiś technik rozlał na skrzydło dziesięć galonów paliwa. Cud, że benzyna nie eksplodowała. Natychmiast zresztą pojawił się tuzin ludzi z gaśnicami wypełnionymi dwutlenkiem węgla.

Wzgórze 152, Islandia Edwards, słysząc charakterystyczny ryk silników myśliwców, uniósł gwałtownie głowę. Po wschodniej stronie ujrzał ciemną smugę dymu i w chwilę później w odległości zaledwie niecałych dwóch kilometrów przemknęły po niebie ciemne sylwetki. Końce skrzydeł znakomicie uzbrojonych samolotów ułatwiały rozpoznanie maszyn.

–F-4 – krzyknął porucznik. – To nasi!

Były to odrzutowe phantomy z nowojorskiej Narodowej Straży Powietrznej, zwane Dzikimi Zabójcami SAM-ów.

Rosjanie skupili swą uwagę na nadlatujących bombowcach, a myśliwce pędziły tuż nad wierzchołkami wzgórz i dnami dolin, wykorzystując teren do maskowania swojej obecności.

Drudzy piloci, siedzący w tylnych fotelach, szukali stanowisk radarów wroga. Wybierali te najbardziej niebezpieczne.

Kiedy myśliwce znalazły się piętnaście kilometrów od Keflaviku, nabrały raptownie wysokości i oddały salwę antyradarowymi rakietami Standard-ARM.

Kompletnie zaskoczyły Rosjan, którzy, koncentrując uwagę na amerykańskich bombowcach, nie spodziewali się, iż nalot będzie dwufalowy. Nie wykryli w porę nadlatujących rakiet. Trzy pociski do zwalczania radarów trafiły w cele, niszcząc dwa stanowiska radiolokacyjne oraz jedną ruchomą wyrzutnię SAM-ów. Dowódca innej wyrzutni obrócił pojazd, przeszedł na ręczne sterowanie urządzeniem i skierował je na nadlatujące maszyny wroga. Phantomy zagłuszyły jego radar chmurą aluminiowych pasków, po

czym ponownie zeszły do wysokości dziesięciu metrów.

Każdy z pilotów, przelatując nad wyznaczonym terenem, prowadził pospieszną obserwację. Jeden z nich ujrzał nie uszkodzoną wyrzutnię SAM-ów. Natychmiast przemknął nad nią, by spuścić pojemniki z rockeye'ami. Spadły szybko, rozsiewając szerokim łukiem sto bombek. Wyrzutnia rakiet S A-11 przestała istnieć, a jej załoga nie zorientowała się nawet, co ją zabiło. Tysiąc metrów dalej stał pojazd z działem przeciwlotniczym. Phantom ostrzelał go z armatek pokładowych i uszkodził. Przemknął nad półwyspem, a następnie odleciał na otwarte morze. Zostawiał za sobą chmury aluminiowych pasków i eksplodujące flary. „Zabójcy" wykonali nalot po mistrzowsku. Zanim radzieckie załogi wyrzutni zdołały zareagować, cztery maszyny zniknęły już nad morzem. Dwa wystrzelone SAM-y eksplodowały w aluminiowej chmurze. Bateria straciła dwie trzecie pojazdów z zainstalowanymi wyrzutniami i wszystkie radary. Trzy ruchome wyrzutnie zostały bądź zniszczone, bądź ciężko uszkodzone. A trzydzieści kilometrów dalej znajdowała się nadlatująca formacja bombowców. Jej radiostacje zagłuszające zalewały powietrze elektronicznym hałasem.

Nie potrafiły naturalnie wyeliminować dział sterowanych radarami. Rosjanie używali nowego systemu radiolokacji, a Amerykanie nie posiadali odpowiedniego sprzętu. Nie miało to jednak większego znaczenia. Rosyjskie działa przeznaczone były do zwalczania stosunkowo małych myśliwców i olbrzymie bombowce nie mieściły się na ekranach ich radarów. Komputery nie umiały zdecydować, w którą część samolotu trafić, i cały czas wprowadzały nowe dane, uniemożliwiając tym samym elektroniczne załadowanie i odpalenie pocisków. Załogi dział klęły i przechodziły na celowanie ręczne.

Bombowce, by uniknąć najgorszego ognia artyleryjskiego i bezpiecznie wrócić do domu, wzniosły się na wysokość trzystu metrów. Ale nikt nie poinformował ich pilotów o obecności myśliwców. Mieli przecież zniszczyć bazę w Keflaviku, zanim Rosjanie dostarczą tam ten rodzaj samolotów.

Teraz z kolei radzieckie maszyny kompletnie zaskoczyły Amerykanów. Fulcrumy spadły od strony słońca lotem nurkowym. Ich kierujące ogniem radary okazały się praktycznie bezużyteczne, ale połowa wystrzelonych pocisków naprowadzana była na podczerwień, a amerykańskie bombowce wydzielały z siebie tyle ciepła, że zwróciłyby uwagę nawet ubranego w gruby kożuch ślepca.

Trzy nadlatujące z południa maszyny w ogóle nie dostrzegły Rosjan. Dwa bombowce zostały trafione i eksplodowały. Trzeci rozpaczliwie wezwał pomocy, po czym gwałtownie znurkował – zbyt gwałtownie… Był blisko ziemi i nie zdołał już wyprostować lotu. Pięćdziesiąt kilometrów na północ od Keflaviku Edwards ujrzał bijącą w niebo kulę ognia.

Rosyjscy piloci okazali się mistrzami w swoim zawodzie.

Zanim na bazę w Keflaviku zdążyły spaść bomby, każdy z ośmiu myśliwców wybrał sobie konkretny obiekt i rozpoczął polowanie. Ale amerykańskie bombowce parły w kierunku lotniska. Było zbyt późno, by uciekać. Teraz mogły już tylko lecieć nad cel i rozpaczliwie wzywać do powrotu swoje myśliwce.

Do walki włączyła się naziemna artyleria. Młody sierżant trafił jeden z bombowców w chwili, gdy ten zrzucał ładunek. Z komory wyleciał tylko tuzin pocisków i samolot eksplodował tak gwałtownie, że uszkodził inny, lecący w sąsiedztwie B-52. Załodze jednej z wyrzutni rakiet udało się uruchomić system naprowadzania podczerwienią i dzięki temu zestrzeliła następny samolot. Rakieta trafiła maszynę w chwilę po tym, jak ta zrzuciła swój ładunek.

Skrzydło stanęło w ogniu i bombowiec, ciągnąc za sobą gęstą wstęgę czarnego dymu, chwiejnym lotem oddalił się na wschód.

Edwards i jego ludzie obserwowali spowitego dymem z płonącego oleju potwora, który nadlatywał w ich stronę.

Pilot próbował utrzymywać wysokość i dać załodze szansę wykorzystania spadochronów, ale wszystkie cztery silniki po prawej stronie płonęły. W pewnej chwili odpadło skrzydło; B-52 zadrżał i runął w dół, uderzając w zachodnie

zbocze wzgórza 152. Nikt z załogi nie ocalał. Edwards nie musiał wydawać rozkazów. W pięć sekund później cała czwórka była na nogach i uciekała na północny wschód.

Pozostałe bombowce przelatywały nad celami i wzywały pomocy. Ośmiu maszynom udało się zrzucić ładunek materiałów wybuchowych, a następnie zawrócić. Radzieckie myśliwce namierzyły pięć z nich, teraz więc Amerykanie desperacko umykali z niebezpiecznej strefy. Rosjanie, którzy wystrzelili już swoje rakiety, uruchomili działka pokładowe.

Czaiło się w tym niebezpieczeństwo: B-52 dysponowały działkami na ogonach i uszkodziły jeden z fulcrumów^ eliminując go z walki. – Na koniec wróciły phantomy. Każdy z nich miał tylko po trzy pociski Sparrow^ toteż kiedy włączyły się radary przechwytujące rakiety,

sygnały natychmiast dotarły do radzieckich pilotów. W obliczu nadlatujących pocisków fulcrumy rozproszyły się, by przejść w lot nurkowy. Amerykańska czwórka przeleciała tuż nad głowami Edwardsa i jego ludzi, po czym zatoczyła pętlę nad miejscem, gdzie na wschód od Hafnarfjórduru spadł B-52. Potem phantomy odleciały; kończyło się im paliwo. Bombowce, którym udało się uciec, były już daleko, bezpieczne, oddzielone ścianą emitowanych szumów elektronicznych. Rosjanie ponownie sformowali szyk i zawrócili do Keflaviku.

Ich pierwsze wrażenie było jak najgorsze. Na lotnisko spadło dwieście bomb, z których dziewięć trafiło w pasy startowe. Ale pas jedenasty nie został uszkodzony. Edwards obserwował, jak odrywa się z niego fulcrum. Rozwścieczony pilot rozglądał się za celem. Miał rozkaz patrolować przestrzeń ponad bazą w czasie, gdy reszta dywizjonu będzie uzupełniała paliwo.

Pierwsza walka nie przyniosła zdecydowanego zwycięstwa żadnej ze stron. Amerykanie, niszcząc trzy z pięciu pasów startowych w Keflaviku, stracili połowę swoich bombowców. Wyeliminowali większość radzieckich baterii SAM-ów, ale nie zadali bazie lotniczej decydującego ciosu. Już w tej chwili personel naziemny lotniska, za pomocą amerykańskiego sprzętu, przystąpił do usuwania szkód. Na końcu

każdego pasa piętrzyła się góra żużlu, a pół tuzina buldożerów dowoziło stalowe płyty. Leje po bombach zostały zasypane gruzem, uzupełnione żwirem i nakryte płytami.

Keflavik poniósł pewne straty, ale do północy miano zlikwidować ich skutki.

USS „Pharris" – Myślę, że tym razem, to już naprawdę coś, kapitanie – odezwał się oficer dowodzący zwalczaniem okrętów podwodnych. Rządek barwnych kwadracików na ekranie biernego hydrolokatora utrzymywał się już,od siedmiu minut. Współrzędne celu zmieniały się nieco, jakby obiekt kierował się nie ku „Pharrisowi", ale w stronę konwoju.

Fregata płynęła z szybkością dwunastu węzłów z włączonym systemem Preria/Maska. Tego dnia warunki hydroakustyczne były dużo lepsze. Gruba warstwa termoklinowa zalegająca na głębokości prawie siedemdziesięciu metrów bardzo utrudniała pracę nawodnego sonaru. Pod nią więc okręt opuścił holowaną pławę sonarową – woda o znacznie niższej temperaturze tworzyła doskonały kanał dźwiękowy.

Co więcej, zainstalowany na okręcie podwodnym sonar miał takie same kłopoty jak hydrolokator na powierzchni oceanu. Dla znajdującego się poniżej warstwy termoklinowej okrętu podwodnego płynący na górze „Pharris" był praktycznie nie do wykrycia.

–Jak wygląda nakres? – spytał oficer taktyczny.

–Bez zmian – odparł dowódca zwalczania okrętów podwodnych. – Ciągle jeszcze nie ustaliliśmy odległości.

Zważywszy na panujące warunki i wskazania naszego sonaru, możemy tylko stwierdzić, że

obiekt znajduje się w odległości od pięciu do czternastu mil w linii prostej albo w pierwszej strefie konwergencji. A to już daje przypuszczalną odległość od dziewiętnastu do dwudziestu trzech mil…

Strefy konwergencji są zjawiskiem fizycznym. Dźwięk w wodzie rozchodzi się na wszystkie strony. Fale dążące

w kierunku dna, pod wpływem temperatury i ciśnienia wody, zaczynają się zakrzywiać i opadają ruchem sinusoidalnym. Kiedy wydawane przez fregatę dźwięki wracały do niej mniej więcej z odległości czternastu mil morskich, znaczyło to, że strefa konwergencji przybiera kształt pierścienia – czyli przestrzeni między dwoma koncentrycznymi okręgami – i toroidalnie ukształtowany przestwór wodny rozciąga się między dziewiętnastą a dwudziestą trzecią milą.

Odległość do okrętu podwodnego pozostawała nieznana, ale należało przypuszczać, że jest mniejsza niż dwadzieścia trzy mile. A to już było za blisko. Za pomocą torped czy pocisków woda-woda, których technologię zapoczątkowali Rosjanie, mógł w każdej chwili zaatakować albo strzeżony przez „Pharrisa" konwój, albo samą fregatę.

–Macie jakieś propozycje, panowie? – zapytał Morris.

Pierwszy odezwał się oficer taktyczny.

–Na odległość pięciu mil wyślijmy nasz helikopter.

Pierścień dziewiętnaście-dwadzieścia trzy niech sprawdzi orion.

–Brzmi to bardzo rozsądnie – zgodził się dowódca zwalczania okrętów podwodnych.

Po pięciu minutach śmigłowiec z fregaty w odległości pięciu mil od okrętu zrzucił do morza pławę sonarową typu Lofar. Z chwilą zetknięcia się z wodą, ów miniaturowy system biernego sonaru uruchomił bezkierunkowy przetwornik hydrolokacyjny pracujący na zaprogramowanej wcześniej głębokości. Miał on wykryć każdy cel znajdujący się powyżej warstwy termoklinowej. Niebawem do centrum informacji bojowej na „Pharrisie" napływać zaczęły pierwsze dane; wynik był negatywny. Niemniej bierny sonar ciągle wskazywał na obecność okrętu podwodnego lub czegoś, co brzmiało jak okręt podwodny. Helikopter stopniowo oddalał się od „Pharrisa" i zrzucał kolejne pławy.

Następnie pojawił się orion. Zataczając koła nisko nad fregatą, czterosilnikowa maszyna przejęła informacje o współrzędnych celu. Samolot wiózł ponad pięćdziesiąt pław hydrolokacyjnych, które niebawem zaczął wrzucać do wody parami; jedną pod warstwę, drugą nad nią. 22 – Czerwony sztorm

–Odbieram słabe sygnały z szóstki i średnie z piątki – poinformował podekscytowanym głosem operator hydrolokatora.

–Też je słyszę – odezwał się z Błękitnego Ptaka Trzy koordynator taktyczny. Choć już sześć lat prowadził tę grę w formacjach do zwalczania jednostek podwodnych, był zdenerwowany. – Za chwilę włączymy detektor anomalii magnetycznych,

–Potrzebny wam helikopter?

–Tak, ale niech leci nisko.

Parę chwil później należący do fregaty helikopter SH-2F Sea Sprite wystartował na północ, wlokąc za sobą kabel detektora anomalii magnetycznych, wychodzący z obudowy wirnika po prawej stronie maszyny. Bardzo czuły magnetometr potrafił wykryć zakłócenia ziemskiego pola magnetycznego spowodowane przez większy kawał żelaza – na przykład przez stalowy kadłub podwodnego okrętu.

–Teraz z szóstki sygnał średniej mocy. Siódemka cały czas średnia.

Znaczyło to, że śledzony obiekt kieruje się na południe.

–Mogę już podać wstępne wyliczenia odległości – odezwał się dowodzący zwalczaniem okrętów podwodnych do Taktycznego. – Czterdzieści dwa do czterdziestu pięciu tysięcy metrów. Współrzędne: trzy-cztery-zero do trzy-trzy-sześć.

Fregata natychmiast przekazała tę informację do oriona.

Obserwowali na ekranie, jak P-3 penetruje teren, przeczesując dokładnie rejony wskazane przez hydrolokator „Pharrisa". Gdzieś tam czaić się mógł wróg. W miarę, jak samolot posuwał się na południe, system komputerowy nanosił na nakres kolejne linie. – ^Pharris", tu Błękitny Ptak. Wedle moich informacji w tej okolicy nie powinien się znajdować żaden z naszych okrętów podwodnych. Możesz to potwierdzić?

–Potwierdzamy, Błękitny Ptak. Nie mylisz się.

Morris sprawdził to już pół godziny wcześniej.

–Na szóstce siła sygnału rośnie. Na piątce słaby sygnał.

Numer siedem też milknie. – Technik starał się mówić beznamiętnym głosem profesjonalisty.

–Odległość ustalona. Przypuszczalna szybkość celu: niecałe osiem węzłów. Odległość: czterdzieści trzy tysiące metrów.

–Nadchodzi! Nadchodzi! – krzyknął sonarzysta na fregacie. Z podanej pozycji napływały wyraźne, mechaniczne dźwięki zamykanych włazów, upuszczanych narzędzi, szczęk zamka komory torpedowej. Hałasy niewątpliwie czynione przez ludzi.

–Pławy pięć i sześć potwierdzają chwilowe zakłócenia mechaniczne – natychmiast odezwał się

samolot.

–Potwierdzam – odparł oficer taktyczny z „Pharrisa".

–Hałas rejestruje też nasza holowana antena sonarowa.

Tym razem to chyba naprawdę okręt podwodny.

–Zgadza się – odparł orion. – Potwierdzamy obecność okrętu czerwonych… Detektor anomalii magnetycznych!

Mamy kontakt na detektorze.

Na wykresie urządzenia pojawiła się wielka, czerwona pręga. Jeden z członków załogi natychmiast nacisnął włącznik markera dymowego i samolot ostrym skrętem w prawo zawrócił do punktu kontaktu.

–Wprowadzam na nakres! – oficer taktyczny postawił na wykresie duży znak V.

Helikopter również pomknął ku miejscu kontaktu.

–Detektor anomalii! – zawołał operator tego systemu i śmigłowiec zrzucił swoją bombę dymną nieco na południowy zachód od racy oriona.

Dane natychmiast przekazano do torpedowni i wyrzutni rakiet ASROC. Nie ustalono jeszcze dokładnych współrzędnych celu, ale miało się to niebawem zmienić.

–Cierpliwości – nakazał sobie w duchu Morris, a głośno powiedział: – Nie śpieszcie się. Zanim otworzymy ogień, należy ich dokładnie zlokalizować.

Koordynator taktyczny oriona przyznał mu rację. Próbował się odprężyć. P-3 i helikopter, lecąc z północy na południe, dokonały kolejnego nawrotu z detektorami anomalii magnetycznych. Tym razem orion odebrał sygnały,

a helikopter nie. Ponowny nawrót i już obie maszyny złapały kontakt. Pomknęły teraz po osi wschód-zachód. Początkowo żadna nie nawiązała kontaktu z wrogiem: po drugim przelocie wiedziały już wszystko. Cel przestał być czymś. Stał się konkretnym okrętem podwodnym. Od tej chwili całkowitą kontrolę nad operacją przejmował koordynator taktyczny na orionie. Kiedy helikopter rozpoczynał ostatni nawrót, wielki samolot patrolowy unosił się w powietrzu w odległości dwóch mil. Pilot bardzo uważnie przyjrzał się wykresowi taktycznemu, po czym utkwił wzrok w żyrokompasie. Śmigłowiec, ciągnąc detektor anomalii magnetycznych, ruszał w ostatni kurs.

–Detektor! Detektor! Marker!

Na wodzie osiadła płonąca zielonym ogniem flara. Kiedy orion schodził na małą wysokość, sea

sprite skręcił gwałtownie w prawo. Pilot bacznie obserwował płonącą racę, ustalając w myślach kierunek wiatru. Gdy był już nad celem, otworzyła się komora bombowa. Pojedyncza torpeda Mk-46 ASW została uzbrojona.

–Torpeda, ognia!

Dzięki zainstalowanemu w ogonie niewielkiemu spadochronowi weszła pionowo w wodę. Orion zrzucił kolejną pławę sonarową, tym razem kierunkującą – DIFAR.

–Silny sygnał. Współrzędne: jeden-siedem-dziewięć.

Torpeda, zataczając koła, zaczęła szukać celu. Zanurzyła się w wodę na głębokość siedemdziesięciu metrów i uruchomiła swój pracujący na wysokiej częstotliwości sonar.

Teraz już wypadki potoczyły się bardzo szybko.

Załoga okrętu podwodnego była nieświadoma toczących się na powierzchni wydarzeń. Ten zbyt stary i zbyt hałaśliwy by walczyć na pierwszej linii foxtrot znalazł się tam w nadziei, że wytropi konwój, wiedział, że ten znajduje się gdzieś na południe od niego. Radziecki sonarzysta zameldował wprawdzie o dobiegających z góry hałasach, ale kapitan akurat zajmował się wyliczaniem pozycji flotylli, do której pragnął się za wszelką cenę zbliżyć. Sonar naprowadzający torpedę na cel natychmiast wszystko zmienił. Foxtrot błyskawicznie skręcił w lewo, wykonując manewr wymijający. Dźwięk

pracujących na zwiększonych obrotach silników okrętu podwodnego odebrało kilka pław sonarowych i taktyczny hydrolokator „Pharrisa".

Torpeda włączyła czynny i bierny sonar, przechodząc tym samym na wysyłanie i odbieranie impulsów. Kiedy zatoczyła już pierwsze koło, jej umieszczone w dziobie pasywne czujniki zlokalizowały kierunek, z którego dochodziły wytwarzane przez okręt dźwięki, i natychmiast skierowały w tamtą stronę pocisk. Wkrótce powrócił odbity od burty wrogiej jednostki impuls aktywnego hydrolokatora. Radziecki okręt zmieniał cały czas kurs, skręcając to w lewo, to w prawo, próbując wymknąć się torpedzie. Ta natychmiast przeszła na ciągłe wysyłanie sygnałów, zwiększyła szybkość do maksimum i popędziła do celu, niczym samosterujący, bezlitosny robot, którym rzeczywiście była.

Sonarzyści na fregacie i w samolocie mieli doskonały obraz przebiegu wydarzeń. Patrzyli, jak linie wyznaczające współrzędne okrętu i torpedy zaczęły się nakładać. Płynący z szybkością piętnastu węzłów foxtrot był zbyt wolny, by uciec przed torpedą, której prędkość wynosiła czterdzieści węzłów.

Okręt podwodny wykonywał skomplikowane ewolucje, ostre skręty i zwroty. Za pierwszym razem Mk-46 rozminęła się z celem o siedem metrów. Pocisk natychmiast zawrócił.

Wtedy właśnie radziecki kapitan popełnił błąd. Zamiast kontynuować skręt w lewo, wykonał

zwrot, mając nadzieję, że tym manewrem zmyli rakietę. Wszedł prosto na jej tor…

Załoga helikoptera ujrzała, jak nagle woda zapada się, po czym, kiedy fala eksplozji dotarła do powierzchni, unosi się fontanną w niebo.

–Głowica eksplodowała – poinformował pilot.

W chwilę później operator hydrolokatora zrzucił bierną pławę sonarową. Po niecałej minucie dotarły do nich pierwsze odgłosy.

Foxtrot umierał. Słyszeli dźwięk wdzierającego się do komór balastowych powietrza i huk silników. Śruby próbowały pokonać masę dostającej się do wnętrza wody i wypchnąć okręt na powierzchnię. Nagle silniki stanęły.

Dwie minuty później rozległ się metaliczny trzask rozdzieranych ciśnieniem wody wewnętrznych grodzi. Okręt opadał głębiej i głębiej.

–Tu Błękitny Ptak. Jednostka zatopiona. Możecie potwierdzić?

–Potwierdzamy, Błękitny Ptak – odparł oficer dowodzący niszczeniem okrętów podwodnych. – Zanotowaliśmy dźwięk uchodzącego powietrza i pękającego kadłuba. Potwierdzamy zatopienie jednostki.

Zapomniawszy o obowiązujących w centrum informacji bojowej obyczajach, załoga zaczęła sobie głośno gratulować.

–Wspaniale, jednego skubańca mniej! Dziękujemy za pomoc, „Pharris". Wasi sonarzyści i załoga helikoptera wykonali kawał dobrej roboty. – Orion zwiększył prędkość i odleciał w stronę konwoju.

–Pomoc, dobre sobie – parsknął dowódca zwalczania jednostek podwodnych. – To był nasz kontakt. Równie dobrze i my mogliśmy wysłać tę torpedę.

Morris poklepał go po ramieniu i ruszył po drabinie do sterowni.

Zgromadzeni na mostku ludzie szeroko się uśmiechali.

Niebawem bosmanmat wymaluje czerwoną farbą na drzwiach sterowni połowę sylwetki okrętu podwodnego. Nikt nie myślał o tym, że wszyscy przyłożyli rękę do śmierci stu takich samych jak oni, młodych ludzi, których zmiażdżyło mordercze ciśnienie panujące w głębinach Północnego Atlantyku.

–Uwaga! – krzyknął obserwator. – Z prawej burty widać jakąś eksplozję.

Morris sięgnął po lornetkę i wybiegł na zewnątrz.

Obserwator wskazał kierunek.

Na horyzoncie, tam gdzie znajdował się konwój, bił w niebo słup czarnego dymu. Ktoś jeszcze zatopił swój pierwszy okręt.

USS „Nimitz" Toland nigdy jeszcze nie widział takiej ilości pracujących jednocześnie urządzeń spawalniczych. Pod kierunkiem pierwszego oficera i trzech specjalistów od konstrukcji

okrętu załoga, używając palników acetylenowych, odcinała zniszczone fragmenty pokładu startowego i jego stalowych dźwigarów. Uszkodzenia były poważniejsze, niż się z początku wydawało. Zgruchotanych zostało sześć olbrzymich wręg pod lądowiskiem. Zniszczeniu uległy również dwa znajdujące się niżej pokłady. Spłonęła jedna trzecia hangarów. Remontów wymagały windy towarowe i sieć dostarczająca do samolotów paliwo. Wraz z centrum informacji bojowej przestały istnieć wszelkie urządzenia komputerowe i radiowe, bez których okręt nie mógł toczyć walki. Należało również w całości wymienić sprzęt służący do przechwytywania lądujących samolotów. Głównego radaru też już nie było. Listę zniszczeń można by przedłużać w nieskończoność.

Holowniki ciągnęły okaleczony lotniskowiec do doku oceanicznego w Southampton. Operację tę niebywale utrudniał dziesięciostopniowy przechył „Nimitza". Przez strzaskane zęzy wlewały się do środka strumienie wody. Przybył już z marynarki brytyjskiej główny ekspert od uszkodzeń oraz szef Stoczni Remontowej Vosper; obaj specjaliści szczegółowo badali zniszczenia i sporządzali katalog niezbędnych do naprawy materiałów. Kapitan Svenson obserwował wstrzeliwanie kabli nośnych, które miały zabezpieczyć okręt.

Toland spostrzegł, że dowódca jest wściekły. Już wiadomo było, że zginęło pięciuset ludzi, trzystu było rannych, a kompletowanie listy ofiar jeszcze trwało. Najwięcej osób straciło życie na pokładzie startowym, w który trafiły dwie radzieckie rakiety. Zanim „Nimitz" znów popłynie na wojnę, trzeba będzie na miejsce tych ludzi znaleźć nowych.

–Toland, poleci pan do Szkocji?

–Słucham, sir?

–Grupa lotnicza rozdziela się. Myśliwce i havkeye'e odlatują na północ. Iwan zniszczył Brytyjczykom północną linię radarową, a angielskie myśliwce poniosły wielkie straty w Norwegii, której ruszyły z pomocą. Tomcaty już są w drodze, ich rakiety umieścimy w porcie, więc Anglicy będą mogli je zabrać na północ. Pragnę, by współpracował pan z zespołami myśliwców i ustalił, co Iwan-może zrobić

za pomocą swoich badgerów. Z pańskim udziałem nasi chłopcy rozpieprzą trochę tych skurwieli. Obecnie do taktycznych sił rezerwowych NATO dołączane są myśliwce szturmowe.

–Kiedy mam się tam udać? – Toland właściwie nie miał nic do pakowania. Jego rzeczami

troskliwie zajął się kingfish.

Pierwszą rzeczą, jaką musiał zrobić, to zawiadomić żonę, że jest cały i zdrowy.

Islandia – Brytan, tu Ogar, co się, do licha, wydarzyło?

–Ogar, jestem upoważniony, by powiadomić was, iż przeprowadziliśmy atak na Keflavik.

–Bez żartów, chłopcze. Właśnie na naszym cholernym wzgórzu roztrzaskał się B-52. Nie przekazał pan mego meldunku o myśliwcach?

–Pańską informację uznano za nie potwierdzoną i nie przesłano tego raportu dalej. Nie^miałem tu nic do powiedzenia. Proszę kontynuować.

–Widzieliśmy cztery, powtarzam, cztery jednoosobowe samoloty o podwójnym usterzeniu pionowym. Nie znam tego typu maszyn, ale mają podwójne usterzenie ogonowe.

–Podwójne usterzenie pionowe, rozumiem. Proszę potwierdzić, że widzieliście cztery.

–Jeden-dwa-trzy-cztery. Cztery, Brytan. Ale jakoś nie chcą latać mi nad głową w ordynku. Jeśli jednak znów przyślecie bombowce bez eskorty, nie miejcie do mnie pretensji.

–Czy ktoś się uratował?

–Nikt. Nie widzieliśmy żadnych spadochronów, a z takiej katastrofy nie wychodzi się z życiem. Ponadto zaobserwowałem na horyzoncie inną wielką kulę ognia. Nie wiem, co to było. Co z F 4?

–Nie mogę powiedzieć, Ogar, ale dzięki za informację o SAM-ach.

–Macie dla mnie jakieś instrukcje?

–Ponownie się zastanawiamy, co z wami robić. Następny kontakt za godzinę.

–Lepiej za dwie, kolego. Teraz musimy koniecznie stąd zwiewać, nim pojawi się patrol niegrzecznych chłopców. Wyłączam się.

Dwaj szeregowcy piechoty morskiej stali obok z odbezpieczoną bronią i rozglądali się czujnie, wypatrując patrolu lub helikoptera. Edwards zdarł z głowy słuchawki i zapakował radio. – Świetnie, po prostu wspaniale – mruknął. – Wynosimy się stąd, chłopcy.

Od wzgórza 152 oddalili się już o dobry kilometr i zmierzali na wschód, ku nie zamieszkanym rejonom wyspy.

Smith polecił im trzymać się zboczy górskich, unikać wierzchołków i grani, gdzie na tle nieba ktoś mógłby dostrzec ich sylwetki. Po lewej mieli jezioro, na którego zachodnim brzegu

rozłożyła się jakaś osada. Musieli tu bardzo uważać.

Trudno było bowiem zakładać, że nikt ich nie zobaczy i nie przekaże informacji dalej. Biegiem minęli główną trakcję wysokiego napięcia, po czym skręcili na południe, gdzie stok zasłaniał ich od strony zabudowań. Godzinę później trafili na Holmshraum, wielkie pole lawy, nieprawdopodobne rumowisko skalne, z którego rozciągał się doskonały widok na autostradę 1, jedną z dwóch głównych arterii komunikacyjnych Islandii. Na drodze panował duży ruch. Większość stanowiły samochody wiozące żołnierzy.

–I co teraz, sir? – spytał zjadliwie Smith.

–Cóż, sierżancie, tutaj możemy się doskonale ukryć.

Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów nikt nas nie wypatrzył Poczekamy, aż się ściemni, i wtedy przedostaniemy się na drugą stronę szosy. Z mapy wynika, że tam żyje bardzo mało ludzi. Na pustkowiu powinniśmy być bezpieczni.

–A co na to chłopcy z tamtej strony radia?

–Najlepiej zapytajmy ich o to. – Edwards spojrzał na zegarek. Minęły już blisko dwie godziny. Brytan może się niepokoić.

–Czemuście się nie łączyli?

–Musieliśmy przebyć osiem kilometrów. A co, może

mieliśmy liczyć z bliska patrole penetrujące szczątki samolotu? Zrozumcie, jesteśmy tu zupełnie sami, boimy się.

–Rozumiem, Ogar. W porządku, są dla was nowe polecenia. Macie mapę tamtych okolic?

–Mamy, w skali jeden do pięćdziesięciu tysięcy.

–To dobrze, musicie przenieść się do Grafarholt. Tam też jest wzgórze. Na nim się ukryjecie i poczekacie na dalsze instrukcje.

–Zaraz, zaraz, Brytan, a jeśli Iwan namierzy nasze transmisje radiowe?

–Dobrze, że o tym mówisz. Wasze radio nadaje na jednym zakresie UHF z pojedynczą wstęgą boczną. To znaczy, że takich kanałów są tysiące i istnieje małe prawdopodobieństwo wykrycia was. Po drugie, macie antenę kierunkową. Podczas transmisji uważajcie po prostu, by między wami a Rosjanami znajdowało się zbocze wzgórza.

To radio działa wyłącznie w linii prostej. Będziecie bezpieczni. Zadowolony?

–Niby tak.

–Ile czasu wam zajmie dotarcie do tego wzniesienia?

Edwards popatrzył na mapę. Mniej więcej siedem kilometrów. W spokojnych czasach przyjemna, dwugodzinna wycieczka; biorąc pod uwagę trudny teren, może trzy-, czterogodzinna. Muszą zaczekać do wieczora, potem wyminąć kilka wiosek… istniało jeszcze parę innych rzeczy, z którymi należało się liczyć…

–Minimum dwanaście godzin.

–Zrozumiałem, Ogar. Powtarzam, dwanaście godzin.

Dobrze. Połączymy się z wami. Czy macie jeszcze coś do przekazania?

–Na szosie spory ruch. Kilkanaście ciężarówek wojskowego typu; pomalowane na zielono. Trochę samochodów terenowych. Ale ludzie w nich nie uzbrojeni.

–Wspaniale. Uważajcie. Macie unikać wszelkich kontaktów i przekazywać wiadomości. Gdybyś nas potrzebował, jesteśmy tu cały czas.

W Doghouse, w północnej Szkocji, oficer łączności rozparł się w fotelu.

–Chłopak nieco trzęsie portkami – odezwał się znad filiżanki herbaty pracownik wywiadu.

–To nie komandos SAS, prawda? – dodał ktoś inny.

–Panowie, spokojnie – wtrącił trzeci mężczyzna. – Chłopak jest bystry, energiczny i potrafił prysnąć, kiedy wymagały tego okoliczności. Trochę zbyt nerwowy, ale w jego sytuacji to chyba zrozumiałe.

Pierwszy z mężczyzn wskazał mapę.

–Dwanaście godzin na przebycie tak krótkiego odcinka?

–Przez skalisty, odkryty teren, z cholerną dywizją spadochroniarzy jeżdżących w ciężarówkach i BMP, przy nie zachodzącym słońcu. Czego się pan spodziewa, do diabła, po czterech ludziach? – spytał czwarty mężczyzna. Miał na sobie cywilne ubranie. Do chwili, gdy został ciężko ranny, służył w 22. Pułku SAS. – Jeśli ten chłopak ma odrobinę oleju w głowie, zaczeka do nocy. To interesujący przypadek psychologiczny. Jeśli dotrze na wzgórze o czasie, będzie dobry.

USS „Pharris" Konwój początkowo rozproszył się i teraz Morris spoglądał na radarowy obraz flotylli. Płynące szerokim pierścieniem jednostki skręcały ponownie na wschód, by się znów połączyć. Jeden ze statków handlowych zatonął, a drugi, mocno uszkodzony, chwiejnie odpłynął na zachód.

Trzy fregaty próbowały namierzyć okręt podwodny, który dokonał ataku. „Gallery"

prawdopodobnie nawet nawiązał kontakt i wysłał torpedę; bez rezultatu. Cztery helikoptery zrzucały nieustannie pławy sonarowe w nadziei, że trafią we wrogą jednostkę. Ale ta, zdawało się, umknęła nagonce.

–Niebywale zręcznie przeprowadzony atak – warknął oficer taktyczny. – Jedynym błędem było to, że zaatakował tyły konwoju.

–Wcale tak dobrze nie strzelał – odrzekł Morris. – Mówią, że mieli na sonarze aż pięć jego rybek. Do trzech celów! Dwie trafiły w jeden statek, który zatonął, jedna uszkodziła naszą jednostkę, a pozostałe po prostu chybiły.

Udało się Iwanowi to popołudnie. Co on może teraz robić?

–O co chcecie się założyć, że był to jeden z tych atomowych okrętów starego typu – mruknął Taktyczny. – System sterowania ogniem w tych jednostkach nie jest najnowocześniejszy, a ponadto nie potrafią one pływać na tyle szybko, by nas dogonić i nie zostać przy tym wykryte.

Sądzę, że po prostu Rosjanin czekał na nas w tym miejscu i trafił dwie nasze. Kiedy konwój się rozproszył, nie chciał rozwinąć maksymalnej prędkości, gdyż zdradziłby swoją pozycję; Rosjanie zresztą są zbyt cwani, by coś takiego zrobić.

–Więc co uczynił? – spytał dowódca zwalczania okrętów podwodnych.

–Strzelał z bliska. Potem wpłynął w środek konwoju i zszedł na wielką głębokość. Wykorzystując zamieszanie oraz huk na powierzchni, zamaskował swoją obecność, po czym cichutko wyniósł się w bezpieczne rejony…

–Na północ – Morris pochylił się nad nakresem. – Kiedy wydano rozkaz rozproszenia, większość statków handlowych ruszyła na północny wschód. Zaczaił się zapewne na tym północnym kursie i teraz czeka na nową okazję. Ilu Rosjan tu w ogóle mamy?

–Wywiad twierdzi, że trzy foxtroty, november i, być może, jakiś okręt o napędzie nuklearnym. Zatopiliśmy prawdopodobnie foxa. Był zbyt wolny i nie nadążył za konwojem – oficer dowodzący zwalczaniem okrętów podwodnych podniósł wzrok. – Ale november okazał się wystarczająco szybki. Nie sądzę, byśmy mieli przed sobą okręt atomowy. Powiedziałbym, że to właśnie november.

–W porządku, załóżmy zatem, że oddalił się na północ z szybkością sześciu lub siedmiu węzłów, po czym skręcił na wschód w nadziei, że jutro ponownie nas spotka. Gdzie może teraz być?

–Dokładnie tu… tu, sir – odparł oficer ASW, wskazując miejsce odległe o piętnaście mil od rufy fregaty. – Ale nie możemy przecież tam wracać.

–Nie, ale możemy pozostawać na nasłuchu i wykryć jego ponowne przybycie – Morris mocno

trzymał się realiów. Konwój przez godzinę będzie zmieniał kurs na jeden-dwa-zero, kierując się bardziej na południe, gdzie nie

powinny zagrażać mu rosyjskie bombowce dalekiego zasięgu. Ponowne sformowanie konwoju zajmie więcej czasu.

To pozwoli okrętowi podwodnemu przygotować atak.

Przy niestabilnym, zygzakowatym kursie szybkość statków handlowych wynosiła praktycznie około szesnastu węzłów; dla jednostki klasy November było to tyle co nic. – Niech sonarzyści zwracają szczególną uwagę na tamten rejon.

Nasz przyjaciel może się czaić za plecami.

–Wezwać któregoś P-3? – spytał Taktyczny.

Morris potrząsnął głową.

–Na razie nie. Muszą pilnować czoła konwoju. Tam kryje się główne niebezpieczeństwo. Tyłami zajmiemy się my. Jestem przekonany, że ten typek pojawi się właśnie stamtąd.

Kijów, Ukraina – Nadeszły pomyślne wiadomości – oznajmił oficer marynarki wojennej. – Nasze bombowce zatopiły trzy okręty lotnictwa morskiego, dwa krążowniki i dwa niszczyciele.

Aleksiejew wymienił z przełożonym spojrzenia; ich koledzy w niebieskich mundurach zaczynali być nieznośni.

–Czy to wiadomość sprawdzona? – zapytał głównodowodzący Południowo-Zachodnim Teatrem Wojny.

–Przed atakiem sfotografowaliśmy cztery lotniskowce.

Kiedy w osiem godzin po zakończeniu walki przelatywał tam nasz kolejny satelita, pozostał tylko jeden. Zniknęły też dwa krążowniki i dwa niszczyciele. Ponadto wywiad donosi o masowym lądowaniu samolotów z lotniskowców we francuskiej bazie morskiej w Bretanii. Nasze okręty podwodne nie zdołały wejść w kontakt bojowy z tą formacją.

Wydaje się nawet, że, niestety, jeden nam zatopili. Ale pierwsza bitwa powietrzna skończyła się naszym ogromnym sukcesem. Damy wam Atlantyk, towarzysze – zapewnił kapitan.

–Możemy go potrzebować – mruknął Aleksiejew po wyjściu oficera.

Przełożony odparł coś i skinął głową. Sprawy w Niemczech układały się niezbyt pomyślnie. Radzieckie siły powietrzne doznały tam strat o wiele większych, niż się spodziewano, a batalia lądowa przebiegała dużo wolniej, niż zakładał plan. Drugiego dnia wojny osiągnięto zaledwie jeden z celów, które według planu miały zostać zdobyte pierwszego dnia kampanii. Na dodatek,

obszar ten -położony w odległości dwudziestu kilometrów od Hamburga – stał się obiektem potężnego kontrataku przeciwnika. Armia radziecka już straciła o pięćdziesiąt procent czołgów więcej, niż przewidywało jej dowództwo. Nie zdołano też zdobyć przewagi w powietrzu, a wszystkie jednostki donosiły, że lotnictwo Paktu Atlantyckiego zadaje im straty większe od spodziewanych. Znad Elby dotarła do celu zaledwie połowa brygad, a przerzucone przez rzekę mosty pontonowe nie były w stanie w pełni zastąpić zniszczonych. A przecież wojska NATO nie osiągnęły jeszcze pełnej sprawności bojowej i do Europy wciąż przybywały nowe transporty wojska z Ameryki.

Tutaj czekało już na nie pełne wyposażenie. Radzieckie oddziały pierwszego uderzenia były mocno wykrwawione; te które miały je uzupełnić, wciąż jeszcze tkwiły po drugiej stronie Elby.

Islandia – Ciemniej już nie będzie – odezwał się Edwards.

Poziom światła osiągnął stopień nazywany przez meteorologów i żeglarzy morskim zmierzchem. Widoczność zmniejszyła się do niecałych pięciuset metrów, a słońce stało tuż nad północno-zachodnim horyzontem. Porucznik nałożył plecak i wstał. Żołnierze piechoty morskiej poszli w jego ślady z entuzjazmem dziecka, które wcześnie rano ma iść do szkoły.

Posuwali się w dół niewielkim zboczem w kierunku rzeki, a właściwie dużego potoku, Sudura. Pole lawowe, którym szli, zapewniało im bezpieczeństwo. Teren pokrywały metrowej wysokości skałki, toteż okolica pełna

była refleksów świetlnych i dziwnych cieni. To musiało kompletnie zdezorientować przypadkowego obserwatora.

Mniej więcej co pół godziny pojawiały się w okolicy radzieckie patrole na wojskowych ciężarówkach. Amerykanie na szczęście nie trafili na żaden stały posterunek Rosjan.

Najwidoczniej napastnicy założyli garnizon w Burfell, tuż przy elektrowni wodnej znajdującej się na wschód od autostrady 1. Elektrownia nie została zbombardowana – w oknach wielu domów paliło się światło.

Skalisty teren przechodził stopniowo w rozległe, porośnięte trawą łąki – pasły się na nich owce, o czym świadczył charakterystyczny zapach i wygryziona do gołej ziemi roślinność. Kiedy dochodzili do żwirowej ścieżki, pochylili się instynktownie. Przed sobą mieli stojące w nieregularnych odstępach domy i stodoły. Ruszyli w stronę dwóch budynków oddalonych od siebie o pięćset metrów. Liczyli, że półmrok i ochronne stroje, które mieli na sobie, skryją ich przed wzrokiem intruza. Nikogo nie spotkali. Edwards zatrzymał grupę i dłuższą chwilę lustrował przez lornetkę kilka najbliższych domów. W niektórych paliło się światło, ale na zewnątrz nie było nikogo. Rosjanie mogli wprowadzić godzinę policyjną… Znaczyło to, że o tej porze każda przebywająca poza domem osoba, mogła zostać zastrzelona.

Miła perspektywa.

Rzeka miała urwiste, wysokie na prawie siedem metrów brzegi pokryte wygładzonymi przez erozję i wodę kamieniami. Pierwszy zszedł Smith. Pozostała trójka przypadła do ziemi z gotową do strzału bronią. Początkowo sierżant poruszał się powoli, sprawdzał głębokość wody. Potem błyskawicznie, trzymając karabin wysoko nad głową, ruszył na drugą stronę. Edwards był zdumiony szybkością i wprawą, z jaką sierżant pokonał rzekę i stromy brzeg. Smith dał ręką znak. Wszedłszy do strumienia, Edwards natychmiast zrozumiał powód pośpiechu sierżanta. Jak w większości islandzkich potoków wypływających z topniejących lodowców, głęboka po pas woda była lodowato zimna. W pierwszej chwili chłód zaparł Mike'owi dech w piersi. Potem porucznik ruszył biegiem przez rzekę. Broń i radio trzymał

w uniesionych wysoko rękach. Niecałą minutę później był na drugim brzegu.

–Tak szczękam zębami, że słychać mnie w całej okolicy – zachichotał w półmroku Smith.

–A ja odmroziłem sobie jaja, sierżancie – poskarżył się Rodgers.

–Mamy chyba wolną drogę – odezwał się Edwards. – Za tą łąką jest następny potok, potem główna szosa, droga boczna i następne pole lawowe. Chodźmy.

–W porządku, poruczniku – powiedział Smith. Wstał z ziemi i ruszył w wyznaczonym kierunku. Pozostali kroczyli za nim w pięciometrowych odstępach.

Teren był w miarę równy, trawa sięgała czubków butów.

Poruszali się szybko, lekko pochyleni, na piersiach kołysały się im odbezpieczone karabiny. Skręcili nieco na wschód, by uniknąć wioski Holmur. Kolejny potok był płytszy niż Sudura ale równie zimny. Przycupnęli na jego brzegu zaledwie dwieście metrów od autostrady. I znów pierwszy pokonał rzeczkę Smith. Tym razem biegł skokami, mocno przygięty, w przerwach bacznie lustrował okolicę. Pozostali przebyli potok w ten sam sposób i przycupnęli przy ziemi, kryjąc się w wysokiej trawie, zaledwie czterdzieści metrów od drogi.

–No dobrze – odezwał się Smith. – Przez szosę przechodzimy pojedynczo, w minutowych odstępach. Idę pierwszy. Zatrzymam się pięćdziesiąt metrów za szosą, między tamtymi skałkami. Kiedy będziecie przebiegać jezdnię, nie rozglądać się. Po prostu pochylić się i biec ile sił w nogach. Gdyby ktoś nieoczekiwanie wlazł wam w drogę, przyspieszyć i po drugiej stronie natychmiast kryć się. Jak będziemy leżeć bez ruchu, nikt nas nie zauważy.

Zrozumiano?

Skinęli głowami.

Sierżant pokazał, jak należy to zrobić. Rozejrzał się bacznie w obie strony i przebiegł szybko drogę. Ekwipunek obijał się mu o ciało. Po minucie ruszył Garcia, potem Rodgers. Edwards, odliczywszy do sześćdziesięciu, wyrwał przed siebie. Był spięty do granic możliwości. Kiedy wbiegał

na jezdnię, serce waliło mu jak młotem. Dotarłszy już do środka szosy, zamarł w bezruchu. Po północnej stronie pojawiło się światło nadjeżdżającego pojazdu. Edwards, jak sparaliżowany, stał na środku drogi i gapił się w reflektory…

–Ruszaj dupę, poruczniku – krzyknął chrapliwym głosem sierżant.

Porucznik, jak wytrącony z transu, potrząsnął głową i runął przed siebie, przytrzymując dłonią hełm na czubku głowy.

–Jakiś samochód – sapnął.

–Spokojnie, sir. Chłopcy, rozproszyć się! Niech każdy znajdzie sobie dobrą osłonę. I tylko, na Boga, nie używajcie tej cholernej broni. Pan zostanie ze mną, sir.

Obaj żołnierze rozbiegli się w różne strony i przypadli do ziemi, gdzie zasłoniła ich wysoka trawa. Edwards leżał obok sierżanta Smitha.

–Myśli pan, że mnie widzieli?

Ciemność nie pozwoliła dostrzec gniewnego wyrazu twarzy podoficera.

–Chyba nie. Ale na drugi raz proszę zachowywać się mądrzej, sir.

–W porządku. Przepraszam, sierżancie, ale nie znam się na takich rzeczach.

–Proszę więc tylko słuchać naszych poleceń i robić dokładnie to, co panu powiemy – szepnął sierżant. – Jesteśmy piechotą morską i zadbamy o pana.

Z północy powoli nadjeżdżał samochód. Kierowca najwyraźniej nie ufał stromej, żwirowej nawierzchni drogi. Do biegnącej z południa na północ autostrady, akurat w tym miejscu, po prawej stronie dochodziła boczna droga.

Zauważyli, że to pojazd wojskowy. Miał prostokątne reflektory i pochodził z potężnej, zbudowanej głównie przy pomocy Zachodu, fabryki nad rzeką Karną. Ciężarówka zatrzymała się.

Edwards nie pozwalał sobie na najmniejszy ruch. Zacisnął tylko kurczowo palce na kolbie karabinu. A jeśli ktoś ich widział i dał telefonicznie znak Rosjanom? Smith wyciągnął rękę i położył ją ostrzegawczo na karabinie porucznika. 23 – Czerwony sztorm

–Proszę z tym uważać, sir – szepnął.

Z samochodu zeskoczyło dziesięć postaci. Rozbiegły się po trawie w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od marines. Edwards nie potrafił dojrzeć, czy Rosjanie są uzbrojeni. Żołnierze, jak na komendę, porozpinali rozporki i zaczęli sikać. Edwards o mało nie wybuchnął głośnym śmiechem. Potem obce wojsko wsiadło z powrotem do samochodu. Odjechał w prawo,

w stronę autostrady. Silnik diesla pracował bardzo głośno. Kiedy mrok pochłonął już tylne światła pojazdu, do porucznika i sierżanta dołączyli marines.

–Fatalnie – roześmiał się w półmroku Rodgers. – Powinienem któremuś z nich odstrzelić ptaka.

–Bardzo dobrze, żołnierze. Gotowy pan do drogi, poruczniku? – odezwał się Smith.

–Możemy iść.

Edwards, który wstydził się nieco swego zachowania na drodze, pozwolił sierżantowi wysforować się do przodu. Po stu metrach znowu trafili na pole lawowe. Omijając sterczące skały ruszyli w stronę pustkowi. Mokre spodnie przylegały im do nóg. Powoli schły w chłodnym, wiejącym od wschodu wietrze.

USS „Pharris" – Nasz przyjaciel november nie ma wykładziny bezechowej – powiedział cicho oficer dowodzący zwalczaniem okrętów podwodnych, wskazując wideoskop. – Myślę, że zamierza ponownie podkraść się do konwoju.

–Namierzyliśmy go w odległości jakichś czterdziestu sześciu tysięcy metrów – powiedział-oficer taktyczny.

–Wysłać helikopter – polecił Morris.

Pięć minut później śmigłowiec z „Pharrisa" leciał już z pełną prędkością na południowy zachód, a ze wschodu zbliżał się kolejny P-3C orion, Błękitny Ptak Siedem. Obie maszyny utrzymywały się na niskiej wysokości i miały nadzieję zaskoczyć okręt podwodny, który zatopił już jednego z ich podopiecznych, a drugiego mocno uszkodził.

Rosjanin, przyspieszając, zrobił poważny błąd. Zapewne dostał rozkaz, by dokładnie określić współrzędne konwoju, zaś dane przekazać drogą radiową do innych okrętów podwodnych. A może po prostu chciał przeprowadzić kolejny atak? Mniejsza o intencje; wprawione w ruch pompy reaktora wytwarzały donośny hałas, którego nie potrafił stłumić kadłub. Samoloty namierzyły swymi radarami wysunięty peryskop. Helikopter był bliżej – jego pilot utrzymywał ciągłą łączność z koordynatorem taktycznym na orionie. Jeśli nie popełnią błędu, przeprowadzą podręcznikowy zgoła atak.

–W porządku, Błękitny Ptak, jesteśmy trzy mile od celu. Podaj swoją pozycję.

–Jestem dwie mile za tobą, Papa-Jeden-Sześć. Włączaj.

Operator włączył aktywny sonar. Z umieszczonego w nosie śmigłowca transmitera popłynęła wiązka fal.

–Kontakt, mamy kontakt radarowy. Namiar: jeden-sześć-pięć. Odległość: jedenaście tysięcy

metrów.

–Detektor anomalii magnetycznych! – pilot otworzył przepustnice samolotu i runął w kierunku celu.

–Już go mamy – odparł szybko Tacco.

Siedzący za nim podoficer uzbroił torpedę, nastawiając wstępnie jej system poszukiwania na głębokość trzydziestu pięciu metrów.

Helikopter zapalił światła antykolizyjne, które w mroku rozbłysły krwistą czerwienią. Nie było sensu dłużej kryć swej obecności. Okręt namierzył już ich sygnały radarowe i zapewne szykował się do gwałtownego zanurzenia.

Ale to wymagało czasu. A Rosjanin miał go stanowczo za mało.

–Detektor, detektor, marker dymowy! – krzyknął główny operator.

W mroku wprawdzie trudno było dostrzec smugę dymu, ale zielony płomień flary stanowił znakomite światło ostrzegawcze. Helikopter odleciał w lewo, robiąc miejsce znajdującemu się już tylko pięćset metrów za nim orionowi.

P-3C włączył potężny szperacz świetlny i wyłowił z ciemności kilwater zostawiony przez sterczący z morza peryskop.

Detektor anomalii pracował bezbłędnie. Otworzyła się komora bombowa i do wody spadła torpeda, a tuż za nią pława sonaru.

–Kontakt sonarowy potwierdza obecność okrętu podwodnego! – odezwał się przez interkom operator hydrolokatora.

Na wideoskopie pojawił się liniowy zapis dźwięków wydawanych przez pędzącego na pełnych obrotach novembera; mknąca torpeda zostawiała na ekranie serie wyskoków.

–Podchodzi do celu bardzo szybko… Dobrze to wygląda, Tacco, bliżej… bliżej. Trafiła!

Kurs torpedy nałożył się na kurs umykającego okrętu podwodnego i na ekranie monitora kaskad pojawiła się jaskrawa plama. Operator na orionie przełączył pławę sonarową z systemu aktywnego na pasywny, rejestrując eksplozję głowicy bojowej. Dźwięk śrub okrętu podwodnego urwał się, potem słychać było ostry syk powietrza. Ustał bardzo szybko i jednostka zaczęła swoje ostatnie zanurzenie.

–Trafiony! Trafiony! – triumfował Tacco.

–Potwierdzenie trafienia – powiedział Morris przez radio. – Dobra robota, Błękitny Ptak. Szybka akcja!

–Przyjąłem, „Pharris". Dziękuję, sir. Wasz helikopter i hydrolokacja naprowadzili nas wspaniale. Znów bardzo nam pomogliście. Powinniśmy cię, kapitanie, popodrzucać w powietrze.

Morris przeszedł w kąt pomieszczenia i nalał sobie filiżankę kawy. Cóż, pomogli ustrzelić dwa radzieckie okręty podwodne.

Taktyczny nie wykazywał tyle entuzjazmu.

–To był bardzo głośny foxtrot i nieco przygłupi november. Myśli pan, że miały polecenie wyśledzić konwój, ewentualnie go zaatakować i dlatego nam się udało?

–Może – skinął głową Morris. – Skoro Iwan polecił kapitanom tak postępować… cóż, lubi wszystkim sterować centralnie. Ale kiedy przekona się, ile go to kosztuje, z pewnością przestanie to lubić.

USS „Chicago" McCafferty też miał cel. Tropili go już od ponad godziny i sonarzyści gorączkowo starali się odróżnić na swych obrazowych wykresach przypadkowe hałasy od nieciągłego sygnału. Dane przesyłali natychmiast do sekcji ogniowej, a w centrum bojowym czwórka mężczyzn bez przerwy nachylała się nad stołem, na którym sporządzano nakresy.

McCafferty wiedział, że załoga jest niezadowolona. Najpierw ten pożar w doku, potem rozkaz opuszczenia Morza Barentsa w najmniej odpowiedniej chwili. Do tego doszedł atak własnego samolotu… czyżby „Chicago" był pechowym okrętem? Wprawdzie szefowie i kadra oficerska nie powinni takich rzeczy traktować serio, ale ostatecznie byli marynarzami, a ludzie morza zawsze wierzyli w coś takiego jak szczęście. Jeśli nie masz szczęścia, nie możemy razem pływać, powiedział kiedyś o pewnym okręcie słynny admirał. McCafferty wielokrotnie słyszał tę historię. Jemu też szczęście nie dopisywało.

Kapitan ruszył do stołu nakresowego.

–I co się dzieje? – zapytał – Namiar niewiele się zmienił. Okręt musi być bardzo daleko. Mogą nas dzielić od niego aż trzy strefy konwergencyjne. Odległość może wynosić nawet siedemdziesiąt mil.

Nie zbliża się do nas. Kiedy minie strefę, chyba w ogóle stracimy kontakt. – Pierwszy oficer wykazywał już oznaki zmęczenia. – Kapitanie, moim zdaniem tropimy podwodny okręt atomowy. Zapewne jeden z tych głośniejszych. Panują wyśmienite warunki akustyczne, więc mogliśmy go usłyszeć przez trzy strefy konwergencyjne. Założę się, że robi dokładnie to samo co my: patroluje swój sektor. Do licha, zapewne porusza się bez przerwy w tę i we w tę. Też dokładnie jak my. Przemawiają za tym nieznaczne tylko zmiany pozycji.

Kapitan zmarszczył brwi. Był to jedyny prawdziwy kontakt, jaki mieli od chwili wybuchu wojny. „Chicago" znajdował się blisko północnego skraju swego sektora, ale cel zapewne był już za jego granicą. Ścigać ten okręt znaczyło zostawić powierzoną sobie strefę bez ochrony…

–Idziemy za nim – rozkazał McCafferty. – Ster

dziesięć stopni w lewo, nowy kurs: trzy-pięć-jeden. Cała naprzód dwie trzecie. „Chicago" raptownie skręcił na północ i przyspieszył do piętnastu węzłów; maksymalna „cicha" prędkość. Przy tej szybkości okręt powoduje niewielki hałas. Ryzyko wykrycia było małe, gdyż taki dźwięk wykryć można najwyżej z odległości pięciu, dziesięciu mil. W czterech wyrzutniach tkwiły dwie torpedy Mk-48 i dwie rakiety Harpoon. Jeśli cel naprawdę okaże się być jednostką podwodną lub nawodną nieprzyjaciela, „Chicago" powinien sobie poradzić.

Grafarholt, Islandia – Co tak wcześnie, Ogar? – odezwał się Brytan.

Edwards siedział między dwiema skałkami, o trzecią się oparł, a antenę położył na kolanach. Miał nadzieję, że ustawił ją w bezpiecznym położeniu. Założył, że Rosjanie rozlokowali się głównie wzdłuż linii wybrzeża, między Keflavikiem a Reykjavikiem, daleko na zachód od toru lotu satelity. Ale bliżej znajdowały się wioski i zagrody. Jeśli więc umieścili tam jakieś posterunki…

–Musieliśmy tu dotrzeć przed świtem – wyjaśnił porucznik.

Ostatni kilometr przebyli biegiem, ścigając się ze wschodzącym szybko za ich plecami słońcem. Jedyną pociechą Edwardsa było to, że marines sapali jeszcze bardziej niż on.

–Jesteście tam bezpieczni?

–Na drodze poniżej nas panuje spory ruch. Ale jesteśmy od niej oddaleni o jakieś dwa kilometry.

–To dobrze. Czy widzicie po południowo-zachodniej stronie elektryczną stację rozdzielczą?

Edwards jedną ręką przyłożył do oczu lornetkę. Miejsce to nosiło na mapie nazwę Artun. Mieścił się tam główny transformator energii elektrycznej zasilający prądem tę część wyspy. Odchodziły od niego na wschód liczne linie wysokiego napięcia i linie zasilające.

–Tak, widzę.

–W porządku. A jak wam leci, Ogar?

Edwards w pierwszej chwili chciał powiedzieć, że znakomicie, ale przypomniał sobie umowę i poskromił język.

–Paskudnie, naprawdę, paskudnie.

–Rozumiem, Ogar. Nie spuszczajcie z tej stacji oka.

Coś jeszcze?

–Chwileczkę – Edwards opuścił antenę i dokładnie rozejrzał się po okolicy. – O, właśnie! Daleko, na wschodzie, prawie na granicy widoczności posuwa się transporter opancerzony. W środku trzech… nie, czterech uzbrojonych ludzi. Niczego więcej nie widać.

–Bardzo dobrze, Ogar. Obserwujcie bacznie okolicę.

Donoście o S-AM-ach, jeśli się pojawią. To dotyczy też myśliwców. Notujcie liczbę zauważonych samochodów i żołnierzy. W którą stronę jadą. Dla pewności zapisujcie.

Rozumiecie?

–Naturalnie. Wszystko skrzętnie zapiszemy i przekażemy.

–Działajcie ostrożnie, Ogar. Musicie obserwować i składać raporty – przypomniał Brytan. – Za wszelką cenę unikać kontaktów z ludźmi. Gdyby zbliżali się do was rosyjscy żołnierze, zaszyjcie się w jakąś dziurę i nie próbujcie się z nami kontaktować. Nawiążecie łączność, gdy minie niebezpieczeństwo.

Edwards złożył antenę i spakował radio. Potrafił już to robić z zamkniętymi oczyma.

–Coś nowego, sir? – zapytał Smith.

Porucznik chrząknął.

–Mamy tu siedzieć cicho jak myszy pod miotłą i obserwować tamtą rozdzielnię.

–Myśli pan, że chcą, byśmy nieco przygasili tu światła?

–Za dużo tam wojska sierżancie – odparł Edwards.

Otworzył puszkę z jedzeniem. Garcia trzymał wartę na szczycie pagórka, a Rodgers spał. – Co jemy na śniadanie?

–Jeśli krakersy z masłem kokosowym, to mogę oddać za nie panu swoje brzoskwinie.

Edwards otworzył rację żywnościową i zaczął przeglądać jej zawartość.

–Zgoda, sierżancie. Układ stoi.

RIPOSTY

USS „Chicago" Okręt podwodny musiał zwolnić, by ponownie nawiązać kontakt z celem. Ponad godzinę płynął w dużym zanurzeniu z prędkością piętnastu węzłów. Teraz, dokładnie pośrodku głębokiego kanału wodnego, zwolnił i podszedł w górę na głębokość stu siedemdziesięciu metrów. McCafferty polecił wziąć kurs wschodni, co pozwalało „ogonowi", czyli holowanej pławię hydrolokacyjnej, namierzyć przebywającą na północy jednostkę.

Rozwinięcie i ustawienie pławy zajęło kilka minut. Potem sonarzyści natychmiast przystąpili do pracy. Kiedy na ekranach zaczęły pojawiać się pierwsze dane, starszy podoficer nałożył słuchawki. Liczył na namiar akustyczny. Nie odkrył niczego. Przez dwadzieścia minut ekran pokazywał tylko obrazy przypadkowych dźwięków.

McCafferty obserwował wykres. Aktualnie cel mógł znajdować się za dwiema strefami konwergencyjnymi i, jeśli wziąć pod uwagę warunki wodne, powinien być łatwy do wykrycia. Ale ekrany były puste.

–Nic nie ma – odezwał się pierwszy oficer. – Odpłynął.

–Użyjmy anteny głębinowej. Zobaczymy, co gotuje się na górze – McCafferty podszedł do podestu peryskopowego. Nie mógł nie zauważyć nagłego napięcia, jakie zapanowało w pomieszczeniu. Kiedy ostatni raz unieśli peryskop, o mały włos nie zatopił ich własny samolot. „Chicago" wypłynął na głębokość dwudziestu metrów. Przeprowadzona za pomocą sonaru kontrola nie wykazała czyjejkolwiek obecności. Wysunięto z kolei maszt wykrywacza radarów, ale elektronicy donieśli wyłącznie o obecności słabych

sygnałów. W końcu poszedł w górę sam peryskop. McCafferty błyskawicznie zlustrował horyzont – powietrze i morze były czyste.

–Na północy sztorm – oznajmił. – Peryskop w dół.

Pierwszy oficer zaklął pod nosem. Powodowany sztormem hałas uniemożliwiał wykrycie okrętu podwodnego o napędzie klasycznym poruszającego się przy pomocy zainstalowanych na pokładzie baterii. Co innego opuścić na krótko powierzony sobie sektor, by zatopić jednostkę wroga, co innego zostawić go na cały dzień w poszukiwaniu czegoś, czego nie da się znaleźć. Spojrzał pytająco na kapitana.

–Wracamy na pozycję – powiedział McCafferty. – Niech pan nadzoruje powrót do sektora z szybkością dziesięciu węzłów i przy dużym zanurzeniu. Ja muszę się trochę przespać. Proszę obudzić mnie za dwie godziny.

Kapitan przeszedł do swojej kajuty. Na ścianie grodziowej, po lewej stronie była rozłożona, ale nie pościelona koja. Potem wszystko obejrzę sobie na taśmie – pomyślał.

Instrumenty odtwarzające poinformują go o kursie i prędkości, a na ekranie telewizyjnym będzie mógł zobaczyć to, co udało się zarejestrować podczas obserwacji peryskopowej.

Nie spał od blisko dwudziestu godzin, zaś zmęczenie pogłębiało jeszcze napięcie, jakie towarzyszyło poczynaniom okrętu. McCafferty zdjął buty i wyciągnął się na łóżku; ale sen nie chciał przyjść.

Keflavik, Islandia Pułkownik przeciągnął palcami po namalowanej na boku jego myśliwca sylwetce samolotu bombowego. Jego pierwsze zwycięstwo zarejestrowane przez kamerę sprzężoną z działkiem pokładowym. Od czasu, gdy jego koledzy walczyli w Północnym Wietnamie, żaden pilot radzieckich sił powietrznych nie odniósł prawdziwego zwycięstwa. Tym razem jednak pułkownik zniszczył jeden z bombowców przystosowanych do przenoszenia broni jądrowej, broni, która mogła stanowić zagrożenie dla jego ojczyzny.

Do Islandii dotarło już dwadzieścia pięć myśliwców

Mig-29. Cztery z nich były ciągle w powietrzu, chroniąc bazy w czasie, gdy wojsko przejmowało władzę nad coraz nowymi partiami wyspy.

Nalot B-52 wyrządził duże szkody. Zniszczeniu uległ główny radar, ale tego dnia dostarczono już drogą lotniczą inny, dużo nowocześniejszy, ruchomy zestaw, którego pozycję obecnie zmieniano dwa razy na dobę. Pułkownik marzył o samolocie radiolokacyjnym, ale wiedział, że poniesione w Niemczech ogromne straty znacznie zmniejszyły liczbę tego typu maszyn. Mimo heroicznej postawy dwóch pułków migów wiadomości o toczącej się tam batalii powietrznej były bardzo niepomyślne. Pułkownik popatrzył na zegarek. Za dwie godziny wystartuje w eskorcie poszukujących konwoju backfire'ów.

Grafarholt, Islandia – Brytan, widzę na pasach startowych w Reykjaviku sześć myśliwców. Wszystkie mają czerwone gwiazdy. Wszystkie mają podwójne usterzenie pionowe i są uzbrojone w pociski powietrze-powietrze. Dwie wyrzutnie SAM-ów i jakieś działo – wygląda na Gatlinga – umieszczone na pojeździe gąsienicowym.

–To ZSU-30, Ogar. Niedobra wiadomość. Chcemy wszystko o tym kurewstwie wiedzieć. Ile tego jest?

–Tylko jedno, stoi na niewielkim, trawiastym wzniesieniu, kilkaset metrów od głównego terminalu lotniska.

–Myśliwce są razem, czy rozstawione na różnych pasach?

–Rozstawione. Po dwa na każdym. Mały pojazd plus pięciu, sześciu żołnierzy koło każdej pary. Wydaje mi się, że mają tu około setki wojska. Dysponują dwoma transporterami opancerzonymi i dziewięcioma ciężarówkami. Teren lotniska jest bez przerwy patrolowany. Ponadto kilka stanowisk karabinów maszynowych. Rosjanie do przerzucania żołnierzy używają chyba miejscowych samolotów pasażerskich. Widzieliśmy, jak źli chłopcy wsiadają do niewielkiej, dwusilnikowej maszyny. Naliczyłem dziś cztery

takie loty. Od wczoraj nie widzieliśmy ani jednego helikoptera.

–A jak wygląda sam Reykjavik?

–Ulice stąd widać kiepsko. Poniżej rozciąga się dolina, więc widzimy samo lotnisko. Miasta nie; wyłącznie kilka przylegających do aeroportu ulic. Na skrzyżowaniu stoi jeden transporter. Kręcą się tam jacyś wojskowi, może gliny, nie wiem. Moim zdaniem, większość żołnierzy zgrupowali w Reykjaviku i Keflaviku. Cywile nieliczni i prawie nie widać samochodów prywatnych. Duży ruch natomiast panuje na głównych arteriach wzdłuż wybrzeża, po zachodniej stronie i na autostradzie 1. To chyba patrole.

Na obu autostradach łącznie naliczyliśmy ich pięćdziesiąt.

I jeszcze jedno. Czasami Rosjanie używają prywatnych aut.

Nie widzieliśmy żadnego jeepa, z wyjątkiem paru naszych kursujących po terenie lotniska. A przecież mają chyba coś w rodzaju jeepów, prawda? Zapewne przejęli wszystkie miejscowe wozy terenowe. To bardzo użyteczne pojazdy i widzę, że wiele ich tu jeździ.

–A transporty lotnicze?

–Doszło pięć. Jest ładna pogoda i widzieliśmy, jak przybywają do Keflaviku. Cztery składały się z iłów-76^ zaś samoloty ostatniego przerzutu przypominały wyglądem nasze C-130. Nie wiem, co to za maszyny.

–A myśliwce?

–Jeden wystartował przed dwiema godzinami. Powiedziałbym, że odbywają rutynowe loty patrolowe. Są zarówno tu, jak i w Keflaviku. To oczywiście tylko moje przypuszczenie, ale założyłbym się, że tak jest. Pozostałe myśliwce wystartowały jakieś pięć minut temu. Wyglądało to na alarm.

–Wyśmienicie, Ogar. Zrozumiałem. Wasza sytuacja?

–Jesteśmy dobrze ukryci, a sierżant wypatrzył dwie drogi ewentualnego odwrotu. Nikt jeszcze na nas nie zwrócił uwagi. Wygląda na to, że Rosjanie trzymają się terenów gęściej zaludnionych i dróg. Jeśli zaczną się do nas zbliżać, zwijamy manatki i szukamy innej kryjówki.

–Znakomicie, Ogar. Prawdopodobnie dostaniecie polecenie, by opuścić to wzgórze. Dobrze się sprawujecie.

Szkocja – Chłopak nieźle się spisuje – powiedział major. Był w trochę niezręcznej sytuacji: amerykański oficer w punkcie łączności NATO prowadzonym przez ludzi z brytyjskiego wywiadu, którzy nie dowierzali informacjom Edwardsa.

–Powiedziałbym, że wspaniale – przytaknął starszy Brytyjczyk. Miał tylko jedno oko. Drugie stracił był przed laty. Pozostałym jednak potrafi, skubany, dobrze patrzeć, pomyślał major. –

Zauważcie, panowie, jak dokładnie rozgranicza obiektywne obserwacje od własnych opinii.

–Przepowiadacz pogody – parsknął ktoś trzeci. – Powinniśmy tam mieć jakiegoś zawodowca. Kiedy możemy tam kogoś podrzucić?

–Być może jutro. Marynarka chce wysłać ich okrętem podwodnym. Wyraziłem zgodę. Dla spadochroniarzy to trochę niebezpieczne. Na Islandii jest bardzo dużo skał i łatwo przy lądowaniu połamać nogi. Ponadto radzieckie myśliwce… Nie ma pośpiechu. Najpierw przetrzebimy Iwanowi jego samoloty, czym mocno utrudnimy mu życie.

–Zaczynamy dziś w nocy – odparł major. – „Nordycki Młot" w Drugiej Fazie uderzy mniej więcej w czasie lokalnego zachodu słońca.

–Mam nadzieję, że pójdzie lepiej niż Faza Pierwsza, staruszku.

Stornoway, Szkocja – I jak tu rzeczy stoją? – zapytał Toland swego współpracownika z RAF-u. Na chwilę przed odlotem wysłał do Marthy telegram: CZUJĘ SIĘ ŚWIETNIE. CHWILOWO JESTEM NA PLAŻY. UWIELBIAM WAS. Sądził, że to wystarczy i uspokoi żonę. Prawdopodobnie informację o uszkodzeniu lotniskowca zamieściły już wszystkie gazety.

–Mogło by być lepiej. Gdy próbowaliśmy pomóc Norwegom, straciliśmy osiem tornado. Obecnie dysponujemy minimalną, niezbędną do obrony liczbą tych samolotów.

Iwan zaczął atakować nasze północne instalacje radarowe.

Wprawdzie niezmiernie mi przykro z powodu tego, co

przytrafiło się pańskiemu lotniskowcowi, ale muszę przyznać, że bardzo rad jestem z tego, że wasze załogi przysłano do nas.

Myśliwce przechwytujące i samoloty radarowe z „Nimitza" rozmieszczone zostały w trzech bazach RAF-u. Na okręt ciągle przybywały samolotami transportowymi ekipy remontowe i rakiety do obrony okrętu, a każdy F-14 był w pełni uzbrojony. Samoloty mogły używać zastępczo brytyjskich pocisków Sparrow. Z bazy lądowej myśliwiec potrafił zabrać większy ładunek broni i paliwa niż z okrętu. Załogi były w paskudnych nastrojach. Najpierw użyto ich maszyn i drogocennych pocisków do walki z nieszkodliwymi rakietami. Potem, po powrocie, piloci ujrzeli skutki tej pomyłki. Ciągle nie znana, była liczba zabitych, ale z „Saipana" uratowało się zaledwie dwieście osób, a z „Focha" – tysiąc. Pod względem liczby ofiar była to największa porażka, jakiej kiedykolwiek doznała marynarka Stanów Zjednoczonych. Tysiące poległych i ani jedna maszyna wroga nie została zestrzelona dla wyrównania strat. Jedynie francuskie, dwudziestoletnie crusadery stawiły czoło backfire'om, odnosząc sukces tam, gdzie zawiodły dumne tomcaty.

Toland uczestniczył właśnie w pierwszej odprawie zorganizowanej przez RAF. Piloci amerykańskich myśliwców siedzieli w grobowym milczeniu. Nie potrafili ukryć tego, co ich

nurtowało. Żadnych żartów. Żadnych szeptów. Żadnych śmiechów. Wiedzieli, że w niczym nie zawinili, że nie był to ich błąd, ale to nie zmieniało sprawy. Byli wstrząśnięci losem, jaki spotkał ich okręt.

To samo czuł Toland. Cały czas miał przed oczyma gruby na dziesięć centymetrów pokład rozdarty niczym celofan; czarną dziurę w miejscu, gdzie mieścił się pokład hangarowy. I rząd worków – a w nich ciała poległych na pokładzie najpotężniejszego okrętu wojennego na świecie.

–Komandorze Toland – lotnik poklepał go po ramieniu – może pan pójść ze mną?

Udali się do pokoju operacyjnego. Bob natychmiast spostrzegł, że nanoszono tam właśnie na nakres kolejny nalot. Oficer operacyjny w stopniu porucznika skinął na Tolanda.

–Pułk, zapewne niecały. Jeden z waszych EP-3 złapał ich transmisję radiową, kiedy w powietrzu, na północ od Islandii, uzupełniali paliwo. Prawdopodobnie zamierzają napaść na jeden z tych konwojów.

–I chcecie, by tomcaty zastawiły na nich pułapkę, gdy będą już w drodze powrotnej? Trudno to wszystko zgrać.

–Zgadza się, bardzo trudno. To kolejna komplikacja.

Korzystają z Islandii jako punktu orientacyjnego i bezpiecznego miejsca zbiórki. Dostaliśmy raport, że Iwan ma tam myśliwce. Operują na dwóch lotniskach.

–Raport pochodzi ze źródła zwanego Ogar?

–Och, słyszał już pan o tym? Tak, zgadza się.

–Jakie to myśliwce?

–Chłopak doniósł, że mają podwójne usterzenie pionowe. Mogą to być migi: 25, 29 lub 31.

–Fulcrumy – mruknął Toland. – Reszta to myśliwce przechwytujące. Czy B-52 nie przyjrzały się im bliżej?

–One wszystkie są do siebie podobne. Ale zgadzam się, że to prawdopodobnie fulcrumy i że najważniejszą rzeczą dla Iwana są myśliwce. Dzięki nim ustali bezpieczny korytarz powietrzny dla swoich bombowców.

Odprawa, którą był opuścił Toland, dotyczyła akcji RAF-u przeciw Keflavikowi. Poprawiło to nieco zwarzone humory amerykańskich pilotów.

–W powrotnej drodze będą musiały zapewne tankować… Uderzyć na tankowce powietrzne?

–Myśleliśmy o tym. Ale to miliony mil kwadratowych oceanu. Prawie niemożliwe, by całą operację zgrać w czasie.

Niemniej w przyszłości pomyślimy i o tym. Na razie musimy zająć się naszą obroną powietrzną. Ponadto Iwan planuje zapewne desant morski na Norwegię. Jeśli pojawi się rosyjska flota, musimy ją przygwoździć.

USS „Pharris" – Kapitanie, grozi nam nalot – poinformował pierwszy oficer. – Około dwudziestu pięciu backfire'ów. Cel nieznany.

–No cóż, na pewno dwudziestoma pięcioma maszynami

nie zaatakują grupy lotniskowców. Okręty mają przecież osłonę myśliwców NATO. Gdzie są teraz ci Rosjanie?

–Chyba nad Islandią. Trzy do pięciu godzin lotu od nas. Nie tworzymy wprawdzie największego w okolicy konwoju, ale jesteśmy najbardziej na widoku.

–Może szukają jakiegoś innego celu. Choć nie sądzę.

Nasze statki wiozą przecież materiał wojskowy…

Konwój dysponował zaledwie pięcioma okrętami z wyrzutniami SAM-ów i stanowił bardzo łatwy cel.

Grafarholt, Islandia – Smugi kondensacyjne, Brytan. Widzimy na niebie smugi kondensacyjne. Około dwudziestu. Właśnie się pojawiły.

–Potrafisz określić typ maszyn, które je zostawiają?

–Nie. Ogromne samoloty, na skrzydłach nie mają silników. Nie wiem, jaki to typ. Lecą bardzo wysoko i kierują się na południe. Trudno określić ich prędkość, ale nie słyszeliśmy gromu dźwiękowego, który by nastąpił, gdyby przekroczyły prędkość jednego macha.

–Potwierdź ilość – polecił Brytan.

–Dwadzieścia jeden smug kondensacyjnych. Kierunek lotu: mniej więcej jeden-osiem-zero. Jakieś pół godziny temu wszystkie myśliwce z Reykjaviku odleciały na północ.

Jak dotąd nie wróciły i nie wiemy, co się z nimi dzieje.

Bombowce raczej nie mają eskorty. Poza tym nic nowego.

–Przyjąłem, Ogar. Powiadom nas, gdy wrócą myśliwce. Może da się ustalić jakieś stałe cykle ich lotów.

Koniec.

Major odwrócił się do sierżanta.

–Proszę dać to natychmiast na drukarkę. Przelot pułku backfire'ów nad Reykjavikiem potwierdzony; przypuszczalny kurs: jeden-osiem-zero. Możliwa osłona myśliwców… eee… tak, lepiej to również daj.

Centrum łączności NATO było jedną z niewielu placówek pracujących jeszcze normalnie. Satelity telekomunikacyjne, znajdujące się na swych nieosiągalnych dotąd dla wroga,

wysokich orbitach nad równikiem, dostarczały informacji do punktów na całym świecie. Tutaj, w Szkocji, mieścił się jeden z głównych „węzłów" łączności wojskowej.

USS „Pharris" Morris zauważył, iż pogoda sprzyja powstawaniu smug kondensacyjnych. Temperatura i wilgotność panujące na dużej wysokości mogły powodować kondensację gorących wydechów z silników samolotowych. Ogromne, przybliżające dwudziestokrotnie lornety, za pomocą których lustrowano zazwyczaj ze skrzydeł mostka powierzchnię morza, zostały przeniesione na pomost nawigacyjny i umieszczone na samej górze nadbudówki. Obserwatorzy niezwłocznie zaczęli śledzić niebo. Poszukiwali głównie bearów, radzieckich samolotów penetracyjnych, które wynajdywały cele dla backfire'ów.

Panowała nerwowa atmosfera. Ludzie byli spięci. Już same okręty podwodne stanowiły wystarczające zagrożenie – po rozbiciu grupy lotniskowców poprzedniego dnia konwój stał się praktycznie bezbronny również wobec ataku z powietrza. Znajdował się zbyt daleko w morzu, by liczyć na pomoc przebywających na lądzie myśliwców. „Pharris" dysponował tylko najbardziej elementarnymi środkami obrony przeciwlotniczej. Z trudem mógł obronić samego siebie, a o osłonie innych jednostek nie było w ogóle mowy. Dysponujące pociskami woda-powietrze okręty ustawiły się w linii po północnej stronie konwoju – dwadzieścia mil na południe od „Pharrisa", który kontynuował poszukiwania łodzi podwodnych. Wszystko, co fregata mogła uczynić, to obserwować wskazania instrumentów i przekazywać drogą radiową wszelkie informacje.

Załoga była przekonana, że Iwan dysponuje zainstalowanymi na bearach radarami Big- Bulge, których zadanie stanowiła lokalizacja i klasyfikacja celów. Z rozkazu dowódcy konwoju jednostki zaopatrzone w SAM-y miały sformować dodatkowy rząd i pozorować, iż są nie uzbrojonymi statkami handlowymi. Przy odrobinie szczęścia jakiś bardziej ciekawski bear może chwycić przynętę i zdecydować się na

identyfikację wzrokową. Wystarczyłby wtedy jeden daleki, celny strzał.

–Mamy kontakt! Radar Big Bulge. Współrzędne: zero-zero-dziewięć. Sygnał słaby.

–Przeocz nas, skurwielu – szepnął oficer taktyczny.

–Niewielka szansa – odparł Morris. – Proszę przekazać wiadomość dowódcy eskorty.

Bear leciał na południe. Zbliżając się do konwoju, w odstępach dziesięciominutowych włączał radar na dwie minuty. Niebawem wykryto kolejny tego typu samolot, tym razem trochę bardziej na zachód. Zespoły nakresowe ustaliły ich pozycje i via satelita przekazały informację wraz z rozpaczliwym wołaniem o pomoc do dowództwa naczelnego Floty Atlantyckiej w Norfolk. Norfolk odebrało wiadomość, a w dziesięć minut później doniosło, że nie jest w stanie udzielić żadnej pomocy.

Na „Pharrisie" przygotowywano się do walki z lotnictwem nieprzyjaciela. Uruchomiono systemy obrony przeciwrakietowej i radar sterujący umieszczonym na rufie działem Gatling. Wszystkie inne radary wyłączono. Operatorzy radiolokacyjni tkwili na swoich posterunkach w centrum informacji bojowej i, w miarę jak napływały dane z antyradaru, w napięciu manipulowali urządzeniami. Od czasu do czasu zerkali na nakres.

–Prawdopodobnie oba beary już nas namierzyły.

–Niebawem pojawią się backfire'y – skinął głową Morris.

Kapitan pomyślał o bitwach morskich podczas drugiej wojny światowej, o których uczył się w akademii: o przewadze Japończyków w powietrzu, o Niemcach używających condorów dalekiego zasięgu do lotów. śladem konwojów i przekazywania szczegółowych danych o ich pozycjach do wszystkich zainteresowanych jednostek, o bezradnych aliantach. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, że sam kiedyś znajdzie się w podobnych tarapatach. Czyżby po czterdziestu latach miała powtórzyć się podobna sytuacja taktyczna? To absurd – myślał Morris. – Absurd i zgroza.

–Mamy kontakt wzrokowy z bearem. Jest tuż nad horyzontem. Pozycja: dwa-osiem-zero – dobiegło z głośnika. 24 – Czerwony sztorm

–Cel za rufą – od razu odezwał się oficer taktyczny.

Popatrzył na Morrisa. – Może podleci na odległość strzału.

–Proszę jeszcze nie włączać radaru. Pewnie zastanawia się, czy mamy osłonę rakietową.

–Chyba nie jest aż tak głupi.

–Spróbuje oszacować, czym dysponuje obrona konwoju – odparł cicho Morris. – Na razie nie może jeszcze niczego dostrzec. Poza tym trudno jest z samolotu zidentyfikować rodzaj okrętu. Zobaczymy, na ile okaże się ciekawski…

–Samolot zmienia kurs – zaanonsował głośnik. – Skręca na wschód, w naszą stronę.

–Stanowisko bojowe na prawej burcie! Ster prawo!

Cała naprzód! Nowy kurs: jeden-osiem-zero – natychmiast rozkazał Morris. Skręcił na południe, by pchnąć beara bliżej okrętów wyposażonych w broń rakietową. – Namierzyć cel! Gotowość ogniowa! Strzelać natychmiast, jak tylko znajdzie się w zasięgu broni. „Pharris", zmieniając gwałtownie kurs, zakołysał się na falach. Wraz z okrętem obracało się zgodnie z ruchem wskazówek zegara przednie 1070-milimetrowe działo. Kiedy tylko armata przyjęła właściwe położenie, sterujący nią radar podał współrzędne wrogiej maszyny i długa lufa uniosła się o trzydzieści stopni, kierując się na cel. Działo na rufie zrobiło to samo.

–Cel na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, odległość: piętnaście mil; obiekt ciągle się zbliża.

Dowódca eskorty nie wydał jeszcze rozkazów wyrzutniom rakietowym. Niech Iwan pierwszy wystrzeli; potem dopiero przekona się, co ma przed sobą. Historia bitwy z grupą lotniskowców stała się już w konwoju znana. Wielkie rosyjskie pociski powietrze-ziemia były łatwe do zestrzelenia, gdyż leciały do celu prostym torem. Niemniej należało reagować szybko. Rakiety te osiągały wielką prędkość.

Dowódca obrony doszedł do przekonania, że bear wciąż jeszcze prowadzi namiary i nie zna siły eskorty. Im dłużej pozostanie w niewiedzy, tym lepiej. Backfire'y mogą nie mieć wystarczającej ilości paliwa na to, by długo wałęsać się

z dala od swoich baz. Gdyby jednak bear zbliżył się wystarczająco…

–Rozpocząć ostrzał! – zawołał Taktyczny.

Działo „Pharrisa" przeszło na automatyczne sterowanie ogniem, wystrzeliwując pociski w odstępach dwusekundowych. Bear znajdował się jeszcze daleko i szansa trafienia była nikła, mimo tego należało go postraszyć.

Pierwsze pięć pocisków spadło zbyt blisko; eksplodowały dobrą milę przed samolotem. Trzy następne były już dużo celniejsze. Jeden z nich wybuchł zaledwie dwieście metrów od lewego skrzydła maszyny. Radziecki pilot instynktownie skręcił w prawo. Popełnił błąd. Nie zdawał sobie sprawy, że najbliższy rząd „handlowców" dysponował bronią rakietową.

Parę sekund później poszły dwie rakiety i bear natychmiast znurkował. W powietrzu rozbłysnął deszcz aluminiowych blaszek, a maszyna zaczęła nadlatywać wprost na „Pharrisa".

Dało to załodze działa kolejną szansę. Wystrzeliła ponad dwadzieścia pocisków. Zapewne dwa z nich eksplodowały wystarczająco blisko, by uszkodzić bombowiec. Ale nie było widać skutków. Potem nadleciały rakiety; cienkie, białe strzały, wlokące za sobą warkocze siwego dymu.

Jedna zboczyła z trasy i eksplodowała w wirujących w powietrzu blaszkach. Druga wybuchła w odległości stu metrów od maszyny. Głowica bojowa rozprysła się na tysiące pędzących z szaleńczą szybkością odłamków. Kilkanaście trafiło w lewe skrzydło beara. Jeden z potężnych

silników turbośmigłowych umilkł. Skrzydło również zostało mocno uszkodzone. Pilot zdołał jakoś opanować maszynę, która znalazła się poza zasięgiem dział „Pharrisa", i samolot, ciągnąc za sobą kolumnę dymu, odleciał na północ.

Drugi bear cały czas trzymał się daleko. Dowódca radzieckiej eskadry dostał już od oficera wywiadu wszelkie potrzebne informacje.

–Kolejne radary – ostrzegł technik urządzenia wykrywającego.

–Dziesięć… liczba wzrasta. Czternaście… osiemnaście – liczył operator radiolokatora.

–Cele na współrzędnych: zero-trzy-cztery. Odległość: sto osiemdziesiąt mil. Cztery, teraz pięć… już sześć obiektów.

Kurs: dwa-jeden-zero. Szybkość: sześćset węzłów.

–To backfire'y – odezwał się Taktyczny.

–Kontakt radarowy! – przyszedł kolejny meldunek. – Wampir! Wampir! Mamy nadlatujące rakiety!

Morris skurczył się w sobie. Okręty wojenne włączyły wszystkie nadajniki radarowe. Na spotkanie nadlatujących pocisków ruszyły rakiety. „Pharris" w tej grze nie brał udziału.

Kapitan polecił skierować go z pełną prędkością na północ i wyjść z prawdopodobnego zasięgu wrogich pocisków.

–Backfire'y zawracają. Bear ciągle na tej samej pozycji.

Odbieramy przez radio jakiś świergot. Nadlatują dwadzieścia trzy rakiety. Współrzędne zmienne – powiedział Taktyczny. – Wszystkie mierzą w konwój. My chyba jesteśmy już w bezpiecznej odległości.

W centrum informacji bojowej słyszeć się dało westchnienie ulgi. Kapitan popatrzył na ekran radaru. Rakiety nadlatywały z północnego wschodu, a na ich spotkanie mknęły SAM-y. Konwój dostał polecenie rozproszyć się i statki handlowe całą mocą silników uciekały obecnie ze strefy zagrożenia. Z dwudziestu trzech radzieckich pocisków dziewięć przedarło się przez ścianę SAM-ów i znurkowało w stronę statków. Siedem trafiło w cel.

Siedem statków zatonęło. Niektóre uległy natychmiastowemu zniszczeniu w wyniku uderzenia tysiąckilogramowych głowic bojowych. Załogi innych miały czas opuścić pokład. Z Delaware wyruszyło trzydzieści jednostek. Pozostało z nich dwadzieścia, a od Europy dzieliło je tysiąc pięćset mil otwartego oceanu.

Grafarholt, Islandia Dwóm backfire'om skończyło się wcześniej paliwo i musiały lądować w

Keflaviku. Potem nadleciał uszkodzony bear i w oczekiwaniu na zwolnienie pasa kołował nad Reykjavikiem. Edwards w raporcie określił go jako „uszkodzony samolot turbośmigłowy". Słońce stało nisko

nad północno-zachodnim horyzontem, więc kadłub beara lśnił żółto na tle kobaltowoniebieskiego nieba.

–Pozostań na nasłuchu Ogar – polecił Brytan.

Trzy minuty później porucznik i jego ludzie zrozumieli, dlaczego.

Tym razem nie było żadnych samolotów z radiostacjami zagłuszającymi, które ostrzegłyby Rosjan. Osiem FB-111 przemknęło nisko nad skałami na południowy zachód od pokrytego górami środka wyspy i przeleciało dwójkami wzdłuż dna doliny Selja. Ich zielonoszary, ochronny kolor czynił je prawie niewidzialnymi dla krążących w górze myśliwców. Prowadząca para skręciła prosto na zachód, kilometr za sobą mając kolejną dwójkę. Pozostałe cztery maszyny okrążyły Mount Hus od południowej strony.

–O kurwa! – Smith pierwszy zauważył dwa pędzące na południe z opętańczą szybkością stateczniki ogonowe.

W chwili, kiedy dostrzegł je Edwards, prowadząca maszyna wystrzeliła właśnie parę sterowanych telewizyjnie bomb.

Drugi samolot uczynił to samo. Cztery rakiety spadły na stację transformatorową. Wszystkie światła w okolicy pogasły jak na dany znak. Druga para aardvarków z rykiem pomykała nad autostradą 1. Mignęła ponad dachami Reykjaviku i runęła w stronę wyznaczonych celów. Pierwszy wystrzelił rakiety, a drugi skręcił w lewo, w stronę składów paliwa znajdujących się na lotnisku. Sekundę później eksplodowała wieża kontrolna i hangar, zaś rockeye'e roztrzaskały zbiornik z paliwem.

Zdezorientowani Rosjanie otworzyli ogień zbyt późno.

Obrona radziecka w Keflaviku również została kompletnie zaskoczona. Najpierw przez nagły brak dopływu prądu, a następnie przez bombowce, które z rykiem nadleciały minutę później. Tutaj także głównymi celami stały się wieża kontrolna i hangary. Po trafieniu tonowymi bombami rozpadły się jak domki z kart. Druga dwójka dostrzegła stojącą na pasach parę backfire'ów i towarzyszący im pojazd z wyrzutnią rakietową. Poleciały w dół rockeye'e. W międzyczasie myśliwce FB-111 już pędziły na dopalaczach na zachód, a za nimi gnały pociski artylerii przeciwlotniczej, rakiety i… myśliwce. Na odlatujące varki, których ochronne

zagłuszacze wypełniały powietrze elektronicznym jazgotem, spadło z nieba sześć fulcrumów.

Zrzuciwszy ładunek, amerykańskie bombowce pomknęły na wysokości zaledwie trzydziestu metrów nad falami morskimi z szybkością siedmiuset węzłów. Dowódca myśliwców nie mógł ich

przegapić. Wiedział już, co wydarzyło się w Keflaviku i z furią myślał, że w tym czasie jego samoloty, nieświadome wydarzeń na ziemi, krążyły sobie spokojnie po niebie. Fulcrumy miały niewielką przewagę szybkości. Znajdowały się już ponad sto mil od brzegu, kiedy ich radary zgasły na skutek działania amerykańskich antyradarów. Dwa myśliwce natychmiast wypuściły rakiety i samoloty NATO, aby je stracić, wykonały gwałtowny skok w górę, a następnie w dół. Jeden z FB-111, trafiony rakietą, młynkiem spadł do wody. Rosjanin gotował się do kolejnej salwy, kiedy w jego maszynie zapłonęły systemy ostrzegania.

Cztery amerykańskie phantomy przygotowały zasadzkę.

W jednej chwili w stronę fulcrumów pikowało osiem rakiet Sparrow. Rosjanie musieli umykać. Migi-29 ostrym przechyłem na skrzydła skręciły i ruszyły na dopalaczach w stronę Islandii. Jeden został strącony, drugi uszkodzony.

Bitwa trwała pięć minut.

–Brytan, tu Ogar. Elektrownia przestała istnieć! Varki zrównały ją z ziemią. Na południowo-zachodnim skraju lotniska ściana ognia, a wieża rozcięta na pół. Dwa hangary roztrzaskane. Widzę dwa, a może i trzy płonące samoloty cywilne. Myśliwce wystartowały pół godziny temu. Stacja paliw płonie jak sto diabłów! Straszne zamieszanie – Edwards obserwował tuzin wozów bojowych, które jak oszalałe, z zapalonymi reflektorami jeździły w obie strony szosy. W odległości kilometra dwa zatrzymały się i wyskoczyli z nich żołnierze. – Brytan, myślę, że musimy opuścić to wzgórze.

–To zrozumiałe, Ogar. Idźcie na północny wschód, na wzgórze 482. Spodziewamy się, że będziecie tam za dziesięć godzin. Uciekajcie, chłopcy!

–Czas w drogę – Smith podał porucznikowi plecak i skinął na żołnierzy. – Myślę, że możemy zapisać sobie punkt.

Keflavik, Islandia Migi wylądowały na najdłuższym, nie uszkodzonym pasie jeden-osiem. Jeszcze się dobrze nie zatrzymały, a już obsługa naziemna zaczęła odwracać je w stronę przeciwną, aby przygotować maszyny do kolejnej operacji.

Pułkownik zdziwił się, stwierdziwszy, że komendant bazy jeszcze żyje.

–Ile strąciliście, towarzyszu pułkowniku?

–Wynik remisowy: jeden-jeden. Wasze radary nic nie wykazały?

–Nic. Najpierw uderzyli na Reykjavik. Nadleciały z północy dwie grupy samolotów. Skurwysyny, musieli trzymać się blisko skał – warknął major. – Zupełnieśmy je przeoczyli. Zdumiewające – wskazał stojący między dwoma pasami startowymi wielki, ruchomy radar.

–Należy go niezwłocznie przesunąć. Gdzieś wyżej.

Bardzo wysoko. Nigdy nie doczekamy się samolotu radiolokacyjnego, a jeśli nie zorganizujemy tu sobie dobrego systemu ostrzegania radarowego, to szybko nas stąd wykurzą. Znajdźcie jakieś odpowiednie wzgórze. Duże szkody?

–Bombki rockeye porobiły w pasach masę dziur. Załatamy je w ciągu dwóch godzin. Przez utratę wieży straciliśmy zdolność operowania większą liczbą samolotów jednocześnie, a ponieważ nieczynna jest elektrownia, stoi również rurociąg paliwowy i nie działają linie telefoniczne. – Major wzruszył ramionami. – Naprawimy oczywiście to wszystko, niemniej mamy wielki kłopot. Zbyt wiele pracy, zbyt mało ludzi. Rozproszymy nasze myśliwce i inaczej rozwiążemy kwestię paliwa. Z pewnością jego składy będą celem kolejnych nalotów.

–Nie sądzicie, towarzyszu, że przyszło im to zbyt łatwo?

Pułkownik spojrzał na dwa płonące stosy, które jeszcze pół godziny wcześniej były dwoma tu-22M backfire. Uszkodzony bear schodził właśnie do lądowania. – Wszystko zbyt dobrze skoordynowane w czasie. Złapali nas w chwili, kiedy połowa myśliwców eskortowała bombowce daleko od północnego wybrzeża. Przypadek? Być może, ale nie wierzę w przypadki. Wyślijcie żołnierzy, by solidnie

przetrząsnęli okolice bazy. Mogą się tam kręcić jacyś informatorzy. I proszę wzmocnić straże. Ja… co to takiego?

Na betonie, sześć metrów od nich, leżała bombka rockeye.

Major wyjął z jeepa plastikową chorągiewkę i umieścił ją przy pocisku.

–Amerykanie nastawiają je czasem na opóźnienie. Moi ludzie przeszukują już teren. Proszę się nie niepokoić, towarzyszu, wszystkie wasze myśliwce wylądowały bezpiecznie. Tamto lądowisko było czyste.

Pułkownik odsunął się parę kroków.

–I co z nimi robicie?

–Mamy już wprawę. Używamy specjalnie przerobionych buldożerów, które spychają je z pasów. Niektóre eksplodują, niektóre nie. Do tych, które zostają, nasi snajperzy strzelają z karabinów.

–A wieża?

–Trzech ludzi stoi na posterunku. Dobrzy fachowcy – major ponownie wzruszył ramionami. – Proszę o wybaczenie, ale mam wiele pracy.

Pułkownik obrzucił jeszcze raz wzrokiem bombkę, po czym odmaszerował w stronę myśliwców. Najwyraźniej nie docenił majora.

Islandia – Światło na naszym wzgórzu – odezwał się Garcia.

Cała czwórka przypadła do ziemi. Edwards obok sierżanta.

–Któryś ze skurwieli zapalił papierosa – odezwał się z goryczą Smith. Ostatniego skończył parę godzin wcześniej i odczuwał już dotkliwy głód nikotyny. – Widzi pan teraz, dlaczego zabieramy ze sobą wszystkie śmieci.

–Szukają nas? – odparł pytaniem Edwards.

–Tak sądzę. Atak był przeprowadzony bardzo precyzyjnie. Zastanawiają się, czy nie maczali w tym palców wyspiarze. Dziwię się, że nie wpadli na ten pomysł wcześniej.

Mieli chyba zbyt wiele innych zajęć.

–Myśli pan, że mogą nas zobaczyć? – zaniepokoił się Edwards.

–Z odległości trzech kilometrów? Za ciemno, a ponadto palą. Są niedbali. Rozluźnieni, poruczniku. Nie tak łatwo znaleźć w takim terenie cztery osoby. Za dużo gór i skał.

Musimy poruszać się bardzo ostrożnie i unikać grani. Jeśli będziemy trzymali się dolin, nie znajdą nas nawet przy pomocy noktowizorów. No żołnierze, w drogę.

USS „Pharris" Dopalał się ostatni statek handlowy. Marynarze opuścili jego pokład już dwie godziny wcześniej, a on ciągle płonął na zachodnim horyzoncie. Kolejni zabici – pomyślał Edwards. Tylko połowa załogi uszła z życiem. Nie było czasu na dokładniejsze poszukiwania. W konwoju nie płynął żaden statek ratowniczy. Helikoptery wyłowiły z wody wielu rozbitków, ale musiały się zająć przede wszystkim tropieniem okrętów podwodnych. Kapitan otrzymał depeszę, że oriony z Lajes wykryły i prawdopodobnie zniszczyły boomer klasy Echo. Miła wiadomość, lecz wywiad donosił, że w pobliżu kręcą się jeszcze dwa inne.

Utrata Islandii okazała się katastrofą, której skutki dopiero teraz w pełni się ujawniały. Radzieckie bombowce miały swobodny dostęp do wszystkich szlaków handlowych. Przez Cieśninę Duńską przedostawały się kolejne rosyjskie jednostki podwodne, mimo że marynarka NATO wysłała w tamten rejon wiele okrętów pływających w morskich głębinach. Miały odtworzyć barierę – barierę, od której zależał los konwojów. Marynarka i siły powietrzne czyniły wszystko, by ponownie myśliwce zaczęły osłaniać statki przed backfire'ami; wysiłki te ciągle okazywały się niewystarczające. Dopóki Islandia znajdować się będzie w rękach radzieckich, los Trzeciej Bitwy o Północny Atlantyk pozostanie niepewny.

Z baz morskich na Pacyfiku w San Diego i Pearl Harbour wypływały okręty i kierowały się na południe, w stronę Panamy.

POWROTY

USS „Pharris" Sytuacja się względnie unormowała: backfire'y ciągle pojawiały się od strony Islandii, ale tego popołudnia zaatakowały inny konwój, zatapiając jedenaście statków handlowych. Wszystkie płynące na wschód formacje skręciły na południe; wybrały dłuższą, lecz za to bezpieczniejszą drogę do Europy. Straty były ogromne – blisko sześćdziesiąt zatopionych jednostek. Teraz więc, by atakować płynące bardziej na południe statki, radzieckie bombowce mogły zabierać tylko po jednej rakiecie zamiast dwóch.

Załoga fregaty była już zmęczona. Od tygodnia prawie trwał nieustanny alarm; cztery godziny snu, cztery godziny służby. Zakłócony został kompletnie cykl dzień-noc. Ludzie jedli nieregularnie, w pośpiechu, a konieczne naprawy i remonty przeprowadzali kosztem snu. Najgorsza była jednak świadomość, że w każdej chwili mógł nastąpić atak spod wody lub z powietrza. Niemniej okręt funkcjonował normalnie, choć Morris zdawał sobie sprawę, że jego załoga dochodzi już do kresu wytrzymałości. A przecież zmęczenie i błędy idą w parze; to tak oczywiste jak grawitacja.

Kapitan miał wątłą nadzieję, że sytuacja niebawem się ustabilizuje. Oficerowie radzili, by się tak nie przejmował; on jednak wiedział swoje.

–Mostek, tu centrala bojowa. Kontakt sonarowy. Być może okręt podwodny. Współrzędne: zero-zero-dziewięć.

–I znów od początku – westchnął dyżurujący przy sterze oficer.

Po raz dwudziesty czwarty w tej podróży marynarze „Pharrisa" ruszyli biegiem na stanowiska bojowe.

Tym razem trwało to trzy godziny. Nie dysponowali

orionami:, więc sprawą zajęły się przysłane z jednostek eskortowych helikoptery, którymi kierowała załoga Morrisa skupiona w centrum informacji bojowej. Kapitan wytropionego okrętu doskonale znał swój fach. Na pierwsze oznaki, że został namierzony – być może radziecki hydrolokator wykrył obecność helikoptera lub dotarł do niego plusk zrzucanej pławy sonarowej – polecił sprowadzić swą jednostkę na dużą głębokość i rozpoczął serię mylących manewrów; przyspieszał, zwalniał, dryfował, przesuwał się w górę i w dół przez warstwy wodne. Robił wszystko, by przerwać kontakt – ale cały czas kierował się w stronę konwoju. Wcale nie zamierzał uciekać. Obraz okrętu podwodnego to znikał, to znów pojawiał się na nakresach taktycznych „Pharrisa". Ciągle był w pobliżu, ale ani razu nie zdradził swej pozycji na tyle dokładnie, by fregata lub helikopter mogły oddać strzał.

–Znów zniknął – odezwał się z melancholią w głosie oficer ASW. – Dobry, skubaniec.

Zrzucona dziesięć minut wcześniej pława sonarowa wykryła słaby sygnał, przekazywała go przez dwie minuty, po czym straciła namiar.

–Zbyt blisko – dodał Morris.

Jeśli okręt będzie dalej utrzymywać południowy kurs, może znaleźć się w zasięgu aktywnego sonaru fregaty. Aż do teraz Rosjanin nie zdawał sobie sprawy, że „Pharris" jest w tym miejscu. Z obecności helikopterów słusznie wnioskował, że towarzyszą im jednostki nawodne, ale nie spodziewał się fregaty w odległości zaledwie dziesięciu mil na południe.

Morris spojrzał na dowódcę zwalczania okrętów podwodnych.

–Uaktualnijmy profile temperatur.

Trzydzieści sekund później opuścili batytermograf. Instrument mierzył ciepłotę wody i przekazywał dane na ekran w przedziale hydrolokacji. Temperatura wody była najistotniejszym czynnikiem środowiskowym wpływającym na pracę sonaru. Wszystkie okręty nawodne sprawdzały ją od czasu do czasu, lecz podwodne mogły to robić

bez przerwy – kolejna trudność w walce z jednostkami tego typu.

–Tam! – wskazał Morris. – Gradient jest dużo silniejszy i z pewnością będą chcieli to wykorzystać. Nie wrócił do głębokiego korytarza i pędzi teraz nad warstwą, a nie pod nią jak należałoby się spodziewać. W porządku…

Helikoptery ciągle zrzucały pławy i w krótkich chwilach, kiedy łapały namiar, ustalono, że okręt uparcie prze na południe, w kierunku „Pharrisa". Morris odczekał dziesięć minut.

–Mostek, tu centrum bojowe, ster prawo. Nowy kurs: zero-jeden-jeden – rozkazał kapitan, kierując okręt prosto na przypuszczalną pozycję wroga. Fregata płynęła z szybkością pięciu węzłów i na spokojnym morzu poruszała się cicho. Załoga centrum informacji bojowej wpatrywała się w ekran na tylnej grodzi, obserwując, jak okręt z wolna schodzi ze wschodniego kursu.

Wykres taktyczny okazał się tu bezużyteczny. Zdezorientowany licznymi, krótkimi informacjami z pław sonarowych – w większości były to alarmy fałszywe – wyliczający pozycję obcej jednostki podwodnej komputer był bezradny. Miał wszak do czynienia ze stoma milami kwadratowymi wody. Morris podszedł do wykresu w rogu pomieszczenia.

–Myślę, że jest dokładnie tutaj – uderzył palcem mapę. – Jakieś uwagi?

–Płynie na płyciznę? To wbrew zasadom – odparł oficer dowodzący zwalczaniem okrętów podwodnych. Jak donosił wywiad, Rosjanie ściśle trzymali się swej doktryny.

–Zobaczymy. Poszukujący system Yankee.

Oficer natychmiast wydał stosowne rozporządzenie. Poszukiwania Yankee polegały na włączeniu aktywnego sonaru fregaty i chłostaniu wody impulsami w celu odnalezienia w niej okrętu podwodnego. Morris zaryzykował. Gdyby przeciwnik znajdował się tak blisko, jak Morris przypuszczał, zdradziłby swoją pozycję i naraził się na atak rakietowy.

Sonarzysta bacznie obserwował ekran. Pierwsze pięć impulsów ultradźwiękowych trafiło w pustkę i promień hydroCZERWONY SZTORM • 381 lokatora zaczął omiatać linię wschód-zachód. Na ekranie natychmiast pojawił się jasny punkt.

–Kontakt, pozytywny kontakt sonarowy. Położenie: zero-jeden-cztery. Odległość: jedenaście tysięcy sześćset metrów. Prawdopodobnie okręt podwodny.

–Ognia! – rozkazał Morris.

Pobudzacz paliwa stałego rakiety ASROC zadziałał niedaleko i, ciągnąc za sobą smugę siwego dymu, poszybował łukiem w niebo. Poruszające się niczym pocisk urządzenie wypaliło w trzy sekundy. Ponad trzysta metrów nad wodą od części nośnej oddzieliła się torpeda. Spadochron wyhamował natychmiast jej impet i śmiercionośna broń runęła w dół.

–Zmienił kurs, sir – ostrzegł sonarzysta. – Cel wykonuje zwrot i zwiększa szybkość. Widzę… o, tam, tam jest nasza rybka. Torpeda w wodzie. Wysyła impulsy sonarowe. Spadła bardzo blisko celu.

Oficer taktyczny jakby tego nie dosłyszał. Dokładnie nad podwodnym okrętem unosiły się trzy helikoptery. Istniała duża szansa, że torpeda rozminie się z celem, a nie można było dopuścić do tego, by stracić z nim kontakt. Taktyczny polecił skręcić w prawo i nastawić antenę sonaru biernego.

Okręt podwodny, aby uniknąć trafienia, poruszał się teraz z dużą szybkością i wytwarzał wiele hałasu. Nadleciał helikopter i zrzucił pławę sonarową.

–Dwie śruby i hałas kawitacyjny. Brzmi jak poruszający się z pełną prędkością charlie – oznajmił podoficer z hydrolokacji. – Sądzę, że go dostaniemy.

Torpeda przeszła na ciągłe wysyłanie i odbieranie impulsów ultradźwiękowych. Lekkim łukiem popędziła w dół za umykającym okrętem. Pocisk, kiedy wszedł w warstwę termoklinową, stracił na chwilę cel, ale szybko go odnalazł, ponieważ i ścigany obiekt wpłynął na głębszą, zimniejszą wodę. Rosjanin wystrzelił generator szumów, lecz urządzenie było wadliwe. Natychmiast wprowadził do wyrzutni następne. Było już jednak za późno. Torpeda trafiła w lewą śrubę i eksplodowała.

–W porządku – huknął podoficer przy sonarze. – Eksplozja głowicy bojowej. Mamy skubańca.

–Uderzenie. Detonacja – potwierdził helikopter. – Silniki jeszcze pracują… dodatkowe dźwięki przesuwania się okrętu… brzęczenie. Świst powietrza; opróżnia zbiorniki.

Wychodzi w górę. Cel wychodzi w górę. Bąble na powierzchni. Do cholery, tam jest!

Dziób charliego wystrzelił nad fale w odległości sześciu mil od fregaty. Trzy helikoptery krążyły wokół zniszczonej jednostki niczym wilki, a „Pharris" natychmiast skręcił na północ i

ruszył w stronę wraka, kierując na niego lufy swych dział. Nie było to potrzebne. Otworzył się przedni luk i zaczęli z niego wynurzać się ludzie. W miarę, jak maszynownię zalewała woda, na kiosku pojawiali się następni. Na zewnątrz wydostało się dziesięć osób. Potem okręt znów zanurzył się pod wodę. Po chwili na powierzchnię wypłynął jeszcze jeden człowiek. Więcej nikt.

Helikoptery zrzuciły kamizelki ratunkowe i, zanim fregata zdążyła przybyć na miejsce, za pomocą wind wyciągnęły z wody dwie osoby. Morris z mostka kierował operacją.

Niebawem akcję usprawniła spuszczona na wodę niewielka łódź motorowa. Rosjanie byli kompletnie oszołomieni i nie stawiali oporu. Helikoptery dokładnie przeszukiwały powierzchnię wody, kierowały łódź do poszczególnych rozbitków.

Kiedy już wyłowiono całą jedenastkę, motorówka podpłynęła do lin wyciągarki. Starszy bosman „Pharrisa" osobiście nadzorował przebieg akcji; obok niego stał chorąży.

Nikt nie spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Torpeda, trafiając w okręt podwodny, przeważnie niszczy go całkowicie. Jeńcy – pomyślał Morris. – Cóż, do cholery, mam robić z jeńcami? Musiał zadecydować, gdzie ich umieścić, jak traktować. Jak ich przesłuchać? Czy jest na pokładzie ktoś, kto włada rosyjskim? Kapitan skierował do sterówki pierwszego oficera, a sam udał się na rufę.

Stali tam już uzbrojeni w karabiny M-14 marynarze i z wielką ciekawością spoglądali w dół, na szalupę.

Przymocowano liny wyciągarki i ta wyholowała łó‹dź do samych żurawików.

Rosjanie nie sprawiali imponującego wrażenia; większość z nich była w szoku. Cudem uniknęli straszliwej śmierci.

Morris zauważył wśród nich trzech oficerów, z których jeden był zapewne kapitanem. Morris wydał bosmanowi Clarke'owi szybkie rozkazy.

Szef uzbrojonej grupy marynarzy zrobił krok do tyłu i wyciągnął z kieszeni gwizdek. Kiedy motorówka została już umocowana, gwizdkiem tym wydał trzytonowy sygnał i zasalutował radzieckiemu kapitanowi, jakby ten był wizytującym fregatę dygnitarzem.

Rosjanin osłupiał. Morris podszedł do niego i pomógł mu wysiąść z łodzi.

–Witamy na pokładzie, kapitanie. Jestem kapitan Morris z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. – Ed rozejrzał się szybko, czując na sobie pełne niedowierzania spojrzenia swojej załogi.

Rosjanin odpowiedział coś we własnym języku – najwyraźniej nie znał słowa po angielsku. Przesłuchanie będzie musiał prowadzić ktoś inny. Morris wydał bosmanowi kolejne polecenia. Rosjanie zostali zabrani na badania lekarskie i po chwili wyprowadzono ich już do izby chorych.

Bosman na chwilę wrócił do Morrisa.

–Co się dzieje, kapitanie? – zapytał.

–Powiedziano im zapewne, że jak tylko wpadną w nasze ręce, dostaną kulę w łeb. Czytałem kiedyś książkę o takim jednym Niemcu w czasie drugiej wojny światowej, który wyspecjalizował się w wyciąganiu informacji od naszych chłopców. Był w tym dobry, ale jeńców traktował przy tym bardzo przyzwoicie. Do licha, jego więźniowie pomogli mu po wojnie zostać amerykańskim obywatelem.

Proszę oddzielić oficerów od reszty, a tę ostatnią podzielić na zwykłych marynarzy i podoficerów. Wszystkie trzy grupy trzymać oddzielnie. Zapewnić im wszelkie wygody.

Proszę ich nakarmić, dać papierosy i sprawić, by poczuli się bezpiecznie. Jeśli przypadkiem wie pan o jakiejś butelce na pokładzie, proszę zaaplikować każdemu po parę solidnych drinków. Wszyscy mają dostać nową odzież; starą zabrać i przesłać do kwatery starszych oficerów. Zobaczymy, może mają ze sobą coś ważnego. Proszę traktować ich łagodnie.

–Zrobione, kapitanie.

Szef odszedł, kręcąc głową. Ale tym razem na drzwiach sterowni wymaluje już sylwetkę całego podwodnego okrętu.

Morris wrócił do sterowni. Polecił sprowadzić fregatę na przydzielone jej stanowisko bojowe. Następnie połączył się z dowódcą eskorty i zameldował o jeńcach. – „Pharris" – odparł dowódca eskadry. – Macie rozkaz wymalować złote „A" na waszej wyrzutni ASROC.

Wyśmienita robota, Ed. Jesteście najlepsi w naszej grupie.

Płyniemy do was po jeńców.

Kapitan obejrzał się i zobaczył, że wachtowi nie wyszli jeszcze z pomieszczenia. Słyszeli słowa komandora. Nagromadzone od tygodnia zmęczenie minęło, a uśmiechy, jakimi obdarzyli Morrisa, znaczyły dla kapitana więcej niż pochwała dowódcy.

Kijów, Ukraina Aleksiejew popatrzył znad leżących na biurku materiałów wywiadu. Jego szef wyjechał do Moskwy na odprawę oficerów wysokiego szczebla. Leżące właśnie przed generałem informacje różniły się nieco, a w każdym razie powinny się różnić – poprawił w myślach – od tych, które usłyszał jego dowódca.

–Sprawy w Niemczech nie idą najlepiej? – zapytał kapitan Siergietow.

–Fatalnie. Przypuszczaliśmy, że przedmieścia Hamburga zdobędziemy mniej więcej po trzydziestu sześciu godzinach. Plan zakładał półtorej doby. Nie dotarliśmy tam do dzisiaj, zaś lotnictwo NATO zadało Trzeciej Armii Uderzeniowej ogromne straty… – urwał i zapatrzył się

w mapę. – Gdybym był dowódcą Paktu Atlantyckiego, przeprowadziłbym kolejny kontratak dokładnie w tym miejscu.

–Może są za słabi? Pierwszy kontratak odparliśmy.

–Za cenę dywizji czołgów i sześćdziesięciu samolotów.

Niepotrzebne nam takie sukcesy. Na południu sytuacja niewiele lepsza. NATO gra na zwłokę. Robi to znakomicie.

Ich siły lądowe i lotnictwo taktyczne operują na terenach, które znają od trzydziestu lat. Ponieśliśmy już prawie dwukrotnie wyższe straty od zakładanych i nie potrafimy

nic na to poradzić. – Aleksiejew odchylił się do tyłu.

Strofował się w duchu za defetyzm. Pragnął znaleźć się na polu walki. Był przekonany, jak każdy generał, że on pokierowałby wszystkim o wiele, wiele lepiej.

–A straty Paktu?

–Chyba też niemałe. Bardzo rozrzutnie szafują sprzętem. Niemcy rozpaczliwie bronią Hamburga i musi ich to drogo kosztować. Na ich miejscu, gdybym nie był w stanie kontratakować, oddałbym pole. Miasto nie jest warte tego, by zachwiać równowagę w całej armii. Nauczyliśmy się tego pod Kijowem…

–Wybaczcie, towarzyszu generale, a Stalingrad…?

–To trochę co innego, kapitanie. A swoją drogą to zadziwiające, jak historia lubi się powtarzać – mruknął Aleksiejew, studiując mapę na ścianie. Potrząsnął głową.

Niemcy Zachodnie miały zbyt dobrze rozwiniętą komunikację drogową. – KGB donosi, że NATO ma zapasy na dwa, najwyżej trzy tygodnie. To będzie czynnik rozstrzygający.

–A co z naszym paliwem i zaopatrzeniem? – spytał młody kapitan.

Generał zgromił go wzrokiem.

Islandia W nowym miejscu była woda. Potoki wypływały z topniejących w słońcu lodowców, które zajmowały cały środek wyspy. Śniegi padające przed tysiącami lat, w okresie, kiedy atmosfera nie była jeszcze zanieczyszczona, z upływem czasu zamieniły się w twardy lód. Dawał on obecnie krystalicznie czystą wodę o przepysznym smaku, ale zupełnie pozbawioną soli mineralnych. Potoki były przeraźliwie zimne i przeprawy przez nie nie należały do przyjemności.

–Została jeszcze tylko jedna dzienna racja, poruczniku – zauważył pod koniec posiłku Smith.

–No cóż, będziemy musieli coś wymyślić.

Edwards starannie zebrał resztki i Garcia zaczął je zakopywać w ziemi. Gdyby jeszcze istniał sposób zacierania śladów stóp, Smith zapewne i tego by zażądał. 25 – Czerwony sztorm

Tutaj, na wzgórzu 482, zakopywanie śmieci nie było prostą czynnością. Edwards, montując radio, słyszał mruczane pod nosem po hiszpańsku przekleństwa, które towarzyszyły dźwiękom uderzającej o kamienie saperki.

–Brytan, tu Ogar, kończy nam się żywność.

–To niedobrze, może dosłać wam trochę pizzy?

–Wesoły, skurwiel – powiedział Edwards, nie przełączając nawet radia. – Co mamy teraz robić?

–Spotkaliście kogoś?

–Przecież żyjemy. Oczywiście, że nie.

–Co widzicie?

–No cóż, w odległości jakichś trzech kilometrów stąd, po północnej stronie, biegnie droga gruntowa. Dalej jest coś w rodzaju farmy, ale trudno powiedzieć, czym obsiane są pola. Na zachód od nas farma owcza, którą minęliśmy, idąc na to wzgórze. Masa owiec. Dziesięć minut temu przejechała ciężarówka. Na zachód. Nie widzieliśmy jeszcze ani jednego samolotu, ale to może się niebawem zmienić. Nieliczni mieszkańcy wyspy, jakich widzimy, trzymają się blisko swoich domów; nie widać również prowadzących stada pasterzy, a farma na północy wygląda na opuszczoną. Drogi jak wymarłe, ani jednego prywatnego auta. Iwan kompletnie sparaliżował życie wyspy. To na razie tyle. Piloci varków wykonali w tej elektrowni kawał dobrej roboty. Została tylko dziura w ziemi. Od chwili nalotu nie widzieliśmy w okolicy żadnego światła elektrycznego.

–Przyjąłem, Ogar. Teraz macie iść na północ, w kierunku Hvammsfjorduru. Musicie zatoczyć szeroki łuk na wschód, by ominąć zamieszkane gęściej tereny. Powinniście zameldować się tam za dziesięć dni. Powtarzam, za dziesięć dni, najwyżej za dwanaście. Poradzicie sobie. Cały czas trzymajcie się pustkowi i unikajcie ludzi. Procedura łączności nie ulega zmianie. O wszystkim, co waszym zdaniem jest godne uwagi, meldujcie. Zrozumiałeś, Ogar?

–Zrozumiałem, Brytan, pod koniec przyszłego tygodnia mamy pojawić się w okolicach Hvammsfjorduru, a w międzyczasie utrzymywać z tobą kontakt. Coś jeszcze?

–Bądźcie ostrożni.

–Hvammsfjórdur? – zapytał Smith. – To całe sześćdziesiąt kilometrów w linii prostej.

–Chcą, byśmy doszli tam, zataczając łuk od wschodniej strony, aby uniknąć kontaktów.

–Trzysta dwadzieścia kilometrów…? Po takim gównie? – ciężkie spojrzenie Smitha mogłoby rozłupać skałę. – Do końca przyszłego tygodnia? Dziesięć lub jedenaście dni?

Edwards ponuro pokiwał głową. Nie spodziewał się, że to tak daleko.

–Nie będzie łatwo, panie Edwards – sierżant wyjął mapę w dużej skali. – Nie mamy nawet obrazu pewnych partii wybrzeża. Do licha, niech pan spojrzy, poruczniku.

Grzbiety górskie i rzeki rozchodzą się ze środka wyspy niczym szprychy w kole. Będziemy się musieli sporo wspinać i to nie przez takie łagodne pagórki jak tutaj. Na nizinach są przynajmniej drogi, ale to nie dla nas, prawda?

Potrząsnął głową.

Edwards zmusił się do uśmiechu.

–Za ciężko? Myślałem, że wy, marines, macie doskonałą kondycję.

Smith codziennie rano przebiegał osiem kilometrów. Ale nie przypominał sobie, by ten mikrus z sił powietrznych choć raz pojawił się na bieżni.

–W porządku, panie Edwards. Podobno we własnym pocie nikt się jeszcze nie utopił. Żołnierze, w drogę. Czeka nas mała przechadzka.

Rodgers i Garcia wymienili spojrzenia. Słowo „pan" nie było słowem, którym należało zwracać się do oficera, ale Smith uważał, że niekarność liczy się tylko wtedy, kiedy oficer zdaje sobie sprawę, że go obrażają.

Keflavik, Islandia Złożenie śmigłowców zajęło trochę czasu.

Wielki transportowiec AN-22 dostarczył dwa helikoptery bojowe Mi-24, które nawet dla tego czterosilnikowego potwora stanowiły solidny ładunek. Kolejny ił-76 przywiózł

ekipy techniczne i załogi bojowe. Ludzie ci mieli zmontować maszyny, dbać o ich stan techniczny i odbywać loty, W planie istniała poważna luka – pomyślał generał. Jedyny helikopter, który ocalał po ataku rakietowym na „Fućika", był obecnie zepsuty, a w magazynach naturalnie nie znaleźli koniecznych do remontu części. Potrzebowali helikopterów.

Wojskowy wzruszył ostentacyjnie ramionami. Żaden plan nie jest idealny. Powinni przysłać więcej śmigłowców, kilka ruchomych stacji radarowych i wyrzutnie SAM-ów. Amerykanie najwyraźniej postanowili maksymalnie utrudnić im okupację Islandii i aby pokrzyżować ich plany, należało dysponować znacznie większą ilością sprzętu…

Ponadto wszędzie panoszyły się te sukinsyny z KGB.

Musimy spacyfikować wyspę – oświadczyli. Zupełnie jakby Islandczycy nie zachowywali się wystarczająco biernie.

Jak dotąd nie było żadnego przypadku oporu – rozmyślał generał, przypominając sobie czasy Afganistanu. W porównaniu z tamtym górzystym piekłem Islandia wydawała się rajem. Ale dla KGB to za mało! Niekulturni barbarzyńcy!

Towarzysze z KGB wzięli tysiące zakładników po to tylko, by przekonać się, że w tym kraju nie ma tylu cel.

I teraz cała kompania moich spadochroniarzy – zżymał się generał – musi pilnować tych nieszczęsnych, nieszkodliwych ludzi. Miał jednak surowy rozkaz współpracować z ekipą KGB. Kto nie współpracuje z KGB, jest wrogiem.

W terenie najczęściej spotykało się patrole tej właśnie instytucji.

Generał Andriejew zaczynał się niepokoić. Twardzi spadochroniarze nie byli najlepszymi dozorcami więziennymi. Mieli łagodnie odnosić się do Islandczyków, po czym zmieniono rozkazy, zmuszając żołnierzy do brutalnego traktowania mieszkańców wyspy, co z kolei wywoływało tylko wrogość wyspiarzy. Rosjanie słyszeli już okrzyki radości Islandczyków, kiedy odleciał ostatni amerykański bombowiec. Absurd – pomyślał generał. – Przecież to oni stracili światło elektryczne; myśmy niczego nie stracili.

A jednak cieszą się z nalotu. A wszystko z powodu KGB.

Cóż za głupota. Zmarnowana okazja. Rozważał nawet

pomysł, by zaprotestować w centralnym dowództwie w Moskwie. Ale po co? Oficer, który nie żywi przyjaźni dla KGB, nie żywi przyjaźni dla samej Partii.

Z zadumy wyrwał go skowyczący dźwięk wysokoprężnych silników. Pierwszy helikopter Mi-24 hind włączył wirnik. Dokonywano próby napędu. Od strony śmigłowca nadbiegł jeden z oficerów.

–Towarzyszu generale, jeśli pozwolicie, jesteśmy już gotowi do próbnego lotu. Polecimy na lekko, bez broni.

Uzbroimy maszynę po powrocie.

–Doskonale, kapitanie. Spenetrujcie na początek wzgórza w okolicy Keflaviku i Reykjaviku. Kiedy będzie gotów drugi? – zapytał Andriejew.

–Za dwie godziny.

–Wyśmienicie. Dobra robota, towarzyszu kapitanie.

W minutę później ciężki, bojowy helikopter oderwał się od ziemi.

–Padnij! – krzyknął Garcia. Maszyna była daleko, ale bardzo dobrze widoczna.

–Co to za typ?

–Hind. Śmigłowiec atakujący, odpowiednik naszej cobry.

To bardzo niedobra wiadomość, poruczniku. Na pokładzie mieści ośmiu żołnierzy, a samolot wyposażony jest w komplet rakiet i działek. Nie ma nawet co myśleć, by go zestrzelić. Skurwysyn, jest uzbrojony i opancerzony jak czołg.

Mi-24 zatoczył koło nad wzgórzem, które właśnie opuścili i skierował się na południe, ku następnemu wzniesieniu.

–Chyba nas nie widział – odezwał się Edwards.

–I bardzo dobrze. Poruczniku, niech pan nie rozkłada na razie radia. Tę wiadomość nadamy później, jak będziemy już daleko stąd.

Edwards skinął głową. Ze studiów na akademii pamiętał wykład dotyczący radzieckich helikopterów: „Nie boimy się Rosjan" – zacytowano wówczas pewnego Afgańczyka. – „Boimy się ich śmigłowców".

Bitburg, Republika Federalna Niemiec Pułkownik Ellington obudził się o szóstej wieczorem.

Ogolił się i wyszedł na zewnątrz. Słońce stało jeszcze wysoko. Zastanawiał się nad zadaniem, które miał wykonać tej nocy. Nie należał do osób zawziętych, lecz trudno było mu pogodzić się z tym, że prawie jedna czwarta jego ludzi – mężczyzn, z którymi ciężko pracował przez dwa ostatnie lata – poległa w ciągu minionego tygodnia. Czasy Wietnamu minęły dawno i zapomniał już, iż tam też ponosili ogromne straty. Żołnierze nie mieli nawet czasu żałować zabitych kolegów. W dzień odpoczywali; nieubłagane rozkazy dawały im tylko osiem godzin na sen. W końcu byli nocnymi łowcami, którzy przesypiali całe dnie.

Każdej nocy czarne i zielone stealthy startowały ku wyznaczonym celom, a Rosjanie ciągle nie potrafili wymyślić na nie sposobu. Zamontowane w nosach maszyn kamery przesyłały oficerowi wywiadu skrzydła informacje, jakich w żaden inny sposób nie zdobyłby. Ale jakim kosztem.

No cóż. Pułkownik doskonale zdawał sobie sprawę, że ich odbywane raz na dobę loty są dużo lżejszym obowiązkiem od tego, który spoczywał na barkach załóg pozostałych formacji, a przecież lotnictwo wspierające i osłonowe również ponosi straty. Tej nocy czekało Ellingtona kolejne zadanie. Skoncentrował się na nim siłą woli.

Odprawa trwała godzinę. Miało lecieć dziesięć maszyn.

Celów było pięć; po dwa samoloty na każdy. Ellingtonowi, jako dowódcy, przypadła w udziale najtrudniejsza część misji. Źródła wywiadowcze wskazywały, że na zachód od Wittenburga Iwan posiada tajne magazyny paliw, z których korzysta przy atakach na Hamburg. Niemcy chcieli je koniecznie zniszczyć. Towarzyszący Ellingtonowi samolot uzbrojony miał być w durandale, a jego w rockey'je. W tej akcji nie przewidywano osłony lotniczej, a pułkownik ze swej strony sprzeciwił się obecności maszyny z radiostacją zagłuszającą. Dwie jego załogi, które zginęły, miały taką właśnie pomoc, ale zagłuszacze jedynie zaalarmowały radziecką obronę.

Dokładnie przejrzał mapy topograficzne. Teren akcji był

nizinny. Żadnych gór czy wzniesień, by się za nimi ewentualnie skryć. Musiał zatem lecieć tuż nad wierzchołkami drzew. Atak należało rozpocząć na tyłach wroga, nadlatując od wschodu. Wiatr wiał z szybkością prawie czterdziestu kilometrów na godzinę, więc jeśli amerykańskie maszyny pojawią się od zawietrznej, obrońcy usłyszą je w ostatniej chwili, kiedy napastnicy zrzucą już bomby…

Prawdopodobnie tak. Po wypełnieniu zadania odlecą na południowy zachód. Czas trwania akcji: siedemdziesiąt pięć minut. Ellington z kolei przystąpił do obliczania niezbędnej ilości paliwa. Do podstawowej ilości benzyny – z uwzględnieniem ładunku bomb – dodał pięciominutową rezerwę dla dopalaczy, gdyby przyszło im stoczyć walkę powietrze-powietrze, oraz dodatkowe paliwo potrzebne na dziesięciominutowe krążenie nad Bitburgiem, gdzie z pewnością czekać będą na zezwolenie na lądowanie. Zadowolony z siebie udał się na „śniadanie". Jedząc tosty, ponownie analizował przebieg akcji. Rozważał każdy szczegół, każdą ewentualną przeszkodę, każde stanowisko SAM-ów, które należało ominąć. Musiał też wziąć pod uwagę rzeczy nieprzewidziane. Jaki wpływ na akcję będzie miał lot tuż nad ziemią? Jak wygląda cel? A jeśli zajdzie konieczność dokonania dodatkowego nalotu? Z którego kierunku go przeprowadzić? Przy posiłku towarzyszył mu milczący major Eisly. Twarz miał nieruchomą, ale w myślach gorączkowo prowadził własne kalkulacje.

Wdarli się nad terytorium Wschodnich Niemiec i po osiemdziesięciu kilometrach skręcili na Rathenow. W powietrzu krążyły wprawdzie dwa radzieckie mamstaye, ale znajdowały się w sporej odległości od granicy i pilnowały ich ruchliwe myśliwce przechwytujące Flanker. Utrzymując cały czas odpowiednią odległość od ich radarów, obie maszyny mknęły nisko nad ziemią, trzymając dokładnie szyk. Kiedy przelatywały nad głównymi szlakami komunikacyjnymi, robiły to zawsze w sporej odległości od właściwego kursu. Unikały miast, osad oraz znanych sobie stanowisk wroga, gdzie czaić się mogły wyrzutnie SAM-ów,

Systemy nawigacji inercyjnej nieustannie wytyczały kurs na wykresach map zainstalowanych na tablicach rozdzielczych. Kiedy maszyny skręciły na zachód, odległość od celu zaczęła gwałtownie maleć.

Wittenburg minęli z szybkością dziewięciuset kilometrów na godzinę. Kamery podczerwone pokazały sunące od strony celu samochody-cysterny. Właśnie tam! Między drzewami dostrzegli

co najmniej dwadzieścia pojazdów tankujących paliwo z podziemnych zbiorników.

–Cel w zasięgu wzroku. Działać wedle planu.

–Przyjąłem – odparł Cień Dwa. – Też widzę cel.

Duke ostrym skrętem odleciał w lewo, robiąc miejsce dla swego towarzysza, który miał dokonać pierwszego nalotu.

Cień Dwa był jedynym samolotem wyposażonym w odpowiednie wyrzutnie masywnych bomb rakietowych, jaki im pozostał.

–Jezu słodki! – ekran Duke'a pokazał prosto na jego kursie wyrzutnię S A-11 skierowaną na północny zachód.

Jeden z samolotów formacji Ellingtona przekonał się – i to w sposób dość tragiczny – że ten typ rakiet dysponuje urządzeniami naprowadzającymi na podczerwień. Pułkownik natychmiast wprowadził maszynę w ostry skręt w prawo.

Zastanawiał się, gdzie też może znajdować się reszta baterii.

Cień Dwa przemknął nad celem. Pilot uwolnił cztery bomby i runął prosto na zachód. Smugi pocisków artyleryjskich cięły za nim niebo. Za późno..

Francuskie durandale opuściły łożyska i rozsypały się w powietrzu. Uwolnione, zaopatrzone w silniki rakietowe bomby natychmiast przyspieszyły, mknąc prosto ku ziemi.

Przeznaczone do niszczenia betonowych pasów startowych stanowiły najskuteczniejszą broń przeciw podziemnym zbiornikom paliwa. W chwili uderzenia bomby nie eksplodowały. Wykonane z utwardzanej stali pociski wgryzały się najpierw na dwa, trzy metry w ziemię i tam dopiero detonowały. Trzy z nich odnalazły zbiorniki. Durandale wyrzuciły w górę setki ton ziemi i płonące paliwo wystrzeliło w niebo.

Przypominało to eksplozję nuklearną. Trzy białe kolumny

płomieni biły w powietrze, rozrzucając w promieniu setek metrów fontanny płonącej benzyny. Wszystkie pojazdy zniknęły w ogniu i tylko ludzie znajdujący się z dala od katastrofy wyszli obronną ręką. Wielkie, wykonane z gumy zbiorniki z paliwem eksplodowały parę sekund później.

Rzeka płonącego oleju napędowego i gazoliny rozlała się szerokim strumieniem pośród drzew. "W ciągu kilku sekund pięć kilometrów kwadratowych lasu przemieniło się w gigantyczną kulę ognia, z której strzelały w powietrze kolejnymi wybuchami następne zbiorniki. Myśliwiec Ellingtona zakołysał się wściekle w podmuchu eksplozji.

–Do diabła – mruknął cicho pilot. Plan zakładał, że bombkami Rockeje podpalą to, co durandale odsłonią.

–Nie sądzę, by rockeye'e były tu jeszcze potrzebne – zauważył Eisly.

Ellington, unikając płomieni i trzymając się możliwie jak najbliżej ziemi, zawrócił.

Zobaczył, że leci wzdłuż drogi.

Głównodowodzący radzieckiego Zachodniego Teatru Wojny był już wściekły, a to, co zobaczył, doprowadziło go wręcz do furii. Odbył właśnie konferencję z dowódcą Trzeciej Armii Uderzeniowej w Zarrentin, podczas której dowiedział się, że atak ponownie ugrzązł pod Hamburgiem.

Dostał szału na wieść, iż jego doborowe jednostki czołgów nie osiągnęły celu. Natychmiast zdegradował dowódcę i wściekły ruszył do swojej kwatery. Widząc, jak trzy główne magazyny paliw wylatują wysoko w niebo, generał zaklął, wstał i odrzucił klapę transportera opancerzonego.

Kiedy mrugał oczyma, oślepiony pożarem, dojrzał jakiś czarny obiekt nadlatujący od strony ognistej kuli.

A cóż to takiego? – pomyślał Ellington. Na monitorze telewizyjnym dostrzegł cztery posuwające się w ciasnej kolumnie pojazdy; jednym z nich była wyrzutnia SAM-ów.

Natychmiast uzbroił bomby, zrzucił cztery pojemniki rockeye'ów i zawrócił na południe. Umieszczona w ogonie samolotu kamera bojowa rejestrowała przebieg wypadków.

Rockeye'e otworzyły się, rozsypując bombki, które eksplodowały przy zetknięciu z ziemią.

Głównodowodzący Zachodnim Teatrem Wojny poległ śmiercią żołnierza. Jego ostatnim czynem było wzniesienie lufy karabinu maszynowego i ostrzelanie odlatującego samolotu. Cztery bombki spadły w odległości paru metrów od wozu dowódcy. Ich odłamki z łatwością przeszły przez cienki pancerz, zabijając wszystkich w środku, zanim jeszcze wybuchł główny zbiornik z paliwem, który utworzył kolejną kulę ognia.

USS „Chicago" Okręt podwodny powoli się wynurzał, obracając spiralnie wokół własnej osi, by hydrolokator mógł dokładnie przeczesać teren. Ciągle nie dopisywało im szczęście, a sytuacja taka, zdaniem McCafferty'ego, nie zachęcała do podejmowania jakichkolwiek ryzykownych akcji. Kiedy okręt znalazł się już na głębokości antenowej, w górę poszedł najpierw maszt wykrywacza radarów, węsząc w poszukiwaniu wrogich sygnałów elektronicznych, następnie peryskop.

Kapitan omiótł szybko wzrokiem niebo, a potem powierzchnię morza. Pierwszy oficer obserwował ten sam obraz na ekranie. Na powierzchni nic się nie działo. Morze było spokojne,

fale osiągały wysokość półtora metra, a po błękitnym niebie żeglowały zapowiadające pogodę cumulusy.

Słowem, piękny dzień. Z tym tylko, że panowała wojna.

–W porządku. Proszę nadawać – polecił McCafferty.

Nie odrywał oczu od peryskopu. Utrzymywał instrument w ciągłym ruchu, obracał nim, przestawiał kąt ustawienia soczewek, czujny cały czas na niebezpieczeństwo. Podoficer wysunął antenę UHF i w mieszczącej się za centrum bojowym centrali radiowej rozbłysło światło oznaczające gotowość do transmisji.

Na powierzchnię sprowadził ich, przekazany na niezwykle niskiej częstotliwości, sygnał wywoławczy: QZB. Starszy radiotelegrafista włączył nadajnik do sieci i na satelitarnym

zakresie UHF nadał hasło: QZB. Czekał na odpowiedź.

Zrazu w eterze panowała cisza. Po długiej chwili operator obrzucił swego współpracownika przeciągłym spojrzeniem i ponowił wezwanie. Znów cisza. Podoficer głęboko odetchnął i spróbował po raz trzeci. Dwie sekundy później kopiarka w głębi pomieszczenia zaczęła drukować zakodowaną odpowiedź. Oficer łączności włożył wiadomość do deszyfratora i niebawem mieli pełny tekst wiadomości: ŚCIŚLE TAJNe

OD: DOWÓDZTWO OKRĘTÓW

PODWODNYCH

NA ATLANTYKU

DO: USS CHICAGO

1. 19 CZERWCA 1150 CZASU

GREENWICH DUŻA

GRUPA AMFIBII CZERWFLOTY OPUŚCIŁA KOLĘ. SIŁY: 10-PLUS JEDNOSTEK AMFIBII MORSKICH ORAZ 15-PLUS ESKORTY BOJOWEJ;

M.IN. KIROW, KIJÓW. POTĘŻNE

WSPARCIE

LOTNICTWA DO ZWALCZANIA

OKRĘTÓW

PODWODNYCH. SPODZIEWANA

OBECNOŚĆ

OKRĘTÓW PODWODNYCH I

SOWIECKIEGO

LOTNICTWA MORSKIEGO. KURS NA

ZACHÓD.

DUŻA SZYBKOŚĆ.

2. PRZYPUSZCZALNY CEL: BODO.

3. NATYCHMIAST PRZENIEŚĆ SIĘ

NA 70 SZEROKOŚCI PÓŁNOCNEJ,

16 DŁUGOŚCI WSCHODNIEJ.

W MIARĘ MOŻNOŚCI RAPORTOWAĆ

PRZED

ATAKIEM. W REJONIE OPERUJE

RÓWNIEŻ

LOTNICTWO MORSKIE I OKRĘTY

PODWODNE

NATO. MOŻLIWOŚĆ WSPARCIA

POWIETRZNEGO; NA RAZIE BRAK

SZCZEGÓŁÓW.

5. W MIARĘ MOŻNOŚCI DOKŁADNIE

ZLOKALIZOWAĆ POŁOŻENIE GRUPY.

McCafferty przeczytał depeszę i bez słowa wręczył ją nawigatorowi.

–Ile czasu będziemy płynąć do celu z szybkością piętnastu węzłów?

–Około jedenastu godzin – nawigator wziął parę cyrkli i zaczął nimi wymierzać coś na mapie. – Jeśli tylko nie dostaną skrzydeł, będziemy tam na długo przed nimi.

–Joe? – McCafferty spojrzał pytająco na pierwszego oficera.

–Podoba^mi się to. W tamtym miejscu na głębokości stu osiemdziesięciu metrów dzięki pobliskiemu Golfstromowi i napływającej z fiordów wodzie prądy są nieco szybsze. Nie będą chcieli zbliżać się zanadto do brzegów w obawie przed norweskimi okrętami o napędzie klasycznym. Nie odpłyną też za daleko ze względu na możliwość spotkania z należącymi do Paktu boomerami o napędzie nuklearnym. Mogę się założyć, że wejdą prosto na nas.

–W porządku, schodzimy na trzysta metrów i płyniemy prosto na wschód. Zajmij się przedziałami załogi. Wydaj dodatkowe racje. Potem niech wypoczną. • Dziesięć minut później „Chicago" płynął już kursem zero-ośiem-jeden z szybkością piętnastu węzłów. Posuwając się na dużej głębokości, lecz w stosunkowo ciepłej wodzie, która docierała tu aż z Zatoki Meksykańskiej, okręt był praktycznie niewykrywalny dla hydrolokatorów jednostek nawodnych, a ciśnienie wody tłumiło hałasy kawitacyjne.

Przy tej szybkości maszyny pracowały zaledwie ułamkiem swej mocy i nie trzeba było używać pomp reaktora. Woda chłodząca stos atomowy krążyła normalnym strumieniem, nie powodowała więc większych szumów. „Chicago" znajdował się w najbardziej przyjaznym dla siebie środowisku.

Bezgłośny cień poruszający się w mrocznej toni.

McCafferty spostrzegł, że nastroje załogi nieco się poprawiły. Mieli przed sobą cel. Niebezpieczne zadanie, ale do takich właśnie zostali wyszkoleni. Rozkazy były bardzo precyzyjne. W mesie oficer taktyczny przeprowadził kilka symulowanych przez komputer ćwiczeń w tropieniu wrogich jednostek. Przestudiowano mapy i wyznaczono miejsca, gdzie panowały warunki wyjątkowo niekorzystne dla sonarów. Tam właśnie w razie potrzeby okręt miał znaleźć schronienie. W torpedowni, dwa pokłady poniżej centrum bojowego, marynarze przeprowadzili test elektroniczny

pomalowanych na zielono „rybek" Mk-48 oraz rakiet klasy Harpoon w ich białych pojemnikach. Jedna wykazała jakieś usterki i dwóch speców od torped niezwłocznie udało się, by naprawić uszkodzenia. Podobnego przeglądu dokonano wśród drzemiących w pionowych wyrzutniach na dziobie pociskach Tomahawk. Na końcu zespół techników przeprowadził symulowany komputerowo atak torpedami Mk-117. Po dwóch godzinach każdy system pokładowy funkcjonował bez zarzutu. Marynarze wymieniali między sobą pełne nadziei uśmiechy. W końcu to nie ich wina, że żaden Rosjanin nie był tak głupi, by wejść im w drogę.

Niedawno sami przecież ćwiczyli lądowanie na brzegu w Rosji i nikt ich nie wykrył. A ich „stary" to prawdziwy zawodowiec.

USS „Pharris" Szczerze mówiąc, obiad przebiegał w ciężkiej atmosferze.

Trzej rosyjscy oficerowie, których usadzono w końcu stołu, byli w pełni świadomi obecności dwóch uzbrojonych strażników stojących niecałe trzy metry od nich. Ponadto kucharz niedwuznacznie eksponował swój wielki nóż.

Rosjan obsługiwał siedemnastoletni marynarz-gołowąs. Kiedy podawał sałatkę, spoglądał na nich wilkiem.

–Tak zatem nikt z was nie mówi po angielsku? – spytał kordialnie Morris.

–Ja mówię – odpowiedział któryś. – Kapitan polecił mi podziękować panu za uratowanie nam życia.

–Proszę więc przekazać kapitanowi, że na wojnie obowiązują pewne prawa, które dotyczą również morza.

Proszę też mu pogratulować bardzo umiejętnego podejścia pod nasz konwój.

W czasie, kiedy Rosjanin tłumaczył kapitanowi odpowiedź, Morris pokropił sałatkę pastą „Thousand Island".

Oficerowie amerykańscy wlepiali wzrok w radzieckich gości.

Morris starał się zachowywać obojętny wyraz twarzy. Jego kurtuazyjne słowa zdawały się wywierać pożądany efekt.

Błyskawiczna wymiana spojrzeń po drugiej stronie stołu.

–Kapitan pyta, jak nas wykryliście. Jak sami mówiliście, wymknęliśmy się waszym helikopterom.

–Zgadza się, wymknęliście się – odparł Morris. – Nie rozumieliśmy waszych manewrów.

–Więc jak nas wykryliście?

–Wiedziałem, że wcześniej zaatakował was nasz orion.

Uciekliście więc w naszym kierunku pełną parą. Kąt waszego następnego ataku był łatwy do przewidzenia.

Rosjanin potrząsnął głową.

–Jaki atak? Kto nas atakował? – odwrócił się i mówił coś przez pół minuty.

Musi tu być jeszcze jeden charlie – pomyślał Morris. – Jeśli naturalnie Rosjanin nie blefuje.

Należy wśród naszych znaleźć kogoś, kto mówi po rosyjsku, by porozmawiał z radzieckimi marynarzami. Do cholery, czemu nikogo takiego nie mam?

–Kapitan twierdzi, że musicie się mylić. Najpierw wykryliśmy helikopter. Nie spodziewaliśmy się obecności waszej fregaty. Czy to jakaś nowa taktyka?

–Nie, ćwiczyliśmy ten manewr przez lata.

–A zatem jak wykryliście naszą obecność?

–Wie pan, co to takiego hydrolokator z anteną holowaną? Wiedzieliśmy o was na trzy godziny przed tym, zanim otworzyliśmy ogień.

–Wasz sonar jest aż tak czuły? – wytrzeszczył oczy Rosjanin.

–Czasami.

Gdy to zostało przetłumaczone na rosyjski, radziecki kapitan wydał jakiś zwięzły rozkaz i rozmowa ucichła.

Morris zastanawiał się, czy technicy podłączyli już podsłuch w pomieszczeniach, w których zostali zakwaterowani jeńcy.

Być może uda się w ten sposób zdobyć jakieś informacje użyteczne dla wywiadu floty. Na razie należało wprowadzić dobry nastrój.

–Jakie jest wyżywienie na radzieckim okręcie podwodnym?

–Inne niż u was -^odparł radziecki nawigator po konsultacji z dowódcą. – Dobre, ale inne. Jemy odmienne

potrawy. Więcej ryb, mniej mięsa. Ponadto pijemy herbatę, nie kawę.

Ed Morris spostrzegł, że jego więźniowie wodzą po stole wyraźnie wygłodniałym wzrokiem. A przecież nawet na „Pharrisie" chłopcy mają za mało świeżych warzyw – pomyślał. W drzwiach mesy pojawił się marynarz. Był to radiotelegrafista i Morris przywołał go skinieniem ręki.

Marynarz wręczył kapitanowi arkusz depeszy: PRACA SPECJALNA WYKONANA. Morris zauważył, że radiotelegrafista zdążył wydrukować to na normalnym formularzu depeszy tak, że nie wzbudziło to żadnych podejrzeń.

Wszystkie pomieszczenia Rosjan były już na podsłuchu.

Morris odesłał marynarza i schował blankiet do kieszeni.

Bosman w jakiś cudowny sposób odkrył na pokładzie istnienie dwóch butelek mocnej wódki –

zapewne u ochmistrza. Kapitan jednak nie próbował dociekać szczegółów.

Miał nadzieję, że trunek rozwiąże Rosjanom języki.

GWAŁT

USS „Pharris" Morris, choć bardzo chciał pomachać nisko lecącemu samolotowi, nie uczynił tego. Samolot patrolowy francuskiej marynarki wojennej zasygnalizował, że konwój znajduje się już w zasięgu osłony powietrznej bazy lotniczej na wybrzeżu.

Obecnie tylko bardzo odważny kapitan radzieckiej jednostki podwodnej, mając na karku francuskie okręty głębinowe o napędzie klasycznym i tworzące trójkolorowy parasol nad konwojem samoloty do zwalczania okrętów podwodnych, próbowałby jakiś sztuczek.

Francuzi przysłali helikopter, który zabrał rosyjskich jeńców. Polecieli do Brestu, gdzie czekali już na nich funkcjonariusze wywiadu NATO. Morris nie zazdrościł losu, jaki czekał rozbitków. Francuzi po utracie jednego z lotniskowców nie byli w najlepszych nastrojach. Fregata przekazała im również wszelkie taśmy, jakie zostały nagrane na podsłuchu. Rosjanie po alkoholu dostarczonym przez ochmistrza dużo ze sobą rozmawiali i taśmy mogły posiadać pewną wartość.

Kontrolę nad konwojem przejmowała właśnie eskorta złożona z okrętów brytyjskich i francuskich, a Amerykanie mieli z kolei zająć się czterdziestoma statkami handlowymi zmierzającymi do Stanów Zjednoczonych. Morris stał na skrzydle mostka, spoglądając co chwila na wymalowane przez bosmana, po obu stronach sterowni, dwie połówki sylwetek łodzi podwodnych i jedną całą. „Każda strona musi coś z tego mieć" – wyjaśnił poważnie bosman. Ich dowództwo przyjęło najlepszą taktykę zwalczania wrogich jednostek podwodnych. Z „Pharrisem" jako wysuniętą placówką hydrolokacji i z potężnym wsparciem^ze strony

orionów alianci wytropili wszystkie radzieckie okręty podwodne, które zamierzały zaatakować konwój, z wyjątkiem jednego. Taktyka ta była bardzo kontrowersyjna, ale na miły Bóg, okazała się nad wyraz skuteczna. Należało ją jednak ulepszyć.

Morris zdawał sobie sprawę, że będzie coraz trudniej.

Podczas ich pierwszej podróży Rosjanie zdołali wysłać niewiele jednostek swej licznej floty głębinowej. Obecnie jednak jej główne siły zbliżały się już od Cieśniny Duńskiej.

Okręty podwodne NATO, które miały zablokować to przejście, nie dysponowały ani systemem SOSUS do przekazywania współrzędnych zbliżających się jednostek, ani też wsparciem ortonów, spadających niczym sępy na radziecką flotę. Okręty sojuszników mogły zniszczyć wiele radzieckich jednostek. Ale czy wystarczająco wiele? O ile bardziej krytyczny będzie nadchodzący tydzień? Morris wiedział, że w powrotnej drodze muszą nadłożyć pięćset mil, by zatoczyć szeroki łuk na południe – częściowo po to, żeby uniknąć backfire'ów, ale głównie właśnie ze względu na zagrożenie ze strony łodzi podwodnych. Dwie rzeczy – dwa zmartwienia.

„Pharris" mógł stawić czoło tylko jednemu z tych niebezpieczeństw.

Utracili trzecią część konwoju; głównych zniszczeń dokonało wrogie lotnictwo. Co na takie straty powie dowództwo? Co czują załogi jednostek handlowych?

Zbliżyli się do konwoju. Kapitan obserwował najbardziej na północ wysuniętą linię statków. Na horyzoncie dostrzegł sygnały wysyłane przez jeden z kontenerowców. Morris podniósł do oczu lornetkę:

Na jedno pytanie otrzymał właśnie odpowiedź.

USS „Chicago" – A więc już są – mruknął McCafferty.

Na ekranie ślad był prawie biały, a w paśmie radiofonicznym słyszeć się dawał mocny hałas na pozycji trzy-dwa-dziewięć.

Mogła to być wyłącznie radziecka flota zmierzająca do Bodo. 26 – Czerwony sztorm

–Jaka odległość? – zapytał McCafferty.

–Co najmniej dwie strefy konwergencyjne, może trzy, kapitanie. Cztery minuty temu sygnał stał się bardzo mocny.

–Czy możemy określić precyzyjnie?

–Nie, sir – potrząsnął głową sonarzysta. – Na razie występuje ogromna ilość nie zróżnicowanych hałasów.

Próbowaliśmy wydzielić parę odrębnych częstotliwości, ale nie udało się. Może później. Teraz wiemy tylko tyle, że to potężne stado.

McCafferty skinął głową. Trzecia strefa konwergencyjna znajdowała się dobrych sto mil dalej. Z takiej odległości wszelkie sygnały akustyczne traciły swoje cechy wyróżniające i współrzędne celu można było ustalić wyłącznie w przybliżeniu. Radziecka formacja mogła przepływać kilkanaście stopni w lewo lub w prawo, a to znaczyło całe mile.

McCafferty przeszedł do centrum informacji bojowej.

–Płyniemy na zachód. Przez pięć mil prędkość dwudziestu węzłów – polecił.

Było to nieco ryzykowne, ale nie tak znów bardzo. Po dotarciu do celu trafią na niezwykle korzystne warunki wodne, a niewielka zmiana pozycji groziła tylko chwilową utratą kontaktu z celem. Z drugiej strony, precyzyjne określenie odległości da im dużo lepszy obraz taktyczny i umożliwi przekazanie dokładnego meldunku, zanim radziecka formacja znajdzie się na tyle

blisko, by przechwycić transmisję. Kiedy „Chicago" płynął szybko na zachód, McCafferty obserwował wskazania batytermografu. Dopóki temperatura nie ulegnie zmianie, będą mieli wyśmienity kanał dźwiękowy. Potem okręt gwałtownie zwolnił i kapitan przeszedł do hydrolokacji.

–Gdzie są teraz?

–Mam ich! Tutaj, dokładnie na pozycji trzy-trzy-dwa.

–W porządku, proszę nanieść to na nakres i przygotować raport – polecił Pierwszemu.

Dziesięć minut później przesłano wiadomość przez satelitę. Odpowiedź brzmiała: ATAKOWAĆ NAJWIĘKSZE.

Islandia Farma odległa była o pięć kilometrów i stała na wielkiej, porośniętej wysoką, ostrą trawą łące. Obejrzawszy budynek przez lornetkę, Edwards ochrzcił go mianem domku z piernika. Była to typowa islandzka farma. Miała białe, pokryte sztukaterią ściany podparte ciężkimi, drewnianymi belkami oraz pomalowane na kontrastowy, czerwony kolor futryny, drzwi, okiennice i ramy okienne. Wysoki, stromy dach przywodził na myśl baśnie braci Grimm. Obok stały obszerne, ale niskie i pokryte darnią obory. Na ciągnącym się prawie kilometr dalej pastwisku nad strumieniem widać było setki dużych, dziwacznie wyglądających, pokrytych gęstą wełną owiec, które teraz spały w trawie.

–Prowadzi do niej droga od szosy – powiedział Edwards i złożył mapę. – Możemy tu zdobyć trochę żywności. Panowie, warto zaryzykować. Ale podchodzimy ostrożnie. Pójdziemy po prawej stronie pod osłoną tej grani. Wynurzymy się dopiero w odległości jakichś ośmiuset metrów od zabudowań.

–W porządku, sir – zgodził się sierżant Smith.

Leżąca dotąd na brzuchach czwórka mężczyzn usiadła, by ponownie założyć plecaki. Ostatnie dwa i pół dnia w całości prawie spędzili na wędrówce i teraz znajdowali się około siedemdziesięciu pięciu kilometrów na północny wschód od Reykjaviku. Był to morderczy wysiłek, zwłaszcza, że cały czas musieli zachowywać czujność i wystrzegać się patrolujących okolicę helikopterów. Sześć godzin wcześniej zjedli ostatnią rację żywności. Niskie temperatury i wysokie na sześćset metrów wzgórza, które musieli bez przerwy pokonywać, wyczerpały ich do cna.

Do ciągłego marszu zmuszało ich kilka rzeczy. Po pierwsze obawa, że dywizja radziecka, której przybycie drogą lotniczą obserwowali, może objąć w posiadanie większą część wyspy. Najgorsze, co mogło ich spotkać, to dostanie się w ręce Rosjan. Dochodził do tego lęk, że zawiodą. Postanowili wypełnić swoje zadanie do końca, a nie ma na świecie gorszego tyrana niż własne postanowienie. Była duma. Edwards musiał dawać podległym

sobie ludziom przykład; to zasada wyniesiona z Colorado Springs. Żołnierze piechoty morskiej

z kolei nie mogli dopuścić, by jakiś odsunięty od lotów oficerek okazał się od nich lepszy. Tak zatem, wcale o tym nie myśląc, podświadomie, czterech mężczyzn dążyło przed siebie.

Robiło to w imię dumy.

–Będzie padać – odezwał się Smith.

–Bardzo dobrze, widoczność jeszcze się zmniejszy – odparł Edwards, ciągle nie podnosząc się z ziemi. – Poczekajmy na deszcz. Jezu, nigdy nie myślałem, że praca w świetle dziennym może być tak uciążliwa. Jest coś niesamowitego w tym nigdy nie zachodzącym słońcu.

–A ja nie mam nawet papierosa – burknął Smith.

–Znowu deszcz? – spytał żołnierz Garcia.

–Znowu – odparł Edwards. – Na Islandii w czerwcu pada średnio przez siedemnaście dni w miesiącu. A poza tym to mokry rok. W przeciwnym razie trawa nie byłaby tak bujna.

–Lubi pan to miejsce? – Garcię tak zdumiała owa możliwość, że zapomniał dodać przepisowego słówka „sir".

Islandia niewiele miała wspólnego z Portoryko.

–Mój ojciec łowił homary w okolicach Eastpoint w Maine. Kiedy byłem dzieckiem, jak tylko się dało, wypływałem z nim w rejsy. Tam panowała podobna pogoda.

–Co zrobimy, kiedy już dotrzemy do tego domu, sir? – Smith wrócił do tematu.

–Poprosimy o żywność.

–Poprosimy? – zdziwił się Garcia.

–Poprosimy. I zapłacimy za nią. I uśmiechniemy się ładnie. A na koniec powiemy: „Dziękujemy panu bardzo" – odrzekł Edwards. – Jeśli nie chcecie, by właściciel w pięć minut po naszym odejściu zatelefonował do Iwana, musicie, chłopcy, bardzo zważać na swoje maniery.

Rozejrzał się po twarzach ludzi. Ostatnia uwaga porucznika sprowadziła ich na ziemię.

Zaczęło padać. Po dwóch minutach deszcz przekształcił się w ulewę i ograniczył widoczność do kilkuset metrów.

Edwards z wysiłkiem podniósł się z ziemi, dając przykład

pozostałym. Ruszyli w dół w chwili, kiedy zakryte chmurami słońce schowało się za wzgórzem po północno-zachodniej stronie. Wzgórze to – nazwali je górą, ponieważ następnego dnia mieli je sforsować – nosiło jakąś swoją miejscową nazwę, ale żaden z Amerykanów nie próbował

nawet jej wymówić. Kiedy podeszli do farmy na odległość mniej więcej pół kilometra, było już ciemno, a deszcz jeszcze pogłębiał mrok.

Błysk światła pierwszy dojrzał Smith.

–Samochód! – krzyknął stłumionym głosem i czwórka mężczyzn przypadła plackiem do ziemi, wysuwając odruchowo do przodu lufy karabinów.

–Spokojnie, chłopcy. Ta droga przecina główną szosę i może to tylko… o kurwa! – zakończył przekleństwem Edwards. Światła minęły skrzyżowanie i zbliżyły się do farmy.

Trudno było określić, czy to samochód osobowy, czy ciężarówka.

–Rozproszyć się i uważać.

Smith pozostał z Edwardsem, a obaj żołnierze odpełzli pięćdziesiąt metrów w bok.

Porucznik położył się na brzuchu, łokcie oparł na mokrej trawie i przyłożył do oczu lornetkę. Nie sądził, by ktokolwiek mógł ich dostrzec. Ochronne stroje piechoty morskiej sprawiały, że nawet w ciągu dnia, jeśli nie poruszali się zbyt gwałtownie, byli prawie niewidoczni. Mrok czynił z nich tylko niewyraźne cienie.

–Wygląda na jakiś wóz terenowy. Reflektory są wysoko nad ziemią. Za bardzo podskakują, by mogła to być ciężarówka – pomyślał głośno Edwards. Światła jadącego powoli samochodu zatrzymały się przed samą farmą i z auta wysiadło parę osób. Jedna z nich stanęła w smudze reflektora.

–O cholera! – warknął Smith.

–Czterech lub pięciu Iwanów. Sierżancie, proszę przywołać Garcię i Rodgersa.

–Tak jest.

Edwards obserwował dom przez lornetkę. W żadnym

z okien nie paliło się światło elektryczne. Domyślał się, że całą okolicę zaopatrywała w prąd elektrownia w Artun, której starcia z powierzchni ziemi byli świadkami. W oknach jaśniał jednak jakiś blask. Zapewne świecy lub lampy naftowej. Zupełnie jak u mnie w domu – przypomniał sobie Edwards. Stanęły mu w pamięci częste przerwy w dostawach prądu spowodowane sztormami lub oblodzeniem drutów wysokiego napięcia. Mieszkańcy tego domu zapewne spali. Farmerzy wcześnie chodzą spać i wcześnie wstają – skonstatował w myślach porucznik.

Obserwował przez lornetkę Rosjan. Było ich pięciu i właśnie otaczali dom. Jak rabusie – przyszło mu do głowy. – Szukają… nas? Nie! Gdyby nas szukali, byłoby ich o wiele, wiele

więcej; i nie z terenową furgonetką. Interesujące.

Wybrali się zapewne na szaber, ale jeśli ktoś… Jezu słodki, przecież w środku są ludzie, pali się światło. Co oni zamierzają?

–Co słychać? – zapytał Smith.

–Mamy tu pięciu Rusków. Zaglądają przez okna do środka i… o, jeden właśnie kopniakiem wywalił drzwi. Nie podoba mi się to, żołnierze… Myślę…

Jego podejrzenia potwierdził krzyk, który rozległ się wewnątrz budynku. Rozpaczliwy krzyk kobiety, który dotarł przez ścianę deszczu, przejął dreszczem wystarczająco zziębniętych już żołnierzy.

–Panowie, podsuńmy się trochę bliżej. Trzymać się razem i uważać jak cholera.

–Po co mamy tam iść? – spytał ostro Smith.

–Bo ja tak mówię – Edwards schował lornetkę. – Za mną.

W oknach budynku pojawiło się nowe światło. Przesuwało się z pokoju do pokoju. Edwards, mocno schylony, w parę chwil znalazł się przy rosyjskim samochodzie, niecałe dwadzieścia metrów od frontowych drzwi domu.

–Jest pan trochę nieostrożny, sir – ostrzegł Smith.

–Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, oni też są nierozsądni. Założę się…

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Z półmroku dobiegł

huk wystrzału, a zaraz potem mrożący krew w żyłach skowyt i drugi wystrzał. Potem następny. I znów krzyk.

–Co się tam, do diabła, wyprawia? – wychrypiał Garcia.

Szorstki, męski głos krzyknął coś po rosyjsku. Niebawem drzwi się otworzyły i z domu wyszło czterech żołnierzy.

Przez chwilę nad czymś debatowali, po czym, po dwóch, ruszyli do okien, w lewo i w prawo, i zaczęli przez nie zaglądać do środka. Z domu dobiegł kolejny, rozpaczliwy krzyk. Stało się już całkiem oczywiste, co się tam dzieje.

–Ale skurwysyny – mruknął Smith.

–Tak, skurwysyny – przytaknął Edwards. – Cofnijmy się trochę i pomyślmy.

Czwórka mężczyzn cofnęła się o pięćdziesiąt metrów.

–Musimy coś zrobić. Czy ktoś jest innego zdania? – spytał szorstko Edwards. Smith w milczeniu skinął głową, zaintrygowany nieoczekiwaną przemianą, jaka zaszła w poruczniku. – W porządku, zrobimy to bez pośpiechu, ale dokładnie. Pan, Smith, pójdzie ze mną na lewo, a Garcia z Rodgersem w prawo. Idziemy szerokim łukiem i powoli.

Dziesięć minut. Jeśli zdołamy wziąć ich żywcem, to dobrze.

Jeśli nie, to w łeb. Starajmy się robić jak najmniej hałasu.

Jeśli trzeba będzie strzelać, to każdy strzał musi być celny.

Zrozumiano?

Edwards rozejrzał się, by zyskać pewność, że Rosjan jest rzeczywiście tylu, ilu policzył. Czwórka amerykańskich żołnierzy zdjęła plecaki, każdy z nich sprawdził zegarek i zaczęli się czołgać po mokrej trawie.

Rozległ się kolejny krzyk, po którym zapadła cisza.

Edwards był z tego rad – krzyk go rozpraszał. Pełzli szerokim łukiem, omijając traktor i maszyny rolnicze. Była to ciężka, wysysająca siły z ramion wędrówka. Kiedy dotarli wreszcie w pobliże okna, stał tam już tylko jeden Rosjanin. Gdzie się podział drugi? – pomyślał porucznik. – I co robić? Musisz trzymać się planu. Od ciebie wszystko zależy!

–Proszę mnie osłaniać.

Smith był zdumiony.

–Niech pan wybaczy, sir, ale…

–Proszę mnie osłaniać – powtórzył szeptem Edwards.

Odłożył M-16 i wyszarpnął nóż do walki wręcz.

Rosyjski żołnierz ułatwił mu tylko zadanie; stał na palcach i jak zahipnotyzowany zaglądał do wnętrza domu. Gdy Edwards znalazł się o trzy metry od niego, podniósł się z ziemi i zaczął na palcach, krok po kroku, zbliżać się do odwróconego mężczyzny. Teraz dopiero uświadomił sobie, że przeciwnik jest o dobrą głowę od niego wyższy. Jak zdoła go wziąć żywcem?

Wcale nie musiał. Wewnątrz domu nastąpiła najwidoczniej przerwa w spektaklu. Radziecki żołnierz sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów, a następnie odwrócił się nieco, zapalając w skulonych dłoniach zapałkę. Kątem oka dostrzegł skradającego się Edwardsa. Amerykański porucznik bez namysłu runął do przodu z nastawionym nożem. Trafił prosto w gardło. Rosjanin otworzył usta do krzyku, ale Edwards obalił go na ziemię i zadał kolejny cios, wgniatając

przeciwnikowi w twarz pięść. Potem przekręcił głowę Rosjanina, nożem wykonał szybki ruch w stronę przeciwną.

Ostrze o coś zazgrzytało i radziecki żołnierz znieruchomiał.

Porucznik poczuł przypływ adrenaliny. Żadnych emocji.

Wytarł nóż o własne spodnie, stanął na zwłokach i zajrzał do domu. Widok, jaki tam ujrzał, zaparł mu dech w piersiach.

–Cześć, chłopcy – szepnął Garcia.

Obaj rosyjscy żołnierze odwrócili się jak na komendę i ujrzeli przy twarzach dwie lufy karabinów M-16. Swoją broń zostawili w samochodach. Ruchem lufy Garcia kazał im się położyć twarzą do ziemi i szeroko rozłożyć ramiona.

Rodgers przeszukał ich dokładnie, po czym ruszył w drugą stronę domu.

–Wzięliśmy ich obu żywcem, sir… – powiedział i urwał. Zdumiał go widok krwi na rękach odsuniętego od lotów porucznika.

–Wchodzę do środka – powiedział do Smitha Edwards. Sierżant tylko krótko skinął głową.

–Będę pana kryć stąd. Rodgers, osłaniaj mu plecy.

Porucznik prześliznął się przez na wpół uchylone drzwi.

Bawialnia była pusta i ciemna. Zza załomu ściany biło mocne, białe światło i dobiegał dźwięk głośnego sapania.

Edwards zbliżył się tam… i stanął twarzą w twarz z rozpinającym właśnie spodnie Rosjaninem. Nie było na nic czasu.

Edwards wbił mu nóż między żebra, wykręcając przeciwnikowi jednocześnie z szaleńczą siłą prawą rękę. Mężczyzna krzyknął, wspiął się na palce. Zanim upadł do tyłu, próbował jeszcze wyciągnąć własny nóż. Edwards wyszarpnął z rany żelazo i dźgnął ponownie, a następnie zwalił się na Rosjanina w groteskowej, seksualnej pozie. Spadochroniarz próbował zrzucić z siebie porucznika, ale Edwards czuł, iż jest to ostatni, przedśmiertny już wysiłek. Ponownie uderzył. Tym razem trafił w pierś…

Mignął jakiś cień i kiedy porucznik podniósł twarz, ujrzał gramolącego się mężczyznę z rewolwerem w ręku.

Pokój eksplodował nagle hukiem.

–Nie ruszaj się, kurwa! – wrzasnął Rodgers, kierując w pierś Rosjanina karabin. Pokój

wypełniła grzmiąca salwa, kiedy z lufy wylatywały trzy pociski.

–Nic ci się nie stało, szefie*?

Wtedy to właśnie po raz pierwszy tak go nazwali.

–Pewnie, że nie – Edwards wstał z podłogi i popatrzył na trzymanego przez Rodgersa na muszce Rosjanina.

Był goły od pasa, a wokół kostek plątały mu się spodnie.

Porucznik podniósł upuszczony przez radzieckiego żołnierza pistolet i popatrzył na człowieka, z którym przed chwilą stoczył walkę. Nie miał wątpliwości, że przeciwnik jest martwy. Na przystojnej, słowiańskiej twarzy zakrzepł wyraz zaskoczenia i bólu; mundur był mokry od krwi. Oczy trupa już stały się szkliste jak marmur.

–Już wszystko dobrze, proszę pani – odwracając głowę, powiedział Rodgers.

Edwards ujrzał ją po raz drugi; teraz leżała rozciągnięta * W oryg.: skipper. Dosł.: kapitan okrętu. Marines określają tą nazwą swoich dowódców. W tym przypadku Edwards zostaje uznany za żołnierza piechoty morskiej i niekwestionowanego przywódcę grupy. (Przypis tłumacza)

na drewnianej podłodze. Śliczna dziewczyna. Jej wełniana, podarta piżama z trudem zakrywała jedną pierś; reszta jasnego ciała była w kilkunastu miejscach czerwona od krwi. W głębi kuchni porucznik dostrzegł nieruchome nogi innej kobiety. Przeszedł do pokoju, gdzie znalazł trupy mężczyzny i psa.

Pojawił się Smith. Najpierw zlustrował wzrokiem pomieszczenia, a następnie popatrzył na Edwardsa. Oficerek pokazał kły.

–Sprawdzę piętro. Dobry jesteś, szefie.

Rodgers kopniakiem obalił Rosjanina na podłogę i przyłożył mu do krzyża bagnet.

–Rusz się tylko, kurwa, a rozerżnę cię na pół – warknął.

Edwards pochylił się nad leżącą na podłodze blondynką.

Miała spuchniętą od bicia twarz i spazmatycznie łapała powietrze. Na oko mogła mieć około dwudziestu lat. Była prawie naga, więc Edwards rozejrzał się wokół i ściągnął ze stołu obrus. Otulił nim dziewczynę.

–Już w porządku. Wstań, proszę, żyjesz kochanie.

Jesteś bezpieczna. Już wszystko dobrze.

Dopiero po długiej chwili skierowała wzrok na młodego porucznika. Edwards zadrżał na widok jej oczu. Najdelikatniej jak umiał, dotknął policzka dziewczyny.

–Chodź, wstań z ziemi. Nikt już cię nie skrzywdzi.

Dziewczyna zaczęła gwałtownie drżeć. Otulając ją jeszcze dokładniej serwetą, pomógł Islandce wstać.

–Góra jest czysta, sir – oznajmił Smith i podał szlafrok. – Niech pan jej to da. Zrobili jej coś jeszcze?

–Zabili tatę i mamę. I psa. Podejrzewam, że po t y m i ją zamierzali zabić. Sierżancie, proszę się wszystkim zająć.

Przeszukać tych Ruskich, zdobyć nieco żywności. Zabierzemy też inne rzeczy, które mogą się przydać. Musimy działać szybko. Trzeba załatwić wiele spraw. Ma pan pakiet pierwszej pomocy?

–Oczywiście szefie, mam – Smith wręczył mu niewielką paczuszkę z bandażami i środkami opatrunkowymi, po czym wyszedł na zewnątrz, do Garcii.

–Chodźmy na górę. Musi się pani doprowadzić do porządku – objął dziewczynę lewym ramieniem i pomógł wejść po stromych, starych, drewnianych schodach. Na myśl o niej ściskało mu się serce. Miała jasnobłękitne oczy, w tej chwili kompletnie pozbawione życia. Tak piękne, że i teraz przyciągnęłyby uwagę każdego mężczyzny. Raz już przyciągnęły – pomyślał z goryczą Edwards.

Była zaledwie o dwa centymetry niższa od niego i miała jasną, prawie półprzeźroczystą skórę. Jej idealną sylwetkę szpecił tylko lekko wzdęty brzuch; Edwards wiedział, co on oznacza. Właśnie teraz została zgwałcona przez jednego z Rosjan. A miał to być zaledwie początek bardzo długiej nocy pełnej gwałtów – ze wściekłością pomyślał Mikę Edwards. Po raz drugi w swoim życiu zetknął się z tą okropną zbrodnią. Na górze kręconych schodów znajdował się maleńki pokoik. Weszli tam, dziewczyna usiadła na pojedynczym łóżku.

–K… k… kim…? – wy dukała.

–Jesteśmy Amerykanami. Uciekliśmy z Keflaviku, kiedy zaatakowali Rosjanie. Jak się nazywasz?

–Vigdis Agustdottir – odparła martwym głosem.

Vigdis, córka Augusta, który leży martwy w kuchni.

Edwards zastanawiał się chwilę, co może po islandzku znaczyć imię Vigdis.

Ustawił na stole lampę i otworzył pakiet pierwszej pomocy. Dziewczyna miała rozciętą skórę na szczęce.

Zdezynfekował ranę. To musiało boleć, lecz Vigdis nawet się nie skrzywiła. Resztę ciała, jak zauważył, miała tylko posiniaczoną; jedynie plecy były podrapane szorstkimi deskami podłogi. Rozpaczliwie walczyła, więc dostała kilka ciosów. I z całą pewnością utraciła już dziewictwo. Mogło być dużo gorzej, ale Edwardsa ogarnęła zimna furia. Tak potraktować to śliczne stworzenie. No cóż, podjął decyzję.

–Nie możesz tu pozostać – powiedział. – Musimy uciekać. Ty również. Pójdziesz z nami.

–Ale…

–Wybacz. Rozumiem; kiedy Ruscy zaatakowali bazę, też straciłem paru przyjaciół. Nie tak jak ty, mamę i tatę,

ale… Jezu! – Edwards rozłożył bezradnie ręce, nie mogąc przedrzeć się przez barierę nic nie znaczących słów. – Wybacz, nie mogliśmy przybyć wcześniej.

Czy o to właśnie chodzi niektórym feministkom? – pomyślał. Twierdzą, że gwałt jest zbrodnią, jakiej wszyscy mężczyźni dopuszczają się względem kobiet, by je od siebie uzależnić. Czemu więc chcesz iść na dół i… Edwards był najgłębiej przekonany, że postąpili słusznie. Sięgnął po jej dłoń. Nie cofnęła ręki.

–Musimy niebawem się stąd oddalić. Zabierzemy cię ze sobą. Masz chyba w okolicy jakąś rodzinę lub przyjaciół.

Zaprowadzimy cię do nich. Tam znajdziesz opiekę. Tu nie możesz zostać. Jeśli zostaniesz, zabiją cię. Rozumiesz?

Zauważył w półmroku energiczne skinienie głowy.

–Tak. Ale proszę… proszę mnie zostawić. Chcę być przez chwilę sama.

. – Naturalnie – ponownie dotknął jej policzka. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zawołaj.

Edwards zszedł na dół. Smith zajął się wszystkim. Trójka Rosjan klęczała na podłodze. Radzieccy żołnierze mieli zasłonięte oczy, zakneblowane usta i związane na plecach ręce. Pilnował ich Garcia. Rodgers był w kuchni, a Smith segregował zwalone na stół przedmioty.

–W porządku, kogo tu mamy?

Teraz już Smith spoglądał na swego oficera z rodzajem uwielbienia.

–Mamy tu ruskiego porucznika; z mokrym jeszcze kutasem. Martwego sierżanta i martwego szeregowca.

I dwóch żywych. Porucznik miał przy sobie to, sir.

Edwards odebrał mapę i rozwinął ją.

–Och, do licha, to wspaniale! – mapa popstrzona była różnymi znakami.

–Mamy też drugą lornetkę i radio. Szkoda, że nie możemy go używać. Trochę żywności. Wygląda na gówno, ale lepsze to niż nic. Grackośmy się uwinęli, szefie. Pokonać pięciu Ruskich za pomocą tylko trzech kul.

–Jim, co musimy ze sobą zabrać?

–Tylko jedzenie, sir. Myślę, że dobrze byłoby też

wziąć ze dwa ich karabiny wraz z amunicją. Mogą się przydać. Ale już i tak jesteśmy solidnie obładowani…

–No i nie mamy prowadzić tu wojny, ale bawić się w skautów, prawda? – Edwards blado się uśmiechnął.

–Myślę, że powinniśmy wziąć też trochę ubrań. Swetry i tak dalej. Bierzemy tę panią?

–Musimy.

Smith przytaknął skinieniem głowy.

–Hm, ma pan rację. Mam nadzieję, że lubi się włóczyć, sir. Jest w kiepskim stanie, a ponadto w ciąży. Tak na moje oko, w czwartym miesiącu.

–W ciąży? – Garcia gwałtownie odwrócił się. – Zgwałcili dziewczynę w ciąży? – zaczął coś gniewnie mamrotać pod nosem po hiszpańsku.

–Mówili coś? – spytał Mikę.

–Ani słowa, sir – odparł Garcia.

–Jim, idź na górę po dziewczynę i przyprowadź ją tutaj. Nazywa się Vigdis. Postępuj z nią ostrożnie i delikatnie.

–Proszę się nie obawiać, sir – Smith ruszył w stronę schodów.

–Ten ze zwisającą pytą to porucznik, tak? – spytał Edwards, a Garcia skinął głową.

Porucznik stanął przed jeńcem. Odsłonił mu oczy i wyjął knebel. Rosjanin był w jego wieku i obficie się pocił.

–Mówisz po angielsku? – spytał Edwards.

Mężczyzna pokręcił głową.

–Spreche deutsch.

W szkole wyższej Edwards uczęszczał przez dwa lata na lektorat niemieckiego, ale nagle odeszła go chęć rozmowy z tym człowiekiem. Zdecydował już o jego losie, a nie miał ochoty rozmawiać z kimś, kogo niebawem zabije; chciał mieć czyste sumienie. Niemniej przez parę minut obserwował radzieckiego porucznika w milczeniu. Studiował uważnie twarz mężczyzny, który dokonał tak okropnej rzeczy. Spodziewał się ujrzeć potwora; ujrzał zwykłego człowieka. Podniósł wzrok. Po schodach schodził Smith z dziewczyną.

–Ona już wszystko ma, szefie. Ciepłe ubranie, buty.

Myślę, że weźmiemy dla niej jakąś menażkę, pelerynę i plecak. Pozwoliłem też zabrać szczotkę i inne babskie drobiazgi. Dla nas też wziąłem trochę mydła, zastanawiam się nad brzytwą.

–Wyśmienicie, sierżancie. Vigdis – Edwards zwrócił się do dziewczyny – niebawem ruszamy.

Odwrócił się w stronę Rosjan.

–Leutnant. Wofiir? Warum?

Po co… dlaczego to wszystko robi? Nie dla siebie przecież. Dla niej.

Mężczyzna wiedział, co go czeka. Wzruszył ramionami.

–Afganistan.

–Szefie, oni są jeńcami – wtrącił Rodgers. – Chodzi mi o to, sir, że nie "może pan…

–Panowie, w myśl Wojskowego Kodeksu Karnego jesteście oskarżeni o jeden gwałt i dwa morderstwa. Są to zbrodnie główne – powiedział głośno Edwards, przede wszystkim dlatego, by usprawiedliwić swoją decyzję względem całej trójki. – Czy macie, panowie, coś na swoją obronę? Nie? Jesteście zatem winni. Skazuję was na śmierć.

Lewą ręką porucznik odchylił głowę Rosjanina mocno do tyłu. Prawą wyszarpnął nóż, odwrócił go i z całych sił uderzył skazanego rękojeścią w krtań. Dźwięk uderzenia był zaskakująco głośny. Edwards odepchnął ofiarę nogą.

Był to straszny widok. Trwał parę minut. Krtań radzieckiego porucznika pękła natychmiast, blokując tchawicę.

Człowiek, nie mogąc złapać tchu, zaczął wykonywać ciałem gwałtowne ruchy w lewo i prawo.

Twarz mu pociemniała.

Zebrani w pokoju przyglądali się temu w milczeniu. Jeśli nawet ktoś czuł litość, nie okazywał tego po sobie. W końcu ciało znieruchomiało.

–Wybacz, że nie przybyliśmy wcześniej, Vigdis, ale ten stwór nikogo już więcej nie skrzywdzi – Edwards miał nadzieję, że ta amatorska psychoterapia odniesie skutek.

Dziewczyna wróciła na górę. Pewnie chce się umyć – pomyślał Edwards. Czytał gdzieś, że po gwałcie jedyną rzeczą, jakiej kobieta pragnie, to kąpiel; zupełnie jakby

chciała zmyć z siebie jakieś widoczne znaki tego, że stała się ofiarą czyjejś zwierzęcej żądzy.

Odwrócił się w stronę dwóch pozostałych Rosjan.

Nie mogli przecież wziąć jeńców; powierzone im zadanie dopuszczało użycie wszelkich środków. Z drugiej strony jednak ci żołnierze nie zdążyli jeszcze zgwałcić dziewczyny i…

–Zajmę się tym, sir – powiedział cicho Garcia. Żołnierz stał za plecami klęczących. Jeden z nich wydawał jakieś dźwięki, ale gdyby nawet nie miał knebla, nic by z tego nie wynikło – i tak nikt z obecnych nie znał słowa po rosyjsku. Rosjanie nie mieli szans. Garcia uderzył z boku, przebijając szyję na wylot najpierw jednemu, potem drugiemu. Obaj upadli. Trwało to bardzo krótko. Żołnierz i porucznik poszli do kuchni umyć ręce.

–W porządku, załadujemy ich do samochodu i odwieziemy na główną szosę. Może zdołamy upozorować wypadek i spalić ciała razem z samochodem. Weźmiemy jakieś flaszki z alkoholem. Zrobimy tak, żeby wyglądało, że się upili.

–Byli pijani, sir – Rodgers pokazał butelkę z przezroczystym płynem.

Edwards obrzucił naczynie szybkim spojrzeniem, ale natychmiast odepchnął od siebie pokusę.

–Pomyślmy. Jeśli moje przypuszczenia są trafne, ci chłopcy pilnowali skrzyżowania; może odbywali tylko patrol. Nie myślę, by Ruscy strzegli każdego skrzyżowania na tej wyspie. Przy odrobinie szczęścia ich przełożeni nie dowiedzą się nawet, że mogło to mieć jakikolwiek związek z nami.

Nikła nadzieja – pomyślał – ale zawsze nadzieja.

–Szefie – odezwał się Smith. – Jeśli chcesz, możemy…

–Wiem. Pan i Rodgers zostaniecie tutaj i zajmiecie się tym. Jeśli znajdziecie jeszcze coś użytecznego, weźcie. Gdy wrócimy, natychmiast zabieramy stąd nasze dupska.

Na tył samochodu załadowali z Garcia pięć trupów, sprawdziwszy uprzednio zawartość auta. Zabrali przeciwdeszczowe peleryny, prawie takie same jak ich własne, oraz

parę innych przedmiotów. Potem szybko ruszyli w kierunku autostrady.

Dopisało im szczęście. Na skrzyżowaniu nie było żadnego posterunku zapewne z tego względu, że droga prowadziła donikąd. Rosjanie więc musieli odbywać po prostu patrol, a do farmy udali się na wypoczynek i rozrywki. Dwieście metrów dalej, wzdłuż nadbrzeżnej autostrady ciągnął się pas stromych skał. Podprowadzili tam samochód i usadowili zwłoki na siedzeniach. Garcia wlał do środka pięć galonów benzyny. Następnie auto z otwartym tyłem podepchali na sam skraj urwiska. Kiedy pojazd przechylał się przez krawędź, żołnierz piechoty morskiej cisnął do środka odbezpieczony rosyjski granat. Nie obserwowali rezultatów swej roboty. Dzielące ich od farmy kilkaset metrów przebyli biegiem. Tam już wszyscy czekali gotowi do wymarszu.

–Musimy spalić dom, proszę pani – wyjaśnił Smith. – Jeśli tego nie zrobimy, Rosjanie natychmiast domyślą się, co się tu naprawdę stało. Pani rodzice nie żyją, ale z pewnością chcieliby, aby pani żyła, prawda?

Dziewczyna ciągle jeszcze znajdowała się w zbyt wielkim szoku, by znaleźć odpowiedź. Pokiwała tylko bezradnie głową.

Rodgers i Smith przenieśli zwłoki na górę i ułożyli je na łóżkach. Lepiej byłoby ciała pogrzebać, ale nie mieli na to czasu.

–W drogę – polecił Edwards. Musieli szybko stąd uciekać. Ktoś mógł dostrzec płonący samochód, a skoro Rosjanie dysponowali helikopterem… – Garcia, proszę zaopiekować się panią. Smith, pan pilnuje tyłów. Rodgers, prowadzisz. Za trzy godziny musimy być dziesięć kilometrów stąd.

Smith odczekał dziesięć minut i wrzucił do domu granat.

Rozlana na podłodze parteru nafta zajęła się natychmiast.

USS „Chicago" Teraz już mieli dużo lepszy kontakt. Ustalili, że jednym z okrętów jest rakietowy niszczyciel klasy Kashin. Hałas robiony przez jego śruby wskazywał, że jednostka porusza

się z szybkością dwudziestu jeden węzłów. Pierwsze okręty radzieckiego konwoju odległe były od „Chicago" o trzydzieści siedem mil. Wydawało się, że przemieszczają się w dwóch grupach – prowadząca formacja płynęła wachlarzem i osłaniała drugą. McCafferty polecił wysunąć wykrywacz radarów. Urządzenie wykazało wiele źródeł dźwięku, ale tego kapitan się spodziewał.

–Peryskop w górę.

Bosman ruszył do pierścienia, rozłożył rączki peryskopu i cofnął się o krok. McCafferty szybko omiótł spojrzeniem horyzont. Po dziesięciu sekundach złożył uchwyty; peryskop

ponownie opadł do studzienki.

–Załoga, mamy przed sobą bardzo pracowity dzień – odezwał się kapitan. Miał zwyczaj w miarę możliwości informować zgromadzonych w centrum bojowym ludzi o wszystkim, co ich czeka. Im więcej wiedzą, tym lepiej wykonują zadania. – Widziałem dwa beary-F, jeden na północy, drugi na zachodzie. Oba były bardzo daleko, ale dam głowę, że zrzucają pławy.

Zwracając się do pierwszego oficera, dodał:

–Schodzimy na sto siedemdziesiąt metrów. Prędkość pięć węzłów. Pozwolimy im podejść.

–Sterownia, tu sonar.

–Tak jest, tu sterownia – odparł McCafferty.

–Odbieramy impulsy aktywnych pław sonarowych na północnym zachodzie. Naliczyliśmy sześć źródeł. Impulsy bardzo słabe. – Szef hydrolokacji odczytał współrzędne. – Od konwoju nadal nie dobiegają żadne sygnały aktywnych hydrolokatorów.

–Wybornie – McCafferty odłożył mikrofon na widełki. „Chicago" pochylony pod kątem piętnastu stopni szybko się zanurzał. Kapitan obserwował wskazania batytermografu. Na głębokości siedemdziesięciu pięciu metrów woda gwałtownie się oziębiła, na odcinku dalszych dwudziestu pięciu jej temperatura spadła o dwanaście stopni.

Dobrze, owa gruba warstwa zapewni im wyśmienite schronienie, a głęboka, zimna woda zagwarantuje dobrą pracę sonarów. 27 – Czerwony sztorm

Dwie godziny wcześniej McCafferty polecił usunąć z jednej z wyrzutni torpedę, zaś na jej miejscu umieścić rakietę Harpoon. Wprawdzie w razie spotkania z okrętem podwodnym mógł użyć tylko jednej torpedy, za to był w stanie oddać aż trzy salwy do jednostek nawodnych; zostawały też tomahawki. Już teraz mógł strzelać i spodziewać się trafienia, ale szkoda było mu pocisku; po co tracić go na niewielki okręt patrolowy, skoro dalej czeka krążownik i lotniskowiec.

Najpierw chciał dobrze namierzyć cele. Walka z nimi nie będzie rzeczą prostą, lecz przeznaczeniem okrętów podwodnych klasy 688 nie były zadania łatwe.

Udał się do przedziału hydrolokacji.

Szef sonaru dostrzegł go kątem oka.

–Kapitanie, chyba namierzyliśmy „Kirowa". Odebraliśmy sześć impulsów sonaru o niskiej częstotliwości. Myślę, że to on; współrzędne: zero-trzy-dziewięć. Próbuję teraz wyodrębnić charakterystykę hydrolokacyjną jego silników.

I jeśli… w porządku, po prawej znów zrzucili parę pław sonarowych.

Na ekranie pojawiły się kolejne punkciki świetlne, tym razem mocno na prawo od pierwszego rządka. Dzieliła je spora odległość.

–Szefie, zrzuca pławy sonarowe według szewronów, tak? – spytał McCafferty.

Sonarzysta z uśmiechem skinął głową. Skoro Rosjanie opuszczali pławy sonarowe pod kątem w dwóch liniach, po lewej i prawej stronie konwoju, znaczyć to mogło, że kierują się prosto na „Chicago". Okręt podwodny nie musiał wykonywać żadnego manewru, by do nich dotrzeć.

Powinien tylko czekać cierpliwie; jak wykopany grób.

–Wydaje się, że raz szukają pod warstwą a raz nad nią.

Między nimi wielki odstęp -.szef, nie odrywając wzroku od ekranu, zapalił papierosa. Stojąca obok popielniczka pełna była niedopałków.

–Dobrze go sobie namierzymy. Doskonała robota, Barney.

Kapitan poklepał po ramieniu szefa sonarzystów i wrócił do centrum bojowego, gdzie kierująca ogniem grupa

marynarzy nanosiła na nakres nowe kontakty. Wyglądało na to, że między pławami są dwie mile przerwy. Jeśli Rosjanie rzeczywiście sondują ocean za pomocą pław raz nad warstwą, a raz pod nią, „Chicago" miał szansę przemknąć między nimi. Problem stanowiły tylko pławy bierne, których obecności nie mogli wykryć.

McCafferty stał przy peryskopie i obserwował ludzi programujących komputer sterujący ogniem. Za plecami miał innych członków załogi, którzy mozolili się nad papierowymi nakresami i wyliczeniami podręcznych kalkulatorów. Pulpit kontroli wyrzutni błyskał licznymi światełkami wskazującymi pełną gotowość bojową. Okręt przygotowywał się do walki.

–Zmniejszyć głębokość do siedemdziesięciu metrów.

Posłuchamy, co nowego nad warstwą.

Manewr wykonany został natychmiast.

–Mamy bezpośredni namiar na cele – oznajmił główny sonarzysta. Mogli obecnie wykrywać i śledzić dźwięki wydawane przez radzieckie jednostki bez względu na zanikające i pojawiające się strefy konwergencyjne.

McCafferty rozluźnił się. Wkrótce będzie miał zajęć po uszy.

–Kapitanie, za chwilę zrzucą kolejną pławę. Wypuszczają je przeciętnie co kwadrans, a ta

może spaść bardzo blisko nas.

–Znów odbieram sonar typu Horse-Jaw, sir – dobiegło ostrzeżenie z hydrolokacji. – Tym razem współrzędne: trzy-dwa-zero. To krążownik „Kirow". O, następny sygnał. Łapiemy aktywny hydrolokator o średniej częstotliwości.

Powtarzam i na pozycji trzy-trzy-jeden mamy aktywny sonar średniej częstotliwości. Przemieszcza się z lewej do prawej. To chyba krążownik do zwalczania okrętów podwodnych klasy Kresta II.

–Chyba ma pan rację – powiedział oficer znad nakresu. – Pozycja: trzy-dwa-zero jest prawie zbieżna z położeniem dwóch śledzonych przez nas na ekranach okrętów, ale wystarczająco odległa, by mógł to być jakiś nowy kontakt. Pozycja: trzy-trzy-jeden pokrywa się ze

środkowym okrętem eskorty. Kresta, wraz z jednostką flagową, będzie dowodziła ochroną. Muszę mieć trochę czasu, by obliczyć odległość.

Kapitan polecił zostawić okręt nad warstwą; w każdej chwili jednak był gotów do błyskawicznej ucieczki w dół.

Obraz taktyczny stawał się coraz klarowniejszy. Mieli już wstępne współrzędne „Kirowa". Niemal wystarczające, by oddać strzał, lecz ciągle brakowało dokładnych danych o odległości. Między „Chicago" a krążownikiem znajdowały się dwa okręty eskortowe i, jeśli nie obliczyliby jej precyzyjnie, pocisk mógłby przez pomyłkę trafić w niszczyciela lub fregatę. W międzyczasie szef wyrzutni harpoonów zaprogramował rakiety na jednostkę, która jego zdaniem musiała być „Kirowem". „Chicago" zaczął poruszać się zygzakami, zbaczając z kursu to w lewo, to w prawo. Kiedy zmieniał pozycję, współrzędne celów w hydrolokatorze też się zmieniały.

Zespół namierzający musiał to cały czas uwzględniać przy dokonywaniu pomiarów poszczególnych celów. Ruch prostoliniowy okrętu – podstawowe zadanie z trygonometrii na wyższych uczelniach – nie miał tu zastosowania, gdyż należało wkalkulować szybkości i kursy obiektów ruchomych. Komputer niewiele mógł tu przyspieszyć, ale jeden z oficerów od namiaru znany był z tego, że umiał wykorzystać do tych wyliczeń ruch kolisty okrętu i był w stanie podać pozycję jednostki szybciej niż komputer.

Panujące wśród załogi napięcie nieco zelżało. Lata treningu robiły swoje. Dane zostały opracowane i naniesione na nakresy. Marynarze w jednej chwili jakby stopili się w jedno z instrumentami, które obsługiwali. Uczucia przestały się liczyć, emocje opadły i tylko świecące od potu twarze świadczyły o tym, że stoją tu żywe istoty ludzkie a nie maszyny. Ich los całkowicie zależał od operatorów sonaru.

Energia dźwiękowa dochodząca z powierzchni oceanu była jedynym wskaźnikiem, co się tam dzieje. Każdy nowy raport dotyczący współrzędnych przeciwnika sprawiał, że ludzie zagłębiali się w gorączkowej pracy. Było już całkiem oczywiste, że cele płyną zakosami, co jeszcze

utrudniało wyliczenia.

–Dowodzenie, tu sonar. Aktywna pława niedaleko lewej burty! Chyba poniżej warstwy.

–Ster prawo, dwie trzecie naprzód – natychmiast zakomenderował pierwszy oficer.

McCafferty wszedł do hydrolokacji i nałożył słuchawki.

Impulsy były głośne, ale… zniekształcone. Jeśli pława znajdowała się poniżej gradientu temperaturowego, emitowane przez jego okręt prosto w górę sygnały będą nie do wykrycia… przypuszczalnie.

–Jaka siła dźwięku? – zapytał.

–Duża – odparł szef. – Mogą nas znaleźć. Jeśli się oddalimy o pół kilometra, z pewnością nas stracą.

–W porządku, nie mogą przecież mieć wszystkiego na podglądzie.

Pierwszy oficer przeprowadził „Chicago" jeszcze tysiąc metrów i ustawił go na głównym kursie. Wszyscy mieli świadomość, że gdzieś w górze krąży samolot Bear-F uzbrojony w samonaprowadzające torpedy i sonary wyłapujące sygnały z pławy. Jak czułe są te urządzenia i jak sprawni ludzie? Na to pytanie nikt z załogi „Chicago" nie znał odpowiedzi. Upłynęły trzy pełne napięcia minuty, ale nic się nie wydarzyło.

–Jedna trzecia naprzód. Kurs w lewo trzy-dwa-jeden – polecił pierwszy oficer. Przepływali właśnie linię pław; od celu dzieliły ich jeszcze trzy takie bariery. Już prawie ustalili odległość od trzech eskortowców; ciągle nie znali dystansu, jaki dzielił ich od „Kirowa".

–Załoga, beary mamy już za sobą. Jeden kłopot z głowy.

Odległość do najbliższej jednostki? – spytał McCafferty oficera.

–Dwadzieścia trzy tysiące metrów. To chyba sovremenny.

Kresta znajduje się około pięciu tysięcy na wschód od niego. Namierza okolicę sonarami kadłubowymi o zmiennej głębokości.

McCafferty skinął głową. Hydrolokator tego typu mógł akurat znajdować się pod warstwą, miał wtedy niewielkie szansę wykrycia obecności „Chicago". Obawiać się natomiast należało sonarów kadłubowych, ale był to problem na

później. W porządku – pomyślał kapitan. – Wszystko przebiega zgodnie z planem…

–Dowodzenie, tu sonar, torpedy w wodzie, współrzędne: trzy-dwa-zero! Sygnał słaby. Powtarzam, torpedy w wodzie na pozycji trzy-dwa-zero. Współrzędne się nie zmieniają.

Ponadto włączyło się wiele aktywnych sonarów.

Odbieramy wzrastający hałas śrub od strony celów…

Jeszcze przed zakończeniem raportu McCafferty był w przedziale hydrolokacji.

–Współrzędne torped zmienne?

–Teraz tak. Poruszają się od lewej do prawej… Jezu, myślę, że Ruskich ktoś atakuje. Trafienie! – szef dziobnął palcem w ekran.

Na prawo od „Kirowa" pojawiły się trzy linie jaskrawych punkcików. Obraz na monitorze nagle oszalał. Urządzenia o małej i średniej częstotliwości rozpaliły się liniami aktywnych sonarów. Kiedy okręty zaczęły przyspieszać i zmieniać gwałtownie pozycje, linie na ekranach pojaśniały.

–Następna eksplozja! Na tej samej współrzędnej… o, cholera! Wybuchy w wodzie. Jakiś pocisk. Kolejna torpeda.

Współrzędne zmienne: od prawej do lewej.

Teraz już wykres stał się dla McCafferty'ego zbyt skomplikowany. Szef rozwinął harmonogram, by ułatwić sobie interpretację, ale tylko on i jego doświadczeni współpracownicy mogli coś z tego pojąć.

–Kapitanie, wygląda na to, że ktoś wdarł się w środek konwoju i zaatakował go. Trzykrotnie solidnie trafił „Kirowa" i teraz Rosjanie próbują dostać napastnika. Te dwa okręty wyraźnie skupiły się na jakimś obiekcie. Ja… kolejna torpeda w wodzie. Nie wiem, czyja. Jezu, proszę popatrzeć na te wszystkie eksplozje!

McCafferty ruszył w stronę rufy.

–Głębokość peryskopowa! „Chicago" wystrzelił w górę i po minucie zajął wymaganą pozycję.

Kapitan ujrzał na horyzoncie jakiś maszt i słup czarnego dymu na pozycji trzy-dwa-zero. Działało ponad dwadzieścia radarów, a w eterze rozbrzmiewało wiele głosów.

–Peryskop w dół. Mamy dokładne dane jakichś celów?

–Nie, sir – odparł pierwszy oficer. – Kiedy ich jednostki zaczęły manewry, wszystkie nasze wyliczenia szlag trafił.

–Jak daleko do najbliższych pław?

–Dwie mile. Jesteśmy dokładnie w linii przerwy.

–Głębokość dwieście siedemdziesiąt metrów. Cała naprzód. Przechodzimy.

Silniki ^Chicago" pchnęły go z szybkością trzydziestu węzłów. Pierwszy oficer opuścił okręt na wyznaczoną przez kapitana głębokość, prowadząc go znacznie poniżej pław sonarowych przeznaczonych do penetracji płytkich wód.

McCafferty zatrzymał się przy stole nakresowym, wyjął z kieszeni długopis i nieświadomie zaczął gryźć plastikową obsadkę. Obserwował, jak okręt coraz bardziej zbliża się do wrogiej formacji. Przy tak dużej prędkości hydrolokatory stawały się prawie bezużyteczne, ale niebawem do wnętrza okrętu zaczęły docierać pochodzące z eksplozji dźwięki o niskiej częstotliwości. „Chicago", aby uniknąć pław sonarowych, kluczył przez dwadzieścia minut. Załoga z kontroli ognia gorączkowo uaktualniała współrzędne celów.

–W porządku, zmniejszyć szybkość do jednej trzeciej i powrócić na peryskopową – odezwał się McCafferty. – Proszę nasłuch.

Obraz na ekranach sonaru natychmiast się wyostrzył.

Rosjanie jak szaleni poszukiwali okrętu, który zaatakował ich jednostkę flagową. Po jednym radzieckim okręcie ślad zupełnie zaginął; więc co najmniej jeden został zatopiony lub mocno uszkodzony. W wodzie ciągle słychać było eksplozje przerywane wyjącym dźwiękiem pędzących torped.

Wszystko to działo się niebezpiecznie blisko „Chicago".

–Obserwacja bojowa. Peryskop w górę!

Urządzenie błyskawicznie wysunęło się ze studzienki.

McCafferty zlustrował okolicę nisko nad wodą.

–Jezus Maria!

Ekran telewizyjny pokazał, że w odległości zaledwie połowy mili, po ich prawej stronie leciał bear, który kierował się na północ w stronę formacji. Kapitan zobaczył siedem

jednostek – głównie wierzchołki ich masztów – ale jeden z sovremennych, oddalony od Amerykanów około cztery mile, był bardzo głęboko zanurzony. Dymy, które McCafferty ujrzał był poprzednio, zniknęły. Wodę rozdzierały impulsy pochodzące z radzieckich hydrolokatorów.

–Wysunąć radar. Włączyć, ale jeszcze nie uruchamiać.

Podoficer wysunął urządzenie, włączył zasilanie i instrument zostawił w pozycji: „gotów".

–Teraz. Dwa obroty omiatające – polecił z kolei kapitan.

Był to bardzo ryzykowny manewr. Istniało ogromne prawdopodobieństwo, że Rosjanie wykryją amerykańskie urządzenie i zaatakują.

Radar pracował dokładnie dwanaście sekund. „Wymalował" na ekranie dwadzieścia sześć celów, dwa bardzo blisko siebie, w miejscu, gdzie powinien być „Kirow". Operator radiolokacji natychmiast wprowadził współrzędne do komputera sterującego rakietami Mk-117 i przekazał informacje do tkwiących w wyrzutniach torpedowych rakiet Harpoon.

Umieszczone w ich dziobach urządzenia samosterujące przyjęły dane. Oficer dyżurny przy konsoli gotowości bojowej broni sprawdził wskaźniki, po czym wybrał dwa najbardziej obiecujące dla rakiet cele.

–Gotowe!

–Zalać wyrzutnie! – polecił McCafferty. – Otworzyć luki!

–Dane wprowadzone – oznajmił cicho operator wyrzutni. – Kolejność ataku: dwójka, jedynka, trójka.

–Ognia! – rozkazał McCafferty.

–Dwójka poszła – okręt podwodny zadrżał, kiedy kompresja wypchnęła rakietę. Potem rozległ się syk – to w próżnię po niej zaczęła się wdzierać woda. – Jedynka poszła… trójka poszła. Druga, pierwsza i trzecia odpalone, sir.

Wyloty wyrzutni zatrzaśnięte. Woda jest wypompowywana.

–Załadować marki-48. Przygotować do odpalenia tomahawki – zarządził McCafferty.

Obsługa kontroli ogniowej uaktywniła drzemiące w dziobie rakiety.

–Peryskop w górę.

Podoficer zakręcił kołem. McCafferty ujrzał smugę dymu ostatniego harpoona, a tuż obok niego… kapitan energicznie złożył uchwyt peryskopu i odsunął się do tyłu.

–Nadlatuje helix. Zanurzenie i cała w lewo. „Chicago" runął w głębinę. Radziecki helikopter do zwalczania okrętów podwodnych widział wystrzeloną spod wody rakietę i teraz nadlatywał w to miejsce.

–Ster, cała w lewo.

–Ster, cała w lewo.

–Przeleciał na wysokości trzydziestu metrów. Prędkość piętnaście węzłów – zameldował pierwszy oficer.

–O, tu jest – odparł McCafferty. Impulsy aktywnego sonaru z helikoptera odbiły się od kadłuba okrętu.

–Ster cała w prawo. Wystrzelić generator szumów.

Kapitan rozkazał przyjąć kurs wschodni i redukować prędkość w miarę, jak zagłębiali się w interklinę. Przy odrobinie szczęścia helikopter może potraktować generator szumów jako dźwięki kawitacyjne i zaatakować w tamtym miejscu. W tym czasie „Chicago" spokojnie się oddali.

–Dowodzenie, tu sonar. Zbliża się niszczyciel. Współrzędne: trzy-trzy-dziewięć. Chyba sovremenny. Torpeda za rufą. Współrzędne: dwa-sześć-pięć.

–Ster dwadzieścia stopni w prawo. Dwie trzecie naprzód. Nowy kurs: jeden-siedem-pięć.

–Dowodzenie, tu sonar. Nowy kontakt. Dwie śruby.

Cel włączył własny sonar małej częstotliwości. Prawdopodobnie udaloy. Szybkość: dwadzieścia pięć węzłów. Współrzędne: trzy-pięć-jeden, kurs stały. Torpeda zmieniła kurs. Niknie.

–Wyśmienicie – kiwnął głową McCafferty. – Helikopter zajął się generatorem szumów. Tego mamy z głowy.

Jedna trzecia naprzód. Schodzimy na głębokość trzystu trzydziestu metrów.

Sovremenny nie był dla nich specjalnie groźny. Z udaloy em rzecz się miała zupełnie inaczej. Ten nowy model radzieckiego niszczyciela posiadał hydrolokator małej częstotliwości, który w pewnych okolicznościach mógł nawet penetrować interklinę oraz dysponował dwoma helikopterami

i torpedami rakietowymi dalekiego zasięgu. Czasami były one skuteczniejsze niż amerykańskie pociski" do zwalczania okrętów podwodnych.

Bach!

Wewnątrz podwodnego okrętu rozniósł się dźwięk uderzenia impulsu sonaru małej częstotliwości. Trafił w „Chicago" za pierwszym razem. Czy zdradzi pozycję amerykańskiego okrętu załodze udaloya? A może gumowa wykładzina pochłonęła impuls?

–Współrzędne celu: trzy-pięć-jeden. Jego prędkość spadła do dziesięciu węzłów – zameldował sonarzysta.

–W porządku. Zwolnił. Szuka nas. Hydrolokacja, jak silny był impuls?

–Na granicy wykrywalności, sir. Prawdopodobnie jednak sygnał nie wrócił. Cel manewruje.

Obecna pozycja: trzy-pięć-trzy. Cały czas przeczesuje impulsami dźwiękowymi wodę, ale kieruje je daleko na zachód i wschód od nas. Kolejny sonar zainstalowany na helikopterze. Współrzędne: zero-dziewięć-osiem. Sygnał przechodzi pod interkliną, jest bardzo słaby.

–Kurs zachodni – polecił McCafferty pierwszemu oficerowi. – Zatoczymy szeroki łuk i zbliżymy się do nich od morza.

Kapitan wrócił do kabiny sonarowej. Kusiło go, by zaatakować udaloya^ ale wystrzelenie torpedy z głębokości, na której przebywali, kosztowałoby ich zbyt wiele sprężonego powietrza. Ponadto McCafferty chciał zniszczyć główne jednostki, nie eskortę. Mimo to zespół sterujący ogniem obliczył i wprowadził do komputera dane na wypadek, gdyby atak na niszczyciela okazał się konieczny.

–Ale bajzel – westchnął szef sonarzystów. – Poszukiwania podwodne na północy nieco się uspokoiły. Cele albo wracają na wyznaczone pozycje, albo odpływają.

Trudno powiedzieć. Och, zrzucają następne pławy – szef wskazał palcem pojawiające się na ekranie równe linie punkcików, które zbliżały się do „Chicago". – Następna może spaść bardzo blisko, sir.

McCafferty wsunął głowę do centrum bojowego,

–Kurs na południe. Szybkość dwie trzecie.

Kolejna pława spadła dokładnie nad okrętem. Jej przetwornik opadł na kablu poniżej warstwy i zaczął automatycznie wysyłać impulsy.

–Teraz na pewno mają nas, kapitanie.

McCafferty polecił zmienić kurs i płynąć pełną parą na zachód. Trzy minuty później do wody wpadła torpeda; nie wiedzieli, czy pochodziła z beara, czy z udaloya. Szukała ich o milę od ich rzeczywistej pozycji. Potem odpłynęła.

Uratował okręt system bezechowy. Teraz z kolei pojawił się przed nimi hydrolokator helikoptera. Zmienili kurs na południowy. McCafferty zdawał sobie sprawę, że oddala się od Rosjan, ale nic nie mógł zrobić. Ścigały go obecnie dwa helikoptery i wymknięcie się zrzuconym przez nie sonarom nie należało do prostych zadań. Było oczywiste, że Rosjanie nie tyle chcieli ich znaleźć, co odgonić, a on nie mógł manewrować na tyle szybko, by wyminąć pławy. Po dwóch godzinach amerykański okręt podwodny wyszedł z zasięgu radzieckiej hydrolokacji. Ostatnie wskazania mówiły, że siły rosyjskie przyjęły kurs południowo-wschodni, na Andoyę.

McCafferty klął w duchu. Wszystko zrobił prawidłowo, przedarł się przez radziecką obronę, wiedział, jak przemknąć przez osłonę niszczycieli. Lecz tam już ktoś był i zapewne zaatakował „Kirowa" – ich cel! Przemyślany do końca plan kapitana wziął w łeb. Jego trzy harpoony zapewne trafiły; pod warunkiem, że Iwan ich nie zestrzelił. Tego jednak Amerykanie nie

wiedzieli. Kapitan USS „Chicago" sporządził raport z przebiegu akcji i przekazał go do dowództwa okrętów podwodnych na Atlantyku. Zastanawiał się cały czas, czemu sprawy ułożyły się, jak się ułożyły.

Stornoway, Szkocja – To bardzo daleko – mruknął pilot myśliwca.

–Daleko – przyznał Toland. – Ostatni raport donosił, że grupa, by uniknąć ataku floty podwodnej, skierowała się na południowy wschód. Wyliczyliśmy, że konwój powróci na kurs południowy, ale nie wiemy, gdzie obecnie się

znajduje. Norwedzy wysłali wprawdzie na rekonesans swego ostatniego RF-5, lecz ten zaginął. Musimy zniszczyć tę flotę, nim dotrze do Bodo. Tyle, że aby ją zniszczyć, trzeba wiedzieć, gdzie jest. – Żadnych danych satelitarnych? – Żadnych.

–W porządku. Lot rekonesansowy tam i z powrotem potrwa cztery godziny. Będę potrzebował towarzystwa tankowca powietrznego mniej więcej przez trzysta mil.

–To żaden problem – odparł oficer RAF-u. – Proszę tylko uważać. W jutrzejszej akcji muszą wystartować wszystkie tomcaty.

–Będę gotów za godzinę – powiedział krótko pilot i oddalił się.

–Powodzenia, staruszku – mruknął cicho kapitan.

Miała to być trzecia próba zlokalizowania z powietrza radzieckiej floty desantowej. Po utracie norweskiej maszyny zwiadowczej Anglicy próbowali zrobić to za pomocą jaguara.

Ten również zaginął. Najlepszym rozwiązaniem byłby hawkeye z silnym radarem przechwytującym, ale Brytyjczycy nie pozwalali oddalać się swoim E-2 od wybrzeży. Radary Zjednoczonego Królestwa doznały zbyt dotkliwych strat i hawkeye'e były niezbędne do obrony swej ojczyzny.

–Nie sądziłem, że będzie aż tak ciężko – zauważył Toland.

Mieli wyśmienitą okazję zadać flocie radzieckiej decydujący cios. Jeśli zlokalizują miejsce jej pobytu, o świcie ruszy atak. Lotnictwo NATO planowało uderzyć na Rosjan pociskami powietrze-woda, ale duża odległość nie pozwalała samolotom aliantów długo krążyć w poszukiwaniu celu.

Najpierw należało go namierzyć. Tymi sprawami mieli zajmować się Norwedzy; plany NATO jednak nie przewidziały kompletnego zniszczenia norweskiego lotnictwa w pierwszym tygodniu wojny. A jednak Rosjanie odnieśli na morzu sukces taktyczny – pomyślał Toland. Podczas gdy wojna lądowa w Niemczech utknęła w martwym punkcie, dumna flota NATO została wymanewrowana przez tępych – jak się wydawało – Rosjan i zbita z tropu.

Zajęcie Islandii było majstersztykiem. NATO wciąż nie mogło pozbierać się po utracie linii obronnej GrenlandiaIslandia-Wyspy Brytyjskie i usiłowało niezdarnie załatać tę dziurę, tworząc barierę z okrętów podwodnych. Rosyjskie backfire'y wylatywały daleko na Północny Atlantyk; każdego dnia atakowały jakiś konwój. A przecież jeszcze na oceanie nie pojawiły się główne siły podwodne Rosjan. Kombinacja tych dwóch formacji – lotnictwa i marynarki podwodnej – może zamknąć nam Atlantyk – myślał Toland. – A wtedy przegramy.

Nie wolno było dopuścić do zajęcia przez Rosjan Bodo w Norwegii. Jeśli raz się tam usadowią, radzieckie lotnictwo będzie miało otwartą drogę do Szkocji, a także możliwość dokonywania bezkarnych nalotów na Atlantyk. Toland potrząsnął głową. Jeżeli tylko uda się zlokalizować Rosjan, zostaną zniszczeni. Amerykanie posiadali wystarczającą siłę i odpowiednie plany. Można przecież wysyłać rakiety z dala od wrogich wyrzutni SAM-ów\ dokładnie tak, jak Iwan postępował z konwojami aliantów.

Pierwszy wystartował tankowiec powietrzny, a pół godziny po nim myśliwiec. Toland wraz ze swoim angielskim kolegą siedzieli w centrum wywiadowczym i drzemali, nie zwracając uwagi na terkoczące dalekopisy. Jeśli pojawi się coś (ważnego, młodszy oficer dyżurny z pewnością ich obudzi. Wyżsi oficerowie przecież również potrzebowali snu.

–Co takiego? – Toland drgnął, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

–On wraca, sir. Wraca pański tomcat, komandorze – sierżant RAF-u wręczył Bobowi filiżankę herbaty. – Będzie tu za kwadrans. Pomyślałem sobie, że zechce się pan nieco odświeżyć.

–Och, dziękuję sierżancie – Toland przeciągnął dłonią po szorstkich policzkach, ale postanowił się nie golić. Kapitan zaś ogolił się głównie ze względu na swój elegancki wąsik.

F-14 wylądował z wdziękiem. Silniki mruczały na niskich obrotach, a rozpięte skrzydła jakby dziękowały za to, że maszyna mogła osiąść na czymś szerszym niż pokład lotniskowca. Pilot przetoczył samolot do hangaru

i natychmiast wyskoczył z kabiny. Technicy wyjmowali z kamery film. – Żadnych okrętów, chłopcy – oznajmił z miejsca.

Za nim zbliżał się drugi pilot – oficer radaru przechwytującego.

–Boże drogi, ależ tam myśliwców – odezwał się. – Nigdy tylu nie widziałem.

–Trafiłem jednego skurwysyna. Ale żadnych okrętów.

Oblecieliśmy wybrzeże od Orland do Skagen. Ani jednej jednostki nawodnej.

–Jest pan tego pewien? – spytał oficer RAF-u.

–Może pan sprawdzić na filmach, kapitanie. Żadnego kontaktu wzrokowego, nic na

podczerwieni, żadnej emisji radarowej. Tylko masa myśliwców. Zaczęliśmy je spotykać na południe od Stokke i naliczyliśmy… ile, Bili?

–Siedem sztuk. Jak sądzę, głównie migi-23. Wykrywaliśmy masę radarów High Lark, ale nie mieliśmy z nimi kontaktu wzrokowego. Jedna z obcych maszyn zbliżyła się na tyle, że potraktowałem ją rakietą Sparrow. Widzieliśmy rozbłysk. To był trudny strzał. Ale nikt z naszych miłych gości do Bodo nie płynie. Chyba że okrętem podwodnym.

–Zawróciliście w Skagen?

–Skończył się film i pozostało niewiele paliwa. Ponadto do Bodo strzegły dostępu myśliwce przeciwnika. Myślę, że należałoby zwrócić uwagę na Andoyę. Do tego jeszcze potrzebujemy innej maszyny. Może SR-71. Ja musiałbym w tamtych okolicach uzupełniać paliwo, a działa tam ogromna liczba ich myśliwców.

–Trudna sprawa – powiedział kapitan RAF-u. – Nasze samoloty mają zbyt mały zasięg, by zaatakować Andoyę, natomiast większość tankowców powietrznych jest zatrudniona gdzieś indziej.

Islandia Kiedy opuścili łąki, wkroczyli w okolicę oznaczoną na mapie jako pustkowia. Przez pierwszy kilometr posuwali się po względnie płaskim terenie. Niebawem jednak musieli sforsować siedemsetmetrowe wzgórze o nazwie Glymsbrekkur. Nóżki szybko zapominają o odpoczynku – pomyślał Edwards. Deszcz nie ustawał, a gęsty półmrok zmuszał do powolnego marszu. Mijali wiele luźnych skał i kamieni grożących kroczącym po nich ludziom fatalną kontuzją. Uciekinierzy mieli już obolałe od ciągłych potknięć kostki, których nie potrafiły ochronić nawet wysokie, mocno sznurowane buty. Po sześciu dniach nieustannego przebywania pod gołym niebem Edwards i żołnierze piechoty morskiej zaczynali rozumieć, jak bardzo są zmęczeni.

Każdy krok wywoływał w ludziach taki ból, że musieli się zmuszać by iść. W ramiona bezlitośnie wrzynały się paski plecaków. Od dźwiganej broni i nieustannego poprawiania bagażu bolały ręce. Karki mieli wciąż pochylone i zdrętwiałe; ciągłe rozglądanie się w poszukiwaniu przypuszczalnych pułapek kosztowało ich wiele trudu., Płonąca farma zniknęła za górskim zboczem; pierwsza miła rzecz, jaka im się przytrafiła. W okolicach płonącego domostwa nie zjawiły się żadne helikoptery ani pojazdy z wojskiem. Wszystkich nurtowała jedna myśl: jak długo może to trwać? Jak długo uda się im uniknąć patrolu?

Wszystkich, z wyjątkiem Vigdis. Edwards szedł parę kroków przed nią. Słuchał jej ciężkiego oddechu, słuchał jej płaczu, chciał coś powiedzieć,,ale nie wiedział co.

Czy postąpił słusznie? Czy to nie było morderstwo? Czy nie był to zwykły oportunizm? Czy naprawdę wymierzył

sprawiedliwość? Czy miało to jakiekolwiek znaczenie? Tak wiele pytań. Po prostu usunął tamtych z drogi. On i jego ludzie musieli przeżyć. Liczyło się tylko to.

–Odpocznijmy – zaproponował. – Dziesięć minut.

Sierżant Smith sprawdził, gdzie są pozostali, po czym usiadł obok oficera.

–Zrobiliśmy kawał drogi, poruczniku. Wygląda na to, że w ciągu dwóch godzin przebyliśmy prawie dziesięć kilometrów. Myślę, że możemy nieco zwolnić.

Edwards uśmiechnął się blado.

–Może się tu zatrzymamy i zbudujemy dom?

Z ciemności dobiegł chichot Smitha.

–Wedle twojej woli, szefie.

Porucznik rzucił okiem na mapę i porównał ją z tym, co miał przed oczyma.

–Co pan sądzi o tym, byśmy obeszli te moczary z lewej? Z mapy widać, że tam znajduje się wodospad Skulafoss. Chyba jest też sympatyczny, głęboki wąwóz.

Może dopisze nam szczęście i znajdziemy jakąś jaskinię.

Jeśli nie, to i tak będziemy w nim dobrze ukryci. Żadnych helikopterów. Jak to daleko stąd? Pięć godzin marszu?

–Coś koło tego – zgodził się Smith. – Musimy przekraczać jakieś szosy?

–Z mapy nic takiego nie wynika. Tylko polne ścieżki.

–Podoba mi się ten pomysł – Smith odwrócił się do dziewczyny. Siedziała oparta plecami o skałę i obserwowała ich w milczeniu. – Jak się pani czuje? – spytał cicho.

–Zmęczona.

Jej ton mówi więcej niż słowa – pomyślał Edwards.

Miała bezbarwny, obojętny głos i porucznik zastanawiał się, czy to dobrze, czy źle. Co powinna robić ofiara tak strasznej zbrodni? Rodziców zamordowano na jej oczach, a jej ciało brutalnie zgwałcono. Jakie myśli mogły rodzić się w głowie dziewczyny? Edwards doszedł do wniosku, że powinien ją czymś zająć.

–Dobrze znasz te okolice? – zapytał.

–Mój ojciec tu łowił ryby. Byłam z nim tutaj wiele razy.

Odwróciła twarz. Głos się jej załamał i zaczęła cicho płakać.

Edwards chciał dziewczynę objąć, powiedzieć, że już wszystko dobrze, ale bał się, że tylko pogorszy sytuację.

Poza tym kto by uwierzył, że sprawy toczą się pomyślnie?

–Jak stoimy z żywnością, sierżancie?

–Puszek powinno starczyć na cztery dni. Dom przeszukałem dokładnie – szepnął Smith. – Zabrałem też dwie wędki i trochę sideł. W wolnej chwili możemy sami postarać się o jedzenie. Tam, dokąd zmierzamy, znajdziemy wiele ryb. Łososie i pstrągi. Nigdy nie było mnie stać na wędkowanie w Islandii, ale słyszałem, że to świetna zabawa. Mówił pan, że pana ojciec jest rybakiem? – Łowił homary; to prawie to samo… sierżancie, powiedział pan, że nigdy nie było pana na to stać…?

–Poruczniku za łowienie ryb płaci się tu dwieście doków dziennie. To za drogo jak na kieszeń sierżanta. Ale skoro każą aż tyle płacić, to muszą tu być ryby, prawda?

–Prawda – przyznał Edwards. – Czas ruszać. Jak dotrzemy do tej góry, ukryjemy się i odpoczniemy.

–Ale przez to możemy się spóźnić.

–Chrzanię to! Najwyżej się spóźnimy. Zmieniły się nieco okoliczności. Iwan zapewne będzie nas szukał.

Musimy poruszać się wolniej. A jeśli kumplom po drugiej stronie radia nie przypadnie to do gustu, niech się wypchają. Być może się spóźnimy, ale dotrzemy do celu.

–Masz rację, szefie. Garcia, prowadź! Ty, Rodgers, ubezpieczaj tyły. Jeszcze pięć godzin żołnierze. Potem się wyśpicie. 5* USS „Pharris" Pył wodny kłuł w twarz, ale Morrisowi sprawiało to przyjemność. Na morzu panował przesuwający się z szybkością czterdziestu węzłów sztorm. Rozszalała zielona toń kipiąca białą pianą bryzgała milionem wodnych kropel.

Fregata wspinała się na siedmiometrowe fale, po czym 28 – Czerwony sztorm

gwałtownie spadała w wodne piekło. Tak było przez ostatnich sześć godzin. Okrętem rzucało na wszystkie strony.

Za każdym razem, gdy jego dziób zapadał się, ludźmi ciskało do przodu, jak w samochodzie, który pędzi z ogromną prędkością i hamuje. Marynarze chwytali się podpór pokładowych, szeroko rozstawiali nogi, by zrównoważyć ostre przechyły. Ci, którzy musieli przebywać na zewnątrz, jak Morris w tej chwili, mieli na sobie kamizelki ratunkowe i sztormiaki. Niektórzy z młodszych członków załogi z pewnością się pochorują – pomyślał kapitan. Nawet doświadczeni żeglarze nie przepadali za takimi przechyłami. „Pharris" wrócił do normalnego Condition-3, co pozwalało załodze nieco odpocząć. Większość marynarzy spała.

Pogoda taka właściwie uniemożliwiała walkę. Okręt podwodny teoretycznie byłby w stanie wykryć cel za pomocą sonaru, ale huk morza skutecznie głuszył wszelkie impulsy.

Obdarzony wyjątkowo wojowniczym duchem kapitan mógł próbować płynąć na głębokości peryskopowej, lecz groziło to postawieniem łodzi w pół wiatru i utratą kontroli nad nim, tego zaś żaden z kapitanów atomowych okrętów podwodnych nie lubił. W sumie „Pharris" musiałby właściwie nadziać się na jakąś jednostkę nawodną, a na to szansa była znikoma. Nie mieli również powodu obawiać się ataku z powietrza. Wzburzone morze skutecznie zakłócało funkcjonowanie systemu samonaprowadzania każdej rosyjskiej rakiety.

Holowana antena sonarowa znajdująca się kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią rozszalałego oceanu w spokojnej już wodzie teoretycznie pracowała bez zakłóceń. Okręt podwodny musiałby jednak poruszać się z dużą prędkością, by emitowane przez niego dźwięki mogły przebić się przez dochodzący z góry hałas; ale nawet wtedy nawiązanie kontaktu bojowego z obcą jednostką stanowiłoby rzecz nader skomplikowaną. Helikopter był unieruchomiony.

Maszyna co prawda zdołałaby wystartować, lecz w tych warunkach lądowanie nie wchodziło w grę. Aby fregata mogła okazać się zagrożeniem, łódź podwodna musiałaby znaleźć się w zasięgu rakiety ASROC – to znaczy

w promieniu pięciu mil. Było to jednak bardzo mało prawdopodobne. Zawsze mogli wezwać oriona; dwie takie maszyny cały czas krążyły nad konwojem. Morris nie zazdrościł ich załogom, które we wstrząsanych podmuchami wiatru samolotach musiały krążyć pośród chmur zaledwie trzysta metrów nad wodą.

–Kapitanie, kawy? – ze sterowni wyszedł szef Clarke, niosąc w dłoni kubek nakryty spodeczkiem, który miał zapobiec dostaniu się do napoju słonej wody.

–Dzięki – powiedział Morris, sięgnął po naczynie i jednym haustem opróżnił połowę. – Co robi załoga?

–Jest zbyt zmęczona., by rzygać – roześmiał się Clarke. – Śpią jak susły. Długo to jeszcze potrwa, kapitanie?

–Ze dwanaście godzin. Potem ma się przejaśnić.

Nadciąga wyż.

Z Norfolk nadeszła właśnie prognoza. Sztorm przesuwał się na północ; zapowiadano dwa tygodnie ładnej pogody.

Wspaniale.

Szef wychylił się przez barierkę i spojrzał na przedni pokład, by sprawdzić, czy nic się tam nie poluzowało. „Pharris" pruł dziobem fale, od czasu do czasu zanurzając się powyżej burt. W takich razach woda waliła z impetem we wszystko, co znajdowało się na pokładzie. Zadaniem Clarke'a było właśnie zabezpieczenie i solidne umocowanie wszelkich luźnych przedmiotów. Jak większość okrętów klasy 1052 przeznaczonych do rejsów po Atlantyku, na którym często występowały sztormy, „Pharris" miał wzmocnione pasami blachy poszycie dziobu oraz podwyższone ochraniacze przed wodą. Rozwiązywało to – choć nie do końca – problem znany ludziom morza od chwili, kiedy wypłynęli na nie po raz pierwszy. Jeśli człowiek nie stosuje się do wymogów oceanu, szybko umiera. Wprawne oczy Clarke'a w jednej chwili oceniły setki szczegółów. Potem oficer odwrócił się do kapitana.

–Wygląda na to, że trzymamy kurs.

–Pewnie – Morris dokończył kawę. – Kiedy już skończy się ten sztorm, znów będziemy musieli ustawiać „handlarzy" w szyku.

Clarke skinął głową. Podczas takiej pogody wyjątkowo trudno było utrzymać pozycję w konwoju. – Świetnie, kapitanie. Jak dotąd wszystko dobrze umocowane.

–A co na ogonie?

–Spokojna głowa, sir. Cały czas czuwa tam dyżurny.

Wszystko w porządku; chyba żebyśmy zwiększyli prędkość – obaj wiedzieli, że w tych warunkach szybciej nie popłyną. Posuwali się więc w tempie dziesięciu węzłów na godzinę. – Idę na rufę, sir.

–W porządku. Powodzenia.

Morris sprawdził wzrokiem, czy obserwatorzy czuwają na stanowiskach. Sztorm sztormem, ale cały czas czyhały rozmaite niebezpieczeństwa.

Stornoway, Szkocja – Andoya. Oni wcale nie płynęli do Bodo – mruknął Toland znad satelitarnych zdjęć Norwegii.

–Jak pan sądzi, ilu tam wysadzili żołnierzy?

–Co najmniej brygadę, kapitanie. Może niewielką dywizję. Masa pojazdów na gąsienicach, dużo SAM-ów.

A na lotnisku rozmieścili też myśliwce. Następne pojawią się bombowce; może już zresztą są. Te zdjęcia pochodzą sprzed trzech godzin.

Radziecka flotylla marynarki wojennej wracała już do Zatoki Kolskiej. Obecnie Rosjanie tworzyli most powietrzny. Toland zastanawiał się chwilę nad losem, jaki spotkał stacjonujący tam pułk Norwegów.

–Stamtąd ich lekkie bombowce blinder mogą nas dosięgnąć. Skurwiele latają z prędkością paru machów i są trudne do przechwycenia.

Rosjanie przeprowadzali systematyczne ataki na stacje radarowe RAF-u rozlokowane wzdłuż wybrzeży Szkocji.

Czasami uderzali za pomocą rakiet powietrze-powietrze, czasami za pomocą wystrzeliwanych z okrętów podwodnych pocisków samosterujących dalekiego zasięgu. Jedną z akcji przeprowadzili przy użyciu myśliwców bombardujących

wspomaganych samolotami z radiostacjami zagłuszającymi.

Ten atak jednak drogo kosztował Sowietów. Tornada RAF-u zestrzeliły połowę radzieckich samolotów, głównie w drodze powrotnej. Dwusilnikowe bombowce Blinder mogły wykonywać naloty na małych wysokościach i przy dużej prędkości. Dlatego zapewne Iwan tak potrzebował bazy w Andoyi – pomyślał Toland. Idealny punkt. Łatwo dostępny z baz na północy Związku Radzieckiego, a jednocześnie trochę zbyt odległy dla brytyjskich myśliwców bombardujących.

–Możemy tam dotrzeć – odparł Amerykanin – ale znaczyłoby to, że połowa naszych maszyn musiałaby pełnić funkcje tankowców powietrznych.

–To nierealne. Dowództwo rezerwy nigdy nam nie odda tylu samolotów – potrząsnął głową kapitan.

–Musimy zatem wysyłać zmasowane patrole na Wyspy Owcze, czym zneutralizujemy trochę Islandię – Toland rozejrzał się po stole. – Trzeba tym skurwielom odebrać inicjatywę. Na razie gramy tak, jak oni chcą. Nie realizujemy naszych planów, lecz reagujemy zgodnie z ich oczekiwaniami. Ludzie, dlatego przegrywacie! Iwan wycofał swoje backfire'y, gdyż przez Środkowy Atlantyk przeciąga front atmosferyczny. Jutro, po solidnym odpoczynku, wrócą do naszych konwojów. Jeśli nie możemy uderzyć na Andoyę i nie możemy uczynić nic z Islandią, to co, do diabła, mamy robić? Siedzieć tu i zamartwiać się tym, jak obronić Szkocję?

–Jeśli pozwolimy Iwanowi zdobyć przewagę w powietrzu…

–Jeśli Iwan zniszczy nasze konwoje, kapitanie, przegramy tę pieprzoną wojnę – przerwał mu brutalnie Toland.

–To prawda. Masz rację, Bob. Cały problem polega na tym, jak zadać backfire'om decydujący cios. Wydaje się, że przechodzą zawsze nad Islandią. Bardzo dobrze, znamy drogę przelotu, ale ona jest bacznie pilnowana przez migi, chłopcze. Wykończymy się, posyłając myśliwce przeciw myśliwcom.

–Zróbmy więc coś innego. Uderzmy w ich tankowce powietrzne.

Obecni na naradzie piloci myśliwców oraz oficerowie

operacyjni dwóch eskadr w milczeniu przysłuchiwali się rozmowie obu pracowników wywiadu.

–A jak, do licha, odnajdziemy te ich tankowce? – spytał jeden z obecnych.

–Sądzi pan, że trzydzieści lub więcej bombowców może uzupełniać paliwo po cichu, bez tego całego radiowego świergotu? – odparł pytaniem Toland. – Słyszałem przez satelitę ich jazgot podczas tankowania. Trzeba tylko umieścić samolot z aparaturą nasłuchową i zlokalizować miejsce pobytu tankowców. Czemu by nie wypuścić trochę tomcatów, kiedy Ruscy będą już wracać do domu?

–Zaatakować po tym, jak uzupełnią paliwo… – zadumał się szkocki pilot.

–Dziś może jeszcze nie. Powiedzmy, jutro uderzymy na skubańców. Jeśli choć raz się to nam uda, Iwan będzie musiał zmienić plany operacyjne; może wysyłać eskorty myśliwców. Tak czy siak, na odmianę to my zmusimy ich do zareagowania.

–A my trochę odetchniemy – dodał kapitan. – Zgoda, rozpatrzmy ten projekt.

Islandia Mapa nie oddawała rzeczywistych trudności. Skula przez setki lat zdążyła wyżłobić wiele wąwozów. Jej stan wody był wysoki, a wodospady otoczone chmurami wodnego pyłu, które w słońcu lśniły tęczowymi barwami. Edwards był zły. Zawsze lubił patrzeć na tęczę, ale tym razem oznaczała ona schodzenie po oślizłych i mokrych skałach.

Na podstawie mapy wyliczył, że od dna kanionu dzieli ich około siedemdziesięciu metrów. Kiedy już na nim stanęli, wydawało się, że jest ich o wiele więcej.

–Uprawiał pan kiedyś wspinaczkę, poruczniku? – zapytał Smith.

–Nigdy. A pan?

–Ja tak, tyle że w górę. To powinno być łatwiejsze.

Nie należy specjalnie obawiać się poślizgnięć; te buty trzymają bardzo dobrze. Proszę tylko uważać, gdzie stawia

pan nogę i wybierać pewne stopnie. Niech pan idzie powoli i uważnie. Pierwszy pójdzie Garcia. Szefie, już w tej chwili lubię to miejsce. Widzi pan staw pod wodospadem? Z pewnością są w nim ryby. Nie sądzę, by ktoś nas z tej dziury wydłubał.

–W porządku, proszę się zająć dziewczyną.

–Dobra. Garcia, ty pierwszy. Rodgers na końcu – Smith przewiesił karabin przez plecy i podszedł do Vigdis.

–Znam to miejsce – prawie się uśmiechnęła, ale natychmiast przypomniała sobie, jak często i z kim tu bywała. Nie skorzystała z jego ramienia.

–Wspaniale, pani Vigdis. Możemy się paru rzeczy od pani nauczyć. Ale teraz proszę uważać.

Gdyby nie ciężkie plecaki, byłoby to całkiem proste przedsięwzięcie. Każdy z mężczyzn jednak dźwigał na grzbiecie dwadzieścia pięć kilogramów ładunku. Obciążenie oraz wyczerpanie sprawiały, że ludzie mieli nieco zachwianą równowagę i ktoś z daleka mógłby wziąć dzielnych marines za przechodzące przez oblodzoną ulicę staruszki. Stok miał średnio pięćdziesiąt stopni nachylenia, ale miejscami przechodził w pion. Tam, gdzie był bardziej połogi, dzikie jelenie wyryły w nim głębokie rynny. Po raz pierwszy zmęczenie działało na korzyść ludzi. Gdyby byli mniej strudzeni, próbowaliby schodzić szybciej; obecnie prawie kompletnie wycieńczeni, bardziej obawiali się wyczerpania niż skał. Droga zabrała im godzinę, ale ostatecznie wszyscy wylądowali na dole zdrowi i cali, nie licząc drobnych zadrapań na rękach.

Garcia przebył rzekę i zatrzymał się na jej wschodnim brzegu, gdzie ściana wąwozu wznosiła się pionowym urwiskiem. Tam, na skalnej półce, trzy metry nad wodą, rozłożyli obóz. Edwards popatrzył na zegarek. Szli ponad dwie doby bez przerwy. Pięćdziesiąt sześć godzin. Umordowani ludzie ułożyli się w głębokim cieniu.

Najpierw zjedli. Edwards, nie spojrzawszy nawet na etykietkę, otworzył pierwszą z brzegu puszkę. Zawartość smakowała jak ryba. Smith zezwolił żołnierzom pójść spać, a własny śpiwór oddał Vigdis. Podobnie jak Garcia i Rodgers, dziewczyna natychmiast zasnęła. Sierżant zrobił szybki

obchód terenu. Edwards obserwował go ze zdumieniem: skąd ten człowiek bierze tyle energii?

–To wyśmienite miejsce, szefie – odezwał się sierżant i opadł na ziemię obok oficera. – Zapali pan?

–Nie palę. Myślałem, że już skończyły się panu papierosy.

–To prawda. Ale w domu dziewczyny znalazłem parę paczek – Smith sięgnął po papierosa bez filtra. Wyjął zapalniczkę z emblematem marines: kula ziemska i kotwica.

Zaciągnął się głęboko. – Jezu, ale dobrze! – sapnął.

–Myślę, że spędzimy tu cały dzień.

–Nie mam nic przeciwko temu – sierżant odchylił się do tyłu. – Doskonale się pan trzyma, poruczniku.

–W Akademii Lotnictwa biegałem. Dziesięć kilometrów, parę razy przebiegłem maraton.

–Mówi pan, że wędrowałem z maratończykiem?

–Wykończył pan maratończyka w tym cholernym terenie – Edwards masował sobie ramiona.

Zastanawiał się, czy obolałe od plecaka krzyże kiedykolwiek wrócą do normy. Odnosił wrażenie, że ktoś zdrowo wymłócił mu nogi kijem baseballowym. Położył się na wznak i rozluźnił wszystkie mięśnie. Leżał w niezbyt wygodnym miejscu, ale nie miał już sił szukać innego. Przypomniał sobie o czymś.

–Czy nie powinniśmy wystawić warty?

–Też o tym myślałem – odparł Smith.

Leżał na plecach, na oczy spuścił hełm.

–Myślę, że nie musimy sobie tym zawracać głowy.

Mogą nas wypatrzeć tylko z helikoptera, a i to tylko wtedy, gdyby unosił się tuż nad nami. Najbliższa droga znajduje się szesnaście kilometrów stąd. Dajmy sobie spokój. Co o tym myślisz, szefie?

Ostatnich słów Edwards już nie słyszał.

Kijów, Ukraina – Jesteście już spakowani, Iwanie Michajłowiczu? – zapytał Aleksiejew.

–Tak jest, towarzyszu generale.

–Dowódca teatru zachodniego poległ. Wracał właśnie na swój wysunięty posterunek z kwatery Trzeciej Armii Uderzeniowej. Zginął prawdopodobnie podczas ataku lotniczego. Mamy przejąć tę placówkę.

–Tak po prostu?

–Niezupełnie – odparł ze złością Aleksiejew. – Zajęło im trzydzieści sześć godzin, nim ustalili, że chyba zginął!

Zwolnił był właśnie ze stanowiska dowódcę Trzeciej Armii Uderzeniowej, po czym zniknął. Szaleniec. Jego zastępca nie wiedział, co robić. Zaplanowany atak nie nastąpił, a ci pierdoleni Niemcy przeprowadzili kontratak akurat wtedy, gdy nasi żołnierze czekali na rozkazy! – Aleksiejew potrząsnął głową z furią, a potem ciągnął spokojniejszym już tonem: – No cóż, teraz będziemy mieli do czynienia z prowadzącymi walkę żołnierzami; nie z jakimś sprawdzonym politycznie dziwkarzem.

Siergietow ponownie zauważył ów purytański rys charakteru przełożonego. Była to jedna z kilku jego cech całkowicie zgodnych z linią polityki Partii.

–Na czym dokładnie będzie polegać nasze zadanie? – spytał kapitan.

–W trakcie przejmowania dowództwa przez generała my we dwójkę odbędziemy inspekcję wysuniętych dywizji i ocenimy rzeczywistą sytuację na froncie. Wybaczcie, Iwanie Michajłowiczu, ale obawiam się, że nie jest to tak bezpieczny posterunek, jak obiecywałem waszemu ojcu.

–Oprócz arabskiego mówię też nieźle po angielsku – parsknął młodszy mężczyzna. Aleksiejew sprawdził to przed podpisaniem rozkazu o przeniesieniu. Kapitan Siergietow, zanim porzucił mundur zmamiony komfortową pracą w Partii, był bardzo dobrym oficerem. – Kiedy wyjeżdżamy?

–Samolot mamy za dwie godziny.

–Lecimy za dnia? – zdziwił się kapitan.

–Okazuje się, że powietrzna podróż jest bezpieczniejsza w dzień. NATO utrzymuje, że nocą niebo należy do nich.

Nasi ludzie twierdzą odwrotnie, ale wiozą nas w ciągu dnia.

Wnioski wyciągnijcie sami, towarzyszu kapitanie.

Dover, baza sił powietrznych, Delaware Przed hangarem czekał samolot transportowy C-5A.

W przestronnych wnętrzach budynku pracowało przy rakietach Tomahawk czterdzieści osób; część z nich nosiła mundury marynarki wojennej, część cywilne kombinezony „General Dynamics". Jedna grupa usuwała z rakiet potężne głowice do zwalczania okrętów i zastępowała je innymi.

Druga miała zadanie bez porównania trudniejsze. Jej praca polegała na wymianie urządzeń samosterujących używanych w bitwach morskich i zastępowaniu ich głowicami służącymi do wyszukiwania celów naziemnych. W urządzenia te uzbrajano zazwyczaj pociski z ładunkami jądrowymi. Były fabrycznie nowe i należało je dostroić oraz wykalibrować.

Precyzyjne zajęcie. Jakkolwiek systemy posiadały atest fabryczny, wszelkie obowiązujące w czasie pokoju normy przestały wystarczać i wszystko należało dokładnie sprawdzić. Ludzie pracowali w pośpiechu i, choć nie wiedzieli, o co chodzi, przeczuwali, że ich praca jest ważna. Misję otaczała najgłębsza tajemnica.

Delikatne instrumenty elektroniczne kodowały w urządzeniach naprowadzających uprzednio zaprogramowane informacje. Potem specjalne monitory sprawdzały dane wpisane w zainstalowane we wnętrzach rakiet komputery.

Pracowników było tylu, że mogli sprawdzać zaledwie trzy pociski jednocześnie; a kontrola każdego z nich zajmowała ponad godzinę. Od czasu do czasu popatrywali na czekający cierpliwie na zewnątrz olbrzymi transportowiec Galaxy; jego załoga bez przerwy kursowała między maszyną a biurem meteorologicznym.

Każdą przejrzaną rakietę oznaczano za pomocą plastra na głowicy bojowej obok kodowej litery „F" specjalnym symbolem, po czym ładowano ją do komory wyrzutni.

Blisko jedna trzecia urządzeń naprowadzających została odrzucona i zastąpiona nowymi. Niektóre zupełnie nie funkcjonowały, większość miała niewielkie usterki. Wszystkie jednak wymieniano na nowe. Dziwiło to niepomiernie techników i inżynierów z „General Dynamics". Jaki cel wymagał aż takiej niezawodności? W sumie praca zajęła

dwadzieścia siedem godzin; o sześć więcej niż zakładano.

Połowa obsługi wsiadła do samolotu, który wystartował dwadzieścia minut później. Skierował się wprost do Europy.

Zmęczeni ludzie spali w fotelach, nie przejmując się wcale tym, że u celu, gdziekolwiek by się on znajdował, czyhać na nich będą liczne niebezpieczeństwa.

Skulafoss, Islandia Wyrwany ze snu Edwards wyprostował się gwałtownie.

Smith i jego marines byli jeszcze szybsi. Z karabinami w rękach biegli, szukając jakiejś

kryjówki. Obrzucali wzrokiem ściany niewielkiego wąwozu, a Vigdis ciągle krzyczała. Edwards odłożył karabin i podszedł do dziewczyny.

Automatyczna reakcja żołnierzy świadczyła o tym, że Islandka musiała dostrzec jakieś niebezpieczeństwo. Ale intuicja mówiła Edwardsowi, że nic im nie zagraża. Oczy Vigdis patrzyły ślepo w nagą, wznoszącą się parę metrów przed nią skałę. Dziewczyna zaciskała kurczowo dłonie na śpiworze. Kiedy podszedł do niej, przestała krzyczeć.

Porucznik objął ją mocno ramieniem i przytulił jej twarz do swojej.

–Nic ci nie grozi, Vigdis. Nic ci nie grozi.

–Moja rodzina… – oddychała chrapliwie. – Zabili moją rodzinę. Potem…

–Tak, wiem. Ale ty żyjesz. – Żołnierze… oni… – dziewczyna rozpięła do snu ubranie. Teraz wyrwała się z objęć Edwardsa i gorączkowo je dopinała.

Porucznik otulił ją śpiworem.

–Oni cię już nie skrzywdzą. Pamiętaj, bez względu na to, co się wydarzyło, oni cię już nie skrzywdzą.

Popatrzyła mu w oczy. Nie wiedział dobrze, co wyrażał jej wzrok. Malował się w nim ból i żal; ale było też i coś innego. Zbyt krótko jednak znał dziewczynę, by to wiedzieć.

–Ten, który zabił moją rodzinę. Zabiłeś… zabiłeś go.

Edwards skinął głową.

–Oni już nie żyją. Nie mogą cię skrzywdzić.

–Tak – Vigdis spuściła wzrok.

–Już w porządku? – spytał Smith.

–W porządku – odparł Edwards. – Miała… miała zły sen.

–Oni wrócą – odezwała się nagle Vigdis. – Oni znów wrócą.

–Proszę pani, nigdy już nie wrócą i nikogo nie skrzywdzą – Smith ścisnął przez śpiwór jej ramię. – Obronimy panią. Dopóki tu jesteśmy, nikt pani nie skrzywdzi. Obiecuję. Zgoda?

Dziewczyna szybko pokiwała głową.

–To dobrze. Niech pani spróbuje się jeszcze trochę przespać. Dopóki jesteśmy w pobliżu, nikt pani nie skrzywdzi. A w razie czego proszę nas zawołać. Jesteśmy obok.

Smith oddalił się. Edwards też zaczął wstawać, ale Vigdis wyciągnęła spod śpiwora ramię i chwyciła go za rękę.

–Proszę nie odchodzić. Ja… boję się, boję się być sama.

–W porządku. Zostanę przy tobie. A teraz połóż się i śpij.

Po pięciu minutach jej oddech się wyrównał. Edwards starał się nie patrzeć w stronę śpiącej. Gdyby nagle otworzyła oczy i ujrzała utkwiony w nią jego wzrok… co by pomyślała?

A może by miała rację – zastanawiał się Edwards. Dwa tygodnie wcześniej widział ją w klubie oficerskim w Keflaviku… był młodym, nieżonatym mężczyzną, a ona młodą niezamężną kobietą. Po drugim drinku jego główną troską stało się to, by zabrać ją do swego mieszkania. Trochę nastrojowej muzyki, delikatne, przyćmione światło wpadające przez okienne zasłony. Jak pięknie by wyglądała, wyślizgując się ze wstydem ze swego modnego ubrania.

Zamiast tego znalazł ją rozciągniętą na podłodze; nagą, pobitą i poranioną. Jakież to dziwne. Edwards zdawał sobie sprawę, że gdyby teraz ktoś wyciągnął po nią rękę, zabiłby go bez skrupułów, a zarazem nie potrafił sobie wyobrazić, by on sam mógł po nią sięgnąć. Gdybym nie zdecydował się wejść do jej domu, byłaby martwa; tak

samo jak jej rodzice – pomyślał. – Prawdopodobnie po paru dniach ktoś by ich znalazł… tak jak znaleziono Sandy.

Dlatego, Edwards dobrze o tym wiedział, zabił rosyjskiego porucznika i z radością patrzył, jak powoli pogrąża się w piekle. Żaden żal wprawdzie nie usprawiedliwiał…

Smith machnął w jego kierunku ręką. Edwards szybko podniósł się z ziemi.

–Poleciłem jednak Garcii objąć wartę. Lepiej jak znów będziemy czujną piechotą morską. Gdyby naprawdę tu przyszli, wystrzelaliby nas jak kaczki, poruczniku.

–Musimy jeszcze jakiś czas tu posiedzieć, by odzyskać siły.

–Tak, sir. Jak dziewczyna?

–Ciężka sprawa. Kiedy się zbudzi… do diabła, nie wiem, ale myślę, że może się kompletnie rozkleić.

–Może… – Smith zapalił papierosa. – Ale jest młoda.

Jeśli damy jej szansę, może jakoś z tego wyjdzie.

–Dać jej coś do roboty?

–To samo, co nam wszystkim. Widzę, że lepiej robisz, niż myślisz, szefie.

Edwards spojrzał na zegarek. Przespał bitych sześć godzin, lecz nogi ciągle miał sztywne. Ogólnie jednak czuł się dużo, dużo lepiej. Zdawał sobie sprawę, że to złudzenie.

Nim wyruszy w dalszą drogę, musi jeszcze co najmniej cztery godziny odpocząć i dobrze się najeść.

–Przed jedenastą nie wyruszymy. Chcę, by każdy żołnierz solidnie się wyspał i najadł.

–Nie mam nic przeciwko temu. A co z radiem?

–Powinienem to zrobić dawno, ale nie chce mi się wspinać na te cholerne skały.

–Poruczniku, jestem tylko tępym żołnierzem, ale po co wyłazić na górę. Wystarczy się przejść kilometr w dół strumienia. Stamtąd połączy się pan z satelitą, prawda?

Edwards popatrzył na północ. Jeśli się tam znajdzie, równie dobrze zmniejszy kąt do satelity, jakby się wspinał…

Czemu o tym nie pomyślałem? Ponieważ, jak każdy absolwent Akademii Lotnictwa, umiem patrzeć tylko w górę lub w dół; zapominam, że można też popatrzeć na boki. Widząc

na twarzy sierżanta złośliwy uśmieszek, Edwards ze złością potrząsnął głową, bez słowa podniósł plecak z radiem, po czym ruszył wzdłuż potoku.

–Bardzo późno się łączysz, Ogar – natychmiast odezwał się Brytan. – Gdzie jesteście?

–Brytan, jesteśmy w strasznej sytuacji. Mieliśmy przeprawę z rosyjskim patrolem… – Edwards przez dwie minuty wyjaśniał okoliczności.

–Ogar, ty chyba zwariowałeś. Macie przecież unikać, powtarzam, unikać wszelkiego kontaktu z wrogiem. Skąd wiecie, że kogoś nie ma już na waszym tropie?

–Tamci nie żyją, a samochód z ciałami spłonął zrzucony ze skał. Upozorowaliśmy wypadek, dokładnie jak na filmach w telewizji. To skończona historia, Brytan. I nie ma sensu się tym teraz zajmować. Znajdujemy się w odległości dziesięciu kilometrów od tego miejsca. Do końca dnia ja i moi ludzie odpoczywamy. Wieczorem podejmiemy marsz na północ. Może to nam zająć więcej czasu, niż przypuszczaliście. Teren jest tu bardzo trudny, ale robimy, co w naszej mocy. Nic więcej nie mamy do przekazania. Stąd, gdzie jesteśmy, nic nie widać.

–Bardzo dobrze. Rozkazy nie ulegają zmianie i proszę, nie odgrywaj więcej roli błędnego rycerza. Zrozumiano?

–Zrozumiano.

Edwards, składając radio, uśmiechał się pod nosem.

Kiedy wrócił do obozu, ujrzał, że Vigdis wierci się w śpiworze. Położył się więc obok niej; przezornie o metr dalej.

Szkocja – Cholerny kowboj. Znalazł się John Wayne ratujący osadników od krwiożerczych Indian.

–Nie było nas tam – odparł mężczyzna z czarną opaską na oku. Poprawił ją palcem. – Nie można oceniać postępowania człowieka z odległości półtora tysiąca kilometrów. On tam był i widział, co się dzieje. A co poza tym powiedział nam o żołnierzach Iwana?

–Jeśli chodzi o postępowanie z ludnością cywilną Ruscy nie mają najlepszej opinii – odparł pierwszy mężczyzna.

–Radzieckie wojska powietrznodesantowe znane są z karności i bardzo twardej dyscypliny – odparł drugi Były major SAS, który po jednej z akcji został inwalidą pełnił obecnie funkcję urzędnika w Wydziale Operacji Specjalnych. – A taki wybryk nie wskazuje na zdyscyplinowanych żołnierzy. Mogli przybyć później. Ale, powtarzam – powiedział z pewnością w głosie – ten chłopak zachowuje się wspaniale.

WRAŻENIA

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna Lot mieli paskudny. Odbyli go na pokładzie lekkiego bombowca, który, cały czas trzymając się blisko ziemi, przybył na wojskowe lotnisko na wschód od Berlina.

Załogę samolotu stanowiły tylko cztery osoby. Podróż upłynęła bez przygód, ale Aleksiejew zastanawiał się, ile w tym było zasługi załogi, a ile szczęścia. Lotnisko przeżyło ostatnio wizytę samolotów Paktu Atlantyckiego i generał natychmiast zwątpił w to, co twierdzili towarzysze z rosyjskich sił powietrznych o przewadze na niebie w ciągu dnia.

Z Berlina helikopter zabrał jego i Siergietowa pod Stendal, do wysuniętego posterunku głównodowodzącego Zachodnim Teatrem Wojny. Aleksiejew, pierwszy wyższy oficer, który przybył do kompleksu podziemnych bunkrów, nie był wcale zachwycony tym, co tam zobaczył. Sztabowych oficerów bardziej interesowały poczynania NATO niż to, czego mogła dokonać Armia Czerwona. Rosjanie wprawdzie nie stracili inicjatywy, ale pod wpływem pierwszego wrażenia generał stwierdził, że niebezpieczeństwo było rzeczywiście duże. Natychmiast też znalazł oficera operacyjnego i zaczął zbierać informacje o tym, jak przebiega kampania.

Jego przełożony przybył pół godziny później i wezwał Aleksiejewa do swego biura.

–No i co, Pasza?

–Muszę natychmiast udać się na linię frontu. Przeprowadzamy aktualnie trzy ataki. Chcę dokładnie wiedzieć, co się tam dzieje. Niemiecki kontratak odparliśmy, ale nie mieliśmy wystarczających sił by pójść za ciosem. Na północy sytuacja jest patowa. Tam wdarliśmy się na

sto kilometrów w głąb kraju nieprzyjaciela. Wszelkie wcześniejsze harCZERWONY SZTORM • 449 monogramy, czasowe naturalnie, diabli wzięli, a straty są dużo większe od zakładanych; dotyczy to obu stron. Nasze, niestety, są wyższe. W sposób skandaliczny nie doceniliśmy morderczej broni przeciwczołgowej, jaką dysponuje NATO.

Działania artylerii też nie okazały się na tyle skuteczne, by walka naszych żołnierzy doprowadziła do jakiegoś zdecydowanego przełomu. Lotnictwo Paktu Atlantyckiego ciągle wyrządza nam okropne szkody, zwłaszcza nocą. Posiłki przybywają zbyt wolno. Ogólnie posiadamy inicjatywę, ale jeśli nie dokonamy wyrwy w liniach wroga, w ciągu paru dni możemy utracić nasze pozycje. Trzeba znaleźć jakiś słaby punkt w obronie NATO i jak najszybciej przeprowadzić zdecydowany, skoordynowany szturm.

–A sytuacja Paktu?

Aleksiejew wzruszył ramionami.

–Całe siły wyprowadzili w pole. Z Ameryki wciąż przybywają posiłki, ale na podstawie tego, co wydobyliśmy od jeńców, przypuszczam, że nie tak szybko, jak się spodziewano. Mam wrażenie, że w umocnieniach sojuszników istnieje wiele bardzo słabych punktów. Jeszcze ich nie zlokalizowaliśmy. Jeśli trafimy na taki punkt i wykorzystamy to, myślę, że przerwiemy front, dokonując ogromnej wyrwy. Nie mogą przecież być wszędzie tak samo silni.

Niemcy dążą do tego, by ich sprzymierzeńcy próbowali powstrzymać nas na całej linii frontu. Taki właśnie błąd my popełniliśmy w roku 1941. Bardzo drogo nas kosztował.

Może teraz kolej na nich.

–Kiedy chcecie odwiedzić front?

–Za godzinę. Wezmę ze sobą kapitana Siergietowa…

–Syna człowieka Partii? Jeśli coś mu się stanie, Pasza…

–To oficer armii radzieckiej, niezależnie od tego, jakie stanowisko zajmuje jego ojciec. Jest mi potrzebny.

–Bardzo dobrze. Powiadamiaj mnie, gdzie jesteś.

Skieruj do mnie ludzi z wydziałów operacyjnych. Musimy uporządkować ten burdel.

Aleksiejew polecił przysłać sobie helikopter bojowy Mi-24. Lecący tuż nad czubkami drzew śmigłowiec generała eskortowały zwinne myśliwce Mig-21. Aleksiejew nie zajął 29 – Czerwony sztorm

miejsca w fotelu, lecz natychmiast przylgnął do okien maszyny i obserwował wszystko, co był

w stanie zobaczyć.

W całej swej wojskowej karierze nie widział jeszcze takiego obrazu zniszczeń. Wydawało się, że nie ma drogi, na której by nie płonęły czołgi lub ciężarówki. Zasadniczym celem ataków lotniczych NATO były główne skrzyżowania szos. Ujrzał zburzony most. Utknęła przed nim kolumna czołgów i została zniszczona podczas nalotu. Spalone szczątki samolotów, pojazdów i ludzi zamieniły schludny, malowniczy pejzaż niemieckiej wsi w śmietnik broni wysokiej technologii. Kiedy przelecieli granicę Zachodnich Niemiec, widok stał się jeszcze straszniejszy. O każdą szosę, o każdą najmniejszą wioskę toczyła się mordercza walka. Przed jedną z takich osad Aleksiejew naliczył jedenaście rozbitych czołgów i zastanawiał się przez chwilę, ile maszyn musiało pójść do naprawy.

Samo miasteczko było kompletnie zniszczone przez ogień artyleryjski i pożary. Dostrzegł tylko jeden dom nadający się do zamieszkania. Pięć kilometrów dalej na zachód powtórzyła się ta sama historia; wtedy Aleksiejew uświadomił sobie, iż tylko na tym jednym, dziesięciokilometrowym odcinku szosy wojska radzieckie straciły cały pułk czołgów. Potem skupił uwagę na sprzęcie przeciwnika. Zatrzymał wzrok na sterczących ze stosu zgliszczy szczątkach niemieckiego helikoptera bojowego. Rozpoznał go wyłącznie po kształcie ogona. Dalej ujrzał kilka zniszczonych czołgów i wozów bojowych piechoty. Zarówno radzieckie jak i zachodnie transportery opancerzone, wyprodukowane dużym nakładem kosztów i wysiłku, leżały wokół niczym wyrzucone przez okno samochodu śmieci. Zostało nam jeszcze dużo sprzętu – pomyślał generał. – Ale jak wiele?

Helikopter wylądował na skraju lasu. Za pierwszą linią drzew stały działa przeciwlotnicze, które cały czas wycelo*wane były w lądującą maszynę. Aleksiejew i Siergietow wyskoczyli z samolotu, przeszli pod obracającym się ciągle głównym śmigłem i pobiegli w kierunku drzew. Stało tam kilka pojazdów.

–Witajcie, towarzyszu generale – powiedział pułkownik Armii Czerwonej z osmaloną twarzą.

–Gdzie dowódca dywizji?

–Ja jestem dowódcą. Generał zginął przedwczoraj w nawale nieprzyjacielskiego ognia artyleryjskiego. Musimy przemieszczać stanowisko dowodzenia dwa razy na dobę.

Potrafią nas dobrze namierzać.

–Sytuacja? – spytał lakonicznie Aleksiejew.

–Ludzie są zmęczeni, ale mogą jeszcze walczyć. Nie mamy wystarczającego wsparcia z powietrza, a w nocy myśliwce Paktu Atlantyckiego nie dają nam po prostu chwili wytchnienia. Dysponujemy jeszcze połową naszych sił; z wyjątkiem artylerii. Ta zredukowana już została do jednej trzeciej. Amerykanie zmienili właśnie taktykę. Zamiast skoncentrować się na naszych idących do przodu formacjach czołgów, ich lotnictwo atakuje natychmiast po tym, jak kończymy przygotowanie artyleryjskie. Ostatniej,nocy ponieśliśmy ogromne straty. Przeciw

naszym pułkom wysłali cztery myśliwce nurkujące, które starły nieomal z powierzchni ziemi batalion ruchomych dział. Nasz atak oczywiście się nie powiódł.

–A co z maskowaniem? – zapytał Aleksiejew.

–Diabeł jeden wie, czemu nie skutkuje – odparł pułkownik. – Najwidoczniej ich samoloty radarowe potrafią wykryć pojazdy na ziemi. Próbowaliśmy zagłuszać, próbowaliśmy stawiać makiety. Czasami to działa, czasami nie. Posterunek dowództwa dywizji został zaatakowany dwukrotnie. Moimi pułkami dowodzą już majorzy, a batalionami – kapitanowie. Taktyka Paktu Atlantyckiego polega na tym, by niszczyć przede wszystkim dowództwo i tym skurwysynom wychodzi to nad podziw dobrze. Ilekroć zbliżamy się do wioski, moje czołgi muszą przedzierać się przez roje rakiet. Próbowaliśmy i artylerii, i broni rakietowej, lecz trudno zniszczyć każdy budynek w zasięgu wzroku; nigdy byśmy nie posunęli się ani na krok do przodu.

–Czego potrzebujecie?

–Wsparcia lotnictwa. I to silnego. Dajcie mi tylko taką pomoc, a przełamiemy ten cholerny front.

Dziesięć kilometrów za linią frontu dywizja czołgów czekała na samoloty. Jak dotąd daremnie.

–A dostawy?

–Mogłoby być lepiej, ale jakoś sobie radzimy. Gdybym jeszcze dysponował pełną dywizją, byłyby niewystarczające.

–Aktualne plany?

–Godzinę temu wysłaliśmy do szturmu dwa pułki.

Atakują wioskę zwaną Bieben. Siły przeciwnika obliczamy na dwa niepełne bataliony piechoty wsparte czołgami i artylerią. W wiosce znajduje się skrzyżowanie dróg, które musimy przejąć. To samo, o które walczyliśmy zeszłej nocy. Teraz powinno się udać. Chcecie obserwować akcję?

–Naturalnie.

–Zatem jedziemy. Ale jeśli wam życie miłe, zapomnijcie o helikopterze. Ponadto – pułkownik uśmiechnął się – wasza maszyna wesprze szarżę czołgów. Może tam być gorąco, towarzyszu generale – ostrzegł.

–To dobrze. Obronicie nas. Kiedy ruszamy?

USS „Pharris" Spokojne morze znaczyło, że „Pharris" wraca na wyznaczoną pozycję po północnej stronie konwoju. Obecnie na okręcie czuwała tylko połowa załogi. Za rufę

spuszczono holowany sonar, a na lądowisku czekał helikopter, którego piloci drzemali w hangarze. Morris również spał na mostku w wybitym skórą fotelu. Pochrapywał cicho, budząc wesołość dyżurujących tam ludzi. Oficerowie też odsypiali, a w pomieszczeniach załogi panował hałas jak w tartaku.

–Kapitanie, depesza z dowództwa Floty Atlantyckiej.

Morris podniósł wzrok na oficera kancelaryjnego i sięgnął po blankiet. Zaatakowany został znajdujący się od nich o sto pięćdziesiąt mil na północ konwój, który płynął na wschód. Kapitan zerwał się z miejsca i ruszył do stołu nakresowego, by dokładnie sprawdzić odległości. Tamte okręty podwodne nie stanowiły dla nich niebezpieczeństwa.

To tyle. Miał własne kłopoty i jego zadaniem było na nich skupić całą uwagę. Za czterdzieści godzin powinien zameldować się w Norfolk, uzupełnić paliwo, uzupełnić broń i po upływie doby wyruszyć ponownie w rejs.

–A cóż to, do cholery? – zapytał głośno marynarz.

Pokazał smugę białego dymu. Nisko nad morzem.

–To rakieta – odparł oficer pokładowy. – ^- Mostek!

Kapitanie, przed nami rakieta. Leci prosto na południe w odległości mili od nas.

Morris wrócił na fotel i zamrugał oczyma.

–Powiadomić konwój. Włączyć radar. Wystrzelić paski folii aluminiowej.

Kapitan ruszył po drabinie do centrum informacji bojowej. Zanim tam dobiegł, na całym okręcie rozbrzmiewały ostre tony dzwonków alarmowych. Z rufy pomknęły w powietrze dwie rakiety zagłuszające Super-RBOC, które eksplodowały w powietrzu, otaczając fregatę ulewą skrawków aluminium.

–Naliczyłem pięć pocisków – oznajmił operator radaru. – Jeden nadlatuje w naszą stronę. Współrzędne: zero-zero-osiem. Odległość: siedem mil. Szybkość: pięćset węzłów.

–Mostek, ster w prawo na zero-zero-osiem – rozkazał oficer taktyczny. – Przygotować kolejne pociski z paskami aluminium. Pełna gotowość bojowa.

Pięciocalowe działo obróciło się nieco i wysłało kilka ładunków. Wszystkie przeszły tuż obok nadlatującej rakiety.

–Odległość: dwie mile. Ciągle się zbliża – meldował operator radaru.

–Wystrzelić cztery następne Super-RBOC-y.

Morris usłyszał salwy wyrzutni. Radar pokazał pociski w formie nieprzejrzystej chmury otulającej okręt.

–Centrum informacji bojowej – zawołał obserwator.

–Widzę ją. Nadlatuje od dziobu z prawej burty. Straciła cel. Mam zmianę kierunku… tam, tam jest! Minęła rufę.

Minęła nas o kilkaset metrów.

Aluminiowa chmura zmyliła rakietę. Gdyby pocisk miał mózg i potrafił samodzielnie myśleć, zdumiałby go fakt, że trafił w nic. Poszybował w czyste niebo. Jego radarowy samonaprowadzacz zaczął szukać kolejnego celu. Odkrył go piętnaście mil dalej i rakieta natychmiast zmieniła kurs.

–Hydrolokacja – odezwał się Morris. – Sprawdzić

współrzędne zero-zero-osiem. Jest tam rakietowy okręt podwodny.

–Właśnie sprawdzam, sir. Ta pozycja jest czysta.

–To pędząca tuż nad wodą z szybkością pięciuset węzłów rakieta. Z okrętu podwodnego klasy Charlie, odległego od nas o jakieś trzydzieści mil – powiedział Morris. – Wysłać helikopter. Idę na górę.

Kapitan dotarł do mostka w tej samej chwili, kiedy na horyzoncie rozbłysła eksplozja. Nie był to frachtowiec.

Ognista kula znaczyła tylko zestrzeloną przez rakietę głowicę bojową. Pewnie tę, która ich minęła. Czemu nie udało się jej zatrzymać? Potem nastąpiły trzy dalsze wybuchy. Płynący wolno nad wodą dźwięk dotarł do „Pharrisa" w formie głuchego łoskotu jakby wydawanego przez gigantyczny bęben. Od lądowiska fregaty oderwał się śmigłowiec Sea Sprite i odleciał na północ. Miał nadzieję wytropić radziecki okręt podwodny, kiedy ten jeszcze będzie tuż pod powierzchnią. Morris polecił zmniejszyć szybkość „Pharrisa" do pięciu węzłów. Da to sonarzystom możliwość dokonania bardziej precyzyjnych obserwacji.

Ciągle nic.

Wrócił do centrum informacji bojowej.

Załoga helikoptera zrzuciła dwanaście pław sonarowych.

Dwie złapały jakiś kontakt, który jednak szybko się urwał i więcej nie pojawił. Niebawem nadleciał orion, ale okręt podwodny zdążył już uciec. Jego rakiety ugodziły w niszczyciela i dwa statki handlowe. Po prostu tak – pomyślał Morris. – Bez ostrzeżenia.

Stornoway, Szkocja – Kolejny nalot – powiedział kapitan.

–Reporter? – spytał Toland.

–Nie, to wiadomość z Norwegii. Smugi kondensacyjne samolotów kierujących się na południowy zachód. Nasz informator naliczył około dwudziestu maszyn nie znanego mu typu. Na północ od Islandii przestrzeń powietrzną patroluje nasz nimrod. Jeśli to backfire'y i jeśli spotkają się

z tankowcami powietrznymi, możemy mieć pierwsze dane.

Zobaczymy, Bob, może miałeś i dobry pomysł.

Na pasach startowych czekały cztery gotowe do akcji tomcaty. Dwa z nich uzbrojone były w rakiety. Pozostałe miały zabrać zbiorniki z dodatkowym paliwem. Zakładano, że podróż w obie strony to pokonanie dystansu dwóch tysięcy mil. Znaczyło to, że pełny dystans mogą przebyć tylko dwa samoloty, a i tak wrócą na rezerwach benzyny.

Nimrod krążył trzysta sześćdziesiąt kilometrów na wschód od wyspy Jan Mayen. Ów należący do Norwegii skrawek lądu Rosjanie kilkakrotnie już zbombardowali, niszcząc zainstalowany tam system radarowy; jak dotąd jednak nie przeprowadzali jeszcze na wyspę desantu. Najeżony antenami brytyjski samolot patrolowy nie posiadał żadnego uzbrojenia. Gdyby napotkał rosyjskie myśliwce stanowiące osłonę bombowców i tankowców powietrznych, mógłby tylko uciekać. Jeden z zespołów na pokładzie nimroda prowadził nasłuch radiowy na zakresach używanych przez radzieckie samoloty, a drugi – nasłuch radarowy na odpowiednich częstotliwościach.

Było to długie, pełne napięcia oczekiwanie. Dwie godziny po ostrzeżeniu o nalocie odebrano zniekształconą transmisję, którą zinterpretowano jako informację dla pilota backfire'a, że zbliża się do samolotu-tankowca. Namiar został naniesiony na nakres i nimrod skręcił na wschód w nadziei, że kolejny tego rodzaju sygnał da mu możliwość skrzyżowania pozycji. W eterze jednak panowała cisza. Bez dokładnych współrzędnych myśliwce niewielką miały szansę na wypełnienie zadania. Czekały na pasach. Postanowiono, że następnym razem polecą dwa samoloty zwiadowcze.

USS „Chicago" Wezwanie QZB nadeszło tuż po lunchu. McCafferty wyprowadził okręt podwodny na głębokość antenową i otrzymał polecenie udania się do Faslane w Szkocji, gdzie znajdowała się baza okrętów podwodnych marynarki brytyjskiej. Po utracie kontaktu z radzieckim konwojem

„Chicago" nie miał już żadnego pozytywnego kontaktu.

Było to czyste szaleństwo. Wszelkie przedwojenne założenia, jakie McCafferty znał, kazały mu się spodziewać „okolicy pełnej celów". Jak dotąd pełen był tylko frustracji. Pierwszy oficer sprowadził okręt na dużą głębokość, a kapitan zaczął sporządzać raport z przebiegu patrolu.

Bieben, Republika Federalna Niemiec – Jesteście tu zupełnie osłonięci – zauważył kapitan, kucając za wieżyczką.

–To prawda – zgodził się sierżant Mackall.

Jego czołg M-1 Abrams wkopany był po przeciwnej stronie zbocza i na drugą stronę wzgórza wystawała tylko skryta w zaroślach lufa. Mackall popatrzył na dół, w płytką dolinę, gdzie w odległości półtora kilometra majaczyły drzewa, między którymi usadowili się Rosjanie badający wzgórze potężnymi lornetkami. Sierżant miał nadzieję, że nie dostrzegą ukrytej, złowieszczej sylwetki czołgu bojowego. Znajdował się w okopie stanowiącym fragment pierwszej z trzech linii obronnych, przygotowanych przez należące do jednostki inżynieryjnej buldożery. W tej pracy pomogli saperom z własnej inicjatywy miejscowi rolnicy. Następna linia okopów niestety znajdowała się w odległości pięciuset metrów i Mackalla dzielił od niej zupełnie odkryty teren.

Pole to obsiane zostało zaledwie sześć tygodni wcześniej, toteż trudno było tam liczyć na jakąkolwiek osłonę podczas wycofywania się z pierwszej linii.

–Taka pogoda jest Iwanowi na rękę – zauważył Mackall. Pułap chmur utrzymywał się na poziomie czterystu metrów, więc gdyby Amerykanie dostali wsparcie lotnicze, samoloty miałyby zaledwie pięć sekund na zorientowanie się w panującej na polu walki sytuacji. – Czego możemy od pana oczekiwać, sir?

–Mogę wezwać cztery A-10 i zapewne trochę maszyn niemieckich – odparł kapitan lotnictwa.

Obserwował teren z nieco innego punktu widzenia.

Jak najlepiej przypuścić atak myśliwców na pozycje nieCZERWONY SZTORM* 457 przyjaciela? Pierwsze natarcie Rosjan zostało wprawdzie odparte, ale kapitan przed oczyma miał szczątki dwóch maszyn NATO.

–Mogę również zapewnić trzy helikoptery.

Słowa te zaskoczyły Mackalla. I zaniepokoiły. Jakiego ataku się tu spodziewają?

–No dobrze – kapitan wstał i wrócił do swego transportera opancerzonego. – Kiedy usłyszycie: „Zulu, Z u l u, Z u l u" znaczyć to będzie, że samoloty są w odległości niecałych pięciu minut. Gdybyście ujrzeli jakiekolwiek pojazdy z wyrzutniami SAM-ów lub działa przeciwlotnicze, na nie przede wszystkim, na Boga, skierujcie ogień. Warthogi poniosły już naprawdę ciężkie straty, sierżancie.

–Postaramy się, kapitanie. Lepiej niech już pan się stąd wynosi; niebawem zacznie się przedstawienie.

Mackall nauczył się już doceniać wartość dobrego oficera kontroli powietrznej na wysuniętym posterunku. Kapitan przed trzema dniami wyciągnął jego żołnierzy z poważnych tarapatów.

Sierżant obserwował przez chwilę, jak oficer oddala się biegiem do oczekującego pięćdziesiąt metrów dalej pojazdu z zapalonym silnikiem. Jeszcze nie zamknęły się dobrze tylne drzwi, kiedy maszyna zygzakami runęła pełną mocą przez nagi stok i obsiane niedawno pole.

Oddział B Pierwszego Szwadronu Jedenastego Pułku Kawalerii Pancernej dysponował początkowo czternastoma czołgami. Pięć zostało już zniszczonych, a na ich miejsce dostał tylko dwa. Pozostałe były w mniejszym lub większym stopniu uszkodzone. Dowódca plutonu zginął drugiego dnia wojny. Jego funkcję przejął Mackall. Wchodzące w skład plutonu czołgi stały kilometr od linii frontu; między nimi okopała się niemiecka kompania Landwehry – miejscowego odpowiednika Straży Narodowej – w skład której wchodzili w większości farmerzy i właściciele sklepów; walczyli już nie tyle o swój kraj, co o własne domy.

Oni również ponieśli poważne straty i teraz „kompania" nie znaczyła więcej niż dwa plutony. Z całą pewnością Rosjanie zdają sobie sprawę, jak szczupłe są nasze siły – pomyślał Mackall. Wszyscy okopali się bardzo starannie…

i bardzo głęboko. Siła radzieckiej artylerii okazała się szokująca. Mimo wszelkich przedwojennych ostrzeżeń ogień rosyjskich armat wstrząsnął amerykańską obroną.

–Ta pogoda jest Amerykanom na rękę – pułkownik wskazał skłębione chmury. – Ich przeklęte samoloty nadlatują zbyt nisko jak na możliwości naszych radarów.

Praktycznie nie mogą ich wykryć, dopóki maszyny nie otworzą ognia.

–Ponieśliście duże straty?

–Sami sobie obejrzyjcie – pułkownik wykonał gest w stronę pola bitwy. Stało tam piętnaście czołgów; okopcone ogniem i dymem wraki… – To dzieło myśliwców nurkujących Thunderbolt. Nasi ludzie nazywają je „diabelskimi krzyżami".

–Ale wczoraj przecież zestrzeliliście dwie maszyny – zaoponował Siergietow.

–Tak, ale przetrwało tylko jedno z czterech samobieżnych dział. Obie maszyny strąciła ta sama obsługa dowodzona przez starszego sierżanta Łupenkę. Rekomenduję go do Czerwonej Wstęgi. Pośmiertnie. Drugi samolot spadł prosto na niego. Mój najlepszy kanonier – dodał z goryczą pułkownik.

Dwa kilometry dalej widać było wrak niemieckiego samolotu Alphajet, a pod nim szczątki działa samobieżnego ZSU-30. Niewątpliwie trafiony samolot celowo uderzył w stanowisko ogniowe; Niemiec przed śmiercią postanowił zabić jeszcze kilku Rosjan.

Sierżant wręczył pułkownikowi słuchawki. Ten słuchał przez pół minuty, po czym powiedział parę słów i podkreślił je energicznym skinieniem głowy.

–Za pięć minut, towarzysze. Moi ludzie zajęli już stanowiska. Proszę za mną.

Bunkier dowództwa, wybudowany pospiesznie z bali i darni, liczył sobie trzy metry wysokości. W środku gnieździło się już dwadzieścia osób – operatorzy łączności obu biorących udział w ataku pułków. Trzeci pułk dywizji czekał, by wkroczyć w wyłom i utorować drogę rezerwowej

dywizji pancernej, która miała ostatecznie wedrzeć się na tyły nieprzyjaciela. Jeśli naturalnie wszystko pójdzie zgodnie z planem – upomniał się w duchu Aleksiejew.

Po przeciwnej stronie nie widzieli naturalnie żadnych żołnierzy ani pojazdów. Czaili się zapewne w lesie na szczycie grani w odległości niecałych dwóch kilometrów.

Generał obserwował dowódcę dywizji, który skinął głową szefowi artylerii. Ten natychmiast podniósł słuchawkę polowego telefonu i rzucił w nią dwa słowa:

–Zacząć ostrzał.

Dźwięk dotarł do nich dopiero po paru sekundach.

Wszystkie działa oraz dodatkowa bateria z dywizji czołgów odezwały się przerażającym głosem; niczym przetaczający się nad ziemią grom. Nad nimi przeleciała łukiem pierwsza fala pocisków, uderzając w przedpole wzgórza. Druga trafiła w sam masyw. To, co przed chwilą jeszcze było łagodnym wzniesieniem pokrytym bujną trawą, zamieniło się w odrażające, brązowe kłębowisko dymu i gołej ziemi.

–Myślę, że idą na całego, sierżancie – odezwał się ładowniczy, zatrzaskując właz czołgu.

Mackall poprawił hełmofon i wyjrzał przez szczeliny obserwacyjne w kopułce dowódcy. Gruby pancerz tłumił prawie całkowicie dźwięk, ale kiedy zadrżała pod nimi ziemia, pojazdem zakołysało. Zamknięci w nim ludzie struchleli na myśl, jakiej siły potrzeba, by zakolebać sześćdziesięciotonowym czołgiem. Tak właśnie zginął porucznik; jeden z tysiąca wystrzelonych z potężnego działa pocisków trafił w wieżyczkę jego czołgu, przeniknął cienki, szczytowy pancerz i pojazd eksplodował.

Po lewej i prawej stronie czołgu Mackalla, ukryci w wąskich, głębokich dołach, siedzieli Niemcy – przeważnie w średnim wieku. Byli zarówno przerażeni, jak i pełni nienawiści z powodu tego, co przytrafiło się im, ich ojczyźnie… i ich domom!

–Wspaniałe przygotowanie artyleryjskie, towarzyszu pułkowniku – pochwalił cicho Aleksiejew. Nad głowami

znów rozległ się skowyczący dźwięk. – A oto i wasze wsparcie lotnicze.

Cztery radzieckie myśliwce nurkujące przemknęły równolegle nad masywem, zrzucając ładunki napalmu. Kiedy zawróciły w kierunku radzieckich linii, jedna z maszyn eksplodowała w powietrzu.

–Co to było?

–Prawdopodobnie roland – odparł pułkownik. – Ich wersja naszej SA-8. No dobrze, jeszcze minutkę.

Pięć kilometrów za bunkrem dowództwa dwie baterie ruchomych wyrzutni rakietowych ziały nieustannym ogniem.

Połowę z nich stanowiły głowice bojowe, a połowę rakiety dymne.

Trzydzieści rakiet wylądowało w sektorze Mackalla, a trzydzieści przed nim, w dolinie. Wstrząs eksplozji zakołysał czołgiem, rozległ się dźwięk odbijających się od pancerza odłamków. Najbardziej zatrwożył sierżanta dym.

Znaczył bowiem, że nadchodzi Iwan. Z trzydziestu miejsc bił w niebo szarobiały tuman, zakrywając wszystko swym nieprzeniknionym całunem. Mackall i kanonier włączyli celowniki termogramowe.

–Byk, tu Szóstka – odezwał się przez radio dowódca. – Proszę o potwierdzenie.

Mackall słuchał uważnie. Wszystkie jedenaście chronionych przez głębokie wykopy czołgów pozostało nietknięte i sierżant błogosławił w duchu saperów – jak również niemieckich rolników – którzy wykopali te stanowiska.

Nie padły żadne rozkazy. Nie były potrzebne.

–Przeciwnik w polu widzenia – poinformował kanonier.

Celowniki termiczne rozróżniały temperaturę i mogły na odległość kilometra penetrować pokryty dymem teren., Ponadto wiatr okazał się dla Amerykanów korzystny.

Wiejąca z szybkością szesnastu kilometrów na godzinę bryza zawróciła dymy na wschód. Starszy sierżant Terry Mackall zaczerpnął tchu i przystąpił do dzieła.

–Cel: czołg. Godzina: dziesiąta. Pocisk podkalibrowy.

Pal!

Kanonier obrócił wieżyczkę w lewo i nastawił siatkę celownika na najbliższą radziecką maszynę. Kciukami wcisnął guzik lasera i cieniutki promień światła padł na cel.

Na ekranie wskazującym odległość pojawiła się liczba: 1310 metrów. Sterujący ogniem komputer skorelował natychmiast odległość i szybkość wrogiego obiektu, zmierzył kierunek i siłę wiatru, wilgotność i temperaturę powietrza, uwzględnił masę pancerza samego czołgu i uniósł lufę głównego działa.

Wszystko, co musiał zrobić kanonier, to umieścić w środku siatki cel. Cała operacja zajęła niecałe dwie sekundy.

Kanonier nacisnął spusty.

Podmuch z długiej na trzynaście metrów lufy zniszczył zasadzone przed dwoma laty przez niemieckich skautów krzaki. 105-milimetrowe działo czołgowe szarpnęło do tyłu w odrzucie i wypluło do wnętrza wieżyczki łuskę. W powietrze wyleciał pocisk podkalibrowy; odpadła z niego koszulka i wolframowo-uranowa strzała o średnicy czterdziestu milimetrów pomknęła z szybkością półtora kilometra na sekundę.

W chwilę później pocisk trafił w podstawę wieżyczki rosyjskiego czołgu. Kiedy uranowe jądro pocisku wnikało w ochronną stal, radziecki kanonier wprowadzał dopiero pocisk do lufy. Czołg eksplodował; wieżyczka wyleciała na dziesięć metrów w górę.

–Trafiony! – powiedział Mackall. – Cel: czołg.

Godzina: dwunasta. Pocisk podkalibrowy. Pal!

Rosyjski i amerykański czołg wystrzeliły jednocześnie, ale radziecki pocisk przeszedł górą, mijając M-1 blisko o metr. Rosjanie mieli mniej szczęścia…

–Czas się wynosić – oznajmił Mackall. – Do tyłu.

Na kolejną pozycję!

Kierowca, otworzywszy mocno przepustnicę, dokonał zwrotu. Czołg szarpnął do tyłu, zakręcił w prawo i ruszył pięćdziesiąt metrów w stronę kolejnego, przygotowanego uprzednio stanowiska.

–Cholerny dym! – zaklął Siergietow.

Wiatr przywiał do nich kolejną falę i nikt nie widział, co się dzieje przed nimi. Losy bitwy były teraz w rękach

kapitanów, poruczników i sierżantów. Obserwujący walkę z bunkra dowódcy rozróżniali jedynie pomarańczowe kule ognia eksplodujących pojazdów, ale nie potrafili określić, czy są to maszyny własne, czy przeciwnika. Głównodowodzący pułkownik nałożył słuchawki i zaczął rzucać swym podkomendnym krótkie, szorstkie polecenia.

Mackall znalazł się na nowej pozycji w niecałą minutę.

Okop był usytuowany równolegle do linii grzbietu wzgórza, więc potężna wieżyczka maszyny obróciła się w lewo.

Sierżant dojrzał radziecką piechotę, która wyskoczyła z wozów bojowych i biegła teraz przed

swymi pojazdami.

Spadła na nią niemiecka i amerykańska salwa artyleryjska, ale trochę za późno…

–Cel: czołg z anteną. Wyjeżdża właśnie zza linii drzew.

–Mam go – odparł kanonier. Ujrzał radziecki ciężki czołg bojowy T-80 ze sterczącą z wieżyczki długą anteną radiową. Mógł to być pojazd dowódcy kompanii; a może dowódcy batalionu.

Strzelił.

Rosyjski czołg raptownie stanął, a Mackall obserwował, jak smugacz mija o centymetry jego komorę silnikową.

–Pocisk HEAT! – krzyknął kanonier przez interkom.

–Gotowy!

–Zawracaj, kurwa…

Kierowana przez doświadczonego sierżanta rosyjska maszyna mknęła zygzakami przez pole. Co pięć sekund wykonywała ostry zwrot; skręciła właśnie w lewo…

Kanonier wypuścił pocisk. Siła odrzutu zatrzęsła czołgiem i o tylną ściankę wieżyczki zadźwięczała wyrzucona łuska.

W zamkniętym pomieszczeniu rozszedł się amoniakowy zapach propelentu.

–Trafiony! Piękny strzał, Woody!

Pocisk trafił Rosjan między ostatnie koła i zniszczył silnik diesla. W chwilę potem zaczęła z pojazdu wyskakiwać załoga „uciekając" prosto w grad tnących powietrze odłamków.

Mackall znów polecił zmienić stanowisko bojowe. Zanim

dotarli na miejsce, Rosjanie byli już niecałe pięćset metrów od nich. Oddali dwa kolejne strzały, niszcząc wóz bojowy piechoty i następny czołg.

–Byk, tu Szóstka, wycofujemy się na Linię Bravo.

Wykonać!

Jako dowódca plutonu Mackall wraz ze swoją drużyną opuścił pozycję ostatni. Sierżant obserwował, jak dwa towarzyszące mu czołgi toczą się w dół stoku. Piechota również się wycofywała; część żołnierzy zdążyła wskoczyć do transporterów opancerzonych, pozostali po

prostu biegli. Własna artyleria oddała salwę, następnie postawiła zasłonę dymną, by ułatwić swoim oddziałom cofnięcie się na kolejne pozycje. Na komendę Mackalla czołg ruszył z szybkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę i nim Rosjanie zdobyli masyw, zajął wyznaczoną pozycję. Wycofujących się ścigał ogień artyleryjski nieprzyjaciela, który zniszczył dwa niemieckie wozy bojowe piechoty.

–Zulu, Zulu, Zulu!

–Przyślijcie mi transporter – polecił Aleksiejew.

–Nie mogę na to pozwolić. Nie pozwolę, generale…

–Przysłać mi tu ten cholerny transporter. Muszę to dokładnie zobaczyć – powtórzył Aleksiejew.

Minutę później on i Siergietow w towarzystwie pułkownika siedzieli w BMP i jechali na pozycje opuszczone właśnie przez oddziały NATO. Znaleźli okop, w którym kryło się dwóch żołnierzy… dopóki w odległości metra nie eksplodowała rakieta.

–Wielki Boże, straciliśmy tu dwadzieścia czołgów! – wykrzyknął Siergietow, oglądając się do tyłu. – Padnij! – wrzasnął naraz pułkownik, wpychając obu do okrwawionej jamy. Wzgórze dosięgła nawała ogniowa NATO.

–Tam jest gatling – powiedział kanonier.

Rosyjski pojazd z działem przeciwlotniczym pojawił się na szczycie wzgórza. W chwilę później pocisk HEAT

zniszczył je niczym plastikową zabawkę. Kolejnym celem stał się rosyjski czołg zjeżdżający ze wzgórza, które właśnie opuścili.

–Głowa do góry. Nadlatuje nasz samolot! – Mackall skulił się, mając nadzieję, że pilot potrafi odróżnić owce od wilków.

Aleksiejew obserwował dwusilnikowy myśliwiec pikujący nad dolinę. Jego przód ział ogniem z działka przeciwczołgowego. Na oczach generała eksplodowały cztery czołgi Zdawało się, że thunderbolt zawisł na chwilę w powietrzu, po czym odleciał na zachód. Pomknęła za nim rakieta SA-7, ale spadła za blisko. – „Diabelski krzyż"? – zapytał cicho generał.

Pułkownik w milczeniu skinął głową i Aleksiejew zrozumiał, czemu jego ludzie ochrzcili ten typ maszyn taką właśnie nazwą. Oglądany pod kątem amerykański myśliwiec przypominał stylizowany krzyż rosyjskich ortodoksów.

–Wezwałem rezerwowy pułk. Możemy dopaść ich podczas ucieczki – powiedział pułkownik.

To tak wygląda uwieńczony powodzeniem atak? – pomyślał z niedowierzaniem Siergietow.

Mackall obserwował, jak na rosyjskie linie spadają dwie rakiety przeciwczołgowe. Jedna chybiła, ale druga była celna. Kiedy żołnierze Paktu Atlantyckiego cofnęli się o kolejne pięćset metrów, po obu stronach pokazało się jeszcze więcej dymu. Widzieli już wioskę, której bronili.

Czołg sierżanta miał na swoim koncie pięć zniszczonych nieprzyjacielskich maszyn. On sam nie został jeszcze trafiony, ale bitwa przecież trwała. Włączyła się amerykańsko-niemiecka artyleria. Rosyjską piechotę w połowie już zniszczono i transportery opancerzone sprzymierzonych zjeżdżały ze stoku, próbując nawiązać z niedobitkami kontakt bojowy. Kiedy do walki włączył się trzeci pułk, wszystko wydawało się rozwijać pomyślnie.

Na wzgórzu pojawiło się pięćdziesiąt czołgów. Przemknął

nad nimi A-10 niszcząc dwa, ale w tej samej chwili samolot dosięgła rakieta klasy ziemia-powietrze. Płonący wrak spadł trzysta metrów od Mackalla.

–Cel: czołg. Godzina: pierwsza. Pal! – Abrams odskoczył do tyłu. – Trafienie!

–Uwaga, uwaga! – zawołał dowódca piechoty. – Od północy nadlatują wrogie helikoptery.

Dziesięć Mi-24 hind przybyło późno, mimo tego w ciągu niepełnej minuty zniszczyło dwa czołgi. Zaraz pojawiły się niemieckie phantomy. Zasypały radzieckie maszyny rakietami powietrze-powietrze i pociskami z działek pokładowych.

Potem zaczęły pojawiać się pociski klasy ziemia-po wietrze.

Niebo cięły smugi dymu… i nagle w polu widzenia nie było ani jednej maszyny.

–Grzęźniemy – oświadczył Aleksiejew.

Wyciągnął przed chwilą bardzo istotną naukę: helikoptery bojowe nigdy nie sprostają myśliwcom. Właśnie wtedy – pomyślał – gdy Mi-24 mogły odwrócić obraz bitwy, musiały umykać przed niemieckimi myśliwcami. Siła rosyjskiej artylerii słabła. Kanonierzy NATO trafiali celnie.

Pomagały im myśliwce nurkujące. Należało zorganizować mocniejsze wsparcie powietrzne.

–Do diabła z tym! – odparł pułkownik i wydał przez radio kolejne rozkazy do batalionów na lewej flance.

–Na godzinie dziesiątej widać chyba wóz dowódcy.

Stoi na szczycie wzgórza. Możemy go dosięgnąć?

–Daleki strzał. Ja… Łup!

Pocisk trafił w sam przód wieżyczki.

–Czołg. Godzina trzecia, blisko…

Kanonier uruchomił urządzenia obracające wieżyczkę.

Nie zadziałały^ Żołnierz sięgnął natychmiast do dźwigni ręcznego sterowania. Mackall rzucił się do karabinu maszynowego i posłał serię w stronę zbliżającego się T-80, który wynurzył się dosłownie znikąd. Kanonier gorączkowo kręcił 30 – Czerwony sztorm

dźwignią. Od pancerza abramsa odbił się drugi rosyjski pocisk. Pomagał kierowca; obaj żywili rozpaczliwą nadzieję, że zdołają przywrócić maszyniezdolność bojową.

W wyniku pierwszego uderzenia uszkodzony został komputer. T-80 był już w odległości niecałego kilometra, kiedy kanonier uporał się wreszcie z usterką. Odpalił natychmiast HEAT-a, ale nie trafił. Ładowniczy umieścił w komorze kolejny pocisk. Kanonier błyskawicznie naprowadził działo na cel i strzelił. Trafienie.

–Zbliżają się następne – ostrzegł kanonier.

–Byk Sześć, tu Trzy-Jeden, oskrzydlają nas niedobrzy chłopcy. Potrzebujemy pomocy – zawołał do mikrofonu Mackall, a następnie zwrócił się do kierowcy:

–W lewo i do tyłu. Wiejmy!

Kierowca nie potrzebował zachęty. Pochylił się i, wyjrzawszy przez wąskie szczeliny obserwacyjne, szarpnął dźwignię przepustnicy. Czołg runął całą mocą do tyłu, po czym zaraz skręcił w lewo. Kanonier w tym czasie próbował trafić w kolejny cel, ale automatyczny stabilizator też nie funkcjonował. Żeby trafić, musieli na chwilę przystanąć – a to znaczyło śmierć.

Pojawił się lecący na małej wysokości kolejny thunderbolt i posłał w stronę Rosjan serię pocisków. Dwa następne radzieckie czołgi zostały unieruchomione, ale samolot musiał się wycofać, ciągnąc za sobą smugę dymu. Artyleria otworzyła ogień, próbując powstrzymać rosyjskie natarcie.

–Na rany Chrystusa, zatrzymaj na chwilę, a ubiję któregoś skurwiela! – wrzasnął kanonier.

Czołg stanął natychmiast. Kanonier dał ognia i trafił T- 72 w gąsienicę. – Ładuj!

Po lewej stronie, w odległości stu metrów od Mackalla pojawił się drugi czołg. Był nietknięty. Wystrzelił trzy pociski, z których dwa utkwiły w celach. Potem nadleciał radziecki helikopter i roztrzaskał rakietą maszynę dowódcy piechoty. Po chwili zestrzelony został z ręcznej wyrzutni stingerów^ którą dysponowali niemieccy piechurzy. Mackall

skulił się, kiedy z prawej i lewej strony wieżyczki jego czołgu przeleciały dwie „swoje" rakiety przeciwczołgowe HOT, aby trafić w nacierających Rosjan.

–Przed nami czołg z anteną.

–Widzę go. Pocisk podkalibrowy! – kanonier przekręcił korbą wieżyczki w prawo. Podniósł lufę i wystrzelił.

–Kapitanie Aleksandrow! – krzyknął w mikrofon dowódca dywizji. Słowa dowódcy batalionu nagle umilkły.

Pułkownik używał radia zbyt długo. Stacjonująca w odległości szesnastu kilometrów niemiecka bateria samobieżnych 155-milimetrowych dział namierzyła radiowy sygnał i wystrzeliła w tym kierunku dwadzieścia pocisków.

Aleksiejew usłyszał ich wizgot i, ciągnąc za sobą Siergietowa, wskoczył w wykopaną przez Niemców transzeję.

W pięć sekund później rozległ się potworny huk, a potem wszystko spowiły kłęby dymu. Kiedy generał wychylił głowę, ujrzał, iż pułkownik, ciągle w pozycji stojącej, wydaje przez radio komendy. Za nim płonął transporter dowódcy. We wnętrzu wozu została centrala radiowa.

Pięciu żołnierzy zginęło, sześciu wyło z bólu. Aleksiejew z niepokojem spojrzał na krwawą bruzdę na ręku.

Mackall zniszczył wprawdzie jeszcze jeden czołg, ale w końcu to Niemcy za pomocą pocisków HOT powstrzymali rosyjski atak. Straciwszy połowę swych czołgów, radziecki dowódca załamał się nerwowo. Niedobitki radzieckiego wojska postawiły zasłonę dymną i wycofały się na południowy stok wzgórza. Poganiał je ogień artylerii sprzymierzonych. Bitwa lądowa chwilowo ucichła.

–Mackall, co się tam dzieje? – zapytał oficer piechoty.

–Gdzie jest Szóstka?

–Po twojej lewej – Mackall spojrzał w tamtą stronę i ujrzał płonącą maszynę dowódcy. A więc to tak…,

–To my, sir. Ilu naszych zostało?

–Naliczyłem cztery maszyny.

Boże wielki – pomyślał sierżant.

–Dajcie mi pułk z dywizji czołgów, a wreszcie to skończę. Im już nic nie zostało – upierał się pułkownik.

Na twarzy miał krew z powierzchownej rany.

–Załatwię to. Kiedy możecie rozpocząć atak? – spytał Aleksiejew.

–Za dwie godziny. Muszę tylko przegrupować siły.

–Doskonale. Wracam do kwatery głównej. Opór przeciwnika był silniejszy, niż przypuszczaliście, towarzyszu pułkowniku. Niemniej wasze wojsko walczyło mężnie.

Każcie waszym służbom wywiadowczym lepiej pracować.

Zgromadźcie jeńców i solidnie ich przesłuchajcie. – Aleksiejew oddalił się. Krok w krok podążał za nim Siergietow.

–Gorzej niż przewidywałem – zauważył kapitan po wejściu do transportera.

–Musieli przeciw nam wystawić co najmniej pułk – Aleksiejew wzruszył ramionami. – Przy takich omyłkach długo nie pociągniemy. W dwie godziny sforsowaliśmy cztery kilometry, ale za jaką cenę. I te skurwysyny od samolotów… Kiedy wrócimy, powiem to i owo generalicji z lotnictwa osłonowego!

–Jest pan prawdziwym żołnierzem – powiedział porucznik.

Okazało się, że pozostało jednak pięć czołgów; po prostu w jednym z nich popsuło się radio.

–Wspaniale pan walczył, naprawdę wspaniale.

–A jak Niemcy? – spytał Mackall nowego dowódcę.

–Pięćdziesiąt procent strat. Iwan odepchnął nas o cztery kilometry. Jeszcze jeden taki atak i po nas. W ciągu godziny mamy otrzymać posiłki. Przekonałem dowództwo pułku, że Iwanowi niebywale zależy na tej pozycji. Otrzymamy w związku z tym pomoc. Od Niemców. O zmierzchu przyślą tu batalion, a o świcie prawdopodobnie następny.

Proszę uzupełnić paliwo i amunicję. Nasi drodzy przyjaciele niebawem znów się pojawią.

–Na tę wioskę przypuścili już dwa wielkie i jeden mniejszy atak. I nic nie osiągnęli, sir.

–Aha, jeszcze jedno, sierżancie. Rozmawiałem o panu w dowództwie jednostki. Pułkownik oznajmił, że od teraz jest pan oficerem.

Czołg Mackalla potrzebował dziesięciu minut na przezbrojenie. Uzupełnienie paliwa zajęło dalsze dziesięć minut.

W tym czasie zmordowana do granic możliwości załoga uzupełniała amunicję. Sierżant był zdumiony tym, że musi wracać na linię frontu, mając o pięć pocisków za mało.

–Zostałeś trafiony, Pasza – młodszy mężczyzna, potrząsnął głową.

–Skaleczyłem się przy wysiadaniu z helikoptera. Niech krwawi. To kara za moją niezdarność.

Aleksiejew usiadł naprzeciwko dowódcy i wypił blisko litr wody. Wstydził się tej lekkiej kontuzji i dlatego skłamał.

–Atak?

–Stawiali diabelski opór. Powiedziano nam, że mamy przed sobą dwa bataliony piechoty plus czołgi. Ja szacuję siły wroga na niepełny pułk. Sprzymierzeni dysponowali ponadto doskonale przygotowanymi pozycjami. A jednak prawie złamaliśmy ich linie. Dowodzący dywizją pułkownik opracował niezły plan i jego ludzie przypuścili rzeczywiście imponujący atak. Zmusiliśmy wroga do cofnięcia się prawie do samej wioski. Do następnego ataku chciałbym zaangażować czołgi z grup działań operacyjnych.

–Tego nam zrobić nie wolno.

–Co takiego? – Aleksiejew był zdumiony.

–Grupy działań operacyjnych mają pozostać nietknięte aż do chwili, kiedy nie przełamiemy frontu. Takie są instrukcje z Moskwy.

–Ależ dodatkowy pułk właśnie przełamie front. Cel mamy już w zasięgu wzroku! By to osiągnąć, poświęciliśmy dywizję piechoty zmotoryzowanej i straciliśmy połowę innej. Możemy wygrać tę bitwę i zrobić pierwszą, istotną wyrwę w liniach NATO. Ale musimy działać błyskawicznie!

–Jesteście pewni swego zdania?

–Tak, lecz konieczny jest pośpiech. Niemcy wiedzą, że niebawem ponowimy atak. Spróbują wzmocnić linie.

Pierwszy pułk 30. Gwardyjskiej Dywizji Czołgów znajduje się zaledwie godzinę drogi od pola walki. Możemy go tu ściągnąć natychmiast. Wziąłby udział w szturmie. Tak naprawdę, to powinniśmy tu mieć całą tę dywizję. Taka okazja nieprędko się zdarzy.

–Przekonałeś mnie. Połączę się z Naczelnym Dowództwem i poproszę o zezwolenie.

Aleksiejew odchylił się do tyłu i przymknął oczy. Struktura radzieckiego dowództwa: nawet głównodowodzący teatrem wojny, jeśli chce odstąpić od Planu, musi uzyskać pozwolenie.

Zbadanie mapy zajęło geniuszom w Moskwie dwie godziny. Czołowy pułk 30. Dywizji Gwardyjskiej dostał polecenie dołączenia do dywizji piechoty zmotoryzowanej.

Ale było już za późno. Atak opóźnił się o dziewięćdziesiąt minut.

Podporucznik Terry Mackall na pagonach ciągle miał jeszcze dystynkcje sierżanta, lecz był zbyt zmęczony, by o tym myśleć. Dziwił się tylko, jak poważnie dowództwo oceniło jego drobną w sumie potyczkę czołgową. W transporterach opancerzonych pojawiły się dwa bataliony niemieckiej regularnej piechoty, zwalniając wyczerpaną Landwehrę, która została wycofana i miała przygotować pozycje obronne wokół wioski. Stanowisko wzmocniła dowodzona przez niemieckiego pułkownika kompania czołgów Leopard i dwa plutony M-1. Oficer przybył helikopterem i natychmiast odbył inspekcję pozycji obronnych. Na twarzy o wąskich, zaciętych ustach miał plaster, a głowę zabandażowaną.

Skurwiel pozujący na twardziela – pomyślał Mackall.

Podporucznik zdawał sobie sprawę, że gdyby Iwan zdobył ich pozycje, oskrzydliłby połączone siły niemiecko-brytyjskie, które powstrzymywały rosyjski atak na Hanower.

Dlatego też bitwa ta była dla Niemców tak istotna.

Na pierwszej linii zajęły miejsce niemieckie leopardy, luzując tym samym Amerykanów. Siły te ponownie liczyły

czternaście czołgów. Dowódca rozdzielił jednostkę na dwie części; Mackallowi przypadła grupa południowa. Odnaleźli i zajęli ostatnią linię umocnień na południowo-wschodnim krańcu wioski. Mackall dokładnie rozlokował podległe sobie siły. Odwiedził osobiście każdą pozycję, ustalając szczegółowo plan z dowódcami poszczególnych czołgów.

Niemcy byli bardzo zdyscyplinowani. Na każdym posterunku, który nie miał naturalnej osłony, zasadzili nowe zarośla.

Ewakuowano prawie całą ludność cywilną, choć sporo osób nie chciało opuszczać swoich domów. Jeden z mieszkańców wioski przyniósł czołgistom ciepły posiłek. Ale załoga Mackalla nie miała czasu jeść. Kanonier naprawił dwa rozerwane złącza i przestroił uszkodzony komputer sterujący ogniem. Ładowniczy i kierowca zajęli się obluzowaną gąsienicą. Zanim skończyli, odezwała się radziecka artyleria.

Aleksiejew chciał tam być. Utrzymywał łączność telefoniczną z dowództwem dywizji i był na podsłuchu radiowym, dzięki czemu śledził wszystko na bieżąco. Pułkownik – Aleksiejew postanowił, iż w przypadku powodzenia awansuje go na generała – skarżył się, że wszystko to trwało zbyt długo. Wysłał nad linie nieprzyjaciela zwiad lotniczy; jedna z maszyn nie wróciła. Pilot drugiego samolotu doniósł o ruchach wojsk po tamtej stronie, ale poza tym, iż został zaatakowany pociskami ziemia-powietrze, niewiele potrafił powiedzieć. Pułkownik obawiał się, że siły przeciwnika znacznie wzrosły, ale nie miał żadnych konkretnych danych na ten temat i trudno mu było ustalić, czy wojska NATO zwlekają, czy też przybywają tam nowe posiłki.

Mackall również przyglądał się wszyskiemu z oddali.

Ostatnia linia wzgórz odległa była o półtora kilometra.

Między nimi a amerykańskimi pozycjami majaczyły zgliszcza rozległego gospodarstwa. Oddział uformowany został w dwa plutony po trzy czołgi każdy. Mackall, jako Dowódca, miał trzymać się z tyłu i kierować akcją przez radio.

W dwadzieścia minut po radiowym komunikacie o silnym

ataku Rosjan, zaobserwował ruch. W kierunku wioski zaczęły zjeżdżać niemieckie wozy z piechotą. Na północy pojawiło się kilka rosyjskich śmigłowców, ale ukryta w wiosce bateria rolandów otworzyła do nich ogień i zniszczyła trzy maszyny. Reszta odleciała. Potem zjawiły się niemieckie leopardy. Mackall doliczył się trzech trafień.

Artyleria NATO otworzyła ogień; z kolei między amerykańskie czołgi zaczęły spadać radzieckie pociski. Następnie pojawili się Rosjanie…

–Byk, wszystkie jednostki wstrzymują ogień. Powtarzam, wszyscy wstrzymują ogień – odezwał się przez radio dowódca.

Mackall widział między zabudowaniami wioski wycofujących się Niemców. A więc to tak sobie wykombinował skurwysyn Szwab – pomyślał podporucznik. – Ślicznie…

–Uciekaj – powiedział pułkownik do Aleksiejewa przez radio. Na mapie, którą generał miał przed sobą, oficerowie nanosili flamastrami różne znaki. Na czerwono znaczyli wyrwę w niemieckich liniach.

Pierwsze radzieckie czołgi były już pięćset metrów od wioski i wdzierały się w dwukilometrową lukę między czołgami grupy B. Niemiecki pułkownik wydał rozkaz amerykańskiemu dowódcy.

–Byk, tu Szóstka. Brać ich!

Dwanaście czołgów jednocześnie otworzyło ogień. Dziewięć pocisków było celnych.

–Woody, szukaj anten – polecił kanonierowi Mackall.

Obserwował przez peryskop inne, podległe sobie czołgi.

Jego kanonier skierował działo w prawo, celując w tylne szeregi Rosjan.

–Jest! Wprowadzić pocisk HEAT Cel: czołg. Odległość: dwa tysiące sześćset… – Czołgiem szarpnęło. Kanonier obserwował lot smugacza podążającego po łuku pocisku… – Trafienie!

Kolejna salwa z czołgów M-1 zniszczyła osiem radzieckich czołgów. Potem od strony wioski spadła na Rosjan ulewa

amunicji, siejąc wśród nich straszliwe spustoszenie. Rosjanie zaatakowali skrzydłami i teraz mieli przed sobą wioskę pełną wyrzutni rakiet przeciwczołgowych; niemiecki pułkownik

zastawił pułapkę, w którą wpadły radzieckie jednostki. W tej samej chwili z lewej i prawej strony wyjechały zza osady leopardy i zaatakowały będącego na odkrytej przestrzeni przeciwnika/Dowodzący osłoną lotniczą ponownie skierował na pozycje radzieckiej artylerii myśliwce bombardujące. Do walki włączyły się też myśliwce radzieckie, ale zaangażowane w walce z amerykańskimi i niemieckimi samolotami nie były w stanie dać wsparcia walczącym na ziemi jednostkom; a tam pojawiły się uzbrojone w rakiety niemieckie śmigłowce Gazelle. Rosyjskie czołgi strzelały na oślep, próbując rozpaczliwie nawiązać z przeciwnikiem równorzędną walkę. Amerykanie jednak byli dobrze okopani, zaś niemieckie wyrzutnie we wsi po każdej salwie zmieniały przezornie pozycje.

Mackall przesunął jeden pluton na prawą stronę, a drugi na lewą. Jego kanonier zlokalizował i zniszczył kolejny czołg dowódcy, po czym Niemcy oskrzydlili radziecką formację od północy i od południa. Sowieci mieli przewagę liczebną, lecz Niemcy poradzili sobie z nią, ostrzeliwując kolumnę czołgów potężnymi, 120-milimetrowymi działami.

Radziecki dowódca natychmiast wysłał tam helikoptery, które miały utorować drogę ucieczki jego formacjom.

Zaskoczyły Niemców zniszczeniem trzech czołgów, ale niebawem artyleria sojuszników zaczęła strącać maszynę po maszynie.

Nieoczekiwanie, w jednej chwili, Rosjanie mieli dosyć.

Na oczach Mackalla siły radzieckie zawróciły w miejscu i, mając na plecach szarżujących Niemców, zaczęły się gwałtownie wycofywać. Podporucznik doskonale wiedział, że nikt nie dociśnie Rosjan tak, jak właśnie kreutze. Niebawem poprzednie linie obronne znów zostały odzyskane. Bitwa trwała prawie godzinę. W walce o Bieben niemal doszczętnie wybito dwie radzieckie dywizje piechoty zmotoryzowanej.

Załoga czołgu otworzyła pokrywę włazu by przewietrzyć wnętrze pojazdu. Na podłodze walało się piętnaście łusek

po pociskach. Sterujący ogniem komputer znów odmówił posłuszeństwa, ale mimo to Woody zniszczył jeszcze cztery następne czołgi; dwa z nich należały do radzieckich dowódców.

Podjechał jeep ze zwierzchnikiem.

–Mam trzy uszkodzone czołgi – zameldował Mackall. – Muszą iść do naprawy. – Twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. – Nigdy nam nie odbiorą tego miasteczka.

–To Bundeswehra powstrzymała ostatecznie ich atak – skinął głową porucznik. – W porządku, proszę zluzować swoich ludzi.

–No cóż, kiedy szliśmy do ostatniego ataku, brakowało nam do kompletu pięciu pocisków.

–W ogóle zaczyna brakować amunicji. Nadchodzi dużo wolniej, niż się spodziewaliśmy.

Mackall zastanowił się chwilę; wnioski, do jakich doszedł, nie były wesołe.

–Więc niech ktoś powie tym niedojebom z marynarki, że powstrzymamy skurwieli, jeśli tylko będziemy mieli na czas odpowiednią ilość broni i amunicji.

USS„Pharris" Morris nigdy nie widział Hampton Roads tak zatłoczonej.

W porcie stało na kotwicach co najmniej sześćdziesiąt statków handlowych, tuż obok nich zacumowane były okręty wojenne eskorty, które miały je poprowadzić przez ocean. Znajdowała się tam również pozbawiona głównego masztu „Saratoga". Sam maszt reperowano na nabrzeżu, podczas gdy na jednostce kończono naprawę licznych, mniej widocznych uszkodzeń. Nad portem krążyło w powietrzu wiele samolotów. Na niektórych okrętach pracowały radary poszukujące radzieckich łodzi podwodnych, aby te nie mogły w zgrupowane w porcie statki wystrzelić samosterujących pocisków dalekiego zasięgu. „Pharris" zacumowany był przy magazynach paliwa, gdzie uzupełniał swoje zbiorniki oraz baki z benzyną dla helikoptera. Dostarczono już nowy pocisk ASROC oraz

sześć rakiet z pasmami folii aluminiowej. Ponadto zaopatrzono okręt w żywność. Ed Morris już wcześniej przesłał do dowództwa raport z rejsu i teraz był właściwie wolny.

Z jednym zastrzeżeniem: za dwanaście godzin miał wyruszyć w rejs. Za dwanaście godzin ponownie będzie płynął w eskorcie wiozącego ciężki sprzęt i amunicję konwoju, zmierzającego z szybkością dwudziestu węzłów do francuskich portów Le Havre i Brest.

Kapitan zapoznał się z raportami wywiadu marynarki wojennej. Sprawy wyglądały dużo gorzej. Na linii Grenlandia-Islandia-Zjednoczone Królestwo umieszczono dwadzieścia okrętów podwodnych Paktu Atlantyckiego, które miały próbować przejąć funkcję zniszczonej sieci SOSUS.

Zniszczyły już wprawdzie pokaźną liczbę radzieckich łodzi podwodnych, ale poinformowały również, że kilka z nich przedostało się na ocean; Morris do każdej radzieckiej jednostki, która przedarła się przez linię obrony sprzymierzonych umieszczonej w raporcie, dodawał cztery lub pięć, o których nie wiedziano. W porównaniu z tym, co działo się teraz, rejs pierwszego konwoju był wyjątkowo bezpieczny. Poprzednio tych kilka radzieckich jednostek podwodnych na Atlantyku musiało płynąć do odległych celów pełną parą, co powodowało, że były głośne i łatwe do wykrycia. Obecnie sytuacja zmieniła się radykalnie. Na Atlantyku czaiło się już około sześćdziesięciu morderczych okrętów, z czego połowę stanowiły okręty atomowe. Morris, porównując stan liczebny radzieckiej floty podwodnej z ilością zniszczoną przez jednostki NATO, zastanawiał się w duchu, czy liczba sześćdziesiąt nie zawiera w sobie zbyt wiele optymizmu.

Ponadto istniały backfire'y, więc konwój miał płynąć trasą południową. Nadkładał w ten sposób całe dwa dni drogi, ale za to zmniejszał do minimum ryzyko spotkania z rosyjskimi

bombowcami. Dla radzieckich maszyn.te rejony leżały na granicy ich możliwości paliwowych. Ponadto na trzydzieści minut przed każdym przelotem radzieckiego satelity konwój miał zbaczać na zachód, aby zmylić wrogie okręty podwodne i bombowce.

Dodatkową osłonę stanowiły znajdujące się właśnie na morzu dwie grupy lotniskowców. Najwyraźniej planowano zastawić pułapkę na backfire'y. Lotniskowce popłyną okrężną drogą, aby uniknąć wykrycia przez satelity. Morris wiedział, że to możliwe, że to wyłącznie kwestia geometrii.

Z drugiej strony jednak ograniczało to mocno pole manewru ogromnych okrętów; niemniej ich towarzystwo zapewniało obronę lotniczą przed okrętami podwodnymi. Kompromis, ale całe życie, wszystkie operacje wojenne, opierają się właśnie na kompromisach. Morris zapalił papierosa bez filtra. Zazwyczaj nie palił, ale w połowie drogi w tamtą stronę kupił w bezcłowej kantynie okrętowej karton papierosów. Nie stanowiły większego zagrożenia dla jego życia niż samo morze. Rosjanie zatopili już przecież dziewięć niszczycieli i fregat; w tym dwie jednostki z całą załogą.

Islandia Edwards zdążył już znienawidzić widniejące na mapie brązowe poziomice. Każda z nich oznaczała kolejne dwadzieścia metrów wysokości; sześćdziesiąt pięć coma sześć stóp. Czasami linie były rzadkie, odległe od siebie o kilka milimetrów. Gdzieś indziej prawie nakładały się na siebie, a porucznik myślał, że staną przed pionową ścianą. Pamiętał, jak pewnego razu odwiedził z ojcem Waszyngton i, zignorowawszy ustawionych w kolejce do windy turystów, wspięli się po schodach na samą górę stusiedemdziesięciometrowego pomnika Waszyngtona. Do celu dotarli zmęczeni lecz dumni. Obecnie wspinaczkę taką podejmował co półtorej godziny, z tym, że nie było tu gładkich schodów i czekającej na górze windy, która zwiozłaby go na dół…

Na dole nie czekała taksówka, nie czekał hotel.

Od chwili opuszczenia obozu przed trzema godzinami przebyli już dziesięć poziomic – dwieście metrów, czy jak kto wolał sześćset pięćdziesiąt sześć stóp różnicy wzniesień, przedostając się z okręgu administracyjnego Skorradalshreppur do okręgu administracyjnego Lundarreykjadashreppur. Granicy między nimi nie oznajmiała żadna zielona

tablica, ale Islandczycy wiedzieli, że jeśli już ktoś wędruje pieszo po ich kraju, to najwidoczniej w nim mieszka i nie potrzebuje wskazówek. Po dwóch kilometrach płaskiego terenu trafili na moczary pokryte – skałami i popiołem; w odległości siedmiu kilometrów widniało coś, co wyglądało na wygasły wulkan.

–Odpoczynek – zarządził Edwards.

Usiadł obok wysokiej na metr skałki i oparł się o nią plecami. Był zdziwiony, kiedy zbliżyła się do niego Vigdis.

Usadowiła się naprzeciwko, metr dalej.

–No i jak samopoczucie?

Mikę natychmiast zauważył, że dziewczyna miała w oczach dużo więcej życia niż dotąd. Prawdopodobnie demony, które zagnieździły się w nich poprzedniego dnia, odeszły. Nie – pomyślał. – One już nigdy do końca nie odejdą. Ale i ja musiałem żyć z koszmarem, który zbladł dopiero z czasem. Czas leczy wszystkie rany. Chyba, że człowiek padnie ofiarą morderstwa.

–Zapomniałam podziękować ci za uratowanie życia.

–Nie mogliśmy przecież spokojnie obserwować, jak cię zabijają – odparł, zastanawiając się, czy przypadkiem nie kłamie. Nie był pewien, co by zrobili, gdyby Rosjanie zamierzali tylko wymordować mieszkańców farmy. Czy nie zaczekaliby do ich odejścia i potem sami nie splądrowaliby domu w poszukiwaniu potrzebnych rzeczy? Nadszedł czas prawdy.

–Nie zrobiłem tego dla ciebie; nie tylko dla ciebie.

–Nie rozumiem.

Edwards wyjął z kieszeni portfel i pokazał zrobione przed pięcioma laty zdjęcie.

–To Sandy. Sandra Miller. Mieszkaliśmy w jednym bloku i razem chodziliśmy do szkoły. Być może któregoś dnia zostałaby moją żoną – powiedział cicho.

A może i nie – dodał w duchu. – Ludzie się zmieniają.

–Poszedłem na Akademię Lotniczą, a ona na Uniwersytet Connecticut w Hartford. W październiku, kiedy byłem na drugim roku, zaginęła. Została zgwałcona i zamordowana. Tydzień później znaleziono ją w przydrożnym

rowie. Facet, który to zrobił… nie udowodniono mu morderstwa Sandy, a wyłącznie gwałt dokonany na dwóch dziewczynach ze szkoły… no cóż, on przebywa obecnie w szpitalu dla wariatów. Powiedzieli, że jest umysłowo chory i nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Tak więc pewnego dnia uznają go zapewne za zdrowego i wypuszczą na wolność. A Sandy będzie w dalszym ciągu martwa. – Edwards spuścił wzrok i patrzył tępo w kamienie. – Nic nie mogłem zrobić. Nie jestem przecież gliną i znajdowałem się w odległości trzech tysięcy kilometrów. Ale w twoim przypadku było inaczej – mówił bezbarwnym tonem. – Tym razem było inaczej.

–Kochałeś Sandy? – zapytała Vigdis.

Jak na to odpowiedzieć? – pomyślał Mikę. – Wtedy, przed pięcioma laty, chyba tak. Ale czy uczucie to przetrwałoby do teraz? W końcu przez wszystkie te lata nie żyłeś w celibacie – powiedział sobie w duchu. Z drugiej strony, o niczym to nie świadczy, prawda? Popatrzył na fotografię, którą Sandy wysłała mu trzy dni przed śmiercią.

W skrzynce na listy w Colorado Springs znalazł ją już po zgonie dziewczyny, jakkolwiek wieść o morderstwie jeszcze do niego nie dotarła. Ciemne, spadające na ramiona włosy, przechylona głowa, łobuzerski uśmiech, który tak łatwo przekształcał się w głośny śmiech… wszystko to przeminęło bezpowrotnie.

–Tak – znów bezbarwny, beznamiętny głos.

–A więc zrobiłeś to dla niej, prawda?

–Tak – skłamał Edwards.

Zrobiłem to dla siebie!

–Nie wiem nawet, jak się nazywasz.

–Mikę. Michael Edwards.

–Zrobiłeś to dla mnie, Michael. Dziękuję ci za życie.

Po raz pierwszy na twarzy Vigdis pojawił się cień uśmiechu. Położyła dłoń na jego dłoni. Palce miała delikatne i ciepłe.

OFIARY

Keflavik, Islandia – Najpierw myśleliśmy, że po prostu zjechali z drogi i spadli ze skał. To znaleźliśmy w samochodzie – major żandarmerii trzymał w ręku górną część potłuczonej butelki po wódce. – Ale podczas sekcji patolog odkrył…

Major ściągnął gumową płachtę, pod którą leżały potrzaskane zwłoki. W piersi ofiary widniała rana zadana nożem.

–A wyście mówili, towarzyszu generale, że Islandczycy to łagodne owieczki – zauważył sarkastycznie pułkownik KGB.

–Nie potrafimy dokładnie zrekonstruować przebiegu wypadków – ciągnął major. – W pobliżu miejsca katastrofy natknęliśmy się na zgliszcza, farmy. W popiołach leżały dwa ciała. Ludzi tych zastrzelono.

–Kim byli? – spytał generał Andriejew.

–Identyfikacja jest niemożliwa. Lekarz stwierdził tylko, że mostki mają podziurawione kulami. Strzały oddano z niewielkiej odległości. Nasi specjaliści dokładnie zbadali zwęglone zwłoki. Należały do kobiety i mężczyzny. Z dokumentów znajdujących się w miejscowym magistracie wynika, że na farmie żyło małżeństwo. Mieli córkę w wieku… – major zajrzał do notatek -…w wieku dwudziestu lat. Dziewczyny nie znaleźliśmy.

–A co z tym patrolem? – Żołnierze jechali na południe nadbrzeżną autostradą…

–I nikt nie zauważył ognia? – spytał ostro pułkownik

–Tamtej nocy bardzo padało, a płonący samochód i farma znajdowały się poza linią horyzontu. Żołnierze

z sąsiedniego posterunku nie mogli niczego zauważyć. Jak wiecie, towarzyszu, stan tutejszych dróg pozostawia wiele do życzenia, a górski teren utrudnia łączność radiową.

Kiedy więc patrol się spóźniał, nikt na to nie zwracał szczególnej uwagi. Szczątki samochodu "nie były widoczne z drogi, toteż dostrzegł je dopiero przelatujący nad szosą helikopter.

–A pozostali żołnierze? Jak zginęli? – chciał wiedzieć generał.

–W płonącym samochodzie eksplodowały ręczne granaty. Skutek był oczywisty. Trudno orzec prawdziwą przyczynę ich śmierci, z wyjątkiem sierżanta. Na tyle, na ile zdołaliśmy się zorientować, żadna broń nie zginęła. W samochodzie zostały wszystkie karabiny, ale brakowało kilku innych rzeczy: na przykład torby z mapami i paru drobnych przedmiotów, które powinny się tam znajdować. Być może wyrzucone siłą eksplozji wpadły do wody. Ale wątpię w to.

–Wnioski?

–Towarzyszu generale, trudno tu o jakieś wnioski.

Sądzę, że żołnierze odwiedzili farmę, „osuszyli" butelkę, po czym zastrzelili gospodarzy i spalili dom. Córka ofiar zniknęła. Szukamy jej ciała. Potem na nasz patrol ktoś napadł, wymordował żołnierzy i upozorował wypadek drogowy. Musimy zatem przyjąć, że w okolicy kręci się jakaś uzbrojona banda bojowników ruchu oporu.

–Tu bym się z wami nie zgodził – oświadczył pułkownik KGB. – Nie doliczyliśmy się przecież wszystkich żołnierzy nieprzyjaciela. Sądzę, że ci „bojownicy ruchu oporu" to po prostu żołnierze NATO, którym udało się zbiec z Keflaviku. Zastawili na nasz patrol pułapkę, po czym zamordowali mieszkańców farmy, mając nadzieję, że podburzą przeciw nam opinię publiczną.

Generał Andriejew i major żandarmerii wymienili ukradkowe spojrzenia. Dowódcą patrolu był porucznik KGB.

Czekiści żądali, by wszystkim patrolom towarzyszyli ich ludzie. Akurat mi tego potrzeba – pomyślał generał. Mało,

że spadochroniarzy przydzielano do zajęć garnizonowych – co zawsze fatalnie wpływało na morale i dyscyplinę – ale dodatkowo pełnić musieli rolę dozorców więziennych.

W kilku przypadkach nawet dowodzili nimi prawdziwi dozorcy więzienni. Zapewne więc tamten młody, arogancki porucznik KGB – generał nigdy nie spotkał sympatycznego pracownika tej instytucji – postanowił się trochę rozerwać. Gdzie podziała się córka zamordowanych?

Stanowiła zapewne klucz do całej zagadki. Ale nie rozwiązanie tej zagadki było sprawą najistotniejszą.

–Myślę, że powinniśmy przesłuchać okolicznych mieszkańców – oznajmił oficer KGB.

–Nie ma tam żadnych „okolicznych mieszkańców", towarzyszu – odparł major. – Popatrzcie na mapę. To była samotna farma. Najbliższa oddalona jest o siedem kilometrów.

–Ale…

–To nieważne kto i dlaczego zabił tych nieszczęśników.

Ważne, że mamy w okolicy uzbrojonego przeciwnika – oświadczył Andriejew. – To sprawa wojska a nie naszych kolegów z KGB. Wyślę helikopter, który starannie przeczesze okolice farmy. Jeśli natkniemy się na jakąś grupę oporu, czy na coś w tym rodzaju, rozprawimy się z nią jak z każdym uzbrojonym wrogiem. Towarzyszu pułkowniku, jeżeli zdobędziemy jeńców, możecie ich potem przesłuchać.

Od tej chwili również towarzyszący naszym patrolom ludzie z KGB pełnić będą wyłącznie funkcje obserwatorów, nie dowódców. Nie możemy ryzykować tego, by w warunkach bojowych decydowali ci, którzy nie mają o nich zielonego pojęcia. Pozwólcie, że porozmawiam zaraz z oficerem operacyjnym i ustalimy plan poszukiwań. Towarzysze, dziękuję za tę informację. Jesteście wolni.

Czekista chciał wprawdzie zostać, ale bez względu na to, czy pracował w KGB, czy też nie, był tylko pułkownikiem.

Jedyną władzę sprawował tu generał.

Godzinę później helikopter bojowy MI-24 wzbił się w powietrze i odleciał w stronę spalonej farmy. 31 – Czerwony sztorm

Stornoway, Szkocja – Znowu? – zdziwił się Toland.

–A co to dzisiaj niedziela? – odparł kpiąco kapitan lotnictwa. – Dwadzieścia minut temu dwa pułki backfire'ów opuściły bazy. Jeśli chcemy przechwycić towarzyszące im tankowce powietrzne, musimy działać szybko.

W ciągu kilku minut w powietrze wzbiły się dwa samoloty EA-6E Prowler i ruszyły na północny zachód, by odnaleźć nieprzyjacielskie radary oraz nadajniki radiowe i zakłócić ich

pracę. Najbardziej uderzającą cechą maszyn EA-6B – znanych popularnie pod niezbyt sympatyczną nazwą Queer (Odmieńców) – była kabina inkrustowana prawdziwym złotem, które zabezpieczało wrażliwe instrumenty zainstalowane na pokładach przed promieniowaniem elektromagnetycznym. Kiedy maszyny nabierały wysokości, piloci i oficerowie elektronicy, uwięzieni w swoich pozłacanych klatkach, pochłonięci byli pracą.

Dwie godziny później załogi namierzyły już ofiary i natychmiast przekazały przez radio współrzędne.

Z pasa startowego w Stornoway zerwały się do lotu cztery tomcaty.

Morze Norweskie Pędzące na wysokości dziesięciu tysięcy metrów tomcaty penetrowały dokładnie niebo po południowej i północnej stronie, tam, gdzie powinny znajdować się radzieckie tankowce powietrzne. Potężne amerykańskie radary poszukujące i kierujące pociskami wyłączono, więc piloci myśliwców przeczesywali niebo tylko za pomocą kamer telewizyjnych, zdolnych wykryć obcy samolot z odległości sześćdziesięciu paru kilometrów. Przejrzystość powietrza była idealna, a niebo pokryte nielicznymi, wysokimi cirrusami. Tomcaty nie zostawiały za sobą smug kondensacyjnych, które mogłyby zdradzić przeciwnikowi ich obecność. Maszyny mknęły szerokimi, łagodnymi łukami, a piloci co dziesięć sekund przenosili wzrok z instrumentów pokładowych na horyzont, by po chwili znów skupić się na wskazaniach aparatury.

–Popatrz, tutaj… – odezwał się dowódca eskadry do operatora broni. Zajmujący tylne siedzenie oficer nakierował kamerę telewizyjną na obcy obiekt.

–Chyba badger.

–Nie sądzę, by był sam. Poczekajmy.

–Racja.

Bombowiec znajdował się w odległości ponad sześćdziesięciu kilometrów. Niebawem pojawiły się następne, a chwilę potem kolejna maszyna, ale już dużo mniejsza.

–Myśliwiec. Czyżby aż tak daleko towarzyszyła im eskorta? Naliczyłem w sumie… sześć celów – operator broni poprawił pasy i włączył urządzenia sterujące rakietami. – Broń gotowa! Najpierw myśliwce?

–Najpierw myśliwce. Oświetlaj je – odparł pilot i włączył radio.

–Dwójka, tu Prowadzący. Mamy cztery tankowce i dwójkę myśliwców na kursie zero-osiem-pięć, czterdzieści mil na zachód od mojej pozycji. Nawiązujemy kontakt bojowy. Naprzód!

–Przyjąłem. Naprzód, Prowadzący.

Oba myśliwce przechwytujące wykonały ostry skręt przy całkowicie otwartych przepustnicach.

Prowadzący szyk włączył radar. Zidentyfikowali już dwa myśliwce i cztery tankowce powietrzne. Dwa pierwsze phoenixy miały uderzyć w myśliwce.

–Ognia!

Obie rakiety opuściły klamry i włączyły silniki.

Rosyjskie bombowce wykryło promieniowanie amerykańskich radarów AWG-9, więc próbowały uciekać. Myśliwce, które je eskortowały, nabrały pełnej szybkości i uaktywniły własne systemy elektroniczne sterujące rakietami, ale bojowe maszyny nieprzyjaciela znajdowały się jeszcze poza zasięgiem ich pocisków. Obie radzieckie maszyny włączyły radiostacje zagłuszające i, wykonując skomplikowane ewolucje, zbliżały się do Amerykanów z nadzieją, że użyją swoich rakiet. Nie mogły bawić się w finezyjne manewry, bo miały na to za mało paliwa. Ponadto ich głównym zadaniem było trzymać obce myśliwce jak najdalej od tankowców powietrznych.

Phoenixy pędziły z szybkością pięciu machów i w ciągu niecałej minuty dotarły do celów. Jeden z pilotów myśliwskich w ogóle nie zauważył nadlatującej rakiety. Na niebie pojawił się po prostu nieoczekiwanie czerwono-czarny obłok. Pilot sąsiedniego samolotu dostrzegł niebezpieczeństwo i rzucił się na drążki sterownicze na sekundę przed tym, jak eksplodowała rakieta. Pocisk chybił, ale jego odłamki rozdarły prawe skrzydło maszyny. Pilot rozpaczliwie próbował zapanować nad sterami samolotu, ale ten mimo to powoli spadał.

Lecące za myśliwcami tankowce powietrzne rozdzieliły się; dwa z nich skierowały się na północ, a dwa na południe.

Prowadzący tomcat zajął się parą podążającą na północ i za pomocą phoenixów zestrzelił obie maszyny. Jego towarzysz skierował się w stronę przeciwną i też wystrzelił dwie rakiety. Trafiła tylko jedna. Drugą zmyliła aparatura zagłuszająca badgera. Tomcat jednak, który utrzymywał już z ofiarą kontakt wzrokowy, kontynuował pościg i wystrzelił następny pocisk. AIM-54 poleciał prosto do celu i eksplodował zaledwie trzy metry od ogona badgera. Radziecki bombowiec znikł po prostu w grzmiącym rozbłysku pomarańczowego ognia.

Amerykańskie myśliwce zaczęły z kolei przeczesywać niebo w poszukiwaniu dalszych ofiar. Sześć badgerów znajdowało się w odległości stu mil, ale, poznawszy los swoich towarzyszy, natychmiast odleciały na północ. Tomcatom brakowało paliwa by kontynuować pościg. Zawróciły więc i w godzinę później, z pustymi prawie bakami, lądowały w Stornoway.

–Pięć strąconych i jeden uszkodzony – zameldował Tolandowi dowódca eskadry. – Miał pan rację.

–Tym razem – Toland był bardzo z siebie rad.

Lotnictwo marynarki Stanów Zjednoczonych z powodzeniem ukończyło swą pierwszą akcję zaczepną. Teraz kolej na następną. Dotarła właśnie wiadomość o nalocie backfire'ów. Zaatakowały one konwój w pobliżu Azorów i dwójka tomcatów czekała już w odległości dwustu mil na południe od Islandii. Miały zaatakować wracające z zadania radzieckie maszyny.

Stendal, Niemiecka Republika Demokratyczna – Nasze straty są przerażające – oświadczył generał dowodzący radzieckim lotnictwem pierwszego uderzenia.

–Poinformuję o tym żołnierzy z dywizji piechoty zmotoryzowanej – odparł chłodno Aleksiejew.

–Są prawie dwukrotnie większe od zakładanych.

–U nas też. Ale moi żołnierze przynajmniej walczą.

Obserwowałem szturm. Przysłaliście nam cztery myśliwce atakujące. Cztery!

–Wiem. Poszedł cały nasz pułk; ponad dwadzieścia maszyn, plus wasze helikoptery bojowe. Dziesięć kilometrów za linią frontu weszły z nami w kontakt bojowy myśliwce NATO. Moi piloci, by dotrzeć do waszych czołgów, musieli po prostu walczyć o życie; zwłaszcza, że otworzyły do nich ogień nasze własne wyrzutnie pocisków ziemia-powietrze!

–Wyjaśnijcie to bliżej, proszę – wtrącił przełożony Aleksiejewa.

–Towarzyszu generale, radiolokacyjne samoloty Paktu Atlantyckiego nie stanowią łatwego celu. Mają doskonałą osłonę. Myśliwce wysyłają kierowane radarami rakiety z odległości, z której nie potrafimy ich jeszcze wykryć.

W chwili, kiedy się pojawiają, nasi piloci mogą już tylko uciekać. Czy wasi czołgiści czekają nieruchomo, by stać się łatwym celem? Często znaczy to, że piloci muszą wyrzucać ładunek bomb tylko po to, by zdołali się błyskawicznie wycofać. A kiedy w końcu docierają do strefy walki, zestrzeliwani są przez własne rakiety, które nie potrafią odróżnić swego od wroga.

Był to wielki problem; nie tylko Rosjan.

–Chcecie powiedzieć, że NATO osiągnęło w powietrzu przewagę? – spytał Aleksiejew.

–Nie, żadna ze stron takiej przewagi nie osiągnęła.

Sytuacja jest ogólnie patowa. Nasze pociski ziemia-powietrze skutecznie sobie radzą z samolotami Paktu. Ich myśliwce jednak również są bardzo skuteczne; zwłaszcza, że mają wsparcie SAM-ów swoich i naszych… Tak, nikt nie osiągnął dotąd zdecydowanej dominacji.

Ale ofiary są straszne – dodał w duchu generał lotnictwa.

Aleksiejew pomyślał o tym, co widział w Bieben i zastanawiał się chwilę, czy lotnik ma rację.

–Następnym razem musimy to lepiej zorganizować – odezwał się dowódca teatru wojny. – Kolejny zmasowany atak powinien mieć odpowiednie wsparcie lotnicze, co znaczy, że należy zaangażować każdy myśliwiec, jakim dysponujemy na froncie.

–Staramy się wysyłać więcej maszyn, które stosują manewry pozoracyjne. Wczoraj próbowaliśmy skierować samoloty Paktu Atlantyckiego w inne miejsce. Prawie się udało, ale popełniliśmy pewien błąd. Wiemy już jaki.

–O szóstej rano ruszy od południa atak na Hanower.

Potrzebuję dwustu samolotów.

–Będziecie je mieli – zapewnił generał lotnictwa i opuścił pomieszczenie.

Alekśiejew obserwował wychodzącego.

–I co, Pasza?

–To początek… Jeśli rzeczywiście będziemy mieli te dwieście myśliwców…

–Mamy również helikoptery.

–Widziałem, co stało się ze śmigłowcami w nawale rakiet. Kiedy już myślałem, że przełamią niemieckie linie, pociski rakietowe SAM i myśliwce wykończyły prawie wszystkie. Odwaga pilotów jest nieprawdopodobna, ale sama odwaga to nie wszystko. Nie doceniliśmy siły ognia NATO… nie, inaczej, przeceniliśmy naszą.

–Ostatecznie szturmujemy pozycje, które zostały pieczołowicie przygotowane jeszcze przed wojną. Gdy raz już przełamiemy front…

–Zgoda, wtedy pójdzie nam jak z płatka. Musimy tylko przełamać ten front – Alekśiejew popatrzył na mapę.

Następnego dnia o świcie wojsko, cztery dywizje piechoty zmotoryzowanej wsparte dywizją czołgów, ruszy na przeciwnika. – Sądzę, że powinno to nastąpić w tym miejscu.

Udam się chyba osobiście na samą linię walk.

–Jak chcesz, Pasza. Ale uważaj, tak między nami, lekarz powiedział mi, że ranę na ręku masz od odłamka.

Kwalifikujesz się do odznaczenia.

–Za coś takiego? – Aleksiejew popatrzył na zabandażowaną rękę. – Przy goleniu potrafię się mocniej skaleczyć. A za to przecież orderów nie dają. Byłaby to obelga dla żołnierzy.

Islandia Schodzili właśnie skalistym stokiem wzgórza, kiedy po zachodniej stronie, w odległości trzech kilometrów pojawił się helikopter. Leciał nisko, jakieś sto metrów nad szczytem wzgórza i powoli zbliżał się w ich stronę. Żołnierze piechoty morskiej natychmiast padli plackiem, po czym zaczęli czołgać się w stronę najbliższych kryjówek. Edwards podskoczył do Vigdis, by pchnąć ją na skałki. Dziewczyna miała na sobie biały, wzorzysty sweter, bardzo rzucający się w oczy.

Porucznik zdarł z siebie mundurową kurtkę i nakrył nią Islandkę, naciągając jednocześnie kaptur na jej jasne włosy.

–Nie ruszaj się. Szukają nas – Edwards rozejrzał się szybko, wypatrując swych żołnierzy. Smith gestem ręki kazał mu leżeć spokojnie. Porucznik zamarł bez ruchu. Śledził tylko oczyma nadlatującą maszynę. Był to hind. Pod krótkimi skrzydłami miał podwieszone rakiety. Drzwiczki po obu stronach kadłuba były otwarte. Widział w nich załogę z gotową do strzału bronią.

–O, cholera!

W miarę, jak maszyna się zbliżała, huk motorów rósł.

Potężne, pięciołopatkowe śmigło młóciło powietrze i wzbijało tumany wulkanicznego kurzu z płaskowyżu, który właśnie opuściła grupa Edwardsa. Porucznik zacisnął palce na M-16 i odbezpieczył broń. Helikopter nadlatywał bokiem; podwieszone rakiety skierowane były na ciągnącą się za Amerykanami równinę. Z przodu hinda sterczały lufy karabinów maszynowych, przypominające instalowane w śmigłowcach amerykańskich działka rotacyjne, które potrafiły wysyłać cztery tysiące pocisków na minutę. Wobec takiej broni kryjący się ludzie nie mieli żadnych szans.

–Zawracaj, skurwysynu – szeptał Mikę.

–Co się dzieje? – spytała Vigdis.

–Leż i nie ruszaj się.

Boże, żeby nas tylko nie dostrzegli – modlił się w duchu Edwards.

–Spójrz tam, na godzinę pierwszą! – odezwał się siedzący w przednim fotelu strzelec pokładowy.

–A więc nasz patrol nie jest tak do końca stracony – odparł pilot. – Naprzód!

Operator karabinu maszynowego nastawił celownik.

Selektor nastroił na pięć pocisków. Cel był prawie nieruchomy. Nacisnął spust.

–Mamy go!

Na dźwięk karabinu maszynowego Edwards podskoczył.

Vigdis się nie poruszyła. Porucznik uniósł lekko lufę broni i skierował ją na helikopter, który lądując, skrył się za zboczem górskim po południowej stronie. W co strzelali?

Dźwięk silnika wyraźnie się zmienił, kiedy maszyna osiadła na ziemi. Niezbyt daleko od nich.

Strzelec trafił kozła trzema pociskami, ale w niewielkim tylko stopniu uszkodził mięso. Ważące czterdzieści kilogramów zwierzę powinno wystarczyć dla całej drużyny i dla załogi helikoptera. Sierżant spadochroniarzy najpierw podciął gardło stworzeniu, a następnie, za pomocą bojowego noża usunął wnętrzności. Miejscowe jelenie nie przypominały tych, na które polował jego ojciec na Syberii. Niemniej po raz pierwszy od trzech tygodni żołnierze skosztują świeżego mięsa. Już to wystarczy„ by uznali swój patrol za bardzo udany. Załadowali łup do hinda. Dwie minuty później maszyna wracała do Keflaviku.

Obserwowali niknący w dali helikopter. Słuchali zamierającego dźwięku jego silnika.

–Co to było? – spytał Edwards sierżanta.

–Też tego nie rozumiem, szefie. Myślę, że musimy stąd wiać jak najszybciej. Najwyraźniej czegoś szukają i daję głowę, że chodzi im o nas. Musimy znaleźć jakąś dobrą kryjówkę.

–Masz rację, Jim. Prowadź. – Edwards podszedł do Vigdis.

–Jesteśmy już bezpieczni? – spytała.

–Odlecieli. Musisz włożyć tę kurtkę. W swetrze widać cię z daleka.

Kurtka, która na Edwardsa była o dwa numery za duża, na Vigdis wyglądała jak namiot. Dziewczyna wyciągnęła ramiona, by wysunąć z rękawów dłonie. Wtedy po raz pierwszy od chwili spotkania z Amerykanami Vigdis Agustdottir roześmiała się.

USS „Pharris" – Jedna trzecia naprzód – polecił pierwszy oficer.

–Tak jest, jedna trzecia naprzód – powtórzył bosman wachtowy, podnosząc słuchawkę komunikatora. – Maszynownia melduje jedną trzecią naprzód.

–Bardzo dobrze. „Pharris" wychodząc ze sprintu dwudziestu pięciu węzłów, zredukował prędkość i zaczął dryfować. Holowana antena sonarowa mogła teraz wykryć obcy okręt podwodny.

Morris siedział w fotelu na mostku i odbierał depesze z wybrzeża. Potarł powieki i zapalił kolejnego pallmalla.

–Mostek – odezwał się zaniepokojonym głosem obserwator. – Z prawej burty peryskop! W połowie odległości od horyzontu!

Morris natychmiast przyłożył do oczu lornetkę. Nic nie dostrzegł.

–Stanowiska bojowe! – rozkazał pierwszy oficer.

Gdy w chwilę potem rozległy się dzwonki alarmu, załoga hurmem ruszyła na wyznaczone posterunki. Morris zarzucił lornetkę na szyję i zbiegł po drabince do centrum informacji bojowej.

Kiedy zajął już swoje miejsce, na ekranie sonaru po lewej stronie pojawił się tuzin punkcików. Nic. W powietrze wzbił się helikopter, a fregata manewrowała, kierując się na północ.

Antena holowana poszukiwała kontaktu.

–Kontakt na sonarze biernym. Prawdopodobnie okręt podwodny. Pozycja: zero-jeden-trzy – oznajmił operator anteny. – Dźwięk silników, prawdopodobnie boomer.

–U mnie nic – poinformował operator sonaru aktywnego.

Morris, w towarzystwie oficera dowodzącego zwalczaniem okrętów podwodnych, obserwował uważnie wskazania panujących w morzu warunków. Na głębokości prawie siedemdziesięciu metrów mieli interklinę. Poniżej umieścili hydrolokator pasywny. Pozwalał on usłyszeć okręt podwodny, którego nie był w stanie wykryć aktywny sonar.

To, co ujrzał obserwator, mogło być równie dobrze strumieniem wody wyrzucanej przez wieloryba – akurat była pora parzenia się tych garbusów – jak i spienioną smugą kilwatera zostawioną przez peryskop wrogiej jednostki. Jeśli był to rzeczywiście okręt, miał wiele czasu, by schronić się pod interklinę. Cel znajdował się zbyt blisko, by namierzył go odbity od dna impuls; i za daleko, by sonar wykrył go pod warstwą.

–Mniej niż pięć mil, więcej niż dwie – oznajmił dowódca zwalczania okrętów podwodnych. – Jeśli to rzeczywiście Rosjanie, to mamy do czynienia z niezłą załogą.

–Wspaniale. Wysłać helikopter – polecił kapitan.

Morris z uwagą śledził nakres. Okręt podwodny mógł usłyszeć fregatę, kiedy ta była w sprincie i płynęła z szybkością dwudziestu pięciu węzłów. Teraz jednak, kiedy zwolniła i posuwała się z włączonym systemem Preria/Maska, była bardzo trudna do wykrycia… i wszelkie kalkulacje tamtego kapitana musiały wziąć w łeb. Niemniej wróg czaił się niebezpiecznie blisko. Wiadomość o kontakcie przesłana została drogą radiową do dowódcy eskorty, który znajdował się na pokładzie okrętu oddalonego o dwadzieścia mil.

Sea sprite zrzucił pławy sonarowe. Mijały minuty.

–Mam słaby sygnał na szóstce i średni na czwórce – odezwał się podoficer odpowiedzialny za pławy sonarowe.

Morris nie odrywał wzroku od nakresu. Wynikało z niego, iż cel znajduje się w odległości niecałych trzech mil.

–Spuścić aktywne sonary – polecił.

Stojący z tyłu oficer ogniowy polecił uzbroić wyrzutnię rakiet ASW. W odległości trzech mil helikopter zrzucił trzy aktywne bezkierunkowe pławy CASS.

–Kontakt. Bardzo silny sygnał na dziewiątce. Prawdopodobnie okręt podwodny.

–Mam go, współrzędne: zero-jeden-pięć. Mam pozytywny kontakt z okrętem podwodnym – odezwał się operator anteny holowanej. – Zwiększa szybkość. Słyszę dźwięki kawitacyjne. Okręt podwodny o pojedynczej śrubie, zapewne klasy Victor. Pozycja zmienna.

Sonar aktywny ciągle milczał, mimo iż z całą mocą bombardował impulsami miejsce, gdzie powinien znajdować się cel. Rosjanin zdecydowanie musiał tkwić pod inter kliną.

Morris chciał początkowo ruszyć w tamtą stronę, ale się powstrzymał. Tak radykalny skręt sprawiłby, że holowana antena sonarowa przez kilka minut byłaby bezużyteczna i w tym czasie musiałby polegać wyłącznie na pławach, a Morris bardziej ufał antenie niż tym umieszczonym w morzu urządzeniom.

–Współrzędne kontaktu: zero-jeden-pięć. Stałe… poziom hałasu nieco opadł – operator wskazał ekran.

Morris był zaskoczony. Czyżby cel, który dotąd nieustannie zmieniał pozycje, nagle znieruchomiał?

Ponownie nadleciał helikopter. Kolejna pława sonarowa potwierdziła kontakt, ale detektor anomalii magnetycznych pozostał głuchy. Kontakt z celem zanikał. Hałas cichł. Co ten typek kombinuje? – zastanawiał się Morris.

–Peryskop z prawej burty – zaskrzeczał głośnik.

–To nie to miejsce, sir… chyba, że tropiliśmy generator szumów.

Oficer ASW uruchomił aktywny sonar i skutek nie kazał na siebie długo czekać. Na ekranie lampy oscyloskopowej pojawił się jaskrawy wyskok.

–Kontakt. Współrzędne: trzy-cztery-pięć. Odległość: piętnaście tysięcy metrów.

–Ster, cała prawo – krzyknął Morris. Łódź podwodna w jakiś sposób wymknęła się spod obserwacji sonaru holowanego, wypłynęła ponad interklinę i wysunęła peryskop. A to mogło

znaczyć tylko jedno.

–Efekty hydrofoniczne… torpedy w wodzie. Współrzędne: trzy-pięć-jeden!

Oficer ogniowy natychmiast polecił wystrzelić w tamtym kierunku torpedę, mając nadzieję, że zakłóci tym atak łodzi.

Jeśli rosyjskie pociski były kierowane przewodowo, radziecki kapitan musiał przeciąć kable, by móc manewrować i uniknąć wystrzelonej przez Amerykanów torpedy.

Morris, wspiąwszy się szybko po drabince, wrócił na mostek. Okrętowi podwodnemu udało się w jakiś sposób zerwać kontakt i ponownie wejść na pozycję strzelecką.

Fregata natychmiast zmieniła kurs i szybkość, próbując tym zmylić komputer sterujący ogniem nieprzyjaciela.

–Widzę torpedę! – odezwał się pierwszy oficer, wskazując dziób okrętu. Radziecki pocisk zostawiał na powierzchni morza białą smugę piany. Tego Morris kompletnie się nie spodziewał, toteż jak urzeczony obserwował morderczą broń. Fregata wykonała gwałtowny skręt.

–Mostek. Widzę dwie torpedy. Współrzędne stałe: trzy-pięć-zero. Zbliżają się – odezwał się nieoczekiwanie oficer taktyczny. – Obie wysyłają impulsy ultradźwiękowe.

Wypuściliśmy nixie.

Morris podniósł słuchawkę telefonu.

–Proszę przesłać dowództwu eskorty raport o sytuacji.

–Raport już przesłany, kapitanie. Lecą nam na pomoc dwa śmigłowce.

Uciekając przed torpedami, „Pharris" płynął już z prędkością dwudziestu węzłów i cały czas przyspieszał. Należący do fregaty helikopter unosił się za rufą i podejmował rozpaczliwe wysiłki, by namierzyć detektorem anomalii magnetycznych radziecką jednostkę.

Przed dziobem okrętu przemknęła torpeda i w chwilę później zza rufy dobiegł huk eksplozji. Kiedy pierwsza rosyjska „rybka" trafiła w nixie, urządzenie przywabiające torpedy, w powietrze wystrzelił wysoki na prawie siedemdziesiąt metrów strumień wody. Amerykanie jednak wystrzelili tylko jedną nixie, a w ich stronę pędził już kolejny pocisk.

–Cała w lewo – polecił bosmanowi Morris. – Centrum bojowe, jaka sytuacja?

–Niejasna, sir. Pławy sonarowe odbierają dźwięk tylko naszej torpedy, nic więcej.

–Dostanie nas – odezwał się pierwszy oficer, wskazując białą smugę na wodzie, niecałe dwieście metrów od okrętu. Torpeda, która widocznie nie trafiła we fregatę za pierwszym

razem, zawróciła. Urządzenia naprowadzające pocisku działały tak długo, jak długo pocisk dysponował paliwem.

Morris nic już nie mógł zrobić. Torpeda nadchodziła od lewej burty, więc gdyby skręcił w prawo, większa część okrętu wystawiona by została na cel. Znajdująca się poniżej wyrzutnia rakiet do zwalczania jednostek podwodnych skierowała swą paszczę w lewo, w stronę przypuszczalnej pozycji obcej jednostki, ale bez rozkazu operator nie nacisnął spustów. Biała smuga była coraz bliżej. Morris wychylił się za barierkę i z niemą wściekłością obserwował zbliżający się od dziobu pocisk. Już nie mógł nie trafić.

–Kapitanie, na ziemię! – bosman Clarke chwycił Morrisa za ramię i z całej siły pchnął go na pokład. Kiedy wyciągał rękę w stronę pierwszego oficera, pocisk uderzył.

Wstrząs był tak silny, że uniósł Morrisa na trzydzieści centymetrów. Ale eksplozji kapitan nie usłyszał, gdyż, kiedy ponownie spadał na stalowy pokład, zalała go kaskada białej wody. Z impetem wyrżnął w jedną z podpór pokładowych i w pierwszej chwili pomyślał, że gwałtowny strumień wypchnął go za burtę. Kiedy się podniósł, ujrzał pierwszego oficera – pozbawione głowy ciało leżące pod drzwiami sterowni. Skrzydło mostka zostało strzaskane, a jego wykonane z grubej stali osłony poszarpane odłamkami. W sterowni nie było jednego całego okna. Potem zobaczył rzecz jeszcze gorszą.

Torpeda trafiła fregatę tuż za znajdującym się na dziobie sonarem. Eksplozja roztrzaskała dziób i oderwała kil.

Forkasztel znajdował się na równi z lustrem wody, a straszny zgrzyt metalu mówił kapitanowi, że cały dziób odrywa się właśnie od kadłuba. Morris, zataczając się jak pijany, przeszedł na mostek i przez telegraf pokładowy wydał rozkaz: maszyny stop. Nie zauważył nawet, że inżynierowie dawno już to zrobili i okręt sunął do przodu jedynie siłą rozpędu. Na oczach Morrisa dziób odchylił się dziesięć

stopni w stronę prawej burty. Podstawę przedniego działa zalewała już woda, toteż obsługa próbowała przedostać się na tył okrętu. Ale poniżej podstawy również byli ludzie i Morris dobrze wiedział, że ci już nie żyją. Miał tylko nadzieję, że umarli natychmiast; że uwięzieni w tonącej, stalowej pułapce nie topili się powoli. Jego ludzie. Ilu ich było na posterunkach bojowych rozrzuconych jeszcze przed wyrzutnią rakiet do zwalczania okrętów podwodnych?

Wtedy dziób oderwał się całkowicie. Wśród przeraźliwego zgrzytu metalu od okrętu oddzieliła się dwudziestometrowej długości część kadłuba. Zaczęła dryfować swobodnie po wodzie niczym niewielka góra lodowa. Zostawała stopniowo z tyłu, uderzała co chwila w rufę. W wodoszczelnych drzwiach fragmentu pojawiła się jakaś ludzka postać.

Skoczyła do wody i zaczęła szybko oddalać się od dryfującego swobodnie dziobu.

Załoga na mostku przeżyła; ludzie byli wprawdzie pokaleczeni odłamkami szkła, ale czuwali na wyznaczonych stanowiskach. Szef Clarke obrzucił bacznym spojrzeniem sterownię, po czym

ruszył na pomoc marynarzom z oddziałów ratowniczych. Nadbiegały właśnie grupy awaryjne z gaśnicami przeciwpożarowymi i aparaturą do spawania. Przede wszystkim zbadano uszkodzenie burty, by sprawdzić, ile wody mogło się wdzierać na okręt. Morris podniósł słuchawkę interkomu i wykręcił numer centrali obrony przeciwawaryjnej okrętu.

–Proszę o raport! – polecił.

–Woda sięga do wręgi trzydziestej szóstej, ale okręt powinien utrzymać się na powierzchni; w każdym razie przez jakiś czas. Nie zanotowaliśmy pożaru. Czekamy na następne meldunki.

Morris wykręcił kolejny numer.

–Centrum bojowe, poinformować dowódcę eskorty, że zostaliśmy trafieni i potrzebujemy pomocy.

–To już zrobione, sir. „Gallery" płynie w naszą stronę.

Okręt podwodny chyba uciekł. Wszyscy go szukają. Sam wstrząs też poczynił pewne szkody. Nie działają radary.

Sonar dziobowy zniszczony. Wyrzutnia rakiet ASW zniszCZERWONY SZTORM • 495 czona. Sonar holowany działa, a wyrzutnia marków-32 jest w pełni sprawna… chwileczkę… dowództwo eskorty przesyła nam holownik, sir.

–W porządku, proszę przejąć dowodzenie. Idę na dół obejrzeć szkody.

Przejąć dowodzenie; dobre sobie! – pomyślał Morris. – Jak można dowodzić jednostką, która się nie porusza?

Minutę później był już pod pokładem i obserwował, jak ludzie próbują podstemplować grodzie drewnianymi tarcicami.

–Ta jest całkiem w porządku, sir, ale następną podziurawiło jak sito. Nie uda się jej tak łatwo załatać. Kiedy dziób się oderwał, wszystko musiało się wypaczyć – oficer chwycił marynarza za ramię. – Idź do magazynu awaryjnego i przynieś więcej tych cztery na cztery!

–Czy ta jedna wytrzyma?

–Nie wiem. Clarke sprawdza samo dno. Musimy chyba dospawać kilka łat i usztywniaczy. Proszę dać mi jeszcze dziesięć minut, a wtedy powiem, czy utrzymamy się na wodzie, czy też nie.

Zjawił się Clarke. Oddychał ciężko.

–W wewnętrznych dnach przepuszcza grodź. Pęknięcie jest niewielkie, ale woda wdziera się silnym strumieniem.

Pompy pracują; na razie dają sobie radę. Myślę, że będzie tam trzeba wszystko podstemplować i musimy się z tym pośpieszyć.

Oficer grup awaryjnych natychmiast ruszył tam ze spawaczami. Kiedy pojawiło się dwóch marynarzy z przenośną pompą, Morris też posłał ich na dół.

–Ile osób zginęło? – spytał Clarke'a, który dziwacznie podtrzymywał swoje ramię.

–Załoga pięciocalowego działa uszła z życiem, ale nie widziałem nikogo z niższych poziomów… Cholera, musiałem sobie coś złamać – Clarke popatrzył na prawą rękę i ze złością potrząsnął głową. – Z dziobu niewiele chyba ocalało. Wodoszczelne drzwi wypaczyły się i zablokowały wyjście.

–Z tą ręką natychmiast do lekarza – rozkazał Morris.

–Pieprzyć rękę, kapitanie. Tu jestem potrzebny.

Marynarz miał rację. Morris ruszył na górny pokład.

Clarke mu towarzyszył.

Z mostka połączył się z maszynownią. Dźwięk, jaki dobiegł ze słuchawki, wszystko właściwie wyjaśniał. Inżynier musiał wrzeszczeć do mikrofonu, by przekrzyczeć świst uciekającej pary.

–Wstrząs poczynił tu duże szkody, kapitanie. W kotle numer jeden podziurawione przewody odprowadzające parę.

Dwójka powinna pracować, ale odkręcę na wszelki wypadek zawory bezpieczeństwa. Generatory diesla są sprawne. Mam kilku rannych. Wysyłam ich na górę. Właśnie… dobra, dobra… właśnie sprawdziliśmy kocioł numer dwa. Kilka drobnych przecieków, z tym szybko się uporamy. Pozostałe urządzenia chyba w porządku. Za kwadrans wszystko powinno być gotowe.

–To świetnie – Morris odwiesił słuchawkę. „Pharris" martwo spoczywał na wodzie. Przez otwarte klapy bezpieczeństwa para wpadała do masywnych przewodów kominowych, wydając przeraźliwy, zgrzytliwy ton; zupełnie jakby okręt płakał z bólu. W miejscu, gdzie został odcięty dziób, zwisały płaty metalu i przewody. Woda wokół pełna była ropy wyciekającej z przebitych zbiorników z paliwem. Morris dopiero teraz zauważył, że fregata jest przechylona w stronę rufy i pokład ucieka mu spod nóg.

Kapitan zdawał sobie sprawę, że musi czekać na kolejny raport grup przeciwawaryjnych. Ranni znajdowali się już pod opieką lekarzy. Dowódca podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z centrum informacji bojowej.

–Centrum, tu mostek. Co z okrętem podwodnym?

–Helikopter z „Gallery" wystrzelił w jego kierunku torpedę, ale bez skutku. Wygląda na to, że Rosjanin ucieka na północny wschód, ale od pięciu minut nie mamy żadnych wiadomości. Do poszukiwań włączył się orion.

–Niech lepiej szukają blisko nas. Taki facet nie ma zwyczaju uciekać, jeśli nie musi. Mógł po prostu wpłynąć w środek konwoju. Proszę przekazać tę uwagę dowódcy eskorty.

–Tak jest, kapitanie.

Nie zdążył jeszcze odłożyć słuchawki, kiedy aparat ponownie się rozdzwonił.

–Tu kapitan.

–Nie zatonie, sir – poinformował oficer grup przeciwawaryjnych. – Łatamy właśnie grodzie. Robimy to wprawdzie prowizorycznie, ale pompy radzą sobie ze skutkami przecieków. Jeśli tylko nie przydarzy się nic złego, dociągniemy do domu. Czy przyślą holowniki?

–Tak.

–Sir, niech liny doczepią do rufy.

–Racja – Morris popatrzył na Clarke'a. Proszę wziąć większą grupę ludzi na rufę. Hol zaczepimy właśnie tam.

Umocujcie go. Potem niech motorówka poszuka rozbitków.

A rękę niech pan weźmie na temblak.

–Zrobi się, kapitanie – Clarke ruszył w kierunku rufy.

Morris udał się z kolei do centrum informacji bojowej.

Stwierdził, że radio działa.

–X-Ray Alfa, tu „Pharris" – wywołał dowódcę eskorty.

–Jaki jest stan okrętu?

–Dostaliśmy jedno uderzenie w przód. Cały dziób, aż do wyrzutni poszedł. Nie możemy manewrować. Na wodzie się utrzymamy; chyba że przyjdzie sztorm. Ciśnienie w obu kotłach spada, ale w ciągu dziesięciu minut uporamy się z tym. Mamy ofiary w ludziach. Nie wiemy jeszcze jakie.

Komandorze, to był atomowy okręt podwodny, zapewne victor. Jestem przekonany, że poszedł w waszą stronę.

–Straciliśmy ten kontakt, ale z całą pewnością odpłynął – odparł dowódca.

–Lepiej poszukajcie w granicach konwoju, sir – upierał się Morris. – Rosjanin podpłynął do nas na odległość pchnięcia nożem i wyciął nam niezły numer. On tak szybko nie ucieknie. Skubaniec, jest na to zbyt dobry.

Komandor krótką chwilę milczał.

–W porządku. Wezmę to pod uwagę. „Gallery" już do was płynie. Potrzebujecie jeszcze jakiejś pomocy? – „Gallery" bardziej jest potrzebny wam niż nam. 32 – Czerwony sztorm

–Przyślijcie tylko holownik – odparł Morris. Był przekonany, że okręt podwodny nie będzie się już fatygować, by do końca zatopić fregatę. Tę część swego zadania Rosjanin wykonał znakomicie. Teraz połakomi się na jakiś statek handlowy.

–Zrozumiałem. Gdybyście jednak czegoś potrzebowali, proszę dać znak. Powodzenia, Ed.

–Dziękuję, sir.

Morris polecił jednak, by na wszelki wypadek helikopter zrzucił wokół okrętu podwójny pierścień pław sonarowych.

Podczas realizacji tego zadania sea sprite odnalazł w wodzie trzy osoby. Jedna z nich była już martwa. Motorówka wyłowiła rozbitków, a śmigłowiec dołączył do konwoju.

Kiedy kolumna skręcała na południe, miejsce „Pharrisa" zajął „Gallery".

Na dnie fregaty, zanurzeni po pas w słonej wodzie, pracowali spawacze, próbując załatać dziury w wodoszczelnych grodziach. Praca ta zajęła im dziewięć godzin. Na koniec pompy usunęły skutki przecieku w zalanych pomieszczeniach.

Zanim skończono tę pracę, przy kwadratowej rufie fregaty pojawił się holownik „Papago". Pod baczną kontrolą Clarke'a założono liny. Godzinę później holownik ruszył na wschód z szybkością czterech węzłów. Ciągnął fregatę tyłem, by ochronić zniszczony przód okrętu. Morris rozkazał spuścić za strzaskanym dziobem holowaną antenę sonarową; zawsze stanowiło to jakieś zabezpieczenie. Kilku dodatkowych obserwatorów penetrowało wzrokiem okolicę, poszukując peryskopu.

Wszystkich czekała powolna i niebezpieczna podróż do portu.

1 ZAPALNIK Z OPÓŹNIONYM

ZAPŁONEM 11

2 CZŁOWIEK, KTÓREGO GŁOS

PRZEWAŻYŁ 20

3 STOSUNEK SIŁ 46

4 MASKIROWKA l 61

5 MARYNARZE I LUDZIE WYWIADU…

71

6 OBSERWATORZY 86

7 WSTĘPNE OBSERWACJE 96

8 DALSZE OBSERWACJE 112

9 OSTATNI RZUT OKA 117

10 PAMIĘTAJ, PAMIĘTAJ 126

11 PORZĄDEK BITWY 139

12 PRZYGOTOWANIA DO POGRZEBU…

149

13 OBCY PRZYBYWAJĄ, OBCY

ODJEŻDŻAJĄ 156

14 GAZ 175

15 GAMBIT BASTIONU 190

16 OSTATNIE POSUNIĘCIA,

PIERWSZE POSUNIĘCIA 213

17 SAMOLOTY Z KRAINY MARZEŃ

221

18 POLARNA GLORIA 235

19 KONIEC PODRÓŻY, POCZĄTEK

PODRÓŻY 265

20 TANIEC WAMPIRÓW 291

21 NORDYCKI MŁOT 328

22 RIPOSTY… 360

23 POWROTY 378

24 GWAŁT 400

25 WĘDRÓWKI 431

26 WRAŻENIA 448

27 OFIARY 479

Koniec tomu pierwszego.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/